PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK PIĘTNASTY. — TOM LIX.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1898.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1898.

O WĄTPLIWOŚCIACH PRZECIW WIERZE.

I.

„W czasach, w których się narodziłem — pisze francuski filozof z pierwszej połowy tego wieku — niepodobnem było, by szczęście, (które mi dała religia chrześcijańska) nie zostało zamącone. I przyszedł dzień, gdzie na łonie tego cichego gmachu religii, który mię od narodzenia był przyjął i w którego cieniu młodość mi przeszła, usłyszałem szmer wiatru wątpliwości, bijącego ze wszystkich stron o jego mury i wstrząsającego nim aż do fundamentów".

Śmiały umysł młodego filozofa poddał się wątpliwościom i posuwając się po tej pochyłości oddalił się od wiary. „A wtenczas — pisze dalej — uczułem, że w głębi mego ja nic się już nie ostało; że już nie wierzyłem w nic, w co przedtem wierzyłem: o sobie, o Bogu, o swojem przeznaczeniu w tem życiu i w przyszłem... Chwila ta była straszna" [1].

Zdaje się, że słowa te zastosować można i do naszych czasów z większem jeszcze prawem, niż wówczas. Liczba tych, co dzisiaj staczają w najskrytszych głębinach swej duszy walkę z wątpliwościami przeciw wierze, odziedziczonej od ojców i praojców, większą jest, aniżeli nam się zdaje, a przebieg tej walki

[1] Jouffroy cyt. w O. Ventury *La raison philosophique et la raison catholique*. T. II, str. XXXVIII. i nast.

niestety często ten sam, choć charaktery mniej szlachetne, niż Jouffroy, stratę wiary nie tak głęboko odczuwają.

W wiekach, w których całe wielkie społeczeństwa niejako przesiąknięte były duchem wiary katolickiej, a krzyż wszędzie otoczony był najgłębszą czcią publiczną i prywatną, nie tak łatwo wątpliwości wkraść się mogły do serc jednostek należących do tych społeczeństw. Już sama suggestya zewnętrznego otoczenia sprawiała, że każda wątpliwość trafiała na silny opór u wszystkich, których indywidualność nie była wyjątkowo silnie rozwiniętą, a liczba takich ludzi bywa zwyczajnie bardzo małą. Dziś inaczej. Europa, ta część świata, która była drugą kolebką wiary chrześcijańskiej, a niegdyś prawie bez wyjątku katolicką, dziś już nie posiada ani jednego większego społeczeństwa, któreby było w całości nie mówię katolickiem, ale tylko chrześcijańskiem. Nie udało się z końcem przeszłego wieku lidze Encyklopedystów dopiąć celu, dla którego swe siły złączyli: „zgładzić nieśmiertelnego“, ale udało im się rozszerzyć straszne spustoszenie w sferach podówczas moralnie zgniłych, i zniszczyć szyderskim dowcipem wiarę, która już i tak ledwie w sercach tliła. Z polityczną reakcyą po rewolucyi francuskiej nastąpiła i pewna religijna reakcya; ale ziarno religijnej obojętności porozrzucane było już po całej Europie, a nie było, ktoby je wypleił. Jednym z najcięższych ciosów dla wiary katolickiej, z któregośmy się i w tej chwili jeszcze nie podźwignęli, był ten, że nauka nie bez ciężkiej winy katolików, coraz bardziej się oddalała od wiary, aż nareszcie wprost wrogie względem niej zajęła stanowisko. Młodzież w szkołach, w literatuze, w sztuce, wszędzie spotykała się ze sceptycyzmem religijnym, a często cała atmosfera, która ją otaczała, była nawskróś przesiąknięta niedowiarstwem.

Przy schyłku XIX. wieku po całej Europie znów się pojawiają oznaki odrodzenia chrześcijańskiego. Nie mam na myśli silniejszych objawów katolickiego życia wśród tych, co wiary nie stracili, ale tylko oszołomieni zmianą stosunków, jakoś stracili przytomność i oryentacyę w swem położeniu, a skutkiem tego bezczynnie, jak gdyby bezsilni, przypatrywali się temu, co

koło nich się działo. Stoi mi przed oczyma fakt, że wśród samych pogan nowoczesnych powstały prądy tak zwanego neochrześcijanizmu, które przedewszystkiem we Francyi wybitnych znalazły przedstawicieli. Do nich się zaliczają powieściopisarze, jak Bourget i Huysmans, do nich kierownik najwybitniejszego miesięcznika francuskiego i krytyk literacki Brunetiére i wielu innych. Nowy ten kierunek odbija się w literaturze i sztuce wszystkich krajów. Zwano go neochrześcijańskim dlatego, że jego zwolennicy głośno się przyznają do szczerych sympatyj dla chrystyanizmu. Ale powody, które ich do tego skłaniają, nie leżą w uznaniu prawd, które religia chrześcijańska podaje, lecz raczej w poznaniu wielkiej socyalnej i moralnej potęgi chrześcijaństwa. Są o tem przekonani, że bez chrześcijaństwa ludzkie społeczeństwa i cywilizacye ostać się nie mogą i dlatego czują się do niego przyciągani. Ale dogmatów, tak jak je Kościół katolicki pojmuje, oni nie przyjmują; zbyt ich umysły są przejęte nowoczesnym sceptycyzmem, aby śmieli otwarcie się pogodzić z dogmatyzmem Kościoła. Niejeden z nich może dojdzie tą drogą do wiary katolickiej i wtedy się stanie prawdziwym chrześcijaninem, ale dopóki są neochrześcijanami, są sceptykami religijnymi, z tą tylko różnicą, że w praktyce są przychylni i uważają ją za konieczną. Nie od nich więc spodziewać się można pomocy przeciw prawdziwej powodzi wątpliwości, podnoszonych przeciw wierze, które się gwałtem wciskają w umysły i serca tych, co pozostali wierzącymi katolikami.

A wątpliwości te — przedtem udział małej garstki wykształconych — znajdują w naszych czasach dostęp i do szerokich mas. Dzięki prasie i popularnym broszurkom rozchodzą się one po całej kuli ziemskiej. A ponieważ prasa zła o wiele lepiej jest zorganizowana od dobrej, stąd i dzieci, ledwie że się nauczyły czytać, wchłaniają w siebie, z początku często nieświadomie, wątpliwości przeciw wierze. Później to ziarnko zaczyna kiełkować w sercu i umyśle; powstaje niepokój skutkiem wątpliwości, powstaje walka, trwająca czasem przez długie lata, a wynik tej walki rozstrzyga prawie zawsze o całem życiu człowieka. Ks. biskup Bugaud w znanej swej apologii skreślił przerażający obraz

indyferentyzmu religijnego we Francyi. Już w wczesnej młodości co najmniej dwie trzecie młodzieży francuskiej ulega we walce i porzuca wiarę, wiarę nietylko w religię katolicką, ale wiarę w wyższe jestestwo wogóle. Większość 15-letnich chłopców, zapytanych, w co wierzą, odpowiada z cynizmem: „w nic“. Łatwo sobie wystawić, jakie życie moralne takiej młodzieży, takiego ludu! Zatopieni w najgrubszym materyalizmie, nie spieszą się wracać do jakichkolwiek ideałów albo pomyśleć o Bogu.

Do tego jeszcze u nas nie doszło, ale nie możemy się też łudzić, że jesteśmy w spokojnem posiadaniu katolicyzmu. Jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, tak i teraz wiara wszędzie wystawioną jest na niebezpieczeństwa i ciężkie nieraz walki. Już w gimnazyum zaczynają się owe wątpliwości; podczas studyów uniwersyteckich zwyczajnie się mnożą i wzrastają; także w seminaryach nauczycieli i nauczycielek niejedni padają ich ofiarą. Na domiar i u nas rośnie liczba owych opiekunów ludu, którzy skrzętnie nad tem pracują, by i między lud się rozeszła ta wesoła nowina, że już runęły podstawy starej wiary przez krytyczny rozbiór nauki zachwiane.

Komu wiara droga ten obojętnie na to patrzeć nie może. Dlatego w kraju, gdzie najwięcej sceptycyzm religijny się rozszerzył, we Francyi, powstał w ostatnich latach najżywszy ruch w obronie wiary. Zawdzięczamy temu ruchowi szereg nowych apologij, a sama kwestya, jaka metoda apologii wiary chrześcijańskiej może być najodpowiedniejszą dla umysłów nowoczesnych, wznieciła żywy spór między uczonymi katolikami, spór jeszcze nie rozstrzygnięty, ale w każdym razie dużo wnoszący światła w tę sprawę.

Wszyscy chętnie na to się zgadzają, że trzeba koniecznie uwzględnić obecny kierunek umysłowy a w szczególności pozornie naukowe twierdzenia lub teorye, które się głównie przeciw wierze zwracają, boć ten jest cel najwyższy apologii, by pozyskać umysły i serca dla prawdy religijnej. Zdania katolickich uczonych jednak daleko się rozchodzą, kiedy przychodzi do oznaczenia najodpowiedniejszej na nasze czasy metody dla apologii. Kto zechce przeglądnąć zeszyty ostatnich dwóch lat

katolickich miesięczników, jak: *Annales de la philosophie chrétienne* [1] *Études* [2], *Quainzaine* [3], *Revue Thomiste* [4] i t. d., znajdzie tam sporą liczbę artykułów o tym przedmiocie, który i w Niemczech zwrócił na siebie baczną uwagę najlepszych sił teologicznych [5]. Dla naszej pracy wystarczy przedstawić tylko zarysy tego sporu. Rozróżnić w nim można dwa główne kierunki. Jedni stoją w obronie tak zwanej tradycyjnej metody, która religię badała i broniła przedewszystkiem ze stanowiska filozoficzno-spekulatywnego, drudzy sądzą, że tradycyjna metoda zupełnie nie odpowiada naszemu teraźniejszemu psychicznemu i filozoficznemu nastrojowi i stąd zastąpioną być winna metodą bardziej psychologiczną i empiryczną. — Niech jednak nikt nie sądzi, że tradycyjna metoda, o której tu mowa, właściwą była apologii całej przeszłości chrześcijańskiej. Źle dobrane, a jednak ciągle jak gdyby termin techniczny, w tem samem znaczeniu u niemieckich i francuskich autorów wracające słowo: „tradycyjna", podsuwa wprawdzie tę myśl, odnosi się ono jednak w naszej kwestyi tylko do apologetycznej metody wyrosłej z późniejszej scholastyki. Obrońcy nowych kierunków, których liczba co dzień się powiększa, na poparcie swych idei wskazać mogą także na tradycyę, na epokę najwspanialszych apologij pierwszych wieków. Św. Justyn, Klemens Aleksandryjski, św. Augustyn *(De civitate Dei)*, stoją po ich stronie. Z całym szacunkiem dla prac późniejszej scholastycznej apologii — zbyt surowo osądzonych przez niektórych zwolenników nowych metod (Blondel) — sądzimy jednak również, że metoda tradycyjna sama na teraz wprost nie odpowiada celom apologii. Te suche, dedukcyjne dowody o potrzebie

[1] 6 artykułów M. Blondel'a w r. 1896; 3 art. ks. Laberthonnière w r. 1897; w ostatnich zeszytach szereg bardzo dobrych prac głównego redaktora ks. Denis'a i inne.

[2] *De l'apologétique „traditionnelle" et de l'apologétique „moderne"*, ks. M. Le Bachelet. Juillet, Aout 1897.

[3] *La Science, la Croyance et l'Apologétique*, M. Fonsegrive. Janvier 1897.

[4] *L'apologétique contemporaine doit-elle adopter une methode nouvelle?* Ks. Schwalm. Mars 1897.

[5] Schanz, *Über neue Versuche der Apologetik gegenüber dem Naturalismus u. Spiritualismus.* 1897. — *Hist.-polit. Blätter*, 1897, t. II, str. 357 i nast.

objawienia, o jego istnieniu wykazanem prawie wyłącznie z cudów i proroctw, które koronuje sylogistyczna analiza wiary: Bóg, najwyższa prawda ani mylić się ani drugich omylić nie może; Bóg przemówił — więc wierzę, są zbyt sztywne, zbyt oderwane dla wieku rozwoju nauk pozytywnych drogą indukcyi i analizy [1].

A nadto można tak zwanej apologii tradycyjnej słusznie zarzucać błędy niemałe. Apologia tradycyjna zapatrzyła się w tym kierunku, by według najściślejszych prawideł logiki udowodnić prawdę a przytem prawie zupełnie zapomniała o tem, by przedstawić prawdę nietylko jako nagą prawdę, ale też w blasku jej piękności. Jeżeli gdzie, to w apologii nie wypada zapominać o tym przymiocie prawdy i należycie go oświetlić. Prawdy, o których apologia chce przekonać, są twarde dla człowieka; stąd bardzo łatwo i rozum i serce od nich się odwraca, jeśli nie widzi ich osobliwego wdzięku, ich przedziwnej harmonii z całą rozumną naturą ludzką i z wszystkiemi jej potrzebami osobistemi i społecznemi. Oprócz tego, sądzimy, że jeszcze cięższy zarzut podnieść trzeba: Zadaniem apologii nie jest wykazać tylko, o ile to rozum nasz może, prawdziwości faktu objawienia i zgodności jego dogmatów z rozumem — jej obowiązkiem jest wykazać, że sam akt wiary, ten akt zupełnego poddania się rozumu i woli istocie najwyższej, przez który przyjmujemy objawienie, jest p o s t u l a t e m r o z u m u. Wynika to już z tego samego, że nadprzyrodzoność aktu wiary jest także cząstką objawienia, jest objektywnie wzięta, dogmatem wiary, a do tego dogmatem podstawniczym. Apologia nie może więc pominąć aktu wiary z właściwą mu psychologią i nadprzyrodzonością. A to czyniła apologia tradycyjna. Gorliwy jej obrońca ks. Bachelet [2], nie stara się nawet oczyścić jej z tego, zarzutu, ale sądzi. że była w swojem prawie, gdyż nadprzy-

[1] Schanz niezgadzający się jeszcze zupełnie z nowemi kierunkami, przecież powiada: „Die Apologetik kann hieraus wenigstens die Lehre ziehen, dass die einfache Rückkehr zur alten Methode unmöglich ist". *Apologie des Christenthums*, 2 Aufl., 1895, I. str. 66.

[2] *Études*. 1897. t. 72.

rodzoność i psychologia aktu wiary należą do traktatów teologicznych o „łasce i wierze". Przyznać trzeba słuszność tej uwagi, jeśli chodzi o systematyczny szkolny wykład całokształtu teologii, ale apologia, której celem nie jest systematyczne zgłębianie dogmatów w sobie, ale rozumowe uzasadnienie samej wiary, nie może ze szkolnych względów wykluczać tego, co do osiągnięcia właściwego jej celu jest najniezbędniej potrzebne [1].

Lukę, którą tradycyjna apologia zostawiła pomijaniem wewnętrznych piękności wiary, wielu francuskich mianowicie apologetów starało się wypełnić i dążność ta natchnęła śliczne karty apologetyczne, jakiemi są np. ustępy o osobie Chrystusa Pana w drugim tomie apologii ks. Bougaud'a, przetłumaczone także na polski język.

A jednak mimo tej metody, bardziej do nas zastosowanej, pokazały się nowe trudności dla nowoczesnego katolickiego apologety, wynikające z szerokiego rozgałęzienia wiedzy i wzrostu materyału w pozytywnych naukach. Jak słusznie Leibnitz w liście do Huet'a zauważył, apologeta musi być gruntownie obznajomiony z wszystkiemi naukami przyrodniczemi i historycznemi, z filozofią i sztuką, by mógł odpowiedzieć na zarzuty zaczerpnięte z wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej. Może to jeszcze

[1] Zdaje nam się, że nie wszyscy dość rozróżniają między apologią a teologią fundamentalną, czasem także apologetyką zwaną. Mieszanie zaś tych dwóch odrębnych nauk teologicznych, jest powodem sporów i przeszkadza jasnemu oznaczeniu najwłaściwszej dla każdej z nich metody. Obie mają wiele punktów stycznych, bo wykazanie prawdziwości religii chrześcijańskiej jest ogólnym obu celem. Nie zupełnie jednak się pokrywają, gdyż każda z innego wychodzi założenia. Apologia, tak stara jak religia chrześcijańska, ma za przedmiot całą wiarę z wszystkiemi jej dogmatami, i według potrzeb czasu szczególnie się zajmuje prawdami wiary bardziej zaczepionemi, by je bronić i wykazać Boskość nauki Chrystusowej. Apologia stanowi dla siebie całość. Teologia fundamentalna rozwinęła się dopiero z początkiem XVIII. wieku, a jej przedmiotem i celem jest wyłącznie udowodnienie naukowych fundamentów wiary: Boskości pochodzenia religii chrześcijańskiej, w Kościele rzymsko-katolickim nieskazitelnie przechowanej. Wchodzi ona jako część w skład wielkiego systemu teologii, z natury swojej jest bardziej syntetyczna a dogmatami stanowiącemi przedmiot teologii dogmatycznej wcale się nie zajmuje. Porów. Kihn, *Encyklopaedie u. Methodologie der Theologie,* str. 391—401.

było możliwe dla jednego człowieka za czasów Leibnitza, dziś to już jednak siły ludzkiego umysłu absolutnie przechodzi. Dzisiejszy apologeta, który chce pisać apologię powszechną całej wiary przeciw wszystkim nowo powstającym zarzutom staje raz po raz wobec wielu trudności skutkiem jednostronnego wykształcenia i braku fachowej znajomości tej gałęzi wiedzy, z której zarzut powstaje. A to się mścić musi na odpowiedzi, która zbyt łatwo będzie nosiła na sobie cechę dyletantyzmu. Jednem drugiem słówkiem zdradzi się apologeta, że nie trafił do jądra trudności, że mu brak wiadomości odnośnych, by wszechstronnie zadowalniającą dać odpowiedź w duchu tej nauki, z której trudność pochodzi. Podobne odpowiedzi zadowolnią może wielu, olśnionych erudycyą autora, który na tak różnych polach wiedzy śmiało się obraca, ale wielu innym zaszkodzą, i to nietylko fachowym, ale i tym, co choć czasem czytają fachowe dzieła innych gałęzi, poczują oni te braki i stąd powstanie pewne niezadowolenie, które każda niedostateczna odpowiedź w umyśle wywołuje. Apologeta nowoczesny musi więc i co do tego metodę dawną zmienić i z wielką ostrożnością przystępować do odpowiedzi na pozytywne zarzuty. Zdaje nam się, że koniecznym warunkiem, by apologia katolicka mogła stanąć w naszych czasach na wysokości swego zadania, jest usilne staranie się o to, byśmy mieli jak najwięcej katolickich fachowych uczonych; ci niech odpowiadają na pojedyncze trudności, któreby teologowie mogli potem zebrać w jedną całość, albo do nich odsyłać. Jeszcze niejedno pod tym względem pozostaje do życzenia, lecz praca już rozpoczęta przedewszystkiem przez międzynarodowe kongresy katolickich uczonych, które z wykluczeniem czysto teologicznych kwestyj, najnowsze wyniki nauk, oddać pragną na służbę Kościoła i wiary [1].

Z tego już poglądu na apologię wynika, że kiedyśmy postanowili pisać o wątpliwościach wiary, daleka była od nas myśl, aby rozebrać treść różnorodnych wątpliwości nowoczesnych przeciw wierze i dać na nie szczegółowe odpowiedzi. W naukach

[1] Ep. Leonis XIII. ad M. d'Hulst 20 Mai 1887.

pozytywnych bardzo trudno niefachowemu rozwiązać trudności w sposób zupełnie zadowalniający dla fachowych. Ale jak wogóle już na polu li tylko filozoficznem rozumny człowiek nie daje się zachwiać w swem przekonaniu każdym zarzutem, każdą nasuwającą się wątpliwością, ale ważąc siłę zarzutu i siłę podstaw swego przekonania według ogólnych rozumowych zasad, nieraz w przekonaniu trwa mimo tego, że wątpliwości na razie zadośćuczynić nie może, tak i w sprawie wiary pewne ogólne zasady z praw rozumu i natury wiary wzięte, przyświecać nam powinny przy rozwiązywaniu wątpliwości.

Celem jasnego określenia tych zasad, postanowiliśmy zbadać samą istotę wątpliwości przeciw wierze; dochodzić czy wątpliwości te są tego samego rodzaju, co wogóle wątpliwości powstające tak często w naszem życiu umysłowem i czynnem, lub czy nie mają cechy sobie wyłącznie właściwej, nadającej im odrębny zupełnie charakter, i wymagającej byśmy wobec nich inaczej postępowali, niż wobec zwykłych rozumowych wątpliwości; za tem ma iść badanie głównych źródeł wątpliwości przeciw wierze.

Praca niniejsza zmierza do wyjaśnienia stosunku wątpliwości do wiary wogóle; badać będzie o ile one jej są wrogie, o ile dla niej korzystne; roztrząśnie kwestye, o ile człowiek rozumny ma prawo albo obowiązek gardzić wątpliwościami, nie pozwalać im wpływać na zmianę przekonania lub o ile jest obowiązany niemi się zajmować. Chcielibyśmy przez tę pracę przyczynić się nieco do wypełnienia tej luki, zostawionej przez apologię tradycyjną, o którejśmy wyżej wspomnieli, rzucając może nieco światła na samą istotę aktu wiary i wątpliwości przeciw niej powstających. Sądzimy również, że choć według naszego założenia na żadną objektywną wątpliwość wprost odpowiedzi nie damy, przecież za pomocą ogólnych wniosków wyciągniętych z samej natury wątpliwości przeciw wierze, podamy wskazówki do usunięcia niejednej niepewności trapiącej umysły.

* * *

Sądziłem zawsze — myślę że słusznie — iż kwestye tego rodzaju trzeba przedewszystkiem samemu przetrawić, aby w nich

dojść do jasności, a jednak nie gardzić i oczytaniem się w odnośnej literaturze, gdyż zewnętrzna pomoc nieraz umysł wspiera, nowe widnokręgi przed nim roztacza i wskazuje wyjście w zawiłych trudnościach, z których umysł, zaplątawszy się w nie, trudno się o własnych siłach wydobywa. Jak łatwą z jednej strony rzeczą było znaleźć apologie większe i mniejsze, któreby odpowiadały na objektywne zarzuty, tak trudno znów było napotkać autorów, coby o samej naturze wątpliwości głębiej rozprawiali. Ów brak literatury odnosi się jednak tylko do wątpliwości po przyjęciu wiary, które nauka kościelna zawsze istotnie rozróżniała od wątpliwości ludzi stojących jeszcze poza obrębem Kościoła.

Wątpliwościom bowiem przed przyjęciem wiary nauka katolicka zawsze przyznawała prawo bytu, uznawała ich racyonalność; nietylko nie kazała niemi gardzić, ale po wszystkie czasy nauczała, że nie należy wiary przyjmować, zanim człowiek z niemi się nie upora i do jasności nie przyjdzie [1]. Mówiliśmy o tem nieco w zeszłorocznym artykule o rozumności wiary, zwróconym przedewszystkiem przeciw najnowszym fideistycznym kierunkom we Francyi i Anglii; zresztą posiadamy ogromną i wspaniałą pod tym względem literaturę. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kiedy galilejska nauka dopiero musiała sobie jednać wyznawców wśród pogańskich ludów rzymskiego państwa i często miała do walczenia z zarzutami pogan, gnostyków a później Manichejczyków, że wiara jest ślepa, apologeci całą bystrością swego umysłu starali się wykazać harmonię między wiarą i rozumem i obowiązek każdego, by rozumną drogą o prawdziwości wiary się przekonał. Eusebiusz z Cezarei († 340) „ojciec systematycznej apologii", rozpoczyna jedno ze swych dzieł apologetycznych [2] temi słowy: „Ponieważ często nam zarzucają, że niczego udowodnić nie możemy oczywistem wykazaniem prawdy (μηδὲν δύνασθαι φάσκων δι' ἀποδείξεων ἐναργὲς ἀλεθείας παρέχειν δεῖγμα), ale że tylko chcemy, aby ci, którzy do nas przychodzą wie-

[1] Zob. Denzinger, *Enchiridion*, n. 1038, 1489—1493, 1498.
[2] Εὐαγγελικὴ ἀπόδειξις. Migne, P. G., t. 22, col. 21.

rzyli, i że to jedynie w nich wpajamy, aby jak nierozumne zwierzęta, ślepym pędem, bez wszelkiego zastanowienia się wszystko przyjmowali, co my uczymy — skąd też z powodu nierozumnej łatwowierności wiernymi albo wierzącymi się nazywają“ — przeto udowodniliśmy naprzód (powiada w dalszym ciągu) żeśmy wiarę przyjęli nie ślepym pędem albo bez rozbioru dowodów.

Pierwsi pisarze chrześcijańscy nie zrywając wcale z pogańską filozofiią, którą niektórzy z nich przed nawróceniem z chlubą uprawiali, jak św. Justyn, jego uczeń Tatian i cała późniejsza szkoła aleksandryjska, wchodzili we wszystkie prawnicze, etyczne, filozoficzne wątpliwości i zarzuty pogan i drogą rozumowania na nie odpowiadali. Zapatrywania Kościoła na wątpliwości przed przyjęciem wiary, były już w pierwszych wiekach tak jasno wyłuszczone a później tyle razy wobec uparcie wracających zarzutów wyłożone w sposób przystępny dla wszystkich, iż słusznie powiedzieć można, że pod tym względem nauka Kościoła nietylko sama w sobie jest jasna, ale także dla każdego człowieka dobrej woli tak określona, iż cienia wątpliwości o niej mieć nie można. Można będąc poza Kościołem wątpić o tem, czy rozum wogóle doprowadzić nas może do wiary katolickiej; nie można jednak wątpić, że Kościół tak naucza. Podobne wątpliwości zdradzają grubą nieznajomość podstawniczych zasad nauki kościelnej, zdradzają, że się czerpie tylko z tendencyjnych dzieł, wrogich katolicyzmowi, a że się nie chciało zadać sobie tej pracy, by zaglądnąć do samych źródeł: do najstarszych pomników tradycyi chrześcijańskiej, do listów rzymskich papieży, do aktów soborów, do dzieł największych uczonych katolickich. Praktyką swoją i nauką Kościół stawiał wątpliwości przed przyjęciem wiary na równi z innemi rozumowemi wątpliwościami, i kazał do nich stosować zasady, które rozum wogóle w wątpliwościach dyktuje.

Inaczej rzecz się ma co do wątpliwości po przyjęciu wiary. Nauka Kościoła co do nich odznacza się może niemal tą samą jasnością, ale sama ta nauka inaczej je traktuje niż rozum każe traktować wątpliwości naukowe, a stąd ma ona dla nas coś ciemnego. Jak przed nawróceniem Kościół każe rachować się z wąt-

pliwościami i o ślepem odrzuceniu ich ani mówić nie pozwala, tak po nawróceniu nagle tę taktykę jak gdyby zmienia. Kto raz całkowicie wiarę przyjął, temu już wątpić nie wolno, nie wolno mu wracać do powtórnego rozbioru fundamentów wiary, aby się przekonać, czy może jakiś błąd się nie wkradł w dawne jego badania; a ktoby się dał nakłonić do tego pod naciskiem zarzutów i powstających powątpiewań, temu Kościół wytyka, że grzeszy przeciwko wierze [1].

Każdy natychmiast odczuwa, że w tej nauce jest coś niezgadzającego się ze zwykłemi rozumowemi zasadami. Widocznie że Kościół musi uważać wątpliwości po nawróceniu za istotnie różniące się od wątpliwości przed przyjęciem wiary. Ale kiedy idziemy dalej i pragniemy dowiedzieć się o wewnętrznej przyczynie tej różnicy, którąby nam wyjaśniła naukę Kościoła i pokazała, że jej sprzeczność z zasadami rozumu jest tylko pozorną, wtenczas przedewszystkiem poza dziełami ściśle teologicznemi, obszerniejszego tłumaczenia chyba nie znajdziemy. Myśmy przynajmniej o istocie wątpliwości tylko bardzo mało znaleźć mogli.

Stwierdzając ów fakt, nie chcemy przezto zarzucić całej teologii przeszłości niedbalstwa albo powierzchowności w obrobieniu tak ważnej kwestyi. — Teologia rozwijała się według potrzeb czasów. Pierwsze trzy wieki pochłonęła głównie praca nad tłumaczeniem dogmatów, tyczących się osoby Chrystusa Pana. Za św. Augustyna wspaniale się rozwinęła nauka o łasce. Średnim wiekom przypadło ważne zadanie systematyzowania nauki teologicznej. Przez reformacyę dopiero wyłoniła się jasno nauka o Kościele, a traktat o wierze zdaje się w szczególniejszy sposób należeć do naszych czasów, w których już nie herezya ale niewiara zapanowała. Oprócz tego ogólne usposobienie umysłów w przeszłych wiekach było zupełnie obce tej kwestyi. Cała uwaga Ojców i pisarzy pierwszych wieków musiała być zwróconą ku uzasadnieniu rozumności wiary dla niewierzących Żydów

[1] Nie wchodzimy tu w trudną kwestyę, czy można jakimkolwiek sposobem bez winy wiarę utracić. O niej później obszerniej mówić nam wypadnie.

i pogan. Scholastyka, którą uważać można jako wielką apologię, przeciw maurytańsko-żydowskiej filozofii walczącej za pomocą Arystotelesa przeciw chrześcijańskiej wierze, już z natury swego przeciwnika nie miała potrzeby wchodzić w kwestyę, która jej bliżej nie obchodziła: w obozie chrześcijańskim wiara była nader silna, w obozie przeciwnym raczej panował racyonalny dogmatyzm aniżeli sceptycyzm i stąd kwestya tak sceptyczna nawet się nie nasuwała. Znajdujemy u św. Tomasza jak gdyby mimochodem porozrzucane głęboki myśli o istocie wątpliwości w wierze [1], ale wielki doktór nie czuł potrzeby poświęcania jej choćby jednego osobnego artykułu. Apologeci czasów reformacyi, w których teologia na nowo zakwitła, byli całkiem pochłonięci polemiką z protestantami, którzy samego aktu wiary wprost nie zaczepiali ale owszem zbyt wywyższali.

A w naszych czasach czemuż się tej kwestyi tak mało poświęca miejsca w apologiach? Hettinger w swej tak cenionej apologii o sześciu tomach, która się doczekała kilkunastu wydań w niemieckim i francuskim języku, tylko w jednej nocie [2] ją wprost porusza, Gutberlet i Schanz ledwie jej dotknęli; — nie wspominam o znanej apologii ks. Weissa O. P., gdyż autor broniąc wiary ze stanowiska przedewszystkiem etycznego, rzadko się zapuszcza w kwestye spekulatywne. Moigno choć cały pierwszy tom poświęcił wierze, nigdzie głębiej nie roztrząsa zagadnienia o wątpliwościach ludzi wierzących, Bougaud ledwie ją wspomina, Duilhé de St. Projet i inni, chcąc pogodzić dogmaty z ostatniemi wynikami nauki nawet nie mieli sposobności, by o niej pomówić. Znajdujemy wprawdzie w dziełach przeznaczonych dla teologów osobne rozdziały zajmujące się wątpliwościami w wierze [3], jednakże traktuje się tę kwestyę głównie ze stanowiska wiary a nie ze stanowiska apologii i dlatego też od-

---

[1] *Sum. theolog.* I, q. 1, a. 5 ad 1; *De Ver.* q. XIV, a. 1 in c; *Sent.* l. 3, d. XXIII, q. 2 a. 2, q. 1, ad 2 et q, 3.

[2] *Apologie des Christenthums,* wyd. 6, t. I, część 2, str. 125,

[3] Kleutgen, *Theologie der Vorzeit,* letzter Band, S. 998 sqq. — Hettinger, *Lehrbuch der Fundamentaltheologie,* B. II, S. 441—448. — Ottiger, *Theologia fundamentalis,* t. I, p. 294—301.

powiedzi na podniesione trudności tylko wierzącego zadowolnić mogą.

Nie taimy sobie, że z wielu względów szczególne trudności powstają, kiedy się chce wziąć te wątpliwości pod krytykę apologetyczną. Najprzód każdy czuje, że kwestya ta dotyka bezpośrednio najważniejszych zagadnień, jak gdyby samej rdzeni życia religijnego, które u wszystkich ludów na jakiejś wierze się opiera. Jest to kwestya spekulatywna a równocześnie najbardziej praktyczna. Wciska ona się w najskrytsze tajniki życia naszej duszy, jest głęboko psychologiczna — i w tem druga jej trudność. Stąd, zdaje nam się, pochodzi, że wielu z tych, co jeszcze wierzą albo przynajmniej pewną cześć dla wiary mają — bo niedowiarkowie już sobie tę kwestyę rozstrzygnęli — nie śmieją jej sobie jasno postawić i roztrząsnąć i stają się przez to oczywiście niezdolni aby dobrze odpowiedzieć na zarzuty przeciwników. Inniby śmieli, ale uważają to za rzecz zbyt subtelną a zarazem i nie bardzo bezpieczną. Apologetów zaś część zapatrzona w mistyczno-etyczne strony wiary, jeszcze większa część tak zajęta zbijaniem nowoczesnych doktryn i godzeniem dogmatów z zdobyczami nauki, iż czasu nie mają na wytłómaczenie punktu wiary, przeciwko któremu nikt wprost się nie zwraca. Tak jest, nikt może wprost tego punktu wątpliwości nie dotyka, jednak wchodzi on jako ważny czynnik w panującą dzisiaj nieufność do wiary, gdyż jej daje pozór pewnego zacofania, niezgodnego z postępem XIX. wieku. Nader też ważną odgrywa on rolę w walkach staczanych o wiarę w skrytościach sumień.

Umysłom krytycznego albo jeśli kto chce hyperkrytycznego nastroju, udzielającego się z katedry uniwersyteckiej całemu społeczeństwu, nauka o rozumności wiary, jaką głosili Ojcowie pierwszych wieków nie wystarcza, by ich pogodzić z wiarą katolicką. Zdaje nam się, że z tą pewnością, jaką mamy przeciętnie w naukowych badaniach, niejedenby był gotów przyjąć i wiarę, ale niestety przez to samo wiara przestałaby być wiarą chrześcijańską, prawdziwą. Umysł XIX. wieku chciałby metodę krytyczną, którą się nauki posługują, wnieść nie zmienioną do wiary. A tu widzi, że Kościół wprawdzie na to pozwala

przed przyjęciem wiary, ale gdy się raz przeszło przez próg wiary, inny świat się zaczyna. Wątpienie, któremu wiedza ludzka zawdzięcza postęp i wynalazki, wiara potępia bezwzględnie jako swego wroga. Otóż to właśnie, o ile nam się zdaje, nie przypada do gustu nowoczesnym umysłom.

Przypatrzmy się więc bliżej naturze wątpliwości po przyjęciu wiary, może w niej znajdziemy wytłumaczenie i usprawiedliwienie nauki Kościoła.

Filozofia i teologia rozróżniają podwójnego rodzaju wątpliwości: metodyczne i rzeczywiste. Pierwsze polegają na tem, że sądu naszego nie zmieniamy, ale mimo tego, przez rodzaj abstrakcyi, która bezsprzecznie leży w naszej mocy, na nowo się zabieramy do badania pewnych prawd tak, jak gdybyśmy żadnego jeszcze o nich sądu pewnego nie mieli. Celem tego badania jest wydobycie na jaw ostatnich dla nas przyczyn i racyj, na których prawdy się opierają. Tak np. każdy jest przekonany o tem, że ziemia się obraca koło własnej osi a nie słońce koło ziemi a mimo tego może zająć stanowisko wątpienia metodycznego i robić rozmaite doświadczenia, za pomocą których osobiście się przekona o rzeczywistym obrotowym ruchu ziemi.

Już Sokrates, z tego co o jego nauce z dzieł uczniów i późniejszych filozofów wiemy, szeroko zastosował wątpliwość metodyczną. Sam stawiał się na stanowisku przeciwnika a dopiero powoli indukcyjną drogą doprowadzał go do uznania jego błędów i do pozytywnej prawdy. W jego ślady wstąpił Plato tak dalece, że sceptyczną szkołę rzymską neoakademików, usiłowano nawiązać do Platona i wykazać, iż tego samego była ducha, co największy z greckich filozofów. I Arystoteles uważał sztukę wątpienia za początek wiedzy, mówiąc z tak głęboką prostotą, „że tym, co chcą dobrze wiedzieć, przyda się dobrze wątpić“ [1]; sądził również, że wprost niemożliwem jest zbadanie prawdy, jeżeli się naprzód nie wątpi, „bo ci co szukają bez poprzedniego wątpienia, są podobni tym, co nie wiedzą dokąd iść mają“ i dla-

[1] Ἔστι δὲ τοῖς εὐπορῆσαι βουλομένοις προὐργοῦ τὸ διαπορῆσαι καλῶς. Met. l. II, c. 1.

tego choćby do celu doszli, toby o tem nie wiedzieli [1]. Chrześcijański Arystoteles, św. Tomasz, zupełnie się zgadza z pogańskim swym poprzednikiem i sądzi, że „nikt nie może wprost zbadać prawdy, jeśliby poprzednio nie widział wątpliwości“ [2]. Jednem słowem filozofia bez metodycznego wątpienia istniećby nie mogła.

Powątpiewania te jednak w rozmaitych bardzo granicach obracać się mogą. Pierwszy, który je zastosował w sposób najogólniejszy, nietylko do pojedynczych zagadnień filozofii, ale nawet do samych jej podstaw, był Kartezyusz. Z umysłem żądnym pewności, któraby go pokierowała w życiu wstąpił do szkół jezuickich, ale choć studya dobrze ukończył, nie znalazł czego szukał, lecz czuł się tylu wątpliwościami przygnieciony, iż mu się zdawało, że wszystkie nauki tylko na to mu się przysłużyły, aby swą niewiadomość coraz lepiej odkrywał“ [3]. Nie wpadł jednak przez to w sceptycyzm, ale w pewnej nadziei znalezienia prawdy, postanowił zburzyć cały gmach chwiejnej swej dotychczasowej wiedzy nie zatrzymując nawet fundamentów, które od nauczycieli swych w młodzieńczych latach był przyjął „bez zastanowienia się, czy z prawdą się zgadzają“ [4]. I tak postawił sobie zasadę, by w życiu teoretycznem tj. w szukaniu prawdy odrzucić jako oczywiście fałszywe (przynajmniej przez wątpliwość metodyczną) wszystko to, w czemby mógł znaleźć, choć najmniejszą racyę wątpienia. Idąc za tą metodą „spostrzegł zaraz, że, gdy wszystko, jako fałszywe odrzucił, żadną miarą wątpić nie mógł o swem istnieniu“ i doszedł do znanego wniosku: *cogito, ergo sum* [5], z którego uczynił niezachwiany fundament swej filozofii.

Z katolickiej strony doczekał się Kartezyusz surowych sądów. Potępiono go dlatego, że przeniósł do filozofii tę samą zasadę, której protestanci użyli, aby oderwać wiernych od tradycyj kościelnych [6], przedstawiono go jako głównego sprawcę

---

[1] L. c. [2] *In metaph.* l. II, l. 1.
[3] *De method.* I. [4] L. c. II, IV. [5] *Principia philosophiae* I, n. 7.
[6] *Liberatore. Instit. phil.*, p. II, c. 7, a. 2.

buntu nowoczesnych nauk przeciw wierze, usiłowano nawet napiętnować jego metodę wątpienia jako nierozumną, sprzeczną, podkopującą wszelką wiedzę [1]. Zarzuty te były zbyt surowe, po największej części wprost niesłuszne, spowodowane może widokiem błędów filozoficznych i teologicznych, które się wyłoniły w późniejszej filozofii skutkiem fałszywego zastosowania metody Kartezyusza i skutkiem logicznego rozwoju innych rzeczywistych jego błędów. Nie brak jednak i katolickich uczonych, którzy w jego obronie występują. Tak Kleutgen [2] w dziele, poświęconem szczególnie obronie tradycyjnej filozofii chrześcijańskiej, tak przed nim Bossuet i Fénelon, którzy sądzili, że za pomocą filozofii Kartezyusza będą mogli zwyciężyć poczynający się sceptycyzm i materyalizm.

Przyznajemy, że Kartezyusz zasadniczo w zastosowaniu wątpliwości metodycznych, jak i rzeczywistych (o których później mowa będzie) zbyt lekceważył wszelką powagę na polu badań filozoficznych [3]. Lecz przedewszystkiem my katolicy wystrzegać się musimy, byśmy nie przenieśli pojęcia powagi Kościoła nieomylnego na powagę czysto ludzką, filozoficzną. Jesteśmy na to narażeni właśnie przez to, że z religii przyzwyczajeni jesteśmy do nader wysokiego uszanowania przed powagą a łatwo o tem zapominamy, że uszanowanie w tym stopniu tylko powadze Boskiej się należy, a przeniesienie go w równym stopniu na ludzką powagę ujmę Boskiej czyni. — Powaga w badaniach ściśle filozoficznych ma bardzo małe znaczenie, a dla filo-

---

[1] Hettinger, *Lehrbuch der Fundamentaltheologie*, II, str. 344.— Podsuwano Kartezyuszowi sceptyczne twierdzenie, że można o wszystkiem wątpić. Chyba tylko wyrwane z kontekstu zdania mogłyby upozorować sprawiedliwość tego zarzutu. Wystarczy przeczytać pierwsze kartki dzieła *Principia philosophiae* albo dziełko *De Methodo*, zawierające jak gdyby jego spowiedź filozoficzną, by się przekonać o niesłuszności zarzutu. Por. Schmidt, *Erkenntnislehre*, I, str. 101 i nast.

[2] *Philosophie der Vorzeit*, n. 4.

[3] W rzeczach wiary został zawsze wiernym nauce Kościoła i w ostatniem swem dziele: *Regulae ad directionem ingenii* oświadcza, że świadomy swej ograniczoności wszystko poddaje „powadze Kościoła katolickiego".

zofa nigdy nie może być ostatnią odpowiedzią na wątpliwości. Tego zdania trzymali się już św. Anzelm, św. Tomasz z Akwinu[1].

Zresztą dziwić się nie można, że Kartezyusz przesadził nieuwzględnianiem powagi, jeżeli się rozważy, że wyrósł w szkołach późniejszej scholastyki, bawiącej się w przesadne subtelności. Musiały one utwierdzić młodego, krytycznym umysłem obdarzonego filozofa w przekonaniu, że niema nic tak niedorzecznego czegoby jakiś filozof nie powiedział[2] i stąd napełnić go nieufnością do wszelkiej powagi. Że zaś Kartezyusz metodyczne powątpiewanie zastosował do ostatnich fundamentów naszego poznania, to tylko daje dowód o jego umyśle głęboko filozoficznym, którym się wielce przysłużył wszystkim naukom, nie wyjąwszy teologii. Dopóki bowiem zostajemy w granicach li tylko metodycznych wątpliwości, to w ich zastosowaniu żadnej różnicy robić nie potrzeba między teologią a filozofią. Przy naukowych badaniach nad wiarą trzeba tak samo posunąć metodyczne wątpliwości jak najdalej. Im kto śmielej i logiczniej roztrząsie wszystko, co tylko zawarte jest w nauce Kościoła, tem większe może oddać usługi nauce teologii.

Cała teologia scholastyczna wyrosła z bystrego zastosowania metodycznych wątpliwości do nauki wiary. A choć wątpliwości, poruszone przez scholastyków, zostawiły nietkniętą siłę przekonania, to przecież umysły wielkich teologów scholastyków zagłębiały się w nich tak, jak gdyby były rzeczywiste. Już św. Augustyn tę zasadę postawił, kiedy chcąc pogodzić wolność woli z działaniem łaski, w dziele swem „O wolnej woli“ powiada: „Chociaż niezachwianą wiarą tę prawdę uznaję, chcę przecież szukać, jak gdyby wszystko to było niepewne, ponieważ rozumem jej jeszcze nie poznałem“[3]. Do degeneracyi scholastyki przyczyniło się, zdaje nam się, nie mało i to, że stawianie wątpliwości — to ciągle w dziełach scholastycznych powtarzające się *videtur quod non* — uważali tylko za sposób ćwiczenia by-

---

[1] I., q. 1, a. 8, ad 2: „locus ab auctoritate, quae fundatur super ratione humana, infirmissimus“.

[2] *De Methodo*, n. 13, 19.

[3] Cf. *De Trinitate*, xv, 12; *Contr. Acad.* iii, 11—13.

strości umysłu albo popisywania się nią, a nie pojmowali żywotnego znaczenia metodycznych wątpliwości.

Często słychać, że u św. Tomasza znaleźć można odpowiedzi na wszystkie, także nowoczesne błędy przeciw wierze. Jest w tem wiele prawdy, bo właśnie przez to, że dogmata ze wszech stron obrabiał i przetrząsał i próbował w wątpliwość podawać każdą cząstkę kościelnej nauki, już wiele herezyj uprzedził i przedewszystkiem doszedł do tak gruntownego i jasnego wykładu prawd wiary, w którem się mieszczą najgłębsze odpowiedzi na wiele zarzutów.

Jednem słowem, bez zastosowania wątpliwości metodycznych rozwój naukowy teologii jest niemożliwy. Jasną też jest rzeczą, że nietylko zawodowemu teologowi wolno jest posługiwać się tym środkiem, ale każdemu, który, mając do tego odpowiedne wykształcenie, pragnąłby, bądź to dla własnego oświecenia się, bądź dla pouczenia drugich, zbadać znaczenie i podstawy dogmatów. Zdanie, powtarzane nieraz i przez dobrych apologetów [1], że wątpliwości metodyczne z natury swojej doprowadzają do rzeczywistych powątpiewań, uważamy za zdanie z gruntu fałszywe, a wręcz przeciwnie sądzimy, że takie wątpienie metodyczne i w nauce wiary tylko pomocnem być może do wyświecenia prawdy i utwierdzenia nas w niej. Sam św. Paweł w swych listach (szczególnie w dogmatycznych ich częściach), przedewszystkiem zaś w liście do Rzymian, często używał we formie pytania metodycznych wątpliwości, by prawda tem silniej się uwydatniała [2].

Widzieliśmy więc, że ani wątpliwości przed przyjęciem wiary, ani nawet wątpliwości metodyczne po jej przyjęciu żadnych nie przedstawiają szczególnych trudności, gdyż dają się podporządkować pod ogólne prawa rozumowe. Ponieważ jednak często, kiedy zostawieni jesteśmy siłom własnego rozumu, błądzimy, a zwyczajnie tylko po długich pracach i przebytych

[1] Por. Schanz, *Apologie*, I, str. 56.
[2] *Rom.* III, IV, VII, 7; *Cor.* XV.

błędach do prawdy dotrzeć jesteśmy w stanie, stąd pochodzi, że metodyczne wątpliwości, zachęcając nas do głębszego badania, doprowadzają nieraz w filozoficznych i naukowych kwestyach do wątpliwości rzeczywistych. I tu dopiero teologia daleko się roz-chodzi od filozofii.

(C. d. n.)

Ks. Wł. Ledóchowski.

Lombroso w świetle nauki przyrodniczo-lekarskiej.

(Dokończenie).

Gdy po Gallu, jak już nadmieniliśmy, uczeni zaczęli się zajmować związkiem istniejącym między czynnościami ustroju, a stanem anatomicznym i fizyologicznym mózgu, przeważna część badaczy pojęła tę sprawę ze strony zupełnie poważnej i zaczęła obserwować bądź na ludziach bądź na zwierzętach zmiany powstałe wskutek naturalnego lub sztucznego zniszczenia pewnych części mózgu. Pozwólmy zresztą mówić samym uczonym. I tak Brocca w r. 1861 pilnie śledzi objawy, występujące po krwotoku mózgowym u człowieka, tak często niestety, mającym miejsce, i uchwytuje w pewne prawidła związek istniejący między charakterem tych objawów, obserwowanych przedmiotowo za życia, a siedzibą krwotoku mózgowego, zbadaną na stole sekcyjnym — Fritschowi i Hitzigowi w r. 1870 nie chodzi o nic więcej, jak tylko o przedmiotowe rozstrzygnięcie kwestyi, czy rozmaite czynności świadome są usadowione, lub powiedzmy dokładniej, związane z istotą pewnych stanów czynnych, ściśle umiejscowionych w pewnych częściach mózgu, czy też nie. Ferrierowi wreszcie w r. 1873 nie inny przyświeca cel, jak tylko chęć zbadania, czy czynności mózgu są związane specyalnie z substratem anatomicznym jego części, czy też są wynikiem stanów czynnych całego mózgu jako takiego. I tak moglibyśmy cytować dalej lub zapuszczać się w opis szczegółów arcyciekawych, tą

drogą zdobytych, lecz na razie nam o to nie chodzi. — W przeciwieństwie poniekąd do tych badań szkoła włoska, wraz z swymi zwolennikami, na mózgach przestępców szuka skwapliwie jakichkolwiek zmian choćby najdrobniejszych; im nie chodzi o związek między czynnościami mózgu, a czynnościami ustroju, lecz raczej o ślad niechybny anormalnego charakteru, o piętno determinacyi zbrodni wyryte na zwojach i rowkach mózgu. I tak Mingazzini bada wagę mózgów, Teuchini podwojenia zwojów, Marchi przeźroczystość opony pajęczej, Giacomini wyjątkowy przebieg rowków i szczelin, a Varaglia nieprawidłowości móżdżkowego robaka. Do tych badaczy przyłączają się i inni zagraniczni uczeni; i tak Bischoff waży mózgi, Huschke opisuje anormalny kostniak, Villigk przypatruje się z podziwem długości spoidła, a Flesch i Schwekendick tendencyi do zlewania się szczelin. Już z tego pobieżnego rzutu oka, każdy czytelnik sam rozpozna różnicę, jaka istnieje między badaniami uczonych, zajmujących się kwestyą lokalizacyi, a wnioskami szkoły kryminologicznej. Jeżeli np. z pośród pierwszego obozu, ktoś zauważy, że u psa lub innego zwierzęcia równocześnie ze zniszczeniem pewnego zwoju lewej połowy mózgowej, zniknie zdolność poruszania, przypuśćmy, prawą łapą przednią, choć mięśnie tej łapy i nerwy, łączące ją z mózgiem, są zdrowe, to oczywiście wnioskować musi, że istnieje jakiś związek między tą częścią mózgu a ruchem łapy; jeśli następnie drugi badacz znajdzie zupełnie podobny wypadek u człowieka, który nagle przestał poruszać ręką prawą pod wpływem jakiegoś wstrząśnienia lub udaru, i na stole sekcyjnym znajdzie ognisko wybroczynowe w miejscu lewej półkuli, odpowiadającem zupełnie miejscu obserwowanemu u psa, oczywiście śmiało postawić może wniosek, że zarówno u psa jak i u człowieka pewien ściśle oznaczony zwój mózgu stoi w pewnym przedmiotowym związku z ruchami pewnej kończyny: jeśli wreszcie takich podobnych wypadków zaobserwuje się więcej, wśród różnych okoliczności, na rozmaitym materyale, można oczywiście ze zgodnych danych utworzyć hypotezy lub nawet teoryę, lokalizującą pewne czynności w pewnych częściach mózgu. nie wchodząc koniecznie w genezę tych

czynności i ich istotę, lecz stwierdzając same obserwowane fakta. Inaczej postępują zwolennicy szkoły kryminologicznej, gdy, znalazłszy pewne zmiany anormalne w mózgu jednego lub kilku zbrodniarzy, chcąc na tej podstawie wyszukać związek między mózgiem a zbrodnią; wszak sam Lombroso spostrzega się czasem i mówi, że zbyt śmiałą byłoby rzeczą z kilku lub kilkunastu danych wnioskować o istnieniu specyalnych zboczeń w zwojach mózgowych zbrodniarzy; dodaje on jednak zaraz poprawkę, że przecież anomalie mózgu przestępców stanowią wyjątek od typu normalnego. Gdybyśmy tylko zechcieli na tej restrykcyi poprzestać, to jeszcze *à la bonheur*, ale treść niektórych prac publikowanych w organie szkoły kryminologiczno-antropologicznej[1] lub w wydawanych przez Lacassagne'a i Coutagne'a *Archives de l'anthropologie criminelle et des sciences pénales* tchnie taką tendencyą, iż poprostu w zaułkach rowków i zwojów mózgowych szukać trzeba odwiecznej tajemnicy zbrodni. Zapomniałem się jednak, że w zapale, wbrew przyrzeczeniu, przepuściłem przez cenzurę kilka własnych zapatrywań; aby błąd mój choć po części naprawić, pozwolę na zakończenie przemówić Hofmanowi. Zbyt znanem jego nazwisko i jego zasługi, abym cytat musiał poprzedzać dowodami naukowej wiarogodności; z jednej strony uczony, który studyum medycyny sądowej i psychiatry oparł w pierwszym rzędzie na zdobyczach ogólnych wiedzy lekarskiej i wyjednał swojej specyalności stanowisko pierwszorzędne przez usilną pracę i rozległe doświadczenie; z drugiej strony prawdziwy ideał lekarza, który własnym wzorem wskazywał innym drogę, jaką ma postępować lekarz sądowy, stróż nietylko zdrowia fizycznego, lecz największego z dóbr doczesnych, bo sławy i czci, wolności, a nawet życia. Takiemu uczonemu, który z niezmierną subtelnością umiał się zastanowić nad kwestyą poczytalności zbrodni i wiarogodności jej fizycznych podstaw, który z trzeźwością prawdziwego uczonego przez lat kilka referował wobec całego świata naukowego w pierwszorzędnem Archiwie światowem o zdobyczach kryminologii sądowej,

[1] *Archivo di psichiatria, di anthropologia criminale e di scienze penali.*

posłuch możemy dać bez obawy. Cóż on tedy o tem wszystkiem powiada?

Chociaż jesteśmy zupełnie uprawnieni myśleć o patologicznym defekcie w zakresie organów myśli i czucia tem więcej, im bardziej zbrodnia sprzeciwia się ogólno-ludzkim uczuciom, chociaż uprawnienie to staje się jeszcze większem, jeśli kto życiu zbrodniczemu z nałogu się oddaje i niepoprawnym się okazuje, chociaż antropologiczne studya nad zbrodniarzami w sposób interesujący a nawet podziw budzący dokonane przez Despine'a, Thomson'a, Benedikt'a i Lombrosę zawierają cenne bardzo rezultaty, jakoto rzucającą się w oczy skłonność do chorób umysłowych, częstość recydyw i niejednokrotne powtarzanie się anomalij fizycznego rozwoju, które nazwać trzeba cielesnemi oznakami zwyrodnienia, — to przecież najcięższa zbrodnia nie jest dowodem moralnego obłędu i nie może być sama przez się uważana za konieczne następstwo takiego stanu. O moralnym obłędzie mówić można tylko wtedy, gdy brak uczuć i zasad moralnych, udokumentowane przestępstwami, odnieść można kategorycznie do wadliwej organizacyi psychicznej; na wypowiedzenie takiego zdania, co jest rzeczą bardzo trudną i wymagającą wielkiej ostrożności, złożyć się musi jednak dokładna anamneza, z sumiennem badaniem klinicznem fizycznych wad ustroju i mądrem zastanowieniem się nad psychicznemi cechami przestępstwa. Przed jednostronnem pojmowaniem zewnętrznych cech degeneracyjnych chronić się należy, a słusznie przyklasnąć trzeba zdaniu Stadfeldt'a i Benedikt'a, którzy twierdzą, że niema specyalnej antropologii zbrodniarzy, lecz że biopatologiczne znamiona przestępców odpowiadają zwykle cechom atypowego i degenerowanego człowieka; nadto znamiona te są nieraz dwuznaczne i zwodnicze, bo mogą zarówno wskazywać na perfekcyę i na kompensatę, na zwyrodnienie i na doskonałość. Wywód słynnego uczonego, a zwłaszcza ostatnie zdania łaskawym czytelnikom śmiało polecić możemy, jako bezstronną nić oryentacyjną wśród labiryntu kryminologiczno-frenologicznych teoryj, których rdzeń i zasada jest może słuszną, lecz zastosowanie i wnioski po większej części naciągnięte i zwodnicze.

Tyle co do kryminologicznych teoryj, a teraz słów kilka o drugiej gałęzi, wyrosłej na gruncie nauki Galla, tj. o nauce lokalizacyi, którąśmy przez chwilę na boku pozostawili. I ona oczywiście z początku znalazła przeciwników, jak każda rzecz ludzka. Przeciwko nauce o wycinaniu pewnych płatów mózgowych i obserwowaniu powstałych stąd zmian poszczególnych, wystąpiło kilku badaczy, a na ich czele Goltz. Jako najcięższe działo, mające, jak słusznie się w literaturze medycznej wyrażają, rozbić w puch cały gmach, zbudowany przez zwolenników lokalizacyi, wytoczono fakt, że gołębie i inne zwierzęta, którym wycięto cały mózg, bo obie półkule, żyły doskonale. Zarzut ten pozorny spowodował jednak tylko nowy szereg badań, z których wynikło, że pozbawienie zwierzęcia półkul mózgowych nie pociąga za sobą śmierci, tylko dlatego, iż funkcye potrzebne do utrzymania zwierzęcia przy życiu, jak krążenie krwi, oddychanie, trawienie i t. d. nie zostają usunięte. Życie to jednak jest niejako sztucznem, pozbawionem świadomości; zwierzęta takie nie były w stanie zdawać sobie sprawy z wrażeń zewnętrznych, odpowiadały machinalnie na większe podniety czynnością odruchową, bezwiedną, a o funkcyach wyuczonych lub przyzwyczajeniach tresury zapominały zupełnie, nie zdradzając żadnych objawów inteligencyi. Z tych zjawisk nawet mogą przeciwnicy pozytywnej filozofii zaczerpnąć dla siebie ciekawych danych, jak ważną rolę w życiu człowieka odgrywają jego funkcye intelektualne, skoro mózg ludzki, choćbyśmy go nawet oceniali z zupełnie tego samego punktu widzenia, co psi lub gołębi, nie może być bezkarnie nietylko wyjętym, lecz nawet naruszonym. Dla naturalistów zarzuty Goltza posłużyły nadto za drogoskaz, iż dla czynności tych, które po wyjęciu mózgu, pozostają nienaruszone, szukać należy innych ognisk zawiadowczych, innych siedzib urzędowych, innych, mówiąc po naukowemu, nerwowych ośrodków. Znaleziono je też w ciągu lat dla różnych czynności w móżdżku, rdzeniu przedłużonym, rdzeniu pacierzowym i w obwodowych zwojach nerwowych; wykryto ich istnienie, określono ich działalność, ujęto tę działalność w pewne prawa, a zarzuty Goltza stały się w ten sposób tylko impulsem do nowych badań

i genezą nowych odkryć. Trudno wchodzić w opis tych szczegółów, niech tylko wolno będzie tu podkreślić doniosły fakt świetnych zdobyczy wiedzy, według której istnieje w ustroju karny i mądry system administracyjny, złożony z głównego urzędu tj. mózgu, z filij urzędowych tj. rdzenia i ośrodków obwodowych, oraz z rozlicznych dróg łączących biuro centralne i filie między sobą i z obwodowemi organami ciała tj. nerwów. Filie urzędowe mają według faktów wykrytych przez naukę o lokalizacyi, pewną samodzielność, pewną autonomię niejako, lecz liczyć się muszą i z władzą główną i z władzami równorzędnemi. Zdarzają się jednak wypadki, że w razie niemocy władzy głównej, naczelne kierownictwo obejmuje najbardziej w pewnym celu uzdolniona i uprawniona filia zastępcza, jak to ma właśnie miejsce po wycięciu półkul mózgowych; stan takiego sztucznego samorządu tkanek nie jest jednak rzeczą normalną i nie trwa zwykle bardzo długo, i to tem krócej, im na wyższym szczeblu rozwojowym stoi obserwowane zwierzę, co przecież przemawia za preponderancyą mózgu wśród tkanek i ważnością czynności świadomych, w określenie istoty których niekoniecznie wchodzić można bezpiecznie, przyznając przecież, że ich siedzibą i ich punktem wyjścia są zwoje kory mózgowej.

Jak przeciwko badaczom, wnioskującym o lokalizacyi z naturalnych chorób lub sztucznego zniszczenia płatów mózgu, wystąpił Goltz, tak też później znalazł się drugi przeciwnik, wyśmiewający metodę fizyologów i patologów, polegającą na tem, aby sztucznie tj. termicznie, mechanicznie lub elektrycznie drażnić pewne części mózgu i obserwować, co za czynność obwodowa z tego wyniknie. Metoda ta, uwieńczona świetnemi rezultami, zgodnemi po większej części z wynikami opisanemi powyżej, a pozwalająca na wykreślenie dokładnej niejako mapy funkcyj poszczególnych części mózgu, spotkała się jednak z krytyką Brown Séquard'a, o której tu, chcąc być bezstronnymi, nadmienić musimy. Badacz ten, przeciwnik lokalizacyi, usiłując dowieść niedorzeczności wyników badania tą metodą, podał, że nikt nie będzie lokalizował śmiechu w podeszwie, chociaż śmiech przez drażnienie podeszwy powstaje. Dla większości uczonych

zarzut ten o śmiechu, śmiech musiał wywołać, bo taką polemiką najpewniejszą teoryę możnaby doprowadzić do absurdum; dla łaskawych czytelników podstęp tego paradoksalnego porównania postaramy się przystępnie wyjaśnić. Otóż istnieją w ustroju czynności t. zw. odruchowe, wywołane podnietą zewnętrzną; aby jednak taka czynność powstać mogła, musi podnieta przebiedz od świata zewnętrznego przez nerwy czuciowe czyli dośrodkowe do ośrodków, a stamtąd przez nerwy ruchowe czyli odśrodkowe do organów ruchu. Śmiech czyli skurcz odpowiednich mięśni twarzy, ust, gardła jest także odruchem; podnieta zewnętrzna może zadziałać zarówno na oko, ucho lub podeszwę, lecz przebiedz musi przez nerwy wzrokowy, słuchowy lub czuciowe do ośrodków, kierujących mięśniami i nerwami śmiechu, aby stamtąd mógł wyjść impuls do śmiechu. Nikt nie lokalizuje śmiechu w podeszwie, bo i bez niej śmiać się można, ale zniszczmy ośrodki mózgu i rdzenia, a wtedy żadne łechtanie podeszwy śmiechu nie wywoła. Takiem prostem rozumowaniem da się zatem zbić paradoks Brown-Séquarda, a bez komentarzy poddać można opisane fakta pod rozwagę czytelnika.

Na metodzie niszczenia płatów mózgu czyli ekstyrpacyjnej oraz na metodzie sztucznych podniet czyli irrytacyjnej, nie poprzestali jednak badacze, a niedawnych to czasów jest zdobyczą, iż za pomocą obserwacyi zmian elektrycznych, zachodzących w ograniczonych częściach mózgu podczas czynności każdej z nich, sprawdzono dotychczasowe dane i nowe porobiono odkrycia. Badania te przeprowadzone po części w Anglii, a w znacznej części na naszym Uniwersytecie, doprowadziły do zaokrąglenia i sankcyi nauki o lokalizacyi. Podczas gdy jakiś organ obwodowy jest czynny, podczas gdy porusza się łapa, język lub najdrobniejszy jakiś mięsień, podczas gdy odczuwa oko wrażenia świetlne lub ucho słuchowe, za pomocą odpowiednich przyrządów łatwo można przy pewnej wprawie odszukać na korze mózgowej z zadziwiającą dokładnością miejsce, w którem wyłącznie odbywają się zjawiska elektryczne, będące oznaką stanu czynnego tychże miejsc, stanu, znajdującego się w związku

przyczynowym z wywołaną obwodową czynnością ruchu lub czucia.

Trudno zapuszczać się tu w zawiłe, choć ciekawe szczegóły; niech czytelnikom łaskawym wystarczy ten rzut oka dla zrozumienia, jak subtelny w szczegółach, a wspaniały w zastosowaniu pomnik naukowy wystawili badacze lokalizacyi za pośrednictwem metod: ekstyrpacyjnej, irrytacyjnej i elektrycznej. Raz jeszcze powtarzam: nie myślę tu rozwodzić się nad istotą czynności mózgu, nie myślę kruszyć kopii przeciw jednemu lub drugiemu zapatrywaniu, chcę tylko podkreślić ważny dla teoretyka i praktyka, fizyologa i patologa, internisty i chirurga, lekarza i naturalisty, niezbity fakt umiejscowienia poszczególnych czynności świadomych, lokalizacyi poszczególnych ośrodków zawiadujących funkcyami ustroju i podziału pracy wreszcie między poszczególnymi ośrodkami. Zdobycze te należy odróżnić od kryminologicznej frenologii włoskiej, a nie będę już powtarzał, na czem polega różnica ich treści. Tu obserwacya faktu, a tam naciągnięte niejednokrotnie wnioski ze sporadycznych faktów; tu chęć wytłumaczenia znanych każdemu naturaliście zjawisk, tam raczej zamiar udowodnienia niepoczytalności przestępstwa, którego konieczność wykonania związana być ma z wrodzonemi lub dziedzicznemi cechami patologicznego zwyrodnienia; tu nazwiska słynnych uczonych obok nielicznych krytyków, i to bardzo jednostronnych, tam zaś obóz badaczy, którzy niejednokrotnie sami chyba nie zdawali sobie sprawy, jak daleko dali się zaciągnąć w swych przypuszczeniach i szalonych poprostu nieraz propozycyach. Gdybyśmy przeciwko nauce naturalistycznej frenologii, wziętej *en masse*, postawili zarzuty psychologii lub obawy etyki, moglibyśmy być posądzeni o jednostronność; wybrać się jednak staraliśmy to, co przesadne, i podkreślić odmiennym kolorem, rozpatrując poszczególne wnioski wyłącznie prawie w świetle nauki; chroniąc wreszcie przed niebaczną krytyką lub ostrożnym sceptycyzmem przeciętnej publiki to, co rzeczywiście wiary godne a podziwu warte, staraliśmy się zwalczać kryminologów włoskich własną ich bronią i przeciwstawić ich teoryom poważne zdania innych badaczy słyn-

nych na polu sądowej antropologii i psychiatryi. Tego naukowego pryzmatu staraliśmy się nie wypuszczać z rąk, patrząc na walki stronnictw i spory obozów; do woli zaś czytelnika pozostawiamy dośpiewać sobie już poza obrębem ścisłych rozumowań, do czegobyśmy doszli w praktyce, gdybyśmy przyjęli za dogmat całokształt wniosków Lombrosy, gdybyśmy rozszerzyli pojęcie obłędu moralnego i zbrodni wrodzonej, przestali wierzyć w powagę sprawiedliwości i znaczenie kary.

Gdy odrzucę na chwilę wspomniany pryzmat krytyki naukowej i trzeźwem okiem spojrzę na idealną ową przyszłość, do której nas generalizowanie teoryj kryminologicznych mogłoby zaprowadzić, zdaje mi się, iż widzę od dzieciństwa wczesnego, po zbadaniu fizycznych anomalij, na dziedziczność przestępstwa wskazujących, zamkniętą w izolacyjnych zakładach i domach poprawy większą połowę społeczeństwa, a nawet, co mówię trzy czwarte społeczeństwa, bo przecież, jak zobaczymy poniżej od zbrodni niedaleko do obłąkania, a od obłąkania do geniuszu.

Jeszcze bardziej rzucające się w oczy, bo bardziej uzewnętrznione i łatwiej dostępne za życia od anomalij mózgowych są zmiany kształtu czaszki. Kraniologia, będąc integralną częścią antropologii, oddała tak ważne usługi porównawczej historyi ludów i ras, dlaczegóżby nie miała się stać podporą kryminologii? Nikt w to nie wątpi, nikt nie odmawia zasług Luce, autorowi morfologii czaszek, Richterowi, twórcy pięknych odlewów w Dalldorfie lub Benediktowi, autorowi licznych prac kraniologiczno-kephalogicznych. Z danych Lombrosy i rysunków, ilustrujących te dane, dużo również szczegółów rzuca się od razu w oczy i przemawia do przekonania nawet laika; każdego zadziwi wydatność oczodołowego wyrostka na czaszce znanego Gasparona, kościozrosty u rozbójnika Arnioniego, zanik bruzd u Villelli lub wreszcie nadmierny rozwój łuków nadbrwiowych u podpalacza Gatti'ego. Nie o zaprzeczanie więc chodzi prawdziwości cech pojedyńczych, nie o odmawianie im pewnej racyi bytu, lecz o zbyt śmiałe nieraz tworzenie zbrodniczego typu kryminologicznego, choćby przy pomocy Galtonowskiej metody lub fotografii, o której Lombroso powiada z emfazą, że „typ

zbrodniczy stwierdzony został bezstronnem świadectwem słońca". Trudno tu powtarzać wszystko, co mówiono na antropologicznych kongresach w Rzymie, Paryżu i Brukseli w latach 1886, 1889 i 92; trudno streszczać zapatrywania Debievre'a, odmawiającego podstaw anatomicznych kryminologicznej kraniologii lub Knechta i Stadfeldta, zwracających uwagę na anomalie czaszek u ludzi zdrowych i asymetrye czaszek w znaczniejszym jeszcze stopniu u chorych umysłowych. Jeżeli rzeczywiście na 100 czaszek zdrowych ludzi jest 70% anomalij, na 100 czaszek u obłąkanych 80%, a na tyleż czaszek u zbrodniarzy 48%, to oczywiście trudno bez żadnych zastrzeżeń przyjmować teorye Lombrosy. Nie chodzi zresztą, jak i wszędzie, o ich punkt wyjścia, lecz o generalizowanie spostrzeżeń i o jednostronność wniosków; nic też dziwnego, że poważna krytyka naukowa dodać musi tu i ówdzie swoje „ale". A krytyka to, wychodząca przeważnie z ust lekarzy sądowych i psychiatrów, którym wygodniejby nawet było przyznać teorye Lombrosy; przecież i dla sumienia lżej i dla umysłu mniej utrudzającem byłoby w tych wypadkach, gdzie od jednego słowa znawcy zależy honor, a częstokroć i życie człowieka, zbadać czaszkę i twarz przestępcy i zaliczyć go po prostu do ludzi niepoczytalnych, nieodpowiedzialnych, mogących być odosobnionymi lub leczonymi, lecz nigdy karanymi. Minęły te czasy, gdy lekarza za błędy nie karano *(soli medici delinquentes nulla poena coercentur Hippokr.)*, dzisiaj na każdy jego czyn, a tem bardziej na każde decydujące orzeczenie patrzy całe społeczeństwo, patrzy ustawodawstwo, patrzy własne sumienie, a przecież powaga stanu i sumienność krytyki naukowej odrzuca furtkę, mieszczącą się w słowach, któremi Lombroso kończy swoje dzieło o człowieku-zbrodniarzu, że „zbrodnia jest fenomenem naturalnym i to fenomenem koniecznym"; odrzuca furtkę, powtarzam, i wybiegów się nie ima, dążąc jedynie do tego, aby wśród wspólnej pracy medycyny i jurysprudencyi, stojąca na straży dóbr materyalnych i moralnych w świątyni sprawiedliwości Temida, jak najczulszą i najrzetelniejszą wagą mierzyć mogła nieprawości ludzkie.

Bylibyśmy oczywiście niesprawiedliwymi i jednostronnymi,

gdybyśmy na Lombrosę i jego dzieła tylko ze złej patrzyli się strony, a w krytyce naukowej nie nadmienili ani słowa o dobrych i utylitarnych poniekąd zaletach jego prac. Najskrajniejsze bowiem teorye, jeżeli poruszają kwestye nowe, mogą stać się ziarnem pożytecznem i genezą ciekawej lub nawet korzystnej polemiki. Że to rzeczywiście w naszym wypadku miało miejsce, wystarczy przytoczyć jako dowód wspominane już kilkakrotnie liczne kongresy, dysputy, dzieła, archiwa nawet specyalne i dzienniki kryminologiczne. Zwrócenie baczniejsze uwagi na anomalie fizyczne obłąkanych i przestępców, podkreślenie myśli, że kara nie jest zawsze słuszną, a zbrodnia prawie zawsze wynikiem nieprzezwyciężonych praw natury, musiało bowiem oczywiście wywołać dyskusyę słowem i piórem nad kwestyami poczytalności, odpowiedzialności, moralności, skuteczności więzienia, zasad wychowania i nad szeregiem innych spraw piekących. Że i tu uczeni niezupełnie się zgodzili z wywodami włoskiego kryminologa, domyśleć się poniekąd łatwo; trudno nam jednak wkraczać tu w dziedzinę czysto prawniczą i etyczną, skorośmy sobie zakreślili rayon perspektywy przyrodniczo-lekarskiej. Dla poparcia wypowiedzianego zdania przytoczymy tylko to, co sam Lombroso powiada o sobie i o swoich zwolennikach. Otóż ogłosiwszy radośnie *urbi et orbi*, jakie to skutki i dyskusye wywołały jego dzieła, dodaje zaraz z restrykcyą, że dużo jego zwolenników, albo, wyrażając się ściślej, dużo autorów dzieł, wynikłych niejako na podstawie jego teoryj, zaprzecza mu ojcostwa i pierwszeństwa. Wprawdzie Lombroso pociesza się zaraz myślą, że dla idei mniejsza o egoizm nazwy, i zapewnia z patosem, że ojciec nigdy o dzieciach nie zapomina, choćby one o nim zapomniały; jednakowoż łaskawy czytelnik łatwo pojmie, że tam trochę inaczej rzecz się mieć musiała i nieraz rozstajne musiały dzielić autorów drogi, jeśli Lombroso o swoich pseudo-zwolennikach sam używa wyrażenia: „Wypierają się swojego pochodzenia i protestują, że nic nie mają ze mną wspólnego“. Jasno i jak na dłoni wyświeca się przyczyna tych nieporozumień, którą podkreślamy tu na każdym kroku; i na zasadę, i na punkt wyjścia, i na skrupulatność metodyki naukowej i na konieczność

zastosowania antropologii do sądownictwa, na wszystko inne zgoda, byleśmy tylko nie generalizowali wniosków, wyciągniętych z obserwacyj sporadycznych i nie zapalali się do reform, które, kto wie, czyby pozbawione wszelkiego krytycyzmu, okazały się dużo lepsze od ośmieszonej przez Lombrosę „starej metafizyki sądowniczej". Z drugiej strony jednak niektóre z propozycyj Lombrosy i prawniczych wniosków o reformie kary zasługują na uznanie; przytoczenie dla przykładu samych tytułów, jak: *terapia del delitto, cura preventiva, dima, leggi speciali, associazioni infantili, pene extra-carcerei, psicologia applicata alla disciplina, carcere cellulare, sistemi graduatori penali individualizzanti, stabilimenti per gli incorriggibili,* może być oznaką wymowną dążeń bądź co bądź humanitarnych i filantropijnych uczonego. Przytoczyliśmy je naumyślnie w oryginalnem brzmieniu i bez komentarzy, aby bezstronny sąd o nich pozostawić samemu czytelnikowi; zresztą zdziwiło nas niemało, że w tłumaczeniach polskich i francuskich *L'uomo delinquente* wywody Lombrosy kończą się zawsze na tych wnioskach, wśród których najbardziej bije w oczy ów silny wykrzyknik, że zbrodnia jest *un fenomeno naturale, un fenomeno necessario, (come la nascita, la morte* i *concepimenti);* czytelnik pod tem przygniatającem wrażeniem zamyka dzieło i wdaje się w rozpamiętywania, które mogą go zaprowadzić na drogę paradoksów i zwątpienia, gdy tymczasem dzieło oryginalne wydane w Medyolanie w r. 1876 wyraźnie zawiera jeszcze rozdział *Terapia del delitto,* nie wiedzieć czemu pominięty w tłumaczeniu, pełny trzeźwych rad i propozycyj nie pozbawionych racyi bytu. Może samo przytoczenie tej drobnostki uratuje nas od ewentualnego zarzutu jednostronnej krytyki, wśród której przeciwnie słuszność oddać chcemy temu, co podniesienia warte. Niestety terapia przestępstwa, pomimo swego medycznego tytułu, jest rzeczą prawniczą, w której szczegóły wdawać się nie mamy prawa, a zaznaczyć tylko możemy pobieżnie pod pewnemi względami, stosunek jej do nauk lekarskich. Otóż nie ulega wątpliwości, że wpływ, jaki medycyna wywarła na jurysprudencyę, tylko dodatnie pozostawił ślady; wystarczy porównać fanatyzm okrucieństwa dawnych wieków z krytycyzmem

dzisiejszej medycyny sądowej, wystarczy zestawić stosunki opłakane, wśród których jęczeli obłąkani w wieku XVII. i XVIII. jeszcze z urządzeniami dzisiejszemi, aby się przekonać o tym znacznym postępie. Medycyna, bez przesady mówiąc, zdjęła kajdany z rąk i nóg nieszczęśliwych maniaków, a po znakomitych imionach Pinela, wprowadzającego we Francyi nowe pojęcia o obłąkaniu. Niemca Reil'a, niosącego pomoc chorym „gnijącym w miejscach", wedle jego słów własnych, „gdzie ledwo sowy schronienie znajdują" i Hungerbühlera, opiekującego się w kantonach szwajcarskich nad tymi, „dla których" jak opowiada, „powietrze i słońce nie istnieje"; po imionach tych powiadam można śmiało zapisać nazwę włoskiego uczonego, który tak głośno i tak śmiało, że czasem nawet za śmiało, podjął obronę tych, których nie zawsze do odpowiedzialności pociągać można. Któż się sprzeciwi propozycyi, aby odłączać przestępców wypadkowych od nałogowych, aby zmieniać ciasne więzienia na pracę na polu otwartem, aby w danych wypadkach zaprowadzić raczej nadzór lub areszt domowy, niż narażać na wpływy zepsucia i złego przykładu, aby ściśle badać i odróżniać przestępców wrodzonych od dobrowolnych i chorych umysłowych od zbrodniarzy, aby jednem słowem trzymać się zasady, którą się kończy *L'anthropologie criminelle et ses récents progrès: que pour connaître les criminels, il faut les étudier*. Któż nie przyklaśnie tym zdrowym myślom, oczywiście w granicach możliwości i praktyczności, któż nie zgodzi się z piszącymi w tym samym duchu Garofalem, Prins'em, Lammetschem lub Lisztem, któż nie przewertuje z podziwem odnośnych aktów kongresowych z Antwerpii? jest to rzecz więcej jak pewna; każdy z sędziów przysięgłych chyba chętniej zdejmie z samej natury rzeczy kajdany, niż podpisze wyrok śmierci; tylko o to właśnie chodzi, aby wszystkim nie zdjąć kajdan bez różnicy, aby pod płaszczykiem nauki wszystkich nie pozbawić odpowiedzialności, aby nie otworzyć na oścież wrót więzień i domów poprawczych a wynikły stąd chaos zrzucić na karb antropologii i praw natury. Jak dotąd, tak i nadal, nauka nie przestanie brać w obronę natury ludzkiej, badając i lecząc jej przywary, usprawiedliwiając jej

słabości, wzmacniając jej siły żywotne; krytyka lekarska jednak i dla zachowania powagi własnej i dla dobra ludzkości wogóle ostrzegać musi autorów przed przesadą w pisaniu, a czytelników przed przesadą w rozumieniu dzieł cudzych. Na ten ostatni wzgląd zwłaszcza baczną zwracamy uwagę. Jak do Darwinizmu następcy Darwina dolepili dużo rzeczy, nie będących wcale czasem po myśli twórcy tej szkoły, tak też do wniosków Lombrosy, czasem płynących z chęci humanitarnych i sprawiedliwych, dodają czytelnicy w zapale tyle fantazyi własnej, i tyle przesadnych rozumowań, że w końcu na ołtarzu domowych zasad zapanować może dogmat nieprzepartych nałogów, nieprzezwyciężonej woli, i niezłomnych choćby najbrutalniejszych praw naturalnych. W tem też właśnie leży niebezpieczeństwo lektury tłumaczeń pozbawionych krytycznej analizy, zwłaszcza dla umysłów młodych; dzieła Lombrosy rozchwytano, wykupiono je po księgarniach, wypożyczono z półek bibliotecznych, obmówiono na wszystkie strony wśród banalnych rozmów towarzyskich, a realnej korzyści, realnego pożytku z tego mało. Słyszałem na własne uszy jak młody prawnik urągał po przeczytaniu Lombrosy medycynie, która prowadzi do takich absurdów, a jak medyk na odwrót szydził z jurysprudencyi, którą uczony włoski nazwał ciemną metafizyką; wyobrażam sobie zaś, jak młodzieniec pełen nadziei, nie będący ani prawnikiem, ani medykiem, ani wogóle niczem, po przerznięciu kilku kartek kryminologii, albo z pogardą kiwnie ręką, albo z emfazą wykrzyknie: „genialnym jest ten, co pierwszy zrozumiał potrzebę i konieczność przestępstwa“; o tem zaś mało kto wie, że nauki ścisłe, przyjęły z teoryj Lombrosy sam rdzeń badań antropologicznych, odrzucając przesadę generalizowanych wniosków, że jurysprudencya i medycyna chętny dały posłuch propozycyom reform penalnych, byle tylko ograniczyć ich zakres i nie identyfikować *a priori* choroby z przestępstwem, a szału ze zbrodnią. Przepaść istniejącą między absolutną krytyką kryminologii i absolutnem jej uznaniem wypełnić nam należy trzeźwym krytycyzmem; niech antropologia i fizyognomika służą anatomii i etnografii, frenologia fizyologii i patologii niech przysparza zdobyczy, psy-

chiatrya wreszcie niech bada fizyczne podstawy chorób umysłu i nie zraża się wypadkami, w których brak jej realnego tła; niech jednak te nauki, cenione skądinąd, postępujące zawsze i podziw budzące prawdziwy, nie stanowią wyłącznego bezwzględnego kryteryum ludzkich czynów. Krótko mówiąc prace Lombrosy nie przeminą bez pożytku, ale jego teorye utrzymać się nie mogą; takie jest przekonanie większości uczonych, taki głos krytyki, taki duch wiejący z archiwów i kongresów, na zdaniu których oparliśmy niniejszych uwag kilka. Pomijając zupełnie stronę prawniczą i etyczną z jednej strony, a z drugiej podkreślając lekko, czego z teoryami Lombrosy nie należy identyfikować, staraliśmy się czytelnikom dać do ręki bezstronną nić oryentacyjną, analizując jego prace ze stanowiska nauk przyrodniczo-lekarskich i stając o ile możności wśród walki stronnictw i obozów w obronie bezwzględnej, naukowej prawdy.

Dr. J. Zanietowski.

MALARZ CZECHOWICZ.

Studyum na podstawie dzieł jego krakowskich.

(Dokończenie).

Jak już wspomniałem, umieszczono w r. 1741 w kościele św. Anny w stalach prezbyteryum cztery obrazy Czechowicza (przypominające z formy włoskie tonola), z których trzy pierwsze opowiadają parę chwil z życia św. Anny, patronki kościoła (oraz Jej męża, św. Joachima), czwarty zaś przedstawia N. Pannę, cieszącą się już swem szczęściem [1] Matki Boga, oraz Jej Oblubieńca, św. Józefa. Więc na pierwszym: „Anioł przynosi św. Joachimowi radosną nowinę".

Słońce oblało promieniami swemi niebo i ziemię; niebo jasne, pogodne, błyszczy się zielona murawa łąki, na której pasą się owce, których pasterzem św. Joachim, w tej chwili nie na nie zwracający swą uwagę. Dzieje się bowiem coś niezwykłego, o czem nigdy nie marzył, a co zapowiada urzeczywistnienie jego najgorętszych pragnień. Oto anioł zlatuje z nieba, lewą ręką wskazując na niebo, jakby chciał powiedzieć, że go Bóg przysyła, prawą zaś na św. Annę, która — jak zapowiada świętemu — matką ma zostać. Św. Joachim dziwi się posłannictwu anioła, pytającym wzrokiem nań spogląda, z czego przypomina owe bizantyńskie Madonny, przerażone Zwiastowaniem anielskiem, gdy

[1] Ludwik Kosicki, „Wiadomość histor. o kościele św. Anny w Krakowie". Kraków 1833. Str. 23.

przeciwnie naprzeciwko św. Joachima stojąca św. Anna, o starej już twarzy, przywodzi na pamięć Madonny Giotta, Fra Angelica, przyjmujące z świętym spokojem i poddaniem się woli Bożej — „że Słowo stanie się Ciałem". Nad św. Rodzicami swymi wznosi się na miesiącu N. P. Marya z rękami na piersi skrzyżowanemi, jakby zdawała się mówić: „Oto Ja służebnica Pańska". Gesta rąk św. Joachima i Anny tłumaczą dobrze ich różne uczucia, koloryt pełen harmonii, fałdy tylko traktowane za szeroko, z pewną niedbałością, ale nie z tą prawdziwie artystyczną.

Św. Joachim ochłonął już ze zdziwienia; przejęty wielką radością, jaką sprawiła mu przepowiednia anioła, ramiona, jakby na powitanie, otwiera ku św. Annie. I natura jest jakąś błogością przejęta. Niebo wesołe, wspomnienie może z Włoch Czechowicza, jak również ta w oddali rysująca się świątynia, jak w raz przypominająca rzymskie *templum Vestae*. Słowem, radość jakaś na niebie i na ziemi. A musi być ona niezwykłą, kiedy widocznie z ciekawością przyglądają się świętej parze (na dalszym już planie) dwie kobiety; jedna z nich uklękła, pokazując palcem świętych swej towarzyszce, która w nich wzrok utkwiła. Czy potrzeba dodać, że, jak w innych obrazach Czechowicza, i w tym drugim ze stal św. Anny odczuwa się pogodną kolorystyczną zgodę? Jak dobrze łączą się ze sobą zielona barwa sukni św. Anny z jej różowemi rękawami i ciemno-oliwkową zasłoną. Jak pięknie zarysowane nogi, w sandały obute, świętej, jak niemniej pięknie ręce św. Joachima. Ale tak, jak w poprzednich, i tutaj zaznaczyć wypada, że draperye trochę tekturowe, z pod których nie uwidaczniają się dobrze kształty.

Trzeci obraz ze stal św. Anny to „Narodzenie N. P. Maryi". Na tle, w głębi spoczywa na łożu św. Anna, pielęgnowana przez jedną ze służebnic, spogląda na Dziecię, które piastuje jedna z kobiet, otaczających św. Annę. Prócz piastunki dwie jeszcze służebnice, z których jedna za chwilę z dzbana wody naleje do miedzianej miednicy, przy kołysce stojącej. Św. Joachim stanął sobie na uboczu, zatopiony w modlitwie. Może za śmiałem będzie moje przypuszczenie, że Czechowicz, rysując kobietę z dzbanem, w pamięci miał kobietę z *Incendio del Borgo*

lub z „Heliodora“. Zdaje mi się, że takie wspomnienie uważać można za zupełnie naturalne u artysty, który lat 30 spędził w Rzymie, na pamięć, że się tak wyrażę, znał Rafaela, zwłaszcza zaś jego „Stance“, więc nic dziwnego, że nieraz w obrazach Czechowicza odzywa się niegdyś odebrane wrażenie, że ręka mechanicznie niemal rysuje postać, przypominającą jakąś Rafaelowską, głęboko w pamięci wyrytą. Tylko że ta ręka kobiety dzbanek trzymającej, rysowana dosyć niedbale, sztywna, bez życia. O wrażeniu zaś kolorystycznem, o traktowaniu draperyi — musiałbym powtarzać już tyle razy podnoszone uwagi.

Ostatni z cyklu obrazów ze stal w kościele św. Anny to „Św. Rodzina“. Obraz ten nazwaćby można *Santa Conversazione* albo „Adoracyą Dzieciątka Jezus“; bo czemże jest *Santa Conversazione*, jak nie podniesieniem ducha do Boga, wewnętrzną modlitwą, adoracyą. A tłem tej Czechowiczowskiej *Conversazione* nie jak po większej części w obrazach włoskich, arkady kościoła lub portyk pałacu, lecz terasa, z której widok otwarty na niebo i umajone drzewa. Spoczęła na niej N. Panna, piastująca Dzieciątko, które rączki na krzyż złożyło i wzrok do nieba wzniosło, jakby z poddaniem się na wszystkie oczekujące Je męki. Z miłością wpatruje się w swego Boskiego Syna Matka Boża; oczy ma weń również utkwione św. Józef, siedzący u stóp terasy, i jeden z aniołków, który do modlitwy złożył rączki (reminiscencya z obrazów: ks. Pijarów i OO. Franciszkanów „Św. Rodziny“). N. Panna i Dzieciątko to nawskróś szlachetne i piękne postacie, opromienione wiarą i miłością prawdziwą, którą snać wydobył artysta z głębi swego serca. Głowa natomiast św. Józefa mniej piękna i pod względem rysunku, jak i modelunku. Kolorystyka żywa, ale pogodna, dobrze odpowiadająca nastrojowi obrazu. Światłocień, zwłaszcza na główce Dzieciątka bardzo prawdziwy, draperye tylko niezupełnie zadawalają, co nie po raz pierwszy mam sposobność zaznaczyć.

Tyle co do wewnętrznej wartości dzieł Czechowicza w kościele św. Anny. A z daleka, gdy się rzuci okiem na te od słońca i pyłu przybladłe trochę płótna, to sprawiają mimowoli wrażenie jakichś bardzo wytwornych gobelinów, którym tak dobrze w bo-

gatych ramach stal i na tem tle przepysznych barokowych ozdób sklepienia i ścian kościoła, ornamentacyj pełnych jakiejś zamaszystości i pompy, mających w sobie coś z operowego stylu takiego Porpory lub Scarlatti'ego.

Z kolei mówić mam o obrazie, o którym Rastawiecki[1] twierdzi, że obraz „Św. Anny" w kościele św. Mikołaja (w Krakowie), a jak Pruszcz[2] dodaje, w kaplicy Bractwa pod temże wezwaniem, jest pendzla Michała Stachowicza. Jestem najmocniej przekonany, że obraz powyższy nie wyszedł nigdy z pod ręki Stachowicza, że jest natomiast dziełem Czechowicza, tak bowiem analiza artystyczna samego obrazu i porównanie go z innemi dziełami Czechowicza, jak następnie porównanie powyższego obrazu z obrazami Stachowicza, jak wreszcie dowód historyczny poprą, zdaje mi się, dostatecznie moje twierdzenie. Zaczynam od stylistyczno-artystycznych dowodów. Za pierwszem zaraz spojrzeniem na obraz uderza koloryt jego, jasny, pogodny, karnacya przejrzysta i modelunek, rąk zwłaszcza, staranny, barwy wybornie się z sobą harmonizujące, o całe niebo przewyższające koloryt Stachowicza, zawsze brudny, zimny, czyniący wrażenie — pod względem technicznym — niezmiernie ciężkiego i mozolnego nakładania farb. To samo, *mutatis mutandis*, powiedzieć trzeba o rysunku Stachowicza. Malarz ten, którego dzieła świadczą o nieudolnym prawie zawsze rysunku, nie zdołałby nigdy narysować figur obrazu „Św. Anny Samotrzeciej". Tu znać bowiem malarza, w rysunku pewnego siebie, z rutyną, wprawdzie niewolną od maniery, ale ręką, którą kształciła porządna i dobra szkoła. Wiemy, jakie w tym kierunku prowadził Czechowicz studya w Rzymie, pod okiem Maratty, jak się sam sumiennie uczył na wzorach wielkich mistrzów, jednem słowem w nim znać tę „rzymską sztukę", o której mówi Pruszcz (str. 154), wspominając o tym obrazie. Stachowicz, który nigdy z Krakowa się nie wydalał, nigdy żadnych wybitnych dzieł malar-

[1] „Słownik", t. II, str. 206.

[2] Pruszcz, „Klejnoty stoł. m. Krakowa". Wyd. z r. 1745 przedrukowane przez K. I. Turowskiego. Kraków 1861.

skich nie widział, obrazu, zdradzającego wybitnie włoski wpływ, stworzyćby nigdy nie mógł.

Jeśli powyższe uwagi nie wystarczą, aby Stachowicza odsądzić od autorstwa tego obrazu, może dokona tego porównanie obrazu z innemi dziełami Czechowicza w Krakowie. Mam na myśli „Św. Rodzinę“ z kościoła ks. Pijarów i drugi pod tymże tytułem z kościoła OO. Franciszkanów. Podobieństwo uderza przedewszystkiem w typach. Zestawmy te trzy obrazy, a przekonamy się, że to dzieci jednego ojca. Wszędzie te same szlachetne owale twarzy N. Panny Maryi, podobnie rozdzielone włosy, ten sam nos o liniach prostych, a wytwornych, ten sam wyraz twarzy, pogodny i słodki. Ten sam koloryt jasny, żywy, ale bardzo harmonijny, szat N. P. Maryi i św. Anny; co więcej, te same barwy: niebieska i różowa N. P. Maryi, zielona, czerwona i biała szaty św. Anny. Jedno wreszcie uczucie religijne artysty, przemawiające z obrazu, które uczyniło z Czechowicza malarza *par excellence* religijnego, gdy tymczasem Stachowicz był przedewszystkiem malarzem historyczno-rodzajowym. Charakteryzując jednem słowem omawiany obraz, powiemy, że nosi on na sobie wybitny wpływ włoski, końca XVII. i początku XVIII. w., którego u Stachowicza chyba znaleźć niepodobna, już choćby z tego prostego powodu, że za granicą nigdy nie był, a w Krakowie wówczas wpływem włoskim przejąć się nie mógł.

To, co powyżej, wystarczy, przypuszczam, do obrony mego twierdzenia; wystarczyłoby, sądzę, nawet wtenczas, gdyby Stachowicz żył był w czasie powstania obrazu – tak zasadnicza jest w stylu całym różnica. A jeśli rozbiór mój nie osiągnął zamierzonego celu, to zrobią to dwie daty: Michał Stachowicz urodził się w r. 1768, gdy tymczasem obraz „Św. Anny Samotrzeciej“ już na kilkanaście lat przedtem wisiał w ołtarzu kościoła św. Mikołaja, jak o tem świadczy wydanie z r. 1745 „Klejnotów stoł. m. Krakowa“ Pruszcza, który pisze, co następuje:

„Bractwo św. Anny Samotrzeciej jest w tymże kościele (tj. św. Mikołaja), gdzie ma swoją kaplicę i kapelana, albo promotora jednego z księży wikarych. W tej kaplicy jest ołtarz, wielki, poważny z osobami św. Joachima i Józefa po bokach.

W tym ołtarzu jest obraz św. Anny Samotrzeciej, rzymską sztuką malowany". Gdy zaś, jak starałem się wykazać, Czechowicz wrócił z Rzymu do Krakowa około r. 1740, prawdopodobnie więc wtedy, za krótkim swym w Krakowie pobytem, malował ten obraz na zamówienie Bractwa tak, jak na zamówienie malował obrazy do stal kościoła św. Anny. Dziś, w tej samej kaplicy, w tymże, ze stylu wnioskując, ołtarzu, ozdobionym figurami św. Joachima i Józefa, wisi obraz św. Anny Samotrzeciej, również „rzymską sztuką" malowany — *ergo* nie Stachowicza.

W jednej z kaplic lewej nawy kościoła św. Floryana (w Krakowie) wisi inny, piękny obraz Czechowicza: „Cud św. Jana Kantego". Rysunek bardzo poprawny, koloryt, światłocień, cała kompozycya wreszcie, wszystkie te czynniki złożyły się na to, aby z tego obrazu uczynić rzecz w wysokim stopniu dla oka pociągającą, przemawiającą do uczucia religijnego. Obraz ten maluje to miłością głęboką przejęte serce św. Jana Kantego, który płaszczem swoim dzielił się z ubogim, przejmował się litością na każdy widok nędzy lub nieszczęścia ludzkiego. Bo i to rozbicie dzbanka z mlekiem — rzecz, zdawałoby się, tak małej wagi — jest przecież dla biednej tej dziewczyny w swoim rodzaju nieszczęściem, na które ratunek znalazł święty w swej kornej do Boga modlitwie.

Tej samej treści i kompozycyi obraz znajduje się — jak pisze Rastawiecki [1] — „w zbiorach szkoły malarskiej uniwersytetu wileńskiego", gdzie dziś, nie wiadomo mi). Był on poprzednio w posiadaniu unickiego biskupa brzeskiego, Józafata Bułhaka w Żyrowicach; w r. 1811 Adam hr. Chreptowicz, członek honorowy uniwersytetu wileńskiego, spostrzegłszy obraz ów u biskupa, przy sposobności zwiedzania szkoły powiatowej ks. Bazylianów w Żyrowicach, „uprosił biskupa o pożyczenie go dla zdjęcia kopii i przesłał go do Wilna profesorowi J. Rustemowi. Użyty do kopiowania Januszewicz trzy aż kopie wykonał, a tak mu się udały, iż sami profesorowie, Rustem i Saunders kopii od oryginału rozeznać nie mogli. Jedna z nich odesłana bisku-

[1] „Słownik", t. I, str. 112—113.

powi Bułhakowi, druga hr. Chreptowiczowi, sam zaś oryginał pozostał w zbiorach szkoły malarskiej uniwersytetu wileńskiego, w dalszym czasie wraz z wszelkiemi uniwersyteckiemi zbiorami przewieziony do Kijowa. Kopia trzecia jest dotąd w Wilnie, własnością prof. i dziekana byłego tamecznego uniwersytetu, radcy stanu, Michała Pełki Polińskiego. Chociaż więc obraz „Cud św. Jana Kantego“ w kościele św. Floryana zupełnie jako kompozycya jest identyczny z obrazem wileńskim, którego aż trzy kopie wykonano, nie może być jednak jedną z tych 3 kopij, gdyż Rastawiecki w tymże samym roku, tj. 1850, i w tem samem wydaniu swego „Słownika“ osobno mówi na str. 106 o „Cudzie św. Jana Kantego“ w kościele św. Floryana w Krakowie, na filarze, a osobno na str. 113 o 3 kopiach i podaje zarazem miejsce ich umieszczenia. Dodać trzeba, że Czechowicz bardzo często ten sam temat w identycznej prawie kompozycyi powtarzał, „Cud św. Jana K.“ należy więc z pewnością do tej kategoryi powtarzanych tematów i kompozycyj.

Rozbity dzbanek, z którego sączy się mleko, stoi na stole; święty, przed którym na kolana upadła biedna dziewczyna, wznosząca do niego wzrok błagalny i przejęty wiarą, zlepia jego skorupy i za chwilę już mleko przestanie się sączyć, a dzbanek dawny swój kształt przybierze. Postać świętego, nad którego głową tworzą jakby aureolę trzy główki aniołków ze skrzydełkami, bardzo szlachetna, twarz pełna miłości i pogody. Z ciekawością przypatrują się cudowi swego świętego profesora trzy pacholęta, ubrane w żupany i przy karabeli. Twarzyczki ich rumiane, oczy żywe, z pewnością w szkole wielcy figlarze. Żupany ich o pięknych, żywych barwach, pozwalają przypuszczać, że obraz ten z pewnością malowany był w Polsce, za powrotem Czechowicza z Rzymu, który witał zapewne z radością nietylko ziemię ojczystą i rodaków, ale także każdy polski ubiór, zwłaszcza ten specyficznie uosabiający strój narodowy, żupan i kontusz. Ale nie wystarcza powiedzieć, że Czechowicz wykonał obraz ten w Polsce, treść obrazu wskazuje, że malowany był z pewnością w Krakowie. Św. Jan Kanty życiem całem niemal związany był z Krakowem: tu nauczał, tu i umarł, a cud, o któ-

rym mowa, w Krakowie się odbył, więc Czechowicz, malując obraz do św. Floryana, wybrał świętego i cud ten jego, z Krakowem tak ściśle związany. Gdy zaś wiemy, że artysta krótki tylko czas tu przebywał i że w r. 1741 malował obrazy do stal św. Anny, stąd wniosek, że obraz „Cud św. Jana Kantego“ pochodzi z około 1741 r.

Koloryt jest tu bardzo żywy, świeży, ale nierażący. Światłocień bardzo umiejętnie rozłożony, nawet traktowanie fałdów niesztywne, nietekturowe. Pełna szlachetności postać świętego nadaje całemu dziełu niezwykły wdzięk tak, jak barwy wrażenie harmonii i pewnego blasku [1].

Dzieł Czechowicza, jak gdzieindziej, tak i w Krakowie, szukać przedewszystkiem należy po kościołach, potem w zbiorach prywatnych, w ostatnim dopiero rzędzie w muzeach publicznych. W Krakowie w Muzeum Narodowem, jak i Muzeum ks. Czartoryskich posiadają tylko po jednym obrazie Czechowicza. W pierwszem znajdujemy „Chrystusa po Zmartwychwstaniu“, w drugiem „Św. Magdalenę“.

Jak w „Wieczerzy Pańskiej“ Leonarda da Vinci, słowa przez Chrystusa wyrzeczone znajdują swój oddźwięk na twarzach i w gestach rąk apostołów, tak podobnie i na tym obrazku (właściwie szkicu do obrazu, znajdującego się w Podhorcach). „Chrystus po Zmartwychwstaniu“ [2]. Słowa, z którymi Chrystus Pan zwraca się do apostołów, wywołują na ich twarzach różne uczucia, w ich ruchach różne gesta. Jak w „Wieczerzy“, tak i tutaj, środek kompozycyi zajmuje Chrystus, i jak tam, podobnie i tu, apostołowie podzieleni są na grupy, z tą tylko różnicą, że u Czechowicza grupy złożone są z dwóch lub trzech apostołów, podczas gdy w „Ostatniej wieczerzy“ Leonarda tworzą cztery trójki. Tło obrazu stanowi piękny i górzysty krajobraz, a zdala świeci niebieska szyba jeziora. Chrystus stanął w pośrodku, prawą ręką wskazuje na niebo, ruchem zaś lewej ręki zwraca się do

[1] Bardzo zniszczona kopia tego obrazu wisi w kościele OO. Karmelitów na Piasku (w Krakowie) na jednym z filarów lewej nawy kościoła. Jak wiadomo rytował obraz ten A. Oleszczyński w „Albumie wileńsk.“.

[2] „Muzeum Narodowe“, nr. 14.

grona apostołów. Twarz Jego pełna wysokiej szlachetności i uroczystej powagi. Bok prawy i pierś odsłonięta pozwalają widzieć zabliźnione rany. Postać ta Chrystusa przypomina trochę Zbawiciela z „Opieki N. M. P.“ (u ks. Pijarów); rysunek i modelunek bardzo ładny, nie wiele maniery, która może trochę występuje w zgięciu prawego kolana. Chrystusa otaczają apostołowie. U stóp Jego po prawej klęczy dwóch apostołów z skrzyżowanemi na piersiach rękami i jakby zdziwieni słowami Chrystusa, wpatrują się w Jego pełną świętego spokoju twarz. Za nimi stojący apostoł spogląda na swego towarzysza, jakby chciał na twarzy jego wyczytać wrażenie słów Chrystusowych. Trzeci widocznie dobrze rozumie znaczenie słów Zbawiciela, bo z całem skupieniem im się przysłuchuje, nie dziwi się, nie pyta. To strona prawa obrazu. Po lewej apostoł o ciemnych włosach zgiął się prawie we dwoje i ukląkł. Na jego obliczu maluje się głęboka pokora i wiara, które wyraz swój znajdują także w tej kornej postawie. To zapewne książe apostołów. Zdziwienie natomiast wielkie odbija się na twarzach trzech apostołów, tuż za św. Piotrem stojących. Wszyscy trzej zwróceni ku Chrystusowi nie pojmują widocznie słów Jego. Rozumie je najlepiej ten uczeń, którego głowa spoczęła na piersi Chrystusowej — Jan Ewangelista. On nie na swego Mistrza się patrzy, ale wzrok zwrócił do apostoła obok niego stojącego, wskazując mu Chrystusa, jakby mu tłumaczył znaczenie słów Chrystusowych. Jan święty to piękny młodzieniec, o wytwornych kształtach i o pięknych ciemno-rudawych włosach, spadających mu w kędziorach na plecy. Zwrócony do nas plecami, ruchem całego ciała pokrewny jest jednemu z filozofów, wstępującemu na schody „Szkoły ateńskiej“.

Wymagania wobec tego obrazu[1] muszą być skromniejsze gdyż, jak wspomniałem, jest to tylko szkic — ale szkic bardzo udany — i stąd naturalnie pobieżne traktowanie modelunku z wy-

[1] Kompozycya tego obrazu jest silną reminiscencyą Rafaelowskiego dzieła (w Rzymie): „Paś baranki moje“. Chrystus, św. Jan i św. Piotr (u Czechowicza) klęczący żywo przypominają te same postacie na Rafaelowskim obrazie.

jątkiem rąk Chrystusa. Draperye, malowane z taką szerokością, właściwą włoskim artystom porafaelowskim; światłocień dobry. Gesta apostołów tłumaczą z małym wyjątkiem wewnętrzne uczucia, stąd maniery i tu stosunkowo nie wiele (jak na XVIII. w.), wiele zaś prawdy psychologicznej i wiary, ożywiającej malarza, dla którego, jak i dla apostołów, był Chrystus Pan: „Drogą, Prawdą i Żywotem.

Muzeum ks. Czartoryskich (w Krakowie), posiada jeden z najmniejszych (bo wys. 32 cm., szer. 25 cm.), ale jeden z najlepszych także obrazów Czechowicza, „Św. Marya Magdalena". Jest to płótno, doskonale zachowane, wyglądające na szkic, bo modelunek tak szkicowo — jak często u Czechowicza — traktowany. Rastawiecki[1] przytacza obraz tejże treści, który „był" własnością prof. Saundersa w Wilnie. Czy mamy przed sobą tenże obrazek, czy też jego powtórzenie — nie wiem i tylko słówko to: „był" nasuwa pytanie, czy obrazek u ks. Czartoryskich nie jest identycznym z tamtym, a który zmienił tylko swego właściciela.

W grocie, na gołej ziemi klęczy św. Marya Magdalena; lewą ręką wsparła się o kamienną jakby ławę, na której stoi krucyfiks, klepsydra i leży otwarte pismo św. Czy wpatrywanie się w znak Zbawiciela, czy też długie wczytywanie się w karty Pisma, może jedno i drugie, wywołały to widoczne w całej postawie świętej fizyczne znużenie, które tak wybornie oddał artysta w osunięciu się jej na kolana, w przechyleniu głowy i w rąk opuszczeniu. Ale oprócz znużenia maluje się w jej oczach głęboka zaduma nad prawdami, wyczytanemi z krzyża i Pisma. Wycieńczoną modlitwą podtrzymuje anioł, który zdaje się prosić świętą, aby przerwała modlitwę i rozmyślanie, a na chwilę spoczęła. Postacie rysowane starannie, piękną zwłaszcza jest głowa świętej i ręka o szlachetnych, wydłużonych palcach. Tej uczciwości rysunkowej odpowiada w zupełności harmonia barw. Siwoniebieska szata świętej, dostraja się wybornie z jasną, zielonożółtą suknią anioła. Chcąc w paru tylko słowach skreślić wra-

[1] W *Bibl. Warsz.*, 1847, t. I, str. 128.

żenie, to powiedzieć można, że jest w tym obrazku szczerość uczuć niezwykła w XVIII. w., nie sentymentalność, ale prawda uczuć religijnych, która wymownie wskazuje na tego pobożnego artystę, który na starość został tercyarzem zakonu Kapucynów.

W biografii Czechowicza wspomniałem już, jak smutnemu losowi uległ oryginał jego: „Chrystus oddający klucze św. Piotrowi". Pozostał do niego tylko szkic, znajdujący się do dziś dnia w Szkole sztuk pięknych w Krakowie, nabyty — jak Stattler pisze — za sumę 700 kilkadziesiąt złp. Opisał go bardzo dokładnie i bardzo dla autora pochlebnie prof. W. Stattler [1], opierając się — jak mówi — na „pierwotworze, zachowanym w szkole sztuk pięknych". Pozwolę sobie tu przytoczyć ten piękny i pełen zapału opis, a to tem chętniej, że sąd autora o Czechowiczu prawie trafia mi zupełnie do przekonania. „Zbliżmy się do obrazu: Chrystus Pan, otoczony uczniami, w całej, właściwej sobie godności i miłości, daje Piotrowi klucze królestwa niebieskiego. Nad nimi, w górnej części obrazu, unoszą się tłumy anielskich duchów, jakoby Duch św., Duch Boży, królestwo niebieskie, które artysta nie może tylko materyalnie wystawić, tylko lotem, tylko swobodą, tylko miłością. W całości obraz ten uważany, jest w najpełniejszej harmonii, jest niemal stworzony, a nie zrobiony. Niema ruchu jednej ręki, zwrotu oka, rzutu sukni, coby z resztą obrazu w zgodzie nie było". Autor zastanawia się dalej nad upadkiem rysunku w wieku Czechowicza: „rysunek ten, mówi, nie jest poprawny, ścisły, nie ma takiej skrupulatności dociekania szczegółów aż do źródła samego... W masie więc tylko, w ogólnikach tylko, którebym cieniem rzeczy nazwać się ośmielił, usiłowano malować pojęcia swoje, które też nie mogły jak w kuglarstwo się zamienić, w sztuczki optyczne".

„Takiemi to ogólnikami, ożywionemi uczuciem, które wiodło rękę jego i składało w pełnym wdzięku postacie, Czechowicz wprowadził w obraz swój Chrystusa Pana, który pomimo nie-

[1] „Stanowisko artyst. Czechowicza według obrazu wielkiego ołtarza św. Piotra w Krakowie", przez W. K. Stattlera, profesora malarstwa — w „Roczniku Towarzystwa Nauk z Uniwersytem Jagiel. złączonego", t. IV (ogóln. zbioru t. XIX) r. 1849, str. 274—287.

wydatnych, a może i powszednich kształtów, jest wyrazem serdeczności bez granic; zdaje się, że nie słowem, ale duchem słowa, przez pochylenie głowy i zgięcie szyi przemawia i wlewa cudem, bo spojrzeniem w duszę Piotrową, tę opokę, na której Kościół ma postawić... Apostołowie nauce obecni, nie zdają się być w liczbie 12, ale jakoby jeden, jedną duszą tylko zdają się powiadać, iż słowa mocy do Piotra wyrzeczone, są mocą i dla nich zarazem... Nareszcie przemilczeć niepodobna o latającym nad głową Chrystusową aniele, trzymającym w ręku tabliczkę z napisem: *Docuit.* Co do mnie, nie wiem, czy mógł który artysta przyjść szczęśliwiej w pomoc sztuce, aby powiedzieć w obrazie, iż to jest nauczyciel, który słowem i czynem niesie zbawienie i który po wieki wieków nauczać będzie!"

Pozostaje jeszcze jeden obraz: „Zdjęcie z krzyża", (raczej „Złożenie do grobu", jak to opis obrazu wykaże), wiszący dawniej pod małym chórem kościoła N. P. Maryi, naprzeciw ołtarza P. Jezusa Ukrzyżowanego, dzisiaj umieszczony na probostwie tegoż kościoła. Autorstwo tego obrazu było kwestyonowane; Rastawiecki[1] nie wymienia stanowczo jego twórcy, zaznacza tylko, że obraz ten „przypisują Dolabelli, jak i Czechowiczowi". Twierdzi jednak, że zdanie to jest błędnem, i sądzi, „że obraz ten z Włoch zapewne dawniej sprowadzony został". Dr. Konstanty Wurzbach[2] zachwyca się powyższym obrazem, „przypisywanym Dolabelli" i dodaje: „Inni utrzymują, że to jest obraz malarza Czechowicza, ponieważ zachodzą w stylu pewne podobieństwa z innemi dziełami tegoż mistrza". Przypatrzmy się bliżej obrazowi, może jego rozbiór pozwoli oznaczyć autora.

Na tle rysują się stoki Golgoty z trzema krzyżami. Chrystusa Pana zdjęto już z krzyża; oczekuje Go grób, do którego ciało Jego w tej chwili składają Matka Najświętsza, umiłowany uczeń i Józef z Arymatei. Ciało Chrystusa w postawie prawie siedzącej pod prawy bok podtrzymuje Józef z Arymatei, prawą rękę Chrystusa ujęła w swe dłonie N. P. Marya, lewą zaś, zwie-

[1] Rastawiecki, „S. Czechowicz" w *Bibl. Warsz.* 1847, t. I.

[2] Dr. Konstanty Wurzbach, *Die Kirchen der Stadt Krakau.* Wien 1853. Str. 118.

szoną, św. Marya Magdalena, klęcząca u stóp sarkofagu. Po prawej stronie sarkofagu św. Jan Ewangelista schylił się, jakby poprawiał białe prześcieradło, wyścielające wnętrze grobowca. W obłokach, tuż nad głowami Chrystusa i osób biorących udział w smutnym tym obrzędzie, unosi się anioł z koroną cierniową w ręku. A wykonanie obrazu takie: rysunek wogóle niepoprawny, zwłaszcza nóg Chrystusowych, aniołek brzydki i krępy, niezgrabnie narysowany, modelunek zaniedbany, a koloryt brudny jakiś, bez żadnego blasku i żywości. Wpływu włoskiego, który tak widoczny jest w każdem dziele Czechowicza, tego w tym obrazie dopatrzeć się nie mogę, a co do wewnętrznego uczucia, wyrazu, to go prawie że niema; jeszcze najlepiej u Chrystusa maluje się święty spokój, u innych osób jest raczej wyraz obojętny, słowem stanowczo można twierdzić, że obraz ten z Czechowiczem nic wspólnego nie ma. Czy jest Dolabelli? Nie śmiałbym powiedzieć, że tak, nie śmiałbym powiedzieć, że nie. Malarz ten bowiem nie jest jeszcze dziś tak dobrze znany, aby na podstawie analogii można się było za lub przeciw oświadczyć. Wymagałby on osobnego studyum. Tak zaś, jak go dziś znamy, tylko powiedzieć można, że jeśli obrazy w kościele OO. Dominikanów (w Krakowie) są Dolabelli („Cudowne rozmnożenie 5 chlebów i ryb“, „Gody w Kanie Galilejskiej“) i obraz powyższy przypisać mu można. I tu i tam ten sam rysunek słaby, modelunek niestaranny, postacie zimne, bez życia, koloryt brudny, wreszcie co najważniejsza, w obrazach tych na dobre już rozsiadła się zła maniera, której tak niewiele jeszcze u Czechowicza. Z drugiej jednak strony przeciw autorstwu Dolabelli przemawiałby jego piękny „Chrystus Ukrzyżowany“ w katedrze wawelskiej. Gdy jeszcze dodam, że obraz „Złożenie do grobu“ jest przemalowany, łatwo będzie zrozumiałem, że stanowczo dziś tylko powiedzieć można, że Czechowicz nie jest jego autorem.

Poznaliśmy tedy krakowskie dzieła Czechowicza. Na ich podstawie chcę jeszcze podać na zakończenie charakterystykę artysty, któraby streściła porozrzucane uwagi, i zaznaczyła stanowisko, jakie Czechowicz zajmuje w polskiem malarstwie XVIII w., zwłaszcza religijnem. Z góry zaznaczam, na co

już na początku tej pracy zwracałem uwagę, że charakterystyka ta Czechowicza-artysty będzie może niedokładną, z wielu względów, a przedewszystkiem dlatego, że opieram się tu jedynie na krakowskich dziełach Czechowicza. Głęboko religijna dusza Czechowicza, którą mieliśmy sposobność dosyć dobrze poznać, natura nawskróś dobra, szlachetna w swym artystycznym zawodzie szukać musiała form, któreby temu religijno-moralnemu nastrojowi artysty najlepiej odpowiadały, były dlań najdoskonalszym wyrazem. Znalazł je Czechowicz w szkołach rzymskiej i bolońskiej, w całym szeregu dzieł malarzy, którzy goniąc za ideałem doskonałej piękności, z każdego prawie wielkiego mistrza *cinquecenta* pojedyncze zbierali rysy, które stopione razem wydać miały dzieła klasycznie piękne. A wzorem był przed innymi Rafael; jak dla wielu, tak i dla Maratty był on ciceronem. Podobny dla Urbinaty miał pietyzm uczeń Maratty — Czechowicz, i stąd w jego dziełach tak często odzywają się Rafaelowskie wspomnienia, nie bezpośrednio jednak, ale z drugiej ręki: przez szkołę Maratty, który, jak wielu innych malarzy tej epoki już tylko zewnętrznie i to z niezupełnem powodzeniem starali się naśladować Rafaela, nie mogąc mu naturalnie dorównać w tem, czego w swych duszach nie mieli, tj. owego pełnego *„grandezzy“* spokoju i tej boskiej harmonii przez mistrzowski przeglądającej rysunek. W Czechowicza dziełach nie mógł więc być inny Rafael, jak tylko zmniejszony w swym stylu przez szkła XVIII. w. Nie mogę powiedzieć, aby w kompozycyi u Czechowicza objawiał się jedynie wpływ Rafaela i Maratty — wpływ jest to szerszy, wywarty nietylko przez dwóch tych malarzy, ale przez całą tradycyę szkół: rzymskiej i bolońskiej, tradycyę jedności. Z małym bardzo wyjątkiem w każdym obrazie Czechowicza, wszystkie figury skupiają się nietylko fizycznie, ale i duchowo około głównej grupy. Przestrzega on ściśle tej klasycznej jedności. Nie ma więc figur oderwanych, nie stojących w pewnym związku z treścią obrazu. Oryentowanie się wskutek tego jest łatwem, kompozycyę całą obejmuje się od jednego spojrzenia, nic w niej nie rozprasza uwagi na różne strony, nie utrudnia zrozumienia treści. Rysunek Czechowicza jest prawie zawsze poprawny, po-

rządny, nieraz ładnie narysowane zwłaszcza ręce i nogi. A koloryt? — ten jest bez przesady mówiąc — bardzo piękny i pociągający. Przypomina on Marattę, nie ma jednak jego głębokości. Barwy żywe, dostrajają się mimo to do pełnego harmonii tonu, który jest to złoto-żółty, to znowu niebieskawy. Ale dominującym jest pierwszy; ta barwa, która w królestwie kolorów odpowiada najlepiej usposobieniu pogodnemu, wesołości, radości. U Czechowicza jest ona prawdziwym wyrazem jego natury szlachetnej, pogodnej, radującej się Prawdą i Dobrem, dążącej do Piękna. Zaznaczyłem już powyżej wpływ Maratty na Czechowicza: dodam jeszcze, że kreacye Maratty, pełne wdzięku, słodyczy i łagodności wpływ swój wywarły na dziełach ucznia, u którego również rysem dość wybitnym obok innych jest właśnie ta pogoda, wdzięk, uczucie. Z tego, co powiedziano, wynika, że Czechowicz był w całem znaczeniu tego słowa eklektykiem. Tak, był nim rzeczywiście; ale nie tym bezmyślnym, goniącym tylko za formą, za linią, za barwą, nie bezdusznym kompilatorem, ale artystą, który w te kształty, bez kwestyi nieraz zapożyczone, umiał wlać swoje własne głębokie uczucie, swą duszę.

Jest on rzadkim na owe czasy malarzem, którego duszę, charakter poznać dają jego dzieła, a dlatego, że jest tylko szczerym, że nie ma żadnej różnicy między zasadami i uczuciami artysty, a ich przeprowadzeniem w dziele sztuki, które jak zwierciadło wiernie odbija charakter artysty. O ile w kompozycyi, rysunku, kolorystyce jest Czechowicz prawie Włochem, o tyle tem uczuciem religijnem, otwartem i szczerem jest na prawdę dawnych czasów Polakiem i ta jego uczuciowa, polska pobożność, polska wrażliwość nadaje obrazom jego pewne narodowe piętno, którego nie nadałyby np. kontusze chłopców w obrazie: „Cud św. Jana Kantego“.

Jeszcze jedna, lecz wielka Czechowicza zaleta: muzyczny nastrój jego obrazów.

Sztuki piękne, jak muzy jednemu hołdują bogu, bratniemi są sobie duszami. Stąd wspólne między niemi rysy, niejedne podobieństwa. Czy sztuka dramatyczna nie jest *par excellence* plastyczną?, czy na odwrót rzeźba nie ma wiele dramatycznych

akcentów? Czy muzyka nie ma w sobie całej gamy barw, świateł i cieni, a z malarstwa czy nie wydobywają się ukryte dźwięki tonów, jakby wielkiej muzycznej harmonii? Baudelaire gdzieś powiedział: „Wonie, kolory i brzmienia podobne są do siebie“ [1]. Nie mówiąc na razie o pierwszych, między dwoma ostatniemi podobieństwo to stwierdzić wypada. A to podobieństwo różne jak różne wpływy wieków, które je wydały. Dziś np. uderzyć każdego musi wielka niezaprzeczenie analogia między Wagneryzmem w muzyce, symbolizmem w poezyi, a impresyonizmem w malarstwie. Te same wspólne cechy odszukać się dają między sztukami pięknemi w XVIII. wieku, który nas tu specyalnie obchodzi; wpływy wzajemne malarstwa i muzyki są w wieku tym niezwykle widoczne. Epoka to wielkich mistrzów oper: Scarlatti'ego, Gregori'a Allegri, autora słynego *Miserere*, Porpor'y, którego opery ujmowały współczesnych melodyjnym wdziękiem i rozgłos mu światowy uczyniły. Jak w muzyce tak i w malarstwie włoscy mistrze na pierwszych jeszcze grali skrzypcach; do Rzymu z całego świata zjeżdżali adepci pendzla, chciwi nauki, i tam otaczała ich cała ta atmosfera wielkich oper, wspaniałych kościelnych symfonii, znakomitych jak: Salimbeni, Gabrieli, Farinelli, Uberti, śpiewaków. Nie pomylę się, zdaje mi się twierdząc, że ten ogólny do opery zapał i na dziełach rzymskich, wogóle z włoskich szkół wyszłych artystów się odbił. Czy rzeczywiście te wielkie płótna, zwłaszcza religijne, nie mają w sobie coś z operowej pompy i operowego stylu? I na Czechowiczu wpływ ten widoczny. W Rzymie lat tyle przesiedział, nasłuchał się nieraz zapewne i przepysznych chórów kaplicy sykstyńskiej, nie jeden raz przysłuchiwać się z zachwytem musiał *Miserere* Allegri'ego, i widzieć i znać niejedną operę, nie-

[1] Tyle poeta; a uczony węgierski p. Zygmunt Richard w rozprawie czytanej na posiedzeniu peszteńskiej Akademii Umiej. (6 grudnia 1897 r.): „O wrażeniach z barw odbieranych“, tę samą potwierdza teoryę poety: „Wrażenia odbierane z kolorów są analogiczne tonom muzycznym, jak z drugiej strony bezbarwne wrażenia światła przypominają tony bez muzycznej melodyi. Ta analogia wrażeń znajduje swój wyraz w używanych wyrażeniach ‚melodya pełna kolorytu‘ i ‚koloryt o muzycznym nastroju“, *Pester Lloyd* nr. 293 z 7 grudnia 1897.

jednego pierwszorzędnego śpiewaka. Więc nic dziwnego, że w całem jego dziele przebija się muzyczny jakiś nastrój i ton operowy, z którym wybornie harmonizuje się jego koloryt, to żywy naprzemian, to delikatny i subtelny, i z którym to tonem muzycznym, tak dobrze zlewa się słodkie, religijne uczucie w wyrazach twarzy, we wszystkich Czechowicza obrazach. I to może jeden z wielkich jego uroków—kto wie, czy nie z największych zalet. Bo czyż obraz religijny nie będzie wtedy do uczucia najsilniej przemawiał, jeśli pociąga jakąś wewnętrzną harmonią muzycznych tonów, tonacyą barw harmonizujących się z sobą?

Jego wady. Kto ich nie ma jako człowiek? jaki artysta jest zupełnie od nich wolnym, zwłaszcza malarz XVIII. wieku, kiedy przebrzmiały wielkie, świetne czasy sztuki. Do wad zaś specyalnych XVII. i XVIII. wieku należy przedewszystkiem teatralność obliczona na efekt. Miał ją Maratta, miał ją także Czechowicz, ale w stopniu tak małym, tak nieznacznym stosunkowo, jak tylu nie wielu artystów współczesnych. W stanowczy teatralny styl nie wpadł, co ratowała go jego szczerość uczuć jego głębokie religijne przekonanie, z jakiem malował swe obrazy. Większą natomiast wadą Czechowicza jest modelunek. Różni się on od modelunku Maratty bardzo: bo gdy u Maratty jest on zaokrąglony, wykończony, u Czechowicza nieraz jest jakby rozmazany, powiedziałbym szkicowo traktowany. Grzeszy także Czechowicz traktowaniem draperyi, zapożyczonem nietylko od mistrza-Maratty, ale także od licznych współczesnych mu artystów. Jest ono nie rzadko dosyć ciężkie, sztywne, fałdy malowane zbyt pobieżnie, szeroko, ale powtarzam, nie z tem szerokiem dotknięciem pendzla artysty wielkiego, ale z jakiemś lekceważeniem, z jakąś pewnością siebie, kiedy tej pewności najmniej możnaby się spodziewać. Ale mimo wszystkich tych usterek jest Czechowicz artystą pełnym talentu, największym, najlepiej rozumiejącym istotę malarstwa religijnego w Polsce XVIII. w., kto wie, czy nie w całej sztuce polskiej? Współczesny mu Konicz (Cuntze) również uczeń Maratty przewyższa go może wielkością talentu, nie dorównywa mu siłą uczucia religijnego. Franciszek Smuglewicz, początkowy Czechowicza uczeń, pod każdym wzglę-

dem stoi od niego niżej, razi nas nadto swoim zimnym, ceremonialnym pseudo-klasycyzmem. Co zaś do współczesnych, cudzoziemskich malarzy w Polsce osiadłych, to Czechowicz nie może się z nimi mierzyć jako talent, przewyższa ich natomiast wszystkich brakiem niemal zupełnym, zmanierowanego stylu, szczerością swego natchnienia. Przypominają mi się mimowoli słowa Goethego z „Fausta“: *Denn es muss vom Herzen gehen, was auf Herzen wirken soll;* tak Czechowicz kreacye swe wydobył z silnie wierzącego serca i dlatego przemawiają one do wierzących, a interesować muszą każdego miłośnika sztuki. W dziele Czechowicza prawda złączyła się z pięknem i dlatego podobać się musi, jak pięknie powiedział Boileau: *Rien n'est beau que le vrai, le vrai seul est aimable.*

Dziś, kiedy prawdziwe religijne malarstwo coraz bardziej zdaje się zanikać (czego dowodem, choćby ostatni konkurs malarstwa religijnego w Tow. Sztuk pięknych) dzieła Czechowicza dobitniej niż kiedykolwiek przemówić powinny do dobrej woli reformatorów religijnego naszego malarstwa, że do jego renesansu, koniecznem jest w pierwszym rzędzie odrodzenie wiary.

Dr. Jerzy Kieszkowski.

SYNDYKATY CZYLI STOWARZYSZENIA ROLNICZE

WE FRANCYI.

Union pour la vie.

Wielki przewrót w gospodarczej organizacyi społeczeństw europejskich, który nastąpił z początkiem XIX. w. skutkiem zaprowadzenia swobody gospodarczej w przemyśle i uwłaszczenia włościan, zeszedł się wraz z olbrzymim przewrotem w technice wytwórczej, spowodowanym przez ujarzmienie sił przyrody za pomocą maszyn i wiedzy, i przez oddanie ich w służbę wytwórczości ludzkiej w takim stopniu, o jakim do owych czasów nikt nawet nie marzył.

Oba te czynniki w swem oddziaływaniu na sprawy ludzkie miały obok dodatnich, także i ujemne swe strony. Przy niezmiernym rozwoju cywilizacyi i zasobów materyalnych, zaostrzyła się kwestya społeczna — sprawa przypuszczenia warstw roboczych do większego i sprawiedliwszego, a rozwojowi społeczeństwa lepiej odpowiadającego udziału w korzyściach tegoż rozwoju.

Ale i innych zamożniejszych warstw społecznych dotykały częstsze niż dotąd, przesilenia gospodarcze. Z pomiędzy nich handlowe i przemysłowe szybko przemijały nie zostawiając zwykle dłuższych śladów, przeciwnie przesilenia rolnicze stawiały rolników w bardzo przykrem położeniu. Najdotkliwiej i najogólniej dało się odczuć, przesilenie rolnicze od lat 1880-tych po dziś dzień trwające.

Obok nadmiernego o b d ł u ż e n i a, powstałego przy zmianie

własności przez spłaty spadkowe lub kupno bez wypłaty całkowitej ceny majątku; obok podrożenia kosztów produkcyi rolnej przez wzrost płac roboczych i ciężarów publicznych; obok całego szeregu innych drobnych przyczyn drugo- i trzeciorzędnych — najważniejszym ciosem dla gospodarstwa rolnego był ogólny i wielki spadek cen większej części produktów rolniczych — zwłaszcza zboża. Wskutek bowiem udoskonalenia i potanienia środków przewozowych, tak lądem jak i morzem, wystąpiły na targach europejskich odległe kraje ze swemi płodami, które dla rozmaitych naturalnych i społeczno-gospodarczych powodów, były na tyle niższe w cenie od płodów krajowych, że te przy tej cenie nie zwracały kosztów produkcyi. Do tego przyczyniła się także i organizacya handlu produktami rolnemi, która pośrednictwem swojem zaciężyła nad wytwórcą, a następnie i spożywcą, zagarniając z niewielkim trudem znaczny zysk nie odpowiadający jej usługom.

W tym przykrym stanie uciekli się rolnicy powszechnie do pomocy państwowej; cła ochronne atoli nie zdołały osiągnąć zamierzonego celu — nie podniosły cen. Wobec zaś handlu płodami okazało się państwo bezsilnem.

I oto pod wpływem przykrej niedoli, rolnicy jęli się sami pracy nad poprawieniem swego położenia. Będąc bezsilnymi wobec ucisku cen ze strony zagranicznej konkurencyi, zwrócili całą usilność na obniżenie kosztów własnej produkcyi i na uwolnienie się od wyzysku ze strony pasożytniczych pośredników handlowych.

W krótkim przeciągu czasu przyjęło to dążenie powszechnie formę organizacyi rolników w związki i stowarzyszenia zawodowe i gospodarcze. Anglia, Dania, Niemcy, Belgia szły przodem w tym rozwoju, Francya i Włochy, Irlandya, Stany Zjednoczone, Kanada i inne kraje szybko podążały za niemi, korzystając z wzajemnych na tem polu doświadczeń.

I my nie zostaliśmy w tyle. Nasze „Kółka rolnicze“ w Poznańskiem i w Galicyi co do czasu powstania nie ustępują zagranicznym organizacyom pierwszeństwa — niestety jednak co

do osiągniętych wyników nie mogą się — zwłaszcza u nas w Galicyi — mierzyć z tamtemi.

Dlatego pożytecznem jest zapoznawać się z tem, co obcy rolnicy osiągnęli; badać, czyby ich sposoby i urządzenia nie dały się u nas zastosować, i uczyć się z doświadczeń przez nich poczynionych, czego unikać nam należy. Zbytecznem chyba byłoby dodawać, że należy przy tem dokładnie uwzględnić wszystkie czynniki społeczne, przyrodzone, gospodarcze i psychologiczne, zwłaszcza wtedy, gdy co do nich między obcemi a naszemi stosunkami zachodzi znaczniejsza różnica.

Podejmując próbę zapoznania się z działalnością rolników francuskich, zauważyć musimy, że chociaż Francya dziś mniej nam niż ongi jest sympatyczną, i chociaż, dzięki Bogu, z bałwochwalczego uwielbienia dla wszystkiego, co francuskie, trochęśmy się już wyleczyli, to jednak pewne podobieństwo usposobienia i charakteru, jakie między nami a Francuzami zachodzi, sprawia, że u nich więcej niż gdzie indziej pouczyć się możemy. A zwłaszcza w niniejszym zakresie, podnieść należy, że Francuzi w wyższym niż my stopniu są dla idei stowarzyszania się nieprzystępni, a trudności, jakie ich ustrój społeczno-publiczny rozwojowi tejże idei między rolnikami francuskimi stawia, niemniejsze są jak u nas.

Ponieważ pole, na które wchodzimy, bardzo jest obszerne i wielostronnych wymaga badań, piszący te słowa sądzi, że może z tego tytułu liczyć na pobłażliwość czytelnika, a cel swój uzna za osiągnięty, jeżeli tym zarysem zainteresowanie dla przedmiotu obudzi i do dokładniejszego badania tych rzeczy zachęci.

I.

Zacznijmy od rozwoju syndykatów rolniczych we Francyi.

Wielka rewolucya francuska obalając urządzenia *ancien régime*, poszła w swojej gorliwości w niejednym względzie za daleko; zwłaszcza na polu ekonomicznem nowy porządek zaprowadzono bez żadnego przejścia i przygotowania. Aby zaś raz na zawsze zapobiedz odżyciu dawnych, co prawda przykrych, czasem znienawidzonych urządzeń, pod wpływem doktryn poli-

tycznego i ekonomicznego liberalizmu, które wtedy jeszcze nie odbyły szkoły praktycznego życia, próbowała rewolucya pełnię wolności gospodarczej zabezpieczyć zakazem koalicyi tak pracodawców jak i pracowników, nie bacząc że w ten sposób wbrew własnej zasadzie wolność ową ograniczała.

Ustawa z 2 marca 1791 znosiła cechy i korporacye i ogłaszała wolność podjęcia i wykonywania każdego zawodu. Ale już ustawa z 17 czerwca 1791 zabraniała jakiegokolwiek połączenia się przedsiębiorców i robotników, którzy ten sam zawód wykonują, w celu pielęgnowania i bronienia wspólnych interesów. Kodeks karny przez art. 291 - 294, rozszerzył ten zakaz oznaczając jako karygodne związki więcej niż 20 osób łączących się w celach religijnych, politycznych i innych, a ustawa z 10 kwienia 1834 zastosowała powyższe artykuły do towarzystw rozdzielonych na oddziały o mniejszej liczbie członków niż 20, zagrażając karą więzienia. — Wreszcie artykuły 414—416 kodeksu karnego zabraniały porozumiewania się robotników (a od r. 1849 także i pracodawców) celem regulowania umowy roboczej i wpływania na nią przez kary i zmowy.

Tak więc według prawa, wszelki związek gospodarczy był niedozwolony — ale naturalne parcie interesów ekonomicznych wzbudziło rychło ducha stowarzyszeń tak między pracodawcami, jak i robotnikami. Rząd wnet zaczął patrzeć na to przez palce. Już 1868 tolerowano związki zawodowe przedsiębiorców, a potem i robotników; gdy się zaś coraz bardziej mnożyć zaczęły, uznało prawodawstwo ich istnienie, regulując je ustawą o syndykatach zawodowych z 21 marca 1884 r.

Kiedy taki obrót rzeczy nastał w handlu, przemyśle, wogóle w miejskich kołach, to w rolniczym zawodzie (jeżeli pominiemy starodawne spółki serkarskie i pastwiskowe w alpejskich pogórzach) nie spotykamy żadnych jeszcze śladów gospodarczej asocyacyi.

Dwie główne tego przyczyny można przytoczyć;

Przedewszystkiem intellektualny stan chłopów. Oni bowiem tylko w rachubę wchodzą z powodu rozsprzedaży

„dóbr narodowych“ skonfiskowanych dawnej szlachcie francuskiej przez rewolucyę. Było bowiem w procentach

	gospodarstw		powierzchni	
	1882	1892	1882	1892
niżej 1 ha	38.2	39.0	2.2	2.7
od 1—10 ha	46.5	47.4	22.9	22.8
od 10—40 ha	12.8	12.2	29.9	29.4
ponad 40 ha	2.5	2.4	45.0	45.1
	100.0	100.0	100.0	100.0

Własność ziemska ponad 200 ha. zajmowała w 1884 roku 16.23% powierzchni. Po oddzieleniu 7 milionów hektarów, będących w posiadaniu państwa, gmin, ciał publicznych i t. d., wynosiła w liczbach absolutnych okrągło:

mała	własność (do 10 ha)	17 mil. ha
średnia	„ (10—40 ha)	12 „ „
wielka	„ (nad 40 ha)	14 „ „

Widzimy więc, że wielka własność ziemska małą odgrywa we Francyi rolę, tembardziej, że przeważnie wypuszczaną bywa w małą dzierżawę lub w t. zw. współdzierżawę *(métayage)*. I tak było w procentach

	gospodarstw		powierzchni uprawnej	
	1882	1892	1882	1892
w dzierżawie . . .	13.82	19.19	27.24	36.46
w spółdzierżawie .	6.42	6.19	12.99	10.85
	20.24	25.38	40.23	47.31

Chłopi francuscy nabywszy w długoletniem poddaństwie licznych złych właściwości, jakoto głupoty, zakamieniałości umysłowej, rutynizmu, nieufności do wszystkiego i wszystkich i t. d., nie mogli po uwłaszczeniu rychło się ich pozbyć i znajdowali w nich przeszkodę rozwoju i postępu. Oświata zwolna tylko przenikała, przymus szkolny bowiem dopiero w r. 1881 zaprowadzono. Nadto wszystkie rozbudzone i przedsiębiorcze żywioły podążały z ogólnym prądem ze wsi do miasta, gdzie znajdowały zarobek łatwiejszy i dobrobyt większy, podczas gdy na wsi zostawały mniej dzielne elementa. Że przy tym doborze naturalnym w ujemnym kierunku, wieś i rolnictwo nie mogły wstąpić na nowe drogi — to zupełnie jasne, tembardziej, że więksi posiadacze ziemscy hołdowali absentyzmowi, wypuszczając swe majątki chło-

pom w dzierżawę. Oprócz tego musiało położenie rozrzucone gospodarstw na wsi stawiać przeszkody łączeniu się celem trwałej pracy w jednym kierunku, do czego przyczyniała się wrodzona Francuzom niechęć do łączności i podporządkowania się.

Niemniej wpływu miała i ta okoliczność, że od czasu rewolucyi rolnictwo z małemi wyjątkami znajdowało się w pomyślnej konjunkturze. Produkty rolnicze podnosiły się ciągle w cenie i znajdowały w szybko mnożącej się ludności miejskiej chętnych i dobrze płacących odbiorców. Realny zaś podział gruntów, oparty na prawie i zwyczaju, ułatwiał zmianę posiadania tak, iż każdy pracowity i oszczędny bezrolny pracownik mógł z czasem nabyć grunt i gospodarstwo i w ten sposób o własnych siłach na wyższy szczebel społeczny się dostać. Nie było więc podstawy dla idei asocyacyi. Jeżeli nadto uwzględnimy, że znana oszczędność francuskiego włościanina przychodziła z pomocą jego zamiłowaniu gospodarowania li tylko własnym kapitałem, łatwo zrozumieć, że ani niepomyślny stan, ani potrzeba kredytu nie zbliżały wieśniaczej ludności do siebie.

Ale taki stan rzeczy zmienił się od razu, gdy konkurencya zamorskich, tanio produkujących, młodocianych krajów nietylko wywóz produktów rolnych podcięła, lecz i na wewnętrznym targu zaczęła ceny obniżać. Ochrona cłowa nie mogła temu zupełnie zapobiedz, i w ten sposób znalazł się rolnik francuski wobec zadania obniżenia kosztów swojej produkcyi, aby się wobec owej konkurencyi utrzymać. A gdy równocześnie płace i ciężary wzrosły, tylko przez uintenzywnienie gospodarstwa można to było osiągnąć, z czego wynikła zwiększona potrzeba kapitału obrotowego, którego dostarczenie dla rolnictwa jest powszechnie wobec dzisiejszych warunków i urządzeń społecznych bardzo trudną rzeczą.

W ten sposób znalazło się francuskie rolnictwo w przykrem położeniu, gdy w nieprzewidziany sposób ustawa o stowarzyszeniach zawodowych, wydana dla sfer przemysłowych, okazała się przydatną i dla interesów rolniczych.

Zanim się zapoznamy z tą ustawą, rzućmy jeszcze okiem

na pewne instytucye i towarzystwa rolnicze, które już dawniej we Francyi istniały.

Próby rządów, aby stworzyć urzędowy organ doradczy, samoistne zastępstwo rolniczych interesów, od dyrektoryatu po dziś dzień częstokroć powtarzane, nie miały pomyślnego wyniku. I nic dziwnego wobec przewagi wpływów handlowo-przemysłowych. Wszakże i samoistne ministeryum dla rolnictwa dopiero 14 listopada 1881 r. ustanowionem zostało. Miejsce zamierzonych izb zastępowała do pewnego stopnia istniejąca od r. 1761 *Société nationale d'agriculture*, która po burzach rewolucyi otrzymała 1798 r. od Napoleona urzędowy charakter centralnego zastępstwa rolniczych interesów Francyi. Do tego głównego towarzystwa w Paryżu dołączyły się również półurzędowe, miejscowe towarzystwa — *comices agricoles* — których liczba około 1880 r. wynosiła 529.

Obok nich powstały dwa swobodne towarzystwa, ogarniające również całą Francyę: w r. 1868 *Société des agriculteurs de France*, uwzględniające większą własność; w r. 1878 *Société nationale d'encouragement à l'agriculture*, małych gospodarstw poparcie na oku mające.

Lecz tak tamto towarzystwo półurzędowe, jak i oba swobodne, zajmują się tylko ogólnemi interesami rolnictwa, badaniem jego stanu, popieraniem postępów wiedzy rolniczej i t. d. nie wkraczając czynnie w dziedzinę gospodarstwa wiejskiego i nie podnosząc w niem zasady samopomocy i stowarzyszania; chociaż więc na tamtych polach wielkie zasługi położyły, dla naszego zadania muszą pozostać na uboczu.

Istniejące we Franche Comtè spółki serkarskie nie miały również pełnego ducha stowarzyszeniowego, chyliły się ku upadkowi i na resztę Francyi wogóle wpływu nie miały. Ustawa z 21 czerwca 1865 r. dozwalała wprawdzie na tworzenie się stowarzyszeń, mających na celu odparcie szkód i niebezpieczeństw żywiołowych lub też uskutecznienie melioracyj, ale ponieważ do tego ostatniego celu wymagała ogólnego zezwolenia interesantów, więc też i postępy nieznaczne były, lubo znaczny 100-milionowy kredyt jeszcze od r. 1866 stał na ich usługi. Do

r. 1875 wyczerpano zaledwie $1^1/_2$ mil. franków. Wreszcie ustawą z 2 sierpnia 1879 dozwalano na tworzenie się przymusowych syndykatów dla walki z filokserą, niszczącą winnice. Lecz tak te syndykaty, jak i powyższe melioracyjne, miały tylko jeden ściśle oznaczony cel, obejmowały li tylko zainteresowanych właścicieli gruntów i trwały tylko przez ograniczony czas: nie można ich więc uważać za organizacyę gospodarczo-społeczną rolników.

Widzimy więc, że aż do 1884 r. rolnicy francuscy, ogółem wziąwszy, w gospodarstwie narodowem zupełnie w rozsypce się znajdowali i narażeni byli oprócz niebezpieczeństw niepomyślnego położenia gospodarczego, także na wyzysk ze strony więcej już zorganizowanych przemysłowców, kupców i pośredników, nie mając żadnej przeciw temu obrony.

Wracamy teraz do ustawy o syndykatach zawodowych. Projekt jej wniósł rząd do Izb prawodawczych 22 listopada 1880. Po $3^1/_2$-letniem odsyłaniu tegoż od jednej instancyi do drugiej ogłoszoną została ustawa z dnia 21 marca 1884 r. Tekst jej jest następujący:

Art. 1. Ustawa z 14—27 czerwca 1791 r. i art. 419 kodeksu karnego zostają zniesione. Art. 291, 292, 293, 294 kodeksu karnego i ustawa z 18 kwietnia 1834 r. nie mają zastosowania do syndykatów zawodowych,

Art. 2. Syndykaty albo stowarzyszenia zawodowe, także więcej niż dwudziestu osób, które ten sam zawód, te same rzemiosła, albo pokrewne, do wytworzenia oznaczonych produktów służące zawody wykonywują, mogą się swobodnie zawiązywać bez przyzwolenia rządu.

Art. 3. Syndykaty zawodowe mają wyłącznie za przedmiot studyum i obronę interesów ekonomicznych, przemysłowych, handlowych i rolniczych.

Art. 4. Założyciele każdego syndykatu zawodowego są obowiązani deponować statuty i nazwiska tych, którym z jakiegokolwiekbądź tytułu powierzono zarząd lub kierownictwo.

Deponowanie to ma nastąpić w merostwie tej miejscowości, gdzie się syndykat utworzył, a w Paryżu w prefekturze Sekwany.

Złożenie to odnawiać należy przy każdej zmianie statutów lub dyrekcyi. Udzielenie statutów prokuratorowi Republiki odbywa się przez mera lub prefekta Sekwany.

Członkowie każdego syndykatu zawodowego, którym powierzonym będzie zarząd lub prowadzenie tegoż syndykatu, muszą być Francuzami i znajdować się w pełni praw obywatelskich.

Art. 5. Zawodowe syndykaty, założone regularnie według przepisów niniejszej ustawy, będą się mogły swobodnie z sobą łączyć w celu studyowania i obrony swych interesów ekonomicznych, przemysłowych handlowych i rolniczych.

Te związki są obowiązane, stosownie do § 2 art. 4, podać nazwiska syndykatów, z których się składają.

Nie mogą one ani nieruchomego majątku posiadać, ani z sądem mieć do czynienia.

Art. 6. Syndykaty zawodowe majstrów lub robotników mają prawo występować przed sądem.

Mogą one rozporządzać sumami powstałemi z wkładek.

Atoli nie mogą nabyć innego majątku nieruchomego, jak ten, który im będzie potrzebny do ich zebrań, bibliotek i do fachowych kursów.

Mogą bez umocowania, lecz w zgodności z innemi postanowieniami ustawy, między swymi członkami zakładać specyalne. wzajemne kasy pomocy i pensyjne.

Mogą dowolnie urządzać i prowadzić biura informacyjne dla podaży i popytu pracy.

Mogą być zapytywane o zdanie we wszystkich spornych sprawach i we wszystkich kwestyach, odnoszących się do ich specyalnej dziedziny.

W sprawach spornych mają być opinie syndykatów przedstawiane stronom, które z nich mogą wziąć powiadomienia i odpisy.

Art. 7. Każdy członek syndykatu zawodowego może każdocześnie ze stowarzyszenia mimo wszelkiej temu przeciwnej klauzuli wystąpić, jednak nie naruszając prawa syndykatu zażądania wkładki za rok bieżący.

Każdy, kto z syndykatu występuje, zatrzymuje prawo pozostania członkiem towarzystwa wzajemnego wsparcia i kasy zaopatrzenia na starość, do których majątku przyczynił się przez wkładki lub wpłaty pieniężne.

Art. 8. Gdy własność nabyto w sprzeczności z postanowieniami art. 6, mogą nieważności nabycia lub darowizny zażądać prokurator Republiki lub interesowani. W razie nabycia *titulo oneroso*, będą nieruchomości sprzedane i suma pieniężna złożona do kasy stowarzyszenia.

W razie darowizny wraca majątek do dawcy albo jego spadkobierców, albo innych osób, mających prawne pretensye.

Art. 9. Przekroczenia przepisów art. 2, 3, 4, 5 i 6 niniejszej ustawy będą ścigane w osobach dyrektorów lub zarządców syndykatów i karane grzywną od 16 do 200 fr. Sądy mogą ponad to, na staranie prokuratora, postanowić rozwiązanie syndykatu i nieważność nabytków nieruchomości, poczynionych w niezgodzie z postanowieniami art. 6.

W razie fałszywych danych co do statutów lub nazwisk i charakteru zarządców i dyrektorów, może być kara podwyższona aż do 500 fr.

Art. 10. Niniejsza ustawa ma zastosowanie w Algeryi.
Również w koloniach: Martynice, Gwadalupie i Réunion.
Obcy jednak i jako przychodźcy zatrudnieni robotnicy, nie mogą należeć do syndykatów.

Podaliśmy umyślnie cały tekst *in extenso*, aby pokazać, jak dalece ustawa ta przykrojona jest do potrzeb przedsiębiorców i robotników przemysłowych. Również i okólnik ministra spraw wewnętrznych, Waldeck-Rousseau, do prefektów departamentalnych, zawierający objaśnienia ustawy i zalecający gorąco poparcie przemysłowych syndykatów, zachowuje głębokie milczenie co do stosunku tej ustawy do rolnictwa.

Rzeczywiście tak na to nie reflektowano, że dopiero przy trzeciem czytaniu w senacie na wniosek senatora Oudet'a dodano w artykule 3. słowa: „i rolniczych". Ale chociaż ustawa ta rolniczych interesów bezpośrednio nie uwzględniała, to jednak była oparta na dostatecznie szerokiej podstawie, aby umożliwić zastósowanie jej w rolnictwie, i ono też właśnie wbrew wszelkim oczekiwaniom największą z niej korzyść odniosło.

Usunięcie przykrych formalności, nadzoru i zezwolenia władzy, udzielenie charakteru osobistości prawnej, którego we Francyi bardzo oszczędnie udzielają (np. instytucye dobroczynne nie mają go), brak wszelkich przepisów co do urządzenia zarządu i t. d., któreby mogły stanąć w sprzeczności z miejscowemi warunkami — wszystko to stworzyło wolne pole dla rozwijających się z wewnątrz organizacyjnych dążeń rolników.

Nim jeszcze ustawa wydaną została, założył departamentalny profesor rolnictwa Tanviray w marcu 1883, w Blois związek mający na celu wspólne zakupno nawozów sztucznych i pouczanie członków o należytem ich użyciu. Potrzebę rozpowszechnienia tychże propagowały już od dawna prasa, towarzystwa, nauczyciele rolnictwa i t. d., lecz dla nierzetelności handlu i wysokich cen nadaremnie; związek zaś w Blois występując ze znacznem zamówieniem, zdołał otrzymać korzystną cenę o 10 fr. na centnarze metrycznym niższą, a za pomocą kontroli chemicznej zapewnił sobie również jakość produktów. Taki bezpośredni cel i praktyczne wyniki zyskały mu wielu zwolenników i dały mu

silne podstawy do działalnosci, choć ten cel na pozór był ciasny i ograniczony. Po wydaniu ustawy o syndykatach przemienił się ten związek w legalny syndykat dla departamentu Loir-et-Cher.

Przykład nie pozostał bez wpływu.

Dnia 17 listopada 1884 r. założył Milcent syndykat rolniczy w Poligny, dep. Jura, który stał się prawie typowym przykładem dla innych. Swobodne to stowarzyszenie zamierza przywrócić pracę rolniczą do dawnej czci, popierać korzystne nabywanie bydła i maszyn gospodarczych, rozpowszechniać wiadomości techniczne i lepsze sposoby uprawy, oraz starać się wobec władz o zmniejszenie ciężarów, obarczających rolnictwo. Obejmowało ono z początku powiat *(arrondissement)*, ale wnet musiało rozdzielić się w oddziały kantonalne dla ułatwienia przystępności członkom. Rada zarządzająca składa się z kilkunastu członków, wybieranych po jednym z każdej sekcyi, gdzie tenże zarazem przewodniczy. Członkowie płacą po 3 fr. rocznej wkładki, zaś członkowie-założyciele po 20 fr. Syndykat uzyskał dla swych członków 25% opustu u fabrykantów maszyn i narzędzi, bezpłatną pomoc prawną u 4 adwokatów, oraz założył wzajemne stowarzyszenie pożyczkowe.

Gdy za temi przykładami zaczęły powstawać w różnych okolicach Francyi syndykaty rolnicze, zwróciło Towarzystwo rolników francuskich *(Société des agriculteurs de France)* na nie swoją uwagę i już na posiedzeniu z 14 lutego 1885 przyrzekło im swoje poparcie. Jeden z członków rady zarządzającej, Deusy, rozpoczął prawdziwe apostolstwo słowem i piórem za rozwojem syndykatów i znaczne na tem polu położył zasługi. Towarzystwo zaś wysadziło osobny wydział pod przewodnictwem honorowego prezydenta przy trybunale paryskim, Sénarta, który zajął się zbadaniem przystosowania nowej ustawy do syndykatów rolniczych. Ogłoszone wyniki posłużyły za przewodnię. A gdy w r. 1886 już blizko 80 syndykatów istniało, założyło Towarzystwo 3 marca 1886 r. pod swoją opieką „Związek syndykatów rolników francuskich“ w Paryżu, mający następujące zadania:

1. Służyć syndykatom za główny punkt dla porozumiewania się i udzielać im odpowiednich wiadomości, aby im ułatwić interesa handlowe i ich obronę.

2. Zachęcać do zakładania nowych syndykatów.

3. Zbierać wszystkie wiadomości, zwłaszcza zagraniczne, co do zbiorów, położenia handlowego i targowego i t. d., aby w ten sposób wskazywać drogę syndykatom.

4. Udzielać im rad i wskazówek we wszystkich sprawach, technicznych, gospodarczych i spornych, odnoszących się tak do syndykatów, jak też do ich członków.

5. Wreszcie ułatwiać im korzystanie z laboratoryum Towarzystwa rolników dla analiz ziemi, nawozów i t. d.

Ponieważ jednak związek według ustawy nie ma charakteru osoby prawnej, założył on obok siebie „Centralny syndykat rolników francuskich“ w Paryżu dla prowadzenia interesów handlowych. Ponieważ i on nie może z innemi syndykatami ani kupna, ani sprzedaży prowadzić, więc tylko pośredniczy bezinteresownie w zbliżeniu syndykatów i kupców i czuwa nad temi interesami. W swoim, dwa razy miesięcznie wydawanym, *Bulletin'ie* ogłasza ceny i warunki i jest jakby regulatorem tychże.

W tym samym roku założyło Towarzystwo rolnicze departamentu Indre syndykat, który w swoich statutach „obronę interesów ekonomicznych i rolniczych“ tak określił:

Celem syndykatu jest:

1. Domagać się od władzy odpowiednich reform w ustawodawstwie rolnem, obniżenia ciężarów publicznych, taryf kolejowych, akcyzy i t. d.

2. Rozszerzać naukę rolniczą za pomocą pogadanek, broszur, bibliotek i t. d.

3. Rozszerzać lepsze sposoby uprawy, nawozy, maszyny, aby obniżyć koszta produkcyi.

4. Zakładać stowarzyszenia kredytowe, spółdzielcze, kasy wzajemnej pomocy, wsparć i ubezpieczeń od wypadków, biura informacyjno-handlowe dla zakupna maszyn, nawozów, zwierząt, paszy, i sprowadzania robotnika.

5. Służyć za pośrednika przy zakupnie surowców i sprzedaży wytworów, aby jak największy zysk dla rolników zatrzymać,

6. Czuwać nad dostawami tak dla członków, jak i przez członków uskutecznianemi, aby przestrzegać w nich należytej rzetelności.

7. Udzielać rady we wszystkich sprawach rolniczych, być rozjemcą i rzeczoznawcą przy sporach.

Działalność swą rozpoczął syndykat od zakupna nawozów na wielką skalę, oczywiście po zniżonych cenach i za kontrolą chemiczną: zatem poszły zakupy nasion, paszy, maszyn i t. d.

Powstawały więc rozmaite syndykaty; w Prowancyi winogrodnicze i jedwabnicze, w Burgundyi chmielarski, a równocześnie w Cher syndykaty robotników leśnych, owianych duchem socyalistycznym.

W znacznie przeważnej jednak części są one mieszane, tj. składające się ze wszystkich warstw wiejskich, zwłaszcza posiadaczy i robotników, przez co następowało wzajemne zbliżenie na gruncie wspólnych interesów. Syndykaty stawały się zwolna żywemi ciałami o własnem życiu w przeciwieństwie do jednostek i dawnego indywidualizmu; w tej wspólnej pracy każdy znajduje dla siebie pole i zadanie, a działając dla dobra ogólnego, korzysta zarazem ze wspólnych wyników.

Poparcie syndykatów było wszechstronne. Zwłaszcza departamentalni nauczyciele rolnictwa, którzy według ustawy z 1878 zostali stopniowo mianowani w każdym departamencie i mają poruczone między innemi wykłady wędrowne, z całą gorliwością oddali się na ich usługi, stanowiąc w ten sposób ważną siłę fachową. Dalej wielcy posiadacze, znajdując teraz społeczny punkt oparcia na wsi, poświęcili syndykatom swoje siły i wpływy, bardzo często i fundusze, obejmując kierownictwo. Wiele owych *Comices agricoles* i towarzystw rolniczych przeistoczyło się w syndykaty. Na ich czele stawają senatorowie, członkowie Instytutu, rad departamentalnych i t. d.; aby tylko wymienić kilka znanych nazwisk: ministrowie Deville, Méline, dyrektor *Crédit foncier*, Christophle, ekonomista Paweł Leroy-Beaulieu, Sénart, członkowie *Société nationale d'agriculture*, jak Monicault, Emma Gréa, markiz de Poncins, Tiersonier, Marc de Haut, Josseau, Emil Gatellier i inni.

Wobec podrożenia pracy i zniżki cen szukano i znajdowano w syndykatach rzeczywiście środek do zwalczania przesilenia rolniczego.

Jak się organizacya i działalność ich coraz bardziej rozwijała, widzimy to na syndykacie w Poinçon-les-Larrey w Burgundyi, założonym po przezwyciężeniu rozmaitych trudności

i przeciwieństw, który po dwóch latach już 17 gmin ogarnął. Wydział czyli biuro prowadzące interesa składa się z przewodniczącego, sekretarza, skarbnika i trzech członków; pod jego nadzorem stoi główny magazyn w Poinçon. W miejscowościach, gdzie się znajduje przynajmniej 30 członków syndykatu, zakłada się biuro miejscowe wraz ze składem. Te oddziały wysyłają po jednym członku do rady zarządzającej, która zajmuje się ogólnemi sprawami syndykatu i nadzoruje czynności biura. Walne zgromadzenie odbywające się co pół roku, wybiera zarząd i przyjmuje sprawozdania. W celu zebrania kapitału ma rada prawo wypuścić aż do wysokości 20.000 fr. imienne obligacye po 50 fr., które półrocznie 5% przynoszą i tylko przez członków mogą być posiadane. Wypłatna zwrotna następuje za 3-miesięcznem wypowiedzeniem po wylosowaniu ze strony syndykatu, a za 6-miesięcznem ze strony posiadaczy.

Oddziały podają swoje zbiorowe zamówienia towarów do wiadomości rady, która powierza zakupno prezesowi. Uskutecznia on je wprost u dostawcy, lub za pomocą submisyi tj. konkurencyi między kupcami, który da taniej. Członkowie za zobowiązania syndykatu ręczą solidarnie. Towary dostawiane są członkom wprost, zwłaszcza surowce, lub co dwa tygodnie do składów oddziałowych, co się tyczy przeważnie wiktuałów i różnych utensyliów. Syndykat więc zakupuje na wielki kamień za gotówkę i odstępuje towary oddziałom z 6-procentową dobitką do ceny i pewną zwłoką płatniczą, one zaś oddają je członkom li tylko za gotówkę, przez co ryzyko się zmniejsza.

Za tym przykładem poszły wnet okoliczne związki.

Organizacya coraz liczniejszych syndykatów stawała się jednak z czasem jednostajniejszą. Nowe bowiem urządzały się na wzór już wypróbowany istniejących, nadto działał wpływ „Związku“ paryskiego i opieka potężnego Towarzystwa rolników francuskich, które koło r. 1893 liczyło przeszło 10.000 członków. Ustanowiło ono osobną komisyę czuwającą nad sprawami syndykatów i wydało w 1888 podręcznik dla rolniczych syndykatów napisany przez J. Boullaire'a i uzupełniony odpowiedniemi wzorami przez Le Conte'a.

Lecz wnet nie brakło i przeszkód i nieprzyjaciół. Skupienie popytu zwłaszcza za nawozami i maszynami gospodarczemi dozwoliło syndykatom zawiązać bezpośrednie stosunki z fabrykantami, którzy wskutek tego mogli prowizyę dotychczas agentom i podagentom płaconą na korzyść syndykatów pominąć i ceny o 20—30% i więcej obniżyć. Przyniosło im to nawet korzyść, gdyż zapotrzebowanie wskutek tego znacznie wzrosło. Za to jednak ominięci pośrednicy, którzy ponadto w fałszowaniu nawozów główny zysk znajdowali, podnieśli wrzask i skargi, do czego przyłączyli się niesumienni fabrykanci, którym grunt z pod nóg usuwała kontrola syndykatów. Gdy prowadzenia interesów handlowych nie można było zabronić syndykatom jako osobom prawnym, więc żądali oni obłożenia ich podatkiem patentowym i poddania pod kodeks handlowy. Przeciw temu broniły się syndykaty usilnie, wywodząc, że nie prowadzą interesów dla zysku, co jest znamieniem handlu, lecz tylko kupują towary dla swoich członków, odstępując im je bez zysku z mierną tylko dobitką na pokrycie kosztów własnych. Obrona bowiem interesów ekonomicznych, zastrzeżona dla syndykatów przez ustawę, wymaga koniecznie działalności czynnej, jeśli niema ze szkodą dla rolników pozostać bezskuteczną. Do tego zapatrywania przychylił się już minister Waldeck-Rousseau w rozporządzeniu wykonawczem do tejże ustawy, wydanem 25 sierpnia 1884, następnie minister handlu Pierre Legrand, odpierając w liście z 27 maja 1888 wywody paryskiej Izby handlowej, stającej po stronie zakusów handlarzy, i dodając, że gdyby ustawa tego nie dozwalała, to nie miałaby po prostu dla rolnictwa żadnego sensu. Takież stanowisko zajął trybunał w Tuluzie, wyrokiem z 26 marca 1889, jednak odnosząc to tylko dla surowców dla rolnictwa potrzebnych.

Łatwiej już było syndykatom uporać się z innemi zarzutami; że mają cele polityczne i wpływają na wybory, że podkopują byt drobnej prasy rolniczej swojemi biuletynami, że ceny towarów zniżają a ceny swoich produktów podnoszą i t. d. Było w tem wiele prawdy, lecz właśnie był to zakres zupełnie uprawnionych interesów ludności wiejskiej.

Zawzięci handlarze spróbowali więc odbić syndykatom odbiorców zniżając ceny artykułów codziennego użytku i spożywczych przedewszystkiem, a że się im to czasem udawało, jęły się więc syndykaty handlu spożywczego już to same, już to zakładając spółki spożywcze. Aby się z przeciwnikami na dobre uporać, postanowiły syndykaty usunąć ich także przy zbycie produktów rolnych.

Znaczne trudności, jakie się przy tem nasunęły, przekonały je, że siły jednostek lub małych związków są w wielkiej organizacyi społeczno-gospodarczej za słabe, że przyszłość należy tylko do karnych i zwartych sił. Wzbudziło to między syndykatami potrzebę łączności. Związek paryski nie mógł przeniknąć w odległe strony, działalność jego musiała się poruszać w kolejach ogólnych, nie mogła się do szczegółowych warunków miejscowych stosować. Musiały więc powstać skupienia mniejsze, do których parło dążenie decentralizacyi, uwolnienia się od wpływów Paryża, oparcia się na gruncie potrzeb lokalnych, każdego żywo dotykających. Powstały związki departamentalne.

Już w 1887 założył prezes syndykatu w Die, de Fontgalland, związek depart. Drôme, który natychmiast podjął hurtowne zakupy dla dwudziestu syndykatów o 6.000 członków. Związek Côte-d'or, pod kierunkiem hr. Lejéas założył centralny syndykat dla interesów handlowych i własny tygodnik. Związek w Jura zajął się serkarniami, w Ardèche zachęcaniem do doświadczeń polowych; *Union beaujolaise* pod przewodnictwem Duporta, założyła biuro pośrednictwa w handlu i sprzedaży, oraz miesięcznik, który w 1893 miał 20.000 odbiorców.

Lecz wnet okazało się, że te małe związki nie mogą dobrze większym zadaniom podołać. Naturalny więc bieg rzeczy, postępując od spodu coraz wyżej, doprowadził do skupienia się na podstawie warunków przyrodzonych i ekonomicznych. Każda bowiem okolica Francyi posiada pewne przeważające kierunki kultury, nadające jej odrębny charakter; tu uprawa zbóż, tu roślin przemysłowych, tam hodowla zwierząt, dalej winnictwo, przemysł serny, owocownictwo i t. d. Te naturalne całości scho-

dziły się przeważnie z granicami dawnych prowincyj. A właśnie w te czasy począł też działać prąd decentralizacyjny, mający prowincyę pobudzić do życia i oswobodzić ją z zawisłości od Paryża.

Roku 1888 w 100-letnią rocznicę Rewolucyi rzucono na zjeździe prowincyonalnym w Romans (Drôme) hasło pracy i reformy socyalnej w duchu i dalszym ciągu Rewolucyi.

Tu znany z swej działalności socyalnej hr. de Mun zwrócił uwagę na brak organizacyi społecznej i podniósł myśl, że należy potworzyć związki i zgromadzenia, któreby niby parlamenty prowincyonalne, podawały swe życzenia do Paryża, do parlamentu Republiki.

W następnym roku już 17 prowincyj wysłało delegatów na zjazd w Paryżu, gdzie wypracowano podany przez hr. de Mun program decentralizacyi zapomocą zawodowej, dobrowolnej asocyacyi. Ruch ten nazwano socyalno-chrześcijańskim.

Pod wpływem więc własnej potrzeby i tego prądu, powstały potężne związki łączące syndykaty jednej lub kilku byłych prowincyj, zwane związkami regionalnymi, *unions régionales.*

Pierwszym był w r. 1892 „Związek syndykatów rolniczych południowo-zachodniej Francyi“ *(du Sud-Est)* w Lyonie, obejmujący 10 depart., mający własny miesięcznik i kalendarz doroczny. Dla prowadzenia interesów handlowych założono akcyjną spółkę handlową: *Coopérative du Sud-Est.*

Tegoż roku powstał Związek Burgundyi i *Franche Comté* (czyli obu Burgundyj) w Dijon, dalej Normandyi w Caen, północnej Francyi w Amiens, środkowej Francyi *(Centre)* w Orleanie, w r. 1893 związek zachodniej Francyi w Angers i inne.

W tych czasach przybyło syndykatom jedno zadanie więcej. Socyalistyczne stronnictwo postanowiło na kongresie w Marsylii (od 24—28 września 1892 r). rozszerzyć swą propagandę także na wieś. Było to niejako „naruszeniem stanu posiadania“ syndykatów rolniczych; stanęły więc one w obronie, a że już były pole zasiedziały, więc też i socyalizm agrarny nie zdołał zapuścić korzeni. Koło r. 1896 było zaledwie 72 syndykaty robotników rolnych, które mają na celu wywalczenie na przedsię-

biorcach lepszych cen i warunków pracy. Atoli są to przeważnie robotnicy ogrodniczy pod większemi miastami i rębacze czyli robotnicy leśni w środkowej Francyi, gdzie w pięciu departamentach znajduje się do 800.000 ha. lasów. Przy ich wyrębie znajduje ludność tamtejsza zarobek, ponieważ jednak i z dalszych okolic garnąć się poczęli spółzawodnicy, obniżając robotnikom miejscowym płacę, powiązali się rębacze w syndykaty, aby strejkami wymusić na przedsiębiorcach usunięcie obcych i podwyżkę płacy. Ten ruch objął do 30.000 rębaczy, z których połowa znajduje się w dep. Cher w 30 kilku syndykatach złączona. Stoją oni zupełnie pod wpływem socyalistycznej partyi i z nią razem przy wyborach postępowali.

To jest jedyny znaczniejszy sukces socyalnej demokracyi na wsi francuskiej. Gdzieindziej bowiem robotnik rolny należy do syndykatu rolniczego wraz z drobnymi chłopami i większymi posiadaczami, poznaje solidarność wspólnych interesów, znajduje życzliwość, pomoc, radę, wsparcie w nieszczęściu, i czuje się zupełnie między swoimi. Tak więc działalność syndykatów rolniczych stworzyła nieprzepartą zaporę dla socyalizmu agrarnego, skuteczniejszą od akcyi państwa.

Dzięki rozwojowi związków i spółek handlowych zdołały syndykaty ująć zakupy surowców i towarów spożywczych w swe ręce; mniej już łatwo było urządzić odbyt produktów gospodarstwa rolnego. Przedewszystkiem starały się syndykaty o objęcie dostaw dla intendantury armii i marynarki, dla władz i ciał publicznych, następnie zaczęły zawiązywać stosunki ze spółkami spożywczemi miejskiemi, które chętnie do tego się przychylały. Atoli trudności piętrzyły się liczne: jedną z niemałych był brak należytej jednolitej ustawy o stowarzyszeniach, co organizacyę spółek handlowych utrudniało.

Te i inne okoliczności podsunęły myśl ściślejszego skupienia sił: wyrazem tego był narodowy kongres syndykatów rolniczych w Lyonie w r. 1894, na którym porozumiano się co do wspólnego postępowania i obrony interesów. Na tymże kongresie spostrzegły syndykaty potrzebę organizacyi kredytu rolniczego i postanowiły się nią zająć. Sposobność była po temu,

bo właśnie 5 listopada 1894 r. wyszła ustawa o wiejskich spółkach kredytowych, która syndykatom zadanie ułatwiła.

Odtąd corocznie odbywają syndykaty kongres coraz to w innej prowincyonalnej stolicy francuskiej, co przyczynia się do wzbudzenia ducha decentralizacyjnego i samodzielności.

Kongres w Lyonie i następne dowiodły, że rolnicy potrafią radzić o swoich interesach, o czem z początku były wątpliwości.

Ośmielone tem syndykaty zagarniały coraz szersze koła swoją działalnością dodatnią, rozszerzając poczucie świadomości własnej i jedności między włościaństwem. Na tej podstawie rozwinął się nieznany dotąd zmysł solidarności między rolnikami francuskimi, zdobycz, jaką nietylko francuscy, ale wogóle wszyscy rolnicy wysoko cenić powinni. „Jeżeli dotąd — mówi sprawozdanie jednego syndykatu — rolnicy byli wyzyskiwani i zaniedbywani, to wina tego leży w braku jedności u nich".

W tej pracy potężny udział wzięli, jak to już uprzednio zauważyliśmy, wielcy właściciele dóbr, i szlachta francuska. Oni byli założycielami i kierownikami, oni wnieśli w syndykaty inteligencyę, znajomość sprawy, osobiste znaczenie i środki materyalne, świecili dobrym przykładem i czynili zadość społecznym obowiązkom swej klasy, szczytnemu hasłu *noblesse oblige*. Nie mniej stanęło obok nich wiejskie duchowieństwo do pracy wspólnej nad dobrem ludności wiejskiej. A chociaż wobec prawa i ekonomicznych celów syndykatów, momenty polityczne musiały ustąpić, to jednak jakby prawem przyrodzonej ciężkości, tak katolickiemu duchowieństwu i stronnictwu, jak i zachowawczym żywiołom szlacheckim, niby dojrzały owoc, plon pracy rzetelnej i dzielnej, przypadło w udziele wzmożenie się ich znaczenia i wpływu. Z drugiej strony na tym neutralnym gruncie zeszły się i zgodnie pracowały obok siebie nieraz wrogie sobie jednostki i stronnictwa polityczne, przez co rozszerzało się zwolna wzajemne wyrozumienie i łagodziły się przeciwieństwa dzielące wieś na wrogie nieraz obozy. Przez podniesienie włościan i wychowanie ich praktycznie przeprowadzone pod względem gospodarczym i społecznym zrobiono wielkie postępy na drodze praktycznej, rzeczywistej demokracyi, co dla całego kraju z pewnością

tylko korzystnem być musi. Dla ruchliwej, niespokojnej Francyi uzyskanie uświadomionego społecznie, gospodarczo i politycznie stanu włościańskiego, oddychającego pełnią życia samodzielnego i nie zawisłego jest zdobyczą nadzwyczaj cenną i na przyszłość, jako przeciwwaga warstw miejsko-przemysłowych, tak burżoazyjnych, jak i proletaryjnych niezmiernie ważną.

To też już w r. 1891 prof. ekonomiki społecznej w Grenobli, Jay, mówił: że „chociaż liczba syndykatów rolniczych nie dorównywa jeszcze ilości syndykatów robotniczych w przemyśle, to jednak znaczenie ich jest tem większe, bo obejmują nietylko więcej członków, lecz rozwijają u siebie gorliwszą działalność i większą żywotność niż robotnicze".

A prezes paryskiego Związku głównego, Trésor de la Roque powiada wprost, że korzyść, jaką społeczeństwo odniosło ze syndykatów rolniczych, przeważa znacznie szkody wyrządzone przez syndykaty robotnicze.

Szybki rozwój syndykatów rolniczych przedstawia się na podstawie dat urzędowego rocznika syndykatów zawodowych, wydawanego przez ministeryum handlu w następujący sposób:

	syndykatów	członków	związków
z końcem 1884	5	—	—
„ 1885	39	—	—
„ 1886	93	—	2
„ 1887	214	—	7
„ 1888	461	—	9
1-go lipca 1889	557	—	8
„ 1890	618	234.234	9
„ 1891	750	269.298	9
„ 1892	863	313.800	14
„ 1893	952	353.883	16
„ 1894	1.093	384.332	15
„ 1895	1.188	398.048	17
„ 1896	1.275	423.492	19
„ 1897	1.371	438.596	20

Są tu wliczone także syndykaty w Algeryi, których liczba w r. np. 1893 była 9, z 700 mniej więcej członkami.

Jak to często bywa, liczby te urzędowe pozostają w tyle poza rzeczywistością.

Jeszcze bowiem w r. 1891 podawał Związek paryski w dług swoich wiadomości liczbę członków około 450.000 (wob 269.298, według urzędowych danych). W r. 1892 liczyli znawc stojący w bliskiej styczności z tym ruchem, 1.100 syndykatów w r. 1895 już 1.500, a na kongresie w Orleanie 1897 r. człone zarządu głównego związku, autor kilku obszernych monograf o syndykatach, hr. Rocquigny, podał liczbę syndykatów na prze szło 1.700, członków zaś 680.000, dodając, że liczba ta wydaj się za małą w porównaniu z ogólną liczbą rolników, lecz tłu maczy się tem, że syndykaty są bardzo wymagające w dopu szczaniu nowych członków, jest to więc niejako wybór rolnictwa francuskiego. Według spisu ludności z r. 1891 (a że ludność Francyi nic się prawie nie powiększa, można te cyfry i dziś przyjąć) wynosiła liczba zarobkujących w rolnictwie:

samoistnych gospodarzy	3,570.016	czyli	54.5 %
urzędników	75.400	„	1.1 „
robotników i czeladzi	2,890.183	„	44.4 „
Razem	6,535.599	czyli	100 %

Rodziny zarobkujących liczyły 10,216.749, a służba domowa (prywatna) 683.540 głów, ogółem więc cała ludność z rolnictwa żyjąca 17,435.888, czyli 45.7 % ludności francuskiej.

Na podstawie tych cyfr łatwo sobie przedstawić, jaka to znaczna część rolników francuskich należy do organizacyi syndykalnej, tembardziej, jeżeli zważymy wpływ tejże i na rolników poza związkami stojących. Śmiało rzec można, że w obozie syndykatów jest Francya rolnicza i gotuje się do pokonania niebezpieczeństw jej zagrażających.

Dla lepszego osądzenia rozpowszechnienia syndykatów, najlepiej porównać cyfry (urzędowe), podające ilość rolników, należących do syndykatów, rozdzieloną podług departamentów. Oto kilka z najwyższą cyfrą (w r. 1896):

dep. Sarthe	18.912
„ Charente Inférieure	16.033
„ Vienne	15.022
„ Saône	14.671
„ Rhône	11.394
„ Maine-et-Loir	11.182

dep. Aude	11.009
„ Indre-et-Loir	10.770
„ Ain	10.538
„ Charente	9.671
„ Manne	9.658
„ Côte-d'or	9.482
„ Loiret	9.288
„ Loir-et-Cher	9.159

Co się tyczy związków syndykatów, było w r. 1897 pomniejszych związków departamentalnych 10, obejmujących po 3—10 syndykatów.

Ważniejsze są związki regionalne (prowincyonalne). W połowie r. 1897 istniało ich 9 i jeden świeżo założony. Oto ich przegląd:

Związek	siedziba	prezes	Obejmuje depart.	Obejmuje syndyk.	Obejmuje członk. okrągło
1. Południ.-wschodni	Lyon	Emil Duport	10	137	70.000
2. Alpy i Prowancya	Marsylia	Markiz de Villeneuve-Frans	7	70	10.000
3. Burgundye (obie)	Dijon	Hr. Lejéas	9	26	25.000
4. Środkowy	Orlean	Br. de Larnage	8	8	16.000
5. Północny	Boulogne	Adwokat Madaré	5	14	4.000
6. Normandya	Caen	Louis Delalande	5	17	15.000
7. Bretania	Rennes	Wicehr. de Lorgeril	5	30	11.000
8. Zachodni	Angers	Hr. de la Bouillerie	6	30	17.000
9. Południ.-zachodni	Bordeaux	Moussillac	9	10	27.000
10. Południowy	Tuluza	—	—	—	—

Koroną tych związków jest główny związek syndykatów rolniczych w Paryżu. Liczył on w 1897 r. 570 przynależących syndykatów, a licząc jeszcze 140 należących za pośrednictwem związków, właściwie 710 syndykatów i członków koło pół miliona.

(C. d. n.)

Tadeusz Kudelka.

ODWIEDZINY POLAKÓW W BOŚNI.

Gdy przed trzema laty po raz pierwszy przyjechałem do Bośni, wspominał mi ks. biskup Markowić, że w jego dyecezyi banialuckiej znajdują się polscy koloniści, także Rusini i zachęcał do ich odwiedzenia. Wówczas zajęty innemi sprawami nie mogłem zadość uczynić jego życzeniu, sposobność jednak nadarzyła się w bieżącym roku. Oto otrzymałem list jednego z kolonistów polskich w Bośni, z którego poznałem smutny stan, w jakim się tam znajdują nasi rodacy, pozbawieni nawet tej pociechy, aby mogli wyspowiadać się w czasie wielkanocnym. Niezwłocznie napisałem do ks. metropolity bośniackiego, arcybiskupa Stadlera w Sarajewie i do ks. biskupa Markowića w Banialuce z zapytaniem, czy mogę w czasie wielkopostnym oddać się pracy apostolskiej w Bośni. Gdy otrzymałem najprzychylniejszą odpowiedź, dnia 5 marca wybrałem się w drogę.

Z Krakowa na Wiedeń, Zagrzeb przyjechałem 8 marca w południe do maleńkiej stacyi Okučani, położonej w Slawonii, na linii Zagrzeb-Sunia-Brod bośniacki. Tutaj zastałem już pakę książek religijnej treści, przeznaczoną dla kolonistów, jaką parę dni przed wyjazdem wysłałem z Krakowa. Naczelnik stacyi z uśmiechem mi mówił, że gdy paka nadeszła, pomyślał, że albo jakiś socyalista jedzie agitować wśród południowych Słowian, albo dobry kapłan, bo kto inny nie wiózłby ze sobą biblioteki do Bośni.

Przypadkowo znalazłem na stacyi jakiś wózek bośniacki, ciągniony przez dwa rumaki mało co większe od kotów; właściciel w czerwonym turbanie, zresztą podobny do naszego podolskiego wieśniaka, łatwo się zgodził przewieźć mnie do Starej Gradiski, w średnich wiekach zwanej Brebirem, w starożytnych Servitium, ostatniego posterunku rzymskiego na drodze cesarskiej ze Salomy do Panonii.

Czas mieliśmy dżdżysty, w prawo i lewo pola wodą zalane, w powietrzu wilgoć niesłychana, wszelkie drzewa żywe i martwe grubo mchem zielonkowato-siwym obrosłe. Wioski, przez które wypadło nam przejeżdżać, pełne wody i błota, to też mieszkańcy radzą sobie, jak mogą, stawiając domy na palach, a na nich dopiero kładą belki i cegły pod budowę mieszkań. Przestrzeń wolna między ziemią a podłogą domów jest ulubionym spacerem drobiu lub stacyą kąpielową nierogacizny. Po dwugodzinnej jeździe przybywszy do dawnej granicznej austryackiej warowni, silnie zbudowanej z kamienia, otoczonej głębokiemi rowami, dziś jeszcze pełnemi wody. Przed 20 laty tutaj była granica Austro-Węgier, posterunek silny stał na straży bezpieczeństwa monarchii, zagrożonej w tem miejscu najsilniej od fanatyzmu Osmanów. Dziś twierdza jest bez znaczenia, ledwie kilku żołnierzy w niej się znajduje, podczas gdy przedtem była rezydencyą jenerała i jego sztabu. Stajemy nad brzegiem Sawy. Mój woźnica dalej jechać nie ma zamiaru, woda we wspaniałej szerokiej rzece zbyt była rwistą, aby bezpiecznie puścić się promem. Nie było innej rady, jak łodzią przeprawić się na drugi brzeg Sawy — na ziemię bośniacką, gdzie miasto tureckie rozsiadło się dokoła swej twierdzy, patrzącej niegdyś śmiało w oczy austryackiej rywalce.

Niebawem otoczyło mnie kilku muzułmanów i zachwalało swe powozy i konie. Wybrałem tego, który miał zaprząg najlepszy. Lecz jakież rozczarowanie! Nadjechała buda iście cygańska, do której wsiadając, musiałem dobrze opasać me kości, aby w drodze jakiej nie zgubić wśród ciągłego trzęsienia. Okolica stawała się coraz dziksza i bardziej pustą. Ogromna przestrzeń między Sawą, poniżej Bośniackiej Gradiski, aż ku Bania-

luce nazywa się Kozara i mało jest zamieszkałą przez ludzi. Przed okupacyą można było jechać tędy przez bory, krzaki i błota trzy dni i ludzkiego nie znalazło się mieszkania. Podróżny spotykał tylko gdzieniegdzie rozrzucone sadyby cygańskie, z któremi spotkanie w czasach dawniejszych mniej było przyjemne i bezpieczne. Obecnie, gdy wypadało mi przejechać przez wieś tego koczowniczego ludu, nie było żadnego niebezpieczeństwa. Zatrzymałem konie i zapytałem jednego z mieszkańców tamtejszych, czy mogę wejść do wnętrza jego mieszkania. Choć muzułmanin, ale że cygan, więc na to pozwolił, pomimo że wewnątrz znajdowała się jego rodzina. Lepianka tylko jedną miała izbę i mały przedsionek, rodzaj szałasu, chrustem pokryty. Światło do wnętrza wpadało przez maleńki otwór, zrobiony u samego dołu, zasłonięty kawałkiem szyby. Sprzętów nie zastałem tu żadnych. Na nagiej, wilgotnej ziemi w jednym rogu leżał worek z kukurudzianą słomą, w drugim było rozniecone ognisko, a przy nim młoda cyganka z dziecięciem u piersi. Stara cyganka, matka „pana domu“, i synek, miły dzieciak ośmioletni, robili honory niespodziewanemu gościowi. Nędza tu okropna. Gdy dałem parę groszy cygance na mleko dla dziecka, chłopak zawołał całem gardłem: „hwala wam“ i począł po cygańsku błogosławić ofiarodawcę.

Zaczęło się ściemniać, gdy stanąłem w Windhorście, kolonii niemieckiej, u proboszcza, Bośniaka, władającego jednak dobrze niemieckim językiem. Koloniści tutejsi przybyli do Bośni zaraz po okupacyi z rozmaitych stron Niemiec, dobrze się zagospodarowali na gruntach, częścią darmo, częścią pół darmo otrzymanych od rządu. Pustą okolicę potrzeba było koniecznie zaludnić, aby bogata ziemia nie leżała odłogiem, toż sprowadzono w te okolice, Kozarami zwane, ludność rozmaitą: Niemców, Włochów, Węgrów i Polaków. W trzech Windhorstach, górnym, dolnym i środkowym, gospodarstwa są prowadzone bardzo dobrze i stanowią jakby centra kultury w tych stronach. Wielu Polaków, najwięcej z Bukowiny, z okolic Gura-humory, osiadła przy Windhorście i nie źle się mają na własnym gruncie lub w służbie u Niemców. Wszystkich Polaków w Windhorście

jest około 150 osób, wielu z nich mówi po niemiecku, w znacznej części umieją już także mówić po bośniacku, gdyż przybyli do Bośni przed 6 laty.

Parafialny kościółek wykończono dopiero przed czterema laty; wiele w nim brakuje do wewnętrznego odpowiedniego urządzenia, lecz przynajmniej jest ołtarz z tabernakulum, a w nim Najśw. Sakrament. Mieszkanie proboszcza nowe, wygodne, tylko pokój, dla mnie przeznaczony, nie miał pieca, wskutek czego zaraz na wstępie mocno się zaziębiłem.

Proboszcz spodziewał się mego przybycia dopiero nazajutrz, więc lud polski nie zawiadomił o rozpoczęciu misyi. Skorzystałem z tej zwłoki, sprowadziłem dwóch Polaków z Windhorstu, poleciłem lud zawiadomić o swem przybyciu i zamówiłem przez nich konie nazajutrz rano do najbliższej kolonii polskiej w Celinowaczu. W środę rano, dnia 9 marca wybrałem się tam z proboszczem Windhorstu i dwoma wójtami czyli, jak tu nazywają, kneziami polskich kolonij: Celinowaczu i Milewaczu. Część drogi odbyliśmy gościńcem, a gdy ten niebawem się skończył, wypadało jechać na przełaj przez krzaki zalane wodą na przestrzeni kilku kilometrów kwadwatowych. Gdyby nie widoczna dobroć koni niemieckiego kolonisty i zapewnienia knezów, że grunt jest nieprzemakalny, więc bagna niema, nigdybym się nie odważył na podobną drogę. Mówiono mi, że tylko w jesieni i na wiosnę takie tu wody; w lecie one wysychają, a grunta służą jako dobre pastwiska.

Wreszcie skończyły się bagniska, rozpoczęła się droga górzysta. Gdzieniegdzie spotykamy serbskie i tureckie zagrody bardzo nędzne. Zaglądam do jednej chałupy serbskiej: wewnętrzne jej urządzenie prawie zupełnie podobne do wyżej opisanego mieszkania cygana, z tą tylko różnicą, że przy ognisku siedziała stara Serbka, jak wiedźba z rozpuszczonemi włosami i głosem melancholijnym poczęła żałośnie śpiewać żale, że kawy niema, niema czem się posilić. Małe grosiwo rozjaśniło jej oblicze i wywołało długi szereg błogosławieństw z ust kobieciny.

Po trzygodzinnej jeździe stanęliśmy u celu drogi: w polskiej kolonii. Siedm pagórków konicznych łączy się ze sobą fa-

listym gruntem. Gdzie okiem rzucę, widzę pniaki ściętych dębów, tylko gdzieniegdzie pozostały starsze drzewa, zresztą leszczyna, tarnina, graby i buczyna młoda. Na pagórkach rozrzucone i od siebie oddalone domy, mało który wykończony w znacznej części dopiero rozpoczęte, lub szałasy z chrustu w których się gnieździ świeżo przybyła rodzina kolonisty. Najstarsi przybyli tu przed dwoma laty, znaczna część dopiero od roku lub kilku miesięcy. Dwadzieścia i dwie rodzin otrzymało od rządu grunta bezpłatnie; reszta, prawie drugie tyle, wyczekuje zmiłowania ze Sarajewa. Rząd ma do dyspozycyi mnóstwo gruntów, które dotychczas służyły za pastwiska komukolwiek. Są więc pewne trudności w usunięciu pretensyj dawnych okolicznych właścicieli, sąsiadów owych gruntów. Dla wyjaśnienia sytuacyi dodać muszę, że zarówno Turcy, tj. bośniaccy muzułmanie, jak Serbowie, tj. bośniaccy schizmatycy, zwyczajnie nie mają żadnych stajen ani obory. Stada bydła, koni i trzody przez cały rok znajdują się w otwartem polu, gospodarz nie troszczy się wcale o jego chów, co będzie jadło, gdzie nocowało wśród słoty lub zimna. Czasami, gdy wielkie śniegi spadną i bydło lub konie nie mogą odgrzebać liści, resztek zeschłej trawy lub ścierniska, właściciel podrzuca im trochę słomy, aby nie zginęło z głodu. Zresztą wszystko włóczy się samopas po okolicznych lasach, krzakach i polach, wyjadając jak szarańcza, co spotka na drodze. Wskutek tego zwyczaju, czy nadużycia — nie wiem, jak nazwać — nikt tu oziminy nie sieje, a na wiosnę gdy chce zasiać na kawałku gruntu kukurudzę lub owies, okala go płotem, aby go ochronić od trzody i bydła. Stąd pretensye, jeśli rząd zamyka pastwiska na swoich gruntach lub na oddanych kolonistom, mającym zwyczaj siać oziminę i nie oddawać gruntu na pastwę cudzego bydła. Zanim więc te pretensye i im podobne nie zostaną usunięte, grunta rządowe leżą odłogiem i wyglądają jak dżungle indyjskie lub z głębin Afryki, znane nam z rycin lub fotografij.

Część takich dżungli, oczyszczonych z sąsiedzkich pretensyj, otrzymali koloniści w Celinowaczu. Każda rodzina posiada 12 do 18 morgów.

Na dany znak kołatką, zawieszoną na drzewie, zbiegli się nasi rodacy. Trudno opisać ich radość, łączącą się z płaczem, na widok polskiego kapłana — na wieść, że ich przyjechałem wyspowiadać, pocieszyć, dzieci przygotować do pierwszej spowiedzi. „Zostańcie z nami na zawsze — wołali biedacy — umieramy bez księdza!“. Gromadnie stanęliśmy przed maleńką drewnianą kapliczką, jakby altanką z desek. Tu po raz pierwszy do nich przemówiłem o celu mego przybycia i porządku misyi. Ponieważ głębokie wody nie pozwalały na gromadne przybycie tutejszych kolonistów do parafialnego kościoła w Windhorście, więc ułożyłem się z nimi, że najpierw zaopatrzę potrzeby duchowne Polaków z kolonii niemieckiej, następnie do nich przybędę. Tymczasem kazałem zebrać dziatwę do obszerniejszego ciepłego mieszkania i zapowiedziałem dla nich naukę po obiedzie, na jaki mnie zaprosił kneź kolonii Grzegorz Papik, Bukowińczyk z okolic Gura-humory. Poczciwa gosposia, knezini, jak umiała i co miała najlepszego, zastawiła na stole, a na deser podała słodkie mleko!...

Po uczcie zabrałem się do katechizowania dzieci, przyczem udział brali także ich rodzice. Nawiedziłem jeszcze parę domów niosąc słowa pociechy strapionym i chorym — a iluż tu chorych na febrę — dzieci od niej wyżółkłych, jak cytryna! Nie zapomnę wizyty u biednej niewiasty, której mąż gdzieś daleko poszedł za zarobkiem, a ona pozostała z dwojgiem dzieci, drżała na całem ciele, gorączkując od febry, wyschła, z zapadłemi oczyma, blizka śmierci, bez żadnej nad sobą opieki, bez żadnego lekarstwa! Do apteki parę mil drogi, lekarza w okolicy niema. Pragnęła się wyspowiadać, aby przynajmniej być spokojną, gdy śmierć zawita w progi jej domu.

Słońce zbliżało się ku zachodowi, gdy opuszczałem kolonię. Już noc zapadła, gdy stanąłem w Windhorście.

Nazajutrz czuję, że głos zachrypnięty i ledwie mogę go z piersi wydobyć — a tu dopiero początek pracy! Przekonałem się, że w podobnych wypadkach nie wiele trzeba na siebie uważać, a więcej mieć ufności w pomoc Bożą. Zachrypniętym głosem przed i po mszy dwie nauki powiedziałem do licznie zgro-

madzonych Polaków w parafialnym windhorstowskim kościele, przygotowałem ich do spowiedzi, która miała się zaraz rozpocząć popołudniu. Kilka szklanek herbaty, mej nieodstępnej towarzyszki w ciągu całej podróży, usunęło chrypę i ze spokojem o zdrowie mogłem słuchać spowiedzi z małą przerwą do godziny 12 w nocy. Po krótkim spoczynku i wczesnej mszy św. znowu miałem naukę i słuchałem spowiedzi do południa, a garnęli się do niej nietylko Polacy, ale i Niemcy, nawet Bośniacy. Wielką radość sprawiły naszym rodakom książki polskie, jakie rozdzieliłem między wszystkich, umiejących czytać, a nadto dziełka kilkotomowe lub większe i droższe pozostawiłem dla wspólnej polskiej biblioteczki. Znalazł się między nimi zacny gospodarz, który dom swój otworzył na polskie zebrania, gdzie ci nawet będą mogli korzystać z książek, co czytać nie umieją, bo w niedziele i święta odbywa się u niego obecnie głośne czytanie. Umie on i polskie pieśni zanucić i chórem kierować, gdy potrzeba zachodzi.

Zakończywszy prace około Polaków w Windhorście, zaraz tegoż dnia (10 marca) wyjechałem po południu znaną już drogą po wodach i błotach do Celinowacza. Lud wyszedł naprzeciw. Zgromadziliśmy się w umówionej izbie jednego z kolonistów, gdzie zaraz przemówiłem do zebranych dzieci, tak aby i starsi obecni mogli się przygotować do sakramentu pokuty. Po nauce, ponieważ już się ściemniało, odesłałem dzieci i niewiasty do domów a mężczyzn zatrzymałem, którzy byli już przygotowani do spowiedzi św. Czas z nimi zeszedł mi do północy. Na nocleg wyznaczono mi jedną z najlepszych izb, jakie się znajdowały w kolonii. Pomimo tego niesłychane było zimno, zwłaszcza, że mróz wziął na noc, a ściany mej sypialni, tak były filigranowe, że mogłem przez szpary doskonale powtarzać sobie ćwiczenia astronomiczne, jakim się przed laty oddawałem w Rzymie. Nad rankiem nieco zasnąłem, lecz silne pukanie do drzwi przypomniało mi, że całe zastępy czekają na spowiedź. Dziwnie Pan Bóg w takich razach pomaga. Prawie wcale nie czułem znużenia, gdy od 5 rano słuchałem spowiedzi do 11 w południe bez przerwy, następnie mszę św. miałem z kazaniem zastosowanem

do okoliczności. Lud nie płakał lecz ryczał, tak że w końcu i mnie z oczu łzy się polały, choć nie jestem skłonny do ich wylewania. Wszyscy słabsi: przedewszystkiem dzieci, niewiasty i starcy najpierw się spowiadali i przystąpili podczas mszy św. do komunii św. Silniejsi mężczyźni musieli czekać ze spowiedzią do popołudnia a potem dalej ze mną wyruszyć. Słońce około południa zajaśniało, więc mój konfesyonał urządziłem pod starym dębem wśród lasu, i słuchałem spowiedzi, dopokąd konie nie zajechały, aby mię odwieść do trzeciej kolonii polskiej Milewać nazwanej. Lecz przedtem należało pokrzepić swe siły. Zaproszono na obiad. Menu było następujące: zacierka na mleku, pierogi z serem, ser z chlebem, a na deser gorące mleko z masłem! Co mogłem jadłem, apetyt i poczciwe serca moich gospodarzy najlepszą ze wszystkich były przyprawą.

Na odjezdnem rozdałem między kolonistów polskich książki i zawiadomiłem ich, że wobec świadków złożyłem w ręce proboszcza na budowę ich kaplicy około 300 złr. Radość była niesłychana. Skorzystałem z tej chwili, aby wsiąść na wózek i uciec przed lamentami poczciwych ludzi, że już ich opuszczam.

Do Milewacza jechaliśmy wśród siół serbskich i muzułmańskich blizko trzy godziny. Towarzyszyli mi w drodze ciż sami dwaj knezie z Celinowacza i Milewacza, którzy nieodstępnymi towarzyszami moimi byli od chwili mego przyjazdu w Kozary. Rozmowa nawiązała się o tutejszych stosunkach z tubylczą ludnością. Zarówno ze Serbami jak Muzułmanami nasi rodacy przyjazne utrzymują stosunki, co im łatwo przychodzi, ponieważ patrzą na nich, jako na ludzi wyższej kultury. Co prawda, niewiele potrzeba do tej wyższości. Uprawa roli u tubylców jest na stopniu możliwie najniższym. Pomijam okoliczność, że nie mają odpowiednich narzędzi rolniczych, ale nawet swoją osochą nie umieją uprawiać roli. Sam widziałem, że zwykle cztery woły zaprzęgają nawet do jednej brony, przyczem zajęte są co najmniej cztery osoby: dwu poganiaczy, trzeci naciska bronę, czwarty nią kieruje. Roli nigdy nie nawożą, lecz mając dosyć gruntu pod uprawę, po zbiórce jednorocznej zostawiają odłogiem przez dwa, nawet trzy lata. Kartofli w tej okolicy

wcale nie znali, dopiero nasi koloniści nauczyli, jak je mają sadzić, zbierać i jeść. Proso tubylcy tłukli w stępach i z tej masy tłustej placki wypiekali. Bardzo się dziwili, gdy im pokazano jagły i sposób przyrządzania kaszy na mleku, co bardzo zasmakowało Bośniakom. Tatarki czyli hreczki wcale nie znali. Z wielkiem niedowierzaniem patrzyli na jej uprawę, lecz później uznali, jakiem jest dla rolnika dobrodziejstwem. Prócz kukurudzy i owsa mało kto co innego sieje; gospodarstwo mleczne prawie zupełnie zaniedbane. Gdy Bośniakowi potrzeba deski, bez wahania całe stare drzewo zetnie, a po zdobyciu kawałka potrzebnego resztę pozostawia marnie w polu. Siana nie zbierają, jak u nas na początku lata, lecz w jesieni, gdy ukończą zbiory, wskutek czego dobrej paszy nie mają. Do pługa i brony używają tylko wołów, koni używają tylko do zaprzęgu: w razie potrzeby łapią w polu arkanem, zaprzęgną do wozu i pędzą cały czas galopem, wskutek czego koń po jednem użyciu często dychawicy dostaje.

Pod względem duchowym kompletne opuszczenie. Nie mówię już o muzułmanach, u których życie moralne i duchowe opiera się na kilku zewnętrznych praktykach i Ramazanie: mieszaniną nocnych bachanalij ze ścisłym postem za dnia, ale o Serbach. Po wiejskich parafiach nabożeństwo.— Msza św. odprawia się w ciągu roku 3 do 4 razy w największe uroczystości. Zresztą w niedzielę i święta przed cerkwią odbywa się zabawa z tańcami, jadłem i pijatyką, w której i pop bierze udział. Spowiedź odbywa się tylko raz do roku, a upewniali mię koloniści, że pop wysłucha w ciągu godziny 200 ludzi. Gdy Polacy opowiadali Serbowi, jak nasi kapłani słuchają spowiedzi, bardzo był z tego zbudowany i mówił: „wy szczęśliwsi od nas, my żyjemy jak bydlęta“.

Do ostatnich czasów wykształcenie duchowieństwa serbskiego schizmatyckiego stało na bardzo nizkim stopniu. Polegało głównie na wyuczeniu liturgii słowiańskiej. Słyszałem od osób wiarogodnych, od dłuższego czasu mieszkających w Bośni lub Hercegowinie, że nie wszyscy duchowni serbscy dawniejszej daty, umieją czytać, a wiem na pewne, że nie wszyscy umieją pisać. Dziś pod tym względem nastała reforma. Rząd okupacyjny wła-

snym kosztem wybudował dla nich seminaryum w Hreliewie, w pobliżu Sarajewa, gdzie systematycznie kształcą się ich kandydaci do stanu duchownego, a nie jak przedtem bywało po parafiach, od miejscowego popa, który sam przygotowywał sobie następcę, najczęściej we własnym synie. Miałem sposobność naocznie przekonać się, jak wychowuje się dzisiaj ów kler, gdy w tym celu do Hreliewa przybyłem. Otóż seminarzyści mają swój zakład u podnóża góry, odcięci od świata rzeką Bosną, tak że komunikacya ze światem musi się odbywać promem. Z rozmysłem wybudowano w takiem miejscu ich zakład, ponieważ praktyka okazała, że w Sarajewie seminarzyści zbyt wielkiej używali swobody. Lecz i dzisiaj żyją bez żadnej opieki duchowej. Profesorami teologii są ludzie świeccy, mieszkający tuż obok seminaryum w domkach osobnych ze swemi rodzinami i służbą, gdzie też i wice-rektor, jedyna duchowna osoba zakładu mieszka ze swą żoną i dziećmi. Że o moralnym wpływie i wyrobieniu duchowem młodzieży mowy być nie może wobec takich stosunków, rzecz jasna. W maleńkiej bibliotece znalazłem prawie same dzieła świeckie lub treści polemicznej, ściśle teologicznych nie dostrzegłem. Przed święceniami, zanim dojdą do lat odpowiednich, zostają ludowymi nauczycielami, potem się żenią i zostają „gotowymi“ kierownikami dusz. Nic więc dziwnego, że wskutek braku wykształcenia duchowego i teologicznego, wyradza się u nich szowinistyczna nienawiść wszystkiego co katolickie, którą się pokrywa nieznajomość wiary. Naoczny świadek chrztu dziecka serbskiego, opowiadał mi następujące zdarzenie:

Do pytania: „czy wyrzekasz się szatana i wszystkich spraw jego“ — dodał pop z własnej inicyatywy, chociaż tego niema w ich rytuale: „wyrzekasz się i przeklinasz rzymskiego papieża?“ i splunął na znak wzgardy, czego nie uczynił wymawiając: „czy wyrzekasz się szatana“.

Zarówno Muzułmanie jak Serbowie bośniaccy wielu oddają się gusłom i zabobonom, mają jednak wielką ufność w siłę wody święconej, i dlatego udają się po nią do katolickich kapłanów, aby jej użyć jako prezerwatywę od złego.

Wśród takich wspomnień i rozmów z dwoma kneziami, którzy mi towarzyszyli, przybyliśmy do trzeciej polskiej osady w Milewaczu. Wypadało nam jechać bardzo stromą górską drożyną, dla ulżenia koniom szliśmy piechotą, gdyż nasze rumaki ledwie pusty wózek zdołały wyciągnąć. Był projekt, że przyjadę konno krótszemi ścieżkami, lecz w braku siodła, musiałem wlec się wózkiem i drogi przyczynić. Cała kolonia wyległa na moje spotkanie, skąd spodziewano się mego przybycia. Nawet małe dzieci wyszły z domów i parę godzin czekały, czy się nie okaże na horyzoncie spodziewany wierzchowiec. To też osadę znalazłem prawie pustą, i dopiero po chwili na znak dany, lud zbiegł się i otoczył mnie kołem. Powtórzyły się wzruszające sceny powitania i radości na widok polskiego kapłana. Gromadnie udaliśmy się do gospodarza mającego największą izbę, gdzie zebrawszy około siebie dziatwę w obecności ich rodziców i starszego rodzeństwa, przygotowywałem do spowiedzi św. Już noc zapadła, gdyśmy się rozeszli. Dla mnie przeznaczono mieszkanie w innej stronie kolonii, kilku mężczyzn towarzyszyło mi wśród ciemności, których wcale nie rozpraszała latarka ze świecą łojową. Wśród błota i krzaków i spinania się po górach dotarliśmy do chałupki, gdzie był osobny pokoik nawet już otynkowany, przygotowany na moje przybycie. Po misyonarskiej wieczerzy kilku mężczyzn prosiło mnie o spowiedź; było już po północy, gdy zgasiłem światło i mogłem zasnąć. Nazajutrz rano już o 5 przybyła dziatwa, aby po raz pierwszy przystąpić do Sakramentu spowiedzi. Między innemi dziećmi przybył trzyletni chłopaczek. Dzień przedtem składał przedemną egzamin z całego pacierza i wielu rzeczy z katechizmu, teraz stanął w kąciku i ciągle patrzał na mnie nie chcąc ani kroku odstąpić. Pytam go, czego chce: spowiadać się — odpowiedział; trudno było dysputować z malcem; pobłogosławiłem go, z czego bardzo był ucieszony i dopiero wtedy dał się zaprowadzić do swej matki.

Około południa, po wyspowiadaniu znacznej części ludzi, udaliśmy się do kapliczki, wprawdzie maleńkiej, drewnianej i jeszcze niewykończonej, ale w której już można mszę św. odprawić. Lud śpiewał pobożne pieśni polskie, dziwnie miłem

echem rozbrzmiewające wśród dzikich lesistych pagórków — do niedawna pogańskiej ziemi. Po nauce, na której wszyscyśmy się spłakali, rozdałem na pociechę polskie książki treści religijnej. I tutaj więc będą mieli jaki taki pokarm duchowy w braku żywego słowa Bożego. Radziłem kolonistom, aby wystawili trwalszą, z kamienia i cegły kaplicę, w kształcie prezbyteryum, do którego później, w miarę potrzeby, możnaby dobudować nawę. Na pierwsze wydatki zostawiłem im paręset złr., a sami obiecali po ukończeniu wiosennych robót, zająć się wyrabianiem cegły, zwożeniem kamienia pod przyszły dom Boży. Projekt podobał się naszym rodakom i znalazł poparcie u odpowiednej władzy.

Koloniści w Milewaczu pochodzą z okolic Niska w Galicyi, tylko kilka osób z gubernij rosyjskich. Wszystkich razem jest tu rodzin około 40, z tych tylko 16 otrzymało grunta od rządu, reszta znajduje się w wielkiej nędzy i wyczekuje swej cząstki, jeśli pozwolenie przyjdzie ze Sarajewa. Na usilne prośby, abym ich ratował i wstawił się za nimi u władz, poleciłem zrobić spis rodzin, które w koloniach polskich jeszcze nie otrzymały gruntu, skąd pochodzą, ile osób każda rodzina liczy, ile mają kapitału i t. d., i gotowy dokument, stwierdzony przez miejscową władzę ze sobą zabrałem. W Sarajewie wręczyłem go p. radcy Mikuli, szefowi departamentu bośniackich kolonij, a zarazem po udzieleniu odpowiednich informacyj, otrzymałem zapewnienie, że sprawę rozdziału gruntów, przyspieszy, o ile od niego będzie zależało.

Podobnie jak w Celinowaczu, tak i w Milewaczu, chociaż okolica jest górzysta, grunta są dobre, lecz osadnicy jeszcze wiele mają do karczowania lasów i zrębów. W sąsiedztwie dużo jest gruntów muzułmańskich. Właściciele pragną sprzedać swe posiadłości, nie chcąc być w sąsiedztwie chrześcijan i to cudzoziemców. Bardzo dobre ziemie są na sprzedaż po 15 do 20 złr. za morgę. Również wiele jest jeszcze gruntów rządowych, przeważnie lasów, które również mają być rozdane lub sprzedane kolonistom. Przedsiębiorczy rolnik nawet z małym stosunkowo kapitałem mógłby piękny folwark zakupić, a zarazem znacznie

podnieść polską osadę. Jeżeli wszyscy koloniści, którzy się spodziewają gruntów, przychylną otrzymają ze Sarajewa odpowiedź, Milewacz ma przyszłość przed sobą. Przemysłowiec, handlarz drobnym towarem, rzemieślnik ma otwarte pole do zarobku, chociażby tylko między swoimi.

Z Milewacza czyli Milewackiej Kozary do czwartej i ostatniej kolonii polskiej Mahowliani i Bakinci drogę miałem bardzo piękną. Dzień sobotni (12 marca b. r.) przyniósł ze sobą wiosenną pogodą. Promienie słońca niewidzialną swą siłą wydobywały z pod ziemi storczyki, pierwiosnki, fiołki i inne najrozmaitsze kwiaty, których bogactwem mało który kraj jak Bośnia może się poszczycić. Lasy i gaje ożywiły się wesołym śpiewem drobnego ptactwa, a z bagnisk i stawków dolatywało żegotanie żab jako zapowiedź ze snu budzącej się wiosny. Jechałem konno w towarzystwie kilku mężczyzn, którzy częścią z dewocyi, częścią dla odbycia spowiedzi, ze mną spieszyli do Mahowliani. Droga była jeszcze turecka tj. mniej odpowiednia do kołowej jazdy. Co chwila wypadało zsiadać z konia, gdy się wspinał na spadzistą górę lub przepływał rzekę, wijącą się wśród pól i łąk. Podróż była bardzo romantyczna, a od dzieciństwa przyzwyczajonemu do konnej jazdy bynajmniej nie przykra, lecz w każdym razie komunikacyę w tych okolicach wygodną żadną miarą nazwać nie można. Opieka rządu okupacyjnego do tych stron widocznie jeszcze nie dotarła.

W polu widzieliśmy roboty już rozpoczęte: u muzułmanów zasadza się głównie na ogrodzeniu płotem całego pola, jakie ma uprawiać, ażeby bydło, trzoda i konie, plądrujące po wszystkich stronach, zasiewów wzrastających nie zniszczyły. Ile w tym czasie zniszczy Turek drzew na pole i ile wytnie w lesie leszczyny lub młodych grabów, łatwo da się obliczyć. Tyle pracy i szkody w lesie wyrządza na czas krótki, bo niebawem zostawi tę ziemię ugorem, a inny kawałek będzie ogradzał. Dotychczas prawie wszyscy kmiecie czyli wieśniacy, posiadający grunta, nie są absolutnymi właścicielami ziemi, lecz tylko dzierżawcami wieczystymi. Trzecią część zbioru, najczęściej *in natura,* kmet musi oddawać begowi, który również niema ani piędzi ziemi wyłącznie

swojej, lecz wszystkie grunta są jego i dzierżawnych kmetów. Nie jest więc tutaj tak łatwo wyzwolić chłopa, jak było u nas przez zniesienie pańszczyzny.

Po dwugodzinnej jeździe wśród okolicy o nizkiej kulturze dostaliśmy się do włoskiej kolonii Mahowliani. Postęp widoczny na każdym kroku. Najpierw drogi bardzo dobrze zrobione, choć wśród okolicy pagórkowatej; mieszkania w znacznej części piętrowe, murowane, ubranie mieszkańców tutejszych dostatnie, nawet podobno za bogate w stosunku do dochodów. Gdy tu Włosi przed 16 laty przybyli, zastali dżungle podobne, jakie widzieliśmy w Celinowaczu lub w Milewackiej Kozarze, obecnie cała okolica zamieniła się w starannie uprawne pola i plantacye winnej latorośli, jedyne w całej Bośni. Wina udają się im dobrze, lecz są słabe gatunki. Jednak pomimo konkurencyi win węgierskich i dalmatyńskich, znacznie lepszych od miejscowego, zbyt jego jest wielki. Na tutejsze stosunki kolonia włoska ma się bardzo dobrze materyalnie i duchowo; ma swojego proboszcza, kościółek, włoską szkołę dla dzieci, utrzymywaną przez zakonnice zgromadzenia „Najświętszej krwi Zbawiciela“. Jeszcze przed zachodem słońca przybyłem do mieszkania proboszcza ks. Gabla, rodem z Tyrolu. Świątobliwy staruszek z upragnieniem wyczekiwał mego przybycia, gdyż nie mógł sobie dać rady ze spowiadaniem Polaków, a jeszcze mniej z Rusinami, którzy przyjęli schizmę serbskiej cerkwi. Pomimo naglącej pracy nie pozwolił mi wieczorem na rozpoczęcie misyjki, gdyż chciał, abym nieco wypoczął. Natomiast nazajutrz ułożyliśmy piękne nabożeństwo dla Polaków, a także dla Włochów, aby i oni coś skorzystali z obecności obcego kapłana, skoro w ich kościele miało się odbywać polskie nabożeństwo.

Niedziela 13 marca była pełna miłych przygód. Od świtu Polacy spowiadali się, podczas mszy św. pobożne pieśni śpiewali, w końcu usłyszeli kazanie w swoim ojczystym języku. Po polskiem było włoskie nabożeństwo: ks. proboszcz Gabl miał sumę, ja powiedziałem kazanie. Tak jak na polskiem nabożeństwie wielu było Włochów, tak również na włoskie przyszli też Polacy. Uważałem, że obydwie narodowości dobrze ze sobą żyją

i świadczą sobie sąsiedzkie przysługi. Po kazaniu naturalnie, jak zwykle bywa, każdy chciał się przed nowym księdzem spowiadać; toż zajęty byłem Włochami aż do południa. Wtem dają mi znać, że przyszła deputacya Rusinów, których poleciłem przez knezia zaprosić do siebie na poufną rozmowę. Zjawiło się sześciu chłopów, a na ich czele w baranicy Wasyl Tymczow, około 40 lat. Wywiązała się bardzo interesująca rozmowa. Hardy przewodnik apostatów począł uzasadniać, dlaczego przyjęli „serbską wiarę“: 1) Ponieważ ona dawniejsza jest i prawdziwsza od łacińskiej, mianowicie co do pochodzenia Ducha św.; 2) Kalendarz juliański jest starszy od gregoryańskiego, więc lepszy; 3) Nabożeństwo odprawia się podobnie jak w ruskiej cerkwi po słowiańsku; 4) Święta swoje mogą w tym samym czasie obchodzić, co w Galicyi.

Było rzeczą widoczną, że pop serbski napompował Wasyla kontrowersyami, jakie zachodzą między wschodnią schizmą a Kościołem katolickim, poznałem również, że nie jakaś złość, lecz ignorancya wytworzyła w nich upór, i pewna obawa, aby nie utracili tego, co uważali za lepsze. To też z całym spokojem i największą miłością począłem do nich przemawiać, wykazując ich błędne mniemania. Kilka faktów historycznych, dotyczących schizmy Focyusza, jakie im przytoczyłem, i wytłumaczenie konieczności zmiany kalendarza juliańskiego. wskutek lepszego poznania systemu słonecznego, zachwiało upornych Rusinów. Błędnem okiem spoglądali na siebie, nie wiedząc, co mają odpowiedzieć. Dalszych nabojów w obronie schizmy serbskiej widocznie nie mieli w zapasie. Na ich wiele mówiące milczenie dodałem, że przechodząc do cerkwi serbskiej, przestali być tymi samymi Rusinami, co byli dawniej, że zapierają się wiary swoich ojców i dziadów, a ich krewni i znajomi w Galicyi nie mogą ich odtąd uważać za swych braci, lecz za odstępców wyklętych ze św. cerkwi ruskiej.

Na to Wasyl z innymi zawołał: „Myśmy byli Rusinami i Rusinami zostaniemy, a nie damy się spolszczyć“.

Łatwo było im wytłumaczyć, że tu nie o spolszczenie chodzi, lecz o zachowanie wiary św. Chodzenie do łacińskiego

kościoła, spowiadanie się przed łacińskimi księżmi, a nawet przyjmowanie komunii św. pod jedną postacią jest im dozwolone, gdzie niema ruskich księży.

Zauważyłem, że moje słowa były dla nich nowością, zwłaszcza, gdy dodałem, że przyjmowawie komunii św. w łacińskim kościele pod jedną postacią, nie przerobi ich na łacinników i Polaków. Zaproponowałem im więc, aby w tym względzie dla większej pewności zapytali się swego dawnego biskupa w Galicyi. Wówczas jednogłośnie zawołali po rusku „napiszem do ks. biskupa przemyskiego, a co' on powie tak zrobimy„.

Niezmiernie ucieszyła mnie ta ich decyzya. Zaraz zaadresowałem kopertę i przylepiłem marki na list rekomendowany, jaki niebawem rzeczywiście napisali. Za ich fatygę, że do mnie przyszli, wręczyłem każdemu ruskie dziełka treści religijnej i sporo zeszytów *Missionara* wydanego przez OO. Bazylianów we Lwowie, co wszystko umyślnie dla nich wziąłem ze sobą z Krakowa. Wśród wielkiej radości rozstaliśmy się ze sobą. Niektórzy obiecali przyjść nazajutrz do św. spowiedzi i dotrzymali słowa. Zdarzyła się przy tem zabawna scena. Między przybyłymi znajdowało się paru chłopaków 20—22 letnich słabych na piersi. Z obawy, aby nie umarli zanim przyjdzie spodziewana odpowiedź ks. biskupa, bardzo ich zachęcałem do spowiedzi. Pomimo nalegań i próśb nic wskórać na nich nie mogłem, zawsze odpowiadali, że zaczekają na list ks. biskupa. Dopiero, gdy jasno wytłumaczyłem, co ich czeka w razie śmierci, skoro dopuścili się apostazyi, i radziłem, aby nie odwlekali póki czas pojednania się z Bogiem, jeden z nich ze łzami w oczach odezwał się: „nie mogę spowiadać się, bo będę miał grzech". Na to powiedziałem: „ja grzech twój biorę na siebie tylko się spowiadaj".

Koły tak, to dobre — odezwał się chłopak i poszedł za mną do konfesyonału.

Po spowiedzi uszczęśliwiony namawiał towarzysza, aby poszedł za jego przykładem, mówiąc: „widzisz, że ja się wyspowiadałem, i nic mi się złego nie stało, zrób i ty tak samo".

Gdy siedziałem przy obiedzie z ks. Gablem uradowanym z powodu pomnożenia parafii przeszło 30 Rusinami, o których

myślał, że już są straceni dla św. wiary, dają mi znać o ciężko chorej wdowie Polce. Mieszkała ona w sąsiedztwie Mahowliani w osadzie zwanej Bakinci. Przed dwoma tygodniami straciła męża na zapalenie płuc; umarł bez sakramentów św., bo nie było, ktoby go wyspowiadał. Ks. Gabl zaopatrzył mnie na drogę w rozmaite wiktuały, abym w drodze nie ustał; kilku polskich kolonistów ofiarowało swoją asystę; chłopak wziął zapaloną latarkę i wyszliśmy w drogę z Najświętszym Sakramentem.

Dzień był prześliczny; ani jeden obłoczek nie zaciemniał jasnego horyzontu. Szliśmy krótszemi drogami przez pola, lasy i krzaki na przełaj dobre $1^1/_2$ godziny. W nowej chacie siedziała sparta na poduszkach jeszcze młoda niewiasta z dziecięciem u piersi z wyrazem smutku i boleści na twarzy, obok niej leżała 11-letnia córeczka, również słaba, jak matka, na zapalenie płuc. W chacie było chłodno i głodno. Wprawdzie po kątach znajdowały się surowe wiktuały, lecz nie było komu rozniecić ogniska, przygotować jadła, podać nawet szklankę zimnej wody gorączkującej wdowie i jej słabym dzieciom. Po opatrzeniu chorej św. Sakramentami zwołałem okoliczne dziatki, aby wraz z córeczką wdowy przygotować do pierwszej spowiedzi. Bardzo przydały się przyniesione wiktuały; mogłem zaraz zaspokoić głód opuszczonej rodziny, a gdy się zeszły sąsiadki wyjednałem obietnicę, że kumoszki będą kolejno usługiwały chorej.

Nazajutrz, 14 marca, gdy ukończyłem me prace około Polaków, poświęciłem kilka godzin Włochom i tegoż dnia po południu wyjechałem końmi do Banialuki. Ks. proboszcz Gabl odprowadzał mnie pieszo aż do granic swej parafii, od czego w żaden sposób nie dał się odwieść. Gdy chwila rozstania nadeszła, on ukląkł i chciał mi do nóg upaść, lecz ja go uprzedziłem i klęcząc uściskaliśmy się wzajemnie. Kilkunastu chłopów, którzy nam towarzyszyli, na widok tej niezwykłej a czułej sceny, rozpłakali się rzewnie. I mnie łzy radości w oczach stanęły, że nad tym opuszczonym zakątkiem winnicy Pańskiej czuwa świątobliwy starzec i wymowniejszym nad słowa przykładem przyświeca swojej parafii. Noc zapadła, gdy przybyłem do stolicy północnej Bośni, trzeciego z rzędu miasta co do liczby mie-

szkańców w tym kraju, rezydencyi okręgowego starosty, prezydenta sądu, a nawet biskupa rzymsko katolickiego, ks. Maryana Markowića, Bośniaka, Minoryty. Aż do czasów okupacyi tj. do r. 1878 w całej Bośni nie było ani jednego kapłana świeckiego, duszpasterstwem zajmowali się wyłącznie OO. Minoryci (OO. Bernardyni) narodowości bośniackiej. Wielkie położyli oni zasługi około utrzymania wiary św. w tym kraju podczas srogiej jego niewoli pod jarzmem Osmanów, i niejednokrotnie zrosili ją krwią męczeńską. Z tego też zakonu wyłącznie byli wybierani biskupi lub apostolscy wikaryusze przez szereg wieków, dopokąd konstytucya papieska z r. 1881 nie ustanowiła w Bośni i Hercegowine hierarchii kocielnej tworząc nowe arcybiskupstwo z siedzibą w Sarajewie i nie powołało do pracy apostolskiej kleru świeckiego. Ks. biskup Markowić należy jeszcze do starej daty bośniackich Minorytów, którzy dobrze pamiętają ucisk kościoła pod panowaniem tureckiem. Wykształcony i sympatyczny biskup zawczasu zaprosił mnie do siebie, do niego więc zajechałem. Bardzo był ucieszony przebiegiem sprawy z Rusinami w parafii mahowliańskiej i zaraz polecił mi w tym względzie napisać do ks. biskupa przemyskiego Czechowicza. W chwili, gdy te słowa piszę otrzymałem wiadomość z Bośni, że Rusini już się zupełnie pojednali z kościołem i bez trudności uczęszczają na nabożeństwa i do Sakramentów św. w parafialnym kościele łacińskim.

W pobliżu Banialuki wśród niemieckiej kolonii w Celinowcu znajduje się spora garstka Rusinów z Galicyi, złożona z 16 rodzin. Gdy przed paru laty zjawili się w tych stronach, dla zachowania rytu słowiańskiego postanowili przyłączyć się do serbskiej cerkwi schizmatyckiej. Lecz spotkał ich zawód. Oto pop serbski obawiając się takich niepewnych owieczek, a może i dla innych powodów, aby mu to za złe nie wzięto, oświadczył Rusinom, że są katolikami i dlatego nie chce ich przyjąć do swojej cerkwi. Rusini nie mając wyboru, zdecydowali się uczęszczać na nabożeństwa do katolickiego łacińskiego kościoła i tamże przystępują bez trudności do św. Sakramentów

W Banialuce zastałem wiele rodzin polskich urzędników. Do niedawna w sądownictwie byli sami Polacy, tak że na po-

siedzeniach, podobnie jak i w Dolnej Tuzli używano języka polskiego. Skorzystałem z tej sposobności, aby odprawić z naszymi rodakami rekolekcye przed wielkanocną spowiedzią, a byłem bardzo zbudowany z panów urzędników, którzy i raniej wstawali, aby naukę usłyszeć i wprost z bióra wieczorem gromadzili się w tymże celu w kościele.

Zresztą prawie w każdem mieście lub miasteczku podczas dalszych moich podróży po Bośni i Hercegowinie zastawałem Polaków nieraz na wysokich stanowiskach. Sarajewo pod tym względem pierwsze miejsce zajmuje. Gdy w bieżącym roku podczas postu dawałem w bośniackiej stolicy rekolekcye dla polskiej inteligencyi zbierało się panów urzędników do 50 w seminaryjskiej kaplicy, pań zaś około 30 przychodziło na konferencye do pięknej sali „Córek Bożej Miłości“. A przecież nie wszyscy mogli brać udział w tych duchownych obrzędach. Ci, co dobrze znają stosunki w Sarajewie, opowiadali mi, że Polaków można tam liczyć do tysiąca osób z rozmaitych stanów. Cyfra nie wydaje mi się przesadzoną, skoro na polskich kazaniach w czasie postu b. r. miewałem w dniach powszednich nieraz z górą 200 osób. Szkoda, że dotychczas niema w całej Bośni i Hercegowinie ani jednego polskiego kapłana. Ks. arcybiskup sarajewski Stadler bardzo nad tem ubolewa, lecz jeszcze nie mógł znaleźć odpowiedniego kandydata. Co prawda, długo takiej potrzeby nie będzie, gdyż młodsza generacya polska już biegle włada językiem bośniackim i łatwo znajdzie opiekę duchową w miejscowym klerze. Być może, że Polacy rozrzuceni w Bośni zleją się z miejscową ludnością. Czy dlatego ich praca dzisiejsza dla naszego narodu jest straconą? Sądzę, że nie. Najpierw tradycye narodowe nie łatwo się zacierają, powtóre lepiej, że Polacy niż Niemcy lub Węgrzy biorą udział w kształceniu kultury Bośniaków, bo są im bliższym i zdrowszym dla nich pierwiastkiem.

Ks. Marcin Czerminski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Ateny wołyńskie. Szkic z dziejów oświaty w Polsce. *Michał Rolle.* Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1898. (W 8-ce, str. 1—4, 1—398, 1—12).

Rzecz ta drukowała się w *Przewodniku naukowym i literackim* we Lwowie p. t. „Krzemieniec". Z góry zaznaczamy, że oba tytuły nie są zbyt szczęśliwie dobrane; autor zajmuje się prawie wyłącznie szkołami, a z tytułu jednego i drugiego wynikałoby, że i innym kwestyom równą poświęca uwagę.

Streszczać pracy p. Rollego nie myślę, zaznaczę tylko główne jej punkta celem scharakteryzowania konstrukcyi całości. Autor podzielił dzieje oświaty na Rusi na pięć okresów. Pierwszy liczy od Włodzimierza W. aż do „wkroczenia Jezuitów na Ruś w r. 1612". drugi zamknął powołaniem do życia Komisyi edukacyi narodowej, trzeci zakończył dniem otwarcia gimnazyum wołyńskiego, w czwartym pomieścił dzieje samegoż liceum krzemienieckiego, piąty rachuje od daty upadku zakładów polskich na Wołyniu.

P. Rolle zajął się opracowaniem samego okresu czwartego, innych zaledwie dotknął. W rozdziale pierwszym przedstawił znane sobie wiadomości z dziejów trzech pierwszych okresów, okres piąty, jako nienależący do historyi oświaty polskiej pominął prawie całkowicie.

Z rozdziałem drugim rozpoczyna się opracowanie „właściwego tematu". Podawszy ważniejsze daty z życia Tadeusza Czackiego, mówi autor o jego powołaniu na wizytatora szkół gubernii wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, o jego zabiegach około podniesienia oświaty i szkół

w tychże okolicach, oraz wreszcie o planie założenia wyższego zakładu na Wołyniu. Za pomocnika i doradcę przybrał sobie Czacki ks. Hugona Kołłątaja, doświadczonego organizatora i znawcę spraw edukacyjnych danej doby. Dla szkoły wyższej wołyńskiej wybrano Krzemieniec. Projekt organizacyjny nakreślono na szeroką skalę; obok liceum z klasami miały powstać kursy ogrodnicze, rolnicze, felczerskie, weterynarskie, seminaryum nauczycielskie, szkoła guwernantek, a ewentualnie inne jeszcze potrzebne zakłady. Powiatowe miasta miały otrzymać gimnazya powiatowe, a miasteczka i wioski szkółki parafialne. Pracując z Kołłątajem nad projektami, krzątał się wizytator równocześnie około zebrania potrzebnych funduszów, przyczem rozwinął bezprzykładną a szczęśliwą w skutkach zapobiegliwość.

W miarę dojrzewania projektów rozpoczynała się troska o pozyskanie zdolnych profesorów i praca około urządzenia mieszkań nauczycielskich i studenckich oraz budynków szkolnych. Rzecz tę przedstawił p. Rolle w rozdziale trzecim, który zamknął opisem aktu otwarcia gimnazyum w Krzemieńcu.

Zrozumiawszy dobrze to, co Czacki i Kołłątaj z takim naciskiem głosili, a mianowicie, że od zdatności nauczycieli zależy w głównej części powodzenie i rozkwit szkoły, poświęcił autor temuż zagadnieniu stosunkowo najdłuższy rozdział czwarty. Całkiem racyonalnie połączył z tą kwestyą rozbiór zakresu nauki, jego reformy i sprawę podręczników. Pisze autor o tem, czego uczono w klasach, czego na kursach, którzy i jacy profesorowie wykładali poszczególne przedmioty, jak długo uczyli i z jakim skutkiem, jaki udział brali w ruchu naukowym pozaszkolnym i jakich używali podręczników.

Rozdział piąty poświęcił autor rozbiorowi kwestyi funduszów szkolnych, a więc czytamy tu o działalności Komisyi sądowej edukacyjnej, o etacie szkolnym i funduszach stypendyjnych, oraz o urządzeniu t. zw. konwiktów. Pan Rolle dąży widocznie do tego, aby zebrać jak najdokładniejsze cyfry, i podnosi przy tej sposobności niezmordowaną zaradność Czackiego, który się nie cofał przed największemi trudnościami i nie zrażał wielorakiemi przykrościami. Ocenia też autor należycie zasługi, oddane w tej sprawie przez inne osoby. Całkiem słusznie zwrócił p. Rolle szczegółową uwagę na fundacyę doktora Lernerta.

W rozdziale szóstym, w którym się skupia reszta wiadomości z dziejów szkół krzemienieckich za życia ich wizytatora i organizatora, znalazły pomieszczenie najróżnorodniejsze kwestye, dla których nie

było stosownego miejsca w poprzednich rozdziałach, a więc rzecz o frekwencyi zakładów, o wielorakich przykrościach, jakie z roku na rok padały z rozmaitych stron na Czackiego, wywód o karności szkolnej i sądach koleżeńskich, o popisach dorocznych, o szkole geometrów, o drukarni i t. d. Na końcu rozdziału rozprawia p. Rolle dość szczegółowo o śmierci Czackiego, o uroczystościach pogrzebowych i krytyce jego działalności, wypowiedzianej tak ze strony Rosyan, jako też i ziomków wizytatora.

Rozdział siódmy obejmuje dzieje szkoły od śmierci Czackiego aż do jej zamknięcia; w rozdziale ósmym jest mowa o zbiorach naukowych i funduszach edukacyjnych, które się dostały uniwersytetowi kijowskiemu po zwiniętem liceum krzemienieckiem, o losie byłych profesorów Krzemieńca i innych szkół polskich na Wołyniu. Zamknął zaś p. Rolle rozdział ten zwięzłym przeglądem dziejów oświaty w trzech południowo-zachodnich guberniach w trzydziestu latach bieżącego stulecia.

W ostatnim, dziewiątym rozdziale nakreślił autor obraz polemiki literackiej, jaka się wywiązała wskutek wystąpienia Rzewuskiego z ostrą krytyką przeciw szkole krzemienieckiej i jej twórcy. Zwolennicy Czackiego, nieprzeoczając braków, potrafili wywalczyć rzetelnej zasłudze należne jej uznanie. Szkoła krzemieniecka, a z nią imię jej twórcy i opiekuna, nie przestanie nigdy jaśnieć w dziejach naszej oświaty.

Z powyższego, chociaż widocznie bardzo zwięzłego zaznaczenia głównych punktów pracy widać, że autor wcale zgrabnie ugrupował zebrany przez siebie materyał. Stwierdziwszy to, czynimy autorowi zarzut, iż dotyka jednych i tych samych kwestyj w kilku miejscach, chociaż je mógł bardzo wygodnie załatwić od razu na jednem miejscu. Takiemu rozrzuceniu uległy np. wiadomości o Komisyi sądowo-edukacyjnej, o uczniach, profesorach i kilka innych jeszcze. Wobec tego, że są rozrzucone, trudno przychodzi czytelnikowi zoryentować się w nich. Ten sam zarzut czynimy rozstrzelonym w toku opowiadania uwagom krytycznym, które należało zebrać na jednem miejscu. Wszystkie te wymienione zarzuty odnoszą się do całej pracy, a przedewszystkiem zaś do drugiego jej rozdziału, poświęconego przeglądowi projektów. Rozdział ten, jak zobaczymy, i skądinąd jest najsłabszy.

Drugim zarzutem, który pracy p. Rollego uczynić mi wypada, jest nierównomierne obrobienie nagromadzonego materyału. Tu trzeba szukać wytłumaczenia, dlaczego autor, obmyślawszy dla pracy rozumną konstrukcyę, nie pomieścił niektórych wiadomości na właściwem dla nich miejscu, z tego też źródła wynikły niektóre drobne sprzeczności

i niedokładności w wywodach. Czytamy np. na str. 29 o przeciążeniu naukowem uczniów, a tuż na str. 30, że przeciążenia nie było. Nie mogę się zgodzić z autorem i na to, że w szkołach pijarskich w Dąbrowicy i Międzyrzeczu Koreckiem młode pokolenie „zgłębiało tajniki wiedzy ludzkiej". Jest to bezwarunkowo przesada. I podział dziejów oświaty na Rusi nie wydaje mi się racyonalnym, a mianowicie uważam pierwszy okres bezwarunkowo za zbyt długi. Autor rozpoczyna go od Włodzimierza W., a więc myśli widocznie — pisać tego nie pisze — o oświacie niełacińskiej; gdy tak jest, wtedy trzeba zaznaczyć, że p. Rolle pominął rozwój szkół obrządku wschodniego w XVI. i początkach XVII. w. O oświacie łacińsko-polskiej przed przybyciem na Ruś OO. Jezuitów autor nic zgoła nie wspomina, nie rozumiemy więc, czem trwanie pierwszego okresu motywuje.

Te braki i niedokładności nie przeszkadzają recenzentowi uznać pracy p. Rollego za dobrą i pożyteczną. Przedewszystkiem należy się autorowi szczere uznanie za skrzętne zgromadzenie materyału. Pod tym względem nie dostrzega się żadnych większych braków. Uszło jednak uwagi autora jedno cenne źródło, a mianowicie Raport wizyty generalnej ks. Szczepana Hołowczyca z roku 1782, wydany przez d-ra Wł. Wisłockiego w „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce".

Kwestyi nie załatwia ona jeszcze ostatecznie; nie jest, jak ją autor sam charakteryzuje, zupełną. Znaczne braki przedstawia rozdział drugi. Autor nie zadał sobie trudu, aby zbadać stosunek projektów Czackiego i Kołłątaja do ustaw Komisyi edukacyi narodowej, oraz do zagranicznych wzorów, jednem słowem nie powiedział, co w nich jest oryginalne, a co naśladowane. Nie znajdujemy też odpowiedzi na pytanie, co Czacki zawdzięcza Kołłątajowi, a co samemu sobie tylko. I kwestya podręczników pozostała w znacznej części niezałatwioną. Za mało też powiedział autor w kwestyi scharakteryzowania zbiorów naukowych krzemienieckich. Trzeba też będzie, aby stworzyć wyczerpujący obraz działalności Czackiego, zbadać gruntowniej dzieje zakładów, jakie w Krzemieńcu powstały obok liceum.

Zresztą na wyniki pracy p. Rollego godzimy się bez zastrzeżeń. Niektóre dotąd sporne kwestye załatwia autor trafnie. Dla przykładu przytoczymy jedną. Słusznie pisze, że choroba przeszkodziła Kołłątajowi wziąć udział w uroczystości otwarcia szkoły, a domyśla się trafnie, że Czacki nie wspominał Kołłątaja w mowie inauguracyjnej na wyraźne

jego życzenie. Wiemy z ich korespondencyi, że Kołłątaj, proszony o pomoc przy pracy, przyrzekł ją najchętniej z zastrzeżeniem jednak zupełnej niemal tajemnicy co do swego w niej udziału.

Dr. Antoni Karbowiak.

Ks. Hieronim Kaysiewicz. *St. Tarnowski.* Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1897. (Str. 206).

Dwadzieścia pięć lat mija od chwili, gdy na jednej z ulic Rzymu, rażony apoplektycznym napadem zakończył nagle swój długi, pracowity, chlubny żywot ks. Hieronim Kaysiewicz.

W chwili, gdy po tylu wstrząśnieniach i klęskach druzgocących całe społeczeństwo polskie popadło w stan apatyi i moralnego przygnębienia, gdy na emigracyi miasto spodziewanego i wymarzonego powrotu dowolnej i niepodległej ojczyzny, rosło i wzmagało się w przerażający sposób rozbicie, ogólne rozprzężenie, wtedy zjawia się ksiądz Kaysiewicz, wstępuje na kazalnicę, potężnym i natchnionym głosem wzywa do pokuty, do jedności, do miłości wzajemnej, do organicznej pracy, gromi i potępia wady i błędy, wykazuje jasno i niezbicie, gdzie i w czem winni Polacy szukać jedynej i niezawodzącej pomocy, szczepi na nowo i podsyca miłość Boga i ufność w Jego miłosierdzie. Przejęty doniosłością i ogromem zadania, nie szczędzi sił ni czasu, wszędzie i zawsze z ambony i w konfesyonale, w Paryżu i w Rzymie, w Ameryce i w Galicyi, lub Poznańskiem, sączy w te serca ścierpłe od bólu, lub skamieniałe w swym uporze, słodycz boskiego słowa. Daleki od poetycznych marzeń o Chrystusowej ofierze i przeznaczeniu Polski, rozwiewał te piękne bez wątpienia, ale szkodliwe rojenia, lecz wierzył zawsze i niezachwianie w przyszłe zmartwychwstanie ojczyzny, głosił, że zasmucić tylko chciał nas Pan, ale nie wygubić, że przyjdzie chwila w której Opatrzność jego uderzy w grzbiety nieprzyjaciół naszych, i zetrze ich zuchwałość, a nas postawi napowrót na świeczniku dawnej chwały.

Jak sędzia nie kusi się o sprawiedliwy wyrok nie poznawszy winy obżałowanego, tak i nam trudnoby było przy najszczerszych chęciach ocenić należycie ks. Kaysiewicza, jego pracę i zasługi uwolnić go od rzucanych na niego posądzeń, nie znając dokładnie dziejów jego. Czem zupełniejszą i gruntowniejszą będzie ta znajomość, tem łatwiej przyjdzie nam oddzielić czyste ziarno od plewy. Z tego zapatrywania wypłynęła książka, której tytuł na czele wypisaliśmy. Nie jestto rzecz świeżo napisana, lecz przedruk kilku artykułów prof. Tarnowskiego,

pisanych świeżo po zgonie ks. Kaysiewicza, a ogłoszonych w *Przeglądzie polskim* z r. 1873. Niejednemu dziwną co najmniej wyda się rzeczą, że rozpisujemy się o rzeczy od dwudziestu kilku lat znanej, a obecnie bez najmniejszej zmiany, wydanej powtórnie.

Pisząc te kilka słów, czynimy to jednak nie z prostej tylko sprawozdawczej powinności, lecz nieco i z innych głębszych powodów. Oto chcemy wraz z autorem rozprawy przypomnieć społeczeństwu człowieka tyle dlań zasłużonego, a dotąd systematycznie obdzieranego z całej aureoli, lub jeszcze gorzej, zbywanego uporczywie milczeniem. Skoro więc do dziś po 25 latach nie zdobyliśmy się na wyczerpującą monografię, niech choć więc ta wzmianka przypomni nam niespłacony dług.

Wracając do samej książki p. Tarnowskiego, musimy przedewszystkiem przypomnieć, że rzecz ta pisana nad świeżą mogiłą nie mogła żadną miarą być wyczerpującą, tem mniej, że sam autor bynajmniej tego za cel nie położył. Wyczerpującą być nie mogła, bo nieznane wówczas było to wszystko, co dziś dzięki publikacyi ks. Smolikowskiego znamy, a bez czego nie można było myśleć o czemś zupełnem, a autor — jak sam przyznaje — pragnął spełnić obowiązek redaktora „pisma poświęconego przeglądaniu spraw polskich“ i „przypomnieć życie i dzieła takiego człowieka“ w przeświadczeniu i niezachwianej pewności, że po tym koniecznym początku pójdą następnie rzeczy obszerniejsze, bardziej wyczerpujące. Niestety jego książka jak była pierwszą, tak też została prawie ostatnią, bo Żywot Kaysiewicza przez Br. Zaleskiego, jest tylko cenną wiązanką szczegółów i materyałów, ale nie monografią. Wskutek tedy i tej wczesności pisania i wyraźnego zamiaru autora książka p. Tarnowskiego posiada bardzo wiele luk, nie jest monografią, ale politycznym szkicem. Zaznaczywszy i przyjąwszy ten jej charakter musimy przyznać, że jako szkic jest ona bardzo dobrą, odpowiada swemu celowi najzupełniej. Przeczytawszy pracę prof. Tarnowskiego, ma się wyobrażenie o Kaysiewiczu jasne i pewne, bo postać kaznodziei, mimo pobieżnych, szkicowych pociągnień pióra, występuje z tła wyraźnie, *en haut relief*. Późniejsze obszerniejsze badania rozjaśnią wiele rzeczy, których autor nie rozjaśnił, rozszerzą i wytłumaczą wiele szczegółów, w książce p. Tarnowskiego zupełnie pominiętych lub pobieżnie wspomnianych, ale sama postać kaznodziei, jego charakterystyka, charakter jego pracy, talentu i zasług, te w książce czcigodnego pana profesora są pojęte i przedstawione tak, że trudno coś z tego zmienić. Dodać wiele będzie można w miarę znajomości źródeł, ale ująć ani słowa. To jeden wielki przy-

miot książki, a nie jest bynajmniej jedyny. Zdobi ją bowiem i bardzo mile przyciąga czytelnika uczucie autora, jego cześć dla wielkich zasług Kaysiewicza, jego usilność wydobycia na jaw wszystkiego, co te zasługi może w pełniejszem pokazać świetle, jego żałość nad naszą złą wiarą i apriorystycznem uprzedzaniem się, uniemożebniającem sprawiedliwy, bezstronny sąd. Spokojnie, przedmiotowo, nieraz z wielką żałością i tłumionym bólem przechodzi autor koleje ciernistego żywota, rozprasza skupione nad pewnemi faktami zadawnione uprzedzenia, żale i oszczerstwa, dowodząc prosto a niezbicie, jak właściwie rzecz się miała, a co z niej zrobiono i z jaką sławą lub opinią przechowała się do dziś.

Po krótkim ogólnym wstępie służącym zarazem za tło, rozpoczyna autor od r. 1831, od jego wypadków, w których i Kaysiewicz, wówczas młodziutki akademik, jako ułan czynny brał udział. Potem emigracya, kilka dosadnych szkiców i na jej tle znowu występuje Kaysiewicz, jako żarliwy polityk i poeta. Kilka słów o sonetach ilustrowanych doborowymi wyjątkami, ogólny o nich sąd nie do zmienienia i potem znowu w najogólniejszych rysach, przypuszczalne koleje, powody moralnego przeobrażenia i duchowego odrodzenia, uwieńczonego kapłaństwem. Część ta jest najbledszą i najogólniejszą, to przeobrażenie wcale nie przeprowadzone, nie pokazane, nie wyjaśnione, bo wówczas wyjaśnić jeszcze go nie można było. Głównem pragnieniem autora było dać poznać możliwie, jak najdokładniej, mało wówczas (niestety i dziś) znane najcelniejsze kazania wielkiego kaznodziei. To też przechodzi je wszystkie celniejsze, podając bardzo bogate cytaty, w słusznem przekonaniu, że one same za siebie będą mówić. Autor usuwa się tutaj na bok, od czasu tylko do czasu poda jakąś refleksyę, rzuci jakieś sprostowanie, pozwalając zresztą mówić jaknajwięcej samemu kaznodziei. Wybór cytacyj nie mógł być szczęśliwszy; wszystkie perły natchnień Kaysiewicza znalazły ramy w książce p. Tarnowskiego. Wiązany szczupłemi ramami swej rozprawy, pominął autor zupełnie cały jeden rodzaj wymowy Kaysiewicza tj. wymowę żałobną. Nie ma o nich żadnej wzmianki, żadnego cytatu — a szkoda, bo i tam są pierwszorzędne piękności językowe, stylistyczne i porywające wybuchy uczucia. W końcowych uwagach zbiera autor w całość rozrzucone sądy i uwagi o ks. Kaysiewiczu, jego zasłudze, rodzaju i wysokości talentu krasomowczego, porównuje go z obcymi i naszymi sławnymi mowcami kościelnymi.

To jest najogólniejsza treść książki, która miała być pierwszą, a została przez ćwierć wieku i jedyną. Jako taka nie czyni z pewno-

ścią żadną miarą zadość obowiązkowi, ale przynajmniej godnie spłaca procent od nieumożonego długu, a dla każdego pragnącego cokolwiek mówić lub pisać o Kaysiewiczu musi być punktem wyjścia.

Jan Bystrzycki.

Notatki myśliwskie. Somali. *Józef hr. Potocki.* Kraków i Warszawa. Gebethner i Sp. 1897.

Gdzie się znajduje kraina Somalisów? zapyta niejeden, nie bardzo z geografią spoufalony, zwłaszcza z geografią Afryki, będącą całkiem nową nauką. Wszakże do niedawna całe olbrzymie wnętrze czarnego lądu, z wyjątkiem pobrzeży, błyszczało na mapie białą plamą, uwidoczniającą drastycznie mniemane pustki bezwodnej krainy. Nie domyślano się zgoła ogromnych zbiorników wód i rzecznych szlaków, gotowych otworzyć nowe drogi handlowe zubożałemu światu; nie znano ani ustroju, ani zasobów tajemniczego Afryki łona, obfitującego we wszystkie bogactwa, właściwe strefom słonecznym. Oczywiście znajdują się w niedostępnym do niedawna kontynencie i wydziedziczone krainy, spieczone zwrotnikowym upałem przestrzenie, nieodświeżane zgoła wilgocią jezior ni strumieni, porosłe dziką dżunglą, krzakami ciernistej mimozy i kaktusów, usprawiedliwiające dawne mniemania o afrykańskim pustynnym stepie.

Do tych należy kraina Somalisów, sąsiadujących z Abisynią, a od kilkunastu lat przyłączona do sfery interesów angielskich i włoskich w Afryce. Nie jest to anneksya, raczej protektorat, rozdzielony pomiędzy dwa europejskie mocarstwa, żadnej stąd nieodnoszące korzyści. Ulubiony sport angielski, polowanie na grubego zwierza, jedynie opłaca koszta utrzymywania tu konsula i kilku przedstawicieli ładu społecznego. To też fala zawołanych myśliwych zwróciła się od pewnego czasu ku tym niegościnnym wybrzeżom, nie bacząc na znaczne koszta podobnych wypraw, do których z osobną umiejętnością, właściwemi zapasami i najlepszą tylko bronią zabierać się można. Należy bowiem sztyftować liczną karawanę, dobrać sobie wypróbowanych przewodników i pomocników, zaopatrzyć się na wszystkie możliwe i nieprzewidziane przez mody potrzeby. Zazdroszcząc łupów wyspiarzom, i z innych krajów myśliwi jęli z kolei zaglądać do tego raju obiecanego pod względem liczby i rozmaitości zwierzyny, i francuscy, i włoscy, i austyaccy wielcy panowie zapędzali się tu w pościgu za lwami, nosorożcami, słoniami i lampartami. Aż nareszcie *last not least* i znany

z wycieczek łowieckich do Indyj i Cejlonu, hr. Józef Potocki, zapragnął i u Somalisów popróbować szczęścia.

Jakoż dobrawszy sobie za towarzyszów wyprawy Tomasza hr. Zamojskiego i Jana hr. Grudzińskiego, równie dobrych i zapalonych strzelców, jak on sam, hr. Potocki ruszył w drogę z końcem 1896 r., aby całe trzy miesiące spędzić w głębi Somalilandu. Polując w okolicy mniej odwiedzanej przez sprzysiężonych na wytępienie dzikiego zwierza sportsmenów, trójka polska myśliwych święciła niebywałe powodzenie, cały szereg ubitych lwów, nosorożców, słoni, antylop przeróżnego rodzaju, oraz innej zwierzyny świadczy zarazem i celności strzałów, i o bogactwie fauny miejscowej, zapiski zaś głównego inicyatora tej wyprawy, wskazują, jakim to kosztem uciążliwości i czuwań, ilu nocy, spędzonych w szałasach z cierni splecionych, potrzeba, aby ubić lwa lub lamparta. Aż szkoda tak znacznej sumy energii i wytrwałości na marną tylko rozrywkę! Choć może z innej strony wszystko, co hartuje, co odciąga od wygodnego życia, co uczy znosić niedostatek i trud wszelki, wyborną bywa szkołą i gimnastyką ciała — i ducha.

W potocznych, kreślonych od ręki, bodaj na kolanie, zapiskach znaczy się raz po raz jakieś silniejsze wrażenie, które bądź co bądź musi kształcić charakter człowieka i szlachetniejsze rozwijać pierwiastki. Bo nie są to żarty te spotkania z dzikim zwierzem pustyni! Niemal za każdym razem groza sytuacyi ogarnia czytelnika: lwy Somalilandu nie żartują, zwłaszcza te, co raz zakosztowały ludzkiego mięsa i innej nie pragną łakoci. Wszakże hr. Potocki przytacza świeży wypadek, kiedy taki lwi gość, gardząc zgotowaną dlań przynętą, wywlókł raczej z zeriby czuwającego na straży angielskich myśliwych tubylca. Lew ludojad, *man-cater,* staje się wnet postrachem całej okolicy. Wogóle zaś, zamiast unikać człowieka, zdaje się raczej trzymać w pobliżu ludzkich osad i karawan, w nadziei pochwycenia smacznego kąska. Zresztą nietylko u ludzi znaczą się różnice charakterów, i w świecie zwierzęcym najróżniejsze dają się napotkać usposobienia, jak nam to przedstawia autor zapisków. Tu lew rozjuszony rzuca się na człowieka mężnego Alikhara, który boryka się z potężną bestyą, dopóki jej nie powalą uczestnicy wyprawy. Tam inny daje się odstraszyć wierzganiem niewinnego osiołka, postawionego na przynętę. Ten zbliża się do obozu myśliwskiego, aby niemal w jego obrębie szukać zdobyczy, tamtego znów gotów odstraszyć najlżejszy szmer, chrząknięcie, poruszenie czekającego na stanowisku strzelca. Wogóle zwierzęta tej strefy, nieobyte jeszcze z bronią dalekonośną i kulami, nie zdają sobie sprawy

z niebezpieczeństwa, nie wiedząc, z której strony takowe im grozi, tracą niekiedy głowę wobec huku strzałów. Nosorożec nie naciera nigdy na człowieka, chyba że zraniony, a i wtedy można ujść jego rozbijającej wszystko po drodze napaści, ponieważ, jak wszystkie gruboskórce, widzi tylko prosto przed sobą i wystarcza rzucić się w bok, aby pościg jego zmylić. Dziwna rzecz! Ci Somalisi tak nieustraszeni wobec lwa, drżą na widok słonia, ogromem jego zalęknieni, mimo łagodnych obyczajów potężnego pachydermy. Mają też swoje zabobony, za nic nie dotkną dzika; stopień oświaty bardzo u nich nizki, a raczej żadny, do muzułmańskiej wiary przywiązani, żyją koczowniczo, żrą się i kłócą między sobą z powodu szczepowych nienawiści, których tu bywa mnóstwo. Rzecz dziwna! W tej najpierwotniejszej i najwięcej barbarzyńskiej społeczności duma arystokratyczna kwitnie w najlepsze. Każdy Somalis swoje pokolenie, swój ród ma za najwyższy i najlepszy, gotów każdą pod tym względem wątpliwość lub obelgę krwawo pomścić. Zresztą dość łagodnych obyczajów, uprzejmi, pełni wesołości właściwej słonecznym strefom, znoszą cierpliwie najdotkliwsze niedostatki, kontentują się wodą, którejby się nie tknął żaden Europejczyk. Hr. Potocki wielokrotnie podziwia odporność tutejszych zwierząt na pragnienie. Wbrew twierdzeniu Brehm'a, utrzymuje, że wiele z nich po całych miesiącach wody nie widzi, ani nawet szuka. W pierwszym rzędzie nosorożce, którym wystarcza przeżuwanie tłustych i wilgotnych liści niektórych roślin tej ubogiej w roślinność strefy.

Zewnętrzna strona wydania jest wspaniała. Począwszy od okładki płóciennej z lwią głową i złotemi odciskami, od pierwszej karty z portretem autora pendzla Fałata, aż do ostatniego marginesu i końcowej stronicy, wszędzie znać staranność estetyczną, wytworny smak, baczność na szczegóły, aby żaden nie zmącił uroku artystycznej całości. Talent p. Piotra Stachiewicza wystąpił tu w całej ponętnej bujności i wykwintności. Nie szczędził pracy, aby mnóstwem ilustracyj czytelnikowi niniejszych zapisków uwidocznić zawarte w nich wrażenia. Z rzadkiem jasnowidzeniem zdołał pochwycić jednocześnie i ogólny charakter smutnych krajobrazów tej strefy i przeróżne fizyonomie gazeli, antylop i innych ceroidiów Somalilandu, oraz imponujace kształty większych zwierząt, a z kolei i typy mieszkańców tych równin bezwodnych.

Po przebytych niebezpieczeństwach i dzielnie znoszonych niewygodach i trudach wyprawy, nasi myśliwi w dobrem zdrowiu powrócili do kraju, unosząc w sercu tęsknotę za przebytemi doświadczeniami i przebieżanemi strefami, a stąd niewyraźną, bodaj nieśmiałą żądzę po-

wtórzenia kiedyś zajmującej wyprawy. Ale chyba to na nasze stosunki, nawet wielkopańskie, zbyt kosztowne przedsięwzięcie, zbytek szczęśliwszych społeczeństw, kędy osobnikom wolno się wyłamywać z pod jarzma codziennych najbliższych ofiar i powinności, aby dalekich zażywać rozrywek i rozkoszy myśliwskich! Nam chyba nie przystoi ekspensować na obcych szlakach szczupłych zasobów naszych, tak pod względem grosza, jak sił i czasu, zwłaszcza w chwili obecnej, gdy nam potrzeba skupić i spleść wszystkie dłonie w wspólnej pracy odpornej i obronnej. Grudziński w Wielkopolsce, Potocki w krajach zabranych, Zamojski w Koronie, dość znajdą sępów i szakali, aby je odganiać i spędzać z drogich szczątków. Jeśli chodzi o trudy, nie potrzeba ich szukać za morzem; o rycerskie ćwiczenie ducha — chyba ku temu nie zabraknie bliższej i swyższej okazyi!

M.

Wyniki badań przyrodniczych, ogłoszonych w wydawnictwach Akademii Umiejętności z lat 1893—1896.

V.

Jan Śnieżek: „O krajowych gatunkach trzmieli". — K. Bobek: „Przyczynek do fauny muchówek krakowskiego okręgu". — „Przyczynek do fauny muchówek okolicy Przemyśla". — J. Werchratski: „Motyle większe Stanisławowa i okolicy". — Fryd. Schille: „Fauna lepidopterologiczna doliny Popradu i jego dopływów". — Z. Fiszer: „Wije zebrane w Galicyi wschodniej". — Wł. Kulczyński: *Attidae Musei zoologici Varsoviensis, in Siberia orientali collecti.* — Z. Fiszer: „Przyczynek do fauny krajowych skorupiaków liścionogich". — „Rewizya krajowych gatunków wieszyc". — A. Wierzejski: „Przegląd fauny skorupiaków galicyjskich". — „Skorupiaki i wrotki *(Rotatoria)* słodkowodne zebrane w Argentynie" — „Wrotki *(Rotatoria)* Galicyi". — „Notatka do fauny robaków z rodziny Gordiidae". — J. Nusbaum: „Sprawozdanie z poszukiwań nad fauną robaków, dokonanych w lecie 1893 r.". — Tenże, „Materyały do historyi naturalnej skąposzczetów". — Dr. M. Kowalewski: „Materyały do fauny helmintologicznej pasorzytniczej polskiej". I.—II. — Dr. A. Jaworowski: „Fauna studzienna miast Krakowa i Lwowa".

W r. 1874 podał prof. A. Wierzejski spis krajowych gatunków trzmieli [1], a zresztą nie zajmowano się nimi u nas wcale, aż w r. 1894

[1] „Dodatek do fauny błonkówek". Sprawozdanie Kom. fiz. Akademii Umiejętności. 1874.

jawi się rozprawa p. J. Śnieżka [1] obszernie i sumiennie traktująca tę rodzinę Błonkówek *(Hymenoptera)*. Autor nietylko zbierał trzmiele krajowe, ale i obserwował sposób ich życia tak w naturze, jako też i w hodowlach. Doszedł też do wyników odmiennych od głoszonych dotychczas, a przez to przyczynił się do rozświetlenia niejasnych dotąd kwestyj. Wyniki te są: *a)* Poruszanie silne skrzydłami przez jedną z robotnic, zwaną „trębaczem", w porze rannej nad gniazdem, połączone z silnym, dudniącym głosem nie ma na celu budzenia reszty robotnic do pracy, jak to twierdzi Ed. Hofer w pracy swej *Die Hummeln Steiermarks*, Graz 1883, a za nim inni badacze, ale ma na celu odświeżenie powietrza w gnieździe, odbywa się więc nie tylko rano, lecz o każdej porze dnia a nawet w nocy, podczas upałów lub przed deszczem, kiedy powietrze jest duszne. *b)* Myszy nie są najgłówniejszymi i najczęstszymi niszczycielami gniazd trzmieli, owszem, dostarczając starych swych gniazd na siedlisko roju podziemnych trzmieli, rozwojowi ich sprzyjają. Często spotykał p. Śnieżek gniazda pełne młodych myszy w bezpośredniem sąsiedztwie obfitujących w miód gniazd trzmieli. Praca autora przynosi nadto wyczerpujące opisy 18 gatunków krajowych, dotąd w Galicyi odszukanych, przez co staje się pierwszym polskim kluczem do oznaczania trzmieli.

Muchówkami *(Diptera)* zajmował się prof. K. Bobek i dwie prace poświęcił im w ostatniem trzechleciu. Pierwsza [2] z nich jest po „Wykazie .." ś. p. prof. d-ra M. Nowickiego jedynym spisem galicyjskich muchówek, uzupełniającym ogólnikowe wiadomości, jakie dotychczas posiadaliśmy, szczegółowemi datami co do miejsca i czasu pojawiania się much galicyjskich. Obejmuje 426 gatunków, z których 31 są nowymi nabytkami dla fauny naszego kraju.

Druga [3] dotyczy okolic Przemyśla, w których autor znalazł 462 gatunków a między nimi 48 nowych dla krajowej fauny.

Prof. Jan Werchratski zbadał okolicę Stanisławowa pod względem motyli [4]. Znalazł w niej 623 gatunków tych owadów. Pracę oparł

---

[1] Jan Śnieżek, „O krajowych gatunkach trzmieli". Sprawozd. Kom. fiz. Akad. Um., t. XXIX, str. 1—22. Kraków 1894.

[2] K. Bobek, „Przyczynek do fauny muchówek krakowskiego okręgu". Sprawozd. Kom. fiz. Akad. Umiej., t. XXVIII, str. 8—28. Kraków 1893.

[3] Tenże, „Przyczynek do fauny muchówek okolicy Przemyśla". Spraw. Kom. fiz. Akad. Um., t. XXIX, str. 142—167. Kraków 1894.

[4] Jan Werchratski, „Motyle większe Stanisławowa i okolicy". Spraw. Kom. fiz. Akad. Um., tom XXVIII, str. 167—266. Kraków 1893.

li tylko na swoich własnych spostrzeżeniach, przez co nie ma ona cech miejscowej fauny, gdyż nie uwzględnia danych, jakie poprzedni badacze podali. Że jednak obok całych szeregów stanowisk praca ta zawiera opisy gąsienic, sposobu ich życia i opisy poczwarek, a opisy bardzo dokładne na podstawie autopsyi, przeto ma niezaprzeczoną wartość, jako znakomita wskazówka dla innych, zwłaszcza początkujących zbieraczów motyli.

Pan Fr. Schille [1] badał motyle doliny Popradu i jego dopływów. Odkrył 764 gatunków, z których 480 przypada na motyle większe *(Macrolepidoptera)* i jedną nową odmianę Rusałki admirała *(Vanessa Atalanta)*, którą nazwał var. *Klemensiewiczii*. W wykazie tych gatunków uwzględnia obok nazwy, miejsca i czasu połowu, także różne szczegóły odnoszące się do hodowli i życia gąsienic jako też i poczwarek.

Wije *(Myriopoda)* były przedmiotem badań p. Z. Fiszera [2]. Zbierał je na Pokuciu i Podolu galicyjskiem i podał 31 gatunków, z których 9 jest nowych dla fauny krajowej. Są to gatunki znajdywane dotychczas tylko w południowej części Austryi. Nadto przeprowadził rzeczony autor redukcyę rezultatów d-ra Justyna Karlińskiego [3], w duchu najnowszej literatury do 56 gatunków, a doliczywszy do nich 9 przez siebie odkrytych, wykazał, że ogólna liczba wijów krajowych wynosi 65 gatunków.

Prof. W. Kulczyński [4] uzupełnił bardzo niedokładne dotychczasowe wiadomości o faunie pająków wschodniej Syberyi przez nader staranne, ścisłe opracowanie rodziny *Attidae*, którego dokonał na podstawie materyału zebranego przez prof. d-ra B. Dybowskiego i Wiktora Godlewskiego nad jeziorem Bajkalskiem blizko Kułtuk, w Dauryi (koło Darasuń) i w pobliżu rzek Ussuri, Sungari oraz nad jeziorem Chanka, a przechowanego teraz w Muzeum zoologicznem w Warszawie. Wyka-

---

[1] Fryderyk Schille, „Fauna lepidopterologiczna doliny Popradu i jego dopływów na podstawie własnych badań". Sprawozd. Kom. fiz., tom XXX, str. 207—287. Kraków 1895.

[2] Z. Fiszer, „Wije zebrane w Galicyi wschodniej w lecie 1891 r." Spraw. Kom. fiz., tom XXVIII, str. 98—103. Kraków 1893.

[3] J. Karliński, „Materyały do fauny wijów Galicyi zachodniej". Spraw. Kom. fiz. Kraków 1883,

[4] Wł. Kulczyński, *Attidae Musei zoologici Varsoviensis, in Siberia orientali collecti.* Z 1 tablicą. Rozprawy Wydz. mat.-przyr. Akad. Um., str. 45—98, tom XXXII. Kraków 1896.

zał też, że z 28 gatunków, 14 należy do fauny europejskiej, jeden właściwy Syberyi wschodniej podał już Grube w 1861 r. pod nazwą *Pellenes ignifrons* a 12 gatunków było dotąd nieznanych w nauce wogóle. Te więc nowe gatunki opisał autor dokładnie i ilustrował na dołączonej tablicy wraz z kilku znanymi już gatunkami, a przytem rozszerzył i uzupełnił obserwacye dotychczas poczynione.

Skorupiakami *(Crustacea)* i robakami *(Vermes)* zajmowano się prawie tak wiele w naszem trzechleciu, jak owadami *(Insecta)*:

Pan Z. Fiszer badał przekopnice[1] i wykazał, że w kraju naszym żyją 4 gatunki tych raczków, a nie jeden, jak to dotychczas powszechnie było przyjętem. Gatunki te należą: do rodzaju *Apus* (Przekopnica) 3, a 1 do rodz. *Lepidurus* (Przekopnica zbrojna). Autor dał im następujące nazwy gatunkowe: *Apus haliciensis, A. varsoviensis, A. lublinensis* i *Lepidurus Kozubowskii*.

Ten sam badacz zebrał w 1891 r. bogate materyały wieszyc *(Asellidae)* w Galicyi wschodniej. A że do 1885 r. znany był tylko jeden gatunek wieszyc, tj. *Asellus aquaticus* i w *Kosmosie* tegoż roku opisał p. Włodz. Kulczycki nowy gatunek nazwany przez siebie *Asellus goplanus* z dwoma nowemi odmianami (var. *świteziana* i var. *cracoviensis*), przeto p. Z. Fiszer[2] poddał ponownemu badaniu gatunek p. Kulczyckiego z jeziora Gopła pochodzący, a porównawszy go z materyałami przez siebie w Galicyi zebranymi, doszedł do przekonania, że wszystkie dotąd poznane gatunki i odmiany są identyczne, tj. przedstawiają gatunek *Asellus aquaticus* a powstały w literaturze z braku dostatecznego, tj. osobniki różnego wieku zawierającego materyału, jakim p. K. rozporządzał. W tej też pracy redukuje je autor jako synonimy gatunku *A. aquaticus*, którego ścisłą dyagnozę podaje.

Po pracach, ogłoszonych w „Pamiętniku Tow. Tatrzańskiego“ z r. 1881 i 1883, w Sprawozd. Kom. fizyogr., tom XVI. 1882 r., i w Rozprawach Wydz. mat.-przyr. Akad. Um. z r. 1887, daje profesor A. Wierzejski generalny przegląd[3] badań przeważnie swoich i nielicznych obcych nad fauną skorupiaków krajowych. Okazuje się

---

[1] Zyg. Fiszer, „Przyczynek do fauny krajowych skorupiaków liścionogich“ *(Phyllopoda)*. Spraw. Kom. fiz. Akad. Um., tom XXVIII, str. 1—7. Kraków 1893.

[2] Tenże, „Rewizya krajowych gatunków wieszyc“ *(Asellidae)*. Z 1 tab. Spraw. Kom. fiz. Akad. Umiej., tom XXVIII, str. 86—97. Kraków 1893.

[3] A. Wierzejski, „Przegląd fauny skorupiaków galicyjskich“. Z 1 tabl. Spraw. Kom. fiz. Akad. Umiej., tom XXXI, str. 160—215. Kraków 1896.

z tegoż, że dotąd poznano u nas 133 gatunków skorupiaków, a 142, gdy doliczy się gatunki, ogłoszone przez prof. B. Dybowskiego i p. Grochowskiego (*Kosmos* 1895), których autor nie znalazł. Z obserwacyj, czynionych nad każdym gatunkiem z osobna, nabył autor przekonania, że fauna skorupiaków tatrzańskich jest bardzo uboga w gatunki, a zmienia się od jeziora do jeziora tak, że wspólnymi wszystkim jeziorom są tylko 2 gatunki (*Alona quadrangularis* i *Chydorus sphaericus*). Wyłącznie gatunkiem tatrzańskim, tj. w innych górach nieodkrytym, jest *Branchinecta paludosa*, a gatunkami górskimi, tj. na niżu galicyjskim nieznalezionymi, są obok gatunku powyższego: *Diaptomus bacillifer* var. *montana* Wierz., *D. denticornis* Wierz. i *Heterocope saliens* Lill. W porównaniu z fauną innych gór wykazuje autor, że wszystkie jeziora alpejskie mają ubogą faunę, złożoną z form kosmopolitycznych przeważnie, i że niektóre okazy fauny Tatr mają w innych górach zasięg pionowy wyższy. Ostatnie zjawisko usprawiedliwia autor odrębnym charakterem naszych jezior. Leżą one nad krainą lasu, a przez 6—8 miesięcy pokryte są lodem. Wreszcie uwydatniając przedwczesność stanowczych wniosków, autor twierdzi, że większa ilość faktów przeczy jednostajnemu rozmieszczeniu organizmów tak w wodach słodkich (limnoplanktonu), jak i w morskich (halyplanktonu). Jeziora tatrzańskie są klasycznym wzorem niejednostajnego rozmieszczenia organizmów, posiadając obszary mniej zajęte przez zwierzęce i roślinne organizmy i obszary gęsto ożywione.

Ten sam autor zbadał materyały, pochodzące z okolic Mendozy, Jujui, San Pedro i Garapatal, a zebrane przez p. Krzyczkowskiego w roku 1891 [1]. Okolice owe, niebadane dotychczas pod tym względem, dostarczyły 27 gatunków skorupiaków i 9 gatunków robaków, a mianowicie wrotków (*Rotatoria*). Wrotki te należą do gatunków pospolitych w naszych kałużach, ze skorupiaków przeważna część gatunków jest ta sama, co w Europie, a tylko 4 gatunki i 3 odmiany są zupełnie nowe dla nauki. Te więc autor opisał najdokładniej, odrysował na 3 dołączonych tablicach, a wszędzie uwydatnił rozsiedlenie geograficzne.

Tenże autor badał wrotki krajowe [2], dotąd prawie całkiem nie-

[1] A. Wierzejski, „Skorupiaki i wrotki (*Rotatoria*) słodkowodne zebrane w Argentynie". Z 3-ma tablicami. Rozpr. Wydz. mat.-przyr. Akad. Um., tom XXIV, str. 229—246. Kraków 1893.

[2] Tenże, „Wrotki (*Rotatoria*) Galicyi". Z 3-ma tabl. i 3 ryc. w tekscie. Rozpr. Wydz. mat.-przyr. Akad. Um., t. XXVI, str. 160—265. Kraków 1893.

znane, bo pierwszy wykaz, obejmujący 50 gatunków, ogłosił autor w 1891 r. w *Bull. de la Soc. Zool. de France*, t. XVI. i w ciągu 2 lat odkrył w wodach głównie okolic Krakowa 161 gatunków. Wśród tych jest 8 gatunków nowych dla nauki. Z nich 2 są przedstawicielami 2 nowych, przez autora utworzonych rodzajów *(Atrochus* i *Bipalpus)*. W rozprawie tej, pierwszej wyczerpującej monografii wrotków, ułatwiającej ich oznaczanie, wykazał prof. A. W., że tak zwane formy pelagiczne, spotykane przez obcokrajowych badaczów pośrodku wielkich jezior, żyją u nas w małych stawkach i kałużach, formy zaś przybrzeżne często pośrodku większych wód się znachodzą. Zaznaczył także autor dosadnie, że fauna wrotków kraju naszego nie wyróżnia się wybitnie od fauny innych krajów Europy.

Prof. J. Nusbaum badał pierścienice *(Annelides)*, a z nich opracował częściowo dżdżownice *(Lumbricidae)* krajowe[1]. Podaje 3 gatunki z rodzaju *Lumbricus* z dwiema nowo wyróżnionemi odmianami, 8 gatunków z rodzaju *Allobophora* z dwiema nowemi odmianami, 1 gatunek z rodzaju *Allurus* i 1 z rodzaju *Crodiolus*.

Ten sam autor opracował dżdżownice *(Lumbricidae)* ponownie i enchytridy *(Enchytraeidae)*[2]. Z rodziny pierwszej podał 2 gatunki rodzaju *Lumbricus*, wcielając do gatunku *rubellus* także gatunek *castaneus* Rosa, 8 gat. z rodz. *Allobophora* i 1 gat. z rodz. *Allurus*. Z drugiej rodziny wymienił 7 gatunków rodzaju *Fridericia*, między nimi 2 nowe dla nauki, które po raz pierwszy tu opisał i ilustrował, 1 z rodz. *Enchytraeus*, 2 z rodz. *Henlea*, 1 z rodz. *Buchholzia* i 1 z rodz. *Mesenchytraeus*.

Zajmujący się badaniami nad robakami, pasorzytującymi we wnętrzu innych zwierząt, p. Kowalewski, odkrył 38 gatunków z grupy przywr *(Trematodes)* we wnętrznościach ptaków, ssaków, ryb, płazów (żab), 30 gatunków z grupy tasiemców *(Cestodes)*, 14 z obleńców *(Nematodes)* i 5 z grupy kolcogłowów *(Acanthocephali)*. W rozprawie niniejszej[3] wymienia owe 97 gatuków, podając przy każdym żywiciela

[1] Józef Nusbaum, „Sprawozdanie z poszukiwań nad fauną robaków, dokonanych w lecie 1893 r.“. Spraw. Kom. fiz. Akad. Umiej., t. xxx, str. 41—44. Kraków 1895.

[2] Tenże, „Materyały do historyi naturalnej skąposzczetów *(Oligachaeta)* galicyjskich“. Z 1 tabl. Sprawozd. Kom. fiz. Ak. Um., t. xxxi, pag. 9—62. Kraków 1896.

[3] Dr. Mieczysław Kowalewski, „Materyały do fauny helmintologicznej pasorzytniczej polskiej“. I—II. Sprawozd. Kom. fiz. Akad. Umiej. t. xxxi str. 1—8 i 251—258. Kraków 1796.

i narząd jego ciała, w którym pasorzyt żyje — oraz ilość, wielkość i wiek pasorzyta, jako też czas spostrzeżeń.

Prof. A. Wierzejski sprostował [1] wiadomości o krajowych gatunkach robaków z rodziny *Gordiidae*, podane przez Jerzego Jandę *(Beiträge zur Systematik der Gordiiden. I. Th. Die Gordiiden Galiziens. Zoolog. Jahrb. Giessen*, B. VII. 1893) wykazując, że tylko 5 gatunków tych robaków są galicyjskimi, a *Gordius pioltii* i *G. villoti.* Ros. wcielone zostały do fauny naszej li przez pomyłkę.

Poszukiwania prof. A. Jaworowskiego [2], przedsiębrane w studniach Krakowa i Lwowa, wykazały, że studnie te dają przytułek wcale pokaźnej faunie. Składają ją: Pierwotniaki *(Protozoa)* w 76 gatunkach, robaki *(Vermes)* w 18 gatunkach, 5 gatunków skorupiaków *(Crustacea)*, 2 gatunki pajęczaków *(Arachnoidea)*, 2 gatunki owadów *(Insecta)* i 1 gatunek płazów *(Amphibia)*, a mianowicie Traszka *(Triton taeniatus)*, jaką znalazł w zbiorniku wodociągowym na Wulce we Lwowie. Na podstawie porównawczych badań przypisuje rzeczony autor faunie lwowskich studzien większy stopień pokrewieństwa z takąże fauną pragską, niż krakowskiej.

Roman Gutwiński.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Marysieńka. Marie de la Grange d'Arquien. Reine de Pologne, femme de Sobieski. 1641—1716. *K. Waliszewski.* Paris. Libraire Plon. 1898. (Str. 383).

Historyografia polska nie zapomni, iż p. Waliszewskiemu zawdzięcza niezliczoną ilość dokumentów, kilka tomów listów i wyciągów z korespondencyj osobistych i dyplomatycznych, dotyczących panowania Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III. Część dyplomatyczna, mianowicie stosunki z Francyą, najwięcej w tych kompendyach zajmują miejsca, nie dziw więc, że zbieracz ich wybrał do swojej nowej monografii chwile, w których wpływ Francyi najbardziej na losach

[1] A. Wierzejski, „Notatka do fauny robaków z rodziny Gordiidae". Spraw. Kom, fiz. Ak. Um., tom XXXI, str. 216—217. Kraków 1896.

[2] Dr. A. Jaworowski, „Fauna studzienna miast Krakowa i Lwowa". Sprawozd. Kom. fiz. Akad. Um., tom XXVIII, str. 29—48. Kraków 1893.

Rzpltej zaciężył. Prócz tych dokumentów zużytkował wydawnictwa Helcla, Fr. Kluczyckiego i Raczyńskiego, wszystkie współczesne pamiętniki i późniejsze opracowania nie omijając nawet udzielonej mu przez grzeczność, bo jeszcze nie wydanej „Doli i niedoli Sobieskiego“ p. Korzona. Z tym ostatnim parękroć w ciągu opowiadania swego się sprzecza; czy i o ile ma słuszność, pokaże się za okazaniem dzieła, na które wszyscy miłośnicy historyi polskiej z ciekawością czekają. Przed materyałem zebranym lub użytym przez p. Waliszewskiego można więc tylko się pokłonić. Czy jednak sposób zużytkowania go jest odwiedni — to inne pytanie. Autor twierdzi w przedmowie, że zamiast podawać historyę na sposób dokumentowy i statystyczny w rodzaju Taine'a i całej nowszej szkoły, lepiej powrócić do dawnej metody, tj. nie dopuszczając czytelnika do głębi rzeczy, podawać mu z bogatą okrasą gotowe już, przez siebie urobione wyniki, działające więcej na jego wyobraźnię niż rozum. Podobny system „popularyzacyi“ może niezaprzeczenie być dobrym, byle w nim zachować stosowną miarę, jak to np. uczynił Mignet w swoich studyach o Karolu V., lub Hübner w monografii Sykstusa V. P. Waliszewski jednak miary jej nie zachował. Już książka o Piotrze W. zawierała mnóstwo szczegółów przykrych do przeczytania dla ludzi nieoswojonych z pewnym rodzajem nowoczesnej literatury. Tam wszakże gubiły się w wielkości przedmiotu, gdy przeciwnie w „Marysieńce“ stanowią główną treść książki. Tu pióro autora pod pretekstem lekkości, staje się skaczącem, styl nie licuje ani z powagą przedmiotu, ani z szacunkiem, jaki każdy pisarz, zwłaszcza historyk, winien jest publiczności. Brak nawet w polskim języku wyrażeń, aby styl ten określić; francuskie za to cisną się do ust, ale to jeszcze nie racya, aby się książka miała wszystkim Francuzom spodobać. Nie chcąc przytaczać na tem miejscu drastycznych ustępów i wyrażeń, zaznaczymy tylko sposób lekceważący traktowania ludzi i rzeczy, np. wykrzyknik: *la brave créature!* przypięty do posągowej postaci Maryi Ludwiki, lub ironiczne: *la chère enfant!* do niemłodej już Maryi Kazimiry...

Dla nas Polaków, posiadających umysł lotny, ale nigdy skoczny, byłby ten sposób pisania historyi (nie mówiąc już o kwestyi moralności) wręcz nieprzyjemny, tem więcej staje się przykrym, gdy pióro autora w swym szyderczo-erotycznym tańcu dotyka bolesnych ran naszej przeszłości. Że rany te istniały, że z nich wysączył się jad, który w końcu pożarł wnętrzności Rzpltej, o tem wiemy zbyt dobrze, niemniej boli to i oburza, jeśli je kto z głośnym śmiechem przed obcymi

odkrywa. Cudzoziemcy obecnie mało wiedzą o naszej przeszłości, zatarła się w ich pamięci wraz z widokiem naszej dawnej potęgi. Jedno tylko nam zostało: aureola chwały, otaczająca skroń Sobieskiego. Teraz i aureola ta (jeśli się rozpowszechni książka o Marysience) musi wiele utracić promieni, a to, nie wątpimy, pomimo woli autora, pomimo szczerego hołdu oddanego przezeń talentom wojennym Jana III. Postać ostatniego naszego wielkiego króla, droga nam pomimo różnych słabości i błędów, wychodzi tu wszędzie, okrom na polu bitwy, nędzną, chwiejną niemal śmieszną a wiemy, iż, zwłaszcza u Francuzów, śmieszność zabija. I nietylko o Sobieskiego tu chodzi. P. Waliszewski wie, że pisze dla ludzi, których wzrok zwrócony jest bardziej na suknię, niż na człowieka, bardziej na jego wady lub zalety zewnętrzne, niż na jego wartość istotną — a nie waha się mówić przed nimi o wątpliwej zresztą „przyrodzonej niższości dworu polskiego“ (za Jagiellonów i Wazów), gorszyć się brakiem wstrzemięźliwości przy biesiadach polskich senatorów (jak gdyby pijaństwo nie było w XVII. wieku plagą Niemiec, Anglii, a orgie wytwornych Francuzów na trzeźwo się kończyły), powtarza z lubością żartobliwy zapewne ustęp z listu króla żalącego się, że skoro musiał nawet swą złoconą miednicę poświęcić, już mu tylko kubek do mycia się pozostaje... Dzisiejszy wykąpany, wymyty i wyszorowany elegant wyciągnie z tego wniosek, że Polacy byli i są najbrudniejszym ludem na świecie, a nikt im nie przypomni, co się za czasów Sobieskiego działo po najcywilizowańszych zamkach na całym Zachodzie. Ale mniejsza o kubek; gorszy jest ton pogardliwy, używany wzdłuż całej książki względem czy to ogółu narodu, czy dostojników koronnych, czy pojedynczych osobistości. Są też tam i ówdzie pochwały, ale wolałoby się prawie, aby ich nie było, tak są skąpe i odpowiadające stereotypowej lalce *du brave Polonais*, jaka się utworzyła w wyobraźni Francuzów. Ta lalka była nawet lepszą, gdyż przedstawiała tylko mieszaninę wielkiej lekkomyślności z szalonemi zapędami brawury. Z nowego studyum zaś wyłania się postać inna: szlachcic w domu brudny, leniwy, oddany obżarstwu, pijaństwu i niektórym innym grzechom głównym a zarazem drobiazgowo nabożny, w sprawach publicznych samolubny, sprzedajny i wiarołomca, miotający się całe życie między pociągami przyrodzonej oryentalnej natury a naśladowaniem form rzeczypospolitej rzymskiej; na polach bitwy dzielny, jednodniowem, fizycznem raczej męstwem. Oto piękny portret, w którym, być może, iż jaki Polak całkowicie lub po części poznaćby się zdołał, ale którego szablonowo, do całego narodu rozciągać się nie

godzi. Tutaj słyszymy, że Sobieski „chwalił się, iż sprzedał był Polskę za samą nadzieję zysku 100.000 franków"; szlachta zebrana na elekcyę (po Janie Kazimierzu) intonowała *Veni Creator* „gardłami ochrypłemi od targowania się i krzywoprzysięstwa", Morstin nazwany jest *un écumeur de marmites,* poczciwy „Sobiepan" Zamojski *un butor* tj. zarazem dureń i gbur. Dlatego, że Sobieski raz przezwał króla Michała małpą, p. Waliszewski nie nazywa go już inaczej jak *le singe;* młody książe Neuburski raz nazwany smarkaczem, pozostaje *le morveux.*

Mądrze zrobił p. Waliszewski zastrzegając się w przedmowie, iż niema żadnej pretensyi do stałości w sądach historycznych. Moglibyśmy bowiem przytoczyć jako kontrast do podanego nam czarnego obrazu inną, poważną tym razem przedmowę, rozpoczynającą trzeci tom jego własnych *Acta Historica* (1674—1677) a tłumaczącą nam w bardzo szerokich poglądach, że nie tak źle było u nas, jak to dziś sądzimy, że należy rozejrzeć się po innych krajach, wejść poniekąd w skórę ówczesnych ludzi, aby przestać wielu rzeczom się dziwić, że zwłaszcza należy uprzytomnić sobie fakt, iż bezinteresowna miłość ojczyzny jest względnie nowożytnem pojęciem. W kwestyi sprzedajności podziela on tu zdanie Helcla, który „słusznie dojrzał w tych datkach wyzyskiwanych od ościennych dworów przez polską magnateryę XVII. wieku, charakteru subsydyów... przedstawiających w pojęciu pobierających je panów tożsamość zupełną z suhsydyami, jakie równocześnie połowa drobnych państewek pobierała ze szkatuły Ludwika XIV., druga zaś ze szkatuły Leopolda lub Wilhelma Orańskiego". Klucz zagadki widzi on w stanowisku, jakie wobec kraju magnat, a wobec magnata szlachcic polski zajmował, i w sposobie, w jaki, dzięki społecznym pojęciom, to stanowisko rozumiał". Od króla przez sejm, od sejmu przez *liberum veto* niepodległym uczyniony, królikiem był on w rzeczywistości udzielnym i za takiego się miał, przyznając sobie prawa udzielnej polityki często osobistemi kierowanej względami.

...„Kondotierem był w gruncie rzeczy politycznym, ale do tych tajemniczych stosunków nie przywiązywał żadnego sromu. Zaszczycały go one owszem w jego rozumieniu, podnosząc go do stanowiska potencyi politycznej, wprowadzając w system aliansów europejskich. I tak zrozumiałym staje się ten fakt, że pospolicie subsydya w dziesiątej części nawet nie wynagradzały kosztów, których wyłożenie pociągały za sobą przyrzeczone temiż traktatami służby na sejmie lub elekcyi"...

Nie wchodzimy w dyskusyę o większą lub mniejszą słuszność

powyższych twierdzeń. Chcieliśmy tylko wykazać, co p. Waliszewski pisał w r. 1879. Czy odtąd tak bardzo odmienił zdanie, że nawet tych względnie „łagodzących okoliczności“ nie mógł przedłożyć Francuzom, mówiąc im na każdej niemal karcie o targach polskich panów, o chciwości Sobieskiego jeszcze na tronie? Łatwoby go zrozumieli Francuzi, oni, których najlepsi patryoci XVII. w., Turenne i Condé walczyli nawspół z wrogiem przeciwko własnej ojczyźnie, gdy im to interes ich stronnictwa nakazywał... Prawdą jest, że pojęcie miłości kraju nadzwyczaj się spotęgowało w ostatnich stu latach; od takiego wszakże, jakie było za jego czasów, niepodobna Sobieskiego odsądzić: za Jana Kazimierza był on, od śmierci Czarnieckiego, najsilniejszą podporą tronu; za Michała Korybuta istotnie błądził, stając wraz z Prażmowskim na czele opozycyi, ale czyż i wtedy głównym jego bodźcem nie była nadzieja wyrwania berła z rąk nieudolnych, aby je złożyć w prawicę słynnego na cały świat wodza lub młodszego, pod okiem jego wyrosłego księcia? Przyjmowane zaś z Francyi obietnice zaszczytów, zapewnienie sobie przystani w razie wygnania z ojczyzny? Toż on na poparcie elekcyi nadwerężył swą wielką, ale tylekroć przez pohańców pustoszoną, lub na cele obrony krajowej wyczerpywaną fortunę, i nie mógł później z Francyi doczekać się zwrotu... Gdy zaś sam ujrzał się królem — wtedy istotnie okazał się chciwym. Ludwik XIV. pchał go do spiesznego zakończenia wojny tureckiej zwycięstwem lub traktatem, poza którym widniał zwrot upragniony Kamieńca, a za nim pomoc francuska i szwedzka do odzyskania Prus. Chwila była po temu korzystna; obywatele pruscy wyciągali ręce do Rzeczypospolitej, jak niegdyś do Jagiellończyka. Trzeba ją było chwycić, a tu skarb był pusty. Cóż więc dziwnego, że król żądał gwałtownie od Francyi pieniężnych środków, potrzebnych zarówno do prowadzenia wojny, jak i do zawarcia dla obu sprzymierzeńców potrzebnego pokoju. Niemniej przeto p. Waliszewski zwie go „wasalem Francyi do r. 1683, a odtąd lennikiem cesarza“. Czyż kiedy poprzednio przyszło na myśl polskiemu dworowi nazwać swoim wasalem hana tatarskiego dlatego, że mu coroczne słano „upominki“? A nawet jeśli w tej nazwie było coś słusznego, czy nie warto było przy sposobności zauważyć nawiasem, iż rola Sobieskiego była milion razy piękniejszą i szlachetniejszą od roli Karola Gustawa, który w r. 1655 najechał Polskę za francuskie pieniądze, tak dokładnie mierzone, że gdy do napaści z drugiej strony Rakoczego najęto, rząd francuski odliczył Szwedom z rocznych subsydyów sumę, którą do Siedmiogrodu posyłał. Że Polacy mogli

potem z tym rządem się bratać, dowodzi raz jeszcze różnicy zapatrywań naszych a ówczesnych.

P. Waliszewski mógł był dotknąć tej kwestyi; opowiadanie jego bowiem rozpoczyna się od pierwszego ślubu Maryi Ludwiki i przyjazdu jej do Polski w towarzystwie mnogich, ładnych a nieposażnych panien, jadących jakby na zdobycie złotego runa. Mówi gdzieś, że specyalnością tych panien było, że ich ojców aresztowano za długi. Między niemi znajdowało się i czteroletnie dziecko — Marysienka, której dzieje przez ciąg siedmiu rozdziałów, to jest większej połowy książki, służą za haft do śmiało, nerwowemi liniami rzuconej historyi Maryi Ludwiki. Mamy tu obok nieodzownej kroniczki współczesnych skandalów, szczegóły o zdrowiu i zwyczajach Władysława IV. z bardzo lekką wzmianką o jego rządach, przy której wszakże zadziwiło nas zdanie o nowej królowej, jako „nie umiała ani męża popierać, ani go nawet zrozumieć“, a zadziwiło tem mocniej, że autor zda się w ogólnej charakterystyce Maryi Ludwiki skłaniać do pochlebnego o niej sądu Szujskiego i nawet dość rezolutnie odpiera niewidzialne jeszcze dla nas ataki p. Korzona. Przy tem, co prawda, przytacza sam dwa oskarżenia dla jej pamięci zabójcze: 1) Znany z listy Des Noyers'a projekt (niewiadomo, czy w głowie królowej zrodzony) zwabienia Lubomirskiego do jakiejś osobnej komnaty i po doraźnym sądzie ścięcia go na miejscu; 2) Używanie za życia Zamojskiego wpływu Marysienki na Sobieskiego dla utrzymania go przy stronnictwie francuskiem. — O wojnie szwedzkiej niema prawie nic — ta bowiem przestała interesować Francuzów. Za to sprawa elekcyi, a za nią kandydatury książąt Condé i wybuchły w następskie rokosz Lubomirskiego opowiedziane pokrótce, ale jaskrawo. Tu już osoba Marysienki coraz to bardziej występuje na pierwszy plan, a wraz z nią jej romansowanie „w czasach zakazanych“, w parę tygodni po śmierci Zamojskiego przydybanie za sprawą królowej Sobieskiego i zmuszenie go do tajnego ślubu w nocy 6 maja 1665 r., zmuszenie go również do przyjęcia laski i buławy po „cywilnie zmarłym“ Lubomirskim, jawny ślub w lipcu tegoż roku i smutna kampania montewska.

Odtąd, a raczej od śmierci królowej, mniej już mowy o polityce, niż o stosunku między małżonkami. Ów rzadki na świecie, a zwłaszcza na tronie, romans poślubny jest książki głównym celem i osnową. Do skreślenia go autor posługuje się głównie wyciągami z listów pary królewskiej; wybiera przytem z pewnem upodobaniem ustępy, zawierające najpoufalszą wyrazy czułości lub skargi. Godzimy się zupełnie z jego

zdaniem, że w tych zobopólnych ekstazach, rozpaczach lub dąsach (dąsy niemal wyłącznie po stronie żony) była, może bezwiednie, wmieszana część teatralności, że przywykłszy pisać do siebie stylem kochanków z ballady, nie umieli już z czasem przejść w ton spokojniejszy, pomimo że u Sobieskiego czas ten przyniósł pewne rozczarowanie i rozgoryczenie. Pomimo to przykrem jest widzieć rozłożone na widok cudzoziemców zwierzenia, które po polsku czasem do zbytku rzewne, stają się w tłumaczeniu francuskiem ckliwe lub płaczliwe; owe biedne listy o charakterze więcej niż prywatnym, o które Sobieski tak dbał, aby pod niczyje oczy nie wpadły i 25 czerwca 1675 r. turbował się, że mu „chłopcy (tj. pokojowcy) minucye zarzucili, na których były wszystkie mojej Marysienki imiona". Niejeden zmarły wstałby chętnie z grobu, aby wyrwać potomnym pamiątki, których za życia zniszczyć nie zdołał. O to jednak historycy ani pytają.

Przyznając Maryi Kazimirze wszystkie wady, któremi tak obficie umajony był jej charakter, opisując aż nazbyt drastycznie zajścia jej z ambasadorem de Bonzy, jej grymasy, intrygi i frymarki, autor zaprzecza wszakże, aby wielki wpływ wywierała na męża. Nie zdarzyło się — zauważa — aby Sobieski pomimo, że listownie umierał z tęsknoty, kiedykolwiek opuścił dla niej swój posterunek w obozie. Toż w ciągu kilku pierwszych lat po ślubie, zaledwie razem wziąwszy parę miesięcy pospołu spędzili. Zaprzecza też, aby w Polsce zgubnie na politykę wpływała nie dlatego, że nie miała ku temu ochoty, ale że była do ważniejszej akcyi niezdolna. Umiała tylko (i to znakomicie) dyskredytować męża u wersalskiego dworu swą ustawiczną żebraniną o zaszczyty i pensye dla swej rodziny i dla siebie. Ludwik XIX. bardzo uprzejmy po elekcyi Sobieskiego, w końcu uważał ją za rodzaj „pańskiej dziadówki" (wyrażenia tego p. Waliszewski nie pisze, ale z samych dokumentów gwałtem się nasuwa). Aż się źle robi widząc ją w ciągu kampanii wiedeńskiej bardziej zajętą zdobytym przez męża łupem, niż chwałą zwycięstwa. Odsiecz Wiednia opowiedziana jest powierzchownie, ale bardzo żywo i za to jedno można teraz autorowi dziękować. Wprawdzie zdawałoby się, że to niepotrzebne, że tę historyę generacye wróbli na dachach śpiewają, a jednak nie źle się stało, że ją ktoś światu przypomniał. Za naszych czasów bowiem, Austryacy idąc w ślad meskineryi cesarza Leopolda, nie chcą już uznać Sobieskiego zasługi; z Francyi zaś zdarza się, że przyjeżdżają do Polski nauczycielki, nieznające wcale nazwiska pogromcy Islamu. Za to koniec panowania opisany mniej świetnie, a przedśmiertny pobyt w Wilanowie — Boże odpuść!

Lata wdowieństwa Maryi Kazimiry najmniej zajmują miejsca. Jej pobyt w Rzymie niezbyt budujący tak z winy jej, jak i młodszych synów, z daleko większemi podany szczegółami, niż intrygi w Polsce przeciw Jakóbowi. *A propos* synów, autor dowodzi, że Aleksander nigdy do klasztoru nie wstąpił, tylko się kazał pochować w habicie mniszym. Przy końcu jest kilka stron ostatecznej rezydencyi królowej w Blois, o nędznej śmierci przypominającej zgon carowej Katarzyny II., ale smutniejszy jeszcze, bo zupełnie nagły, a wreszcie o legendarnem tajemniczem przywiezieniu jej ciała w r. 1716 przed furtę kapucyńskiego klasztoru w Warszawie, gdzie jeszcze spoczywały zwłoki Sobieskiego.

Przyznać należy, że druga połowa książki jest nieco poważniejszą od pierwszej; zawiera jednak, podobnie jak reszta, ustępy, które autor mógł bez uszczerbku sobie i czytelnikowi darować. Choćby tylko w opisie ostatnich dni Sobieskiego następujące zdanie: „W Wilanowie głównymi jego towarzyszami byli: Jezuita Vota, sypiający na podłodze u stóp królewskiego łoża, aby módz tem lepiej strzedz swego penitenta, spekulujący na majątkach ziemskich Żyd Betsal, który nie opuszczał przedpokoju monarchy. Królewskość była już trupem, w którym poczynało się roić robactwo". *(La royauté n'était plus qu'un cadavre: les vers s'y mettaient déjà).* To ostatnie powiedzenie obejdzie się bez komentarzy. Nie wątpimy, że każdy fakt, każdy szczegół zapisany przez p. Waliszewskiego opiera się na dokumencie, wolelibyśmy wszakże dla kraju, dla siebie i dla samego autora, aby były wyzyskane inaczej.

T. W.

Entombed in Flesh by *Henry Michael Dziewicki.* Edinburgh and London. 1898.

Hyperprodukcya powieściowa, wzbierająca olbrzymią falą na wybrzeżach Albionu, oczywiście musi się rozlewać na nowych szlakach, szukać nowych też kształtów, aby uniknąć jednostajności i powtórzeń. Skąd inąd spekulatywny umysł Anglików rad oblekać w strój oryginalny, niepowszedni, fantastyczny, bądź myśl filozoficzną, bądź sameż wyskoki wyobraźni. Głęboko i na wskroś religijna dusza angielska, przedewszystkiem się skłania ku wiekuistym zagadnieniom. Daleko tam jeszcze do spokoju i pełności odzyskanej prawdy, ale gorączkowe jej szukanie we wszystkich widnieje kierunkach. A więc i powieść została wprzężoną w ten pościg krwawy i znojny; mnożą się teozoficzne, nieraz bałamutne, prawie jednak zawsze wysoko szlachetne i głębiej po-

myślane utwory, wybiegające poza kresy widomego świata, poza granice skończoności, aby przenikać niedościgłe ludzkiemu oku sfery, aby pobujać w przestrzeni zaświatów! Do tego rodzaju należy powieść, której tytuł wypisaliśmy powyżej, a która bądź treścią niezwykłą, bądź rozgłosem, jaki sobie w Anglii zdobyła, zasługuje na szerszą ocenę i bliższe poznanie.

Trudno pojąć, jakim sposobem tak niezwykła osnowa mogła dojrzeć na mało rodzajnym pod względem fantastycznych i filozoficznych spekulacyj bruku krakowskim. A jednak polskie nazwisko umieszczone pod tytułem powiadamia nas, iż niniejszy utwór jest owocem polskiego w części ducha. Urodzony i wychowany w Anglii, z matki Angielki, p. Dziewicki miał wszelkie prawo zostać Anglikiem, korzystać z wszystkich przywilejów i powodzeń, będących udziałem poddanych królowej Wiktoryi, a otrzymana rychło posada w British Museum, otwierała przed nim świetną, bezpieczną przyszłość i miłe zapewniała zajęcie. Ale dziwna tęsknota, zrosła z polskiem nazwiskiem, jakiś atawizm rwący się do udziału w narodowej żałobie, w dziedzicznej niedoli i trudzie, rozstrzygnęła wyborem między dwoma ojczyznami na korzyść nieszczęśliwszej. Rzucając lepsze widoki i pomyślniejsze warunki bytu, p. Dziewicki przeniósł się w ojcowskie strony, zadawalniając się skromnem stanowiskiem lektora angielskiego języka przy uniwersytecie Jagiellońskim. Opuszczając atoli macierzystą krainę, uniósł z niej angielski myśli kierunek, angielskiego, że tak powiemy, ducha, zaczem wśród powszednich zajęć i obowiązków, znalazł czas i nastrój potrzebny do napisania niniejszej oryginalnej powieści, z której treścią spróbujemy czytelników naszych zapoznać.

Zaczyna się ona w przestrzeni zaświatów, spotkaniem dwóch duchów, z tych co się ongi zbuntowawszy przeciw Najwyższemu, runęli na całą wieczność z niebios. Ale ich rokosz był nierówny. Lucyfer obrał drogę buntu przeciw Bogu, Fantasto, mniej zły, acz bodaj równie dumny, wolał zażywać wiekuistej swobody, aniżeli wiecznej szczęśliwości. Spotkawszy po długich wiekach bratniego niegdyś ducha i zapytany, ażali nie żałuje obranej przez się drogi, odpowiada on:

„Kiedy z Bożych przybytków padło na nas promieniejące światło i przeniknąłem onego piękność niezrównaną, byłbym rad zmienił postanowienia. Ale już było za późno! Nie chciałem stanąć ani po stronie Boga, ani też po twojej stronie, pożądałem dwustronnej niezależności, która też daną mi została. A podczas gdy twoje szyki na skrzydłach trwogi umykały przed grozą światła wiekuistego, jam się

oddalał niechętnie i zwolna. Choć zaś dziś rozkoszuję się w bujaniu po przez czas i przestrzenie, choć przebiegam niestrudzenie wszystkie światy i nieba, choć coraz to nowe odkrywam tajemnice i cuda, bywają i dla mnie chwile tęsknoty i smutku. Nie mogę bo zapomnieć blasku ujrzanego przelotnie światła, ani też harmonii zasłyszanego przez chwilę anielskiego śpiewu!"

Lucyfer nie zna tęsknoty, znużenia ni nudów, i oto tłumaczy towarzyszowi co wystarcza, aby takowe rozpędzać. Dzięki rozgrywającej się walce o duszę człowieka, ani on, ani jego wojsko, nie zaznało nigdy uczucia próżni, owszem nie przestają kosztować upojenia boju. Fantasto się zdumiewa istnieniem człowieka, którego w swej niestrudzonej wędrówce po przestworach nie napotkał nigdzie. „Gdzież on się kryje, ten cudowny paradoks, to niedościgłe połączenie ducha z materyą, ten anioł powleczony ciałem, ten sprzeczny zlepek dwóch wręcz obcych sobie pierwiastków? Mów gdzie go szukać, abym tam spłynął i przypatrzył się temu zagadkowemu stworzeniu".

Lucyfer wskazuje na zagubiony w drodze mlecznej punkcik zwany ziemią: „Tam to pełza lub wzlata ludzkie plemię, o które na czele szyków moich nie przestałem od wieków staczać bój zacięty".

Fantasto wzdryga się na złość byłego towarzysza. — A więc twem zadaniem jest przez całe wieki psuć tylko i niszczyć najpiękniejsze dzieło stworzenia! Lepsza stokroć moja samotność i tęsknota, nuda ma i rozpacz, aniżeli twe zwycięstwa i walki. Cóż stąd ci przyjdzie? czy odzyszczesz zatraconą w niebie z własnej winy stolicę? — „Tyle zyskam, odpowiada szatan, iż Bogu się przez to sprzeciwię, iż pomnożę zastęp mych czcicieli w piekle, iż nie dam nędznym ludziom wedrzeć się na opustoszałe po nas w niebiosach trony".

Oburza się Fantasto, wymawia Lucyferowi jego złość daremną. — Nie dbam ja o człowieka, niech się gubi, jeśli tego pragnie, lecz gubi z własnej woli. Nikczemnem jest kusić go, kiedy i tak z własnej natury skłonnym być musi do upadku, nikczemnem stawiać zasadzki na drodze ślepego!

Lucyfer przerywa wyrzuty lepszego od siebie, acz upadłego anioła, który, zda się, raczej do otchłani aniżeli piekieł należeć. Tłumaczy mu, iż bez gorączki tego odwiecznego sporu nie zniósłby męki losu, dziwi się spółczuciu towarzysza dla ludzkości, pyta ażaliby nie chciał spróbować sił swych w nierównej walce i zmierzyć się z szatańską siłą. Eksperyment byłby to nowy a ciekawy. Oto właśnie na powierzchni ziemi, w olbrzymiem mieście znajduje się mąż, którego duszą szatan

zawładnął niepodzielnie, za jego niegodziwe czyny i zbrodnie. Dni jego są policzone. Gdy tedy padnie, śmiercią dotknięty, czemużby Fantasto, od razu martwego nie ożywił ciała, zastępując bezpośrednio wychodzącą zeń na wieczne potępienie duszę? Lucyfer ma moc nad tym człowiekiem, potrafi to uczynić, a Fantasto, zachowaniem swych przymiotów i przywilejów duchowych, acz pogrzebion w cudzem ciele, *Entombed in flesh*, niech rozwinie w odwiecznym z panowaniem szatana sporze niebywałą moc i zdolności walczące, zakosztuje na odwrót upojenia boju, toczącego się na ziemi.

Fantasto się zgadza na oznaczoną próbę, lecz z jednem zastrzeżeniem. Niechże cel walki bliżej będzie określonym, jeśli rzeczywiście ma stanąć w zawody z samymże szatanem, niechże to będzie o jedną duszę, nie o sprawę ogólno-ludzką. Lucyfer żądny nowych wrażeń, ciekaw wyniku tak niebywałej walki, na wszystko zgodzić się gotów. Wspomina, że w temże mieście, gości dziewczę przeczystej cnoty, jakby niedostępne dla niższych pokus i namowy. „Gdyby jeszcze znała i kochała tego, co króluje w niebiesiech — przegrana nasza mniej byłaby sromotną. Lecz ona prawie o Nim nie wie, nie umie się modlić, nie zwraca ku Niemu myśli. A choć piękna i wdzięczna, i swobodnie przechadzająca się między ludźmi, okazała się dotąd dziwnie odporną na wszelakie zasadzki. Ażeby dostać się do nieba, duch kryjący się w człowieku musi zwalczyć ciało, anioł zwyciężyć zwierza, naszem zaś zadaniem jest zwierza wynieść nad anioła i ducha zabić ciałem. Alboż spróbujesz obrony tej dziewczyny, nad którą dotąd mocy nie mam? Jeśli w przeciągu dwóch tygodni nie potrafię ją przywieść do grzechu śmiertelnego, chociażby w myśli zezwoleniem spełnionego, już się jej więcej żaden z moich podwładnych tknąć nie będzie miał prawa. Atoli jeżeli jej obronić nie zdołasz, podwójna czeka kara, dla niej następstwem winy, dla ciebie utrwaleniem cielesnej niewoli, z której ja jeden będę miał prawo cię wyzwolić".

Fantasto lekceważy sobie groźne warunki, pewien, że sam potrafi zerwać więzy ciała i wydobyć się z śmiertelnej powłoki. A litość zdradzona przez samegoż Lucyfera dla przysposobionej ofiary, prostej i czystej dzieweczki, żądza też i ciekawość niebywałego eksperymentu, po próżni wieczności bez Boga, zniewala mniej złego ducha do zawarcia żądanej umowy, obowiązującej na dni piętnaście.

Po tym prologu, odegranym w przestworzach, zaczyna się akcya dramatu, rozgrywającego się na ziemi. Spirytystyczne doświadczenia gromadzą dość liczne towarzystwo dokoła znanego medium, o przebie-

głej i chytrej twarzy, niepewnych ruchach i nieszczerem wejrzeniu. Rozpoczyna się próba, mimo niedyspozycyi p. Oakley, któryby rad odroczyć posiedzenie, tem bardziej, iż w gronie zebranych prześwieca żądza pohańbienia ewentualnej frymarki i oszustwa. Jakoż niebawem w przyciemnionym pokoju, jeden z gości wyłapuje medyum na gorącym uczynku szarlataneryi. Cóż, kiedy już ludzka sprawiedliwość nie jest w stanie go dosięgnąć! Przychwytany w akcie oszustwa, Oakly doznany stąd przestrach opłaca życiem i pada martwy na ziemię. Wezwany lekarz przybywa po dłuższej chwili, wśród ogólnej grozy zebranego towarzystwa, wszelako przy konstatowaniu śmierci, nagle odnajduje objawy życia, serce bić zaczyna, nieboszczyk powstaje, otwiera oczy, odzyskuje przytomność i siłę. Ale jest-że to ten sam Oakly? inny wyraz twarzy całkiem zmienił oblicze byłego medium. Dziwną też jego niepewność ruchów, rzekłbyś dziecię próbujące chodzić i mówić. Doktór stwierdza zanik pamięci, rodzaj afazyi, wynik porażenia. Rozchodzą się zebrani, chorego zaś, a raczej już zdrowego odprowadzają do mieszkania.

Pokazuje się, iż Lucy Brown mieszka w tym samym domu, co pięćdziesięcioletni Oakley, i że to o nią ma się rozpocząć walka z piekłem. Ciotka Lucy zdumiewa się za innymi dziwną zmianą zaszłą w lokatorze, Lucy mu usługuje i ułatwia nabycie rzekomo straconych życiowych wiadomości. Tu zaś zdolności nadprzyrodzone tak ułatwiają zadanie, iż w kilka dni, uwięziony w powłoce ciała duch, posiadł wszystkie potrzebne wiadomości, pamięć jego ogarnia niezmierne ilości wrażeń i szerokie obszary ludzkiej wiedzy, znajduje on przedewszystkiem uczciwy zarobek w pewnym banku. Od razu genialnem sprawdzeniem niedokładnych rachunków, zażegnaniem grożącej firmie straty, zdumiewa i zobowiązuje dyrekcyę... Tymczasem młoda, niewinna Lucy pomaga lokatorowi swej ciotki odzyskać utraconą rzekomo sztukę czytania, dużo z nim przestaje, znosi mu najdziwniej dobrane książki, podziwia dokonaną w panu Oakley korzystną zmianę, wsłuchuje się w jego świetną, olśniewającą rozmowę, nie domyślając się bynajmniej w jak krótkim terminie o nią ma się rozegrać spór dwóch duchów, którzy rzucili kostki o jej duszę. Pseudo-Oakley wszelako nie traci z oczu zadania, a to tem bardziej, iż mu się więzy ciała okrutnie przykrzą, a wszystkie doczesne i fizyczne postulata i potrzeby najwyższy tylko wstręt w nim budzą. Im mu pilniej zrzucić te okowy, tem większą rozwija troskliwość, aby myśl dziewczyny podnosić wyżej, a grożące jej cnocie niebezpieczeństwa usuwać. Tymczasem fatalnością ludzkiej

natury, Lucy słucha wprawdzie jego głosu, odwraca się od innych pokus i zasadzek, ale na to tylko, by ziemską zapłonąć miłością dla tego, który wymową swą i dobrocią, szlachetną podniosłością i ojcowską opieką nowe jej otworzył widnokresy i duszę jej zabrał. Darmo jej mówi o nadziemskich uczuciach i anielskich miłościach, ona po ziemsku, po ludzku kocha go, i w chwili wytycznej, grzeszy myślą, dość aby wywołać szalony tryumf szatana.

Nie ustrzegł jej tedy Fantasto, przegrał sprawę, podwójnie ukarany za podjętą nieopatrznie próbę, tak nieszczęściem biednej Lucy, która niby zahypnotyzowana, idzie za nim, głucha na wszystkie zaklęcia i usiłowania, aby jej myślom dać inny kierunek, jak i własnym, bo Lucyfer nie chce słyszeć teraz o wypuszczeniu go z pętów ciała, i pogrzebiony w śmiertelnej powłoce, dalej na świecie kołatać się musi.

Oakley nie traci jednak animuszu i nadziei, że się potrafi wydostać z tej najprzykrzejszej matni. Przedewszystkiem dziewczynę próbuje od siebie odczepić, wyznając jej straszliwy kontrakt, co ich obojga pogrążył w nieszczęściu, wskazując, iż lgnie ona do martwych tylko szczątków, ożywionych pożyczonem tchnieniem obcego ducha. Rwąc się do swobody, przypuszcza Fantasta, iż ją przybliży, uprzykrzając się szatanowi całym rynsztunkiem spotęgowanych władz duchowych. Oakley więc przedewszystkiem podejmuje oręż pióra, a spotkawszy szlachetnie myślącego, młodego pisarza, pod jego nazwiskiem zaczyna wydawać tom po tomie, powieść po powieści, w wyższym, zdrowym, podniosłym nastroju. Wpływ tych ksiąg niebawem szeroko się znaczy na całem społeczeństwie: znikły brudne płody francuskiej literatury z rozmów i salonów, wróciło poczucie sromu w kołach nieznających już wstydliwości, ustały nieprzyzwoite żarty i dowcipy, podniósł się poziom moralny całego pokolenia, zapadającego się uprzednio w błocie i zgniliźnie, nieznajdującego oryginalności innej nad kał zepsucia. Oczy ludzi i ludzkie też serca otwierały się dla piękna, a jednocześnie szatańskie dzieło poniżenia nasienia Adamowego cofało się pod dodatnim wpływem odrodzonej literatury. Chyba teraz Lucyfer skapituluje i więźnia swego wypuści! Bynajmniej. Szatan się zjawia, aby mu powiedzieć, iż tylko pozornej dokonał piórem naprawy, że w sercu ludzkość pozostała jednaką. I cóż że zniknęły z piśmiennictwa piekielne prądy, że zepsucie słowa wyszło z mody? Ludzie dlatego nie są bynajmniej lepszymi, co najwyżej, obłudniejszymi tylko, kryjąc się z złem, lecz hołdując mu jak dawniej. Oakley sam doznaje pewnego rozczarowania, spostrzega, iż „każdy człowiek w podwójnej obraca się sferze, jednej

duchowej, idealnej, uczącej, jakim być powinien, drugiej materyalnej, wynikłej z okoliczności i nawyknienia, a wykazującej, czem jest właściwie. I oto owa dwoistość dogadza zawiłej ludzkiej naturze: podniosłość aspiracyi przychlebia człowiekowi i godzi go z podłością własnych jego czynów. Na pozór jest to kwadratura koła, a jednak nie inaczej dzieje się na ziemi".

Innego tedy należy chwycić się środka, aby walczyć z szatanem i z onego wpływem na ludzi. Może spróbować mocy złota, potęgi mamony, aby piekła pogrom na ziemi sprowadzić? Zawodny to środek, bo chyba bogactwo nie czyni ludzi lepszymi. Nędza jest zapewne wielkiem złem, lecz i dostatki mogą się czemś równie złem okazać. Wszystko tkwi w tem, jak człowiek los swój przyjmuje. Gdyby tak nieszczęśliwych, błąkających się po ulicach Londynu, nagle w pomyślniejsze przenieść warunki, chyba ta zmiana jednej tylko części wyszłaby na dobre, drugich ku gorszemu pędząc. Nie, stokroć nie. Posiadanie dostatków równa się dobremu winu, które wydobywa na wierzch złe czy dobre skłonności człowieka, lecz nie zmienia takowych. Innego raczej sposobu chwyta się teraz Fantasto. W tyranii upatrując odbicie Lucyferowej potęgi, próbuje rozszerzeniem wolności na ziemi jego przemoc ukrócić, piekielny despotyzm zwalić, przynieść ludziom swobodę, uszlachetniającą narody i jednostki. Na wyspie Fortarilla wre rozpaczna walka o wolność ludów, tam bieży Fantasto-Oakley i jako hetman walczących dobija się upragnionego myta. Już, już sądzi, że nadchodzi dzień jego własnego wyswobodzenia, że szatanowi będzie pilno pozbyć go się z tej ziemi, kędy jego panowaniu zagradza. Ależ nie! I teraz Lucyfer szydzi z jego usiłowań i powtarza, że wolność, podobnie jak dostatki, nie zmienia natury człowieka, potęguje w nim tylko czynność złych czy dobrych pierwiastków.

Cóż tedy począć? Jak skruszyć więzy ciała? Jak się wyrwać z ziemskiej powłoki? Oakley nie rozpacza, ale na razie nie umie znaleźć sposobu wydobycia się z mocy szatana. Wtem niespodziana mu się nastręcza pomoc. Lucy za nim tęskni, nie umie się nagiąć do innych uczuć i obowiązków, nie chce słyszeć o ziemskich ślubach, rozłączających myśl jej z umiłowanym zawsze Fantastą. Wtem przechodzące szeregi armii zbawienia porywają dziewczynę na pokutne nabożeństwo; wraca stamtąd zmieniona, obudzona jakoby z długiego snu, świadoma stanu własnej duszy. Opowiada subtelnie cały proces wewnętrzny, który jakoby ją był opętał. Ubogie dziecię nie jedno od pierwszych lat widziało i nie rozumiejąc słyszało. Przez całą młodość czystą i cichą,

usnęły owe wspomnienia, aby nagle ożyć pokusą i szałem miłości dla nadzwyczajnego gościa, który jej nowe otwierał światy. I nic nie było w stanie zleczyć tej dusznej choroby, aż nagle wspólna modlitwa, głośne wzywanie Zbawiciela przez ukorzone tłumy, sprowadziły ulgę i pożądaną zmianę. Jezu miłosierny, zmiłuj się nademną! — woła z głębi skruszonej duszy dzieweczka, od razu przenikając, iż tylko tem imieniem można być zbawionym! Sama doznawszy cudownego uzdrowienia, spieszy ratować i uwięzionego druha, dla którego czuje już tylko wdzięczność i współczucie. Jakżeby i dla was nie miało być nadziei? Jakżeż do dnia sądnego macie jęczeć w Lucyferowej niewoli? Zaiste jedno imię Jezusa wyswobodzić was zdoła, wyzwolić potrafi!

Duch niezależności i dumy raz jeszcze próbuje się buntować, ale wnet się korzy przed środkiem jedynym wyrwania się z szatańskiej obierzy. Modlić się do Jezusa nie umie, wszakże nawet wzdrygał się do niedawna na samą myśl ofiary Boga za ludzkie plemię, którego nikczemność poznał ze wstrętem, nie chciał przypuszczać możliwości odkupienia nadmierną ceną krwi Syna Bożego, atoli czuje teraz i wierzy, że tylko tem Imieniem walczyć i zwalczyć potrafi mocy piekielne! Podejmuje tedy opowiadanie Ewangelii, porywa tłumy, które na jego głos zapominają, kędy są, kto do nich mówi, każdy czuje się tylko sam wobec samego Boga i własnego sumienia. Porwani tem potężnem głosem słuchacze, tłumnie się do Boga nawracają. Rozgrzany własnem słowem mówca czuje płomień miłości Bożej, przeszywający mu serce. Gotów on teraz do skończenia świata przepowiadać Chrystusa, przyciągać ku niemu dusze, zbawiać siebie i drugich tem Imieniem, na które wszystko klęka w niebie, na ziemi i w samem nawet piekle. Schodzi do wyrzutków społecznych, do mętów olbrzymiego miasta, ażeby wszystkim zwiastować przebaczenie, wszystkich wzywać do pokuty. Cały Londyn ulega potężnemu wrażeniu, religijne odrodzenie, prawdziwe *revival* w całem tego słowa znaczeniu, ogarnia kraj i miasto, nad którem zaprawdę teraz *Christus regnat, Christus imperat.* Teraz dopiero Lucyferowi jest tego zanadto, teraz przyznaje się on do porażki i gotów wypuścić błędną duszę z pożyczonego mieszkania, aby już dłużej nie mogła na ziemi przeciw niemu działać. Czując rozwiązujące się pęta ciała, Fantasto cieszy się z odzyskanej niebawem swobody, znosi mężnie obce swej naturze męki konania, gotów wszystko przecierpieć, byle sobie zasłużyć na ulgę w wiekuistem swem przeznaczeniu, na jedyną pociechę, której śmie się spodziewać wśród niepowrotnie pisanego sobie wygnania w przestrzeni.

Ale przy łożu umierającego czuwa dobra Lucy, która tymczasem rękę i serce oddała uczciwemu młodzieńcowi, niegdyś współpracownikowi Oakleya w literackiej produkcyi. Widząc cierpienia odchodzącego ducha, pada ona na kolana i rzewną zanosi do nieba modlitwę: O Panie! O Boże! Wielkiem jest miłosierdzie Twoje, spojrzyj na to stworzenie Twoje; chciał on dobrze czynić tak mnie, jak i innym ludziom, i wiele też z jego ręki otrzymaliśmy dobrodziejstw. Wątpi on teraz, aby mógł być zbawionym! Dajże mu Panie to przynamniej, co w sprawiedliwości Twojej udzielić mu możesz!

Wraz z modlitwą Lucy rozjaśnia się oblicze umierającego, jakby wielką nadzieją i cudownem widzeniem! Poznaje bowiem postać, którą ongi znał w onych świetlanych krainach, dokąd sobie sam drogę zagrodził, a w tem anielskiem obliczu niezmierzona przeświecała teraz litość. „Odtąd już nie będziesz się zwać Fantasto — mówi zjawisko — lecz Beulaël, czyli ‚Przybliż się do Boga!'“ Stróżem ja aniołem tej dziewicy, o której duszę zwiodłeś bój z szatanem i dla której cierpiałeś tak wiele. A że walcząc o własne wyswobodzenie, niosłeś pomoc i innym duszom, które na wieki będą szczęśliwe, zaczem mówi Pan: Wszystko, co sprawiedliwość i miłosierdzie użyczyć ci może, stanie się odtąd twym udziałem! Odtąd wolno ci będzie przebywać u progu bram niebieskich i przysłuchiwać się pieśni, którą miłujesz, pieśni wiekuistego wesela! A zarówno ta oto dziewica, jak i wszystkie dusze, które ku niebu dźwignąłeś i porwałeś, po dniach wielu przechodzić mimo ciebie będą, wstępując w progi niebiańskie; a nadto raz po raz w przebiegu czasów i wieków wolno im będzie wynosić ci rajskie kwiaty i owoce z niebieskich ogrodów!

Błędny duch doznaje słodkiego ukojenia skutkiem obietnicy, która mu niesie częściowe zbawienie i przebaczenie! Jeszcze chwilkę, a opuszcza swe więzienie, wraz znika nadprzyrodzony, szlachetny wyraz, opromieniający oblicze, a wstrętna maska byłego medyum występuje ponownie, nierozjaśniona już uduchownieniem rysów i wzroku.

Na grób dawnego lokatora Lucy nigdy nie spieszyła, wiedząc, iż tam nic nie zostało z męża, który przelotnie duchem te cząstki ożywił. Na tem się kończy ta dziwna opowieść. Przedewszystkiem razi niekiedy nie dość jednostajne utrzymanie nastroju, spadającego z wyżyn fantastycznych w najprozaiczniejszą powszedniość, ale kto zna angielski tok myśli i sposób pisania, nie zdziwi się zbytecznie tym przeskokom, dokonywanym z pewną brutalną bezwzględnością, właściwą pisarzom Albionu. Trudno odżałować, iż zamiast w kościele u stóp

ołtarzy doznać łaski i przebaczenia, Lucy w wrzawie nabożeństwa Salutystów poznaje Zbawiciela i całem sercem się ku Niemu nawraca. Tu i ówdzie wkradła się pewna mętność pojęć nieścisłych — zwłaszcza idea drugiego złego ducha i jego zbawienie zanadto są fantastyczne. Wszelako mimo tych zboczeń teologicznych jest to utwór bardzo oryginalny, uwydatniający wartość duszy ludzkiej, o którą niebo z piekłem nie przestaje się ucierać. Pod względem artystycznym, okrom samejże osnowy, znajdują się momenta tak pełne grozy, iż wytrzymuje porównanie z najjaskrawszemi kartami Edgara Alana Poe. Włosy się jeżą czytelnikowi wobec każdego nowego pojawienia się prześladowczego Lucyfera: wstręt wolnej duszy do swej cielesnej powłoki i więzów udziela się i budzi tęsknotę za wolnością synów Bożych i swobodą duchów niebieskich.

M.

Niepokoje polskie w Syberyi w roku 1814. Szkic historyczny. (Polskaja Smuta w Sibiri w 1814 godu). Istoriczeskij oczerk.

W syberyjskiem mieście Tobolsku istnieje muzeum gubernialne, około którego skupia się miejscowe życie umysłowe. Organem zaś tego życia jest „Rocznik tobolskiego muzeum gubernialnego“ *(Jeżegodnik tob. gub. muzeja)*. W siódmym zeszycie „Rocznika“ wydrukowano artykuł pióra Mikołaja Pałopeżencewa, pod tytułem: „Niepokoje polskie w Syberyi w roku 1814“, blizko nas obchodzący. Korzystając z odbitki tego artykułu, pragnę podzielić się jego zajmującą treścią z czytelnikami *Przeglądu Powszechnego*.

Szkic historyczny p. Pałopeżencewa opiera się na aktach i korespondencyi urzędowej, nigdzie oczywiście nie drukowanych a przechowywanych w archiwum tobolskiem pod nazwą: „Sprawa o nieposłuszeństwie jeńców polskich w Tobolsku w r. 1814“. Autor przypuszcza, iż do bliższego wyjaśnienia faktu powyższego mogłoby się przyczynić archiwum rządowe w Tomsku i Omsku, których on nie badał, a więc i pracy swej nie może uważać za wyczerpującą; dlatego nazwał ją tylko „szkicem historycznym“.

Epizod powyższy z dziejów naszych wygnańców syberyjskich, nazwany urzędownie „Sprawą o nieposłuszeństwie jeńców polskich w Tobolsku“, nie był przedmiotem opowiadania — o ile sobie przypominam — u żadnego z autorów polskich, piszących o Syberyi. Że żaden z autorów rosyjskich, zajmujących się historyą lub opisem Syberyi, o nim nie wspomina, upewnia nas p. Pałopeżencew. Nie masz zatem wzmianki

o rozruchach polskich na Syberyi w r. 1814 w pracach następujących autorów: Słowcowa, Andriejewicza, Szczegłowa, Jadrincewa i wielu innych. Maksimow, który w swem dziele: „Syberya i katorga“ opisuje bardzo szczegółowo ucieczki i bunty wygnańców polskich w ciągu całego stulecia, ani jednem słowem nie wspomina buntu jeńców wojennych polskich w r. 1814. U Szczegłowa jest pod rokiem 1813 tylko wzmianka, że „jeńców francuskich internowano w Syberyi“. Nawet w książce pamiątkowej gubernii tobolskiej za rok 1884 (pewien rodzaj kalendarza, czy też szematyzmu gubernialnego), gdzie pisano i o wygnańcach polskich, powtórzono tylko wyżej przytoczony frazes o jeńcach francuskich z pracy p. Szczegłowa.

Dla nas nie może i nie powinna być obojętną ta kartka z dziejów martyrologii polskiej wśród śniegów i lodów Syberyi. Z pracy p. Pałopeżencewa powtórzę to tylko, co się do niej odnosi, a pominę niektóre szczegóły dla nas całkiem obojętne. Polscy uczestnicy niepokojów syberyjskich z r. 1814 składali się przeważnie z jeńców wojennych polskich, wziętych do niewoli w różnych bitwach podczas kampanii roku 1812, a zwłaszcza w czasie odwrotu z Moskwy wielkiej armii Napoleona. Ile mogło być wówczas jeńców Polaków na Syberyi, autor nie jest w stanie obliczyć na podstawie źródeł urzędowych. Sądzić atoli o ich liczbie można z niektórych danych. I tak do syberyjskich pułków kozackich zaliczono 900 jeńców wojennych z pośród tych, co służyli w kawaleryi; o znacznej liczbie wcielonych do piechoty przypuszczać można chociażby z tego, że do batalionu tobolskiego zaliczono przeszło 100 żołnierzy, pomijając oficerów w liczbie 20, których władze rosyjskie od służby zwolniły, a pozostawiły na wolnej stopie w Tobolsku.

Według wniosków autora, opartych na materyale rękopiśmiennym, pomysł buntu zrodził się u jeńców polskich w drodze na Syberyę. Opowiadanie o losach konfederatów barskich i jeńców z czasów powstania Kościuszkowskiego, którym odcinano uszy i nosy, a niektórym, jak podpułkownikowi Reku i majorowi Drewiczowi, ucięto ręce i nogi, — napełniały jeńców wojennych polskich niesłychaną trwogą. Przypominali wówczas sobie, jak to gubernator tobolski Szenszin kazał wygnańców polskich przywiązywać do ciężkich belek, a potem spuszczać ich z wysokiego wzgórza nad rzeką Irtyszem, noszącego dotychczas jeszcze nazwę „Wzgórza panów“. Staczające się w dół belki gruchotały czaszki lub w najlepszym razie łamały kości nie-

szczęśliwych ofiar. Wszystkie te opowiadania autor rosyjski przytacza, nie poddając ich w wątpliwość ani jednem słówkiem.

Pod wpływem podobnych opowiadań wyrabiały się u jeńców polskich, gnanych na Syberyę, wyobrażenia o ludziach i miejscach przyszłego pobytu, a w umysłach ich dojrzewały zwolna projekta buntu i zbiorowej ucieczki z Syberyi. O przyjęciu i traktowaniu, doznawanem na Syberyi przez żołnierzy polskich armii Napoleońskiej, można również nabyć pewnego wyobrażenia ze wskazówek, porozrzucanych tu i ówdzie w aktach „Sprawy o nieposłuszeństwie jeńców polskich w Tobolsku". W Omsku np. doświadczyli oni niezwykłej surowości ze strony jenerała dywizyi Glasenapa, który swe uczucia względem Polaków kreśli w sposób następujący: „Będąc na służbie przez lat kilka w Obuszy i znając dobrze ich lekkomyślny obyczaj i zuchwałą konduitę, jeszcze przed przybyciem tutaj oficerów i żołnierzy polskich poczyniłem jak najsurowsze zarządzenia, aby oficerowie polscy nie byli trzymani w tem miejscu, gdzie się znajdować będą szeregowcy, zwłaszcza gdzie tych ostatnich znajdzie się większa ilość; natychmiast po przybyciu jeńców polskich rozesłałem szeregowców po różnych miejscowościach, a oficerów rozmieściłem każdego z osobna. Z pośród oficerów dwóch tylko pozostawiłem w Omsku, którzy mi jeszcze w Iszymie wyrazili gotowość przyjęcia poddaństwa rosyjskiego i pozostania w niem na zawsze". Dwom innym oficerom — powiada dalej jenerał Glasenap — pozwoliłem przyjeżdżać z redut do Omska, dla zakupna żywności. Spostrzegłszy atoli, iż za każdym swym pobytem w Omsku znoszą się tajemnie z żołnierzami polskimi i „rozsiewają buntownicze wieści", zakazałem im jak najsurowiej oddalania się z miejsca stałego zamieszkania, a zwłaszcza przyjeżdżania do Omska.

Natomiast gubernator tobolski von Brin uważał za stosowniejsze zatrzymać wszystkich oficerów polskich w Tobolsku, gdzie o wiele łatwiej, jak w miastach powiatowych, można było czuwać nad ich postępowaniem. Część jednak jeńców polskich internowano także po miastach i miasteczkach gubernii tobolskiej. Oficerów, zamieszkałych w Tobolsku, poddano ścisłemu tajnemu dozorowi, o czem oni wcale nie wiedzieli. Z tej liczby, wskutek postanowienia carskiego z r. 1815, 15 oficerów wróciło następnie do ojczyzny.

Smutnym był los żołnierzy polskich, wcielonych do garnizonów miejscowych i w ten sposób oddanych władzom wojskowym do całkowitej dyspozycyi. O powrocie ich do kraju mowy nawet nie było. W batalionach tobolskich — pisał gubernator v. Brin — „zbywało na

ścisłym dozorze i ostrożności", lecz „nie na surowości w postępowaniu", dodaje od siebie autor rosyjski. Gorzej było niewątpliwie jeńcom polskim w Tomsku, gdzie gubernatorem był Illiczewskij, chociaż wyraźnych tego wskazówek w aktach niemasz. „Gubernator tomski Illiczewskij — pisze Andriejewicz, historyk „Syberyi w wieku XIX." — był człowiekiem tępego umysłu, niemoralnym i despotycznym". Tenże historyk przytacza wielce charakterystyczne słowa znanego prawnika Sperańskiego, późniejszego (od r. 1819) jenerał-gubernatora Syberyi: „gdybym w Tobolsku oddał wszystkich pod sąd, coby można było uczynić, to tutaj (w Tomsku) należałoby wszystkich powiesić".

Na tle podobnych stosunków rozegrały się „niepokoje polskie w roku 1814". Dnia 14 maja tegoż roku donosi gubernator tomski Illiczewskij gubernatorowi tobolskiemu von Brinowi, iż w mieście Tomsku odkryto spisek jeńców wojennych polskich, którzy przy pomocy i poparciu innych wygnańców narodowości polskiej zamierzali wyswobodzić się z niewoli. Spisek ten utworzyli oni jeszcze w drodze na Syberyę, przed rozsiedleniem ich po miastach i twierdzach syberyjskich. Bunt miał wybuchnąć najpierw w Tomsku, a następnie ogarnąć Omsk, Iszim, Jałutorowsk, Tobolsk i inne miasta, gdzie tylko liczniej przebywali Polacy. Zamiarem spiskowych było zabrać najpierw broń żołnierzom, stojącym na kwaterach, uwolnić katorżników, zająć arsenał i główną strażnicę, następnie aresztować urzędników rosyjskich, przeciąć komunikacyę, opanować kasę gubernialną i utworzyć rząd tymczasowy w mieście. Urzeczywistnienie celów spisku było już blizkiem. Wielu zesłanych Polaków, zarówno w mieście samem, jak i w jego okolicy, do sprzysiężenia już przystąpiło. Spiskowcy zbierali się w domu Wąsowicza, gdzie ułożyli manifest, „chociaż i pełen niedorzeczności — jak się o nim wyraził von Brin — to jednak zawierający wiele zdań zuchwałych i nawet oburzających". Polacy, mieszkający w Tomsku, liczyli na posiłki swych współziomków z Omska i z innych twierdz. Już trzech spiskowych przybyło do Tomska, w liczbie których był jeden artylerzysta. Polacy z Omska donosili nadto listownie, że do spisku przystępują i podniosą bunt w Omsku. List tej treści znaleziono u jeńca wojennego polskiego Kononowicza.

Powyższe doniesienie gubernatora Illiczewskiego z Tomska nosi datę 14 maja st. st. Dnia zaś poprzedniego, to jest 13 maja, zaszedł w Tobolsku fakt niezwykły: 99 żołnierzy polskich z tobolskiego batalionu jenerał-majora Paliszczyna odmówiło posłuszeństwa władzom wojskowym. Napróżno szef batalionu Narajewskij usiłował w obecności

oficerów sztabowych skłonić ich „wszelkiemi sposobami“ do posłuszeństwa. Usiłowania w tym względzie były bezowocnemi. Za przyczynę nieposłuszeństwa podawali okoliczność, iż oficerów polskich do służby czynnej nie powołano i zrobiono im nadzieję rychłego powrotu do ojczyzny, podczas gdy oni muszą służyć w wojsku i pozostać na Syberyi. Podpułkownik Narajewskij widział w tem nieposłuszeństwie owoc propagandy oficerów polskich, przybyłych w miesiącu kwietniu tegoż roku z Iszimu: porucznika Wincentego Jaworskiego i podporuczników: Józefa Sochańskiego i Tomasza Lizowskiego, którzy już w Iszimie wywołali byli bunt wśród żołnierzy polskich. O stosunkach ich z żołnierzami polskimi donosił także gospodarz, u którego mieszkali na stancyi, i dlatego gubernator trzech wyżej wymienionych oficerów zamierzał wysłać z Tobolska do Jałutorowska.

Po wykryciu spisku nastąpiły surowe kary. Jak z uczestnikami spisku postąpiono, niema żadnych wiadomości; z Tobolska wysłano oficerów: Jaworskiego, Sochańskiego i Lizowskiego do Abałaku, pod najściślejszy dozór miejscowego komisarza. Żołnierzy zaś, wskutek rozkazu jenerała Glasenapa, podzielono na cztery partye, po 25 w każdej, i pod konwojem oddziałów wojskowych, złożonych również z 25 żołnierzy i takiejże liczby uzbrojonych chłopów, wysłano do Omska. Jeńców wojennych polskich okuto w kajdany, po dwóch razem, a każdą z tych czterech partyj wysyłano z osobna, w przestankach trzydniowych, aby nie mogły ze sobą porozumiewać się do nowego buntu lub próbować zbiorowej ucieczki. Takim był rezultat spisku polskiego w Tobolsku.

W Omsku, po otrzymaniu doniesienia od gubernatora Illiczewskiego o zamierzonym buncie polskim, jenerał Glasenap poczynił jeszcze surowsze zarządzenia: komendantom pułków i batalionów polecił śledzić jak najsurowiej, aby schadzek żadnych w mieście nie było, zwłaszcza wśród Polaków, zaliczonych do liniowego wojska kozackiego; nakazał wzmocnić dozór policyjny nad Polakami; nie zezwalać im na żadne porozumiewanie się ze sobą; wysyłać nocne posterunki na ulice i dla rewizyi mieszkań; komendantowi twierdzy polecił po zachodzie słońca nikogo z twierdzy nie wypuszczać do miasta i z miasta nie wpuszczać do twierdzy; przekraczających zaś powyższe zakazy natychmiast aresztować, a osoby prywatne odsyłać do horodniczego (naczelnika miasta). Etat policyjny w Omsku znacznie powiększono. W więzieniu miejskiem straże wzmocniono, a dla utrzymania porządku i spokoju w mieście

utworzono straż obywatelską, do której powołano po jednemu na każde dziesięć domów. Trwoga przed buntem polskim w Omsku była tak wielką, iż dwóch oficerów polskich, wracających z linii do Iszimu, kazał gubernator przeprawić czemprędzej na drugą stronę rzeki Irtyszu, aby nie mogli w mieście widzieć się ze swymi współziomkami.

Z takich to wiadomości składa się szkic historyczny buntu polskiego na Syberyi w roku 1814. Wiadomości te są oczywiście bardzo niedostateczne. Nie wiadomo np. na czem opierało się twierdzenie gubernatora o zamiarze Polaków opanowania Tomska i ogłoszenia tamże rządu tymczasowego: czy na korespondencyi pomiędzy uczestnikami spisku, czy też na ich zeznaniach podczas śledztwa? Zdaje się, iż spisek urósł do wielkich rozmiarów w oczach tylko gubernatora tomskiego Illiczewskiego i jenerała dywizyi w Omsku Glasenapa. Natomiast gubernator tobolski von Brin wyraźnie powiada w raporcie do jenerał-gubernatora, iż bunt żołnierzy polskich w dniu 13 maja nie był bynajmniej wynikiem podburzania ze strony oficerów polskich. Przeciwnie zachowanie się tych ostatnich, zarówno w gubernialnym Tobolsku, jak i w miastach powiatowych, nazywa „porządnem". Jeżeli zaś oficerów: Jaworskiego, Sochańskiego i Lizowskiego wysłał z Tobolska, to uczynił tylko na usilne nalegania jenerała Glasenapa. Korespondencyę tego ostatniego w sprawie buntu polskiego nazywa von Brin „niespokojną", a nawet po otrzymaniu doniesienia od gubernatora tomskiego Illiczewskiego nie chce dać wiary, aby „duch buntu" mógł przeniknąć do gubernii tobolskiej. Z całego przedstawienia rzeczy u p. Pałopeżencewa zdaje się wynikać, że gubernator tomski Illiczewskij, mając na swem sumieniu dużo grzechów urzędowych, pragnął odkryciem i stłumieniem buntu jeńców polskich poprawić sobie opinię w wyższych kołach rządowych i dworskich Petersburga. W każdym razie jego rozmiary i znaczenie przesadził rozmyślnie. O toż samo możnaby posadzić i jenerała Glasenapa w Omsku, skoro tenże, nie dowierzając sile dwóch pułków piechoty, postawił miasto na stopie wojennej. Na projekta garstki wygnańców polskich musiał oczywiście jenerał Glasenap spoglądać przez pryzmat dalszej swej karyery wojskowej.

Wypada mi jeszcze dodać słów kilka o dalszych losach jeńców wojennych polskich. Według słów jenerała Glasenapa, w następujący sposób zużytkowano talenta i siły polskie. Jenerał Broniewski, okazujący Polakom najwięcej współczucia, zorganizował z sił wyłącznie polskich orkiestrę dla syberyjskich pułków kozackich. Organizatorem jej

był Wolicki, były oficer armii polskiej, który wykształcenie muzyczne otrzymał w konserwatoryum paryskiem. Pomagali mu w tej pracy: Radbolski, Gideński, Gołomberski, Flen i Han — sami Polacy. Kwiatkowski założył w Omsku szkołę trębaczy, która dostarczyła należycie wykształconych trębaczy dla całego wojska kozackiego w Syberyi.

W roku 1815 ogłoszono w Syberyi najwyższy ukaz, zezwalający jeńcom wojennym pochodzenia polskiego na powrót do ojczyzny. Wielu z nich nie miało już ochoty wracać, urządziwszy się jako tako w miejscu swego pobytu. W samych tylko pułkach kozackich pozostało 156 ludzi. Niektórzy z tych ostatnich dosłużyli się rang oficerskich.

Al. Szarłowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

STRONNICTWA KATOLICKIE W BELGII.

Belgia była pierwszym krajem w Europie, który się otrząsł z liberalnego jarzma. W czasie, kiedy liberali we wszystkich innych krajach Europy jeszcze niepodzielnie panowali, katolicy belgijscy odniósłszy przy wyborach niespodziewane nad nimi zwycięstwo — sami objęli kierownictwo losów swej ojczyzny (w r. 1884). Od tego czasu, mimo chwilowego podniesienia się partyi liberalnej (od r. 1886—1892) katolicy pozostali przy rządach i nietylko do podniesienia Kościoła i moralności dużo się przyczynili, ale więcej niż jakikolwiek inny rząd, pracowali w kierunku polepszenia doli robotników i ludu wiejskiego. Wspominamy tylko o ostatniej ustawie, uchwalonej z końcem marca b. r., która zawodowym stowarzyszeniom przyznała tytuł osoby prawnej i przez to dała klasom pracującym stałą podstawę dla obrony swych interesów.

Po zwycięstwie katolików w r. 1884 spodziewano się, że Belgia przyświecać będzie całej Europie jako wzór katolickiej organizacyi, zastosowanej do społecznych potrzeb czasu.—Rzeczywiście udało się katolikom rozprószyć zupełnie starą, wrogą Kościołowi partyę liberalną. Liberali sami podzielili się na dwie grupy: na starych liberałów *(doctrinaires)* i postępowych *(progres-*

sistes). Pierwsi od r. 1894 żadnego już przedstawiciela w parlamencie nie posiadają, drudzy wchodząc w kompromis z socyalistami z wielką trudnością przy 6 mandatach się utrzymują. Na miejsce partyi liberalnej powstał jednak dla katolików nowy wróg w postaci socyalnej demokracyi, szerzącej się przedewszystkiem we fabrycznych prowincyach. Co w innych krajach Europy powoli się dopiero przygotowuje: zniknięcie wszelkich liberalnych partyj i powstanie dwóch tylko wielkich obozów, katolickiego i socyalistycznego, to w Belgii już się dokonało.

Ale między katolikami niestety powstały już w początkach tego dziesięciolecia dość znaczne nieporozumienia, które groziły wielkiem niebezpieczeństwem dobrej sprawie. Program katolicki wydawał się niektórym katolikom zbyt konserwatywny, nie dość uwzględniający rzeczywiste potrzeby czasu i dlatego postanowili odłączyć się od wielkiej partyi katolickiej i utworzyć nową, bardziej postępową partyę chrześcijańsko-demokratyczną. Początkowa wzajemna nieufność obu partyj przybrała wkrótce cechy otwartej nieprzyjaźni: młodsza partya demokratów chrześcijańskich zaczynała się zbliżać do socyalistów, a z drugiej strony konserwatyści katoliccy myśleli o zawarciu przymierza ze starymi liberałami na podstawie wspólnej obrony przeciw socyalistycznym i rewolucyjnym dążnościom. Niebezpieczeństwo było tak poważne, że Ojciec św. znanym listem z 10 lipca r. 1895 nakazał biskupom belgijskim, by na osobnym zjeździe radzili nad środkami zaradczemi, któreby prędko i skutecznie do wspólnej zgody doprowadzić mogły. Program socyalny przez biskupów na zjeździe 5 marca r. 1896 uchwalony, znalazł u wszystkich katolików zupełne uznanie. Najskrajniejsze organa demokratów chrześcijańskich: *La Justice Sociale* i *Le Democrate,* przyjęły go przychylnie i rokowały mu stanowczy wpływ na wytworzenie jednolitości w akcyi katolickiej.

Zbawienne owoce pokojowych zabiegów biskupich pokazały się już przy wyborach parlamentarnych tego samego roku w kompromisach między demokratami chrześcijańskimi i konserwatystami. Mimo tego scysya trwała dalej; rokowania prowadzone między jedną a drugą stroną, rozbijały się o coraz to

nowe szkopuły, tak dalece, że nawet jeszcze w r. 1897 skutkiem niezgody katolików przy wyborach prowincyonalnych w Liège, socyaliści zwyciężyli. Aby usunąć smutne i zgubne rozdwojenie mgr. Doutreloux, biskupem robotników zwany, oświadczając wyraźnie swą zupełną neutralność w czysto politycznych sporach między katolickiemi partyami, we wspaniałych listach energicznie nawoływał katolików do chrześcijańskiej zgody i do posłuszeństwa dla wskazówek Ojca św. Szlachetne wysiłki biskupów zdawały się jednak być daremne, gdyż katolicy tak konserwatyści jak demokraci w gorączce walki bratniej chwilowo jak gdyby zapomnieli o obowiązku posłuszeństwa względem władzy kościelnej. Z powodu tych zajść ks. Pottier, prezydent demokratycznej unii chrześcijańskiej, uważał nawet za konieczne złożyć swą godność, dopóki umysły się nie uspokoją.

Dzięki Bogu nastąpiła przed ostatniemi wyborami w Liège ugoda między obiema partyami: unii katolickiej z jednej a unii demokracyi chrześcijańskiej z drugiej strony. Ugoda ta zdaje się być rękojmią trwałego spokoju. Pod względem ekonomicznym oba związki zachowują i nadal swą niezależność; pod względem politycznym jednak uchwaliły złączyć się zupełnie w obronie programu w 11 punktach dokładnie określonego. Niema co wątpić, że z obydwóch stron niejedną popełniono winę. Konserwatyści zbyt łatwo zarzucali demokratom socyalistyczne dążności tam, gdzie ich zupełnie nie było, demokraci znów, zrażeni twardym uporem konserwatystów, rzeczywiście zbliżali się do rewolucyjnych partyj. Dzisiaj zamiast wzajemnych napaści, „konserwatyści starają się walczyć przeciw własnej ociężałości i fikcyjnym obawom a demokraci hamują się w zbyt śmiałych zapędach“, jak trafnie się wyraża korespondent organu hr. de Mun, *l'Association catholique*. Setki stowarzyszeń robotniczych połączyły się obecnie z Ligą demokratyczną, i zapewniły jej najdonioślejszy wpływ w organizacyi robotników katolickich. W powyborczym manifeście, wydanym w tych dniach, Liga na nowo oświadcza, że jej członkowie są i zostaną przedewszystkiem katolikami *(catholiques avant tout, nous le sommes et nous les resterons)*.

Wspólnej zgodzie zawdzięczyć trzeba, że katolicy przy

ostatnich wyborach do parlamentu pozyskali znowu 2 mandaty. Zasiada więc obecnie w Izbie belgijskiej 112 katolików, 28 socyalistów, 6 progresistów i 6 radykałów. Oddano tego roku kilkadziesiąt tysięcy głosów więcej niż w r. 1894; z tych socyaliści pozyskali 46.500, demokraci chrześcijańscy 26.600, a katolicy konserwatyści 9.000 głosów stracili. Widać więc z tego, że mimo ponownego zwycięstwa katolików i socyaliści wzrastają. Znakomity w tej sprawie artykuł umieściło *Le Bien public*[1], w którym wykazuje, że wzrost socyalizmu w Belgii stoi w prostym stosunku do upadku życia religijnego. Właśnie w tych prowincyach belgijskich, gdzie lud widocznie bardziej się oddalił od Kościoła, socyaliści się wzmogli, a odwrotnie w prowincyach flamandzkich, silną wiarą ożywionych, socyaliści cofnąć się musieli, mimo wszelkich agitacyj, mimo powtarzanych wykrętów, że ich polityka wcale nie jest antyklerykalną, ale jedynie zwróconą przeciw kapitalizmowi. Dlatego pisze *Le Bien public*, że „niezależnie od pobudek porządku duchownego, niezależnie od zbawienia dusz, li tylko z punktu obrony socyalnej, o to chodzić powinno krajowi naszemu, aby podtrzymywać i podnosić religijny poziom ludności. Środki zaradcze i represyjne najumiejętniej zastosowane są tylko drugorzędne w porównaniu z wpływem moralnym i trwałym, który wnika w samą duszę narodu. Rozum zaś i doświadczenie uczą, że skuteczność i trwałość (wpływu religijnego) w wielkiej części zależą od pierwszego wychowania, jakie dziecko otrzymuje“. Powyższe słowa tem większą mają wagę, że wyszły z kraju, gdzie katolicy doświadczeniem najdłuższych i najcięższych walk przekonać się mogli, jaka broń przeciwko socyalistom jest najskuteczniejsza.

Wobec wzrostu socyalizmu i wobec antyklerykalnej ligi, utworzyć się mającej przeciw katolikom, zjednoczeni katolicy nad tem pracować muszą, by utrwalić podstawy swej działalności. Imponująca większość posłów daje ich partyi pozory większej siły, aniżeli rzeczywiście posiada. W całym kraju katolicy mają wprawdzie o 200.000 głosów więcej, aniżeli wszystkie inne

[1] 28 maja 1898.

partye razem wzięte, ponieważ jednak główna siła katolików koncentruje się w wschodnich prowincyach, stąd pochodzi, że przy ściślejszych wyborach w prowincyach północno-zachodnich zawdzięczają zwycięstwa zwyczajnie poparciu swych kandydatów przez liberałów starej szkoły, których liczba coraz się zmniejsza. W razie, gdy ta pomoc ustanie, a inne partye, zamiast rozstrzelić swe głosy, złączą się, wówczas katolicy prawdopodobnie zostaną w mniejszości, a rządy kraju przeważnie katolickiego przejdą w ręce tępicieli wiary i moralności, skrajnych rewolucyonistów. Z tych przyczyn rząd już przy zmianie prawa wyborczego z r. 1893. przedłożył projekt reprezentacyi według partyj *(représentation proportionelle)*, na mocy której każda polityczna partya wysyłałaby do parlamentu przedstawicieli w liczbie odpowiedniej do swej ogólnej siły. Mieliby więc i socyaliści i liberali obydwóch szkół i radykali niektóre krzesła w parlamencie zapewnione; większość katolickich posłów nawet niecoby się zmniejszyła, ale za to nie byłaby już wystawiona na żaden szwank przez walki wyborcze. Niestety niektórzy konserwatyści jeszcze się opierają przeciw tej zmianie ustawodawczej.

Dla dopełnienia obrazu położenia katolików w Belgii musimy jeszcze wspomnieć o partyi neodemokratów, która po suspenzie ks. Daens'a, potwierdzonej w Rzymie, odłączyła się od demokratów chrześcijańskich i przyłączyła się do skrajnej opozycyi. Z początku zdawało się niektórym, iż ks. Daens wielką część demokratów chrześcijańskich za sobą pociągnie; kiedy jednak jego działalność przez Kościół została potępiona, partya uroczyście się go wyrzekła i niewielka tylko garstka katolików przy nim została. W okręgu wyborczym z Gand, gdzie liczył najwięcej zwolenników, ani jeden z kandydatów jego partyi nie przeszedł.

Pominąć tu nie możemy wzmianki o socyalizmie chrześcijańskim, umieszczonej w *Słowie Polskiem* w nr. 107, pod napisem: „Papież a stronnictwo chrześcijańsko-socyalne". Czytamy tam, że przewodnikiem tego stronnictwa w Belgii jest ks. Daens, i że z przemowy papieża do pielgrzymki robotników belgijskich, wypowiedzianej 23 kwietnia pokazuje się, iż Leon XIII. „tak jak dawniej, po-

tępia nieprzejednane postępowanie i agitacye tego stronnictwa“ [1]. Rozumiemy, że czasem do gazety wkraść się mogą niedokładności, ale sądzimy, że czasopismo wogóle tak dobrze poinformowane, jak *Słowo Polskie*, starać się powinno o uniknięcie tak oczywistych fałszów, tyczących się wielkiej liczby partyj katolickich we wszystkich krajach Europy, a nie zadowalniać się w kwestyi zasadniczej powtarzaniem uwag z *Polit. Corresp.* Wiadomem przecie być musi *Słowu Polskiemu*, jak często artykuły *Polit. Corresp.*, odnoszące się do spraw Kościoła tendencyjnie bywają zabarwione ze względów politycznych. Przypominam tylko z ostatnich czasów artykuł w sprawie ks. biskupa Symona.

Kto śledzi ruch socyalny za granicą, żadnych wątpliwości mieć nie może, jakie stanowisko Ojciec św. zajmuje wobec partyj chrześcijańsko-socyalnych. Przy każdej sposobności okazuje im najwyższą swą przychylność, popiera je zachętą i radą, ich przewódców odznacza orderami, a kierowników ich czasopism zachęca bardzo pochlebnemi listami. Pod okiem Ojca św. włoska partya chrześcijańsko-socyalna działa i rozwija się. Co się zaś tyczy Belgii, to cała wielka partya katolicka jest partyą chrześcijańską socyalną, choć nazwy tej nie nosi, gdyż w pierwszym rzędzie pracuje nad chrześcijańskiem rozwiązaniem kwestyi socyalnej. Zbuntowany ksiądz, który jest duszą t. zw. stronnictwa neodemokratów, nic nie ma wspólnego z chrześcijańsko-socyalną partyą. Wspomniana przez *Słowo Polskie* przemowa Ojca św., która w dosłownym tekście przed nami leży, skierowaną była nie do zwolenników Daens'a, ale do dobrych katolickich robotników z partyi demokratów chrześcijańskich. Ojciec św. daje im świadectwo, iż tak, jak inni katolicy, wiernie w praktyce starali się zastosować do encykliki *Rerum novarum*, a poleca im tylko pilnie strzedz się tego, by przez nieroztropną opozycyę nie zachwiali powagi tych, którzy dzierżą władzę“. [2].

---

[1] Wspomniana notatka polityczna *Słowa Polskiego* mięsza też nazwy chrześcijańsko-socyalny i socyalno-demokratyczny.

[2] „Évitez avec soin d'ébranler, par une opposition inconsiderée, l'autorité de ceux, qui sont les dépositaires du pouvoir“.

PRZEŚLADOWANIE KATOLIKÓW WE WŁOSZECH.

Wojna hiszpańsko-amerykańska, polityczne wypadki w Austryi, sprawy krajowe, tak nasze umysły zajmują, że skąpe [1] wiadomości o wewnętrznych walkach w państwie włoskiem podane nam przez nasze czasopisma, ledwie na siebie zwracają naszą uwagę. Na wielką jednak politykę świata wywrą one prawdopodobnie znaczniejszy wpływ od wszystkich innych współczesnych wypadków, a w historyi Kościoła i świata znaczne kiedyś zajmą miejsce.

Rząd włoski korzysta obecnie z krwawych rozruchów przeszłego miesiąca, by zadać katolickiej akcyi cios śmiertelny. Zapanowawszy nad rewolucyą środkami najsurowszemi, bardzo roztropnie zaczął zwracać swą uwagę na źródła, skąd to ogólne wzburzenie włoskiego ludu powstało, i radzić nad usunięciem przyczyn powszechnego rozjątrzenia. Prosty rozsądek kazał włoskim mężom stanu tak postępować, bo niepodobna, aby prawie połowa państwa przez długi czas pozostawała w stanie oblężenia. Pierwsze kroki, które nadzwyczajna władza wojskowa przedsięwzięła, były skierowane przeciw socyalistom i radykalnym republikanom; rozwiązano ich stowarzyszenia, uwięziono ich przewódców, nawet posłów. W samym Rzymie, gdzie stosunkowo największy panował spokój, aresztowano 270 wybitniejszych osobistości, między innymi wszystkich redaktorów socyalistycznego *Avanti* (Naprzód), a gdy poseł Morgani objął redakcyę opuszczonego pisma, policya i jego aresztowała przy wyjściu z parlamentu. O rozwiązaniu stowarzyszeń katolickich widocznie nie myślano, kiedy sam generał Bava, królewski komisarz dla Medyolanu, zwracał się do duchowieństwa z prośbą o poparcie w dziele pacyfikacyjnem.

Dopiero w niespełna dwa tygodnie po największych rozruchach, rząd ze swej strony rozpoczął walkę z katolickiemi stowarzyszeniami, jak gdyby one były najniebezpieczniejszemi rozsadnikami rewolucyi. Sygnał wyszedł od Rudiniego. W liście

[1] Surowa cenzura rządu włoskiego, rozciągająca się nawet na telegramy, o czem w przeszłomiesięcznym artykule wspomnieliśmy, od tego czasu jeszcze bardziej została obostrzoną i oczywiście bardzo utrudnia gazetom podawanie dokładnych wiadomości.

do prefektów prowincyj z 27 maja, minister pisze: „Statystyka ekonomicznych instytucyj klerykalnych pokazuje, że mamy do czynienia z organizacyą mądrą, która z komitetów dyecezalnych rozciąga się do najmniejszych i najbardziej oddalonych parafij prowincyi kościelnej, z których każda ma albo powinna mieć własny komitet. W ten sposób powstają w miastach szkoły, miejsca zabaw, stowarzyszenia wychowawcze, komitety, aby zebrać i przygotować sobie wyborców (aż dotąd tylko municypalnych); na wsi zakładają się i rozwijają spółki rolnicze, piekarnie ludowe, magazyny pomocnicze, tanie kuchnie, kasy kredytowe". Pod najszlachetniejszym celem podniesienia moralnego i ekonomicznego ludu, kryje się we wszystkich tych stowarzyszeniach, powiada dalej minister, propaganda celem dojścia do władzy politycznej, a więc wypada je znieść jako stowarzyszenia przewrotu państwowego. W ślad za powyższemi rozporządzeniami telegrafem rozesłanemi po prowincyach, nastąpiło rozwiązanie s e t e k stowarzyszeń katolickich. Prefekci prowincyj szybko wniknęli w myśl rządu a nawet aż nazbyt wyraźnie ją wypowiedzieli w swoich dekretach. Prefekt z Verony bez ogródki oświadcza, że wszystkie stowarzyszenia, które się nazywają k a t o l i c k i e m i tak dla swych celów jak dla środków, któremi się posługują, dążą do przewrotu istniejących praw. We Florencyi rozwiązano nawet stowarzyszenie, którego celem było walczyć przeciw rozpowszechnionemu we Włoszech zwyczajowi bluźnienia! Organa rządu nie zadowolone rozwiązaniem komitetów, wydały równocześnie rozkaz zamknięcia lokalów i sekwestracyi wszystkich papierów, oznak i przedmiotów w nich się znajdujących, by je dokładnie roztrząsano celem możliwych doniesień do kompetentnej władzy [1]. Z tą samą surowością wystąpił rząd przeciw czasopismom katolickim, stanowiącym jak gdyby wspólny węzeł i potężną broń, tak zwanych klerykalnych instytucyj. O ile nam wiadomo suspendowano dotąd 17 gazet. Odebrano więc katolikom i wolność słowa i wolność prasy.

Gdzie tylko się dało, starał się rząd ukrywać bezprawie

[1] Dekret gen. Bava.

pozorami bezstronnej sprawiedliwości. Ktoby nie znał stosunków włoskich a dostał w ręce rozporządzenie zakazujące wydawnictwa najbardziej wpływowego czasopisma *l'Unità cattolica* w Florencyi, ten musiałby sądzić, że w państwie włoskiem panują tak idealne stosunki między państwem i Kościołem, iż władza świecka nawet z pośpiechem i gorliwością staje w obronie Kościoła i strzeże powagi jego sług. Jako główne powody zawieszenia czasopisma przytacza rozporządzenie dwa przedewszystkiem artykuły polemiczne przeciw listowi pasterskiemu biskupa z Kremony [1], mające dowodzić zgubnych dążności czasopisma niebezpiecznego niemniej dla religii jak dla powagi świeckiej i kościelnej. — Podobne ukrywanie prawdziwych celów jest więcej niż obłudą... jest podłością.

Starajmy się jednak jeszcze bliżej i dokładniej roztrząsnąć powyższe fakta, by utworzyć sobie sąd prawdziwie bezstronny. Zastanowić musi każdego, iż rząd rozpoczyna otwartą walkę ze stronnictwem potężnem, w tej właśnie chwili, kiedy w całem państwie wre niezadowolenie przeciw niemu. Byłoby to najwyższym nierozumem, gdyby się nie miało do tego przyczyn, żadnej nie cierpiących zwłoki. Takiego więc rodzaju musiały być powody, które wpłynęły na rozporządzenie rządu włoskiego; niebezpieczeństwo musiało być grożące, kiedy tak ostatecznych chwycono się środków.

Przyznajemy rządowi, iż niektóre organa partyj katolickich, niestosownie w chwili zaburzeń, przypominały ciężkie przewinienia rządu, które lud do tego stopnia rozgoryczenia doprowadziły. Lepiej było w takiej chwili o tem milczeć i nawoływać do spokoju. Przyznajemy również, że nie rozróżniając należycie między powagą władzy a błędami jej przedstawicieli, ze stanowiska najwznioślejszych pojęć chrześcijańskich, władzy tej może

[1] Nie mając odnośnych artykułów przed sobą, dodajemy dla wyjaśnienia faktu dosłowną notę umieszczoną w *Civilta cattolica* z 18 czerwca 1898, str. 735: *Unità cattolica*, pisze *Civiltà*, odpowiedziała na ustęp listu pasterskiego mgr. Bonomelli do jego dyecezyi, w którym biskup ganił metody niektórych czasopism katolickich: *Unità* mniemając, że ogólne uwagi i do niej się odnoszą, broniła się polemiką".

uchybiły. W samej jednak rzeczy miały słuszność i działały według swego prawa. Rząd parlamentarny jest odpowiedzialny przed ludem i podlega według własnych swych zasad krytyce. O zaburzeniach zaś sam papież zgodnie z pismami katolickiemi tak się wyraził, pisząc do kard. Ferrari: „Nasienie od długiego czasu bezkarnie rozrzucane po półwyspie z takiem przewróceniem pojęć, z takiem zepsuciem obyczajów i z niemniejszą szkodą dla religii, nie mogło nie wydać gorzkich owoców[1]. — W samych rozruchach żadnej nie udowodniono winy katolikom. Biskupi, którzy w całych Włoszech są głównymi protektorami stowarzyszeń, otwarcie w imię zasad katolickich przeciw rozruchom protestowali. Prezydent krajowy stowarzyszeń katolickich, hr. Paganuzzi, oświadczył: że komitety żadnego zgoła, nawet dalszego, nie miały udziału w smutnych zajściach; wynika to ze statutów stowarzyszeń dobrze znanych rządowi i z tego samego, że ich członkowie są katolikami. „Przez to samo, pisze prezydent, żebyśmy się zblizka albo zdaleka połączyli z tymi, co się buntują przeciw władzy, przestalibyśmy być katolikami". W tem zaś, że katolicy wytknęli sobie za cel pracować nad biedną ludnością, nie można upatrywać winy, gdyż w tej pracy wciąż im przyświecają zasady encykliki *Rerum novarum*, głoszącej „zgodę klas i miłość chrześcijańską". Że to nie są tylko gołosłowne oświadczenia, najwymowniej dowodzą fakta: Wielu socyalistów[2] i radykałów uwięziono przy rozruchach — ani jednego zaś członka katolickiego komitetu. Dokładne rewizye papierów w lokalach rozwiązanych stowarzyszeń jeszcze nie wydały na jaw ani jednego dokumentu obciążającego katolików, a wreszcie sam spokój i zupełne poddanie z jakiem przyjęli rozporządzenia rządu, niszczące jednem pociągnięciem pióra owoce długoletnich ich prac, dowodzą, że katolicy włoscy nie są partyą rewolucyjną.

---

[1] List do kard. Ferrari z 22 maja 1898 r.

[2] Manifest socyalistów z Turynu, w którym potępiają rewolucyę, i dodają, że rewolucya wyszłaby tylko na korzyść reakcyi klerykalnej, ani socyalistów od częściowej przynajmniej winy nie uwalnia, gdyż tylu z nich wzięło udział w rozruchach, ani podejrzenia rzucić nie może na katolików.

W czem więc tkwi przyczyna, że rząd ich prześladuje, jak najgorszych wrogów państwa? Nie po raz pierwszy spotyka katolików podobny zarzut. Tą bronią walczono naprzód przeciwko nim za czasów pogańskiego Rzymu; pierwszy i ostatni z wielkich prześladowców Kościoła, Nero i Dyoklecyan, tępili chrześcijan jako „wrogów państwa". A przecież oni i wówczas nimi nie byli; szanowali więcej od samych pogan władzę nawet pogańską, o ile się nie sprzeciwiała prawom Bożym; tylko bożków rzymskich uznawać nie chcieli, ani zadowalniało ich postawienie ołtarza Chrystusowi w pogańskim Panteonie. Podobnież i dzisiaj katolików się prześladuje jako wrogów władzy państwowej dlatego, że nie chcą przystać na publiczne pogwałcenie praw ludzkich i Bożych w imieniu dobra narodu i wszechwładztwa państwa. Katolicy włoscy chcą pogodzenia się z władzą kościelną i wszelkiemi siłami do tego celu dążą — dlatego jedynie uważani są za wrogów państwa. Absolutyzm rzymski miał przynajmniej pozorne prawo do prześladowania niemiłych sobie żywiołów — liberalne rządy wpadają same w sobie w najskrajniejszą sprzeczność. Według nowożytnych zasad, których Kościół nigdy w całości nie przyjął, istnieje zupełna wolność w głoszeniu swych przekonań. Wolności tej nie można odmówić i katolikom, a jeżeli ich zasady zwyciężają, to trzeba je przyjmować i szanować, jako wolę ludu, a nie gwałtem je przytłumiać.

Ale jeżeli te zasady są szkodliwe dla rozwoju narodu? Ciekawi jesteśmy, jakiem prawem rząd, po tylu klęskach politycznych i ekonomicznych, może siebie postawić nieomylnym sędzią tego, co dla włoskiego ludu jest pożytecznem. Kryzys ministeryalna, która zaraz po rozruchach nastąpiła, była dowodem, że w samem gronie ministrów niezgodne są co do tej kwestyi zdania. Powodem bowiem ustąpienia ministra spraw zewnętrznych. Visconti-Venosta było między innemi żądanie Zanardellego, by odmówiono *Exsequatur* listowi papieskiemu do kardynała Ferrari. Wobec tak radykalnych przeciw Kościołowi prądów Visconti-Venosta tekę ministeryalną złożył, tłumacząc szerzej w otwartem piśmie swe zapatrywania polityczne. Zdaniem jego „harmonijny układ między rządem i Watykanem jest dzisiaj kwestyą

życia i śmierci dla narodu", a Watykan uważać należy za rzeczywistego rozjemcę sytuacyi. „My Włosi — pisze — musimy przyjść do ugody z nim, nawet za cenę wielkiej ofiary z naszej dumy". Sądzimy, że niedaleka przyszłość wykaże, kto miał słuszność, czy Rudini, prześladując katolików dla przejednania radykałów, czy katolicy i papież, uznawający rewolucyę majową tylko jako zapowiedź gorszych nieszczęść, które spadną na naród włoski, jeśli się jego rządy z Kościołem nie pogodzą.

W Izbie włoskiej panuje zupełne zamięszanie. Tylko radykali wiedzą jasno, czego chcą. Udało im się zrzucić Rudiniego mimo surowych ustaw przeciw katolikom, przedłożonych Izbie w pierwszy dzień obrad, 16-go czerwca. Teraz wszelkiemi siłami do tego dążą, by ster rządu w ich ręce przeszedł. Czy im się to uda? — Zobaczymy! Tymczasem katolicy energicznie dalej pracują w stowarzyszeniach jeszcze nierozwiązanych. Tak w Rzymie 23 i 24 maja odbyły się wielkie zgromadzenia kilku komitetów dyecezalnych pod przewodnictwem zastępcy Ojca św., kardynała Parocchi. Także w innych częściach państwa włoskiego katolicy mimo zniszczenia swej organizacyi ze spokojną otuchą patrzą w przyszłość z pewnem wewnętrznem przeświadczeniem, że w chwili rozstrzygającej staną zjednoczeni, gdyż duch katolicki żywo jest w ludzie rozbudzony, a ducha i najsurowsze ustawy zabić nie są w stanie.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Z najnowszych badań historycznych (1895—1898).

Badania historyczne przybrały ostatniemi czasy takie rozmiary, iż jednostce niepodobna opanować masy rok rocznie dostarczanych wyników naukowych. Któż bowiem zdolen przeczytać setki poważnych dzieł uczonych, ciężkich niekiedy, suchych i nudnych? Kto tysiące artykułów, recenzyj, wypełniających czasopisma fachowe i niefachowe w różnych językach wychodzące? Nietylko wszakże masa badań przygniata dziś siły jednostki, ale i zakres tych badań ustawicznie się rozszerza, obejmuje coraz to nowe dziedziny życia, w których wszędzie

się oryentować trudno nawet fachowemu historykowi. Jak w życiu różniczkowanie zajęć postępuje w miarę rozwoju cywilizacyi, tak też i w nauce; w pojedyńczych jej gałęziach ma miejsce coraz większe specyalizowanie, które objęcie nietylko całej nauki, ale pojedyńczych jej gałęzi, czyni coraz trudniejszem. Nie dziw więc, że nawet w pismach, podręcznikach fachowych znajduje się mnóstwo twierdzeń, nad któremi badania naukowe już przeszły do porządku dziennego. Ponieważ tedy w naszych czasach szybkiego postępu, anachronizmem jest zadawalniać się przestarzałemi wiadomościami, z tych powodów zadaniem niniejszego artykułu jest przedstawienie najważniejszych i najwięcej nasz ogół inteligentny zainteresować mogących wyników naukowych historycznych z ostatnich lat. Jeżeli wykonanie czasami nie odpowie zamiarowi, jeżeli czasami czytelnika znudzi zbyt specyalną kwestyą lub zbyt suchem jej przedstawieniem, proszę darować! Podając tylko szkielet badań, katalogując tylko najważniejsze zdobycze, trudno o ideał dziejopisarstwa się pokusić tj. o przedstawienie prawdy w pięknej szacie.

Socyolodzy zbyt wiele pisali i piszą o stanie pierwotnym ludzkości, o początkach kultury, aby ich przedstawienie prastosunków nie nosiło piętna bujnej, ba, czasami nieokiełznanej fantazyi. Spekulacye socyologiczne, wysnute często z fałszywych zupełnie premis i jednostronnych obserwacyj nie bez tendencyjności, stworzyły obrazy prastosunków, będące antytezą owej *aurea prima sata est aetas,* nie mniej przeto fantastyczne od Owidyuszowych sielanek. Dziś specyalne badania muszą co chwila kłam zadawać naukowym legendom, stworzonym przez pozytywistyczno-materyalistyczną szkołę socyologów, a powtarzanym przez cały legion literatów, dyletantów i niedouczonych specyalistów, powtarzanym nawet niekiedy w poważnych pismach naszych. Tak np. za pewnik naukowy, powszechnie przyjęty, uchodzi dotąd zdanie, jakoby myśliwstwo, pasterstwo i rolnictwo były trzema stopniami rozwoju ekonomicznego ludzkości, które wszędzie w tem samem następstwie po sobie następują. Tymczasem równoczesne badania dwóch uczonych, Hahna [1] i Ratzla [2] wykazują, że pasterstwo niejednokrotnie wyprzedziła uprawa prymitywna roli za pomocą motyki *(Hackbau),* że pa-

[1] *Die Hausthiere u. ihre Beziehung zur Wirtschaft der Menschen.* Leipzig 1896.

[2] *Der Staat u. sein Boden geographisch betrachtet.* Leipzig 1896. — *Politische Geographie.* München-Leipzig 1897.

sterstwo niekoniecznie musiało być stadyum przejściowem dla wszystkich ucywilizowanych narodów. Również bezpodstawną okazuje się teza głównie przez Laveleye'a broniona „o wspólności majątkowej w czasach pierwotnych". System wspólności gruntowej ani nie był powszechnem ani pierwotnem zjawiskiem kulturnem. Również błędną jest teorya Morgana, rozwinięta przez Brintona, że należy dwa stadya ludzkiego uspołecznienia rozróżniać: pierwsze, polegające tylko na związkach osobisto-rodowych, drugie po wytworzeniu się prywatnej własności gruntowej polegające na związkach terytoryalno-lokalnych. Zdaniem Ratzla nie było formy społecznej bez podstaw lokalnych, chociaż przyznać trzeba, że w dawniejszych czasach przeważała zasada rodowa w organizowaniu się, a później dominującą się stała zasada lokalna. Organiczną podstawą państwa nie jest, jak twierdzi Spencer, wyłącznie biologiczne złączenie się większych lub mniejszych grup ludzkich między sobą, lecz takie zespolenie się tychże z ziemią lub zakorzenienie się ich na pewnem terytoryum przez wytworzenie gruntowej własności prywatnej. Vierkandt [1], badając podstawy nowych obyczajów, przychodzi do przekonania, że na niższych stopniach kultury w ogólności na pewno tylko egoistyczne popędy, motywa namacalnej korzyści wywołują nowe obyczaje, choć i mitologicznym pojęciom niepodobna odmówić wpływu na nie. Bezsprzecznie zasada, jakiej się rzeczony badacz w tej kwestyi trzyma, mianowicie że wszędzie należy najpierw się pytać o czysto egoistyczne motywa, jest do pewnego stopnia słuszna, z drugiej strony, jeżeli się zgodzimy na nieprzerwalność w rozwoju ludzkości, tedy musimy nawet na najniższym stopniu rozwoju przyjąć choćby minimalną dozę etycznych bodźców. — Zatem dzikość i zwierzęcość i u pierwotnego człowieka jest wykluczoną. Podobnie nie da się utrzymać, zdaniem Vierkandta, teorya Morgana o wytworzeniu się małżeństwa z pierwotnego komunizmu płciowego, przeciwnie wiele dowodów przemawia za tem, iż rozluźnienie węzłów małżeńskich zjawia się dopiero na wyższych stopniach kultury, gdzie wyższy rozwój ekonomiczny stwarza dla chciwości i pożądliwości nowe pokusy.

Nie możemy się dla szczupłości miejsca bliżej rozpisywać o ciekawych odkryciach archeologicznych w klasycznej ziemi odkryć w Egipcie, gdzie np. w ruinach Behneseh, starożytnego Oxyrhynchus (około

[1] *Die Enstehungsgründe neuer Sitten. Festschrift der technischen Hochschule zu Braunschweig.* — Cfr. *Histor. Zeitschrift.* B. 80, 1, 2, 3 Heft.

200 km. na południe od Kairo po lewym brzegu Nilu) odkryli Anglicy Grenfell i Hunt znowu 300 papyrusów o treści literackiej, 2000 dokumentów, listów, rachunków; konstatujemy tylko wyniki badań Darmestetera i Blocheta [1] o „Awescie", mianowicie, że nie powstała przed pierwszym wiekiem po Chrystusie, zatem nie mogła ani na chrystyanizm ani na mozaizm oddziaływać, jak dowodzili swego czasu Ernest Bunsen i Emil Burnouf [2]; natomiast na bliższą uwagę zasługują cenne prace Pöhlmana [3] o socyalizmie w Grecyi starożytnej, albowiem patologiczny obraz socyalnych stosunków w Heladzie jest uderzająco podobny do naszych i dlatego niesłychanie pouczający ze względu na rezultaty tej ewolucyi socyalnej. Te same drażliwe kwestye bytu, jakie jeszcze dziś nierozwiązane zaprzątają umysły ludzkie, poruszały do głębin świat starożytny, stwierdzając słuszność prastarej maksymy: *Nihil novi sub Jove.* Pierwotne stosunki gospodarstwa naturalnego i ustroju stanowego upadły w Grecyi w szóstym wieku dzięki rewolucyom, tyranii lub radykalnym reformom, jak seisachteia solońska. Odtąd nie stany, lecz całe obywatelstwo jest podstawą politycznego porządku prawnego. Obok własności ziemskiej, przemysł i handel przychodzą do znaczenia, ba wiek IV. możnaby nazwać wiekiem industryi. Wielki kapitał zyskuje czy w przemyśle, czy w handlu, czy w rolnictwie coraz większą przewagę, praca zaś staje się coraz więcej własnością kapitalisty i częścią kapitału, o ile w przemyśle coraz częściej używani niewolnicy. Wprawdzie produkcya społeczna się wzmaga, lecz nie na korzyść całego społeczeństwa, lecz nieznacznej ilości kapitalistów. I chłop i rzemieślnik, nie mogąc wytrzymać konkurencyi z wielkim kapitalistą, wyzyskującym rolnictwo i przemysł za pomocą niewolników, podupadają materyalnie i moralnie, albowiem tracąc własne gospodarstwa, stają się robotnikami, których los i egzystencya niewiele się różniła od niewolniczej. Nie dziw, że strejki są tak samo znane w Grecyi, jak i u nas. Ale, jak wedle Marxa [4], w Ameryce praca w białej skórze nie mogła się emancypować, dopóty w czarnej skórze była napiętnowana, tak i w Grecyi nie pomogły protesty ludności robotniczej wolnej

---

[1] *Revue archéologique* VII—VIII. 1897. *L'Avesta* de James Darmesteter. Cfr. *H. Z.* 2 Heft, str. 344/5.

[2] *Die Einheit der Religionen. — La science de religions.* Paris 1876.

[3] *Die Anfänge der Sozialismus in Europa. Hist. Zeitschr.* B. 79 i 80, Heft 2—3 i *Geschichte des antiken Kommunismus u. Sozialismus.* München 1897. I B.

[4] *Capital,* I, 4. 305.

przeciw wyzyskowi kapitału wobec instytucyi niewolniczej. Nawet w demokratycznych stanach robotnik otrzymuje w V. wieku zaledwie 3 obole tj. 0,50 korony, co nie wystarczało nawet na tak skromne utrzymanie rodziny, do jakiego południowiec jest przyzwyczajony. Później w IV. w. robotnicy niefachowi zarabiali $1^1/_2$ drachmy (1,50 korony), fachowi 2 drachmy, ale równocześnie i środki do utrzymania życia podrożały tak, że utrzymanie niewolnika wynosiło $1^1/_2$ drachmy dziennie. Z takiej zatem płacy robotnik nie mógł nic uskładać na starość i stawał się żebrakiem. Nietylko atoli w życiu przemysłowem, ale i rolniczem występuje ta dysproporcya między kapitalistą i chłopem, tem więcej, że w starożytności wobec braku papierów wartościowych daleko więcej lokowano kapitały w roli. Powstają więc latyfundya, ziemia staje się przedmiotem spekulacyi kapitalistycznej, towarem nie zaś podstawą samodzielnego zawodu. Wskutek tego zniesione za Solona długi hipoteczne, w V. wieku znowu się pojawiają, co przy obowiązującej stopie 12% doprowadziło w IV. wieku do wywłaszczenia małych właścicieli, tem więcej, że w V. wieku już rozdrobnienie własności ziemskiej doszło do ostatecznych granic. Chłop stawał się robotnikiem lub dzierżawcą kapitalisty pod najniekorzystniejszymi warunkami, o ile że konkurencyę mu robił niewolnik, używany coraz więcej na latyfundyach. W roku 310 było w Atyce ponoś 400.000 niewolników[1]. Do ekonomicznych przyczyn ruiny stanu średniego przychodzą polityczne, zwłaszcza wojny, prowadzone z zaciekłością, odznaczające się niszczeniem winnic, plantacyj, urządzeń irrygacyjnych. To wszystko na nowo zaprowadzić mógł tylko kapitał, nie zaś chłop zrujnowany. Ujemne te skutki kapitalizmu czuć się dają najbardziej w państwach oligarchicznych lub plutokratycznych, gdyż plutokracya, jak twierdzi Carlyle, jest najgorszym rodzajem wszelkiej władzy, bo panującym najmniej obowiązków nakłada, a wyzysk poddanych najbardziej ułatwia. Ale i w demokratycznych państwach kapitaliści trzymali masy nietylko w ekonomicznej, ale i politycznej zawisłości, gdyż im więcej niższe warstwy stają się motłochem, a motłoch zdobywa sobie wszechwładzę, państwo tem więcej ulega korrupcyi pieniężnej ze strony bogaczy. Kapitalistyczna gospodarka objawia się nadto w szeregu innych, ujemnych symptomów, w niezdrowej konkurencyi, chciwości zysku, gorączce złota, piętnowanej przez starożytnych tak samo, jak za naszych czasów.

[1] Seeck, *Die Statistik in der alten Geschichte. Jahrbuch für Nat. und Statist.* 1897.

Wynikiem tej nieokiełznanej chęci spekulacyjnej jest skupienie olbrzymich kapitałów w jednem ręku. Autorzy greccy wspominają o bankierach, jak Pasion, którzy z niczego dorobili się majątku 30 talentów (to znaczy wedle dzisiejszej wartości 1,800.000 złr.); właściciel kopalni Diphilos z czasów Aleksandra W. miał posiadać 160 talentów, jakiś Krates 200 talentów. Choćby zresztą te cyfry były przesadzone, to przepych i artyzm, jaki panuje w domach bogaczy świadczy o ich majątku. Sztuka też w okresie wybujałego kapitalizmu służy w przeciwieństwie do dawnych czasów wyłącznie dla interesów prywatnych. Zatem w IV. wieku przedewszystkiem prywatne się pałace budują, przedewszystkiem kwitnie przemysł artystyczny, dla salonów bogaczy przeznaczony, w rzeźbie zaś i malarstwie góruje portret. Znawcy sztuki greckiej twierdzą, że dla Helenów piękno było tak dalece potrzebą życia, że badaczom wydawać się może, jakoby nic innego nie robili, jak tylko budowali i rzeźbili. A jednak kapitalizm, który w Helladzie takie cuda na lądzie i morzu w IV. wieku tworzył, tworzył je kosztem dobrobytu całego społeczeństwa. Rozwój heleńskiej sztuki i heleńskiego przemysłu artystycznego jest nietylko symptomem silnych kontrastów ekonomicznych, ale także przyczyną ich zaostrzenia. Z powodu zwichniętej równowagi ekonomicznej w całem społeczeństwie, produkcya odbywała się jednostronnie na rzecz wykwintnych potrzeb wyższych warstw, przez co znów przedział między proletaryatem a kapitalistą wzrastał, zwłaszcza że dla zbytku służące gałęzie przemysłu w razie nieszczęśliwych czasów najłatwiej wystawione były na bankructwo i chroniczne bezrobocie wskutek tego. Z żądzą zysku ręka w rękę szła żądza używania. Uczty, pijatyki, prostytucya w Atenach IV. wieku są tego wymownym dowodem. Ceny, jakie każą sobie hetery, taka Phryne Gnathäna lub Lais swym wielbicielom płacić (100—10.000 drachm za dobę) przechodzą wszelkie wyobrażenie i stanowią straszliwy kontrast do cen uczciwej pracy. Życie zaś to wyuzdane wyciska piętno i na sztuce i literaturze IV. wieku, domagając się tam przedewszystkiem zmysłowych ponęt i efektowności tak samo, jak w chwili obecnej. Dlatego to półświatek, taka Phryne odgrywa w dziełach Praksytelesa taką rolę, jak w naszych czasach. Dlatego to od IV. wieku, dzięki prostytucyi powstaje nowy rodzaj literatury, pornografia. Dlatego to komedya nowa ateńska jest niewyczerpana w przedstawianiu scen z półświatka, a w dziedzinie myśli wyrafinowany hedonizm wyniesiony jest do godności systemu filozoficznego. Gorączka zysku, chęć używania i korupcya — oto fatalne stopniowanie, które późniejszym

wiekom dziejów greckich nadaje piętno. Ta trójka spowodowała także coraz większą obojętność w użyciu środków w pogoni za złotem. Oszustwo, szalbierstwo, spekulacye oszukańcze na wielką skalę są w wieku IV. na porządku dziennym, powszechnem przekupstwo w sprawach publicznych. Cynizm kapitalizmu nigdzie może się zuchwalej nie objawia, jak na scenie, gdzie Menander powiada: „Wedle Epicharma bogami są: powietrze, woda, ziemia, ogień: ja mniemam, że pożytecznymi bogi dla nas są tylko srebro i złoto. Gdy te do domu wprowadzisz, wszystko dostanie ci się w udziale". Że ci giełdziarze i przekupnie z uczuciem patryotycznem gruntownie jako z przesądem się załatwili, tego nie potrzeba dowodzić. „Ci ludzie — powiada Lysiasz — tylko z urodzenia są obywatelami państwa, w rzeczywistości tam mają ojczyznę, gdzie widzą korzyść". Mamy więc i w starożytności nasz kapitalistyczny internacyonał. „Człowiek o tyle czemś jest — powiada anonimowy pamflet ze sfer plutokratycznych IV. wieku — o ile coś ma; ubogi jest także podłym. Nie zasługuje na nic lepszego, jak na ucisk, tłum niema innego celu, jak służyć bogaczom". Odwrotną bowiem stroną medalu kapitalistycznego jest pauperyzm, który w Grecyi w typowej postaci u schyłku IV. wieku występuje. Ponieważ mimo wzrostu dobytku narodowego położenie tłumu pozbawionego własności odpowiednio się nie polepszało, tłum ten stawał się względem wyższych warstw coraz biedniejszym. Warstwy średnie nikną coraz więcej, a w końcu IV. wieku są tak nieliczne, iż nie są zdolne przeszkodzić wytworzeniu się plutokracyi lub ochlokracyi. Co do Aten, to w r. 322 na 21.000 obywateli tylko 9.000 posiadało majątku *minimum* 2000 drachm (2000 koron). Zatem zważywszy, że większa połowa obywateli nawet tak niskiego censusu jak tysiąc złr. nie posiada, musimy stwierdzić, że i w Atenach jak w reszcie Helady, pauperyzm bezwzględnie zapanował. Niższe warstwy popadły bez wyjątku, dzięki fatalnym stosunkom politycznym, ekonomicznym lub własnemu lenistwu w nędzę i stały się proletaryatem. Nie dziw, że atyckie przysłowie powiada: „Ubóstwo a żebractwo to rodzone siostrzyce". Nie dziw, że ludność prosta garnie się do płatnych funkcyj publicznych w Atenach. Wedle Plutarcha, Perikles wprowadził owe opłaty publiczne, rozwinął politykę kolonialną i czynność budowlaną nie z innych powodów, jak dla złagodzenia nędzy niższych warstw. Kontrasty społeczne sprowadziły antagonizmy socyalno-polityczne i dążności agrarno-socyalne w IV. i III. wieku. Chłop, który ma być żywicielem narodu, pozbywszy się roli na rzecz kapitalisty, wędrował do miasta za chlebem, obniżał tu płacę robotnika i potęgo-

wał pauperyzm miejski. Z tego powodu, wedle Izokratesa, całe masy żebrały o chleb lub żyły z eklesiastikon i heliastikon, tj. opłat za czynności obywatelskie, a zimą cisnęły się do łaźni publicznych, by się tu ogrzać. Bieda pchała ich w ręce agitatorów, sykofantów, piorunujących przeciw bogaczom-wyzyskiwaczom, ale i przeciw właścicielom i własności w ogólności. Przeciwieństwa społeczne w Atenach uwydatniają się tem więcej, o ile tu silniej niż gdzie indziej równość wszystkich obywateli wobec prawa była konstytucyą proklamowana. Właśnie ten rozdźwięk między formalną równością prawną, a rzeczywistą nierównością socyalną potęguje waśń społeczną. „Tam, gdzie tak wielkie przeciwieństwa między ubogim a bogatym istnieją — powiada Arystoteles w swej *Politei* (6, 9, 5, 1295, 6) — tam urzeczywistnienie zasad równości i braterstwa głoszonych przez demokracyę jest niemożliwe". Albowiem brak mienia zmusza ubogich do upokarzającej uległości wobec bogaczy, a wielu bogaczy zwykli tylko tak władać jak pan niewolnikiem. W państwie powstaje jakoby drugie państwo tylko nie z wolnych mężów złożone, lecz z panów i służalców, z których ci z zazdrością na tamtych, tamci z pogardą na tych spoglądają. Ponieważ w pogoni za majątkiem bardzo często nierzetelna praca, ale bezwzględność i brak skrupułów w wyborze środków prowadzą najprędzej do celu, nie dziw, że i w Grecyi spoglądano na bogaczy i dorobkiewiczów z podejrzliwością: „Właśnie największych gałganów — powiada Euripides — stawia bogactwo w pierwsze szeregi", a Menander jest zdania, iż uczciwy człowiek nigdy się szybko nie zbogacił. Hasło: „Kto nie pracuje nie powinien także jeść", znane jest tak samo Arystarchowi z IV. w. przed Chr., jak Proudhonowi lub Saint-Simonistom z XIX. wieku. Opinię szerokich warstw ludności wypowiada tylko Arystoteles twierdząc, że kto żyje tylko z pracy drugich, popełnia grzech, za sprawiedliwych mogą uchodzić tylko ci, którzy sami pracują, a zwłaszcza ci, którzy z pracy rąk własnych, nie cudzych, żyją. W przeciwieństwie do liberalnej filozofii ekonomiczno-socyalnej powstaje z głębin społecznych żądanie sprawiedliwego podziału dóbr, a z niem kwestya socyalna staje się, jak dziś, piekącą, a w późniejszej historyi greckiej występuje coraz groźniej na pierwszy plan. I rzecz ciekawa; te same środki zaradcze, jakie dzisiejszy socyalizm głosi, głoszą reformatorzy socyalni w Grecyi, nie wyjmując Platona i Arystotelesa nawet. Są nimi kolektywizm, są nimi socyalizm państwowy. Charakterystycznym objawem tych utopijnych reform jest pismo ulotne z IV. wieku, w którem autor przedewszystkiem radzi znieść budżet wojenny, aby w ten sposób uzyskać

środki dla usunięcia pauperyzmu. Z zniknięciem pauperyzmu zniknie także i wojna, którą dotąd mężowie stanu zawsze rozpoczynali celem finansowego wyzysku słabszych państw na rzecz ubogich mas ludowych. Państwo ma z kapitałów własnych i przymusowych pożyczek po 3 obole od obywatela założyć wielkie fabryki, składy handlowe, budować okręty handlowe, dalej z pomocą niewolników wyzyskać na wielką skalę miny srebrne i w ten sposób wszystkie środki produkcyi zamienić na własność państwa, które wszystkim obywatelom płacić będzie odpowiednią rentę. „To co prywatni i prywatny kapitał może zdziałać, to i jeszcze więcej może zdziałać państwo“, oto przednia myśl anonimowego Marxa greckiego. Państwo takie utopijne, „gdzie każdy bierze udział we wszystkiem i żyje z dobra publicznego, gdzie wszyscy równe dzielą losy“, już miał przed oczyma Arystophanes w swych Ekklesiazusach, dalej jeszcze szedł Jambulos w swem „państwie słonecznem“, gdzie wszyscy tworzą socyalistycznie zorganizowaną spółkę robotniczą, wszyscy mają równy obowiązek pracy, gdzie każdy po kolei musi wykonywać wszystkie rodzaje pracy. Były to fantazye poetów, ale nie brakło też usiłowań ze strony mas proletaryatu, by te utopie w czyn zamienić. Walka stanów coraz się zaostrzała, coraz częściej pojawiają się przymusowe konfiskaty dóbr, podziały majątku ziemskiego, kasowanie długów prywatnych, coraz częstsze są bunty niewolników, podżeganych do dzieła przewrotu. Więcej niż wszystko inne utorowała obawa warstw zamożnych przed przewrotem drogę monarchii. „Jesteśmy zgubieni, jeżeli wnet nie zginiemy“, oświadczył Fokin i ten strach przed socyalną rewolucyą rzucił zagrożone warstwy posiadaczy w objęcia Filipa Macedońskiego, mimo przywiązania do politycznej wolności, mimo genialnych mów Demostenesa. W podobny sposób obawa przed rewolucyą socyalną utorowała drogę rzymskim uzurpatorom do tronu cezarów. Lecz trudno się w naszym krótkim szkicu samą kwestyą socyalną zajmować.

W badaniach nad historyą rzymską najciekawszym symptomem obecnej doby jest coraz większy sceptycyzm do tradycyi przechowanej u Dyonizyusza i Liwiusza, odnoszącej się do najdawniejszych czasów. Jasnem jest, że dla okresu z tak ubogiemi i wątpliwemi źródłami, jak są źródła do dziejów pierwotnych Rzymu, niema historyi naukowo udowodnionej; biorąc ściśle, nie powinno się nigdy mówić o historyi królów rzymskich i rzeczypospolitej rzymskiej do napadów Gallów, lecz tylko o opiniach i hipotezach, dotyczących tych czasów. Jasny prze-

gląd wyników naukowych historyi rzymskiej daje nam „Zarys historyi rzymskiej“ przez Benedykta Niesego[1]. Oparty na najlepszej lecz skąpej tradycyi, przechowanej u Diodora, wykazuje, że to, co Liwiusz i Dyonizyusz z Halikarnasu dodali do tej tradycyi, jest przeważnie płodem fantazyi autorów, którzy szczupłe źródła starali się zbogacić amplifikacyami na wzór greckiej historyografii. Tak więc historya królów rzymskich nie zawiera nic tradycyi, nic podań, nie opiera się na żadnych źródłach. Szukano przyczyn do istniejących instytucyj i pod wpływem greckiej literatury stworzono dowolny obraz prastosunków, jak nasz mistrz Wincenty lub Baszko skomponował swych Popielów, Leszków i t. d. Że ostatnimi królami byli Tarkwiniusze, jest możliwe, jednakże nie na tej podstawie, że w Caere znaleziono grób jakiegoś Tarena, lecz że istotnie w Rzymie istnieje ród Tarkwiniuszów, który wedle Diodora około 354 r. został wytępiony przez publiczne stracenie na rynku rzymskim 260 jego członków. Dotychczas uważano Serwiusza Tulliusza za historyczną postać ze względu na jego ustawodawstwo, które przecież musiało mieć jakiegoś twórcę. Niese mniema atoli, że postać Serwiusza Tuliusza wytworzono krótko przed 2-gą wojną punicką, właśnie wtedy, gdy dawny sposób głosowania w komicyach centuryata uległ reformie; wtedy bowiem narzucało się pytanie: „A kto był twórcą dawnego urządzenia?“ Że podanie o Serwiuszu Tulliuszu jest płodem III. wieku, tego dowodem census klas serwiańskich, podany wedle stopy monetarnej z tego właśnie wieku. Nazwa „Italia“ pochodzi nie od *vitalus*=ciołek, lecz od plemionka, prawdopodobnie greckiego, Italów, osiedlonego w dzisiejszej Kalabryi, i obejmowała za czasów Herodota wybrzeże, zwłaszcza wschodnie, Kalabryi po miasto Tarent. Podobnie nazwa Graecia nie pochodzi od ludu Graikoi, mieszkającego koło Dodony, lecz prawdopodobnie od Chalkidyjczyków z Eretrei, pierwszych osadników greckich na półwyspie apenińskim. Właśnie okolica około Oropus naprzeciw Chalkis eubejskiego nosi nazwę Graia lub Graike. Co do godności królewskiej, była ona zrazu więcej instytucyą patryarchalną, podobną do późniejszego *rex sacrificulus*, obok którego od czasu do czasu wybierano urzędników dla prowadzenia wojny i odbywania sądów. Godność ta jest wedle podania kolejno w posiadaniu różnych rodów, które jeszcze w historycznych czasach istnieją, jak Tarkwiniusze. Ten ustrój pierwotny monarchii

[1] *Grundriss der römischen Geschichte nebst Quellenkunde.* München. 1897

patryarchalnej trzeba odróżnić wedle Ihnego[1] od okresu młodszego monarchii militarnej, powstałej za sprawą etruskich zdobywców, monarchii, w której już istniała odrębna organizacya wojskowa, polegająca na szacunku majątkowym, a nie na rodzie. Błędnem jest mniemanie, że patrycyusze rody (*Geschlechter, Gislahta,* stąd nasza szlachta) to pierwotni mieszkańcy Rzymu, w przeciwieństwie do późniejszych osiedleńców, plebejuszów. Właśnie dobrze urodzonymi nazywali się patrycyusze w przeciwieństwie do masy, *plebs*, zatem ta masa istnieje równocześnie z patrycyatem. Wogóle treścią najdawniejszej historyi rzymskiej można nazwać przeobrażenie się ustroju rodowego w ustrój gminy tak, że obywatel staje się w pierwszej linii członkiem gminy, a nie jak dawniej, rodu. Wypędzenie królów i upadek monarchii datują rzymscy pisarze od r. 510 dlatego tylko, że z tym rokiem rozpoczyna się lista konsulów, prowadzona przy świątyni kapitolińskiej, w tym roku poświęconej. Wedle młodszej tradycyi Liwiusza urząd trybunów plebejskich powstał po t. zw. *secessio plebis in Montem sacrum* w r. 494; ustanowiono wtedy dwóch czy pięciu trybunów. Wedle lepszej wersyi, przechowanej u Diodora, pierwszych trybunów plebejskich w liczbie czterech wybrano dopiero w r. 471, pełne znaczenie atoli uzyskał trybunat dopiero po upadku decemwirów. Wtedy to zaczęto wybierać 10 trybunów plebejskich, wtedy też powstaje, wedle Polybiusza, zrąb główny późniejszej konstytucyi rzymskiej. Dopiero z wprowadzeniem cenzury w r. 443 czy 435 wchodzi w życie census, przypisywany niesłusznie już Serwiliuszowi Tulliuszowi, wtedy też, podczas wojen z Etruskami i Keltami, powstały prawdopodobnie wojenne *comitia centuriata*. Liwiusz opowiada, że P. Decyusz Mus w bitwie pod Sentinum r 295 bohaterską śmiercią przechylił szalę zwycięstwa na rzecz Rzymian. Bohaterską tę śmierć P. Decyusza wspominają atoli i w r. 340 w bitwie pod Wezuwiuszem z Latynami i pod Ausculum w r. 249 z Pyrrhusem. Najprawdopodobniej odnosi się ona do tej ostatniej bitwy i nie przysporzyła Rzymianom zwycięstwa. Dopiero po tej bitwie, nie, jak Liwiusz chce, już wcześniej, po zwycięstwie pod Herakleą, śle Pyrrhus Cyneasza do Rzymu. Rzymianie, upokorzeni dwoma klęskami, gotowi byli do wycofania się z Italii południowej, a nawet do przymierza z królem Epiru. Że do zatwierdzenia tego pokoju nie przyszło, tego nie sprawił bynajmniej sędziwy Appiusz Klaudyusz Caecus swą wymową, jak to opowiada po raz pierwszy

[1] Ihne, *Römische Geschichte*. 1 2 Band. Leipzig. 1893 i 1896.

poeta Enniusz, lecz kartagiński admirał Mago, który przybywszy współcześnie z Cyneaszem z flotą do Ostyi, udał się do Rzymu i ofiarował kartagińską pomoc na to, by Pyrrhusa zatrzymać we Włoszech i uniemożliwić jego wyprawę na Sycylię. Bitwa pod Benewentem, przedstawiona jako walne zwycięstwo rzymskie, w rzeczywistości była wedle Polybiusza nierozstrzygnięta. Zyskała dla tego rozstrzygające znaczenie, że Pyrrhus zwrócił się chwilowo przeciw Macedonii i kraj ten Antygonowi Gonatasowi wydarł, w tym celu swego jenerała Milona z Włoch już w r. 274 odwołując. Dla tego bajką jest, jakoby Milo wydał na wieść o śmierci Pyrrhysa w Argos oblęgany Tarent Rzymianom. W rzeczywistości Tarent wobec zwycięstw rzymskich nad Lukanami i Samnitami przyjął dobrowolnie rzymskie przymierze, nie stracił bynajmniej swoich murów i okrętów, ani też autonomii swej, jak chce legenda rzymska

Przeciw chrześcijaństwu racyonalizm, panujący dziś przeważnie w nauce urzędowej, prowadzi wciąż krecią swą i bezskuteczną pracę. Do prac tego rodzaju należy artykuł Vorländera: *Christliche Gedanken eines heidnischen Philosophen* [1]. Chodzi w nim o Epikteta, stoika, którego autor cytuje jako przykład, iż chrześcijańskie poglądy o Bogu i śmierci także i w filozofii pogańskiej się znachodzą. Niestety przykład ten jest źle wybrany. Wszak Epiktet żył blizko 100 lat po Chrystusie, a chociaż bezpośredniego wpływu Nowego Testamentu na pisma Epikteta nie da się z całą pewnością udowodnić, to z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że nauka chrześcijańska, żyjąca w wyznawcach Chrystusowych, wywarła pośrednio na stoików I. wieku naszej ery widoczny wyraźnie wpływ.

Dawne kościelne zapatrywanie, jakoby prześladowania pierwszych chrześcijan przez rzymskich Cezarów były wyłącznie aktem okrucieństwa i samowoli, od czasów Gibbona upadło raz na zawsze. Dziś atoli niektórzy autorowie, np. dr. Maks. Conrat (Cohn!), profesor prawa rzymskiego na uniwersytecie w Amsterdamie [2], popadają w przeciwnym kierunku w przesadę, twierdząc, że chrześcijańska nauka nigdy nie była zakazana w państwie rzymskiem, chrześcijanie zaś byli karani li tylko z powodu imputowanych im urojonych czy rzeczywistych prze-

[1] *Preuss. Jahrbücher*, zeszyt sierpniowy 1897.

[2] *Die Christenverfolgungen im römischen Reiche vom Standpunkte des Juristen.* Leipzig. 1897. Cf. H. Z. 1897. 3 Heft, str. 483—4.

stępstw przeciw prawom rzymskim. Do tych przestępstw zmyślonych należy kazirodztwo i mordowanie dzieci, zwłaszcza w pierwszej połowie II. wieku, dopóki nie miano pewniejszych wiadomości o chrześcijaństwie, dalej zarzucano im apostazyę od wiary rzymskiej i prozelityzm, zbrodnie przeciw majestatowi cesarskiemu i bogom rzymskim. Ostatnie prześladowania za Dyoklecyana dotyczą chrześcijan jako partyi politycznej. Pomimo uczonego aparatu, jakim autor poprzeć swe twierdzenia usiłuje, są one czczemi frazesami, niczem więcej. Wszak autor sam przyznaje, iż zachowanie się chrześcijan wobec rzymskiego bałwochwalstwa i czci boskiej, cesarzowi oddawanej, wypływało z istoty chrześcijaństwa, jakkolwiek prawnie tylko jako *crimen laesae maiestatis* podpadało karze. Nie znaczy to nic innego, jak tylko, że chrześcijanie byli z powodu religii, albo jak twierdzą apologeci, dla Chrystusa karani. Skoro tylko ofiarowali bogom, przestali być chrześcijanami. Między pogańsko-rzymskim ustrojem państwowym a Kościołem istniały przeciwieństwa, niedające się niczem pogodzić, przeciwieństwa, które musiały albo Kościół, albo państwo pogańskie zniszczyć. Nie o prawnoformalne kwestye chodziło w prześladowaniach, lecz o rzeczywistą walkę kulturną między państwem a Kościołem. Dlatego też cesarze najdzielniejsi, pragnący dawne państwo rzymskie utrzymać, z całą wściekłością przeciw chrześcijaństwu występują, chodzi im bowiem o zagrożony przez chrześcijaństwo pogański ustrój państwa, o egzystencyę pogańskiej Romy. A jeżeli pogański cezaryzm mimo całej swej potęgi i siły, mimo wszystkich użytych środków musiał w osobie ostatniego swego przedstawiciela, Juliana Apostaty, kapitulować słowy: *Galilaee vicisti,* to dowód nieludzkiej, boskiej siły chrystyanizmu.

Interesująca jest również kwestya, poruszona przez Hipolita Delehaye[1], czy Kolosseum w Rzymie jest rzeczywiście główną areną męczeństwa chrześcijan, za jaką dziś uchodzi. Uczony badacz wykazuje, że w średnich wiekach amfiteatr Flawiusza nie stoi w żadnym związku z kultem męczenników, że dopiero w drugiej połowie XVII. wieku wytworzyło się mniemanie, jakoby miejsce to było przesiąknięte krwią męczenników. Jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że amfiteatr ten był miejscem męczeństwa bardzo wielkiej ilości chrześcijan; dowodu

[1] *L'Amphithéatre Flaviien et ses environs dans les textes hagiographiques. Analecta Bollandiana.* XVI. 1897. Str. 209—52. *Hist. Jahrb.* XIX. B. 1 Heft. 1898. Str. 241—244.

wszakże na to niema, gdyż rzymskie akta męczeńskie, t. zw. *passiones*, są źródłami podrzędnej wartości, które słusznie porównać można z takiemi powieściami, jak Wisemana „Fabiolą". Źródła te, pisane przez hagiografów nie przed wiekiem V., są lekceważone przez współczesnych, jak papieża Gelazyusza lub Grzegorza W. Podają zaś hagiografowie miejsce męczeństwa nie na podstawie tradycyi, lecz własnej kombinacyi, albowiem cześć męczenników koncentrowała się przy grobach ich, nie miejscu męczeństwa, stąd o niem tradycya nic nie wie. Prócz amfiteatru wspominają akta męczeńskie jako miejsca męczeństwa w Rzymie: Hippodromon na Palatynie, statuę bożka słońca przy amfiteatrze, nieoznaczony bliżej Locus pastorum, Petra scelerata i świątynię bogini Telus, tj. prefekturę miejską. Niewątpliwie w tych miejscach lała się krew męczenników. Gdzie który dał świadectwo Chrystusowi, tego właśnie na pewno nie wiemy.

(Dok. nast.).

Dr. K. Krotoski.

Skroplone ostatnie gazy.

Dzieło, w którem się nieśmiertelnie zapisał nasz nieodżałowany fizyk Wróblewski i dzielny jego współpracownik, prof. Olszewski, w przeszłym miesiącu zostało ukończone.

9 kwietnia 1884 r. odbierała Akademia francuska tryumfalny telegram z Krakowa: „Tlen skroplony"; a w kilka dni potem taką samą otrzymała wiadomość o drugim składniku powietrza, azocie: otóż w ciągu ubiegłego maja ostatnie gazy, które się opierały dotychczas skropleniu: wodór i hel, uległy wreszcie wytrwałym zachodom angielskiego fizyka Dewar'a, a już Niemcy budują maszyny do fabrykowania płynnego powietrza na wielką skalę.

Rezultat ten jest końcem długiego szeregu wysiłków, które fizycy wszystkich narodów od początku niemal wieku przedsiębrali. Już młody Faraday, skropliwszy przez samo ciśnienie chlor, sto razy ryzykował życie, poddając różne gazy coraz większym ciśnieniom; kilkanaście ich się skropliło; inne jednak znosiły aż do szalonego ciśnienia tysiąca atmosfer, nie objawiając wyraźnej zmiany stanu.

Dopiero drugi fizyk angielski, Andrews, odkrył, że oprócz ciśnienia trzeba koniecznie wprowadzić w grę oziębienie, gdyż każdy gaz

ma swój punkt krytyczny tj. pewien stopień temperatury, w którym stan lotny nie różni się od płynnego, a ponad którym żadne na świecie ciśnienie skroplić go nie może; trzeba dopiero sprowadzić gaz do temperatury niższej od tego punktu, i wtedy ciśnienie doprowadzić może do skroplenia. Zawrzały więc pracownie fizyczne różnych krajów gorączkową pracą nad wynalezieniem wielkich oziębień i zastosowaniem ich obok ciśnienia do skroplenia gazów. W Paryżu pracował zapalczywie Cailletet, w Krakowie niemniej gorliwie Wróblewski. Szczególnie odpornemi się okazywały, a więcej może niż inne nas interesowały gazy, składające naszą atmosferę, tlen i azot. Używano do tych oziębień metody znanej już od skroplenia bezwodnika węglowego. Mianowicie, kiedy gaz, już skroplony pod wielkiem ciśnieniem, nagle uwolniony zostaje, wtedy przy parowaniu wytwarza daleko większe zimno, niż to, któremu uległ przy skropleniu. Tym sposobem przez uwalnianie jednego gazu, można skroplić drugi, większego zimna wymagający i t. d. Cailletet używał w ten sposób, jako najdzielniejszego środka oziębiającego, etylenu; dochodził za pomocą niego do stu kilku stopni zimna, ale i w tej temperaturze gazy powietrza nie ulegały zmianie. Wróblewski go w tej gonitwie naukowej prześcignął; za pomocą etylenu, parującego nie na wolnem powietrzu, jak u fizyka francuskiego, ale w próżni, więc daleko gwałtowniej, doszedł do temperatury, jakiej jeszcze nie znano na kuli ziemskiej, — 145 stopni, później i do — 160. I udało się! oba gazy składowe powietrza okazały się w rurkach doskonale skroplone, oddzielone meniskiem od części lotnej. Zdawało się wprawdzie Wróblewskiemu, że i wodór jakieś ślady skroplenia okazuje, ale do tego było jeszcze daleko.

Po tragicznej śmierci Wróblewskiego, wszedł w szranki prof. Olszewski i od tego czasu pracuje nieustannie nad tem zadaniem. Już w r. 1890 ulepszył znacznie przyrządy, skroplił potem mnóstwo gazów. Operując przy temperaturach zbliżonych do — 220 stopni posługiwał się dla otrzymania tego zimna ciekłem powietrzem. W całym świecie naukowym zdobył sobie stanowisko największej powagi w tym przedmiocie; a prof. Ramsay, odkrywca argonu i helu, jemu najprzód przysłał swe okazy do zbadania. W r. 1895 zbliżył się nawet do skroplenia wodoru o tyle, że mógł oznaczyć jego temperaturę krytyczną — 234,5 stopni i temperaturę wrzenia — 243,5.

Ale tym razem przeznaczonem było Anglikowi Dewarowi uprzedzić polskiego uczonego: 10 maja otrzymał on skroplony wodór; a gdy zanurzył w nim rurkę z helem, skroplił się i hel, ostatni z gazów,

który się opierał dotychczas wszelkim wysiłkom prof. Olszewskiego i innych badaczy. Dziś skraplanie powietrza już jest zabawką. Skrapla go się przy ciśnieniu 150 atmosfer i przy ciepłocie — 191 stopni. Jest to płyn ciężki, doskonale przeźroczysty, który z otwartej butelki lub szklanki paruje oczywiście dość prędko, można mu się jednak przez godzinę lub dwie przypatrzeć. Dotykając się go, można się sparzyć jak od węgla, ale małe krople puszczone na dłoń, przybierają stan sferoidalny, i nie dotykają skóry, podobnie jak krople na rozżarzonej blasze. Kilka kropel tego płynnego powietrza rzuconych na rtęć, sprowadza ją w mgnieniu oka do stanu stałego, można ją kuć jak młotkiem. Kawałek żelaza, piłka gutaperkowa, jajko zanurzone w tym płynie, nie zmieniają się na oko, ale gdy się je po wyjęciu potrąci albo upuści na ziemię, rozsypują się w proch; tak dalece to nagłe oziębienie zmieniło układ ich molekuł.

To są dopiero zabawki, ale uczeni i przemysłowcy przewidują, że te odkrycia znajdą w blizkim czasie szerokie zastosowania w dziedzinie przemysłu. To też, nie czekając tych zastosowań, już p. Linde w Monachium, p. Tripler w Ameryce budują wielkie maszyny parowe do fabrykowania płynnego powietrza i innych gazów skroplonych. Dziś jakaś maszyna Lindego o sile 100 koni wytwarza 50 litrów płynnego powietrza na godzinę.

A. W. M.

Druk ukończono 30 czerwca 1898 r.

JEZUICI W GDAŃSKU [1].

(1584—1608).

W lecie 1577 r. król Stefan Batory oblegał Gdańsk. Jezuici, którzy podczas bezkrólewia jak najdalej trzymali się od pola elekcyi, nawet po koronacyi króla Stefana, chociaż ten osobnym przywilejem kolegia ich od podatków uwolnił i takowe ze skarbu swego płacić kazał [2], nie spieszyli ze swemi życzeniami. Czekali, aż Stolica św., o której wiedziano, że elekcya arcyksięcia była jej pożądaną, Stefana królem polskim uzna. Stało się to dopiero w trzy miesiące po śmierci cesarza Maksymiliana II., ojca Ernesta, gdy w styczniu 1577 r. Grzegorz XIII. Stefanowego posła, Jana Grzymałę Zamojskiego na uroczystem posłuchaniu przyjął, a na dwa królewskie listy (z 5 lipca i 8 września 1576 r.) nader uprzejmem brewem (8 lutego 1577 r. odpowiedział [3]. Więc też i oni, zdaje się, za zachętą O. Skargi, w czerwcu 1577 r. wystosowali do króla do obozu pod Gdańskiem, na ręce wielce życzliwego sobie podkanclerzego, Jana Zamojskiego, list, winszując mu wstąpienia na tron, a polecając siebie i sprawy Kościoła, ofiarowali swoje usługi i modlitwy o pomyślność panowania. Zamojski, wręczając królowi owe pismo, opatrzył je „obszernem objaśnieniem *prolixa explicatione*“,

[1] Ustęp z I-go tomu dzieła: „Jezuici w Polsce“.

[2] Rostowski, str. 55.

[3] Theiner, *Annales* II, 207, 208, 309. 314.

a w kancelaryi jego zredagowano nader uprzejmą odpowiedź królewską[1]. Dziękował szczerze za modlitwy, bo ufa więcej pomocy bożej, jak ludzkim siłom; upewniał, iż wie to i rozumie, że obowiązkiem jego, jako króla chrześcijańskiego, wytężyć wszystkie usiłowania „o rozszerzenie chwały Imienia Bożego, a pomyślność rzeczypospolitej chrześcijańskiej" i kończy: „A ponieważ do tego wasz zakon jest mi potrzebny, dlatego jest nam wielce miły, co czynami raczej, jak dowodami udo-

[1] Mylne jest, acz powszechne dosyć zdanie, że Zamojski „nie lubił Jezuitów, bo im nie powierzył akademii zamojskiej". Był on wychowany na dworze swego ojca Stanisława, kasztelana chełmskiego w luterskiej wierze. Kształcąc się w Paryżu, czytał pilnie Ojców Kościoła dla ich klasycznego stylu, a nauczył się od nich katolickiej wiary, przyjął ją i wyznawał przez resztę życia gorliwie. Dokończywszy nauk w Strasburgu i Padwie, gdzie wsławił się jako rektor nacyi polskiej, autor politycznej rozprawy *De Senatu Romano* i redaktor kodeksu praw i ustaw akademii padewskiej, na wezwanie swego ojca wrócił do Polski, został dworzaninem królewskim, starostą bełzkim i jako taki wystąpił na arenę polityczną podczas pierwszego bezkrólewia. Jak w prywatnem tak publicznem życiu stałym był wyznawcą zasad katolickich, ale też i stałym przeciwnikiem polityki austryackiej. Dopomógłszy Batoremu do korony, stał się „duszą jego duszy" i jak król, tak i on Jezuitów cenił wysoko dla ich nauki i poświęcenia, i w nawiązaniu dobrych stosunków Batorego jako króla Polski, wystąpił jako ich rzecznik. Pierwszym w Europie przykładem Jezuici byli kapelanami obozowymi w potrójnej wyprawie moskiewskiej, w których obok króla hetmanił Zamojski. Za tym przykładem poszedł książe Parmy Aleksander Farnese 1586 i inne króle i hetmany. O. Kulesza był kapelanem podczas wojny inflanckiej i spowiednikiem Zamojskiego, a kolegia jarosławskie i lwowskie, bractwo miłosierdzia, założone przez Skargę, doznały jego hojnej ręki. Z Possewinem, Skargą i Warszewickim łączyła go ścisła przyjaźń. „Lubił" więc Jezuitów Zamojski, a że im akademii, którą 1590 r. w Zamościu założył, nie oddał, to dla tej także przyczyny, że wiedział, iż jej Jezuici przyjąć nie byli w stanie dla braku ludzi. Z trudnością tylko, i pożyczając sobie profesorów z zagranicy, zdołali obsadzić wileńską akademię; królowi Batoremu odmówili wręcz 1584 r. przyjęcia szkół w Grodnie, aż król był markotny o to i wprost do papieża Syksta V. się udał, aby jenerałowi Akwawiwie rozkazał szkoły przyjąć i profesorów dostarczyć, gdy wtem śmierć go zaskoczyła, jak to opowiada Rostowski str. 117—119.

Przyznaję, że 1595 r. zachodziła między Zamojskim a Jezuitami różnica zapatrywań na św. ligę i wojnę turecką, ale takie różnice politycznych zdań zachodzą i między najserdeczniejszymi przyjaciółmi, nie psując wcale wzajemnego szacunku i życzliwości.

wodnimy, skoro tylko sprawy państwowe ułożymy i do pożądanego pokoju wszystko doprowadzimy. Co ażeby się jak najprędzej ziściło, dokażą tego modlitwy wasze, którym się bardzo polecamy. Życzymy Pobożnościom Waszym dobrego zdrowia. Z obozu pod Gdańskiem, dnia 24 czerwca 1577 r.“ [1].

Na te nie słowa, ale czyny niedługo trzeba było czekać. Dnia 12 grudnia za wstawieniem się elektorów saskiego i brandenburskiego, landgrafa Hessyi i książąt pomorskich, którzy do króla do Malborgu zjechali, król przyjął buntownicze miasto do swej łaski, a cztery dni potem Gdańszczanie przed komisarzami królewskimi złożyli przysięgę wierności. Pomiędzy punktami przyjęcia do łaski z rozkazu króla był i ten: „miasto przyjmie w swe mury Jezuitów“, punkt tem dotkliwszy, że zbuntowani mieszczanie nietylko przywrócone przez biskupa kujawskiego klasztory w mieście rozegnali, ale opactwo Oliwę srodze zniszczyli i dobra jego sobie przywłaszczyli, za co 20.000 złp. odszkodowania wypłacić Cystersom musieli [2].

Nie prędko jednak, bo dopiero 1594 r. osiedlili się Jezuici w Gdańsku. Rozbijało się wszystko o brak ludzi. Gdańsk, przerznięty dwoma rzeczkami, Motławą i Raduną, oblany od północnowschodu Wisłą, która się tu Leniwką zowie, od północy i zachodu trzema górami, Gradową, Biskupią i Cygańską otoczony, obronny potężnemi basztami i murami o pięciu bramach, był już w połowie XIV. wieku najsilniejszą fortecą Krzyżaków, a potem od r. 1454 Polski nad Bałtykiem. Udarowany wielkiemi przywilejami od Kazimierza Jagiellończyka, wzbogacony handlem z Hanzą, wzbił się w dumę i już za Zygmunta I. hardo stawił się królowi, a za Zygmunta Augusta uważał się raczej za sąsiada, jak za poddanego Polski. Ukrócił nieco jego dumę król August, odbierając część cła morskiego *(Phalgeld)* na skarb królewski, ale za to dumny Gdańsk podniósł zuchwale głowę wobec króla Stefana i dopiero po uporczywej wojnie nagiął się

[1] Rostowski, str. 55 i 56.

[2] Rostowski, str. 57. — Heidenstein I, 265, 278.

do posłuszeństwa [1]. Wobec Zygmunta III. zajął dwulicową rolę; grzeczny powolny służka w słowach, hardy zuchwały w czynach. Nie ulega wątpliwości, że oprócz dobrobytu i bogactwa herezya Lutra napoiła Gdańsk tym duchem niezależności i hardości; był on przecie zarzewiem herezyi na całe Prusy, ba, nawet na zachodnią Litwę i północno-wschodnią Wielkopolskę.

W porządku kościelnym z dawien dawna należał do dye-

[1] Traktatem toruńskim 1466 r., kraj na zachód od Wisły i Nogatu, czyli ziemia chełmińska i Warmia, dostał się pod panowanie Polski, lecz jako oddzielna prowincya pod opieką Polski zostająca, z własnym samorządem, a więc sejmem i stanami, dygnitarzami i urzędnikami. Gdańsk wszelako na 12 lat przedtem, bo 1454 r. poddał się królowi polskiemu, ale jako wolne, samodzielne miasto pod protektoratem Polski, aby raz na zawsze pozbyć się gniotącego jarzma Krzyżaków. Owszem przywilej Kazimierza rozszerzył znacznie terytoryum miasta, zarząd jego powierzył radzie miejskiej, która nad Starym i Prawym Gdańskiem (Alt- u. Recht Danzig) według prawa chełmińskiego władała, pozostawił miastu jego dawne sądownictwo według „gdańskich wilkirzów“, wolność od ceł, prawo bicia monety, utrzymywania własnej załogi, wydawania wojny, zawierania pokoju i przymierzy, słowem Gdańsk jak niegdyś przed opresyą krzyżacką występował jako udzielna potencya, o edykta królów i sejmów polskich troszczył się o tyle, o ile te poparte były siłą zbrojną, albo o ile mu widoczną korzyść przynosiły. Za przykładem Gdańska szedł Toruń i Elbląg mniej zamożne i ludne, ale także, Toruń zwłaszcza, jakby udzielne potencye. To nam tłumaczy, dlaczego wbrew edyktom Zygmunta I. luteranizm tak prędko i tak głęboko w tych miastach się zagnieździł, dlaczego dla jego głównie obrony, zawiązały się pruskie miasta w konfederacyę, przeciw królowi i sejmom występowały solidarnie i z kwestyi wiary utworzyły sobie kwestyę politycznej niezawisłości. Z tej też także racyi, nietylko przez fanatyzm antykatolicki opierały się wprowadzeniu Jezuitów, oświadczając że wolą mienie i życie utracić, jak tych „podżegaczy niezgody“ w swe mury wpuścić i z góry zapowiadając, że przez Jezuitów „tumulty“ się dziać będą.

Z drugiej strony królowie Batory i Zygmunt III. nietylko z obowiązku katolickiego króla, który katolikom tych miast przyjść w pomoc nakazywał, ale także, aby przecie jakieś wędzidło niepohamowanej bucie i samowoli tych miast nałożyć, wprowadzili do nich Jezuitów, i ich sprawę uważali za własną. Dlatego to Batory nie ustąpił Ryżanom, Zygmunt Gdańszczanom i Torunianom, pomimo protestów, że wolą życie i mienie utracić, i pomimo zapowiedzi „tumultów“. Ustąpić w tem znaczyłoby rezygnować z królewskiej supremacyi nad temi miastami. Rozumiały to i sejmy i wzięły Jezuitów rygskich i pruskich w obronę. Wielu naszych historyków i literatów nic się w tem dopatrzeć nie umiało, tylko fanatyzmu katolickiego i jezuityzmu.

cezyi kujawskiej, której biskupem od 1581 r. był Hieronim Rozdrażewski, brat Jezuity Stanisława, mąż równie w sprawach publicznych, jak kościelnych biegły, nauką i cnotą znamienity, a nad czynami jego iście apostolskiej żarliwości rozwodzi się szeroko Niesiecki [1]. Jeszcze jako młodzieniaszek na studyach w Rzymie i w Ingolsztadzie poznał bliżej Jezuitów. Z probostwa włocławskiego wezwał go król Stefan na katedrę kujawską, zostającą dla braku kleru, upadku klasztorów i parafij, w wielkim spustoszeniu. Zaraz więc po swej nominacyi 1581 r. pisze biskup gorące listy do jenerała zakonu, „aby uczonego, gorliwego, a ludności sympatycznego kaznodzieję niemieckiego choć na rok jeden przysłał do Gdańska na głoszenie wiary katolickiej ludowi onemu, nędznie uwiedzionemu i w przewrotnych błędach uwikłanemu“. Błaga o to samo prowincyała Magio, niech na miły Bóg przysyła albo tego Jezuitę, którego on słyszał każącego w Augsburgu, albo O. Jerzego Schoenau z Wiednia, „albo wreszcie Jana Saksończyka, który na dworze cesarskim bawi, pomimo że ten na dwór arcyksięcia Karola przeznaczony“. Znakomitego kaznodziei do Gdańska potrzeba, „bo tu zamożni obywatele, delikatnych uszu i tylko bardzo wyszukanych chcą mieć kaznodziei“. Nadaremne prośby. Więc w sierpniu 1682 r. Rozdrażewski, wysłany przez króla na sejm Rzeszy w Augsburgu dla zażegnania sporu króla z Rudolfem II. o zamki Szatmar i Nemei, lubo mu dla rozpoczętej wizyty pasterskiej poselstwo to bardzo było nie na rękę, pociesza się tem, że po drodze przecie jakiego „znakomitego Jezuitę kaznodzieję dla Gdańska ułowi“. Tymczasem prowincyała Magio nie zastał w Wiedniu, a listy nie lepszy odniosły skutek, jak w roku zeszłym. Ponawiają się te prośby przez cały rok 1583, a w lutym 1584 rozpaczliwy prawie list, pełen żalu i bólu, śle biskup do O. Magio, skarżąc się, że dotąd jeszcze niema Jezuity kaznodziei w Gdańsku a misyonarzy w miasteczku Nowem (Novenae, Neuburg), że praca jego podczas wizyty łożona, marnieje, bo nie ma ją kto podtrzymać, że do jenerała zgłaszał się z prośbą o stałą rezy-

[1] „Herbarz“ VIII, 157—161.

dencyę dla misyonarzy w Nowem, a drugą pod Gdańskiem, niechże się zlituje, a tymczasem choć z brunsberskiego kolegium kaznodzieję dla Gdańska, misyonarzy dla Nowego przyszle. Wzywał biskup pośrednictwa to O. Warszewickiego, to ks. Skargi: „w mej dyecezyi — pisał do nich 1582 r. — są kościoły i parafie od 150 lat bez kapłana". To znów zwracał się do przybywającego z Moskwy O. Possewina z prośbą o misyonarzy dla Pomorza „gdzie 70 kościołów zabrali heretycy, inne bez księży", tak dalece, że w ich braku zmuszony był przyjąć kilku eksjezuitów (wydalonych z zakonu); niech mu Ojcowie za złe tego nie biorą, on ich oddali, skoro tylko innych dostanie. Aż litość bierze, gdy się te listy zacnego biskupa czyta, a tu zakon młody jeszcze, rozrywany na wszystkie strony, nastarczyć nie mógł odpowiednich ludzi, ledwo O. Roberta z Brunsbergi użyczył prowincyał biskupowi jako teologa i spowiednika i to na czas krótki. Dopiero więc od 1584 r. i to sporadycznie Ojcowie z Brunsbergi dojeżdżali do Gdańska na pracę kapłańską w parafialnym kościele św. Brygidy, którym zarządzał sprowadzony ze Szwecyi ks. Mikołaj Mileniusz, były kapelan królowej Katarzyny. Nieliczni katolicy gdańscy, urządziwszy między sobą składkę, zebrali 800 talarów, ktoś z zamożniejszych ofiarował 1.000 talarów, aby Ojcom stałą siedzibę opatrzeć. Wystarczało to na bardzo skromną egzystencyę dwóch misyonarzy. Miewali także kazania w kościołach OO. Dominikanów, Franciszkanów i Augustyanów. Dla Polaków przysłano 1585 r. O. Sawickiego.

Nie wiele wskórawszy w luterskiem mieście, bo tylko trzech lutrów nawrócono, udali się Ojcowie do poblizkiej wsi Gemlice, która niebawem do starej wiary powróciła. Biskup Rozdrażewski ofiarował im znaczną kwotę na sprowadzenie książek religijnych, które oni rozdawali świeżo nawróconym, utwierdzając ich tą lekturą w wierze [1]. O. Sawicki pracował z woli biskupa nad

---

[1] Listy Hieronima Rozdrażewskiego od 1578—1584. Mskr. Bibl. Ossolińskich nr. 156. — Sacchini v, 183, 243.

W archiwum miejskiem w Gdańsku znajduje się pod literą Tt 1, rękopis *in folio*, *Historia machinationis iesuiticae, quam illi Residentiae Gedanensis Soc. Iesu appellarunt, in urbe Dantisiana ab a. 1585—1642.* Jest to

reformą PP. Norbertanek w Żukowie i PP. Cystersek w Żarnowcu 1585 r. Powoli przy pomocy Jezuitów reformowali się Cystersi w Oliwie pod nowym opatem Dawidem Konarskim i przeorem Filipem Adlerem. Biskup bowiem w myśl synodu piotrkowskiego 1583 r. domagał się energicznie wskrzeszenia ducha zakonnego w klasztorach. Roku 1589 reforma oliwskiego opactwa była co z grubsza skończoną[1]. Odtąd co roku Jezuici dawali rekolekcye w tych klasztorach.

Krzywem okiem patrzał na te ich prace magistrat gdański, ale lęk mając przed królem, tolerował czasowo przybyszów. Gdy się jednak powoli w stałą rezydencyę ich pobyt przemieniał, podniósł protest i pchnął gawiedź uliczną do tumultów i gwałtów, jak to zaraz zobaczymy.

Biskup Bozdrażewski byłby najchętniej w samem mieście założył kolegium jezuickie, ale im gorętsze było jego pragnienie, tem na większe napotykał trudności. Rad nie rad postanowił przystąpić do założenia dla nich kolegium na przedmieściu Schottland i na jeneralnej kapitule 8 stycznia 1592 r. wygotował akt fundacyjny tej treści:

„Widząc dyecezyę naszą bardziej niż inne herezyami za-

---

kopia jezuickiego rękopisu *Historia Residentiae Gedanensis*, która w ten sposób powstała. Jezuici dali swój rękopis do oprawy, introligator pochwalił się z tem przed swym przyjacielem, urzędnikiem magistratu. Ten ułożył się z nim *ut secreto describendo communicaret*, żeby mu potajemnie pozwolił odpisać, rozumiejąc, że Bóg wie, jakie tam sekreta odkryje, przepisał i złożył do archiwum miejskiego.

Otóż według tej *Historia residentiae Gedanensis*, kłótnie między lutrami a kalwinami i ich ministrami, Pretoriuszem i Kiteliuszem tak się sprzykrzyły lutrowi rajcy Konstantemu Ferberowi, że postanowił na kalwinów puścić Jezuitów. Zwierzył się z tym planem krewnemu swemu kanonikowi warmińskiemu Eckartowi von Kempen, ten zaś powiadomił o tem biskupa Rozdrażewskiego. Biskup tem ucieszony prosił prowincyała Campano o przesłanie do Gdańska kilku Ojców najprzód do pomocy proboszczowi Mileniuszowi. Jakoż niebawem przybył O. Sawicki. Kalwinów nie nawrócił, ale za to katolikom oddał wyborne usługi.

To przedstawienie rzeczy o tyle niedokładne, że biskup przed zgłoszeniem się Ferbera na kilka lat pierwej postanowił Jezuitów pchnąć do Gdańska; być może, że prośba lutra Ferbera przyspieszyła ich przyjazd.

[1] *Hist. resid. Gedan.*

rażoną, bo nietylko z Niemiec, ale z Anglii, Szwecyi, Szkocyi, Danii i innych krajów, gdzie ani biskupów, ani księży niemasz, i nawet ukryty katolik cierpi prześladowanie, wielki napływ do najprzedniejszego w dyecezyi miasta Gdańska przybywa i przewrotne dogmata w innych także dyecezyi częściach rozsiewa... nietylko często wizytowaliśmy te części dyecezyi, ale mieliśmy zawsze przy sobie pobożnych i uczonych kapłanów" dla administrowania sakramentów i kazań. Także do Gdańska, „jako zlewu *(sentina)* herezyi z okolicznych *(circumiacentium)* państw, z którego, jak z źródła strumienie, na dyecezyę naszą płyną i sączą się, wprowadziliśmy kilku zacnych kapłanów *Societatis Iesu* nie bez widocznego pożytku i w nadziei założenia im tamże kolegium, i u rady miasta o oddanie nam na ten cel jakiego kościoła z tych, co zabrano i sprofanowano, pilne czyniliśmy starania". Lecz nic nie wskórawszy, „zwróciliśmy myśl na przedmieście Schottland, które nam nietylko w duchownych, ale i doczesnych rzeczach poddane, własnością jest naszą i kościoła kujawskiego, dopokąd niewidzialny pasterz jakiej innej drogi do uskutecznienia pierwotnego zamiaru nie wskaże".

Dlatego mając wzgląd na znakomite usługi Jezuitów w całej Rzeczypospolitej chrześcijańskiej i w krajach pogańskich, i na liczne przez nich nawrócenia, wezwawszy Imienia Pana Boga Matki Bożej i św. Patronów naszej dyecezyi, „kolegium S. J. w tej posiadłości kościoła naszego erygujemy i fundujemy, wcielając i na wieczne czasy oddając temuż Towarzystwu gdańskiemu klasztor w miasteczku Nowem, w naszej dyecezyi, od wielu lat spustoszony i swych mieszkańców (Benedyktynek) pozbawiony i do naszej jurysdykcyi przypadły *(devolutum)* wraz z wszystkiemi budynkami, domami, łąkami, ogrodami, placami pustemi i wszystkiemi przynależnościami, raz na zawsze i po wieczne czasy.

Ponieważ zaś te dochody są tak szczupłe, że dlatego zakonnice klasztór ten opuściły, więc „za pozwoleniem prałatów, kanoników i całej kapituły wieś z naszego stołu biskupiego Gemlice w starostwie naszem Sobkowskiem (Sobkoviensi) z łąkami, polami i t. d. i dochodami, z zupełnem prawem i władzą naszą,

totoque iure et dominio nostro, niniejszem nadajemy... wcielamy i to na wieczne czasy".

Za to Jezuici: skoro gmachy kolegium staną i fundusze na to pozwolą, obowiązani będą: 1) utrzymywać 35—40 osób, a tymczasem, ile zdołają.

2) Powinni też będą w Gdańsku miewać kazania niemieckie, polskie i inne, według swego zdania, to w kościele św. Brygidy u zakonnic, to w kościółku, który im w Schottlandzie naszym z nowa wybudujemy, a czasem i w innych miejscach, jak będą uważali. Tamże słuchać spowiedzi, *confessiones audire ac divina officia et alia munia christiana* i inne kapłańskie obowiązki i zajęcia spełniać będą.

3) Nauczać będą szkół i sztuk wyzwolonych według swego instytutu.

4) W dyecezyi naszej kujawskiej i pomorskiej pomoc swą ofiarować będą powinni.

Na plac pod kościółek i kolegium i na ogrody naznaczamy plac, Ufenfrebarch zwany, w Schottlandzie.

W razie, gdybyśmy nasze dyecezyalne seminaryum, które teraz w Poznaniu mamy, tu za radą przełożonych *Societatis* przenieśli, to zarząd jego obejmą gdańscy Ojcowie.

Gdybyśmy inną, równą lub lepszą upatrzyli dla kolegium fundacyę, to Ojcowie nie będą trudni w oddaniu Gemlic do dóbr stołu naszego.

Podobnież, gdyby Jezuici z jakiejbądź racyi kolegium opuścili, Gemlice wracają do dóbr biskupich.

Akt ten podpisał biskup ręką własną i opieczętował w obecności prałatów i kanoników katedralnych, którzy wypisani po imieniu i nazwisku [1].

---

[1] Archiwum gdańskie Tt. 6, volumen III. *Variarum rerum manuscriptarum spiritualium*, pag. 1—14.

Ponieważ Gemlice były własnością biskupią, klasztor w Nowem własnością Benedyktynek, przeto potrzebna była dyspenza i aprobata papieska. Dał ją Klemens VIII. brewem (24 czerwca) 1592. Ale rzecz ciekawa, brewe wspomina o nadaniu Jezuitom przez biskupa trzeciej wsi, wielkie Bielhowo, własności Kartuzów, *villam domus B. M. V. Paradisi nuncupatum carthusien-*

W rok potem, 15 stycznia 1593 r, biskup wygotował drugi akt fundacyjny, odpowiadający pierwotnej jego myśli osadzenia Jezuitów *intra muros* w samym Gdańsku, nie kasując wszelako aktu pierwszego. Powód do tego był następujący:

Z żeńskich klasztorów Gdańska ocalał klasztor św. Brygidy, zakonnic osobnej reguły, które kronika kolegium gdańskiego nazywa Augustyankami. Te w drugiej połowie XIII. w. przybywszy z Szwecyi, osiedliły się w Gdańsku przy „cudownej studni“ (bo woda jej leczyła choroby) i kaplicy św. Magdaleny i zajmowały się nawracaniem upadłych kobiet, skąd je Magdalenkami zwano. Kiedy 1374 r. przewożono z Rzymu do Szwecyi szczątki św. Brygidy przez Gdańsk, to wystawiono je przez dni kilka w kaplicy św. Magdaleny ku czci publicznej. Na tę pamiątkę w. mistrz krzyżacki Konrad von Jungingen wybudował w latach 1396—1402 kościół i klasztor pod wezwaniem św. Brygidy i uposażył dostatnio [1]. Kwitnęła w nim pobożność i karność zakonna, która jednak podczas reformacyi rozluźniła się do tego stopnia, że w klasztorze pozostały tylko cztery zakonnice wątpliwej cnoty, *discolae et dissolutae,* bo nie mając dla braku kleru kapelana, po kilka tygodni nie słuchały mszy św., do spowiedzi i komunii św. przystępowały ledwo raz na rok, oratoryum swe i chór miały w refektarzu, rzadko się na odmówienie pacierzy zbierały, nie przestrzegając klauzury, wychodziły samopas

---

sis Ordinis, którą przeor i bracia tegoż domu przez wdzięczność dla biskupa Rozdrażewskiego za to, że ten dom ich od zależności od opatów oliwskich uwolnił *(iure medio liberaverat),* podarowali. (*Regestr. bull.* III, 61). Otóż i tę wieś przyłączył biskup do tegoż kolegium gdańskiego na wieczne czasy, a nic o tem nie wspomina w akcie fundacyjnym.

[1] Na wzór klasztoru w Wadstenie, w dyecezyi Linköping w Szwecyi, który fundowała św. Brygida koło r. 1350, klasztor gdański był podwójny, zakonnic jeden, drugi w oddzielnym gmachu, kapłanów zakonnych, dla posługi duchownej tamtych. Jednym i drugim regułę ułożyła św. Brygida i nazwała „zakonem Zbawiciela“. Ale komisya papieska przez Urbana V. i VI. i Marcina V. do rewizyi tej reguły wyznaczona, poczyniła w niej znaczne zmiany, biorąc za podstawę starą regułę św. Augustyna, dlatego też Brygidki nazywano czasem Augustyniankami św. Brygidy. Ostateczne zatwierdzenie reguły św. Brygidy nastąpiło 1370 r.

na miasto, składały i przyjmowały u siebie wizyty mężczyzn nawet.

Za to opiekował się niemi gorliwie luterski magistrat, dobra ich klasztorne administrował przez swoich prowizorów lutrów i czekał tylko na wymarcie zakonnic, aby klasztor z całem jego mieniem na własność miasta zagarnąć. Na dziedzińcu klasztornym, porosłym trawą, miejskie praczki suszyły bieliznę, w celach klasztornych mieszkały rodziny świeckie.

Po ostatecznem zajęciu przez lutrów wspaniałego farnego kościoła Panny Maryi 1572 r.[1] kościół św. Brygidy służył za farę, a zarządzał nim proboszcz gdański, któremu przecie dawne mieszkanie proboszczowskie *(Pfarrhof, Farhof)* lutrzy pozostawili. W tym też kościele św. Brygidy pracowali pierwsi Jezuici gdańscy. Aliści 1586 r. kościół ten zgorzał, sterczały tylko okopcone mury jego, bo nie miał je kto i czem z gruzów podźwignąć. Proboszcz maryacki i oficyał zarazem biskupi, ks. Mileniusz znalazł się wraz z Jezuitami bez kościoła. Więc na swem probostwie urządził z obszernej izby kaplicę dla siebie, a Jezuici tułali się po kościołach Dominikanów, Franciszkanów i Augustyanów. Ulitował się ich doli przeor dominikański i oddał na ich użytek „kaplicę angiejską przy bramie klasztoru", którą superior O. Antoni Guisanus wnet z ofiar pobożnych cudnie przyozdobił. Tu się gromadził cały pobożny Gdańsk na kazania, spowiedzi i nabożeństwa. Po roku jednak przeor w sposób dosyć

---

[1] Z zaborem kościoła P. M. w Gdańsku tak się rzecz miała.

Roku 1525 zbuntowani Gdańszczanie zabierają przemocą pięć kościołów katolikom, między niemi i kościół P. M.

1526 r. król Zygmunt I. „ordynacyą gdańską" przywraca te kościoły katolikom.

1557 r. wskutek tolerancyjnego edyktu Zygmunta Augusta, pastor Brauer odprawia luterskie nabożeństwo w kościele P. Maryi przy ołtarzu św. Mikołaja. Powoli, w ciągu lat 15 lutrzy wypierają z niego katolików, którzy przy głównym ołtarzu swe nabożeństwa odprawiali.

1572 r. podczas bezkrólewia lutrzy wyrzucają katolików zupełnie, w sposób gwałtowny *(gewaltsamer Weise)*; zabierają dobra i inwentarze kościelne, tylko mieszkanie proboszcza czyli probostwo, *Pfarrhof* także *Farhof* w kronikach zwane, zostawiają katolickiemu proboszczowi. (Archiwum Gdańskie, Tt. 6, str. 153—154).

brutalny odebrał, zamknął i zatarasował oną kaplicę, rozgniewany podobno o to na Ojców, że biskup Rozdrażewski część dochodów na pewien czas i za pewne duchowne posługi, których nie spełniali, Dominikanom od poprzednika swego Karnkowskiego przeznaczonych, odebrał i oddał Jezuitom. Znaleźli się więc znów bez własnego kąta. Biskup za ten i inne ekscesa zasuspendował Dominikanów 1590 r., Jezuitom na razie oddał starodawną kaplicę św. Magdaleny, którą oni wnet wyporządzili i ustroili, a niebawem zdecydował się na fundacyę szottlandzką, o której mówiłem wyżej.

Równocześnie biskup porał się z niesfornością zakonnic św. Brygidy, które do karności pierwotnej w myśl uchwał synodu piotrkowskiego 1583 r. przywrócić postanowił. Luterski magistrat, pod którego skrzydła się uciekły, wziął mniszki w obronę przeciw biskupowi, więc one stanęły kozłem i ani o reformie słyszeć, ani nowicyatu otworzyć nie chciały. Ale energiczny biskup nie żartował, umyślił rozwiązać zgromadzenie, mniszki porozwozić do różnych klasztorów, ich zaś klasztor z dobrami obrócić na fundacyę jezuickiego kolegium, które od dawna pragnął mieć *intra muros* Gdańska, a nie ćwierć mili za murami miasta. Więc najprzód wytoczył miastu proces o nieprawne posiadanie dóbr klasztoru św. Brygidy i uzyskał 1592 r. dekret królewski, nakazujący oddanie rzeczonych dóbr, zwłaszcza Szydlic, biskupowi i klasztorowi. Potem wyjednał u króla przywilej na alienacyą tychże dóbr klasztoru, datowany 9 czerwca 1592 r., i na użycie ich na „inne duchowne cele".

„Dowiedzieliśmy się — pisał król — że zakonnice św. Brygidy nie chcą biskupa w reformie klasztoru swego słuchać, od heretyków żądają pomocy i do nich od biskupów uciekają się, że są we wierze źle ufundowane, do herezyi z kazirodczego małżeństwa *(ex incoesto connubio)* wiele z nich niedawno odpadło, tak że biskupom wszelka nadzieja ich reformy została odjętą. Dlatego i dla usunięcia zgorszenia a podniesienia wiary w tem mieście, przesiąkłem herezyą, „nadajemy pełną władzę naszą i prawa naszego królewskiego W. O. Hieronimowi z Rozdrażewa, biskupowi kujawskiemu i pomorskiemu, jako biskupowi miejsco-

wemu, i jego następcom, ażeby klasztor ten, wezwawszy nawet pomocy władzy świeckiej, *assumto brachio saeculari*, zwizytował, uporządkował i zreformował, a nawet, jeżeliby uważał to pożyteczniejszem dla chwały bożej i zbawienia dusz, aby klasztor ten i wszystkie dobra jego fundacyjne na cele duchowne, *ad usus spirituales* Kościołowi bożemu użyteczne i do nawrócenia heretyków odpowiedne obrócił i spożytkował według zdania swego"... Magistratowi zaś gdańskiemu pod grzywną, *sub vadio* 20.000 złp. rozkazujemy, aby w reformie i administracyi dóbr klasztoru nie ważył się przeszkadzać, ale owszem szedł biskupowi na rękę" [1].

Takiem pełnomocnictwem króla obdarzony, postarał się biskup o potrzebną dyspensę u Klemensa VIII., a przekonawszy się, że wszelkie starania o reformę klasztoru rozbijają się o upór kobiecy, ożeniony z chytrością luterską, że za lat niewiele klasztor i dobra staną się łupem heretyków, wystawił 15 stycznia 1593 r. drugi akt fundacyjny, mocą którego klasztor św. Brygidy z dobrami Szydlice, Gross, Pragów, Krebsdorf czyli Karsów Ostrów i Witonin przyłącza się do fundacyi kolegium w Schottlandzie i staje się własnością Jezuitów. Oni zaś czterem onym zakonnicom i ich kapelanowi, umieszczonym gdzieindziej, płacić mają coroczne dożywocie i dopełniać warunków w pierwszym akcie fundacyjnym wymienionych [2].

Według więc planu biskupa kolegium ze szkołami miało pozostać na Schottlandzie, w mieście zaś miała być w dawnym klasztorze Brygidek rezydencya jezuicka, do schottlandzkiego kolegium przydzielona, z niem jedną fundacyę składająca.

Pomimo całej ostrożności biskupa, lutrzy zwąchali, co się święci. W wiecznych kłótniach, wyzywaniach się i szkalowaniach

---

[1] Archiwum Gdańskie. *Historia residentiae Gedanensis.*

[2] *Archiv. Prov. Pol. Fundationes* III, dokument 143. Oryginał aktu tego złożony był w prowincyonalnem archiwum w domu św. Barbary w Krakowie. *Hist. res. Gedan.* powiada wyraźnie, że biskup, „ne monasterium ex toto et bona illius in manus haereticorum veniret, putavit idem monasterium collegio in suburbio Schottland unire, et univit in vim commissionis apostolicae Clementis VIII."

na ambonie z kalwinami, a zwłaszcza z głośnym ich ministrem Schmidtem, łączyli się z nimi do wspólnego ataku na Jezuitów. Postanowili za żadną cenę nie dopuścić ich do miasta i szkół uczenia. Więc co tchu parafialną szkółkę luterską, istniejącą od 1558 roku, zamieniają na pięcioklasowe gimnazyum *(lateinische Oberpfarrschule,* 1592), ściągają mistrzów i uczniów, drukują regulamin i program nauk [1]. Zakonnicom trąbią na obie uszy przez prowizora dóbr, rajcę Engelkę, i sekretarza magistratu, szczwanego lisa Fredera, że pod osłoną reformy Jezuici na ich klasztor i majątki czyhają, niechże się ich strzegą, a z klasztoru niech się wysadzić nie dadzą, gdyż magistrat zasłoni je siłą zbrojną przed chciwością papieżników, dóbr ich z rąk swych biskupowi nie puści. Jakoż i Jezuitom samym wydała się rzecz *odiosa,* wstrętna wywozić stare zakonnice, a wchodzić na ich miejsce; już i tak porównywano ich do kukułek, co jajka swe do cudzego gniazda składają, więc prosili jenerała Akwawiwę, aby tej drugiej fundacyi nie przyjmował. Tak się też stało.

---

[1] Archiwum gdańskie. Q. q. in 4-to, nr. 1 (druk). *Leges, officia docentium et discentium in schola Mariana Dantisci complectentes.* Dantisci 1592, po łacinie i niemiecku, str. 141. *Soli Deo Gloria.*

1) Przedmowa do miasta (do burmistrza, rady i ławników po łacinie).

2) Przedmowa do rodziców po niemiecku. Wychowanie domowe ręka w rękę iść powinno z wychowaniem szkoły.

3) De officio praeceptorum in hac schola. Directoris et collegarum, qui ex discipulis designant decuriones et quaestores. Reguł tych jest 35, roztropne i pedagogiczne, do nich dodane tłumaczenie po niemiecku.

4) Leges discentium in 9 capita. Cap I, Officia erga Deum; reguł 6. Cap. II, officia in templo, reguł 14: śpiewać mają psalmy i pieśni, recytować katechizm, słuchać kazania co wtorku i czwartku, wszyscy idą „na litanię" i wspólne modlitwy. Idą zaś tym porządkiem. Najprzód „pauperes, quorum extraordinaria classis est, potem quintani, ci rozpoczynali od *abc,* quartani, tertiani, secundani, primani. Cap. III, de pietate erga praeceptores, quos tanquam alteros parentes non corporis sed animi agnoscere debent, reguł 8. Cap. IV. De moribus in schola, reguł 22. Z tych reguła 17 i 18 każe mówić po łacinie, wyjąwszy Polaków, którzy tu przybyli po to, aby się po niemiecku nauczyć. Cap. V. de exercitiis styli et memoriae, reguł 6. Cap. VI, de examinibus semestralibus reguł 4. Cap. VII, de officiis decurionum et quaestorum, qui sunt legum custodes; decurio notuje tych, których niema w szkole lub spóźnili się. Quaestor czuwa nad zachowaniem się uczniów i konwersacyą łacińską, reguł 10. Cap. VIII, de moribus in ge-

Na razie więc zwyciężyli lutrzy i nowym protestem zaznaczyli przed biskupem raz jeszcze, że Jezuitów w murach swego miasta nie ścierpią. Biskup milczał, snuł on inne dalekonośne plany, wspaniały gotycki kościół farny Panny Maryi od 1557 r. w częściowem, od 1572 r. w zupełnem posiadaniu lutrów zostający, postanowił przywrócić katolikom. Król był jego kolatorem, więc gdy biskup zaskarżył Gdańszczan do sądów asesorskich o nieprawne wydarcie kościoła P. M. i domagał się oddania go katolikom, król kazał tę sprawę odesłać do sądów relacyjnych, którym sam lub przez kanclerza w. k. prezyduje, i wydał 1592 r. dekret do burmistrzów i rajców Gdańska, nakazujący oddanie rzeczonego kościoła na służbę katolicką, a to dla tych powodów: Król JM. gdy zjeżdża do Gdańska, chce mieć przecie kościół dla swej dewocyi; kościół P. M. dla katolickiej służby Bożej a nie dla luterskiej był fundowany i nadany. Dekret zapowiada królewską komisyę i termin odebrania. Nada-

---

nere observandis, reg. 30. Z tych reguł, 27-ma zabrania ślizgać się, bić się śniegiem, napastować drugich. Cap. IX, de peregrinis pauperibus utrzymywać się mają ex musica figurata vel chorali per currendam v. funebres cantiones, et de poedagogis, reguł 50. Te paupry obchodzili parami kilka ulic codziennie miasta, śpiewając przez godzinę lub dwie, jeden niósł kosz na chleb, dwaj z puszką na grosze, szli po obojej stronie ulicy. Chleby rozdzielono zaraz w izbie ubogich — puszki oddano rektorowi. Paupry zamiatały szkołę dwa razy w tydzień i czyściły dom i dziedziniec.

Program nauk.

Quinta. Prima rudimenta linguae germ. et lat.

Quarta. Paradigmata Donati. Nomenclatura vocab. lat., declinationes, coniugationes.

Tertia. Cathechesis Lutheri. Compendium grammaticae iuxta etymologiae et syntaxeos praecepta, epistolae latinae.

Secunda. Praecepta lat. ex grammatica Filippi Melanchtonii, Prosodia, latinas epistolas scribere, latine loqui. Graecas litteras cognoscere et legere incipiunt.

Prima. In latinis et graecis litteris accuratius erudiuntur. Praecepta artis dicendi, stylum solutae et ligatae orationis.

Osobna klasa dla pauprów; uczą się czytać i pisać. Zdolniejsi, od obywateli bogatszych wsparci, do klas zwyczajnych uczęszczają.

Godziny szkolne od 7—10, od 1—4, nadzwyczajne dla kaligrafii, arytmetyki i korepetycyi od 10—11, od 4—5 lub 6.

Plan więc nauk i całe urządzenie szkoły zbliżone do szkół jezuickich.

remnie zasłaniali się Gdańszczanie przez swego adwokata konfederacyą warszawską 1573. Dowiedziono im, że kościół zabrali gwałtem *(gewaltsamer Weise)*, a gwałtów konfederacya nie uprawnia. Więc oni zgłosili regres do sejmu [1]. Tymczasem zjechali do Gdańska komisarze królewscy, gorliwi katolicy: wojewoda poznański Hieronim Gostomski, wojewoda łęczycki Jan Sierakowski i wojewoda pomorski Krzysztof Kostka. Stanie przed nimi w deputacyi miasta czterech burmistrzów z syndykiem Lembke i z wielką „submisyą" dowodzą, że kościół P. Maryi był i jest własnością parafian; że skoro ci parafianie zmienili wyznanie katolickie na luterskie, to i kościół Panny Maryi zmienić musiał katolicką służbę bożą na luterską i zmienił. Oni, lutrzy, nie wyganiali katolików, ani im siłą i mocą nie zabrali kościoła Panny Maryi, ale spokojny, normalny proces przejściowy z katolickiej na luterską wiarę odbywał się jak w parafii tak w kościele powoli, bo przez lat prawie 15, aż dojrzał 1572 r. Nie mogą więc oddawać, czego nie zabrali, co było i jest ich własnością; parafia gdańska z małemi nader wyjątkami stała się i jest luterską, więc i kościół farny Panny Maryi luterskim jest i pozostać musi. Zbijali ten sofizmat panowie komisarze uczonemi wywody, zapomnieli o jednym a jedynym skutecznym argumencie: nie przywiedli ze sobą siły zbrojnej, jeno kupkę dworzan gwoli ozdoby i okazałości komisyi, więc ich Gdańszczanie grzecznie, ale z niczem odprawili.

Wziął tę odmowę do serca biskup, na trzy zawody zawezwał burmistrzów i radę przed swój sąd. Oni nie stanęli, ale w śmiertelnej trwodze, aby biskup siłą zbrojną kościoła Panny Maryi nie odebrał i znienawidzonych Jezuitów przy nim nie osadził, postanowili, jak to był zwyczaj u heretyków owego czasu, tumultem zapobiedz temu. Sposobność wnet się nadarzyła.

Zapowiedział król JM. na sierpień 1593 r. swój przyjazd do Gdańska, skąd się na koronacyę swą do Upsali wybierał. Gdańszczanie przyjęli go uroczyście. Widok jednak nuncyusza Malaspiny przy królu, biskupa Rozdrażewskiego i Jezuitów, głu-

[1] Archiwum gdańskie. Tt. 6, str. 154.

che zrazu, potem pewne już wieści o odebraniu nawet przemocą kościoła Panny Maryi, rozgoryczyły dobrze już przez agitatorów magistrackich obrobione pospólstwo do tyla, że z powodu jakiejś bitki między sługą królewskim a „szrotarzem“, tak zwano posługaczy okrętowych, przyszło do tumultu. Z brzegów Motławy tumult przeniósł się na plac przed rezydencyę królewską, a wśród obopólnej strzelaniny, bo i Polacy do walki się wmieszali, strzelono z czterech rusznic do okien królewskich. Marszałek dworu, kasztelan przemyski Krasicki, ledwo od rozjuszonych mieszczan nie poległ. Wśród strzałów i rąbania szablami, przedarli się senatorowie do króla. Napróżno Zygmunt pokazał się w oknie i starał się uspokoić walczących. Dwie godziny trwał tumult, nareszcie zjawili się burmistrze: Brandes i Schwarzwald z knechtami miejskimi i rozproszyli zbiegowisko. Na placu znaleziono 23 trupów, rannych przeszło 50[1]. Nazajutrz król wezwał magistrat, a pokazawszy dziury od kul w pałacu swoim, zgromił surowo, sąd na później, po powrocie swym odłożył, na razie jednak list bezpieczeństwa miastu zostawił. Naturalnie, że o kościele Panny Maryi i Jezuitach nie było już mowy. Więc poprzestać musieli na dotychczasowem skromnem stanowisku; kazanie mówili „jakby w imieniu oficyała Mileniusza na ruinach kościoła św. Brygidy, który przed kilku laty spalony, teraz trochę odrestaurowany, wystarczał na pomieszczenie dosyć licznego grona słuchaczy. Dwóch niemieckich, dwóch polskich kaznodziei mieszkało na probostwie Panny Maryi[2], a na ich utrzymanie biskup przeznaczył, w myśl pierwszej fundacyi za pozwoleniem kapituły wieś Gemlice z dochodem 1800 złp. rocznie i kapitał

[1] Tak Heidenstein: „z obu stron kilkadziesiąt padło ludzi“, str. 320. Gdański historyk Gralath wspomina tylko o trzech zabitych i pięciu rannych.

[2] Już od 1557 r. od tolerancyjnego przywileju Zyg. Aug. pastor Brauer odprawił przy ołtarzu św. Mikołaja w kościele P. M. luterskie nabożeństwo. Po zupełnym prawie zaborze kościoła P. Maryi przez Lutrów zamianował Zygmunt August tytularnego proboszcza P. Maryi, który w kapliczce na swem probostwie mszę św. odprawiał. Król Jan III. z legatu prymasa Olszowskiego i z swej hojności wybudował tam 1677 „królewską kaplicę“, którą po dziś dzień „proboszcz P. Maryi“ zawiaduje i dlatego proboszczem królewskiej kaplicy się zowie.

9000 złp. po 6% [1]. Różnemi czasy ofiarował Jezuitom blizko 30.000 złp.

Nie dał jednak za wygraną. Już 1594 r. uzyskał u jenerała Akwawiwy przyjęcie swej fundacyi szottlandzkiej, wszelako nie spieszył z budową, bo sprawa odebrania kościoła Panny Maryi lutrom i oddania go, jak to wyraźnie powiada historyograf gdańskiej rezydencyi, Jezuitom, ugrzęzła w sądach relacyjnych, do których po bezskutecznej komisyi królewskiej znów wróciła. Nareszcie „w sobotę po św. Łucyi 1594 r. sąd relacyjny odrzucił regres Gdańszczan do sejmu i wydał kontumacyjny dekret *restitutionis ecclesiae* przywrócenia kościoła P. M. katolikom ze wszystkiemi dobrami, inwentarzami, dochodami i t. d. pod karą 100.000 złp.“ [2]. Biskup, który już na Pomorzu w księstwie lawenburskiem i bytomskiem, odebrał heretykom trzydzieści kilka kościołów, zabrał się tem odważniej do wykonania dekretu, i zawezwał Gdańszczan do siebie, a gdy po trzykrotnej cytacyi nikt się nie stawił, intymował im takowy. Oni próbują biskupa przejednać pieniędzmi, ofiarują najprzód 6.000 potem 10.000 złp. na odbudowanie kościoła św. Brygidy, byle Jezuitów tam nie osadzał, szkół ich nie otwierał, a zarząd dóbr klasztornych po dawnemu przy nich zostawił. Biskup im na to: sprawa Brygidek niema nic wspólnego z kościołem Panny Maryi, oni ten kościół oddać muszą z dobrami, dochodami, srebrami i aparatami; przywrócić muszą jurysdykcyę biskupią w Gdańsku, a znieść opresye heretyckiego konsystorza, który katolikom publicznych pogrzebów i noszenia Najśw. Sakramentu do chorych zabronił; zabezpieczyć edyktem magistratu swobodny pobyt katolickim księżom, których gmin napastuje i wyszydza, iż ulicą spokojnie przejść nie mogą. Gdańszczanie próbują jeszcze układów w Oliwie, gdzie biskup u opata Konarskiego chwilowo bawił. Biskup widząc ich upór, zaskarżył ich przed królem.

Gdańszczanie ślą co prędzej swych delegatów do króla JM., do kanclerza i podkanclerzego i wnoszą sprawę raz jeszcze

---

[1] Msk. Bibl. Ossol. 96. *Catalogus tertius* 1597.

[2] Archiwum gdańskie. Tt. 6, str. 154.

do sądów asesorskich. Ale król odpowiedział, że wkraczać w jurysdykcyę biskupów niema prawa, a sąd asesorski odesłał ich *cum mandato per modum prosecutionis* na sejm 1595. Więc oni wyprawiają ablegata swego na ów sejm do Krakowa. Źle trafili; pamiętano im despekt wyrządzony królowi przed dwoma laty tumultem w Gdańsku, ablegat dostał się do więzienia, w senacie dały się słyszeć głosy, aby zuchwałemu miastu odebrać przywileje i ukarać je znaczną grzywną, sejm w sobotę przed niedzielą palmową *ex solemnissimis controversiis* zatwierdził kontumacyjny dekret 1594 r. i kazał go wykonać [1], król uczynił to samo dekretem 1597 r., jednak zwyczajem swoim *benignitate potius et clementia,* łaskawością się powodując kazał ablegata puścić wolno, i nie używać represaliów przeciw miastu, które przez wzgląd na sprawy szwedzkie oszczędzać musiał, bo nawet za ów tumult gdański 1593 r. dał mu dekretem 1598 r. zupełne rozgrzeszenie [2].

Zrozumieli to Gdańszczanie, którzy tylko przed siłą ustępowali, więc wtenczas i potem wszelkie edykta króla, sejmu i biskupa w sprawie kościoła P. M., Brygidek i Jezuitów za nic sobie mieli i przeparli swoje. Gdy bowiem do ściągnięcia z nich nałożonej dekretem kontumacyjnym grzywny 100.000 złp. zabierał się wojewoda pomorski Ludwik Mortęski i obłożył sekwestrem dochody miasta i jego okręgu, oni wyjednywali sobie u dworu zwłokę z roku na rok a kościoła nie oddali nawet królowi, który 1598 jadąc do Szwecyi, zatrzymał się w Gdańsku i o kościół ten się upominał, aż doczekali się śmierci biskupa Rozdrażewskiego w Rzymie 1600 r. [3]. Z nim pogrzebaną została

[1] Archiwum gdańskie. Tt. 6, str. 154.

[2] Pomimo odgrażań się na dworze króla i w senacie za ów tumult, „miasto znalazło środki wejść z dworem w tajemne układy, a gdy z wyrokiem w tej sprawie kilka lat zwlekano, otrzymało 1598 r. dekret króla JM., który uwalnia je od wszelkich skarg za ów tumult i zabezpiecza przed możliwemi następstwami". *Versuch einer Geschichte Danzigs* II, 358, 370, von Dr. Daniel Gralath.

[3] Biskup Rozdrażewski wybrał się do Rzymu na jubileusz. Rok przed śmiercią sporządził testament. Nie zapomniał o Jezuitach. „Dla dokończenia fundacyi kolegium gdańskiego, zapisuję wszystkie ruchomości

na długie lata sprawa oddania kościoła P. M. w Gdańsku, bo chociaż biskup kujawski Piotr Tylicki uzyskał dekret sądu asesorskiego z dnia 30 lipca 1605 r. uwalniający Gdańszczan od grzywny 100.000, ale nakazujący bezwłoczne oddanie kościoła P. M. katolikom, to oni i grzywny nie złożyli i kościoła nieoddali [1].

Nie lepiej powiodła się sprawa reformy klasztoru Brygidek. Mieszkały w nim, jak wspomniałem, tylko 4 zakonnice, Niemki, pod ksienią Julią Sperling, dosyć teraz spokojne z obawy przed biskupem, ale bez rzetelnej odmiany na lepsze i bez nowicyatu, zasłaniając się ubóstwem. Tymczasem rewindykacya dóbr klasztornych, pomimo dekretu królewskiego z r. 1592 nie nastąpiła wcale, magistrat ich nie oddawał, wadyum czyli grzywny 20.000 złp. za nieprawne zatrzymanie tych dóbr nikt nie egzekwował, bo król przeciw Gdańszczanom nie pozwalał użyć represaliów. Nowy biskup kujawski Jan Tarnowski łagodnością swą i pobłażliwością rozzuchwalił tylko Gdańszczan; przez swoich prowizorów administrowali po dawnemu dobra klasztorne.

---

moje w złocie, srebrze i pieniądzach, firankach i kotarach, sukniach, księgach, mapach, kosmografiach, obrazach i innych sprzętach nawet naukowych", które legatami innemi nie są rozdzielone. Skromniejsze suknie rozdać należy uboższym a wzorowym kapłanom w dyecezyi. Gdyby fundacya kolegium w Gdańsku nie doszła do skutku, to cały ten zapis przechodzi na kolegia w Polsce i w Prusiech według dyspozycyi jenerała. Ponieważ on sam słuchał nauk w kolegium rzymskiem, przeto legował tamże 1000 dukatów na jedno stypendyum, na alumna z rodziny Rozdrażewskich. Dla domu profesów w Rzymie, „przez wdzięczność", zapisał kielich wagi 310 dukatów węgierskich. Bibliotekę całą przeznaczył dla kolegium gdańskiego, tylko oficyałowi swemu Ujejskiemu pozwolił z niej wybrać sobie 12 książek, ale i te po śmierci oficyała wrócić mają do biblioteki Ojców w Gdańsku.

Wykonawcą testamentu zamianował za pozwoleniem jenerała, brata swego, Jezuitę Stanisława Rozdrażewskiego, i na rozjazdy przeznaczył 200 dukatów. Ale ten częścią starszy wiekiem, częścią nieświadomy tych spraw powikłał je tylko i 1607 r. uwolnił się z tego ciężaru. (Notatki O. Walla. Wielewicki II, 4, 234).

[1] Archiwum gdańskie. Tt. 6, str. 154.

Dopiero 1713 r. biskup kuj. Konstanty Szaniawski odgrzebał tę sprawę i uzyskał dekret sądów asesorskich, nakazujący oddanie kościoła P. M. katolikom, intymował go Gdańszczanom. Oni wzięli go *ad deliberandum* a kościoła nie oddawali. Biskup na sejmie 1716 r. błagał króla i sąd sejmowy, aby przecie do wykonania dekretu zbrojną siłą *(mit maechtiger Hand)* przystąpiono. Nadaremnie.

Tak stały rzeczy w Gdańsku, gdy książe Karol Sudermański, stryj Zygmunta III., przywłaszczywszy sobie rządy królewskie w Szwecyi i najechawszy Inflanty, wygnał zakonnice Brygidki z dawnego klasztoru w Wadstenie r. 1595[1]. Nieszczęśliwe wygnanki udały się pod opiekę polskiej królowej Anny Jagiellonki, i za jej pośrednictwem z łaski króla ośm z nich znalazło przytułek w gdańskim klasztorze Brygidek. Nie najlepszy duch był między niemi. Przywiozły z sobą kapelana ks. Magnusa, który swą rozwiązłością gorszył katolików, siebie i klasztor podawał w pośmiewisko lutrom i kalwinom. One snać nie wiedziały o tem; więc podczas kiedy jedne z gorliwą zakonnicą Katarzyną Engeldorf garnęły się do Jezuitów, to drugie z starą ksienią Julią Sperling od nich stroniły. Bądź co bądź zakonnice zabrały się do odbudowania spalonego klasztoru 1602 r. według planu brata jezuickiego Jana Maria Bernardone a biskup Tarnowski przyszedł im w pomoc ofiarą 12.000 złp. Morowe powietrze, które srożyło się aż do marca 1603 r. przeszkodziło fabryce, na domiar złego zapadło się nowe sklepienie nad prezbyteryum, z biedą zdołano je dźwignąć w jesieni i urządzić prezbyteryum na kaplicę, w której Jezuici wydaleni z kaplicy angiejskiej przez Dominikanów, odprawiali funkcye kapłańskie. Zyskiwali oni coraz więcej na szacunku u katolików, na nienawiści u heretyków, których wezwali na dysputę z tej okazyi.

Trzech studentów brunsberskich przybyło 1599 r. do Gdańska zwiedzić miasto, wychwalali przed znajomymi szkoły i mistrzów swoich. Minister kalwiński Schmidt karcił ich za to z ambony i przegrażał się, że w publicznej dyspucie wykaże głupotę i barbarzyństwo ich i Jezuitów. Więc nie czekając, oni go pierwsi wyzwali na dysputę o „papieżu“. Kalwin czerpał swe zarzuty z książki Belarmina, na inne się zdobyć nie umiał; wykazano mu to i w śmiech go podano. Dwóch młodych lutrów wzięło z tej dysputy pochop do przejścia na katolicyzm.

[1] Założyła go św. Brygida kogo 1350 r. na 60 zakonnic, z oddzielnym klasztorem na 13 kapłanów, 4 dyakonów, 8 braci na pamiątkę 13 apostołów, wliczając do nich św. Pawła i 72 uczniów.

Podczas zarazy, która w Gdańsku dla braku kanalizacyi i dobrej wody ponawiała się często i srożyła bardziej jak indziej, sześciu Jezuitów poświęciło się usłudze zadżumionym bez różnicy wyznań, dwóch z nich: O. Samuel Paresmi (może Paresny) Polak i Brat Wojciech Kodwieski padli ofiarą. Zaimponowało to heretykom, których ministrowie z żonami i dziećmi wynieśli się jedni z najpierwszych z zadżumionego miasta, więc nawróciło się ich kilku, a między nimi zamożnej rodziny syn Joachim Liseman, który wnet po swej konwersyi, wracając do domu, zarazą dotknięty w drodze umarł.

Istniało, jak wspomniałem, od r. 1592 luterskie gimnazyum „maryańskie“. Pomimo argusowego oka luterskich profesorów, nawiązali Ojcowie stosunki z niektórymi z klas wyższych uczniami i obrabiając z nimi „metodą naukową“ sporne kwestye o papieżu, kościele, sakramencie ołtarza i t. d., nawrócili kilku, ci zaś na dysputach szkolnych miesięcznych atakowali swoich profesorów. Zreformowawszy jako się rzekło, klasztor oliwski, przywrócili też Jezuici zaniedbaną od lat 40 procesyę Bożego Ciała, na którą młodzież szkolna luterska i wielu lutrów pomimo zakazu pastorów z Gdańska przychodziła. Wszystko to nie podobało się okrutnie magistratowi.

Tymczasem odbudowano kościół św. Brygidy, benedykował go proboszcz Mileniusz i w wielki czwartek 1604 r., pierwsze odprawił w nim nabożeństwo, ale w klasztorze Panien źle się działo. Wichrzył i mącił ks. Magnus. Mieszał się do zakonnic i tworzył sobie partyę miejski prowizor dóbr klasztornych, luter zaciekły Jędrzej Engelcke. Gorszące życie Magnusa doszło nareszcie do wiadomości zakonnic; przeorysza Dorota Sperling strofowała go kilkakrotnie, gdy to nie pomogło, odniosła się do biskupa podówczas Tylickiego. Magnus z obawy kary zrezygnował z kapelanii, ale podsuwał na swe miejsce podobnego sobie rozpustnika ks. Statlera. Nie chciały go przyjąć Niemki i prosiły oficyała Mileniusza o pomoc i Jezuitów, którą dotąd odrzucały. Za pozwoleniem tedy biskupa Jezuici zajęli się pieczą duchowną zakonnic, nakłonili je do odprawienia rekolekcyj i spowiedzi

z całego życia. Wtem z początkiem 1606 r. umiera ksieni Julia Sperling, obrano na jej miejsce Dorotę Sperling a na przeoryszę dzielną, gorliwą Katarzynę Engeldorf. Te przy pomocy Jezuitów, którym kapelanię opuszczoną po wyjeździe ks. Magnusa oddały na mieszkanie, zaprowadzają ścisłą klauzurę i inne zwyczaje zakonne, otwierają a raczej urządzają nowicyat, do którego wnet kilka młodych wstąpiło panien. Widzą to lutrzy, więc przez ks. Statlera i prowizora Engelcke podsuwają ksieni i mniej chętnym reformie zakonnicom, że Jezuici pod pozorem zakonności, czyhają na ich dobra i mienie, że już zakupili dokoła domy pod swe kolegium, niechże się więc strzegą i zawczasu się ich pozbędą. Magistrat zaś, który, jak wiemy, postanowił nie dopuścić do kolegium jezuickiego w mieście, urzędowem pismem zapytał ksienię, na jakiej podstawie Jezuici zajmują się klasztorem? Na to ksieni pismem z d. 23 lutego 1606 odpowiada, że na ich własne usilne u biskupa prośby, otrzymały w Jezuitach tyle im potrzebną pomoc duchowną, że zajmowaną przez ks. Magnusa kapelanię dały im na mieszkanie, oni zaś dobrowolnie ofiarowali im na 3 lata pożyczkę 100 złp., za które odrestaurowały chór zakonny. Magistrat dalej napierał przez Engelckego, aby Jezuitów z kapelanii klasztornej wyrzuciły. Oparły się temu a głównie przeorysza. Więc magistrat, który już na sejmach 1601, 1603 i 1606 r. w grawaminach miast pruskich domagał się wypędzenia Jezuitów z Gdańska, postanowił dokonać tego teraz, gdy król, rząd i stany zaprzątnieni gaszeniem pożaru rokoszowego, ogarniającego całą Rzeczpospolitą, i zacytował Jezuitów do swej kuryi. Oni nie stanęli, jeno w prywatnej rozmowie z burmistrzem wyłożyli rzetelny stan rzeczy. Nic to nie pomogło. Magistrat wydaje 18 sierpnia 1606 dekret wydalający Jezuitów z klasztoru Brygidek i przybić każe na drzwiach kościoła św. Brygidy [1]. „Zawezwaliśmy was OO. Kryspina Iunga i Ambrożego i nie stawiliście się. Przeto przestrzegając prawa

[1] Motywa dekretu te. Jezuici nie mają nic wspólnego z Brygidkami. Przybysze są, nieznani dotąd w Gdańsku; nie mieli tu kościoła ani parafii. Bez wiedzy magistratu urządzili sobie w klasztorze rezydencyę. Zaprowa-

naszego patronatu, i spokoju miasta, nakazujemy wam, abyście w ciągu trzech dni opuścili kościół i klasztor św. Brygidy i posiadłości jego, pod grozą egzekucyi i kar". Podpisano: „Burmistrze i rajce miasta".

Proboszcz Mileniusz zdarł ów dekret, odczytał go i zrefutował z ambony, przeniósł się sam na kapelanię i objął w zarząd kościółek św. Magdaleny, słowem, osobą swoją zasłonił Jezuitów, którzy 20 sierpnia odprawili ostatnie nabożeństwo w kościele św. Brygidy. Zakonnice z swej strony dopraszały się, aby im Jezuitów przynajmniej jako spowiedników zostawiono. Odmówił magistrat przez rajcę Engelckego, który straszył biedne zakonnice tumultem. One więc udały się o ratunek do opatów Oliwy i Peplina, Konarskiego i Mikołaja Kostki, i do sekretarza królewskiego, nawróconego już do wiary katolickiej, Heidensteina. Wszyscy trzej przybyli na ratusz gdański i w mądrej mowie dowodzą senatowi i radzie miejskiej, że wolność sumienia, reguła zakonna Brygidek, wzgląd na rokoszowe zaburzenia, domaga się cofnięcia dekretu z 18 sierpnia. Mądrych słów nie poparli siłą zbrojną, więc przez rajcę Lindemana dano im nazajutrz odmowną w tonie szorstkim odpowiedź, powtarzając motywa dekretu i zapowiadając wydalenie Jezuitów nietylko z klasztoru, ale z murów miasta, bo gwoli nich dzieją się tumulty w Francyi, Włoszech, Moskwie, świeżo teraz w Toruniu; bo pod osłoną religii waśnią rodziny, synów odrywają od ojców. Na dalsze remonstracye trzech owych pośredników odpowiedział zuchwale: „nic tu po dysputach, w Gdańsku rządzi magistrat, na osoby się nie ogląda, Jezuitów winnych karze i wyrzuca" [1].

Nie lepszy skutek odniósł surowy list biskupa kujawskiego Tylickiego pod datą 25 listopada do burmistrzów i rady gdańskiej, domagający się przywrócenia Jezuitów do klasztoru św. Bry-

---

dzili w kościele niebywałe dotąd muzyki i spiewy. Mieszają się do spraw miejskich i psują jurysdykcyę magistratu do dóbr klasztoru. Zamierzają się tu osiąść na dobre. *Hist. resid. Gedan.*

[1] *Hist. collegii Gedan.*

gidy [1]. W samej radzie stanął w obronie Jezuitów odważnie, acz bez skutku, rajca Jan Schwarzwald, zamożny kupiec. Ten świadkiem będąc poświęcenia Jezuitów podczas morowej zarazy, począł ich szanować, stał się ich wielbicielem prawie, bywał u nich, podejmował u siebie gościnnie prowincyała O. Campano, dopomagał im, lutrem będąc, zwalczać kalwińskich ministrów w dysputach, sam skłaniał się bardzo do katolicyzmu, ale „dla niesprawiedliwych zysków“ zwlekał do ostatniej chwili. Jakoż czując się blizkim śmierci, przyzwał Jezuitę do łoża swego i już miał uczynić wyznanie wiary przed nim, gdy spostrzegła to rodzina i Jezuitę prawie gwałtem wyprowadziła z komnaty chorego. Schwarzwald umarł lutrem 17 lutego 1608 r.

Pomimo dekretu banicyjnego Jezuici pozostali w klasztorze, jako lokatorowie proboszcza Mileniusza i pomocnicy jego w duszpasterstwie. Aby ich wyrugować stamtąd, magistrat sprowadza z Belgii z klasztoru Augustynianów w Dendermonde kapelana dla zakonnic, ks. Pawła Jansena, prostaczego i głuchego starego wywłokę, wyrzuca siłą i mocą z kapelanii proboszcza Mileniusza, którego przy tem wyrzucaniu obito kijmi, i wprowadza tam onego Belgę. Wstyd było gdańskim Augustynianom za swego konfratra intruza, więc przeor ich, O. Jakób Pretoriusz i świecki ks. wikary Jędrzej Antander okazywali Jezuitom największą życzliwość i w czem mogli, nieśli im pomoc.

Tymczasem zapadła konstytucya sejmowa r. 1607 przeciw Toruniowi i miastom pruskim, „Restytucya *expulsionis Patrum Societatis Iesu*“, która była odpowiedzią na grawamina miast pruskich od r. 1601 do króla i na sejmy wnoszone, i surowem potępieniem ich gwałtów na Jezuitach dokonanych [1]. Cóż, kiedy uchwały tej nie poparła siła zbrojna, a tylko tej ustępował magistrat gdański. Więc i komisarza królewskiego Szczepańskiego, starostę mirakowskiego, zbył niczem, pomimo że przywiózł z sobą list żelazny króla JM., datowany 8 kwietnia 1608 r., powiadamiający miasto, „że z słusznych powodów przyjęliśmy w opiekę

[1] Archiwum miasta Gdańska. Msk. T. J. bez tytułu.
[2] *Vol. leg.* III, 440.

i protekcyę naszą królewską WW. OO. Kryspina Boltera, Jana Ubera, Jana Zembowskiego, Piotra Wredę, Jerzego Junga, Marcina Grabisza, Jerzego Rubucha, zamieszkałych w Gdańsku“ [1]. Nie ustąpił też magistrat prymasowi Baranowskiemu, który w liście z dnia 3 stycznia 1608 r. karcił surowo Gdańszczan: „odpędziliście prawych *ultra ius et fas* kapłanów, a wywłokę jakiegoś, prostaka i nieuka, sądziłbym, że apostatę, narzuciliście klasztorowi“ [2]. Owszem magistrat, jakby był w najsłuszniejszem swem prawie, miał czelność wzywać supliką z dn. 2 kwietnia 1608 r. prymasa, aby on z innymi senatorami dokazali tego u króla, iżby król „nietylko cofnął głośne i niebezpieczne cytacye przed sąd Torunian i zniósł takowe zupełnie, ale ażeby uwolnił miasta pruskie od Jezuitów i ich nieznośnych rezydencyj i szkół“ [3].

Upominał i biskup kujawski Wawrzyniec Gębicki zuchwałych Gdańszczan, aby uchwałę sejmu uszanowali i Jezuitów do klasztoru przywrócili, groził gniewem i sądem królewskim za ich dekret równie niesprawiedliwie wydany, jak zuchwale wykonany, ale „śpiewał głuchemu“. Owszem za poradą magistratu, ów mnich, kapelan Jansen oświadczył się listownie biskupowi z gotowością do posługi duchownej w jego dyecezyi, nie długo jednak potem umarł 1609 r. Zakonnice ukrywały śmierć jego i dopiero po roku pogrzeb mu wyprawiły, ażeby uniknąć sekatur magistratu. Tymczasem opatrywali ich duchowne potrzeby Jezuici, którzy w charakterze pomocników proboszcza Mileniusza mieszkali na probostwie, gdzie w obszernej izbie, urządzonej na kaplicę publiczną, słuchali spowiedzi, mówili kazania, chrzcili dzieci, dawali śluby, wyjeżdżali też na pracę kapłańską do swych Gemlic i okolicznych kościołów, nawracali co roku po 30 i więcej heretyków żywem słowem i książeczkami religijnemi, które między nich rozrzucali.

Tak się skończył pierwszy akt walki Gdańszczan z Jezuitami.

Ks. St. Załęski.

---

[1] Archiwum gdańskie. Tt. 7.

[2] Tamże.

[3] *Hist. coll. Gedan.*

SNOBIZM.

Że poza istniała od początku świata, świadczy o tem choćby napuszysta mowa wszystkich ludów wschodnich, ich prozopopeja w każdym ruchu i czynie; świadczy z drugiej strony beczka Dyogenesa, poza prostoty u Spartan i solennej cnoty u stoików. Poza na elegancyę i na wykwintność istniała też od niepamiętnych czasów, równie jak i poza wielkości. Dziś zaś z wielu póz razem utworzył się jeden wielki gatunek pozy, który z tegoczesną manią określania i katalogowania wszystkich objawów psychologicznych podciągnięto pod nazwę: s n o b i z m u. Miano to pochodzi od angielskiego wyrazu *snob*, oznaczającego człowieka próżnego, patrzącego z pewną wyższością na równych sobie, ze wzgardą na niższych a z obrzydzeniem na wszystko, co choć z pozoru nie jest wykwintnem i świetnem. W pierwszej połowie tego wieku, chłopcy w szkołach rzucali sobie wzajemnie tę nazwę, jako dotkliwą obelgę. I mieli słuszność; nie wytworność bowiem w strojach i obejściu stanowiła główną cechę snoba, ale właśnie owa zarozumiałość, owo lekceważenie ludzi i uczuć wychodzących poza szczupłą, urojonym ale surowym kodeksem zakreśloną sferę. Utrzymanie się w niej samemu zdało się być główną sprawą życia; honor snoba wymagał, aby raz przywdziawszy niedogodny gorset moralny, nie zrzucać go do śmierci.

Jak wszystko na świecie, tak i snobizm ma swoją genezę. Po wsze czasy miarą szacunku, jakiego się można było od bliźnich spodziewać, było powodzenie. Pomimo więc, iż staro-

żytni dla pociechy pokrzywdzonych przedstawiali Fortunę z zawiązanemi oczami, każdy przecież dla jej ulubieńców zachowywał swe hołdy, każdy usiłował ich naśladować w zewnętrznych formach życia. Tak stworzyła się moda, której nigdy przywódców ni szeregowców nie brakło; Alcybiades nie był zapewne pierwszym w swoim rodzaju. Poszczególne typy, do dzisiejszych snobów zbliżone, można było spotkać nietylko w Grecyi i w Rzymie, ale i w średnich wiekach wśród elegantów paradujących w piórach, dzwonkach i t. zw. p o l s k i c h b u t a c h [1] z długiemi szpicami, a więcej może jeszcze wśród „towarzystwa wzajemnej admiracyi", jakim bez wątpienia był świat Renesansu. Taki poeta z chlubnym wieńcem wawrzynu na trefionych włosach, artysta ubóstwiany na urbińskim lub florenckim dworze mieli wokoło siebie liczne grona ludzi, z których część przynajmniej potrzebowała ciągłego wysiłku, aby się utrzymać bez „zblamowania" na umysłowych szczytach wyrafinowania, na jakich gościła współczesna moda. W Hiszpanii za Filipa II. zapanowała podobna do angielskiego snobizmu sztywność i wyłączność w obejściu, której przecież nie podlegała złota młodzież, zapatrzona w wytworność słynnego wdziękiem Don Juana d'Austria. We Francyi znów obyczaj był inszy. Tu nasz „nieboszczyk" Henryk Walezyusz zmienił się w taką elegancką maszkarę o pomalowanej twarzy i brwiach, o złotych kolcach i fantastycznie ufryzowanych włosach, że tenże Don Juan przejeżdżając raz *incognito* przez Francyę zasmarował na czarno swe cudne oblicze, aby pod postacią murzyna udać się do dworu wraz z świtą ambasadora hiszpańskiego i módz to dziwo własnemi oczami oglądać. Nie brak elegantów i u nas u dworu Zygmuntów, chociaż Górnicki pisze o Polakach, że *„delicatum palatum* nie dawno mieć poczęli"; chyba na całym Zachodzie nie było człowieka bardziej moralnie i fizycznie wykwintnego, jak Jan Zamojski. Nieco później zaś Sobieski i Morstin przedstawiali dwa odrębne typy wytworności, które niejednemu za model służyły.

We Francyi po zniknięciu niesympatycznych *mignons* Wa-

[1] Francuzi zwali je *bottes à poulaines ou pointes polonaises.*

lezyusza nastąpiły rycerskie lata Henryka IV., w których młodzież biła się, hulała i romansowała tak, że jej czasu na modne wymysły nie stało. Za Ludwika XIII. rzeczy już się zmieniły: z jednej strony ustawiczna wojna wyczerpywała krew i zamożność kraju, a z drugiej ciężka dłoń kardynała tłumiła w szlachcie wszelkie samoistne porywy, przysposabiała dla niej smutną epokę dworactwa. Wkrótce dwór, kędy państwo centralizowało się w jednym królu, stał się i *centrum* mody. Wszelka, zbyt często ruiną majątkową okupiona wytworność zbytku, wszelki wysiłek literackiego i artystycznego talentu, wszelkie bohaterskie czyny wojenne ściągały do jednego celu: zwrócenie na siebie promiennego uśmiechu „króla-słońca“. Taki cel pomimo wielkości monarchy był zawsze małym; nie dziw więc, że i poziom smaku powoli się zniżał, że przestano podziwiać to, co p i ę k n e, a poprzestano na ł a d n e m. Rycerz przybrał się w puder i koronki, słuchając czułych wierszyków zalewał się łzami, za lada wzruszeniem udawał, że mdleje. Było to oczywiście pozą, wdziewaną do salonu wraz z woniejącą peruką i atłasowym frakiem: ludzie ci w gruncie nie byli zniewieścieli, ale zniewieściałość uważali za szczyt elegancyi, za konieczną ozdobę swej męzkiej cnoty. Wszyscy służyli królowi a w królu ojczyźnie lub sobie — według sumienia. U kobiet wyrafinowanie przechodziło w przesadę, której zawdzięczamy *Les précieuses ridicules*, lekką a wesołą satyrę Molièra. Im dalej pod tym względem, tem gorzej. Pod nowym, mniejszym monarchą, moda bardziej jeszcze maleje; ścieśnione ramy smaku więżą dowcip podobnie, jak stroje pań krępują ich ruchy, a nowatorski prąd J. Jakuba Rousseau dodaje tylko świeży, dziecinny ton do delikatnego kolorytu obrazu. Zjawiają się pasterze w atłasach obok kwiecistych pasterek, czułostkowość staje się jedynym przyjętym wyrazem uczucia: kto nie jest *sensible*, ten nie zasługuje na miano człowieka. Prawda, iż inny wyraz: *vertu* (cnota) pozostaje nadal synonimem szlachetnego męztwa, że ci utrefieni, upudrowani, upstrzeni eleganci potrafią wkrótce z bohaterską godnością umrzeć pod gilotyną, że z dworskiej wykwintności pozostanie im tyle, iż 17-letnia dziewczyna wieziona na śmierć zdoła jeszcze innej skazanej

rzucić ustami świeży pączek róży w ostatni dowód podziwu dla jej słynnej piękności.

Morze krwi przez rewolucyą wylane nie zdusiło od razu subtelnej woni wersalskiego wykwitu; sam Robespierre zasiadał do trybunału śmierci z pękiem fiołków u boku, a ledwie chmury nieco rzednieć poczęły, już za Dyrektoryatu ukazało się nowe wcielenie mody: *les incroyables.* Był to jednak typ od poprzednich odmienny. Złożeni z pomieszanych szczątków zdziesiątkowanego społeczeństwa, nie pytali nikogo, kto on zacz ani kto go rodzi, nie bawili się w misterne wierszyki i perfumowane dowcipy, ale pełnemi piersiami oddychali bezpieczeństwem życia, cieszyli się względną swobodą i słońcem, jak więzień z krwawego lochu puszczony. Inna też zaszła zmiana; Paryż, na wzór którego od lat wielu modelowały się europejskie stolice, obecnie sam wzoru strojów zaczerpnął z za morza, przyjął bez szemrania dziwaczne kształty ubioru, ohydne cylindry i krawaty potwornych rozmiarów. Przyjął i szorstkość angielską, do której ludziom po większej części świeżo wyszłym z ludu, łatwiej się było dostroić, niż do zabitej przez rewolucyę wykwintności markizów. Z Napoleonem nastało naśladowanie rzymskiego *imperium;* damy przyoblekły się w starożytne szaty, a mężczyźni zamienili frak na tornister — wpływ Anglii chwilowo się przerwał. Za to z Restauracyą Burbonów przypłynęła go wielka fala, przyniosła znów szpetne mody, osobny rodzaj zmysłu praktycznego, a z nim zarodki dzisiejszego „snobizmu".

Ziarno rzucone w ziemię, nie zawsze od razu kiełkuje. I tu czekać było trzeba na wzrost zasiewu. Francuzi mieli z natury zmysłu praktycznego sporo, ten jednak służył im dotąd na tyle, aby spokojni o byt materyalny mogli swobodnie zaspakajać swe duchowe potrzeby i umysłowe zachcianki. Zachcianki zaś te najwyższego dosięgły szczytu w latach romantyzmu, wyznającego dla dóbr ziemskich pogardę, za którą mu się potem materyalizm sowicie odpłacił. Zaledwie echa przestały powtarzać pieśni Lamartina i Wiktora Hugo, wnet dała się uczuć reakcya. Huczne zabawy, widowiska i użycie zmysłowe zastąpiły umysłowe uciechy, a że do tych wszystkich rozkoszy po-

trzeba przedewszystkiem pieniędzy, jeszcze i zawsze pieniędzy, przeto rzucono się w przedsiębiorstwa hazardowne, w grę na giełdzie, w zakładanie towarzystw akcyjnych, opartych po części na fikcyi, słowem — na wszelki sposób gromadzenia bogactw, dozwalający nie opuszczać stolicy a w niej teatrów i klubów. Skala powodzenia w karkołomnych wyścigach za złotem, wywoływała głębsze lub płytsze ukłony tłumu, a jeśli jaki biedak przytem kości potrzaskał, spychano go czemprędzej z drogi i wnet współzawodnik miejsce jego zajmował. Trwało tak przez szereg lat, aż wreszcie wyniesienie się jednych i ruina drugich przestały widzów zajmować, i wtedy nastąpił okres nowy, w którym na żyźnie przysposobionym gruncie, dawna importacya z Anglii, snobizm, w całej pełni zakwitła.

Roślina jednak przeniesiona pod obce niebo odmienny nieco, niż w ojczystej ziemi, przybrała wygląd. Angielski snob był, jak mówiliśmy, szorstki i dumny, poniekąd zaśniedziały w swych pojęciach i przyzwyczajeniach, wyłączny w doborze towarzystwa. W Paryżu za to znacznie odtajał i jeśli rzec można, moralnie „spospolicial"; życie dla niego zda się wielkim stołem biesiadnym, za którym wszystko mu jedno, że obok niego zasiądzie zbój albo złodziej, byle miał frak w porządku, kwiat gardenii u boku a w kieszeni dość złota, aby go nie było potrzeba ze skandalem za drzwi wyrzucić. Nie każdy uwierzy, że obecny świat elegancki Paryża jest prócz kilku wyjątków rdzennym Paryżanom z klas wyższych zupełnie obcym. Przed napływową falą usuwają sie coraz bardziej w głąb, jak w Ameryce Północnej Indyanie. „Jesteśmy zepchnięci — mówił niedawno jeden z członków arystokracyi francuskiej — wkrótce już dla nas we własnem mieście kąta nie stanie". Żalów tych, ma się rozumieć, nie powtórzy rzemieślnik lub kupiec, żyjący z kosmopolitycznego tłumu, jak Norwegczyk ze sztokfisza lub śledzia. Pomimo więc, iż wielkie, historyczne rody uciekają na wieś sadzić buraki i dąsać się na rzeczpospolitą, pomimo że stare, zamożne, w powadze obyczajów zakute rodziny mieszczańskie odosobniają się coraz więcej od świata ruchu i mody — Paryż przecież nie przestaje temu światu się uśmiechać i wedle gustu jego się stroić.

Ongi w każdej stolicy istniało t. zw. „towarzystwo“, to jest mniej lub więcej liczne grono ludzi, równych sobie niekoniecznie rodem lub majątkiem, lecz obyczajową i umysłową ogładą. Takie „towarzystwo“ gromadziło się w pełnym komplecie na pewne uroczystości i większe zabawy; na codzień zaś dzieliło się na pomniejsze grupy czyli „koterye“, które między sobą nieraz srogą prowadziły wojnę — na plotki. W każdej takiej koteryi tworzyli się męskiego lub żeńskiego rodzaju przywódcy, niektórzy zdołali całemu towarzystwu przodować, wskutek czego utrzymywała się pewna łączność zasad, obyczajów i tonu. To wszystko było jednak możliwe tylko przy stałem zamieszkaniu miasta przez rodziny lub osoby z dawien dawna osiadłe albo później przybyłe, a dzięki stosunkom lub osobistym zaletom w skład towarzystwa przyjęte, co przecież w niektórych stolicach, jak np. w Wenecyi i Wiedniu odbywało się zawsze z trudnością. Warto jednak było, zwłaszcza w Wenecyi, trochę się postarać, było to bowiem pod względem społecznym coś jakby przyjęcie do gildy. Dziś wobec ustawicznej fluktuacyi w świecie, gdzie ludzie ukazują się nieraz, jak meteory, i zabłysnąwszy chwilę, znikają bez wieści, gdzie najsprzeczniejsze żywioły sąsiadują chwilowo, gdzie wreszcie warunkiem przyjęcia jest nie ogłada, lecz dostatek lub jego pozory, a łącznikiem li tylko zabawa — tam podobne urządzenie istnieć nie może. Teraz ludzie mało się znają, ale za to cały świat elegancki chodzi stadem, nie licząc się ani badając wzajemnie. Wszyscy znajomi i nieznajomi o jednej godzinie wyjeżdżają na spacer, jednego dnia jadą na wyścigi, na też same sztuki zakupują wszystkie loże teatru. Otóż ten świat ruchliwy, zmieniający się co do osób, a zawsze co do jakości jednaki, jest właściwą ojczyzną dzisiejszego snoba. Pracą jego żywota, nieraz ciężkiemi okupioną ofiarami, jest pozostać w nim do końca, utrzymując się na wysokości ogólnego zbytku, ustawicznych zmian mody i każdodziennych nowostek. Sama ta szablonowość niemałego już wymaga wysiłku, a przecież nie jest jeszcze wystarczającą. Prawdziwy snob pragnie zawsze czemś się wyróżniać, delikatnie wprawdzie tak, aby nikogo nie zrazić. Stąd dziwna giętkość w przybieraniu

coraz to nowej barwy; to się otoczy wonią, jedwabiami i miękkością Wschodu, to zamieniony w Anglika odda się wszelkim rodzajom sportu z powagą i gorliwością, godną lepszej sprawy, to znów będzie zadziwiał swoje niezbyt uczone audytoryum wiadomościami z ksiąg hebrajskich albo arabskich (o których dowiedział się zapewne z przejrzanego przypadkiem artykułu z *Revue des revues*), lub też będzie wypowiadał nader misterne uwagi o licznych kompozytorach muzyki z pewnością siebie, oblewającą rumieńcem wstydu biednych śmiertelników, słyszących po raz pierwszy wymieniane przezeń nazwiska. Jeżeli moda padnie na okultyzm, na różne czary i magnetyczne próby, wnet na obliczu snoba rozlewa się pewna tajemniczość, w oczach jego znać odcień grozy, a ze zdań niejasnych i urywanych można wnioskować, że posiadł wszystkie arkana czarnoksięskiej sztuki. Wiele w tem jest komedyi, a wiele autosuggestyi, rozeznać trudno, boć i on sam nie zdaje sobie sprawy.

Zasad i przekonań silnych próżnoby szukać w tym rodzaju człowieka, a jeśli ich trochę posiada, to się stara zakopać je w najgłębszych tajnikach duszy, aby mu w życiu codziennem nie stawały zaporą. Wprawdzie może to życie jego być osobiście prawie niewinne i tylko grzeszyć nicością; cóżby jednak począł z zasadami w świecie, gdzie mu codzień przychodzi ocierać się o zbrodniczo zdobyte miliony, o polityczne wotum zyskane przekupstwem, o zaszarganą cnotę niewieścią, strojną i dumną, bo otoczoną hołdami? Toć on nie bocian, aby świat czyścił, a zresztą to taki niewygodny sprzęt — przesądne sumienie... Pomimo to można od czasu do czasu chodzić do kościoła, jeśli tego chwilowa moda wymaga.

Oprócz ogólnego snobizmu, do którego zlewają się jak rzeki do morza wszystkie formy dekadentyzmu (Nordau powiedziałby zwyrodnienia) istnieją różne gatunki snobizmu częściowego. Ktoś np. będzie snobem na jednym punkcie, a zwykłym śmiertelnikiem na wszystkich innych, zupełnie jak fiksaci. I tak można być snobem literackim, snobem estetycznym lub artystycznym, snobem od psychologii, od praktyczności i nauk ścisłych, ba nawet od religii. Najprzedniejszym jest snob od este-

tyki, a najnieznośniejszym od nauk ścisłych. Dla snoba estetyka nie masz literackiej ani artystycznej wartości, krom tej — czasem bardzo niespodziewanej — którą on sam odkryje. Nieraz na obskurnem jakiemś pisemku będzie podkreślał wyrazy, na zapomnianym starym obrazku podziwiał namalowane paznogcie, a obok wielkich dzieł wstrząsających całe społeczeństwa przejdzie ze sceptycznym uśmiechem. Tak znamy jedną panią zarażoną snobizmem, której niepodobna było skłonić do przeczytania Sienkiewiczowskiej trylogii; ktoś inny zaś bawiący się w estetyka orzekł, że to jest „utwór barbarzyńca, mogący tylko patryotyzmem treści porwać czytelników". Wogóle wszelki poryw zapału, wzruszenia, każdy objaw ducha w sztuce jest panom tym wstrętny; ich zdaniem głębsza myśl psuje poezyę. Malarstwo i rzeźba winny wyrażać jedynie kształty, muzyka sztucznie złożone bezmyślne tony. Słowem tegoczesna metoda głosząca obojętność treści w sztuce jest wypływem snobizmu wielce niecierpliwiącym dla tych, którzy po staremu wierzą, iż sztuka jest jak człowiek złożona z ducha i z materyi i że chcąc ją mieć doskonałą, nie należy żadnej z tych części składowych odrzucać. Snobizm estetyczny rozciąga się na domowe sprzęty, na ubiór, na rozmowy i poruszenia drugich. Najlżejsza pogadanka z takim człowiekiem zdaje się pracą dla niego, a staje męką dla bliźnich; niepodobna bowiem powiedzieć, że coś jest ładnem, aby nie usłyszeć nad istotą piękna tak subtelnej rozprawy, że się ma ochotę przyznać od razu, że wszystko jest brzydkiem, a najbrzydszym on sam; nie można wymówić wyrazu „prawda", aby nań jak echo nie zabrzmiało zapytanie Piłata, a po niem znów dowodzenie, że absolutnej prawdy nie masz na świecie.

Snob artystyczny jest już lepszy, bo jego mania polega głównie na amatorskiem zwiedzaniu pracowni, na dowiadywaniu się, gdzie kto co maluje lub rzeźbi, na odgrywaniu roli cicerona po wystawach albo kościołach i tłómaczeniu doborowym swym gościom tego, czego nie rozumieją, i tego, co równie dobrze wiedzą, jak on. Snob literacko-dziennikarski jest już mniej niewinny, gdyż bardziej ruchliwy i zarozumiały. Snob polityczny — w salonie nudny, a w sprawach publicznych niebezpieczny dzięki

swej miłości własnej, wobec której nigdy nie można być pewnym, co jej gotów poświęcić. Snob praktyczny nakoniec — to plaga życia powszedniego dla otoczenia skazanego na wspólne z nim pożycie. Jest to „filisterstwo“ posunięte do godności dogmatu, nieuctwo w rzeczach umysłowych wyzywające i harde, tryumfująca pogarda wielbicieli siły materyalnej dla niepochwytnej dlań i niezrozumiałej siły moralnej. Trzeba widzieć z jaką dumą panowie ci, którzy w życiu sami nic nie wymyślili, przeciwstawiają wszelkim zdobyczom czysto duchowym praktyczne wynalazki w dziedzinie elektryczności, lub maszyn fabrycznych, z jaką pewnością twierdzą, iż w formułkach matematycznych, (których nie umieją) jest więcej myśli, niż w filozoficznych traktatach! Niejeden genialny wynalazca, oddający, jak np. Eddison, pokorny hołd Bogu za swoje wielkie pomysły, zadziwiłby się nie pomału słysząc, jakie *ex re* jego pracy ludzie plotą po świecie herezye. Jeśli snob tego rodzaju na pierwszy rzut oka książki lub artykułu jakiego nie pojmie, nie przyjdzie mu już na myśl drugi raz spróbować; raczej odłoży książkę i tonem, w którym dobrze znać, iż chce powiedzieć: „To dla mnie za głupie! — mówi z przekąsem: — Ja na to za głupi!“

Oprócz tych jest jeszcze głównie w Prusiech kwitnąca odmiana: snob wojskowy, którego właściwości zbyt ogólnie są znane, aby je wyliczać potrzeba. Jest wreszcie wspomniany „snob od religii“. W tajniki sumienia ludzkiego wchodzić niepodobna; trudno jednak nie widzieć i nie przyznać, że są indywidua, które rodzajem swej pobożności szkodzą sprawie Bożej na ziemi. Pierwszą oznaką takiego snobizmu jest to nietolerancya, krytykowanie Kościoła za zbytek pobłażliwości, lekceważące, poprawianie zdania najgorliwszych kapłanów, noszenie sztandaru wiary tak wysoko, aby z pod jego zwojów osoba chorążego uwydatnić się mogła: słowem tworzenie sobie ze swych zasad i cnoty stanowiska w świecie. Dawno już powiedziano, że: „Jedni żyją dla Kościoła, drudzy w Kościele, a trzeci — z Kościoła“...

Warto może zwrócić jeszcze uwagę na dwa typy, które i u nas spotkać można: snob-narodowiec i snob-kosmopolita. Pierwszy typ rekrutuje się głównie z młodzieży demokratycznej.

Niejeden maturzysta, nie mogący przenieść na sobie skromniejszego pochodzenia, robi z niego przez fałszywą ambicyę rodzaj czerwonej chorągiewki. Pod pozorem czystości własnego języka umyślnie źle wymawia cudzoziemskie nazwy z historyi lub geografii, szczyci się nieznajomością wszystkiego, co dalekie lub obce a pod osłoną obrony staropolskiej cnoty gardzi świeżą bielizną i mydłem: „Oto mój grzebień“ — chwalił się pewien młodzieniec tej kategoryi i mówiąc to pokazywał pięć palców... Taki pozuje ciągle na wydziedziczonego i z trudnością porzuca rolę dumnej a nieugiętej ofiary. Przeciwstawieniem tego rodzaju jest snob kosmopolita, okaz u nas nie bardzo liczny, wytwarzający się najczęściej wśród nowszej szlachty, rzadko (choć i to się trafia) wśród starej. Temu znów sprawia wstręt nietylko to, co jest rzeczywistym brakiem cywilizacyi w naszym narodzie, ale wszystko co jest odrębnem, co się nie da podciągnąć pod ogólny strychulec zachodniej mierności. Dla takiego obraz Matejki będzie zawsze „dziełem genialnem ale dzikiem“, powieść polska rzeczą „źle zrobioną“ — chyba dopiero przed urokiem barszczu i bigosu zatrzyma się w krytyce, zwłaszcza, gdy się z niemi spotka przy wielkopańskim stole, u którego jak najczęściej stara się zasiadać. Snob kosmopolita nie jest z natury pieczeniarzem, ale że brak cywilizacyi jest dla niego moralnem i fizycznem cierpieniem, a cywilizacyę tę w żądanym stopniu jedynie w wielkich domach w kraju znaleźć może, więc czepia się ich zawzięcie, przebaczając łaskawie przez wzgląd na porządek w służbie i schludność w mieszkaniach, staropolskie tradycye gospodarzy i rozwieszone po ścianach, miasto strojnych markizów, portrety kontuszowych hetmanów. Zresztą i tu mu ciasno, nawet w Warszawie, gdy nie ma wyścigów. Pociesza się skupowaniem od Żydów starych porcelan i makat, w kilku pokojach urządza sobie małe muzeum z najróżnorodniejszych gracików, wśród których znaleźć można i książki, cenione jednak nie według treści, ale starożytności wydania. Tu biedny snob wygnany z krain komfortu i słońca przepędza, gdy mu zaproszeń zabraknie, krótkie dni dzielące jego powrót z obczyzny od nowego wyjazdu. Trzeba już wielkich wstrząśnień, aby w nim wzbudzić iskrę patryo-

tyzmu na dnie duszy uśpioną. Wtedy tak z niego, jak z demokraty snobizm potrafi otrząść się na chwilę: obaj gotowi będą umrzeć dla ojczyzny. Szkoda tylko, że tymczasem żyć w niej nie umieją, że jeden ją opuszcza, a drugi w niej bruździ.

Charakterem ogólnym wszelkiego rodzaju snobizmu jest zatem poza, chęć zwrócenia na siebie uwagi, posunięta do chorobliwości, komedya odgrywana w każdej chwili i na każdem miejscu, przed ludźmi i przed samym sobą, a choć, jak mówiliśmy, dzisiejsza odmiana typu jest zupełnie nową, można do niej zastosować charakterystykę swojego czasu, podaną przez La Bruyère'a:

„Wszystko, co się o tego rodzaju ludziach powie, wydaje się niedostatecznem; są oni nieśmiali i uniżeni przed królami i ministrami, pewni siebie i dumni wobec ludzi bogatych tylko w zasługi, zakłopotani i niemi wobec uczonych, ożywieni, śmiali i stanowczy w zdaniu wobec prostaków. Mówią chętnie o strategii z prawnikiem, o polityce z finansistą, o historyi w gronie dam. Będą poetami z lekarzem, a geometrami z poetą. Nie obarczają się przepisami moralnemi; zasadami jeszcze mniej, żyją z dnia na dzień, pchani i porywani wiatrem powodzenia i urokiem dostatków; nie mają o niczem swojej własnej, przyrodzonej opinii; zapożyczają jej w miarę potrzeby i to nie od ludzi mądrych, zdatnych lub cnotliwych, ale od człowieka panującego chwilowo nad modą".

Dodając żywy przykład do starej charakterystyki, przytoczyć musimy z naszych czasów młodego snoba polskiej narodowości, który rozmawiając ze znajomym na głównym deptaku jednego z miejsc kąpielowych nagle zmieniał na chwilę ton i postawę przybierając akcent paryzki. Dopiero, gdy ten manewr parękroć się powtórzył, znajomy zmiarkował, że przyczyną jego było zbliżanie się bardzo eleganckich dam, przechadzających się po alei tam i napowrót. Tenże sam młodzieniec jadąc do sąsiedniego zamku na obiad wyuczał się słówek włoskich, aby je módz rzucać przy stole kamerdynerowi Włochowi, o którym wiedział przecież, że po francusku i nawet po polsku rozumie... Nie ma co mówić: dzisiejszy snob jest bardziej od dawnego naiwny.

Jedną z cech naszej epoki jest, że zaledwie jakaś rzecz, jakiś prąd społeczny czy umysłowy istnieć poczyna, już go krytyka chwyta w swoje szpony i ściąga zeń definicyę. Tak o snobizmie nie licząc La Bruyère'a, który tej nazwy nigdy nie słyszał — wyrosła już cała literatura. Pierwszy w tym przedmiocie napisał Thackeray swoją „Księgę snobów“ nieco zastarzałą dziś, lecz zawsze znaczącą. Dotknął go zlekka komedyopisarz Pailleron, a Gustaw Guiches całą już sztukę napisał pod tytułem „Snob“. Przedstawił on w niej literata z zawodu, wchodzącego w towarzystwo snobów w zamiarze zbierania wzorków, a mimowoli wciągniętego w wir i przekształcającego się w snoba. Prócz tego mamy powieść Piotra Vebera *Chez les Snobs* („U snobów“) pełną delikatnych odcieni, ale przytem zimną i suchą. Dalej wesołą satyrę *La Maitresse d'Esthetes* („Mistrzyni Estetów“) pana Gauthier-Villars (kryjącego się pod pseudonimem Willy) a w niej odmalowany potworny chaos głupoty i nieuctwa, zmięszany z mnóstwem wiadomości połapanych ze czterech wiatrów i utasowanych na los szczęścia w całość, mającą stanowić skarbnicę wiedzy estetycznego i intelektualnego snoba. Poważna krytyka oddając wszelkie pochwały sprytowi i bystrości sądu autora zarzuca mu nagromadzenie niepotrzebnie rażących szczegółów — czegóż to ludzie muszą teraz zawsze farby swoje w brudnem błocie wymieszać! — Ostatnią o snobizmie książkę we Francyi napisał Paweł Hervieu pod tytułem *La Betise humaine* („Ludzka głupota“), subtelnie, ale ostremi rysami skreślony obraz paryskiego, a raczej bawiącego się w Paryżu świata. Snobizmem nazywa p. Hervieu silenie się ludzi niższych czy to stanowiskiem, czy majątkiem czy też talentem i wiedzą, aby w oczach drugich wyższym od siebie dorównać, lub nawet bez wysiłku „samo uczucie rozkoszy objawiające się u niektórych, gdy się widzą, z przyrodzonego swego otoczenia przeniesionymi w inną sferę, pokaźniejszą i bardziej wytworną, w grono towarzyskie doborowe i nieco zamknięte“.

Pozostawałaby jeszcze ładna, uczciwa, ale nieco blada powieść Gréville'a *Snobs de province*, ważniejsza już komedya *Les dégénérés* i wielkie dzieło Nordau'a *Die Entartung*, dotykające

wszelkich owoców dekadentyzmu, któremi snobizm kolejno się pasie, ale o tych byłoby tu mówić zbyt długo i musielibyśmy zwracając na różne boki oddalić się od przedmiotu.

Za to trzeba nam w końcu zajrzeć choć pobieżnie do własnej literatury. Czy który z bohaterów Sienkiewicza zasługuje na miano snoba? Zdaje mi się chyba, że nie. Jest nim może odrobinę stary Pławicki z „Połanieckich“, ale na tem, co do mężczyzn koniec. Bogatszą już w snobizm jest pani Browiczowa, posiada przynajmniej wszystkie zasadnicze właściwości rzemiosła. Płoszowski jest dekadentem, jest wyrodzonym: *un dégénéré*, ale jest nim, bez pięcia się do niczego, bez udawania. Zostawmy tedy Sienkiewicza w spokoju. Ależ oto otwierając nowy zbiór powiastek Elizy Orzeszkowej „Iskry“ mamy najczystszy portrecik snoba w osobie Garskiego, figurującego w obrazku zatytułowanym „Liść Uschły“. Jest to zapewne tylko jedna z odmian ogólnego typu, ale w rodzaju swoim wyborna. A cóż dopiero powiedzieć o „Podfilipskim“ Weyssenhoffa! — Wprawdzie jest to przedewszystkiem wierutny łotr, pod które miano niepodobna większości snobów podciągać, ale to łotrostwo jego rozwija się na tle snobizmu u siebie i u drugich, cel bowiem, do którego zdąża, jest sztuczne utrzymanie się na wyżynach stanowiska wyższych od niego ludzi. Takim zaś, powtarzamy, jest ogólny cel snobów. Podfilipski różni się od nich wytwornym epikureizmem, w którym przypominałby bodaj Petroniusza, gdyby tak rozumem, jak zmysłem piękna, mógł Rzymianinowi dorównać. Za to niejeden klient Petroniusza mógłby tak, jak Podfilipski wyglądać... Wogóle jeśli naszych snobów można do kogokolwiek w dalekiej porównać przeszłości, czyż nie znaleźlibyśmy ich sporo u dworu rzymskich patrycyuszów z epoki cesarstwa? Koloryt otoczenia zmieniony, temperatura namiętności znacznie opadła, ale grunt serca ludzkiego zawsze tym samym chwastem miłości własnej porosły... Nie masz nic nowego pod słońcem.

T. W.

SYNDYKATY CZYLI STOWARZYSZENIA ROLNICZE WE FRANCYI.

(Ciąg dalszy).

II.

Przypatrzmy się teraz organizacyi syndykatów i ich działalności, tak na polu gospodarstwa rolnego, jak i pielęgnowania społecznych potrzeb ludności wiejskiej.

Jak to powyżej widzieliśmy, powstawały syndykaty rolnicze zupełnie swobodnie i organizowały się rozmaicie stosownie do miejscowych potrzeb i do zapatrywań i stopnia wykształcenia swych członków. Dlatego możemy tu wyszczególnić tylko istotne punkta urządzenia syndykatów, które mniej więcej są wszystkim wspólne.

Członkami syndykatu mogą być osoby zajmujące się gospodarstwem rolnem (w obszernem znaczeniu), więc rolnicy, hodowcy, ogrodnicy, robotnicy rolni, dzierżawcy; dalej osoby zbliżonych do niego zawodów, przyczyniających się do wytwarzania produktów gospodarstwa rolnego, jako to: wiejscy kołodzieje, rymarze, kowale, fabrykanci i dostawcy maszyn, narzędzi i nawozów sztucznych, weterynarze, nauczyciele rolnictwa i t. d. Dopuszczalność do stowarzyszeń właścicieli-wydzierżawiaczy, którzy tak wiele do rozwoju syndykatów się przyczynili, była — rzecz dziwna i charakterystyczna — przez jakiś czas z początku wątpliwą — nie było jasnem, ażali zgodna jest z prawem! — Także

i nauczyciele ludowi nie należą wedle ustawy do osób dopuszczalnych — co gdyby ściśle było przestrzegane, pozbawiałoby syndykaty czynników inteligentnych, których tam chyba do zbytku niema. — Kobiety mogą należeć do syndykatów, lecz nie mają wstępu na zgromadzenia.

Za to jednak terytoryum działalności syndykatów nie ulega żadnym ograniczeniom; i tak np. centralny syndykat paryski obejmuje całą Francyę. Zakres zaś działania obejmuje wszystko, co zdolne jest podźwignąć stan rolniczy z upadku, ustawa więc dozwala szerokie wyłożenie tego postanowienia, o ile się rozchodzi o obronę uprawnionych interesów i korzyści członków. Jak zobaczymy, zrobiono z tego obszerny użytek.

Formalności przy zakładaniu syndykatu są nieznaczne. Ustawa wymaga: porozumienia się osób, chcących zawiązać syndykat i ułożenia statutów; te nie mogą zawierać żadnych postanowień przeciwnych ustawie, zresztą są zupełnie od woli członków zależne. Mają zaś określać wewnętrzne urządzenie syndykatu i jego zarządu, który ma się składać wyłącznie tylko z Francuzów będących w posiadaniu praw obywatelskich. Statuty te oraz spis członków zarządu mają być złożone w kancelaryi gminnej, u mera. Nie dotyczy to jednak osób zatrudnionych w syndykatach, jako to: agentów, pisarzy i t. d. Te zgłoszenia podpisane być mają przez prezesa i sekretarza w 2 egzemplarzach wolnych od stempla; mer wystawia potwierdzenie odbioru, również wolne od stempla. W porównaniu z wymaganiami przy innych związkach w formalistycznej i fiskalnej Francyi, są to ważne ulgi, zwłaszcza dla rolników nie nawykłych do formalności.

Zarząd jest według rozmiarów syndykatu mniej lub więcej rozległy. Ogółem wziąwszy bywa on taki: Najwyższą instancyą jest walne zgromadzenie wszystkich członków, odbywające się raz lub dwa do roku, albo i częściej. Przyjmuje ono sprawozdania i wytycza główne linie działalności syndykatu, wybiera z pośród siebie wydział czyli radę zarządzającą, zwaną też izbą syndykalną lub komitetem. Ta składa się z kilku lub kilkunastu członków, wybieranych przez poszczególne grupy, według wsi

lub przysiołków i pełni wogóle kontrolę nad sprawami syndykatu. Mianuje ona organ wykonawczy, zwany powszechnie biurem. Biuro składa się z prezesa (zarządu i syndykatu), sekretarza, skarbnika i według potrzeby kilku zastępców; prowadzi interesa, nieraz i wszystkie sprawy syndykatu, a wtedy rada zajmuje się tylko rewizyą i kontrolą. W małych syndykatach czynności rady i biura skupiają się w samem tylko biurze.

Sprawowanie tych czynności jest bezpłatne, honorowe; przy większym rozwoju interesów, bywają przyjęci płatni pisarze, składowi, książkowi i t. d.

Co do charakteru prawnego syndykatów zauważyć należy, że w przeciwieństwie do innych instytucyj i stowarzyszeń, syndykaty nie są krępowane nadzorem ze strony władzy i do ukonstytuowania się nie potrzebują jej zezwolenia, — zbliżają się więc do spółek handlowych. Niekrępowane co do ruchomego majątku, mogą nieruchomości tyle tylko nabyć, ile potrzebują do swoich zebrań, zbiorów i kursów naukowych, stacyj doświadczalnych i szkółek roślinnych. To zastrzeżenie ustawy ma na celu zapobieżenie utworzeniu się dóbr „martwej ręki".

Nabycie majątku odbywa się przez wkładki członków, przez zakupna i przez dobrowolne dary i zapisy; te ostatnie były kwestyą sporną, którą dopiero w 1896 r. na korzyść syndykatów rozstrzygnięto. Darowizny na rzecz syndykatów nie podlegają zatwierdzeniu przez władzę. Dlatego mogą do syndykatów należeć członkowie-dobroczyńcy, wspierający je znacznemi wkładkami.

Syndykaty mają przywilej osoby prawnej, mogą zatem skarżyć przed sądem i być skarżone, i mają zupełną zdolność do umów.

Odpowiedzialność syndykatu ogranicza się na jego majątek i ewentualne fundusze rezerwowe; niektóre jednak syndykaty przyjęły klauzulę, że w razie niestarczenia majątku i funduszów, mogą zażądać od członków dopłaty, a więc jest to pewien rodzaj solidarnej poręki.

Ściśle rzecz biorąc członkowie nie mogą mieć udziałów (ani pobierać dywidendy), dlatego musiano się uciec do

formy spółki handlowej podług ustawy z 24 lipca 1867 r., aby znaleźć odpowiednie kapitały, potrzebne do organizacyi kredytu i handlu. Spółki te zbierają kapitał za pomocą imiennych akcyj, opiewających z początku na sumę niemogącą przekraczać 200.000 franków, która atoli w dalszym ciągu może się rocznie powiększać lub pomniejszać, nigdy atoli poniżej $^1/_{10}$ sumy pierwotnej. Członkowie jeszcze przez 5 lat po wystąpieniu ręczą w razie bankructwa za spółkę. Założenie takich spółek wymaga aktu notaryalnego, a więc i znacznych kosztów i formalności; są one jednak osobą prawną i nie ulegają nadzorowi i zatwierdzeniu ze strony władzy. Tą formą posłużyły się związki syndykatów organizując zakupno i zbyt towarów na większą skalę. O ile bowiem chodzi o interesa jednego syndykatu, to może on je dla korzyści swych członków bez wszystkiego sam prowadzić, bo gdzie niema czystego zysku, któryby rozdzielano jako dywidendę pomiędzy członków, tam też niema zysków handlowych ani aktu handlowego. Dlatego też czysta nadwyżka po pokryciu kosztów, o ile nie idzie na inne cele syndykatu, zwraca się zawsze tym tylko członkom, którzy za pośrednictwem syndykatu poczynili swoje zakupna.

Przy dochowaniu tych warunków wolne są syndykaty od podatku patentowego i nie płacą go też od nieruchomości, ani od ruchomego majątku. Wolne są też ich księgi od obowiązku zarejestrowywania, co pociąga za sobą również ulgę podatkową.

Organizacya związków jest zupełnie podobna do organizacyi syndykatów. Sprawy załatwia biuro; ważniejsze zaś, oraz ogólne kierownictwo spoczywa w ręku rady zarządzającej, z kilkunastu lub kilkudziesięciu członków złożonej. Wybiera ją walne zgromadzenie delegatów, na które syndykaty związkowe według swojej rozległości po 1—3 wysyłają.

Zaletą tej organizacyi tak syndykatów jak i związków, jest prostota i jawność w prowadzeniu interesów, przez co też zaufanie członków niezmiernie zyskują.

Tak rady departamentalne jak i ministeryum wspierają syndykaty subwencyami. Wkładka zaś roczna wynosi od 1—3 fr.; w niektórych syndykatach jest ona proporcyonalną do ilości

uprawianych przez członków hektarów gruntu. Każdy większy syndykat i związki wydają bezpłatnie dla swoich członków pisma peryodyczne *(Bulletin)*, zawierające obok spraw syndykackich, informacyj handlowych, także i wiadomości gospodarcze. Zwolna gromadzą one też fundusze żelazne i rezerwowe.

Działalność syndykatów z wielkiem psychologicznem zrozumieniem rzeczy była z samego początku praktycznej natury; *primo vivere, deinde philosophari*, przedewszystkiem *gagner sa vie*, uzyskać dla życia materyalną podstawę — było ich hasłem i temu też zawdzięczają one swój rozwój, który im następnie i podjęcie innych zadań umożliwił.

Przedewszystkiem trzeba było rolnictwu dostarczyć wytworów surowych i pomocniczych, potrzebnych do podniesienia produkcyjności gospodarstwa rolnego, i to wobec nowożytnych warunków i położenia ekonomicznego, jak najtaniej. Odnosi się to do środków produkcyi rolnej jako to: nawozów stucznych pomocniczych, nasion i paszy, maszyn i narzędzi gospodarskich oraz artykułów użytku i spożycia. Co się tyczy żywego inwentarza, wspomnimy o nim w dalszym ciągu, gdy mówić będziemy o działalności syndykatów w zakresie hodowli bydła.

Wprowadzenie nawozów sztucznych do gospodarstwa rolnego spotykało wszędzie znaczne trudności, tembardziej we Francyi wobec drobnych gospodarzy nieposiadających należytego zrozumienia rzeczy. Obok niechęci rolników do nowości, i to kosztownych i na oko niezrozumiałych, działała tu jeszcze i ta okoliczność, że nawozy te przedstawiały dla nierzetelnych fabrykantów i handlarzy zbyt wygodną sposobność do wyzyskiwania gospodarzy przez fałszowanie towarów, iżby ją mieli pominąć. Głośne skargi spowodowały już w 1867 r. rząd do wydania ustawy przeciw fałszowaniu nawozów sztucznych; lecz ustawa pozostała na papierze, a rolnicy mieli szkodę, bo albo płacili wysokie ceny za kiepskie przetwory, albo nie używali ich zupełnie w gospodarstwie, i nie mogli swoich zbiorów przymnożyć, a kosztów produkcyi obniżyć. Wobec tego cierpiało również i całe gospodarstwo społeczne, a stan ten pogorszył się z końcem lat 1870-tych pod wpływem konkurencyi amerykańskiej.

Jak podają, znajdowały się wówczas w handlu fosfaty zawierające 80% piasku i iłu, fosfaty z guana w cenie 18 fr. za 100 kg., a mające w rzeczywistości wartość nie większą jak 2.50 fr., spodyum, będące w istocie niczem innem jak tylko proszkiem iłowym i łupkowym. Jeszcze w r. 1885 podała stacya doświadczalna w Lézardeau wartość pewnego nawozu podług analizy chemicznej na 6 fr. za centnar metr., za który płacono po 12 fr., resp. na 10 fr. za który płacono po 25 fr.; a za „fosfaty łupkowe i torfowe“ płacono po 8 fr., co już było bezczelnem oszukaństwem. A handlarze byli tak dowcipni, że w umowie sobie zastrzegali, iż próba do analizy ma być wzięta wyłącznie tylko na stacyi wysyłkowej, przez co rolnikom oczywiście uniemożliwiono nawet kontrolę! Nic więc dziwnego, że w r. 1885 skarżył się inżynier Perrin z Tarn, iż żaden chłop nie chce mu wydzierżawić kawałka gruntu do doświadczeń, bo nawozy sztuczne wyjaławiają grunt na zawsze.

Na tak zabagnionem polu rozpoczęły syndykaty swoją działalność, a mianowicie przykład dał, jak już wiemy, prof. Tanviray w Blois. Dla 200 gospodarzy zamówił syndykat w r. 1883 wspólnie 800 q. nawozów, w 1884 już 3.000 q. a w 1885 dla 530 członków 8.830 q. Przy takiej ilości musiał się oczywiście fabrykant zgodzić na analizę podług próby wziętej przy odbiorze, i zniżył cenę, tak że zamiast 24 fr. za 1 q. przy odbiorze najmniej 50 q., płacili członkowie po 12·80 fr. z 3-miesięczną zwłoką biorąc choćby tylko 1 q. W ten sposób oszczędzili członkowie w 1885 r. około 75—80.000 fr. i mieli rzetelne nawozy, zapłaciwszy po 10 centymów prowizyi od centnara metr. i po 1 fr. wpisowego!

Wobec tak pomyślnych wyników rzuciły się wszystkie nowo powstające syndykaty do sprowadzania nawozów. Odbywa się to powszechnie w drodze pośrednictwa. Dwa razy dorocznie na wiosnę i w jesieni wzywa biuro członków do zgłaszania zamówień do pewnego stałego terminu. Następnie grupuje biuro owe zamówienia i oddaje je do dostawy firmie wybranej dowolnie lub za pomocą licytacyi mniej lub więcej prawidłowej, starając się uzyskać jak najniższe ceny. Stypulacye są bardzo

surowe: opóźnienie dostawy karane bywa grzywną umowną i procentami zwłoki, niedobór zawartości zwrotem kwoty przewyższającej 2—3 razy wartość brakujących składników. A co najcięższym dla fabrykanta, ale dla rolnika najkorzystniejszym jest warunkiem, nawozy płacą się podług zawartości składników, a nie podług wagi ogólnej, przez co zaoszczędzają się niepotrzebne koszta przewozu. Biuro zajmuje się wysyłką próbki do analizy i kontrolą wystawionych przez fabrykanta rachunków. Każdy bowiem członek odbiera swoją część wprost ze stacyi kolejowej i otrzymuje osobny rachunek, po którego zbadaniu wystawia weksel płatny za 30—90 dni po dostawie; przy zapłacie gotówką odpowiedne skonto. Ogółem nie przyjmują syndykaty odpowiedzialności za wypłacalność swoich członków, chociaż niektóre w tym wypadku przyjęły zasadę solidarności. Wypadki zaprotestowania weksla zdarzają się rzadko, bo za to syndykaty z listy członków wykreślają. W ten sposób przyzwyczajają syndykaty członków swoich do akuratności. Na pokrycie kosztów pobierają syndykaty małą prowizyę mniej więcej 1—3%. Chociaż kapitałów własnych nie mają, prowadzą olbrzymie interesa, li tylko na kredyt swojej rzetelności, o którą bardzo dbają.

Niektóre syndykaty zakupują na własny rachunek nawozy do składów swoich celem pokrycia drobniejszego i nieprzewidzianego zapotrzebowania członków.

Przez swoją potężną organizacyę zdołały syndykaty uzyskać co do krajowych nawozów znaczną zniżkę, ogółem 20—30% dawnych cen, która np. przy fosfatach podniosła się do 40—50%. Co do zagranicznych nawozów, jak np. saletry chilijskiej, guana, soli potasowych i t. p., zdołały osiągnąć tylko zniżkę nadmiernej prowizyi agentów, lub jej zupełne usunięcie.

Tak tedy uwolniły się syndykaty od wpływu pośredników do tego stopnia, iż zdarzały się niejednokrotnie wypadki wyzysku ze strony samych syndykatów w ten sposób, że umawiano się z fabrykantami o dostawę towarów na rok przyszły po cenach bieżących. Jeżeli więc ceny poszły w górę, to dostawcy tracili, a gdy spadły, to syndykat nie mógł wprawdzie

gdzieindziej robić zakupów, ale też z drugiej strony nie mógł tego swoim członkom na własną rękę zabronić.

Nie zapomniały też syndykaty kołatać o zniżenie taryf przewozowych dla nawozów i wogóle produktów kupowanych i sprzedawanych przez rolnika. Dalej dawają one objaśnienia co do użycia nawozów, odpowiedne do natury gleby, starają się o przeprowadzenie analiz gleb danej okolicy, znajdując przy tem pomoc w nauczycielach rolnictwa i stacyach kontrolnych. Nic więc dziwnego, że wobec tego użycie nawozów znacznie się podniosło. W r. 1872 szacowali rzeczoznawcy wartość użytych nawozów na 52 miliony franków, w r. 1885 na 60 mil., a w dziesięć lat później na 120 mil. fr., przyczem ilość ich się więcej niż potroiła. W ten sposób rzetelni fabrykanci znaleźli dla siebie odszkodowanie w zwiększonym odbycie. Obroty dokonywane dorocznie przez syndykaty w nawozach sztucznych, są bardzo znaczne; dochodzą one u kilku do wysokości jednego miliona franków, u wielu do pół miliona i t. d. Wogóle mają one obecnie zapewne rozstrzygający głos na rynku nawozowym we Francyi, co rolnikom zapewnia należyte uwzględnianie ich interesów, lepsze, niż wszystkie regulaminy i przepisy państwowe. Czego ustawa przeciw fałszowaniu nawozów chemicznych osięgnąć nie mogła, wobec czego rząd był bezsilny, to syndykaty własną siłą w daleko wyższym osiągnęły stopniu.

Podobny obrót wzięły rzeczy w handlu paszami i nasionami. I tu cygaństwo kwitnęło w całej pełni ze szkodą gospodarzy; zanieczyszczenia, fałszowania np. barwionemi, sztucznemi kamyczkami i t. p. były na porządku dziennym, a i warunki handlowe były odpowiednio przemyślne. Mimo to jednak, zupełnie tak samo, jak w handlu nawozowym, uporały się syndykaty z temi pasożytniczemi tworami i oddały rolnictwu francuskiemu, zwłaszcza podczas posuchy w r. 1893 wielkie usługi. Mianowicie sprowadzały one wtedy na wielkie rozmiary na ściółkę torf z Holandyi, czegoby poszczególni rolnicy z osobna z pewnością nie byli zrobili i nawet nie mogli zrobić. Kupują więc syndykaty słomę, siano, owies, makuchy, otręby, młóto browarne, sól bydlęcą i t. d. już to z wielkiego handlu, już to jedne wprost od drugich.

Tyczy się to zwłaszcza nasion gospodarskich i objętościowych środków karmowych i ściółkowych, jak i kartofli. Dużo tego zakupują syndykaty okolic, uprawiających winorośle, gdzie bywa za mało owych środków gospodarskich. Obroty i tu nieraz dochodzą do pół i do jednego miliona franków tak, iż cyfra ogólna obrotów w nawozach, paszach i nasionach, przez syndykaty dorocznie dokonywanych, na 100 mil. fr. podawana, raczej za nizką niż za wysoką nam się wydaje.

Po nawozach zajmują co do następstwa i znaczenia narzędzia i maszyny rolnicze drugie miejsce w zakupnach syndykackich.

Ciągłe podnoszenie się płac, wywołane przez takiż ruch w przemyśle i przez podwyższenie wymogów życiowych pracującej ludności, dalej konieczność lepszej niż dotąd uprawy roli, parły do doskonalszego zaopatrzenia się w techniczne środki pomocnicze, aby po części siły ludzkie zastąpić, po części im właściwy trud roboczy odjąć i wyniki pracy ludzkiej i zwierzęcej powiększyć. Rutyna, nieufność, wysokie ceny stały, ogółem wziąwszy, rozpowszechnieniu się tychże na przeszkodzie. Był to więc spory krok naprzód, gdy syndykaty jęły wspólnie zakupywać narzędzia i maszyny. I tu wyrugowały pośrednictwo zbyteczne i osiągły znaczne, 10—20% wynoszące zniżki cen, lepszą jakość, następnie i lepsze, odpowiedniejsze użycie. Ponieważ jednak pewne maszyny krótko tylko w gospodarstwie pojedynczem są potrzebne, ceny zaś ich są znaczne, doszły rychło syndykaty do wspólnego ich używania, o czem niżej pomówimy.

Mniejsze już znaczenie posiadają artykuły użytku gospodarskiego, przy których ujemne strony handlu kramarskiego nie tak ostro występują. Ale z rozwojem stowarzyszeniowej działalności i to pole syndykaty zagarnęły i dostarczają rolnictwu rozmaitych środków pomocniczych, zdobyczy nowożytnej techniki rolniczej, któreby do gospodarstw chłopskich albo wcale nie dotarły, albo w bardzo odległej przyszłości.

Artykuły spożywcze dotychczas w niewielkiej mierze stanowiły przedmiot interesów syndykackich; lecz i tu przeładowanie drobnego handlu pośrednikami, kramarzami, doprowadziło

do reakcyi, zwłaszcza gdy spółki handlowe syndykatów mogły ten handel zupełnie legalnie wziąć w rękę. Postępy tu poczynione zasługują na uwagę.

III.

Jeżeli zasługi syndykatów rolniczych i wyniki osiągnięte w zakresie organizacyi zakupna, są bardzo poważne i w oczy bijące, to równocześnie działalność rolników francuskich, dotycząca wprowadzenia zasady spółdzielczości we właściwą dziedzinę gospodarstwa i produkcyi rolniczej, przedstawia nam bogatą rozmaitość form i pomysłów, chociaż ruch na tem polu później się rozpowszechnił i jego znaczenie dopiero ostatniemi latami odpowiednio uznano.

Przedewszystkiem właściwa uprawa roli, podstawa każdego gospodarstwa rolnego, chociaż tak mało nadaje się do spółkowego gospodarstwa, nie pozostała nietkniętą tym prądem, a mianowicie spotykamy najprzód ciekawe i bardzo rozpowszechnione fakta, odnoszące się do wspólnego używania maszyn gospodarskich.

Już zakupna maszyn i narzędzi naprowadziły na myśl, aby je zostawić własnością syndykatu, a oddawać członkom do użycia i to przeważnie bezpłatnie, lub za bardzo małą opłatą. Tyczy się to narzędzi i mniejszych maszyn, więc pługów, walców, bron, kultywatorów, opielaczy, podskibników, roztrząsaczy nawozów, siewników i t. d., oraz maszyn do przygotowania paszy, jak sieczkarni, łamaczy do makuchów, gniotowników i t. d. Bardzo ważnem jest rozpowszechnienie ulepszonych maszyn do czyszczenia ziarna, zwłaszcza tryerów, które albo na dzień za opłatą ryczałtową pożyczane bywają, albo w kilku dogodnie położonych miejscach u członków są ustawione, przyczem członkowie za użycie płacą podług ilości hl. lub q. oczyszczonego zboża. Wynosi to np. 50 centymów od q., albo 20 ct. od hl., lub 5 fr. za dzień. Gdzieniedzie obwozi się je po okolicy i pracują podług potrzeby członków; wtedy syndykat daje jednego robotnika do obsługi; o resztę troszczą się ci, którzy się niemi posługują. Odnosi się to również i do maszyn żniw-

nych: kosiarek, żniwiarek, wiązaczek, grabarek i do młocarni ręcznych i kieratowych.

Trudno choćby wymienić całą tę rozmaitość; syndykaty zaprowadziły bukowniki i maszyny do czyszczenia koniczyny, wagi, prasy i t. p. Wszystkiemu temu towarzyszyło żywe słowo objaśniające i przykład naoczny; z polecenia syndykatów nauczyciele rolniczy miewają wykłady, urządzają pola demonstracyjne, i próby maszyn; odbywają się wystawy i konkursy z nagrodami. Niektóre syndykaty zakupują maszyny i sprzedają je po niższej cenie członkom swoim.

Lecz tu się nie zatrzymano; wielu rolników poszło na tej drodze dalej, zakupując kosztowne, ale bardzo produktywne wielkie maszyny i utrzymując je w ruchu na wspólny rachunek, już to dla członków spółki, już to dla obcych. Z takich spółek najważniejsze są spółki parowego omłotu. Kapitał potrzebny na zakupno młocarnianego garnituru, 5—10.000 fr., zaliczają zamożniejsi członkowie bezpośrednio, lub zbiera się go między spólnikami za pomocą obligacyj, które się potem z opłat za użycie umarza. I tak maszyna staje się własnością spółki i w dodatku zyski przynosi, gdyż syndykat wypożycza ją i nieczłonkom za odpowiednią opłatę.

Spółki takie istnieją już od dość dawna. I tak w 1869 r. powstała jedna z pierwszych w Haudivilliers (dep. Oise); obniżyła ona ceny omłotu u prywatnych przedsiębiorców o $^1/_3$ i młóciła rocznie po 170.000 snopów. W tym samym departamencie powstała druga spółka młocarska w Montreuil-sur-Brêche w 1874 r. W przeciągu 10 lat omłóciła 1,662.524 snopów i oprócz umorzenia kosztów zakupna i bieżących przyniosła 10.155 fr. czystego zysku. Za omłót 1000 snopów pszenicy płacił członek 20 fr., za omłót takiejże ilości owsa 15 fr.; nieczłonek zaś 28 fr. resp. 25 fr. W następnem pięcioleciu młócono do 196.000 snopów rocznie; ceny dla spólników wynosiły 17, wzgl. 12 fr.: zysk czysty 6.806 fr. Omłót hl. zboża kosztował, licząc z dodatkiem na fundusz rezerwowy, 55—70 centymów.

Choć te przykłady nie zostały bez naśladowców, to dopiero jednak syndykaty pchnęły sprawę pospieszniejszem tem-

pem, organizując spółki, lub zakupując wprost dla siebie młocarnie. Dziś przeszło 30 parowych młocarni pracuje na wspólny rachunek spółek i syndykatów. Podobne spółki nabyły i używają i innych narzędzi, aparatów i maszyn, jako to: aparatów gorzelniczych i destylacyjnych, żniwiarek, młynów przewoźnych i t. d.

Gdzie zaś syndykaty uważały się za słabe do podjęcia takiej działalności, tam poprzestawały na zawarciu układu z prywatnymi przedsiębiorcami, którzy zobowiązywali się wykonywać dla członków syndykatu tego rodzaju roboty po cenach często o $^1/_3$ zniżonych. Nad ich sumiennem uskutecznieniem czuwał syndykat.

Wreszcie powstały i syndykaty, mające na celu nawodnianie i odwodnianie gruntów, zwłaszcza w Prowancyi i dep. Meuse. W dep. Sekwany istnieje syndykat, użytkujący odpływy kanałów miejskich do zraszania pól.

Wielką energię rozwinęły syndykaty przy zwalczaniu szkód i niebezpieczeństw, jakie kulturom rolnym od zasiewów aż do zbiorów zagrażają ze strony przeróżnych wrogów i wobec których siły jednostki są za słabe. I tak: dzielnie zwalczają one chrabąszcze i pędraki. Przykład dał w r. 1886 Le Moult, zakładając w Gorron (dep. Mayenne) syndykat dla tępienia pędraków. Członkowie płacą wkładkę po 25 centymów od ha.; z tego daje się premie za zebrane chrabąszcze, zwłaszcza dzieciom szkolnym, i przeprowadza się najętymi robotnikami zarażanie pędraków za pomocą bakteryi *Botrytis tenella*, w sposób przez Le Moult'a wynaleziony. Także dostarcza się członkom bezpłatnie narzędzi i środków zarażających. W podobny sposób pracuje obecnie kilkanaście syndykatów, tępiąc co 3 lata (według lotu) po 100—150 tysięcy kg. chrabąszczów. Dobry skutek zawisł tutaj od ogarnięcia jak największego obszaru i najliczniejszych gospodarzy.

I do pokonywania innych owadów przyczyniają się syndykaty, dostarczając rolnikom środków, zalecanych przez nowożytną wiedzę i szerząc ochronę drobnych, owadożerczych ptaszków. Podobne usługi oddają one, szerząc poznanie chorób roślin i środków przeciw nim. I niszczenia chwastów nie po-

mijają także. Przeszło 20 syndykatów broni członków od szkód polnych wszelkiego rodzaju, ustanawiając osobnych strażników i ścigając winnych na drodze sądowej. Zwłaszcza przy szkodach, popełnionych przez zwierzynę, syndykaty starają się o jej oszacowanie i poszukują jej sądownie na uprawnionych do polowania. Wreszcie czuwają niektóre nad granicami, miedzami, ogrodzeniami i płotami, ułatwiają członkom wzajemną wymianę parcel gruntowych, niektóre nawet troszczą się o należyte utrzymanie dróg wiejskich w porządku, obowiązując każdego członka do odrobienia corocznie jednego dnia przy naprawie dróg.

Na szczególną uwagę zasługują syndykaty, odnoszące się do uprawy wina. Bardzo liczne i rozpowszechnione, wzięły sobie przedewszystkiem za zadanie ułatwiać odnowienie winnic, poniszczonych w latach 1876—1882 przez filokserę. Dostarczają więc członkom swoim swoim głębokochodnych pługów do rygolowania gruntu, darmo lub za małą opłatą, albo też podejmują się dla członków przeprowadzić rygolacyę za pomocą parowej orki po nizkich cenach. Dostarczają dalej wszystkich potrzebnych do uprawy środków: nawozów, narzędzi, tyk i kołów, drutu, sznurów i t. d., przedewszystkiem jednak amerykańskich szczepków winnych, których handel dozwalał pośrednikom w wysokim stopniu wyzyskiwać winogrodników, nie mogących należycie kontrolować jakości produktów ani cen. Syndykaty pozakładały więc szkółki (obecnie przeszło 100), w których hodują wyborowe szczepki, sprzedawane potem członkom po cenie własnych kosztów, lub rozdawane za darmo. Liczba dostarczanych szczepków dochodzi w niektórych syndykatach od 150—400 tys. sztuk rocznie. Z biegiem czasu przynoszą szkółki i czysty zysk, obracany na inne cele. Urządzają więc syndykaty kursa praktyczne, pola doświadczalne, laboratorya chemiczne: jeden z nich nawet zaprowadził dobrowolną inspekcyę fachową winnic, która bardzo pożyteczne oddaje usługi. Do pomyślnych również wyników doszły syndykaty przy ochronie latorośli winnej od mrozu przez wytwarzanie sztucznych chmur z dymu spalonej smoły, żywicy, naftaliny i t. p. Gdy skutek tego środka zawisły jest od przynależenia wszystkich posiadaczy winnicy, przeto żądanie

jest powszechne, aby ustawa dozwoliła w tym celu na spółki przymusowe. Następnie dostarczają syndykaty członkom swoim artykułów potrzebnych do fabrykacyi wina, a więc pras, beczek, filtrów, pasteryzatorów, parników, pomp, aparatów do analizy i badania wina. Te ostatnie, ebulioskopy, polarymetry, wapnomierze (do badania ilości wapna w glebie) pozostają zwykle własnością syndykatu, służąc do powszechnego użytku. Dalej wspierają syndykaty pracę swych członków radą i czynem; przeprowadzają klasyfikacyę gleby, latorośli, szczepków, podają nowe metody fabrykacyi wina, kontrolują ją i dostarczają potrzebnych do piwnicznej pielęgnacyi wina chemicznych środków, jak cukru, kwasu winnego, tanniny, enotanniny i t. d. Syndykat w Lambeye (dep. Basses Pyrénées) urządził nawet całkowity instytut enologiczny, kosztem 12.000 fr. Wreszcie zamierzają syndykaty podjąć w miejsce odrębnej fabrykacyi wina przez każdego wytwórcę, wspólną fabrykacyę i przechowywanie w spółkowych piwnicach, przez co osiągną lepsze wyrównanie wina i stałą markę — zatem i lepszą cenę.

W dziedzinie h o d o w l i ogranicza się dotąd działalność syndykatów na chów koni i bydła rogatego przedewszystkiem.

Podniesieniem h o d o w l i k o n i zajmują się spółki ksiąg rodowych, zwane Stud-Book, które gwarantują pochodzenie zwierząt i czuwają nad doborem oraz wychowem; udzielają wszelkich ojaśnień tak członkom, jak i chętnym do kupna. Liczne syndykaty lub spółki przez nich założone poświęcają swoją troskliwość hodowli poszczególnych cennych ras francuskich, jak np. perszeronów, bulończyków, ardenów, anglonormanów, bretonów i t. d.

Skupić wszystkie usiłowania na tem polu zamierza założony w 1895 r. w Paryżu „Jeneralny syndykat francuskich hodowców koni“, organizujący sekcye regionalne i mający na celu pośrednictwo między hodowcami a kupcami.

Oprócz tych spółek, popierających hodowlę koni czystokrwistych, istnieją także inne, zajmujące się chowem koni roboczych wogóle. Dostarczają one członkom tanich a odpowiednych rozpłodników, a syndykat w Calvados (w Normandyi)

urządził wspólny chów klaczy i źrebiąt na tamtejszych żyznych łąkach. Wszystkie te usiłowania znajdują dzielne poparcie ze strony Francuskiego Towarzystwa hippicznego w Paryżu i prze-licznych towarzystw lokalnych dla chowu koni.

Jeszcze większą gorliwość spółdzielczą rozwijają rolnicy francuscy w dziedzinie hodowli bydła rogatego. Podstawę stanowi i tutaj poprawienie i czystokrewne utrzymanie ras, odpowiednich do rozmaitych celów hodowlanych. Tem zajmują się stowarzyszenia, prowadzące również księgi rodowe, zwane Herd-Book. Najdawniejsze, założone przez rząd w r. 1853 odnosi się do Durhamów, ale właściwy rozwój datuje się dopiero od rozpowszechnienia syndykatów. Dziś prawie każda ważniejsza rasa francuska ma swój Herd-Book.

Za przykładem szwajcarskich stowarzyszeń hodowlanych powstały liczne podobne we Francyi, które chociaż nie tak znakomicie funkcyonują, chów jednak bydła rogatego wielce podnoszą. Rozszerzają one racyonalną znajomość zwierząt, ich pielęgnacyi i żywienia, działają za pomocą premij i wystaw i współudziału weterynarzy. Niezależnie od tego zajmują się syndykaty dostarczaniem doborowych rozpłodników, których użycie dozwala na najłatwiejsze, prawda, że i najmniej trwałe, skierowanie chowu w pożądanym kierunku. Syndykaty zakupują buhaje i sprzedają je swoim członkom poniżej własnych kosztów, czasem w drodze licytacyi. Udzielają też i subwencyi członkom, trzymającym odpowiednie rozpłodniki dla użytku innych członków syndykatu. Podobny ruch rozpoczyna się w chowie owiec i nierogacizny.

Do uzupełnienia obrazu, dodać należy usługi, oddawane przez syndykaty taniem a dobrem zakupnem pasz i ściółki, o czem wyżej była mowa. Nie można wreszcie pominąć spółek pasionkowych w okolicach alpejskich, gdzie od niepamiętnych czasów całe gminy wspólnie swe trzody na halach górskich latem wypasają. Wpływ czasu objawia się u nich wprowadzeniem dokładniejszej rachunkowości.

Niemałe zasługi położyły syndykaty około ubezpieczenia bydła. Znaczenie jego pojąć można, gdy się zważy, że

statystyka rolnicza szacuje straty, poniesione w bydle przez rolników na 32 mil. fr. rocznie (w przecięciu); tj. 15 mil. w bydle rogatem, 13 mil. w koniach i 4 mil. w owcach; podczas gdy wzajemne towarzystwa ubezpieczeń (bo akcyjne się do tego nie kwapią) zaledwie 1 mil. fr. zwracają.

Syndykaty pozakładały więc liczne kasy przeciw śmiertelności bydła lub spółki ubezpieczeń, ograniczające swoją działalność na małe miejscowe okręgi i oparte na zasadzie wzajemnej pomocy. Według informacyj, przedstawionych Izbie deputowanych w b. r. przez ministra Méline'a, zwroty udzielane przez nie wahają się u licznych spółek między 40—90% wartości szacunkowej straty, wynosząc przeważnie 75—80%. W jednym tylko departamencie spadła ta cyfra u 18 spółek o 988 członkach i 975.000 fr. ubezpieczonego kapitału do 20% [1].

Potężniejący coraz bardziej prąd spółdzielczy przeniósł się również w dziedzinę przemysłu rolniczego, tj. przerobu surowych produktów rolnych na produkta spożywcze, gdzie z natury rzeczy znalazł bardzo pomyślne dla siebie warunki rozwoju. Czego bowiem pojedynczy gospodarz dla braku kapitału, wiadomości technicznych lub opłacającej przeróbkę ilości produktów, nie mógł przedsiębrać, lub tylko z zbyt małym zyskiem, do tego wzięły się spółki i doszły do bardzo dobrych wyników, które najlepszymi dla nich rzecznikami i poplecznikami się stawały.

Dotyczy to w pierwszej linii mleczarstwa.

Kwitnący dawniej wyrób masła ucierpiał wielce skutkiem

---

[1] Oto kilka cyfr, świadczących o rozpowszechnieniu i rozmiarach tychże spółek:

Departament	Liczba spółek	Liczba członków	Ubezpieczony kapitał	Odszkodowania w % wartości
Calvados	1	95	222.000 fr.	74%
Charente	1	2.228	1,220.000 „	91 „
Charente-Inférieure	—	1.159	283.000 „	81 „
Eure-et-Loire	122	14.520	12,000.000 „	100 „
Landes	712	33.000	9,000.000 „	91 „

Wandea 55, Seine-et-Marne 33, Seine-et-Oise 24 podobnych spółek i t. d. Izba uchwaliła 1 milion fr. na zapomogi i wsparcia dla tych kas.

oszukaństw, popełnianych przez handlarzy i eksporterów, utracił wywóz na dobrze płacący targ angielski i został przez obcą konkurencyę znacznie prześcignięty. I tak szacowane są straty samego tylko normandzkiego słynnego mleczarstwa wskutek utraty wywozu na 25 mil. fr. Tylko spółki tu mogły przynieść ratunek — i przyniosły go.

W r. 1887 założono w Leschelle (dep. Aisne) pierwszą mleczarnię spółkową z kapitałem 50.000 fr., następnie do 102.000 fr. podwyższonym. Urządzenie duńskiego parowego systemu o 15.000 l. dziennej przeróbki; chude mleko spasa się trzodą chlewną. Podobnie zorganizowane są inne spółki mleczarskie w tej okolicy, których jest około 10, a które połączyły się w syndykat celem uregulowania zbytu i cen masła. Słaby ich rozwój tłumaczy się tem, że nie są urządzone w duchu zupełnie kooperacyjnym.

Za to z innej okolicy rozszedł się po Francyi dobry przykład, jak spółki mleczarskie urządzać należy. Jest to departament Charente Inférieure na zachodniem pomorzu francuskiem, na północ od ujścia Żyrondy.

W r. 1877 nawiedziła filoksera winnice tamtejsze, stanowiące podstawę kwitnącej zamożności gospodarzy, i tak je zrujnowała, że mimo wszelkich środków zaradczych powierzchnia zniszczonych winnic w Charente Inf. i 3 sąsiednich departamentach (Charente, Deux Sèvres i Vendée) w roku 1882 wynosiła 110.000 ha. Wszystkie próby odnowienia winnic były bezskuteczne; ludność popadła w nędzę i poczęła wychodzić. Jęła się też uprawy łąk, bardzo żyznych i dobrze w wodę zaopatrzonych, i chowu bydła, lecz nie przynosił on wielkiego przychodu, gdyż prywatni przedsiębiorcy mleczarniani płacili za litr mleka zaledwo 8 centymów.

Wtem, w styczniu 1888 r. połączyło się w Chaillé 80 gospodarzy wiejskich w spółkę i założyli mleczarnię o 400 l. ręcznej przeróbki. Po kilku już miesiącach mogli zaprowadzić urządzenie parowe na 7.000 l. dziennego przerobu. Koszta, wynoszące około 40.000 fr., pokryto pożyczką, za którą spólnicy solidarnie ręczyli, a którą umarzano z zysków. Za litr dostarczonego mleka płaciła spółka członkom swoim po 11—14 centy-

mów. Odśmietanione mleko spasano trzodą chlewną, a przeciw śmiertelności krów mlecznych założono kasę ubezpieczeń.

Ten przykład podziałał; spółki mleczarskie wyrastały w okolicy, jak grzyby po deszczu. Sprzyjały temu rozwojowi: żyzność gleby, znakomita tamtejsza wandejska (poatewińska) rasa bydła, odznaczająca się wysoką (do 4.7%) zawartością tłuszczu w mleku, oraz korzyści spółkowego przerobu; gdy bowiem przy domowym wyrobie masła opłacał się litr mleka 8 centymami, nie potrącając kosztów pracy i przewozu, to spółki płaciły po 10—11, a po umorzeniu długów i więcej, bez żadnej pracy i kłopotu ze sprzedażą dla gospodarza (*recte* gospodyni).

Spółki liczą po 200—700 członków, urządzają mleczarnie parowe kosztem 40—50.000 fr. w przecięciu, pokrywając go pożyczką na obligacye umarzalne w 3—5 latach z przychodów mleczarni. Spólnicy ręczą solidarnie za nią, a obligacye zwykle między niemi są rozebrane. Ponieważ przerabiają tylko mleko przez członków dostawione, wolne są od podatku. Opierają się one na ustawie z r. 1867 o spółkach handlowych, a niektóre na ustawie z r. 1884 o syndykatach. Przeto też i organizacya i zarząd spółki jest podobny jak u syndykatów i honorowy (bezpłatny). Płatny personal składa się z palacza (maszynisty), maślarza, i rachmistrza. W niektórych spółkach kieruje mleczarnią płatny dyrektor prowadzący zarazem rachunki. Oprócz tego jest albo stały kontrolor, lub też płatny tylko według ilości dni przy kontroli mleka poświęconych. Dostawę mleka powierza się przedsiębiorcy, który też i zwrotne mleko chude odwozi. Kontrola odbioru mleka jest w statutach bardzo dobrze określona, ale w rzeczywistości nie ma jej zwykle kto przeprowadzić. Dzienna przeróbka wynosi 6—14.000 l. u niektórych spółek nawet 24.000 l.; ze 100 l. mleka uzyskuje się $4^1/_2$—5 kg. masła, co jest bardzo ładnym wynikiem.

Mleko odśmietanione i maślanka w przeważnej liczbie spółek bywają członkom zwracane, w niektórych zaś spasane trzodą chlewną już to na własny rachunek spółki, już to w drodze wydzierżawienia prosiarni prywatnemu przedsiębiorcy, który zo-

bowiązuje się wtedy do odbioru odpadków po oznaczonej cenie (1 do 1.10 fr. za odpadki z hl. dostawionego mleka).

Z odbytem masła nie ma żadnego kłopotu; wysyła się je zaraz, często tego samego dnia, do centralnych hal w Paryżu, gdzie przez przysiężnych maklerów bywa w publicznej licytacyi sprzedawane, a pieniądze wnoszone za pośrednictwem banku codzień na rachunek mleczarni. Przez to odpada ryzyko zepsucia się i zniżki, oraz koszt składów i t. d. Koszta opakowania przesyłki (pocztą po 10 kg. i 200 gr. nadwagi na opakowanie), miejska opłata *(octroi)* i prowizya wynoszą 38—40 centymów na kg. masła, który uzyskuje w przecięciu cenę 2·30—2·70 fr. Masło to dla swej znakomitej jakości jest bardzo cenione i znane pod osobną marką: masło szarentyńskie *(Beurre des Charentes.*

Z dochodów za masło pokrywa się koszta fabrykacyi, spłaca procenta i obligacye, na które według losu kolej przychodzi, a resztę rozdziela się między członków spółki podług ilości dostawionego mleka. Na umorzenie długów przeznacza się również przychód z prosiarni.

Gdy członek otrzymuje 10—11 centymów za litr mleka i ewentualnie mleko chude i maślankę wartości 1—2 centymów, przeto oblicza się przychód z jednej krowy (przy 1.500—2.000 l. podoju rocznego) przeciętnie na 200 fr., do czego dodać trzeba wartość cielęcia mn. w. 60 fr.

Z końcem 1896 roku istniało:

			Przeróbka w r. 1896.
w dep. Charente	2 spółek	20.000 hl.	mleka
„ „ Inférieure . .	35 „	410.000 „	„
„ Vendée	13 „	170.000 „	„
„ Deux-Sèvres	37 „	340.000 „	
„ Gironde	1 „	— „	„
Razem . . .	78 spółek	940.000 hl.	mleka

W r. 1897 wynosiła przeróbka mleka przeszło milion hl. mleka, co odpowiada produkcyi blizko 5 milionów kg. masła wartości 10—11 mil. fr.

Z powodu pospiesznego rozwoju i braku wszelkich doświadczeń na tej drodze przedstawiają spółki pod względem urządzenia technicznego i t. p. nieraz wiele do życzenia, lecz z cza-

sem się i to usuwa. Do tego celu przyczynia się założony 3 maja r. 1893 syndykat pod nazwą: Główny związek mleczarni spółkowych dla Charentes i Poitou w Niort. Celem jego jest ułatwienie bezpośredniego zetknięcia się wytwórcy ze spożywcą, warując przy tem pierwszemu sprawiedliwą cenę, drugiemu rzetelny towar; obrona handlowych, przemysłowych i ekonomicznych spraw spółek; wspieranie ich przytem informacyami oraz zakupno hurtowne maszyn i środków użytkowych. Związek ten obejmował z początkiem r. 1896 już 52 spółek i zażądał od rządu wydania prawa przeciw fałszowaniu masła, zwłaszcza margaryną. Następnie czyni starania o zniżenie kosztów przewozu i opłat. Podjął hurtowny zakup kalikotu (na opakowanie) i węgli, przy których uzyskał zniżkę z 23·50 fr. na 20·50 fr. za tonnę. W r. 1895 urządził wystawę maseł w Paryżu, która mu przyniosła 12 medali i dyplom honorowy. Zajmuje się również kwestyami technicznemi, czuwa nad ruchem mleczarń i przyczynia się do ulepszenia fabrykacyi. Nadto szuka nowych miejsc zbytu dla masła.

Wskutek rozwoju mleczarń rany zadane przez filokserę zwolna się zabliźniają i dobrobyt wraca w te okolice. Za tym przykładem zamierzają pójść rolnicy bretońscy. Kilka mleczarni spółkowych już tam powstało. — Ogółem istniało we Francyi z końcem 1896 r. około 100 spółek mleczarskich.

Ożywcze tchnienie syndykatów pobudziło do nowego rozwoju francuską produkcyę serów w okolicach alpejskich. Prowadzona od połowy XVII. w. we Franche Comté spółkowym sposobem, zaczęła w ostatnich czasach ustępować z pola przed prywatnem przedsiębiorstwem, na które spółki usiłowały zrzucić z siebie ryzyko i niewygodę, połączone z dwurazową tylko na rok sprzedażą. Spółka wydzierżawiała swoją serownię przedsiębiorcom, obowiązanym do odbioru mleka od spólników i ograniczała się tylko do strzeżenia interesów swoich członków, jako dostawców. — Większość jednakże wytrwała przy zasadzie spółdzielczości wytwórczej, prowadząc wspólny wyrób serów. Organizacya ich jest następująca: Kilkudziesięciu gospodarzy mających 100—200 krów dojnych, zobowiązuje się dostawiać cały

podój, z wyjątkiem domowej potrzeby, do przerobu; urządzają serownię kosztem 8—10.000 fr., które wypożyczają na podstawie nieograniczonej poręki solidarnej i przyjmują serkarza, który oprócz płacy stałej pobiera i tantyemę od przychodu ponad pewną kwotę. Z mleka wyrabia się ser grujerski (szwajcarski) i czasem masło. Wpływy za sprzedany ser rozdziela się po pokryciu wyrobu co kwartał między członków według ilości mleka dostawionego przez każdego z nich od wstąpienia do spółki. Przytem na umorzenie pożyczki i utworzenie funduszu rezerwowego zatrzymuje się po 1 centymie na każdy kg. mleka.

Obok spółkowej sprzedaży serów istnieje także w niektórych spółkach (w dep. Jura), bardzo pierwotny sposób sprzedaży „po kolei". Jeżeli spólnik dostarcza dostateczną ilość mleka, to robi się dlań po porządku ser i masło. Masło dostaje zaraz i sam się troszczy o jego sprzedaż; ser znaczy się jego znakiem, oddaje do składu i przy ogólnej sprzedaży na jego osobny rachunek sprzedaje.

Podczas gdy przy domowym wyrobie serów litr mleka opłaca się 6—8 centymami, spółki płacą po 11—12.

Jak każda spółka rolnicza o praktycznym celu, rozszerzyły i serkarnie z biegiem czasu działalność swą na inne pola gospodarstwa wiejskiego; mianowicie rozpoczęły wspólne zakupna sztucznych nawozów, nasion, pasz; urządziły kasy ubezpieczeń bydła i wogóle wywarły podnoszący wpływ na uprawę roli i hodowlę.

Wielce przyczyniły się do tego syndykaty; one wniosły w te spółki nowe życie: wiedzę techniczną nowożytną, kontrolę przeróbki i organizacyę handlową, zwracając spółkom uwagę na wyzysk, jakiemu podlegały ze strony wielkich handlarzy serem. One zastąpiły im do pewnego stopnia związki. W ostatnim czasie powiązały się te spółki serkarskie w syndykaty celem uregulowania zbytu serów. Dwa z nich w departamentach Jura i Doubs liczą po 600 spółek.

Liczba tych spółek dochodzi 2.200 i znajdują się przeważnie w następujących departamentach:

Doubs	532	(dane z r. 1891)
Jura	523	(„ „ 1892)
Wyższa Sabaudya	328	(„ „ 1894)
Sabaudya	250	okrągło
Ain	350	„
Razem	1983	

Oprócz tego rozszerzają się zwolna w departamentach alpejskich, nie zdołały natomiast przyjąć się w środkowej Francyi i w departamentach pirenejskich, gdzie się o to napróżno starała administracya lasowa.

Nadto potworzyły się z czasem stowarzyszenia zajmujące się wyrobem innych gatunków serów np. w Wogezach i Roquefort.

Z kolei zasługują na uwagę usiłowania gospodarzy francuskich odnoszące się do przerobu najważniejszego wytworu rolniczego — zboża. Pomiędzy rolniką produkującego zboże z jednej strony, a spożywcę chleba z drugiej, wcisnęło się z biegiem czasu dużo pośredników; oprócz młynarza i piekarza kupiec zbożowy, drobny i duży, handlarz mąką i t. p.; wszyscy oni chcą, no i muszą żyć z tego zboża, oddając obu głównym stronom usługi, które niegdyś były bardzo ważne i niezbędne, ale które wobec dzisiejszego stanu gospodarstwa społecznego są nietylko zbyteczne po części, ale i za kosztowne. I tak rolnik dostaje kiepską cenę za swój produkt, spożywca płaci drogo za chleb, a obaj złem okiem na siebie spoglądają, upatrując jeden w drugim swego wroga, zamiast jak to w rzeczywistości (przynajmniej w bardzo przeważnej części) jest, uważać się za wzajemnych współpracowników w wielkim organizmie gospodarstwa narodowego i społecznego. Z tego powodu wszelkie kroki zmierzające do ominięcia tych pośredników, mają nietylko dla rolników, lecz i dla całego społeczeństwa niezmierne znaczenie.

Z natury rzeczy trudności przy tem są prawie nadzwyczajne. Zamiast opuścić ten zbyteczny społeczny szczebel i stanąć w rzędzie innych pożytecznych pracowników na innych polach, owi pośrednicy bronią swojego stanowiska i połączonych z niem korzyści z całą zaciekłością i bezwzględnością. Prawda,

że czasem trudno jest inne miejsce do pracy znaleźć, nadto brakuje im bardzo często należytego zrozumienia rzeczy, zrozumienia, że są zbyteczni, dlatego walka przybiera tak złowrogi za dni naszych, tak silnie wszędzie akcentowany charakter walki o byt: jakieś *bellum omnium contra omnes*. Lecz właśnie ten moment potęguje interes rolników (i wogóle producentów) w pokonaniu tego oporu. — Tem też tłumaczy się wytrwałość rolników francuskich w usiłowaniach do tego celu zdążających.

Biorąc zmielenie zboża w swoje ręce, zagarnia rolnik zysk pobierany przez młynarza, podnosi własny przychód z produktów gospodarstwa swojego, co w dzisiejszych ciężkich dla rolnictwa czasach nie jest do pogardzenia. Ale do prowadzenia młyna z korzyścią jest potrzebna znaczna ilość zboża do zmielenia, potrzebne są znaczne kapitały na urządzenie młyna i wiadomości handlowe, kupieckie, znajomość targu. Z tego wynika, że rolnik sam jeden nie podoła temu zadaniu. Ale czego Pietrek i Bartek sami nie potrafią, temu da radę cała ich gromada, syndykat, spółka. A gdy jeszcze wyzysk ze strony młynarzy, albo i jakie cygaństwa rolnikom doskwierzą, to i nic dziwnego, że się do tego środka uciekną.

Taki też był przebieg rzeczy w Arbois, w sekcyi jednego z najdawniejszych syndykatów w Poligny (dep. Jura). Za mielenie zboża brał mielnik do 25% wartości zmełtego ziarna, a nadto zamiast mąki z powierzonego sobie zboża, dawał mąkę kupną gorszej jakości. Sekcya chciała sobie młyn wydzierżawić, ale nie powiodło się to z powodu zmowy młynarzy. Wtedy zawiązano spółkę i kupiono za 14.000 fr. młyn na własność i puszczono go 1 grudnia 1894 w ruch. Kapitał 20.000 fr. zebrany akcyami bezimiennemi po 50 fr. może być do wysokości 100.000 fr. podwyższony za pomocą 25-frankowych obligacyj, podpisywanych przez nadzwyczajnych członków (nieakcyonaryuszów), płacących przytem 5 fr. wstępnego.

Spółka podejmuje omłot, oczystkę i zmełcie zboża, przyczem każdy otrzymuje swoje produkty nie zmieszane z obcemi

za umiarkowaną opłatą ustanowioną przez radę zarządzającą. Członkowie obowiązani są mleć zboże na swoje domowe i gospodarcze potrzeby w mielnicy spółkowej, co się im w książeczkach notuje. Zysk czysty, według statutów, rozdziela się w następujący sposób: 20% do funduszu rezerwowego, 5% akcyonaryuszom, 25% między personal mielniczy, reszta (50%) między spożywców czyli tych członków spółki, którzy jej za mełcie przynajmniej 10 fr. do roku zapłacili, w odpowiednim stosunku. Po roku spółka mełła po 15 q. dziennie i miała 220 członków. Z czasem spodziewają się pokonać przesąd i wszystko zboże mleć razem bez różnicy właściciela; tymczasem urządzono skład mąki, gdzie członkowie mogą się w nią w razie potrzeby zaopatrzyć.

W Verchain-Maugré (dep. Nord) powstało w łonie syndykatu na wiosnę 1895 akcyjne towarzystwo o kapitale 236.500 fr. (w akcyach 100 frankowych), które zakupiło i urządziło według wymagań najnowszej techniki młyn walcowy kosztem 150.000 fr. Zboże zakupuje się za gotówkę podług kursu, nadto jednak uczestniczy każdy akcyonaryusz w 25% czystego zysku, *pro rata* dostawionego przez się zboża. Zwyżka ceny zboża szacowana jest przez to na 0·65—1.00 fr. na hl., nie licząc, że odpada prowizya agenta zbożowego, tj. 25—50 centymów płaconych dotąd przez rolnika. — Co jednak ważniejsza, taki sam udział w zyskach (25%) zastrzeżony jest dla spożywców tj. piekarni spółkowych i innych, które do towarzystwa celem regularnego odbioru mąki przystąpią. System ten przynosi obu stronom korzyści. Dlatego też zaraz 3 spółki piekarniane powstały w okolicy.

Gdzie zaś syndykaty nie mogły się zdobyć na taki krok, tam nabywają mielnice przewoźne dla użytku członków, lub zawierają układ z prywatnym młynarzem, który dla członków znaczny opust przyznaje.

Ruch na tem polu przeniósł się również i na spółki piekarniane, które między francuskiemi spółkami spożywczemi co do liczby i rozpowszechnienia pierwsze miejsce zajmują. Było ich w 1896 r. około 500—600, liczących z górą 100.000 członków; i tak, żeby tylko niektóre departamenty wymienić:

w dep.	Charente Inférieure . .	140	spółek i (ok.)	22.000 członków
„	Saône-et-Loire	57	„	8.000 „
„	Rhône	22	„	9.000 „
„	Aisne	19	„	3.000 „
„	Nord	25	„	9.000 „
„	Indre-et-Loir.	21	„	5.000 „
„	Deux Sèvres	32	„	7.000 „

Z tych spółek, miejskie zajmują się tylko wypiekaniem chleba, kupując mąkę; wiejskie zaś troszczą się i o wyrób mąki, biorąc np. zboże od członków a dostarczając im odpowiedniej ilości pieczywa. Tak jedne, jak i drugie, są dla syndykatów rolniczych dobrymi odbiorcami zboża lub mąki. Trudności leżą w tem, że wskutek rozwoju spółki muszą piekarze zniżyć cenę pieczywa o 30% i więcej, a przez to dla krótko patrzących spożywców odpada potrzeba należenia do spółki. Atoli ze wzrostem ducha spółdzielczego między rolnikami, okoliczność ta traci na znaczeniu.

Dowodem wzrostu tego ducha, rozwój kilkunastu g o r z e l n i spółkowych rolniczych w dep. Charente Inférieure, znanym nam już z rozwoju maślarni i piekarni spółkowych. Urządzenie ich jest dokładnie wzorowane na spółkach mleczarnianych. Kapitał zakładowy wynosi 70—100.000 fr. i więcej; spirytus palą z buraków cukrowych, za które płacą podług cen za niego otrzymanych; wypada to za 1.000 kg. o mniej więcej 2 fr. wyżej, niż w okolicznych gorzelniach prywatnych. Niektóre połączone są z rektyfikacyą spirytusu.

Mniejsze postępy zaznaczyć można odnośnie do f a b r y k a c y i o l i w y. Pochodzi to stąd, iż więcej intenzywna i indywidualna kultura oliwnych drzew sprawia, iż każdy chce robić oliwę ze swoich oliwek, sądząc że jest oczywiście lepsza, niż u sąsiada. Dlatego trudno jest zaprowadzić spółkowy wyrób (podobnie jak i wina). Stąd syndykaty gospodarcze w Prowancyi ograniczają się do zakupna lub wydzierżawienia młyna oliwnego, w którym każdy gospodarz swoją oliwę osobno wyciska. Za to wyrób oliwy zwanej *secunda*, z wytłoczyn pierwszej fabrykacyi, odbywa się już na wspólny rachunek.

Dalej postąpiła na tej drodze fabrykacya k o n s e r w ó w

kaparkowych i powidła z moreli. Skoro bowiem skutkiem rozmaitych oszustw i fałszowań ze strony handlarzy, sławne na cały świat kaparki prowanckie spadły w cenie z 300—400 fr. na 195 fr. za 100 kg. a sława ich i produkcya poważnie została zagrożoną, zawiązał się w 1893 r. w Roquevaire syndykat uprawiaczy krzewów kaparkowych, celem zaradzenia złemu. Dostarcza on octu w dobrej jakości, odbiera namoczone w nim kaparki, sortuje je na 6 gatunków i przechowuje aż do dojrzenia przez 9—12 miesięcy w swoich piwnicach. Sprzedaż jest oczywiście na wspólny rachunek prowadzona; po strąceniu kosztów, rozdziela się zysk między członków w stosunku jakości i ilości dostawionych kaparków. Przedtem jednak mogą członkowie otrzymywać 4%-owe zaliczki do $^3/_4$ wartości szacunkowej swojej dostawy, na który to cel syndykat otworzył sobie w banku kredyt do 40.000 fr. Już w r. 1893 sprzedał on kaparków za 77.880 fr. Podobne spółki potworzyły się w okolicy i porozumiały się wzajemnie celem uregulowania zbytu kaparków, nietylko we Francyi, ale i do Niemiec, Anglii, Skandynawii, Rosyi, Ameryki i t. d., oraz celem walki z nieuczciwą konkurencyą handlarzy, sprzedających zamiast prowanckich gorsze gatunki kaparków z Algieru i Hiszpanii i psujących przez to tamtym renomę.

Syndykat w Roquevaire podjął również spółkową fabrykacyę powidła z moreli *(abricot)*. O doniosłości przedsięwzięcia świadczą następujące liczby: w 1893 sprzedał 218.000 kg., w 1895 około 400.000 kg. powidła w kraju i za granicę, za pośrednictwem własnych agentów; córkom i żonom członków, zajętym przy fabrykacyi w liczbie około 200 płaci za to rocznie do 10.000 fr., za same puszki blaszane wydaje on do 30.000 fr. na rok. W porównaniu z cenami płaconemi przez handlarzy, zyskują członkowie 30—40% więcej i mogą nadto otrzymywać tanie zaliczki.

Tu wspomnieć też wypada, że w łonie syndykatu andegaweńskiego (Anjou) powstała w 1895 w Cholet spółka fabrykacyi konserwów mięsnych. Kapitał zakładowy 120.000 franków w 100-frankowych akcyach podpisało w ciągu 4 tygodni

668 gospodarzy. Ponieważ to przedsiębiorstwo nie wymaga zbyt kosztownych urządzeń i może znaleźć łatwych i pewnych odbiorców w marynarce i armii, przeto uśmiecha mu się piękna przyszłość.

Jeżeli wreszcie dodamy, że syndykat w Montagne-Noire (dep. Ande), zawarł umowę z fabrykantem s u k n a, na mocy której tenże dla członków syndykatu, sukna z ich wełny wyrabia, które następnie na wspólny rachunek się sprzedają, to z tego wszystkiego widzimy, że spółdzielczość we francuskiem gospodarstwie rolnem już silnie się rozpowszechniła i zakorzeniła, jakoteż że ma przed sobą obiecującą przyszłość.

(Dok. nast.).

Tadeusz Kudelka.

MARX WOBEC OSTATNICH SĄDÓW NAUKI.

O Marxie powstała ostatniemi czasy cała odrębna literatura. Nic dziwnego: poważna nauka, jakkolwiek zaraz po wyjściu dwóch pierwszych tomów „Kapitału", wykazała błędy i sprzeczności teoryj w dziele tem zawartych, nie rozprawiała się ostatecznie z niem i z jego autorem, dopóki nie pojawił się tom trzeci, który, wedle zapewnień Engelsa, miał wszystkie niejasności dwóch pierwszych części usunąć. Dopiero gdy to nastąpiło w r. 1894, gdy wyszedł ten tom trzeci, mogła nauka wobec Marxa zająć definitywne stanowisko. I wnet też pojawił się cały szereg prac, poświęconych rozbiorowi i krytyce naukowej Marxowskiego socyalizmu. Niektóre z tych prac, ważniejsze, chcemy tutaj w krótkości omówić.

Jedno z pierwszych miejsc zajmuje monografia Słonimskiego, napisana pierwotnie w języku rosyjskim i zamieszczona w *Wiestniku Jewropy*, następnie zaś wydana w przekładzie niemieckim [1]. Monografia ta swemi śmiałemi a zupełnie uzasadnionemi sądami o Marxie wywołała w nauce niemieckiej wielkie wrażenie. Obok niej odznaczają się dokładną analizą poglądów ekonomicznych, społecznych i filozoficznych Marxa, prace: Böhm-

[1] Słonimski Ludwig, *Karl Marx nationalökonomische Irrlehren.* Eine kritische Studie. Übersetzt und eingeleitet von Max Schapiro. Berlin 1897.

Bawerka [1], Langego [2], Komorzyńskiego [3], Sombarta [4], Wencksterna [5], Jurnitschka [6].

Odrębne wreszcie stanowisko zajmuje wyszła już w roku bieżącym praca prof. Masaryka [7], która nie tyle krytykuje sam system idei Marxa, jak raczej śledzi i zaznacza zmiany i przeobrażenia, jakim ten system uległ w ciągu ostatnich czasów, czy to w pismach samego Marxa (w późniejszych wydaniach lub dalszych tomach), czy też w pracach i enuncyacyach jego adeptów.

Rezultat, do jakiego dochodzą prace powyższe w kierunku ekonomicznym, sąd wydany przez nie o znaczeniu ekonomicznem teoryi Marxa, nie mógł być z góry wątpliwym dla nikogo, kto zna i starał się zrozumieć [8] „Kapitał“ Marxa. Rezultatem tym jest wykazanie zupełnej bezwartości tych teoryj dla nauki ekonomii społecznej, wykazanie całego chaosu sprzeczności i nonsensów logicznych, jakie się mieszczą w błyszczącej na pozór dyalektyce twórcy „Kapitału“.

Już samo pojęcie kapitału u Marxa, pojęcie dla jego systemu główne, zasadnicze, będące punktem wyjścia, jest zu-

[1] Böhm-Bawerk Eug. v., *Zum Abschluss des Marx'schen Systems.* W wydawnictwie: *Staatswissenschaftliche Arbeiten.* Festgabe für Karl Knies. Berlin 1896. (Str. 88—205).

[2] Lange Ernst, *Karl Marx als volkswirtschaftlicher Theoretiker. Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik* Hildebranda. III. Folge, 14 Band, str. 540—578.

[3] Komorzyński J. v., *Der dritte Band von Karl Marx „Das Capital“. Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik und Verwaltung.* 1897. VI. Band, 2 Heft, str. 242 i nast.

[4] Sombart, *Zur Kritik des ökonomischen Systems von Carl Marx. Archiv für sociale Gesetzgebung und Statistik* Brauna. 1994. VII. Band, 4 Heft. Jedna z pierwszych krytyk całości „Kapitału“ Marxa.

[5] Wenckstern, *Marx.* Leipzig. Duncker i Humblot. 1896.

[6] Jurnitschek, *Über die wirkliche Entstehung der Capitalien.* Vorarbeiten zur Entkräftigung socialistischer Theoreme. Berlin. Puttkammer i Mählbrecht. 1897.

[7] Masaryk, *Die wissenschaftliche und philosophische Krise innerhalb des gegenwärtigen Marxismus.* Wien 1898.

[8] Powiadamy, „starał się zrozumieć“, bo nie jest to tak łatwem; słusznie powiada Lange w cytowanej wyżej pracy, że dla tego, kto przyzwyczaił się do ścisłego myślenia, studyum „Kapitał“ Marxa jest prawdziwą — męką.

pełnie jednostronnem, postawionem dowolnie, bez rachowania się z realnemi stosunkami. Wedle Marxa, kapitał występuje tylko jako suma pieniędzy czy towarów, która służy pewnej osobie, czy też kilku osobom (kapitalistom) do wyzyskiwania cudzej pracy. Przez towar rozumie on zaś każdy wytwór ludzki, przeznaczony nie do konsumcyi lecz do obrotu. Kapitał jest „kategoryą historyczną“, to znaczy, właściwą tylko pewnej epoce dziejowej. W stuleciu XVI. rozpoczął on swój nowoczesny żywot. a zniknie, skoro tylko dzisiejsza produkcya kapitalistyczna ustąpi miejsca ulepszonemu ustrojowi gospodarczemu. Kapitał występuje na widownię historyczną zawsze przedewszystkiem w formie pieniądza i tak samo teraz, w oczach naszych, każdy nowy kapitał przybiera przedewszystkiem postać pieniądza. Producent towarów musi jedną część swego kapitału pieniężnego zamienić w środki produkcyi; przez nie rozumie Marx: budynki, maszyny, narzędzia, surowce, materyały pomocnicze, słowem, wszelkie wytwory z wyjątkiem pieniądza; część drugą wydaje w gotówce na płace dla robotników. Pierwszą część kapitału nazywa Marx: kapitałem stałym *(konstantes Capital);* część drugą, obróconą na płace: kapitałem zmiennym *(variables Capital).*

Jak z tego widzimy, konstruuje Marx swe pojęcie kapitału na podstawie nowoczesnego obrotowego ustroju gospodarczego, co więcej, specyalnie na podstawie dzisiejszej organizacyi wielkiego przemysłu, nie troszcząc się o to, czy kapitał miał kiedy inną jaką formę, inne znaczenie gospodarcze, inne funkcye, i czy w tym kierunku zmian w przyszłości nie będzie. Posługując się datami rozwoju produkcyi przemysłowej w Anglii, wyprowadza z rozwoju tego i z dzisiejszej organizacyi kapitalistycznej przemysłu prawa ogólne, które miałyby działać w każdem społeczeństwie z koniecznością praw natury. Tymczasem skoro, jak sam przyznaje, dzisiejszy ustrój kapitalistyczny jest tylko czasowym, „historycznym“, skazanym na zagładę, jasnem jest, że prawa zeń wyprowadzone mogą mieć tylko znaczenie przejściowe, warunkowe, nie zaś wartość teoretyczną

absolutną. Tak jak najdokładniejsza analiza i opisanie skomplikowanych przyrządów mechanicznych w pewnej fabryce nic nie doda do zasad czystej mechaniki, tak samo analiza specyalnych właściwości kapitalizmu przemysłowego niczem nie wzbogaci teoryi ekonomii społecznej!... W ręku Marxa staje się ekonomia społeczna jakąś zupełnie specyalną nauką o produkcyi towarów i obrocie niemi, ekonomią — jak ją słusznie Słonimski nazywa — handlowo-przemysłową. W ten sam błąd popadali ekonomiści klasyczni angielscy, ale dlatego — jak to słusznie podniósł Bücher — ponieważ sądzili, że ustrój, który widzieli dokoła siebie w Anglii, ustrój obrotowy, a specyalnie handlowo-przemysłowy, jest skończoną normalną formą gospodarstwa społecznego [1]. Tymczasem Marx uznaje sam, że ustrój ten jest tylko formą przejściową!...

Podobnie jednostronnem i błędnem, jak pojęcie kapitału, jest u Marxa pojęcie bogactwa społeczeństwa, bogactwa narodu. „Bogactwo społeczeństw, w których panuje kapitalistyczny sposób produkcyi, przedstawia się jak niezmierny zbiór towarów, a towar pojedynczy jako elementarna forma tego bogactwa". Tem zdaniem zaczyna się „Kapitał". Tymczasem samo pojęcie „towaru" tj. wytworu, wyrobu gospodarczego człowieka przeznaczonego do sprzedaży, wskazuje, że wprzód musiał ten, kto towar sprzedaje, rozwinąć jakąś działalność gospodarczą, mieć zatem jakieś środki produkcyi (narzędzie, surowce i t. d.). A to wszakże jest już też bogactwem! Określenie więc bogactwa tylko jako zbioru „towarów" jest za ciasnem [2]. Z drugiej strony jest ono i za obszernem, bo i największy zasób towarów, bez zapewnionego na nie równocześnie odbytu, nie stanowi bogactwa, owszem jest oznaką przesilenia gospodarczego! Miarą bogactwa pewnego narodu, społeczeństwa pewnego są — przy zapewnionym odbycie — jego środki, zasoby produkcyjne, nie ilość wyprodukowanych przezeń towarów!...

---

[1] Bücher, *Die Entstehung der Volkswirtschaft.* Tübingen 1893. Str. 3 i n.

[2] Pojęcie Marxowskie „bogactwa" bardzo trafnie podaje krytyce Jurnitschek, j. w. str. 1 i nast.

Wartość wyprowadza Marx, jak wiadomo, z pracy i dochodzi do tego drogą następnego sylogizmu: różnorodne całkiem towary mieniane są w obrocie jedne za drugie, w takim, czy w innym stosunku, mimo różnej swej jakości, jako równe. Widać więc, że tkwi w nich coś równego, jakiś składnik wszystkim wspólny. Cóż jest tym składnikiem? Oto wcielona w nie praca ludzka, lecz — wedle dedukcyi Marxa — nie praca rzeczywista, jaka rzeczywiście była potrzebna, aby pewien produkt wytworzyć, ale praca abstrakcyjna, nierealna, przy każdej produkcyi równa, która w wyrobach się krystalizuje. Ta fikcya pracy abstrakcyjnej, nieodnoszącej się do żadnego realnego przedmiotu, jest zasadniczym elementem całej Marxowskiej teoryi o wartości. Pojęcie pracy oddziela się u niego zupełnie od wyobrażenia o celach i potrzebach, ze względu na które praca się przedsiębierze; z drugiej strony zaś stworzona przez pracę wartość staje się czemś realnem, właściwością samoistną towarów, tkwiącą w nich samych, niezależną od ich użyteczności i wartości zamiennej!

Ponieważ praca jedynie tworzy wartość i to przyjmując równą intenzywność pracy, w każdej jednostce czasu (np. w każdej godzinie) równą wartość, przeto czas pracy jest miarą wartości. „Praca skomplikowana — powiada Marx[1] — znaczy tyle, co praca spotęgowana, a raczej wielokrotnie wzięta praca pojedyncza“, tak że mniejsze *quantum* pracy skomplikowanej równa się większemu *quantum* pracy pojedynczej. Natomiast produktywność pracy, rzeczywisty jej, większy lub mniejszy rezultat, nie wpływa, wedle Marxa, w niczem na wartość, krystalizującą się w pracy. „Tak samo intenzywna praca — powiada Marx — wytwarza w takich samych okresach czasu, taką samą wartość, jakkolwiekby zmieniała się jej siła produktywna!“[2] A na innem miejscu: „Angielski tkacz i chiński, jeżeli pracują obaj z tą samą intenzywnością, tę samą ilość godzin, wytworzą w ciągu tygodnia

[1] *Das Capital*, tom I. (3 wydanie), str. 11.
[2] *Das Capital*, I, str. 13.

tę samą wartość“ [1], chociaż — dodaje ironicznie Lange we wspomnianej wyżej pracy — pierwszy z nich pracuje na potężnym automacie, drugi na prostym kołowrotku!

Praca, wytwarzając wartość, dołącza tem samem, wedle Marxa, do wartości, jaką już kapitalista z kapitału swego włożył w produkcyę, nową wartość. Część tej nowej wartości idzie na płace robotników, na zwrot użytych na nie funduszów (czyli „kapitału zmiennego“, *variables Capital*); część drugą, tak zwaną nadwyżkę wartości *(Mehrwert)* chowa do kieszeni kapitalista i z tego tworzy się jego zysk *(Profit)*. Ta druga część wartości, wytworzonej przez pracę, to — praca niezapłacona. Stosunek między pracą zapłaconą a niezapłaconą, w danych warunkach gospodarczych do produkcyi tych czy owych wytworów potrzebną, „społecznie konieczną“, jest — wedle Marxa — dla wszystkich gałęzi produkcyi jeden i ten sam, a nazywa go on — siląc się formalnie na wymyślanie dziwacznych a nowych pojęć — ratą nadwyżki wartości *(Mehrwertsrate)*. To znaczy: w każdej gałęzi produkcyi, w pewnych danych warunkach gospodarczych, musi robotnik w przybliżeniu pracować tę samą ilość godzin dla wyprodukowania swej płacy (za zapłatę), a znowu inną ilość godzin dla kapitalisty (bez zapłaty).

Ponieważ wreszcie wartość i nadwyżka wartości płyną jedynie z pracy, przeto powstają one, wedle Marxa, już w ciągu procesu produkcyi, przed pozbyciem towaru a zawisły jedynie od wysokości kapitału użytego na płace, „kapitału zmiennego“. Skoro każdy robotnik, przypuściwszy tę samą intenzywność pracy, wytwarza w tej samej jednostce czasu (w jednym dniu np.) tęż samą ilość wartości, przeto od większej lub mniejszej ilości użytych w produkcyi sił roboczych, musi zależeć wysokość wytworzonej wartości a tem samem nadwyżka wartości.

Że wszystkie te tezy są zupełnie dowolne, *a priori*, bez rachowania się z rzeczywistością postawione, że odbiegają one wprost od niej i że pełno w nich sprzeczności, które trudno

[1] *Das Capital*, I., str. 621.

usunąć, to uzna każdy, kto nie jest z góry przeświadczony o nieomylności Marxa!

Nie wdamy się tu w szczegółową analizę krytyczną tych wszystkich twierdzeń, analiza taka przekraczałaby ramy niniejszego szkicu a dla kół szerszych, wskutek właściwej Marxowi gmatwaniny pojęć, byłaby wprost niedostępną. Wskażemy jednak na główne błędy, które w części zaznaczyła już dawniejsza krytyka, które jednak obecnie, po wyjściu całości „Kapitału", autorowie prac na początku cytowanych mogli gruntowniej i dokładniej wykazać.

Wartość w rzeczywistości, to wyraz stopnia, w jakim pożądamy pewnej rzeczy ze względów gospodarczych, to miara szacowania gospodarczego. Zależy więc ona, jak łatwo zrozumieć, raz od użyteczności wytworu, powtóre od jego względnej rzadkości (ograniczenia w ilości, trudności zdobycia). Praca ludzka wpływa tylko na ten drugi element wartości i tylko pośrednio: może ilość wytworu z większą lub mniejszą łatwością pomnożyć a tem samem względną jego rzadkość zmniejszyć. Z samej pracy wartość nie płynie. Inaczej, najwięcej cenionemi, wartemi musiałyby być wytwory, które kosztowały najwięcej pracy. Tymczasem jeden rzut oka na rzeczywistość wystarcza, aby się przekonać, że tak nie jest, że nie te rzeczy mają najwyższą wartość, przy których produkcyi zużyto najwięcej pracy, lecz te, które są najwięcej przez wszystkich poszukiwane, zatem pożyteczne [1], a których niema dużo na świecie. Dyamenty lub złoto, chociaż nie wyprodukowała je praca lecz natura, chociaż odkrycie kopalń mogło nastąpić przypadkowo (bez pracy) a sama eksploatacya min może nie być trudną, będą mimo to stać najwyżej w wartości!...

Teorya wyprowadzająca wartość jedynie z pracy zamyka oczy na fakta codziennego życia gospodarczego i nie potrafi wytłumaczyć wartości stworzonej przez naturę, przez zbieg oko-

[1] Komorzyński (j. w. str. 256) stara się dowieść, że momentu użyteczności Marxowska teorya o wartości nie zapoznaje zupełnie. Że nie jest to słusznem, wykażemy niżej.

liczności gospodarczych od człowieka niezależnych. Ziemia dotąd nieuprawiana, las dziko rosnący, naturalna siła wody nie mają, wedle Marxa, żadnej wartości jak długo ich ręka ludzka nie tknęła, nie wcieliła w nie pracy. Przyrostu wartości gruntu, położonego zrazu na przedmieściu, który wskutek rozszerzania się i zabudowywania miasta, wchodzi w jego granice i może być po latach kilkudziesięciu sprzedany za sumę dziesięć razy większą od tej, za którą go wprzód nabyto, również nie wytłumaczy teorya Marxa!

Marx sam nie może przeoczyć faktu, że w rzeczywistości nie ceni się produktów i nie sprzedaje wedle wartości pracy w nich „skrystalizowanej“, radzi sobie jednak stworzeniem pojęcia „wartości targowej“, która jest czemś zupełnie odrębnem od wartości indywidualnej wytworu, wynikłej z pracy. Przy stosunkach, w którychby środki produkcyi należały do robotników — powiada on — żądałby każdy robotnik w zamianie za swoje produkta, takiej ilości produktów innych, któraby kosztowała tęż samą ilość pracy. Skoro jednak kapitalista stanie między robotnikiem a środkami produkcyi, tworzy się dla produktów każdej kategoryi: wartość targowa, która jest wartością produktów wytworzonych w warunkach przeciętnych w danym ustroju gospodarczym. I otóż ci producenci tylko, którzy produkują w tych właśnie warunkach (więc np. rozpowszechnionemi w danym czasie i kraju maszynami, sposobami produkcyi), potrafią zrealizować całą wartość indywidualną (płynącą z pracy) swych produktów w wartości targowej i taką właśnie pracę, produkującą w warunkach przeciętnych i realizującą się wskutek tego całkowicie w wartości targowej, nazywa Marx: pracą społecznie konieczną *(gesellschaftlich nothwendige Arbeit)*. Produkujący w gorszych warunkach jak przeciętne (więc np. jakimś przestarzałym, wyszłym z użycia przyrządem, gdy wszędzie są już w użyciu maszyny) wytworzą wprawdzie, przypuściwszy równą intenzywność pracy, w jednostce czasu tęż samą wartość co inni, ale wartości wytworzonej przez się, wartości indywidualnej, jaką będą mieć ich produkta, nie zreali-

zują, bo wartość targowa wytworów tych — ze względu, że przeciętnie już się mniej zużywa na nie pracy — jest mniejszą. Ci wreszcie producenci, którzy produkują w warunkach wyjątkowo lepszych jak przeciętne (przypuśćmy wedle jakiegoś ulepszonego a trzymanego w tajemnicy sposobu produkcyi) nie wytworzą wprawdzie, wedle Marxa, w tej samej jednostce czasu i przy tej samej intenzywności pracy, więcej wartości jak inni, ale wytworzą w tym samym czasie większą ilość produktów. Wytworzona przez nich wartość indywidualna rozkłada się skutkiem tego na większą ilość towaru i każdy towar *effective* będzie miał w sobie mniejszą ilość wartości indywidualnej, z pracy płynącej. Gdy jednak mimo to otrzymają oni za każdy produkt wartość targową wyższą od indywidualnej, otrzymają wskutek tego, ponad wartość, którą ich praca wytworzyła pewną nadwyżkę zysku i tę nadwyżkę nazywa Marx w swym strasznym żargonie „nadzyskiem“ *(Surplusprofit)*.

Dobrze powiada Lange, że wszystko to zrozumie chyba — Hegielanin! Wedle wywodów tych Marxa, wartości zostają wytworzone (przez pracujących w gorszych warunkach jak przeciętne) lecz nie zrealizowane! Czyż nie sprzeciwia się to zdrowemu rozumowi? Cóż znaczy: stworzyć wartość, której w pełni nie zrealizuje się; po prostu: stworzyć mniejszą wartość, bo wartość nie zrealizowana nie jest wcale wartością! Sam Marx przyznaje to poniekąd później, bo w dalszych wywodach nie uwzględnia już wcale tych „niezrealizowanych“ wartości: zawarta w nich (oczywiście też „niezrealizowana“!) nadwyżka wartości nie wchodzi w sumę nadwyżki wartości, jaka w formie zysków dzieli się między poszczególne kapitały. Czyż nie byłoby prościej i lojalniej przyznać, że pracujący w gorszych warunkach, gorszymi narzędziami, wytworzy w tej samej jednostce czasu co inni produkt, który będzie miał mniejszą wartość?... Marx nie może jednak przyznać tego, bo już stąd wynikałoby, że wartość od pracy tylko nie zawisła!

Użyliśmy wyrażenia, że produkt „będzie miał“ mniejszą wartość. Dlatego, bo, jak to z pojęcia wartości wypływa, już

w ciągu procesu produkcyi ona nie powstaje. Nie jest ona jakimś przymiotem wynikającym z istoty wytworu, tkwiącym w nim samym, lecz zależną od okoliczności zewnętrznych, od tego czy towar w danych warunkach będzie mniej lub więcej poszukiwanym, czy go na targ dostawią w mniejszej lub większej ilości. Wobec tego, zanim wytwór skończony nie został, na targu się nie pojawił, o wartości jego logicznie mówić nie można: wartość wówczas może być co najwyżej przedmiotem przypuszczeń, obrachowywań przedsiębiorcy. Marx jednak, wywodząc wartość z pracy, musi przyjmować i przyjmuje, jak wspominaliśmy, że tworzy się ona już w ciągu procesu produkcyi!

Musi też, dzięki temu wyprowadzaniu wartości z pracy, nadwyżkę wartości wytworzoną w pewnem przedsiębiorstwie czynić zawisłą od ilości zatrudnionych w niem robotników a tem samem od wysokości kapitału „zmiennego“ (przeznaczonego na płace). Gdy zaś cały zysk kapitalisty, płynie, wedle Marxa — bo na tem polega właśnie cała jego teorya — z nadwyżki wartości wytwarzanej przez robotników a zabieranej z ich krzywdą przez kapitalistę, wynikałoby z tego, że im więcej robotników zatrudni pewien kapitalista w swem przedsiębiorstwie a im mniej wyda na maszyny i materyał surowy, tem większy zysk schowa do kieszeni! Wynikałoby dalej, że z dwóch przedsiębiorstw o równych kapitałach (np. fabryki cygar i młyna), to przedsiębiorstwo, które zatrudni dwa razy tyle robotników, będzie miało zysk podwójny!

Że coś podobnego nie zdarza się w rzeczywistości, nie może Marx przeoczać, nie twierdzi też tego: owszem przyznaje, że zysk poszczególnych przedsiębiorstw wyrównuje się w pewnem danem terytoryum gospodarczem, że rozkłada się równomiernie na wszystkie kapitały i że zawisł nietylko od kapitału zmiennego lecz od całego kapitału włożonego w przedsiębiorstwo. Jakżeż to jednak pogodzić jedno z drugiem? Jak pogodzić to, że nadwyżka wartości, płynąca z pracy zawisła tylko od wysokości kapitału zmiennego a zysk przedsiębiorcy, który jest właśnie tą nadwyżką

zabraną przez kapitalistę, zależy od całego kapitału włożonego w przedsiębiorstwo? Jak wytłumaczyć, że dwa przedsiębiorstwa o równych kapitałach, chociaż jedno z nich, zatrudniając dwa razy tyle robotników, wytworzyło dwa razy tyle nadwyżki wartości co drugie, będą mieć równe zyski?!...

Nierówność ta nadwyżek wartości u poszczególnych przedsiębiorstw a równość ich zysków, to główne sprzeczności Marxa. Dla wytłumaczenia jej odstępuje on, sam sobie nie zdając z tego sprawy, od swej pierwotnej teoryi o wartości. Zrazu, w dwóch pierwszych tomach „Kapitału“, próbuje sprzeczność tę w różny sposób wytłumaczyć. Twierdzi, że zmniejszenie liczby robotników równoważy wprowadzenie maszyn, zwiększona stąd produktywność i intenzywność pracy, tak że nadwyżka wartości nietylko się nie zmniejsza lecz zwiększa. Lecz to doprowadzałoby do niemożliwych konsekwencyj, jak ta, że cały znaczny zysk jakiegoś przedsiębiorstwa, może wytworzyć jeden człowiek lub parę kobiet i dzieci użytych do obsługi i dozorowania maszyn. Wskazuje więc na przedłużanie dnia pracy przez przedsiębiorców, które z mniejszej ilości sił roboczych potrafi wycisnąć tę samą nadwyżkę wartości. Lecz i to nie pomaga gdy chodzi o wypadki, w których wskutek ulepszonych sposobów produkcyi, maszyn, można rzeczywiście wielką ilość robotników, np. całą setkę zastąpić kilkoma a przedsiębiorstwo mimo to duży zysk będzie przynosić. Wszak z tych kilku jest wprost niemożliwem wyciśnięcie nadwyżki wartości choćby zbliżonej do tego zysku!... To też w tomie trzecim, zostawia Marx nadwyżkę wartości całkiem na boku i zaczyna równość zysków tłumaczyć — kosztami produkcyi i konkurencyą kapitału!

Koszta produkcyi choćby produktów różnych kategoryj — powiada on — są te same, jeżeli włożono w produkcyę równe kapitały, jakikolwiekby był skład wewnętrzny tych kapitałów, stosunek zawartego w nich kapitału zmiennego a stałego. W kosztach produkcyi odpada różnica między kapitałem stałym a zmien-

nym a tem samem wytworzonemi przez poszczególne przedsiębiorstwa nadwyżkami wartości. Cena towarów powstaje w ten sposób, że do kosztów swych dodaje każdy kapitalista zysk przeciętny, zysk jaki się tworzy wskutek konkurencyi. Kapitały równej wielkości mogą zatrudniać różną ilość pracy (stosownie do wysokości zawartego w nich kapitału zmiennego) i wytwarzają wedle tego różne ilości nadwyżki wartości. Wskutek tego są zyski (raty zysku) w różnych gałęziach produkcyi pierwotnie bardzo różne. (!) Przez konkurencyę jednak wyrównują się te różne zyski, zamienia je ona w jeden równomierny zysk procentowy, rozkładający się równo na wszystkie kapitały bez względu na ich skład wewnętrzny (zawartą w nich ilość kapitału zmiennego). W jaki sposób następuje to wyrównywanie się różnych zysków, Marx bliżej nie objaśnia, bo — objaśnić nie potrafi!...

Wprowadzenie przezeń kosztów produkcyi i konkurencyi nietylko nie tłumaczy, dlaczego kapitalista, o równym kapitale jak inni, chociaż wytworzył większą nadwyżkę wartości, nie będzie miał większego zysku, lecz wywołuje cały szereg nowych sprzeczności logicznych!

Cena ma wedle tego powstawać w ten sposób, że do kosztów produkcyi dolicza każdy kapitalista-przedsiębiorca jeszcze — zysk przeciętny. Zysk przeciętny więc ma decydować o cenie. Tymczasem sam ten zysk powstaje dopiero wskutek wyrównywania się w drodze konkurencyi pierwotnie różnych zysków, płynących z cen. Nie zysk więc wywołuje ceny, lecz ceny — zysk. Producent może z góry pragnąć pewnego zysku i odpowiednio temu układać sobie cenę swych produktów, czy jednak cenę tę dostanie, zależy od innych okoliczności a dopiero z otrzymanej ceny wyłoni się jego zysk rzeczywisty.

Powtóre, skoro zyski, chociażby pierwotnie, były różne w różnych gałęziach produkcyi, to wedle Marxa musieli kapitaliści w dotyczących przedsiębiorstwach nietylko wytworzyć różne nadwyżki wartości lecz i je zabrać (bo z tego przecież powstaje ich zysk!). Tymczasem Marx z całą

powagą twierdzi, że żaden kapitalista nie zabierze więcej nadwyżki wartości ponad zysk procentowy od całego włożonego przez się kapitału, że nadwyżka ta rozkłada się automatycznie na wszystkie kapitały pewnego danego terytoryum gospodarczego!

Różne koszta produkcyi wytłumaczą (i to w części tylko!) różne w rzeczywistości wartości i ceny wytworów: każdemu kapitaliście muszą się w cenach wrócić porobione wkłady, wytwór więc, którego koszta produkcyi są większe, już z tego powodu musi więcej kosztować. Lecz właśnie przyjmowanie kosztów produkcyi jako podstawy różnic w wartości, jest już przyznaniem, że wartość nie płynie tylko z pracy, że i od czego innego zależy.

Konkurencya wytłumaczy rzeczywiście dlaczego różne zyski wyrównują się ale tylko wtedy, jeżeli nie przyjmuje się zarazem, jak to Marx czyni, że zysk jest nadwyżką wartości, wytwarzaną przez pracę a zabieraną przez kapitał. Inaczej, jak długo zachodzi przyczyna nierównych nadwyżek wartości w poszczególnych przedsiębiorstwach tj. zatrudnianie różnych ilości robotników, zyski, mimo całej konkurencyi muszą być nierówne. Ze stanowiska Marxa więc nie można konkurencyą tłumaczyć wyrównywania się zysków, bo jeżeli one pod jej wpływem się wyrównują, to widać, że wysokość ich nie zawisła od ilości zatrudnionych robotników i wytworzonej nadwyżki wartości! Konkurencya nie zgadza się wreszcie z przypuszczeniem, które u Marxa spotykamy, że wszystkie kapitały pewnego terytoryum gospodarczego tworzą jak gdyby jeden wspólny kapitał i dlatego zysk na wszystkie kapitały równomiernie się rozkłada. Przez swoje wzmianki o konkurencyi, w dodatku bardzo ogólnikowe i bardzo niejasne, wikła się Marx jeszcze bardziej w sprzeczności.

Słusznie powiada Słonimski, który obok Langego najniemiłosierniej analizuje te sprzeczności Marxa, że Marx w gruncie rzeczy stawia aż trzy teorye o wartości względnie o zysku, które wzajemnie się wyłączają a mi-

moto mają pretensyę uchodzić za jedną, jednolitą teoryę. Wartość zamienna u niego to najpierw: wartość wogóle, wynikła ze skrystalizowanej, skrzepłej niejako, w wytworze pracy ludzkiej [1]; powtóre, wartość produkcyjna, która obejmuje koszta produkcyi z doliczeniem przeciętnego zysku; wreszcie jakaś mieszana wartość odpowiadająca wyłożonej na wytwór pracy i użytemu do produkcyi kapitałowi. Wartość pierwsza służy Marxowi za punkt wyjścia w całej jego analizie, wnet jednak okazuje się jako fikcyjna, nie wywiera wpływu na rzeczywiste ceny towarów ani na rzeczywiste zyski kapitalistów i Marx z całym spokojem odkłada ją na bok. Wartość druga służy do oznaczenia ceny towarów i w miarę tego jak potrzeba, jest wyższą albo niższą od wartości pierwszej (z pracy płynącej). Można tylko powiedzieć, że ma skłonność zgodzić się z wartością pierwszą. Do wartości trzeciej wreszcie jako ostatniej deski ratunku ucieka się Marx, gdy przekonuje się, że przy ulepszonych bardzo narzędziach produkcyi, potężnych maszynach, które bardzo małą ilość robotników zatrudnią a mimo to produkować będą szybko i wiele i dadzą wielkie zyski, nie można wytłumaczyć wartości przez nie wytworzonych ani pracą, ani kosztami produkcyi. Pracą nie, bo jeżeli się bierze pod uwagę pracę potrzebną do obsługi tych maszyn, praca ta jest minimalna. Kosztami produkcyi (niejako pracą dawniejszą, do wyprodukowania samych tych maszyn potrzebną) także nie, bo kapitał użyty na zakupienie tych maszyn, nie wyrazi wcale ich wartości produkcyjnej, niezmiernych zysków przez nie przyno-

[1] Gdyby Marx chciał przez wyprowadzenie wartości z pracy tę tylko myśl wyrazić, że praca jest najpierwotniejszym i głównym czynnikiem w produkcyi, możnaby się z nim zgodzić! Lecz tego tylko nie chce on powiedzieć. Owszem przyjmuje, że cała wartość wynikła z pracy i jedynie z niej, że jest od razu czemś objektywnem tkwiącem w wytworze samym. Odpowiednio temu objektywnemu punktowi wyjścia stara się następnie Marx — jak to bardzo trafnie wykazuje Böhm-Bawerk w pracy wyżej cytowanej w rozdziale drugim — zniwelować przez konkurenencyę wszystkie subjektywne momenta wartości. Że mu się to nie udaje i udać nie może, widzieliśmy wyżej.

szonych... Komorzyński i Sombart starają się częściowo przynajmniej usprawiedliwiać teoryę wartościową Marxa. Komorzyński[1] wykazuje, że momentu użyteczności w wartości teorya ta nie spuszcza z oka, bo jakkolwiek punktem wyjścia dla niej są: praca, koszta wyłożone na pracę (płacę robotników), to jednak czynniki te znajdują wyraz w wartości targowej i cenie tylko o tyle o ile były „społecznie koniecznemi“ t. zn. w danych warunkach produkcyjnych uzasadnionemi, inaczej mówiąc, rzeczywiście użytecznemi. Sam jednak zaraz później przyznaje, że wedle Marxa rzecz użyteczna, aby miała wartość musi coś kosztować (mieć za sobą jakieś koszta produkcyi), gdy tymczasem w rzeczywistości na każdym kroku widzimy, że rzeczy najużyteczniejsze, które nic nie kosztowały a tylko znajdują się w ograniczonej ilości i stąd mają wysoką wartość. Widocznie więc w rzeczywistości szacujemy wartość rzeczy, to znaczy ich użyteczność gospodarczą, niezależnie od tego, ile ich produkcya kosztowała, ile pracy wymagała!... Tem przyznaniem obala Komorzyński całe swe poprzednie usprawiedliwienie i uznaje, że teorya Marxa moment użyteczności w zupełnie fałszywy i błędny, bo z pojęciem użyteczności niezgodny sposób, uwzględnia.

Sombart znowu stara się w swej pracy złagodzić w oryginalny sposób sprzeczności teoryi wartościowej Marxa, twierdząc, że niema ona pretensyi uchodzenia za prawdziwą w rzeczywistości, mającą znaczenie empiryczne, lecz że jest tylko środkiem pomocniczym dla myślenia, rozumowania ekonomicznego, że ma dawać wyraz tej okoliczności, że praca jest najważniejszym w społeczeństwie czynnikiem produkcyjnym. Przeciw takiemu pojmowaniu Marxowskiej teoryi wartościowej występuje bardzo stanowczo Böhm-Bawerk w pracy przez nas również wyżej już cytowanej. Podnosi słusznie, że Marx nie chce wcale jakiegoś „istnienia w myśli“ tylko swej teoryi lecz owszem wierzy w jej egzystencyę realną i popiera to licznemi cytatami z „Kapitału“. Wystarczy choćby to podnieść, że Marx w tylu miejscach z naciskiem twierdzi,

[1] Komorzyński j. w. str. 256 i 257.

że jego prawo wartościowe działa z koniecznością natury!...

Taką jest nauka Marxa o wartości i zysku w świetle naukowej krytyki!

Choć podnosiliśmy tylko główne zarysy tej nauki i tylko główne ważniejsze zarzuty, zrobione jej przez ostatnią krytykę [1], musieliśmy się już nad nią rozwieść szeroko, szerzej niż może należało w szkicu przeznaczonym dla liczniejszych kół czytających... Było to jednak koniecznem, bo nauka Marxa o wartości i zysku to podwalina, rdzeń istotny wszystkich jego poglądów ekonomicznych, z nią one się utrzymują lub — upadają. Nie wdamy się też już dalej w rozbiór szczegółowych wywodów Marxa o kapitale handlowym, dzieleniu się zysku na zysk przemysłowy i kupiecki, rencie gruntowej i t. d. i t. d., zamykamy na tem to krótkie przedstawienie jego poglądów ekonomicznych i ostatecznego obrachunku nauki z niemi.

Jeżeli się spytamy, jaki jest rezultat tego obrachunku, przeprowadzonego przez cały szereg sumiennych badaczy naukowych, musimy odpowiedzieć: wykazanie, że teorya Marxa o wartości i zysku — a tem samem całość jego poglądów ekonomicznych, które na tej teoryi tylko opierają się — to szereg błędów logicznych, twierdzeń dowolnych, niedających się pogodzić ani ze sobą ani z faktami rzeczywistego życia ekonomicznego!

„Marx — powiada słusznie Słonimski — nietylko nie wniósł do istniejącej już teoryi o wartości nic nowego, nic takiego, coby mogło uchodzić za zdobycz naukową, lecz owszem wszystkie uzupełnienia jego, rozwinięcia tej teoryi są

---

[1] Zaznaczamy, że chcieliśmy tu w krótkości a dostępnie dla kół szerszych przedstawić rezultaty ostatniej krytyki Marxa, już po wyjściu III. tomu „Kapitału“. Z tego powodu nie omawiamy wielu trafnych a słusznych zarzutów, jakie podniesiono już dawniej przeciw poglądom Marxa (np. świetnej krytyki Böhm-Bawerka w jego *Geschichte und Kritik der Capitalzinstheorien.* 1884).

tylko — bezużyteczną sofistyką. Kto zechce porównać krótkie i jasne wywody Ricarda z nieskończenie długiemi opisami i wyjaśnieniami Marxa, musi nabyć przekonania, że Marx we wszystkich istotnych punktach idzie ślepo za tym swoim mistrzem, o którym mimo to wyraża się w tonie lekceważącym, zarzucając mu błędy i niezrozumienie rzeczy. Tylko wskutek nierozumienia Marxa można chyba dopatrywać w jego nauce jakiegoś uzupełnienia czy udoskonalenia teoryi Ricarda".

A Lange zamyka swą krytykę ekonomicznych poglądów Marxa temi krótkiemi słowy: „Skończyliśmy nasze badanie. Gmach myśli Marxa nie wytrzymał krytyki na żadnym punkcie. Okazało się raczej, że Marx jako ekonomiczny teoretyk niema żadnego znaczenia!"

Można zapytać się jednak: skąd bierze się, wobec tych wszystkich rażących błędów teoryi Marxa, jej popularność? Odpowiedź na to łatwa. Teorya ta, tendencyjna, przykrojona z góry do pragnień i potrzeb klas społecznie upośledzonych i rozgoryczonych, przyjętą została ze ślepą wiarą, ze względu na swe rzekome znaczenie społeczne, na praktyczne konsekwencye, do jakich miała doprowadzać, na przyszłe widoki, jakie obiecywała. Przytem cała jej popularność powstała tylko na podstawie I-go tomu „Kapitału" i jego wywodów opartych na założeniu — jak sam Marx przyznaje — wyjątkowo tylko prawdziwem, że towary mieniane są wedle swych wartości. „Popularny teoretyk Marx zatem — powiada słusznie Lange — to nieprawdziwy Marx! Gdyby Marx był cały swój system w związku od razu wydał, byłby prawdopodobnie dawno zapomniany i wspominanoby chyba o nim przy sposobności jako o *curiosum* historycznem. Byłoby się wówczas zaraz okazało, że ma się w nim do czynienia nie z radykalnym materyalistą lecz z niejasnym mistykiem!"

* * *

Nielepiej jak ekonomiczne teorye Marxa, przedstawiają się jego poglądy społeczne. Przejdziemy je w krótkości.

Wedle Marxa dzieli się społeczeństwo kapitalistyczne na trzy klasy: właścicieli ziemi, kapitalistów i robotników. Tylko robotnicy są właściwie produktywnymi, tylko oni pracują. O ile właściciele ziemi i kapitaliści sami także pracują nie przedstawiają czystego typu swej klasy, bo przy konsekwentnie przeprowadzonej produkcyi kapitalistycznej, wypuszcza właściciel ziemi grunta w dzierżawę i pobiera tylko we formie czynszu dzierżawnego swą rentę; tak samo kapitalista powierza kierownictwo swego przedsiębiorstwa swym urzędnikom a sam chowa tylko do kieszeni zysk, albo, jeżeli kapitał swój wypożyczył, procent. Robotnicy, którzy jedynie produkują wartość, wraz z urzędnikami kierującymi przedsiębiorstwem, pobierają za swoją pracę od kapitalistów — bo z właścicielami ziemi bezpośrednio nie wchodzą w stosunek — płacę. Renta, zysk i płaca więc razem to cała wartość, którą robotnicy na nowo wyprodukowali. Nadwyżkę pozostałą z tej nowowyprodukowanej wartości, po strąceniu z niej płacy, zabierają w przeważnej części zysk i renta: część tylko tej nadwyżki idzie na wynagrodzenie osób zatrudnionych produktywnie w handlu. Pozostali nieproduktywni robotnicy, jak urzędnicy publiczni, służący prywatni i t. d., pobierają wprawdzie wynagrodzenie swe, w gruncie rzeczy też z nadwyżki nowowyprodukowanej wartości, ale na innej drodze jak osoby zatrudnione w handlu. Dla zatrudnionych w handlu wydziela się ich płaca z ogólnej sumy nadwyżki wartości, jeszcze przed rozdziałem tejże na poszczególne kapitały, gdyż służba osobista właścicieli ziemskich i kapitalistów otrzymuje swoją płacę z ich rent lub zysków, służba urzędników jakiegoś przedsiębiorstwa nawet z ich płacy dopiero. Skąd pobierają swoje płace urzędnicy państwowi i autonomiczni, lekarze, nauczyciele i t. d., którzy nie tworzą w myśl teoryi Marxa żadnych wartości, tego on wprawdzie nigdzie bliżej nie wyjaśnia, lecz nie ulega wątpliwości, że i oni otrzymują swój udział w wartości, stworzonej przez produktywnych robotników i urzędników z renty, zysku i płac trzech głównych klas społecznych, częścią bezpośrednio, częścią pośrednio z podatków przez te klasy opłacanych.

Jak z poprzednio przedstawionych ekonomicznych poglądów Marxa wynika, nowo stworzona wartość dzieli się na nadwyżkę wartości, zabieraną przez kapitalistów, i płacę w ten sposób, aby płaca pokryła wartość — właściwie powinienby Marx powiedzieć: koszta produkcyi — pracy. Te koszta produkcyi pracy równają się tylko niezbędnemu, koniecznemu jej utrzymaniu. Mimo wszelkiego postępu gospodarczego i technicznego, który podwyższa produktywność pracy, jej rezultaty, praca nic na tem nie zyskuje, podnosi się tylko nadwyżka wartości. Płace robotników, czy się podnoszą, czy obniżają — zależy to od stosunków — odpowiadają zawsze tylko najniezbędniejszym potrzebom robotnika, na nie tylko wystarczają. I właśnie gdy technika produkcyi postępuje bardzo, robotnicy są najmniej w stanie podnieść potrzeby swego stanu, bo wówczas właśnie przy ulepszonej technice produkcyi mniej trzeba sił roboczych, konkurencya więc przy szukaniu pracy jest większą.

Prócz tego postępy techniki produkcyjnej sprzyjają rozwojowi coraz większych, kolosalnych przedsiębiorstw. Już przy stosunkach normalnych, a jeszcze więcej przy przesileniach gospodarczych, które peryodycznie się powtarzają, giną mali przedsiębiorcy, a liczba wyzutych z wszelkiego mienia powiększa się w ten sposób kosztem klas posiadających. Posiadających jest coraz mniej, za to coraz większe kapitały gromadzą się w ich ręku. Tak postęp produkcyi społecznej nie oznacza nic innego, jak: coraz większą nędzę mas z jednej strony, coraz większą koncentracyę kapitału w niewielu rękach z drugiej. Społeczeństwo, oparte na podstawach kapitalistycznych, samo podkopuje w ten sposób swą egzystencyę, bo w końcu musi przyjść do tego, że masa proletaryatu zwróci się przeciw małej liczbie kapitalistów, którzy cały kapitał posiedli, odbierze im posiadanie kapitału, narzędzi produkcyi, i to będzie koniec kapitalizmu, a początek ustroju komunistycznego [1].

---

[1] Marx nazywa komunizmem to, co właściwie według rozumienia nauki jest i zwać się powinno socyalizmem.

Cały ten bieg rzeczy jest wedle Marxa konieczności historyczną. Zupełnie obojętnem jest, wedle niego, czy rządy lub jednostki obmyślają jakie plany reform społecznych, czy nie. Rzeczywistą wartość z tych usiłowań mają te chyba, które pouczają masy wyzute z posiadania o ich położeniu i o misyi rewolucyjnej, jaką mają spełnić. Zresztą konieczny historyczny rozwój może być przez zarządzenia reakcyjne lub rewolucyjne opóźnionym lub przyspieszonym, lecz nie — zmienionym. To też Marx konsekwentnie nie stawia od siebie żadnych planów reform.

I znowu trzeba rzec o tych teoryach społecznych Marxa, że są całkiem jednostronne i — wzięte nie z rzeczywistości, lecz z fantazyi.

Wpatrzywszy się w angielskie stosunki i to tylko stosunki pewnego okresu i pewnych gałęzi produkcyi, uogólnia je fałszywie i tworzy jakieś prawa historyczne, mające rzekomo rządzić rozwojem gospodarczo-społecznym całej ludzkości.

Biorąc pod uwagę już tylko rozwój rolnictwa, widzimy, że na całym kontynencie stosunki rolnicze wcale się nie ułożyły wedle Marxowskiego szablonu. Ziemia nie skupia się wszędzie w rękach niewielu, majątków ziemskich nie wypuszcza się koniecznie w dzierżawy, w niektórych krajach widzimy wprost rozdrobnienie własności ziemskiej, a i tam, gdzie miała ona dotąd tendencyę do nadmiernego skupiania się w niewielu rękach, zdołano ostatniemi czasy przez racyonalne reformy agrarne utrzymać, owszem powiększyć, małą i średnią własność ziemską. W przyszłości zaś wskutek wprowadzania organizacyi zawodowej i stowarzyszeń zawodowych i w rolnictwie wzrosną i rozszerzą się niewątpliwie te dwie kategorye własności ziemskiej: może też powstaną nowe formy tej własności!...

Nieco więcej wedle szablonu Marxa rozwijał się dotychczas w głównych krajach europejskich przemysł. Że w nim wszelkie przedsiębiorstwa mają tendencyę wzmagać się na niekorzyść małych, jest to niewątpliwem, lecz i to jest tylko tendencya, która przez działanie innych czynników może być wstrzymaną. „I kamień, rzucony w górę, — powiada słusznie

w krytyce swej Lange — ma tendencyę lecieć i lecieć coraz wyżej, a mimo to wnet upada na ziemię".

Przedewszystkiem trzeba wziąć pod uwagę, że powiększanie rozmiarów przedsiębiorstwa wymaga zgromadzania w jednem miejscu coraz większej ilości surowców do przerabiania i wytworów pomocniczych. Trzeba jedne i drugie sprowadzać z coraz dalszych i dalszych stron, to wzmaga coraz więcej koszta produkcyi i — nadchodzi granica, poza którą nie opłaca się już więcej transport surowców z dalekich stron. Znaczenie transportu i kosztów transportu dla rozmiaru przedsiębiorstw wziął Marx pod uwagę w jednym tylko kierunku: uwzględnił o ile one koncentracyę przemysłu i wzrost rozmiarów przedsiębiorstw ułatwiają: naturalnie bo za jego czasów, w pierwszej chwili rozwoju kolei i żeglugi parowej, wystąpić mogło dopiero to działanie transportu. O ile zaś transport przeciwdziała właśnie koncentracyi zbytniej przemysłu, tego Marx wcale nie brał w rachubę. A jednak i te skutki transportu występują, a dadzą się one zwłaszcza najlepiej dostrzedz przy produkcyi wyrobów z surowców, ulegających szybkiemu zepsuciu np. przy produkcyi przetworów nabiałowych. Organizacya mleczarń w krajach, gdzie się najwyżej rozwinęła, jest i musi być właśnie zdecentralizowaną i stanowi jaskrawy przykład, że rozwój techniczny przemysłu nie musi iść wcale w parze z coraz większą koncentracyą produkcyi.

Powtóre nawet w tych gałęziach przemysłu, gdzie koncentracya ta rzeczywiście się wzmaga, trzeba pamiętać, że koncentracya produkcyi to jeszcze niekoniecznie koncentracya kapitałów w ręku niewielu osób, jak myśli Marx. Właśnie największe przedsiębiorstwa mogą być i dzisiaj są zwykle własnością wielu osób, stowarzyszeń, spółek akcyjnych i t. d.

Nikt nie zaprzecza, że w chwilach wielkiego i nagłego rozwoju produkcyi fabrycznej jednostki robią nieraz kolosalne majątki, a z drugiej strony wzrasta niesłychanie proletaryat roboczy, bez żadnego mienia, ale żeby to, co było w pewnym okre-

sie i w pewnych krajach, miało być regułą konieczną raz na zawsze dla wszystkich społeczeństw, temu należy stanowczo zaprzeczyć. Nic nie wskazuje na to, aby dalszy i przyszły rozwój gospodarczy krajów europejskich miał iść tą drogą, żeby społeczeństwa rozpadały się coraz bardziej na dwie tylko klasy: niewielu bogaczy i tłumy nędzarzy! Owszem, dzisiejsze reformy społeczne, szerzenie się organizacyi zawodowej, nowych form produkcyi, wzmaganie się stanu średniego (inteligencyi, urzędników, nauczycieli i t. d.), wszystko przemawia przeciw szablonowi Marxa.

* * *

Z imieniem Marxa wiążą się jednak nietylko pewne abstrakcyjne doktryny, lecz i — program praktyczny, zmierzający do przekształcenia dzisiejszej organizacyi gospodarczo-społecznej w interesie klasy roboczej. Program ten powołuje się na powagę rzekomo naukową doktryn Marxa, tak jak z drugiej strony te doktryny — jak podnieśliśmy już wyżej — zawdzięczają całą swą wziętość temu programowi. I jeżeli w czem leży znaczenie historyczne Marxa i jego nauk, to w tem, że do programu tego umiał zjednać i pociągnąć tak liczne koła zwolenników, że skupił przy nim, jak przy sztandarze, klasę robotniczą w różnych krajach. Marx to właściwy twórca socyalnej demokracyi: jego utopiom zawdzięcza też ona manowce, po których błądzi.

Najlepiej wykazuje to porównanie dwóch krajów: Anglii, w której doktryny Marxa, a tem samem socyalna demokracya, mało co się przyjęły, i Niemiec, które są właściwą siedzibą, ogniskiem organizacyi socyalno-demokratycznej. W trzeźwem społeczeństwie angielskiem utopie Marxa nie potrafiły rozgrzać wyobraźni klas robotniczych; mimo to, a raczej właśnie dlatego, klasy te w tym kraju najdalej posunęły się w usiłowaniach o polepszenie swego bytu, najwybitniejsze — w porównaniu z innemi krajami — zdobyły sobie stanowisko w społeczeństwie. Dosyć wskazać na organizacyę angielskich stowarzyszeń robotniczych i ich działalność! Tymczasem w Niemczech, narodzie

doktrynerskim, jak gdyby stworzonym dla fantazyi Marxa, cóż zdziałała socyalna demokracya dla klasy roboczej? Wywarła wielki wpływ na życie polityczne państwa, szerzy się coraz bardziej, lecz czy brała jakikolwiek udział we wszystkich reformach ekonomicznych i społecznych, w usiłowaniach praktycznych dla polepszenia doli robotników? Nie wystąpiła nawet od siebie z żadnemi wnioskami ustawodawczemi w parlamencie, ograniczając się do popierania projektów rządowych, lub odmawiania im poparcia!...

Historya zapisze na swych kartach imię Marxa, lecz nie jako powagi naukowej, ekonomisty, socyologa, czy też filozofa[1], lecz tylko jako namiętnego, fanatycznego propagatora idei polityczno-społecznych, które w dziejach naszego wieku i nowoczesnej cywilizacyi tak wielką odgrywają rolę!

A Słonimski słusznie zamyka swą pracę o nim uwagą, że już z temperamentu był on stworzonym raczej do walki, jak do badania i dociekania prawdy. W „Kapitale“ z daleko więcej miejsc zieje nienawiść i szyderstwo, jak odzywają się słowa współczucia dla biednych i uciśnionych: miernoty o tych samych zapatrywaniach, podnoszone są do znaczenia, a ignorowani lub lekceważeni wybitni przeciwnicy...

* * *

Przegląd nasz ostatniej krytyki Marxa zamkniemy zaznaczeniem zmian, jakie w najnowszych czasach w systemie jego idei, w stworzonym przezeń kierunku dadzą się dostrzedz. Wdzięcznego lecz żmudnego zadania wykazania tych zmian podjął się prof. Masaryk w pracy przez nas wyżej już podanej, bardzo krótkiej a bardzo treściwej.

U wstępu tej pracy zaznacza, że zajmie się samym Mar-

[1] W tym kierunku stanowczo grzeszy cytowana przez nas wyżej praca Wencksterna, który Marxa uważa za rodzaj filozofa, zestawia go z Kantem, Heglem i przypisuje całej jego teoryi — znaczenie etyczne (!).

xyzmem tylko jako najważniejszym systemem socyalistycznym, w dalszym ciągu jednak przechodzi do rozważania zmian, jakie zaszły w socyalizmie wogóle. Socyalizm zaś uważa słusznie nietylko za system ekonomiczny, lecz za system, obejmujący całość życia ludzkiego, za odrębny — p o g l ą d n a ś w i a t. Za t e o r e t y k a e k o n o m i c z n e g o tego poglądu uważa prof. Masaryk: Marxa, za filozofa — Engelsa [1].

Otóż rozpatrując przedewszystkiem z m i a n y w t e o r y i e k o n o m i c z n e j socyalizmu, zaznacza prof. Masaryk, że sprzeczność nauk trzeciego tomu „Kapitału“ Marxa z tomem pierwszym — którą przedstawiliśmy szczegółowo wyżej na podstawie wyników ostatniej krytyki — zaczynają czuć sami socyaliści i odpowiednio temu teoryę swą modyfikować.

Już dawniej -- zaraz we wstępie do drugiego tomu „Kapitału“ — oznajmiał Engels, że w trzecim tomie wyjaśni się, dlaczego Marxowska nadwyżka wartości zamienia się w specyalne formy zysku. Lecz odpowiedzi na to nie dał tom trzeci „Kapitału“. Również przed pojawieniem się jeszcze tego tomu próbował Konrad Schmidt z obozu socyalistycznego w znanej swej pracy [2], kwestyę tę wyjaśniać, lecz popadł tylko w teoryę n i e socyalistyczną, co mu Engels we wstępie do trzeciego tomu „Kapitału“ nie omieszkał zarzucić, przeoczając, że ten zarzut możnaby zastosować i do samego Marxa. Tłumaczenia prof. Sombarta, o którem wspominaliśmy wyżej, że cała nadwyżka wartości u Marxa jest tylko regulatywem w duchu Kantowskim dla teoryi, zasadą w myśli istniejącą — nie przyjęli socyaliści, w ostatnich czasach jednak występuje i u nich uznanie sprzeczności Marxa, dążność do zmiany przystosowania jego teoryi. Engels pod koniec swego życia tłumaczy, że Marxowskie prawo wartościowe ma znaczenie tylko od początku handlu obrotowego do XV. stulecia, na co słuszną robi uwagę francuski so-

[1] Przeciw temu drugiemu sądowi musimy się stanowczo zastrzedz: Engels jest za mało oryginalnym i za płytkim pisarzem, żeby go uważać za filozofa.

[2] Conrad Schmidt, *Die Durchschnittsprofitrate auf Grundlage des Marx'schen Wertgesetzes.* 1889.

cyalista Sorel, że tem samem dla nowszej produkcyi kapitalistycznej staje się ono bez znaczenia. Bernstein w dwóch pracach uznaje, że prawo to wartościowe ma zastosowanie tylko do początków nowoczesnej gospodarki kapitalistycznej i że sam Marx w trzecim tomie naukę swą o wartości znacznie zmienił. Bernstein przyznaje też nauce tej tylko relatywne znaczenie. Podobnie i socyaliści angielscy Shaw i Smart. Niektórzy wreszcie z teoretyków socyalistycznych porzucili już wprost teoryę wartościową Marxa. W tym kierunku zwłaszcza idą angielscy Fabiusze, którzy przychylają się do teoryi wartościowej Jewonsa i szkoły wiedeńskiej.

Po tych zmianach w naukach ekonomicznych socyalizmu, zaznacza prof. Masaryk: zmiany w jego poglądach społecznych.

U Marxa występuje w poglądach społecznych tak zwany materyalizm historyczny tj. zapatrywanie, że stosunki produkcyi i stosunki ekonomiczne decydują z koniecznością praw natury o całym rozwoju społecznym, politycznym a nawet duchowym i cywilizacyjnym ludzkości.

Otóż z polemiki przeprowadzonej ostatniemi czasy między socyalistycznymi pisarzami Baxem i Kautskym okazuje się, że obaj ci pisarze od materyalizmu historycznego — odstąpili. Bax przyjmuje wprawdzie nominalnie materyalizm Marxa lecz nadaje mu całkiem inne znaczenie. Bodźce psychologiczne („ideologiczne“) są wedle tego znaczenia pierwotnemi samoistnemi: stosunki ekonomiczne są dla nich tylko warunkiem negatywnym, bez którego istnieć nie mogą, jak rośliny bez ziemi. Kautsky zaś przyznaje, że materyalizm historyczny nie może wyjaśnić faktów dziejowych i tego nie chce: wewnętrzne psychologiczne motywa mają ogromne znaczenie, z drugiej strony zaś przez stosunki ekonomiczne nie należy tylko rozumieć maszyny lecz całą technikę nowoczesną i postępy wiedzy ludzkiej. Nie ulega wątpliwości, że przez te twierdzenia Kautsky bardzo się zbliżył do Baxa. Podobne zapatrywania co do materyalizmu w historyi objawiają i inni niemieccy socyaliści (Cunów, Ernst).

Abstrakcyjną socyologią: kwestyą postępu ludz-

kości, praw dziejowych, czynników głównych rozwoju społecznego, mało zajmuje się sam Marx: wspomina o tem wszystkiem tylko przy sposobności. Za to dokładniej i szczegółowiej zajmuje się tem wszystkiem Engels zwłaszcza w swej pracy o rodzinie.

Według Engelsa obecna cywilizacya datuje od państwa ateńskiego; cywilizacya polega na tem, że społeczeństwo jest państwowo i narodowo zorganizowanem, że zna własność prywatną i rodzinę tylko monogamiczną, z czego wynika, że żyjący z wyzysku kapitał jest właśnie twórcą dzisiejszej cywilizacyi. Nim społeczeństwa ludzkie doszły do tej cywilizacyi, żyły w stanie dzikim i w barbarzyństwie, nie było organizacyi państwowej, nie było żadnych narodów, panował komunizm, a rodzina, lecz nie monogamiczna, stanowiła podstawę pierwotnej organizacyi społecznej — organizacyi rodowej. Engels kreśli zresztą rozwój ludzkości od stanu dzikiego przez stadyum barbarzyństwa do cywilizacyi, na podstawie znanych prac Morgana, tylko że jądro jego wywodów o pierwotnej organizacyi rodowej leży w przyjmowaniu organizacyi rodzinnej matryarchalnej, której głową jest matka nie ojciec. Z rozwojem patryarchatu zaczyna się już upadek, który doprowadza do dzisiejszej rodziny monogamicznej i nieodłącznego od niej zepsucia obyczajów...

Przeciw fantastycznemu przyjmowaniu matryarchatu wystąpili wnet krytyczni i treściwi socyologowie [1], a z nowszych socyalistów Cunów, który gorliwie zajmuje się badaniami w tym kierunku, nie przypisuje już matryarchatowi wcale tak wielkiego i doniosłego znaczenia, jak mu nadawał Engels. Wedle Cunowa matryarchat nie jest wcale instytucyą pierwotną, lecz wyrobił się z patryarchatu a kobieta nie zyskała przezeń wcale lepszego stanowiska. Zdaniem Masaryka ten krytyczny pogląd Cunowa na matryarchat, zapatrywania wypowiedziane przez samego Marxa w tomie III. „Kapitału“, wreszcie odrzucenie przez Engelsa w jego późniejszych pracach rewolucyi, jako środka

[1] Między innymi ś. p. Dargun (*Mutterrecht und Vaterrecht.* 1892).

zmiany dzisiejszego ustroju społecznego i przyjęta przez socyalizm — o czem zaraz niżej — taktyka kompromisu, muszą doprowadzić do przekształcenia dotychczasowej nauki socyalistów o państwie.

Swe pierwotne zapatrywanie na komunizm zmienili już Marx i Engels pod koniec swego życia i wyrażali się bardzo trzeźwo i z wielką rezerwą o stosunkach gospodarczych w przyszłem społeczeństwie socyalistycznem. Wedle III. tomu „Kapitału“ np. będzie musiał robotnik i w społeczeństwie socyalistycznem pracować ponad zaspokojenie swoich potrzeb, t. zn. nadwyżka wartości zostanie. Engels zaś zapatruje się całkiem sceptycznie na prawo do całego rezultatu pracy. Podobnie ostrożnie wyrażają się o tej kwestyi i nowsi socyaliści zwłaszcza Kautsky.

Z poglądami społecznemi socyalizmu wiążą się też ściśle: jego taktyka w życiu praktycznem i stanowisko wobec innych prądów społecznych, kwestyj politycznych i narodowościowych.

Co do taktyki, to sam Marx zalecał zawsze, jak wiadomo, rewolucyę, jako środek do zmiany dzisiejszej organizacyi gospodarczo-społecznej; dopiero w latach ostatnich swego życia — jak stwierdza III. tom „Kapitału“ — stał się mniej rewolucyjnym. Podobnie Engels z początku i przez długi czas był za rewolucyą, dopiero pod koniec życia, w r. 1895 oświadcza się przeciw rewolucyi i zaleca socyalnej demokracyi taktykę polityczną — parlamentarną. Te ostatnie poglądy Engelsa, do których przychylił się on przejąwszy się teoryą ewolucyi z nauk przyrodniczych — przyjmują dziś niektórzy socyaliści bezwzględnie (rewolucya sama w sobie jest nieuzasadnioną i bezpożyteczną), inni względnie (w niektórych państwach i okresach rozwoju, rewolucya może do celu prowadzić, lecz nie dziś, nie w państwie konstytucyjnem); wogóle jednak w znacznym odłamie socyalizmu daje się dziś widzieć zwrot do taktyki kompromisów. Wskazują na to np. kierunek zainicyowany przez socyalno-demokratycznego deputowanego Vollmara w Niemczech jakoteż obrady ostatniego kongresu w Hamburgu.

Skutkiem tych zmian w taktyce odłącza się socyalizm co-

raz od anarchizmu. Rozdział między oboma temi prądami społecznemi w Niemczech jest już wyraźny: już w r. 1887 na kongresie w St. Gallen w Szwajcaryi oświadczyła się „socyalistyczna partya robotnicza“ niemiecka przeciw użyciu gwałtu, „który może służyć zarówno reakcyi jak rewolucyi“, a na kongresie zurychskim w r. 1893 wykluczono wprost anarchistów. Tylko w krajach romańskich a poniekąd i w Austryi, jak sądzi prof. Masaryk, socyalizm i anarchizm nie są dość wyraźnie odgraniczone.

Wreszcie zaznaczyć też trzeba zwrot w poglądach filozoficznych i religijnych socyalizmu. Marx i Engels będąc zwolennikami materyalizmu, uważają całą etykę, religię i filozofię za coś już przestarzałego: zdaniem Engelsa cała etyka polega na walce klasowej. Natomiast nowsi socyaliści dają się pociągnąć obecnemu ruchowi etycznemu i biorą w nim udział. W Niemczech pisze w duchu etycznym socyalista C. Schmidt, we Francyi Jaurès, w Anglii Bax i inni. Również kwestyę religii omawiają i poruszają żywo nowsi niemieccy socyaliści, w Anglii i Ameryce socyalizm wcale nie jest wrogim religii a socyalizm francuski przybiera wprost charakter religijny. Równolegle z tem odstępuje socyalizm w kierunku filozoficznym od swego pierwotnego materyalizmu a niemiecki socyalistyczny pisarz I. Stern, przychylając się do Spinozy, potępia płytkie doktryny Vogta i Büchnera... I dla sztuki i estetyki nawet okazuje socyalizm zainteresowanie. Utopizm w formie poetycznej lub artystycznej znachodzi zwolenników wśród socyalistów a z drugiej strony socyalizm wywiera swoje wpływy na sztukę i przemysł artystyczny. Jako na teoretyków nowej estetyki socyalnej wskazuje prof. Masaryk na Ruskina, Morrisa i Baxa w Anglii.

Wszystkie te zmiany w pierwotnych poglądach socyalizmu, są, zdaniem prof. Masaryka, dowodem, że w socyalizmie w chwili obecnej odbywa się przełom naukowy i filozoficzny. Socyalizm traci wiarę w swą wyłączną nieomylność teoretyczną, staje się więcej naukowym i trzeźwym, przybiera charakter filozoficzny, charakter odrębnego poglądu na świat

Bo bez zmienionego, etyczniejszego poglądu na świat, niemożliwą jest wszechstronna reforma społeczna.

W końcowym tym sądzie swoim, ma prof. Masaryk prawdopodobnie na myśli pisarzy naukowych ze szkół zbliżonych do socyalizmu (szkoły etycznej, chrześcijańsko-socyalnej i t. p.); właściwemu socyalizmowi bowiem, teoretykom socyalnej demokracyi, trudno przyznać charakter naukowy.

Dr. Władysław Pilat.

KILKA UWAG O OSTATNIM KONGRESIE ROBOTNIKÓW W KRAKOWIE.

W czasie, kiedy Kraków i kraj cały zajęty był jeszcze uroczystościami, poświęconemi czci Mickiewicza, zgromadzali się bez pompy i zgiełku w skromnej sali na ulicy św. Gertrudy delegaci stowarzyszeń katolicko-robotniczych z całej Galicyi. Posiedzenia odbywały się przez 2 dni od 8—12 i od 2 –7 godz. wieczorem; choć wszystkie były poufne, nie wykluczono jednak spokojnych gości. Liczba delegatów — blizko 70 — przedstawiających 40 stowarzyszeń katolickich, była dość pokaźna, za to miejsca, przeznaczone dla gości, świeciły najczęściej pustkami.

W kraju, gdzie w życiu publicznem nie grzeszy się zbytniemi objawami katolicyzmu, miłe na serce każdego katolika wrażenie wywrzeć musiał widok tylu przedstawicieli katolickich robotników, publicznie zgromadzonych pod hasłem miłości, wiary i ojczyzny, symbolicznie przedstawionej w transparencie nad trybuną prezydyum i mowców.

Jesteśmy przekonani, że zjazd delegatów nietylko ze stanowiska katolickiego, ale też ze względu na swe znaczenie ogólno-społeczne, byłby zwrócił na się powszechną uwagę kraju i prasy naszej, gdyby się był odbył w czasie spokojniejszym. Samiśmy pragnęli spotkać się z gruntowną oceną tego bądź co bądź znaczącego objawu życia katolicko-społecznego ze strony ludzi, wybitny biorących udział w życiu naszem publicznem.

Ponieważ jednak oprócz treściwego sprawozdania w *Grzmocie*[1] i kilku luźnych wiadomości w codziennych czasopismach nic o zjeździe nie znaleźliśmy, sądziliśmy, że może nie bez pożytku będzie, jeżeli się podzielimy z naszymi czytelnikami osobistemi wrażeniami, któreśmy z wiecu wynieśli. Zastrzegamy się z góry, że naszym zamiarem nie jest wcale dać wyczerpującego poglądu na akcyę katolicko-robotniczą w naszym kraju. Nie kusiliśmy się nawet, by przedłożyć ocenę teraźniejszego stadyum jej rozwoju; następujące krótkie uwagi są tylko prostem wynurzeniem myśli i uczuć, które mimowoli podczas wiecu nam się nasuwały.

Wiec był zwołany przez związek stowarzyszeń robotniczych, istniejący od 2 lat, którego statuta jednak, jako krajowego związku, dopiero w najbliższej przyszłości rządowe potwierdzenie otrzymać mają. Książe biskup krakowski raczył sam przybyć na otwarcie wiecu i zagaić go krótką przemową, nadzwyczaj trafnie wytyczającą ogólne zasady, które obradującym przyświecać powinny. Cel najbliższy obrad, to wedle słów księcia biskupa, podźwignięcie stanu robotniczego, cel w sobie dobry i szlachetny — dzisiaj siłą zmienionych stosunków ekonomicznych, koniecznością prawie się narzucający. Aby prace w tym kierunku przedsięwzięte wyszły na prawdziwy pożytek robotników, zawsze niemi kierować powinny zasady wiary św., przedewszystkiem towarzyszyć im winna miłość wzajemna, miłość ogarniająca wszystkie stany. Te były główne rady, których uwzględnienie książe biskup z ojcowską życzliwością delegatom polecił. Żałowaliśmy tylko, że książe biskup skutkiem osłabienia cichym głosem przemawiał tak, że nie wszyscy słów jego dosłyszeć mogli. Przewodniczącym wiecu obrany został p. Stróżyński, prezes Związku.

W 23 punktach zarząd Związku przedłożył zgromadzonym materyał do obrad. Część tych punktów tyczyła się ekonomicznego bytu stowarzyszeń, część odnosiła się do zamiaru utworzenia nowej wielkiej partyi politycznej, katolicko-narodowej.

Już od dawna dawał się u nas uczuć brak partyi, któraby

[1] *Grzmot*, nr. 27 i nast.

przez szerokie zastosowanie zasad katolickich mogła ogarnąć wszystkie stany. Ów brak jest po części przyczyną, że wogóle nie posiadamy organizacyi katolickiej, a przy wyborach nie przekonania, ale zręczność prowadzonej agitacyi główną rolę odgrywa; jest on też przyczyną, że wielka część katolickiego społeczeństwa, nie wiedząc, do kogo się w walce przyłączyć, wcale ze swych praw nie korzysta, by także w życiu publicznem dopomagać katolickim zasadom do zwycięstwa, gdy tymczasem wszyscy przeciwnicy zasad katolickich aż do ostatniego siły swe wyzyskują, by na wierzch wypłynąć.

W zasadzie więc nie można potępić pomysłu utworzenia nowego, nawskróś katolickiego stronnictwa. Istniejące partye, zdaniem kongresu robotników, są albo wprost złe, albo zbyt ciasne; prawie wyłącznie na oku mają własne interesa, a o tem zapominają, że w społeczeństwie pojedyncze warstwy znaleźć mogą jaką taką rękojmię własnego dobrobytu, bezpieczeństwa i trwania tylko przy równomiernym rozwoju wszystkich warstw. Głównym celem nowej partyi ma być naprawa spaczonych stosunków społecznych i polepszenie bytu klas pracujących w duchu encyklik Leona XIII. Zadaniem wiecu było tylko uczynić pierwsze kroki do uskutecznienia myśli, już nieraz poruszanej[1], a temu zadaniu wiec zadość uczynił, wybierając komisyę wykonawczą, złożoną z robotników, duchowieństwa i profesorów uniwersytetu.

Zresztą nie mamy zamiaru zapuszczania się głębiej w prace wiecu w kierunku politycznym; nie byliśmy nawet obecni na wszystkich naradach nad główniejszemi punktami politycznej części programu. Musimy jednak już tu zapisać jedno spostrzeżenie, tyczące się usposobienia delegatów robotniczych wobec przedłożonego im planu utworzenia partyi politycznej.

Zrozumieli delegaci potrzebę partyi katolickiej, partyi, któraby się losem klas najbardziej opuszczonych w naszych czasach przedewszystkiem zajęła, ale w niczem widać nie było ani śladu gorączkowego rozpolitykowania. Ta choroba, naszemu

---

[1] Por. Odczyt d-ra Kopycińskiego na kursie socyalnym. *Przegląd. Pow.*, luty 1898, str. 213.

wiekowi nieobca, a przedewszystkiem u nas od dawien dawna znana, najmniej może dotknęła stan robotniczy, choć i u nas, i za granicą socyaliści i inni agitatorzy wszelkiemi siłami nad tem pracują, by lud nią zarazić. Angielskie stowarzyszenia robotników wcale w politykę się nie wdawały, dopóki socyalizm się do nich nie wkradł. We Francyi również wielkie stowarzyszenia niesocyalistyczne z początku nic z polityką do czynienia nie miały, a gdy młodsza generacya zaczęła uprawiać politykę prawie na pierwszem miejscu, wkrótce sami robotnicy się przekonali, że to pociąga za sobą zaniedbanie głównych interesów klas pracujących. Z licznych wynurzeń galicyjskich delegatów robotniczych widać było, że i nasi robotnicy wcale nie myślą bawić się niepotrzebnie w politykę, jak to z wielką trzeźwością sądu wypowiedział delegat Müller, prezes „Przyjaźni“ lwowskiej, ale na oku mają przedewszystkiem kwestye ekonomiczne, narzucające im się na każdym kroku w życiu codziennem; polityczne stronnictwo, któreby ich potrzeby zrozumiało, pragną utworzyć przedewszystkiem dlatego, że to jest środkiem koniecznym do osiągnięcia celów ekonomicznych.

To, co nas najbardziej zajmowało na wiecu, było poznanie ilości i jakości, jeśli się tak wyrazić można, sił katolickich stowarzyszeń robotniczych. Każdy wiec jest pewnym przeglądem sił, jakiemi stronnictwo rozporządza. Wielkie ogólne wiece katolickie, które za przykładem niemieckich katolików we wszystkich krajach Europy się przyjęły, przyczyniły się nie mało do rozwoju akcyi katolickiej, już z tego powodu, że widok siły zbiorowej wlewa w jednostkę nową, potężną energię, wypływającą ze świadomości przynależności do wielkiego zorganizowanego ciała. Przy wiecach jednak z celem zbyt ogólnym nieraz zewnętrzny blask pokrywać może istotne braki, a stąd doświadczenie w krajach zachodnich wykazało, że zebranie ściślejszych kół, ze względu na bezpośrednią akcyę, w większe owoce obfitują i lepszy dają obraz o prawdziwym stanie rzeczy. Sprawozdania na zebraniu, o którem mówimy, odznaczały się w rzeczywistości wielką szczerością i prostotą.

Niektóre z nich cyframi wymowniejszemi niekiedy od naj-

pięknieiszych słów, świadczyły o świetnym rozwoju stowarzyszeń. Na pierwszem tu miejscu wyliczyć musimy „Pracę“ tarnowską, która dzięki poświęceniu i roztropnemu kierownictwu ks. d-ra Żygulińskiego, pozytywnemi rezultatami prześcignęła zdaje się, wszystkie inne stowarzyszenia robotnicze. Skutkiem intenzywnej pracy duchowieństwa, wspartego także przez inteligencyę, socyalizm w Tarnowie żadnego nie ma znaczenia. Jako namacalny tego dowód wystarczy przypomnieć niedawno temu zwołane przez socyalistów zebranie, na którem ks. Żygulińskí, wszedłszy ze swoimi robotnikami, przez całą godzinę aż do rozwiązania zebrania przemawiał tak, że socyaliści nawet do słowa nie przyszli.

Pod względem finansowym może jeszcze lepiej stoi stowarzyszenie katolickiej młodzieży rękodzielniczej „Skała“ we Lwowie, wsparta rocznym datkiem 400 złr. przez ks. Adama Sapiehę. 451 młodych rękodzielników złączonych celem „pielęgnowania silnego religijnego i towarzyskiego ducha i życia“ — „tudzież wzajemnej pomocy tak m o r a l n e j jak i materyalnej“ [1], to czynnik poważny dla pomyślnego rozwoju młodzieży w stolicy kraju. Dobrze bardzo o duchu tego stowarzyszenia świadczą wewnętrzne przejścia, które się w ostatnich latach w jej łonie odgrywały. Według sprawozdania młodego delegata Jakóbczyńskiego, socyaliści usiłowali wtargnąć do „Skały“; już kilkadziesiąt z pomiędzy jej młodzieży dla swych idei pozyskali; gdy ci jednak publicznie na zgromadzeniach zaczęli szerzyć swe poglądy religii wrogie, ogół przeciw nim powstał, winni zostali wydaleni, statuta w niektórych punktach ulepszone, tak że liczba członków od tego czasu jeszcze się powiększyła.

Z relacyi profesora Matwija z Bochni dowiedzieliśmy się też, że i czytelnie katolickie w naszym kraju rozwijać się mogą pomyślnie i skuteczny wpływ wywierać na tok spraw społecznych. Bocheńska Czytelnia katolicka, choć przecież miasto nieduże, liczy 197 członków czynnych; z jej grona wyszła inicyatywa założenia dwóch stowarzyszeń: „Pracy“ dla robotników

[1] Statut Stow. „Skała“ § 1.

i „Ojczyzny“ dla rzemieślników[1]. Dzięki tej akcyi katolickiej, stowarzyszenie socyalistyczne w Bochni prawie zupełnie upadło, bo liczy już tylko 7 członków. — Przykład godny do naśladowania!

Nie przedsięwziąwszy wyczerpującego sprawozdania z wiecu, musimy pominąć wielką część ciekawych referatów; ale nie możemy dla naszego celu nie wspomnieć o tem, iż nie wszystkie sprawozdania w również korzystnem świetle przedstawiały rozwój katolickich stowarzyszeń w kraju. Z pierwszego zaraz referatu, zastępcy przewodniczącego, p. Müllera ze Lwowa, zdającego sprawę z tamtejszej „Przyjaźni“, już się pokazały niejedne braki, odkrywały się niejedne przeszkody tamujące pełny rozwój katolickich stowarzyszeń.

Prezes lwowskiej „Przyjaźni“, to człowiek nietylko jak z przemów jego widać było, na wskróś prawy, ale i inteligentny i roztropny. Z początku, gdy „Przyjaźń“ się zawiązała, zdawało się, że będzie miała powszechne poparcie, dużo robotników do niej się zapisało; gdy jednak dzielny prezes, wychodząc z zasady, że lepiej mieć mniejszą liczbę członków, ale pewnych, postanowił tylko tych policzyć za prawdziwych członków, którzy uiszczą raty należne, pozostało tylko 156; na miasto jak Lwów liczba zbyt szczupła. — „Przyjaźń“ lwowska nie jest bezczynną; widząc, że zawodowe kasy chorych są w rękach socyalistów, postanowiła ona założyć swoją własną kasę zapomogową ze statutami dobrze obmyślanemi, która wielkie usługi wyświadcza jej członkom. Żywiła też nadzieję, że rząd katolickich robotników mających swoją kasę, uwolni od obowiązku płacenia do kas zawodowych; niestety nadzieje spełzły na niczem, a kasa przez to ze znacznemi do walczenia ma trudno-

[1] Charakterystyczny dla naszych stosunków jest następujący szczegół podany przez prof. Matwija. Czytelnia bocheńska z początku nie była katolicką, lecz przyjmowała członków bez względu na wyznanie. W pierwszych latach magistrat bocheński ją wspierał, dawał jej lokal, światło i opał za darmo. Gdy czytelnia przybrała charakter katolicki, stosunki z magistratem się zmieniły: odebrano jej lokal potrzebny podobno dla umieszczenia jakiegoś urzędnika i odmówiono jej wszelkiego dotychczasowego wsparcia. A takie rzeczy dzieją się w mieście i kraju katolickim!

ściami, gdyż jej członkowie przymuszeni są płacić jeszcze do kas rządowych.

Drugie bratnie stowarzyszenie we Lwowie „Jedność“ z charakterem politycznym liczy 494 członków, tak iż ogólny stan stowarzyszeń robotniczych we Lwowie, mimo przeszkód, uważać można za dobry.

Z niejednego jednak miasta prowincyonalnego słyszeliśmy sprawozdania mniej pocieszające. Robotnik sprawozdawca, nie obwija w bawełnę, przedstawia rzecz jak jest. Stąd nieraz obijało się o nasze uszy: „u nas jakoś niedobrze idzie, nie tak jak powinno, mało nas jest, a ci co są nie trzymają się kupy — nie postępujemy naprzód“. Mimowoli stawiamy sobie pytanie: w czemże, według zdania samych robotników, leży przyczyna powolnego miejscami rozwoju katolickiej organizacyi? Sami robotnicy nie pytani, odpowiadają nam na to: „Kiedyśmy zakładali nasze stowarzyszenia, powiada p. Müller, sądziliśmy, że wszystko, co katolickie, z nami trzymać będzie“. — Z początku zdawało się rzeczywiście, że inteligencya katolicka lwowska na seryo się zajmie sprawą robotniczą. Zostało jednak przy pierwszych oznakach dobrej chęci. We Lwowie więc, jak robotnik świadczy (a we Lwowie z pewnością pod tym względem nie najgorzej) robotnicy z małemi wyjątkami w kołach inteligentnych nie znajdują poparcia, są prawie wyłącznie sami sobie zostawieni, a właśnie w tem leży główna przyczyna powolnego postępu ich słusznej sprawy.

Robotnicy bez wyjątku dobrze to rozumieją. Nietylko taki p. Müller skarżył się na obojętność inteligencyi w sprawie robotniczej i tej obojętności wyższych klas przedewszystkiem przypisywał braki i niedostatki w organizacyi katolickiej. ale także robotnicy znacznie mniej wyrobieni, jak gdyby instynktowo odczuwają, że w tej okoliczności tkwi źródło miernego powodzenia katolickiej ich sprawy. „Głowy nam brak“, były słowa, które mimowoli ciągle się nasuwały robotnikowi, tłumaczącemu dlaczego jego stowarzyszenie nie dobrze się rozwija. „Księża nasi są tak zajęci w kościele, że nam wiele czasu poświęcić nie mogą,

ale gdybyśmy mieli księdza, któryby się mógł zajmować nami, toby zaraz inaczej szło".

Otóż niepodobna, żeby sami tylko księża stawali wszędzie na czele stowarzyszeń, to jest najprzód niemożebne, bo na to często prace ich czy w kościele czy w szkole nie pozwalają, a tego powtóre wcale życzyć sobie nie można ani dla sprawy robotniczej ani dla samego duchowieństwa. Według statutów sławnych Kółek katolickich włoskich *(Circoli cattolici)* prezydentem stowarzyszenia i wiceprezydentem są tylko świeccy — dla zachowania i zabezpieczenia katolickiego rozwoju biskup naznacza księdza jako asystenta duchownego *(assistente ecclesiastico)*. Mnóstwo jest spraw pieniężnych, politycznych, sądowych, któreby nietylko zbyt odciągały księdza od duchownych jego zajęć, ale także wprost szkodziłyby jego powadze, gdyby był zmuszony bezpośrednio niemi się zajmować. Ksiądz jako duchowny doradca niezmiernie dużo zrobić może dla kwestyi socyalnej. Katoliccy księża we Włoszech byli i są duszą całego odrodzenia socyalnego; ale ręka w rękę z nimi szła inteligencya, która objęła kierownictwo instytucyj ekonomicznych dla robotników i ludu wiejskiego. We Francyi ubogi zakonnik był pierwszym, który natchnął hr. de Mun myślą poświęcenia się sprawie robotniczej, młody zaś oficer dragonów był wybranem przez Opatrzność narzędziem, przez które rozpocząć się miało wielkie dzieło umoralnienia i podniesienia robotników w całej Francyi.

Nie każdemu krajowi Bóg daje drugiego hr. de Mun; nie potrzeba nam też w naszym kraju takiego poświęcenia, takiego nakładu pracy, gdyż daleko opłakańsze były stosunki robotnika francuskiego, przedewszystkiem pod względem moralnym, po r. 1871, aniżeli są obecnie u nas. Dla skutecznego rozwinięcia akcyi katolickiej robotniczej wystarczyłoby u nas zupełnie, gdyby każdy także ze sfer inteligentnych miał sobie za święty obowiązek przyczynić się, według sił, do tego ruchu. Jakiekolwiek kto zajmuje stanowisko, czy pracuje w biurze urzędniczem, czy jako adwokat, czy jako przemysłowiec lub gospodarz, każdy w właściwej sobie sferze działalności znajdzie sposobność do popierania słusznej sprawy robotniczej — wielu znalazłoby i na

to czas, by poświęcić jej niejedną wolną chwilę, a możeby niejeden mógł znaleźć w tej pracy cel życia, za którym aż dotąd napróżno gonił. Sądzimy, że w pierwszym rzędzie pożądana jest praca ludzi inteligentnych w kierunku socyalnym i ochotne poświęcenie się sprawie ludowej i robotniczej; ale ktoby na to zdobyć się nie mógł albo nie wiedział, jakby się do tego zabrać, ten przynajmniej materyalnie wspierać powinien jedno z najdonioślejszych dzieł czasów obecnych.

Po klęsce r. 1871 hr. de Mun z niezwykłym swojej duszy zapałem rzucił się w wir kwestyi socyalnej, party głęboką miłością ojczyzny, w przekonaniu, że tą pracą najbardziej przysłużyć się może upokorzonej swej ojczyźnie. Czy się mylimy, jeżeli nam się zdaje, iż u nas bardziej niż w wolnej Francyi praca nad podźwignięciem uboższych klas, praca nad ścisłem spojeniem wszystkich klas w jedno ciało, na sercu leżeć powinna każdemu, któremu drogie są losy ojczyzny w przyszłości? Jeżeli dla jakiego narodu, to dla nas silna katolicko-społeczna organizacya — naturalnie z wyzyskaniem politycznych praw chwilowych — ważniejszą jest rzeczą, aniżeli oddawanie się dalekim kombinacyom politycznym.

Lud sam głęboko odczuwa swoim zmysłem praktycznym potrzebę organizacyi — organizacyi, któraby go broniła przeciw złym wpływom nowych, niezgodnych z wiarą teoryj społecznych — organizacyi, któraby mu dała możebność przerwania tych mnogich a misternie narzuconych nici, któremi go Żydzi zewsząd obsaczyli. Mam pod ręką szereg pożyczonych mi listów, pisanych niewprawną ręką ludzi ciężką pracą na chleb zarabiających, zawierających prośbę o założenie stowarzyszenia. Biedni ci ludzie wyzyskiwani zewsząd pragną się skupić, bo dobrze czują ucisk, który ich gniecie, ale widzą, że bez połączenia wspólnych sił wyjścia z niego niema. Zdaje nam się, że i listy włościan ciągle ogłaszane w rozmaitych pismach ludowych, służyć mogą za ilustracyę naszych twierdzeń. Po największej części prości jednak ludzie nie wiedzą do kogo się udać, bo do organizacyi potrzeba człowieka inteligentnego, a między nimi nie zawsze znajduje się ktoś, coby posiadał odpowiedni stopień wykształ-

cenia. Skutkiem tego zdarza się, że opanowani pragnieniem organizowania się, oddają się w ręce złych przyjaciół, zapukawszy przedtem do drzwi katolickich, od których jako niespokojni nowatorzy zostali odepchnięci. Stowarzyszenia zawodowe, założone prawie bez wyjątku przez socyalistów, które teraz ze swoimi pierwotnymi opiekunami zrywają, ponieważ widzą, że pod czerwonym sztandarem dla katolików miejsca niema, wszystkie są dowodem z jednej strony piekącej potrzeby organizacyi, z drugiej biernego wobec nich zachowania się społeczeństwa.

Usprawiedliwia się nieraz swą nieczynność tem, że się wskazuje na nieufność ludu do klas wyższych, na radykalne jakieś wśród ludu prądy, uniemożliwiające zbliżenie się do niego. Byłoby do życzenia, aby jak najwięcej ludzi takich przekonań przysłuchiwało się było obradom wiecu robotniczego. Z piętnaście szeregów krzeseł było przygotowanych dla gości uprzejmie oczekiwanych, z jakiegokolwiek byliby stanu. Z natury rzeczy w toku rozpraw przyszła mowa i na wyższe stany; słyszało się skargi, tak, a właśnie te skargi były dowodem, jak dobre katoliccy robotnicy mają pojęcie o wzajemnym stosunku innych stanów. Nie było tam ani jednej fałszywej nuty, zdradzającej nienawiść ku wyższym stanom; a choćby tylko szczypta takiej nienawiści w tajnikach serc zgromadzonych robotników się była znalazła, toby robotnik przedewszystkiem na tak swobodnem zgromadzeniu ukrywać jej nie był w stanie, aniby o to się nie był starał — bo po cóż? Żale wszystkie skupiały się koło tej skargi, o którejśmy już wspomnieli: że inteligencya zdala od nich się trzyma, nie zajmuje się, nie opiekuje ich losem.

Wiec w swych obradach wiernie się trzymał wskazówek, danych przez księcia biskupa: by we wszystkiem mieć na oku wspólne dobro i miłość, która tylko wtedy jest chrześcijańską, kiedy jest powszechną. Kierował się temi zasadami dlatego, że błogosławieństwo Boże, przez biskupa i Namiestnika Chrystusowego udzielone, nad nim spoczywało, kierował się dlatego, że uczestnicy jego byli ludźmi, którzy nie skądinąd, ale z katechizmu i ewangelii, tych dwóch ksiąg ludowi naszemu jeszcze najlepiej znanych, utworzyli sobie poglądy na świat i życie

całe. W niektórych nawoływaniach do wspólnej miłości i zgody także między sobą, tkwiła tak głęboka siła przekonania, mieściła się taka miara mądrości i roztropności, jakiej w świetniejszych co do formy mowach o tym przedmiocie rzadko znaleźć można. Nic dziwnego. Wiara nasza nietylko uczy, kędy droga do nieba wiedzie, ale kładzie też niewzruszone podstawy, na których życie społeczne tu na ziemi pomyślnie rozwinąć się może.

Z zachowania się ludu w czasie klątwy ks. Stojałowskiego niektórzy wysnuli wniosek, że w ludzie naszym niema prawdziwej głębokiej wiary, lecz tylko uczuciowe przywiązanie do zewnętrznych ceremonij kościelnych. Wniosek z gruntu fałszywy, lud nasz krzywdzący. Każde zetknięcie się z nim dowodzi, jak się ta wiara nietylko z jego uczuciem zrosła, ale i w wyższej części duszy za łaską Bożą głębokie zapuściła korzenie. Ta wiara naszego ludu, która dziś pod strzechą wiejską najjaśniejszym się pali płomieniem, jest, naszem zdaniem, najsilniejszą rękojmią, że jak niegdyś luteranizm w naszym narodzie zagnieździć się nie mógł, choć wielkie z początku sprawił obałamucenie, tak i dzisiaj ani socyalizm, ani inne z duchem katolickim niezgodne teorye stalszem zwycięstwem cieszyć się nie będą mogły.

Mimo tej wiary jednak łatwo się zdarzyć może, że lud chwilowo zbłądzi, postępując tak, jakby się nie godziło według zasad wiary, a zbłądzi może bez winy, dlatego, że zdrowe jego sądy przez przewrotną agitacyę zostały spaczone. Nie będzie to dowodem ani braku wiary, ani nawet ciemnoty ludu. Także u bardzo inteligentnych katolików spotkać się można — i to nieraz — z praktycznemi zasadami i sposobem działania, niezgodnym z zasadami wiary, nawet w prostej logicznej sprzeczności stojącym z nauką Chrystusa. Fałszywe te sądy ludzi inteligentnych nie są w czemś lepsze, często gorsze i bardziej nielogiczne, od mylnych sądów u prostego ludu, nawet wtenczas, kiedy ten mniema, że mu wolno rzucać się na mienie tych, od których dużo krzywd doznał. — Trzeba brać rzeczy jak są. Kiedy źli ludzie z każdej sposobności, z każdej wolności prawa korzystają, aby wpajać ludowi fałszywe o sprawach publicznych wyobrażenia, niepodo-

bieństwem jest, żeby się coś z tych fałszów nie uczepiło, jeśli niema innego przeciwdziałania.

W dawnych czasach ustawy kładły tamę wichrzeniom niezgodnym z wiarą katolicką; teraz obowiązek bronienia siebie i drugich od złych wpływów ciąży na prywatnej inicyatywie jednostki i społeczeństwa. Nie chcemy być rzecznikami wyuzdanej wolności słowa, którą Kościół potępia, ale z nią, jako z faktem istniejącym, liczyć się trzeba i z niej korzystać, by lud od złych wpływów bronić. Odporne zachowanie się, zwrócone tylko ku temu, aby kusicieli, o ile to według nowożytnych ustaw jest możliwe, poskramiać i przeszkadzać im w swej robocie, nie na wiele się przyda; dość na to dowodów w naszym kraju. Jedynym skutecznym środkiem, by kraj uwolnić od wpływu złych agitatorów, jest zwrócić przeciw nim walkę zaczepną i spotkać się z nimi na polu bitwy, które oni sami obrali. Trzeba się zbliżyć do ludu pracującego, gromadzić go, pouczać go, wspierać wszystkie słuszne jego wymagania. Gdyby katolicka inteligencya w taki sposób ludowi dopomagała, toby się ludowi wkrótce odechciało innych wieców. Wobec solidarności wszystkich stanów katolickich wszelkie inne partye sameby upadły.

Te były wrażenia, któreśmy odnieśli z wiecu delegatów katolickich stowarzyszeń robotniczych. Grunt do pracy bardzo dobry, bo serca katolickie. Ale praca jeszcze bardzo nierozwinięta, głównie z powodu braku inicyatywy, koniecznie potrzebnej, by sprawę ludową i robotniczą pchnąć na dobre tory.

Ks. Wł. Ledóchowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Próba określenia składników rasowo-plemiennych, uwydatnionych w postaci wieszcza naszego, Adama Mickiewicza, rozpatrywanych na tle typów mieszkańców Europy i ziemi Nowogrodzkiej. *Benedykt Dybowski.* Lwów 1898. (Odbitka z *Kosmosu*).

Kosmos, miesięcznik polskiego Towarzystwa przyrodników, imienia Kopernika, poświęcił cały zeszyt piąty uczczeniu wieszcza, Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę jego urodzin.

Treść tego jubileuszowego zeszytu stanowią prócz poważnej pracy Władysława Kozłowskiego p. t. „Kilka uwag o charakterze Adama Mickiewicza", króciutkiej rozprawki mineralogiczno-geologicznej o „Kamieniu Filaretów w Tuchanowiczach", skreślonej przez prof. R. Zubera, i niewiele większej Władysława Dybowskiego p. t. „Rośliny litewskie w poezyach A. Mickiewicza", dwie nieco obszerniejsze prace Benedykta Dybowskiego, prof. zoologii we Lwowie, jedna pod krótkim tytułem „Świteź", z 4 cynkografiami i jedną mapką chromolitograficzną (według prof. Bachmanna), druga pod tytułem bardzo długim, umieszczonym na czele tej recenzyi; jej też tylko niniejsze sprawozdanie poświęcamy.

Myśl uczczenia mistrza poezyi polskiej, w chwili gdy cały naród to czyni, także i przez ludzi poświęcających się naukom przyrodniczym, jest piękną i możemy być tylko wdzięczni p. prof. dr. Dybowskiemu, że pierwszy dał inicyatywę do opisania ziemi, wody, roślin i zwierząt tej nowogrodzkiej ziemi, z której wieszcz nasz pochodził, i którą tak kochał i tak pięknie opisał. Bylibyśmy mu jednak jeszcze bardziej

wdzięczni, gdyby i we własnej pracy, jaką umieścił na samym początku tego zeszytu, był się ograniczył sam na skromnem a dokładnem opisaniu głównych znamiennych cech fizycznych ludności mieszkającej pod Nowogródkiem, zarówno rdzennie polskiej lub białoruskiej, jak i żydowskiej a nawet tatarskiej oraz na zebraniu nowych choćby kilku szczegółów biograficznych odnoszących się do zewnętrznej strony, tj. postaci Mickiewicza, mniej może w istocie dotąd uwzględnianej. Wszak każdemu drogiemi są relikwie po ukochanych osobach: tak więc i szczegóły podobne interesowałyby obecnie nasze społeczeństwo. Tymczasem autor zamiast skromnej cegiełki, mającej się przyczynić do uwydatnienia tej wielkiej postaci, przynosi w dani osobliwe pokłosie najnowszych poglądów antropologicznych, po większej części jeszcze bardzo podlegających dyskusyi, w które on sam zapewne szczerze wierzy, skoro je jako pewniki naukowe przedstawia, ale które niejednego czytelnika, nawet przyrodnika, nietylko zadziwić mogą, ale i razić niemało, choćby tylko ze względu na to, że z osobą A. Mickiewicza nietylko nie mają nic wspólnego, ale są wręcz przeciwnemi jego na wskróś chrześcijańskim zawsze na świat Boży poglądom.

Autorowi wyraźnie nie wystarcza moralność chrześcijańska, skoro według niego dopiero w miarę postępu antropologii ustaną „fanatyzm i szowinizm, owe podstawy zarówno nienawiści narodowej, jak i naiwnej dumy arystokracyi rodowej, zaś na ich miejsce zaszczepi się tolerancya, ludzkość i miłość". Według p. Dybowskiego „nie mogłyby istnieć już owe kuźnie, gdzie na kowadle nienawiści a młotem siły brutalnej przekuwają się natury ludzkie, gdyby nauki przyrodnicze stanowiły już dzisiaj podstawę naszego wychowania *(sic!)* i wykształcenia"; one bowiem same „usuwają materyalizm, egoizm i prozę z tych dziedzin wiedzy, które chcą niektórzy gwałtem od nich oddzielić i uprawiać samodzielnie pod maską obłudną idealizmu". „Badania przyrodnicze wnoszą wszędzie za sobą pierwiastek idealny, na wskroś altruistyczny, uszlachetniający"; tym pierwiastkiem jest prawda, słuszność, sprawiedliwość. Za pośrednictwem więc nauk przyrodniczych, historya t. zw. powszechna „pozbyć się może kultu siły, kultu państwa, natomiast zajmie się badaniem społeczeństw i ich składników na podstawie braterstwa i równouprawnienia wszystkich ludów i ludzi; biografia zaś znajdzie przy ich pomocy drogę do powiązania przyczynowego czynów szlachetnych, myśli wzniosłych, odkryć genialnych z rysami oblicza... a nadto postara się o to, abyśmy pozyskali naukowo uzasa-

dnione podstawy do wniosków o wartości etycznej czyli cnototwórczej, tych pierwiastków, które wchodzą w skład dawnych społeczeństw".

Z tych kilku, przytoczonych bez komentarza zdań, dochodzimy do przekonania, że daleko idący optymizm reformatorski autora w postępie nauk przyrodniczych dalszym upatruje nietylko zbawienie ludzkości w przyszłości — ze zdaniem takiem można się spotkać niestety nawet w Polsce — ale i podstawę postępu nauk t. zw. moralnych, jak np. historyi. Sam zresztą autor to powiada i zaznacza, że „dotychczasowe błędy, historykom i biografom właściwe, prędzej czy później muszą ustąpić poglądom jasnym na cele jednakie z celami nauk przyrodniczych".

Wobec tak świetnie zapowiedzianego na wstępie zadania nauk przyrodniczych dla ludzkości, spodziewaćby się godziło, że autor w dalszym ciągu swej pracy postara się o to przynajmniej, by czytelnik po jej przestudyowaniu nabrał także przekonania, iż w istocie metodą tą przyrodniczą dochodzi się już teraz do wyników ważnych i pożytecznych dla nauki i życia.

Zobaczymy, jaki wynik będzie, do którego autor przy końcu swego studyum dojdzie. Teraz przypatrzmy się, jak się do swego zadania bierze. Będziemy jego własne zdania cytować. Aby rozpatrzeć ściśle „składniki etniczne, na łonie których powstał Adam Mickiewicz", aby „przy ich pomocy przystąpić do próby określenia stopu (aliażu — przyp. ref.) etniczno-antropologicznego, z którego urósł olbrzymem ducha i słowa nasz ukochany wieszcz" i dla tem jaśniejszego przedstawienia „szeregu nowych poglądów, którym sądzono w obecnej chwili zastąpić miejsce dawnych hipotez i teoryj", autor sięgać musi daleko dalej wstecz, aniżeli to zwykli czynić „jednostronni historycy i biografowie"; — ale któżby, nie przeczytawszy całej pracy, uwierzył temu, że można wogóle tak daleko sięgać? — Autor zaczyna nie mniej, nie więcej, jak od pobieżnego skreślenia całego rozwojowego przebiegu życia na ziemi! Tytuł tego drugiego rozdziału brzmi: „Ogólny rzut oka na przebieg rozwoju życia na ziemi a głównie na dzieje powstawania i formowania się podgatunków, odmian i pododmian, czyli ras i szczepów rodzaju ludzkiego czyli gatunku człowieczego".

Nie mamy zamiaru rozwodzić się nad stosownością lub niestosownością użytego tu wyrazu „gatunku", ani wogóle polemizować z autorem w sprawie terminologii. Wolimy przytoczyć tylko pierwsze zdanie tego rozdziału: „Ogromne przestrzenie czasu *(sic!)* ubiegły od chwili, gdy system nasz słoneczny stanął we wszechświecie". A więc

zaczyna autor swój przyczynek biograficzny prawie tak daleko, jak Mojżesz Pismo św. w 1-ym rozdziale Księgi Rodzajów! Niema co mówić, sięga daleko! W dalszym ciągu mówi krótko „o rozwoju rodowym na ziemi“, rządzonym prawem podziału pracy i różniczkowania, oraz prawem stowarzyszenia (asocyacyi) przy dążności stałej organizmów ku zapewnieniu sobie największej możebnie dozy szczęśliwości“. Tym sposobem, tj. wedle tej teoryi, mogły powstawać coraz wyższe i doskonalsze formy roślin i zwierząt. — Aby ułatwić zrozumienie hypotezy o czasie powstania człowieka i pierwotnem jego osiedleniu na ziemi, (o którem dotychczas geologia nie dała nam wyjaśnień), streszcza autor wyniki niektórych badań odnoszących się do pierwszego pojawienia się i rozmieszczenia najniższych i najpierwszych zwierząt ssących i dodaje zaraz potem, że człowiek mógł wystąpić na widownię świata najwcześniej w górnym miocenie albo pliocenie, choć przyznaje, że dotąd w pokładach odnośnych nie odszukano żadnej jeszcze cząstki szkieletu ludzkiego. Nieprawdopodobnem mu się wydaje, by już wtedy, tj. od początku istniały wyodrębnione typy człowieka; takowe mogły powstać raczej skutkiem późniejszych warunków a mianowicie długotrwałej „wsobności“ *(Innenzucht)* i długotrwałego otoczenia. Mimo to autor śmiało twierdzi, że oba najważniejsze podgatunki, tj. typ wązkogłowy albo długogłowy *(dolichocephal)*, charakterystyczny dla murzynów, Berberów i Guanczów, i typ krótkogłowy *(brachycephal)*, znamienny dla Azyatów, powstały stanowczo jeszcze w trzeciorzędowym okresie i współżyły z sobą na szerokich przestrzeniach lądu, mięszając się z czasem i wytwarzając skutkiem naturalnego czynnika, nazwanego przezeń „odsiebnością“ *(Aussenzucht)*, nowe typy i rasy. Dalej sądzi „na mocy faktów zoologicznych“, że ludzie do obu typów głównych należący, musieli mieć pierwotnie włosy i oczy ciemne, barwę skóry śniadą, człowiek zaś biały *(homo sapiens europaeus,* zarówno *brachycephalus,* jak *dolichocephalus)* byłby produktem późniejszej dopiero doby geologicznej, a mianowicie lodowcowej, przyczem powołuje się na inne przykłady albinizmu u zwierząt arktycznych (jak niedźwiedź i lis polarny, ptaki różne i t. d.).

Z nastaniem ery lodowcowej musiała się ukończyć sielanka plioceniczna — jaką autor wystawia sobie w początkach osiedlenia się człowieka śródziemnomorskiego w ciepłej jeszcze Europie; wypadki geologiczno-klimatyczne zmusiły ludzi do ciężkiej pracy i w ten sposób pchnęły ich na drogę możebnego postępu“. Gdy oba typy pierwotne,

długogłowy i krótkogłowy, zamieszkujące podówczas północną i środkową Europę, uległy wybarwieniu (depigmentacyi), jeden z nich dał początek podrasie teutońskiej — długogłowych blondynów — na Zachodzie; od drugiego zaś typu, zasiedlającego przeważnie wschodnie części Europy pochodziłaby podrasa krótkogłowych blondynów (Celtów).

Długość trwania okresu zlodowacenia w Europie przyjmuje autor za I. Crollem na przynajmniej 240.000 lat, co, zdaniem sumiennych geologów, niema żadnej naukowej podstawy; zamiast zaś dzielić okres ten cały na trzy podokresy, przyjęte przez niektórych geologów, tj. na epokę słonia starożytnego *(elephas antiquus)*, epokę mamuta *(elephas primigenius)* i epokę renа *(cervus tarandus sangifer)*, on pozwala sobie na te trzy epoki dzielić peryod ludzkiej kultury pierwotnej, zwany w antropologii paleolitycznym, tj. narzędzi kamiennych nieogładzonych. Pomięszanie tu pojęć antropologicznych z geologicznemi wydaje się nam tem większym błędem, że nie znamy dotąd żadnego geologicznego na to dowodu pewnego, żeby człowiek żył u nas i wogóle już w podokresie słonia starożytnego, tj. przed zlodowaceniem pierwszem ogromnych obszarów północnej Europy. Przechodząc do epoki zwanej w antropologii neolityczną, czyli epoki narzędzi kamiennych ogładzonych, przedstawia autor w Europie cztery już wyodrębnione główne szczepy ludzkie: 1) szczep długogłowy czarnowłosy (iberyjski); 2) szczep śniady (czarnowłosy) krótkogłowy (liguryjski); 3) szczep krótkogłowy jasnowłosy, rosły, z łukami ocznemi mocno u mężczyzn rozwiniętemi, zbliżony zresztą do szczepów azyatyckich (celtycki) i 4) a ostatni szczep, teutoński albo skandynawski, długogłowy o skośnem czole i wielkiej czaszce, jasnowłosy i także wzrostu wysokiego w porównaniu do dwóch pierwszych szczepów. Szczep ten, według p. Dybowskiego wystąpił na widownię dziejową znacznie później, głównie dopiero w epoce żelaza. Wszystkie inne grupy ludów w Europie byłyby tylko skutkiem skrzyżowania się tych szczepów głównych. Autor stanowczo nie godzi się z antropologami uznającymi jeden tylko pierwotny szczep blondynów w Europie, i to długogłowy, z któregoby się dopiero później wytworzył był, przez zetknięcie z azyatyckim śniadym typem krótkogłowym, nowy typ celtycki. — Temu celtyckiemu, nader sympatycznemu dlań typowi, windykuje on pierwszorzędne znaczenie, skoro z czasem pochłonie on coraz bardziej teutoński typ długogłowy jasnowłosy, coraz już rzadszy nawet wśród prawdziwych Teutonów.

Do tego to celtyckiego typy należą, zdaniem p. Dybowskiego, i Słowianie i Litwini, nie zaś do teutońskiego, w którym zresztą coraz

mniej obecnie znachodzi się osobników z cechami typu prawdziwego a to z tej przyczyny, że w obecnym peryodzie człowieczeństwa całego obserwuje się stała dążność wszystkich szczepów mięszanych ku krótkogłowości *(brachycephalie)*. — Obecnie niema już zresztą wcale u nas ras całkiem czystych, tj. nie mięszanych a nawet Izraelici i Tatarzy litewscy pomimo utrwalonej religijnemi prawami „wsobności" nie zdołali, jak tego dowodzi choćby tylko przytoczone na str. 156 tegoż zeszytu zestawienie oryginalne mierzeń czaszkowych Władysława Dybowskiego w Nowogródzkiem, zachować czystości typu pierwotnego.

W dalszym ciągu rozwodzi się autor nad tem, że nietylko studya paleontologiczne, ale nawet i paleolingwistyczne najnowsze dały podstawę do twierdzenia, że ludy aryjskie wcale nie pochodzą z Azyi (Indyj, jak to mniemano do niedawna powszechnie prawie), ale że przeciwnie, powstały one właśnie w Europie i z Europy przeszły do Indyj, dalej twierdzi, że można już teraz podać prawdopodobną granicę pierwotnego rozmieszczenia pewnych grup albo tegoż całego plemienia słowiańskiego, choć ostatecznie granice językowe i szczepowe (w znaczeniu antropologicznem) okazały się zupełnie niezależnemi od siebie. Wspomniawszy o tem, że na podstawie porównania narzeczy ludów t. zw. aryjskich potrafiono już wykazać cały porządek rozmieszczenia i sąsiadowania wzajemnego europejskich ludów, uznaje autor jako przedstawiciela tych plemion aryjskich z pewnością jeden tylko typ celtycki, nie zaś także i teutoński typ długogłowy, trzymający się brzegów morza Północnego i rzek w pośrodku ludów celtyckiego pochodzenia, od których prawdziwi Teutonowie przyjęli z czasem język i kulturę aryjską a potem dopiero zdołali wytworzyć sobie własną cywilizacyę, którą następnie umieli narzucić innym ludom należącym do typu krótkogłowego.

Jak ludność Europy cała powstała z krzyżowania się wzajemnego wspomnianych czterech szczepów głównych, tak też wszędzie, gdzie wskutek wsobności długotrwałej, pozostającej pod opieką powagi państwowej, wytworzyły się typy bardziej jednolite, widzimy grupy narodowe, występujące z mniej lub więcej wyrobionym stałym charakterem etnicznym i antropologicznym.

Grupą taką jest także ludność powiatu nowogrodzkiego powstała ze zlania się Litwinów właściwych, Białorusinów i Białolechitów, z ludnością mazurskiego pochodzenia (osobno opisuje autor Żydów i Tatarów, w których, jak już wiemy, także uznaje autor charaktery mię-

szanej ludności). W Nowogrodzkiem zachodzą więc trzy przeważnie spotykane typy: najczęstszy szatynowy, rzadszy nieco blondynowy i jeszcze rzadszy typ brunetów. Zdaje się autorowi, że pierwsi mają przeważnie głowę średnią, blondyni krótką, czarnowłosi długą albo krótką albo średnią. Długogłowego typu pomiędzy obecną ludnością nowogrodzką wcale dotąd nie spotkał; za to natrafił na czaszki takie dwie w cmentarzysku bardzo starem. Autor dodaje, że pomimo pewnych różnic w kolorze włosów ludności nowogrodzkiej, zdawałoby się, że cechy etniczne odznaczające Nowogrodzian są wspólne; temi są: głębokie przywiązanie do stron rodzinnych, do tradycyi i języka przodków, szczerość, otwartość, wesołość oraz brak zmysłu spekulacyjnego. Otóż Mickiewicz wiernie oddał w swych poezyach te cechy życia Nowogrodzian, a że nie są one właściwością wyłączną ich tylko, o tem świadczy fakt, że wszystkie dzielnice dawnej Polski widzą w nich odzwierciedlenie własnych przywar i cnót.

Na dowód, że i lud prosty uznaje pewną przyczynową zależność między przymiotami duchowemi a cielesnemi, powołuje się autor na przysłowia, przypowieści ludowe i... na malarzy przedstawiających brzydkimi ludzi moralnie złych. Szczerze przytem wyznaje, że „na takich przykładach kończy się zakres wiadomości naszych dotyczący obserwacyj obecnych z dziedziny antropologii etyczno-estetycznej".

W następnym (3-cim) rozdziale, zatytułowanym: „Fakta odnoszące się bezpośrednio do charakterystyki antropologicznej postaci Adama Mickiewicza" próbuje autor naszkicować tę postać na podstawie kilkunastu notatek (nazywa on je portretami literackiemi), pochodzących od osób współczesnych A. Mickiewiczowi, a zebranych dzięki skrzętności dwóch głównych biografów jego, tj. Władysława Mickiewicza i prof. Kallenbacha, oraz na podstawie kilku wizerunków, z których trzy są przyłączone do pracy, i dochodzi zaraz do wniosku ostatecznego, że znakomity wieszcz nasz fizycznie należał do najpospolitszego w nowogródzkim powiecie typu szatynów, tj. mięszanego, powstałego z połączenia harmonijnego cech szczepu celtyckiego ze szczepem iberyjsko-celtyckim, a po części także z teutońskim.

Aby Mickiewicza zaliczyć do szatynów, trzeba było więc aż 60 stron druku i tak daleko sięgających wywodów! Jeżeli skąpym w stosunku do szumnego założenia wydaje się nam ten wynik badania antropologicznego, o ile skąpszem wydać się musi zestawienie najważniejszych charakterów etnicznych wieszcza, któremi są: gorąca miłość ojczyzny, przywiązanie do miejsc rodzinnych i... brak oszczędności i zmysłu spe-

kulacyj (oczywiście finansowych). Czyż w istocie innych cech współplemiennych nie znalazł autor w Mickiewiczu, pomijając te, które są jemu wyłącznie właściwe, a które nam postać jego tem droższą czynią? Szczęściem, że drugi autor w tym samym zeszycie, Władysław Kozłowski, więcej się nad niemi zastanawia!

Ciekawym jest ustęp, w którym prof. B. Dybowski oświadcza, „że pomiędzy cechami antropologiczno-etnicznemi A. Mickiewicza nie znajduje ani jednej, któraby świadczyć mogła o jakiejś widocznej domieszce krwi szczepu izraelickiego albo tatarskiego". W ustępie tym energicznie walczy przeciwko takiemu przypuszczeniu, opartemu, jak wiadomo, na relacyi hr. Ksawerego Branickiego, iż matka A. Mickiewicza pochodziła z wychrztów.

Porównywując ten zaiste niewielki, ostateczny rezultat pracy, zawarty w konkluzyi, z ogromnym nakładem erudycyi, nagromadzonym w rozprawie, opartej na najnowszych poglądach antropologii, już nie ścisłej, ale zaiste irrydentnej, nie można oprzeć się pytaniu: do czego autor głównie zmierzał, podając swą rozprawę do zeszytu jubileuszowego? Nie wątpimy, że miło mu było, jako pochodzącemu z tych samych okolic, co A. Mickiewicz, oddać w swój sposób hołd poecie i ziomkowi swemu, ale nie mniej wydaje nam się pewnem, że rad korzystał z tej sposobności, by w szersze koła puścić swe na świat poglądy, tak sprzeczne z temi, co w kraju dotąd są rozpowszechnione. Autor nie tai tej chęci zresztą wcale, gdyż na niejednem miejscu przykry polemiczny, sarkastyczny nawet, ton się odzywa, choć nigdy przeciwnik nie jest nazwanym po imieniu.

Prócz tej zaciętości polemicznej, uwydatnionej także i tam, gdzie np. mowa o Niemcach, a nieodpowiedniej w naukowej pracy, prócz gromadzenia nowych hypotez w miejsce utartych, bez dostatecznego motywowania, dlaczego te wypada odrzucić, podnieść musimy także i niektóre pomyłki i usterki.

Autor np. wyraża się 2 razy (str. 155 i167), że okres dyluwialny, który autor nazywa zawsze erą lub peryodem lodowców, trwał przynajmniej 2400 wieków, i powołuje się w tem na świadectwo Crolla. Ależ trzeba wiedzieć, na czem się obrachunek fizyka i geologa I. Crolla zarówno jak i Stone'a opierał. Na hypotezie o ekscentryczności toru okołosłonecznego ziemi i na formułkach Leverrier'a, wedle których ekscentryczność ta eliptycznego toru w pewnych peryodach tysiącowiekowych się powiększa znacznie; np. przed milionem lat byłaby mniej więcej taką samą, jak teraz, gdy słońce u nas o 6 dni dłużej

na zenicie, aniżeli na południowej półkuli. Temu 850.000 lat zaś miała ta ekscentryczność być $4^1/_2$ razy większą, a zima o 36 dni dłuższą, aniżeli lato. Obliczenie to miało dać wytłumaczenie zlodowacenia znacznych obszarów Europy i Północnej Ameryki w epoce t. zw. dyluwialnej. Tymczasem późniejsze obserwacye astronomiczne wykazały bezpodstawność tej hypotezy [1], której zresztą przeczą i geologiczne badania, niewykazujące żadnego śladu zlodowacenia w długim szeregu trzeciorzędowych i mezozoicznych okresów, aż dopiero w Karbonie (okresie węgla kamiennego) i w starszych jeszcze paleozoicznych formacyach.

Także i inne dotychczasowe próby określenia liczbą lat lub wieków trwania okresu dyluwialnego okazały się zawodnemi, czy to w Europie, czy w Ameryce Północnej lub Południowej. Tak np. miał do tego służyć jako podstawa obrachunek lat potrzebnych do wykonania erozyi olbrzymiej koryta rzeki Rio Colorado w Aryzonie. Okazało się, że do wyżłobienia tych jarów (Great Cannon), głębokich nieraz do 2000 m., przyczynił się także długi okres plioceński, o którego długości trwania także nic pewnego nie wiemy.

Myli się autor, gdy mówi o niezbitych dowodach na to, że człowiek istniał w Europie jeszcze w pliocenie. Pierwsze bowiem dowody niezawodne, oparte na znalezieniu u nas kości ludzkich lub narzędzi kamiennych w pobliżu szczątków mamuta, pochodzą z okresu dyluwialnego, a mianowicie tej jego części, którą niektórzy nazywają mamutową, a która jest więcej znaną pod nazwą peryodu interglacyalnego (nie jak autor się wyraża, intraglacyalnego), tj. peryodu między pierwszem a drugiem zlodowaceniem. Podobnież i badania geologów Ameryki Północnej, np. w Notches lub w Kalifornii, nie uprawniają do wniosku, że człowiek żył w tych okolicach w okresie przedlodnikowym, tak, jak nie znaleziono dotąd najmniejszego kawałka kości, mogącej pochodzić od zwierzęcia stojącego w pośrodku między małpą a człowiekiem.

Sumienny referent nie może więc innego nic powiedzieć, jak tylko to, że jeżeli człowiek istniał już przed pierwszem zlodowaceniem, to istniał nie w Europie, ale chyba w jednym z lądów, których albo geologicznie dosyć nie znamy dotąd, albo nie możemy już badać, bo zatopione.

---

[1] Hypotezy podobne, nieco zmodyfikowane, postawili też Wallace, Pilar Adhemar, ale i one nie mają podstawy.

Wspomnieliśmy już o fatalnem pomięszaniu przez autora 3 podziałów okresu dyluwialnego i chronologię antropologiczną. Jeżeli obecny nowy kierunek w antropologii przyjął już w istocie, o czem nie wiemy, chronologię wedle fauny środkowo-europejskiej w okresie dyluwialnym na epokę słonia starożytnego, mamuta i epokę rena, to przyjął ją chyba *cum beneficio inventarii;* bo brak dowodów, że człowiek wogóle istniał w pierwszej z tych epok. Zresztą szematyczny ten podział całego okresu lodowcowego jest nawet w geologii bardzo problematyczny i może mieć co najwięcej lokalne tylko znaczenie. Jeżeli geologowie to przyznają, toć i antropologowie powinni być w tym względzie mniej pewni siebie.

Śmiałem nam się wydaje przypuszczenie wytworzenia się białego typu człowieczego w okresie lodowcowym na podobieństwo odmian i gatunków białych zwierząt ssących i ptaków w okolicach przybiegunowych (str. 167). Wiadomo, że ludy obecnie te okolice zamieszkujące zarówno wązkogłowi Eskimosi, jak krótkogłowi Lapończycy i sybirskie ludy, są cery śniadej i czarnowłose.

Autorowi zdarzają się i *lapsus linguae* historyczne. Tak np. na str. 167 w następującym frazesie: „Wszak pamięć o tem, że przodkowie zdołali wyjść zwycięzko, tocząc bój ciężki z potęgą żywiołową lodowców, powinna rozniecić w sercach potomków nadzieję, że i ich pokonać nie zdołają prądy lodowe egoizmów państwowych, byleby tylko dążności ku lepszej doli sprzedawać nie zechcieli za misę soczewicy Kainowej!“ Autor miał zapewne na myśli Ezawa.

Wreszcie pozwolimy sobie podnieść i usterki językowe niektóre. Tak np. używa autor wyrazu Sena zamiast Sekwana; deklinuje rzeczownik Spa, Spy (miasto w Belgii), jak to czyni się w języku rosyjskim, i używa przymiotnika spyjski, który nie może być każdemu zrozumiałym.

Na wyliczeniu tych kilku pomyłek i usterek kończymy naszą recenzyę, nie wdając się ani w krytykę motywów, mających zapewnić ludzkości przyszłej szczęście na ziemi, ani też w polemikę, czy np. godzi się kraniometrycznie iberyjski szczep (Cro-Magnon) tak stanowczo odgradzać od staroliguryjskiego, jak to czyni autor, lub czy godzi się teutońskiemu szczepowi odmawiać pochodzenia aryjskiego, jakie autor przyznaje za to Słowianom, których uważa za prawdziwych potomków Celtów. Paleoetnografia to nauka w kolebce; i nie dziw, że w różnych krajach różne mogą dotąd istnieć w niej poglądy. Autor

przecenia jej znaczenie dla historyi i dla biografii w szczególności w swym wstępie, a końcowy rezultat jego studyów jest dziwnie wobec tego, co zapowiada, nieznacznym.

F. Chłapowski.

Cywilizacya, literatura i sztuka w dawnej kolonii Zachodniej nad Bałtykiem. Na podstawie badań najnowszych skreślił *Gustaw Manteuffel.* 23 rysunków, str. 123. Kraków 1897.

W historyi Polski, choć mniej znaczną, ale niemniej doniosłą jest cząstka, przedstawiająca nam przeszłość najbardziej na północ posuniętych posiadłości Rzeczypospolitej, które najpóźniej do niej przyłączone, najprędzej od niej oderwane, są ostatnim objawem dochodzącego lat dorosłych organizmu Rzpltej i pierwszą zapowiedzią zbliżającego się upadku i starości. Nad brzegami Dźwiny, pod szarem niebem północnem, w obliczu majestatycznie ponurych wód Bałtyckiego morza posunął się żywioł polski z cywilizacyą swą, wiarą i swobodami naprzód, tu stoczył walkę z protestantyzmem i żywiołem niemieckim — i zwyciężył — lecz w części tylko, bo zabrakło mu sił, by nowe dzierżawy dłużej utrzymać i bliżej ze sobą złączyć. Dumny i zwycięzki Szwed oderwał w 60 lat po zajęciu tych ziem najznaczniejszą ich część, niosąc zagładę wszystkiemu, co tam Polska zdziałała lub od zniszczenia zachowała. Zwycięstwo to było i zwycięstwem protestantyzmu nad katolicyzmem, bo odtąd zabrakło tam biskupów, księży i kościołów. Tem bardziej uwydatnia się cywilizacyjna i apostolska działalność Polski na pozostałych przy niej prowincyach nadbałtyckich. Kurlandya, ciesząc się jako państewko lenne większą samodzielnością, uległa mniej wpływowi polskiemu, ale zawsze liczyć się z nim musiała. Wymownym dowodem tego trzecia niemal część ludności tego księstwa, wyznająca zaszczepioną przez błogosławionego Mejnarda i następców jego wiarę katolicką, te liczne kościoły, zachowane od zniszczenia, te inne, jak pojezuicki kościół w Iłukszcie, pod opieką Polski wzniesione. Najbardziej jednak asymilacyjna siła narodu naszego okazała się na bezpośrednio z Rzpltą połączonych trzech powiatach Inflant t. zw. Polskich. Tu w krótkim przeciągu czasu protestantyzm zniknął zupełnie: szlachta, mieszczaństwo, inteligencya cała bez praw wyjątkowych, bez komisyj kolonizacyjnych, bez przymusu szkolnego, z niemieckiej stała się polską, szczerze i gorąco katolicką, i to tak silnie, że 100 lat innych rządów zatrzeć w nich polskości nie mogło. Dlatego też wielkie zasługi wobec historyografii polskiej położył Gustaw br. Man-

teuffel, znany szerszym kołom z licznych prac, poświęconych przeszłości nadbałtyckich prowincyj. Publikacye jego o Inflantach Polskich, Kurlandyi, starostwie Pilteńskiem i t. d. wyjaśniły niejeden szczegół, konieczny do zrozumienia dziejów Polski. Otóż cieszyć się musimy, że niestrudzony autor poruszył temat swój z innej strony, starając się nam dać w ostatniej swej pracy pogląd na cywilizacyę, literaturę i sztukę tych prowincyj. Interesujące nader, a mniej znane fakta, dokładne, wyczerpujące, plastyczne opisy niektórych zabytków sztuki, trafnie dobrane rysunki czynią pracę zajmującą i uwagi godną. Wobec wiele mówiącego tytułu, a małej (w 8-ce, str. 123) objętości książki, nie wątpimy, że szanowny autor nie miał innego celu, jak ludzi powołanych zachęcić do badania poruszanego przezeń przedmiotu. I ten cel, sądzimy, został całkowicie osiągnięty. O wyczerpaniu jakiem takiem przedmiotu mowy być nie mogło wobec tego, że praca ta przedstawić nam miała cywilizacyę, literaturę i sztukę tych prowincyj od początku kolonizacyi jej przez Niemców aż do końca XVIII w. Wystarczy przeczytać treść tylko omawianego szkicu, aby się przekonać, że szan. autor miał przedewszystkiem na oku sztukę, mniej daleko literaturę, a nie próbował nawet choćby z grubsza zarysować tego materyału, jaki cywilizacya jakiegoś kraju zawiera. Pod cywilizacyą w szerszem tego słowa znaczeniu rozumiemy wszystkie objawy społecznego życia, jego instytucye prawne, stosunek pojedynczych warstw społecznych do siebie, stan ekonomiczny, stanowisko religii, moralność, obyczaje i t. d. Pewną cząstką tylko cywilizacyi są zabytki literackie i sztuka. Sądzimy tedy, że interesujący szkic nietylkoby na tem nie stracił, lecz wieleby zyskał, gdyby szan. autor dokładniej granice swej pracy był zakreślił. Sztuką nad Bałtykiem zajmuje się szan. autor *con amore*. Widać znajomość i gorące rozmiłowanie się w tym przedmiocie. Z nagromadzonego materyału można sobie wyrobić pojęcie, jak głębokie i silne korzenie zapuściła tam cywilizacya zachodnia i jak gorącą była wiara, która takie ślady po sobie zostawić mogła, jak tum ryski, katedra Norpacka, Marien-Gilde ryska, tryptyki Czarmyłowicza w Rewlu i tym podobne zabytki. Tu wyrazić musimy życzenie, żeby szan. autor ten właśnie dział bardziej zgłębił i obszerniej opracować zechciał. Wszelkie szczegóły, tyczące się prowincyj nadbałtyckich przed XVI. w. zajmować wprawdzie muszą, ale na pierwszem miejscu badacza czy lubownika dziejopisarstwa w ogólności. Za to wiek XVI. z historyą swą polityczną i społeczną historyą sztuki i literatury, wchodząc w zakres historyi ściśle polskiej, obchodzić musi każdego

czytelnika polskiego, któremu drogie są dzieje ojczyste. Możeby jeszcze można zarzucić, że szan. autor zanadto dużo materyału nagromadził, a mało stosunkowo wyczerpał. Prawda, że od szkicu wyczerpania żądać nie można — takie jednak sumaryczne zestawienie nazwisk i faktów robić może na czytelniku wrażenie pospiesznego przeglądania galeryi obrazów.

W każdym razie nową pracę szan. autora serdecznie powitać musimy i wyrazić życzenie, aby dotychczasową niwę dalej z powodzeniem uprawiał.

Ks. A. Mohl.

Zarys dziejów kaznodziejstwa w Kościele katolickim. *Ks. dr. Józef Pelczar.* Cz. II. Kazn. polscy. Kraków. Spółka wydawnicza. 1896. Str. 401. — Dodatek do części II. kaznodziejstwa. Tamże 1897. Str. 111.

W jednym z poprzednich roczników zdawał *Przegląd* sprawę z pierwszej części pomienionej pracy. Niebawem wyszła wtóra, potem dodatek do niej.

W sześciu rozdziałach, z których każdy zamyka osobną epokę kaznodziejstwa polskiego, obejmuje autor całokształt jego dziejów od w. X. aż po nasze czasy. Wieki pierwsze rozwoju wiary, stosunki ówczesne kościelne, stan oświaty, czynniki wpływające na rozwój wymowy wypełniają rozdział pierwszy. Autor na tle historyczno-obyczajowem kreśli nieliczne postacie wtedy występujące — krótko, bo i materyału skądby wiadomości czerpać, niewiele, ale z ciepłem i sercem. Okres panowania scholastyki i początki humanizmu (Rozdział II.) obszerniejsze otwierają pole dla pióra dziejopisa. Polska staje w rzędzie pierwszych państw europejskich, z potęgą polityczną rośnie w niej oświata, wymowa przychodzić zaczyna do coraz większego znaczenia, jeśli zaś do tego dodamy ducha religijnego narodu, potrzebę walki z hussytami: będziemy mieli powody rozwoju wymowy kościelnej, które w zręcznem zestawieniu czcigodny autor podaje.

Na ich tle znowu zaznaczone są zachody biskupów i duchownych koło podniesienia kaznodziejstwa. Ciekawa jest notatka, że zwyczaj mówienia „Zdrowaś Maryo“ w czasie kazania, jakoteż rozpoczynania nauki tekstem, tamtejszych jeszcze sięga czasów (Instrukcya dla kaznodziei z r. 1299). Znajdujemy tu wreszcie wzmianki o poszczególnych postaciach mowców, najpierw z pośród biskupów, potem z pośród mistrzów Akademii Jagiellońskiej i duchowieństwa świeckiego,

poczem duchowieństwo zakonne przedstawia wymowę. Z kazaniami autorów bezimiennych dobiega praca okresu trzeciego, Zygmuntowskiego.

Przyczyny, które wpłynęły na rozwój literatury wieku złotego, wydały też nasze wielkie kaznodziejstwo, postawiły ambonę wysoko. Pogląd ogólny na stan kaznodziejstwa tego okresu skreślony jest jędrnie. Autor nie szczędzi pracy, by jasno przedstawić obraz wymowy w tym wieku — ale podział poprzedni już teraz nie starczy, już dwa zakony licznych członków siejbą słowa Bożego zajmują — a tak osobne karty dziełko poświęca mowcom kardynałom, arcybiskupom, biskupom — kaznodziejów-akademików oddziela od kleru świeckiego, pośród zakonów zaś osobno traktuje kaznodziejów jezuickich, dominikańskich, wreszcie innych zakonów.

Rozdział czwarty obejmuje czas od połowy wieku XVII. do połowy XVIII.; drugą zaś jego część następny. Czas to trudny i niewdzięczny dla badań dziejowych. Badania uczonych ledwo teraz rozpraszają kryjące go ciemności, wiele osób występujących w nim ledwo z imienia zna się i wie, że to lub owo napisali, zresztą czas to upadku i utraty tego co się w wiekach poprzednich nabyło. Autorowie literaturę tych czasów kreślący, zadowalniają się najczęściej bibliograficznem podaniem dzieł i pisarzów. Widzimy te katalogi formalne u Maciejowskiego, są one i u ks. Pelczara. Jeszcze wiek panegiryczno-makaroniczny więcej ma utworów interesujących mowcę kościelnego, więcej jeszcze w tych kazaniach żarliwości i ducha apostolskiego. Toż i podział autor jeszcze czyni obszerniejszy, jeszcze osobno traktuje kaznodziejów-biskupów, osobno duchowieństwo, żyjące w pierwszej połowie peryodu a stykające się z erą poprzednią, osobno znów to, które już w drugiej połowie żyjąc, bardziej zaczerpnęło wad wieku.

Wszelako okres naśladownictwa (Rozdział V.) po poglądzie ogólnym na stan i rodzaj wymowy ma już tylko jeden dokładny spis mowców, o których często więcej się nie da powiedzieć, jak że żył i te a te kazania drukiem wydał.

Wiek XIX. okres ostatni stanowi. Nie zamknięty w swych dziejach, nam zbyt blizki, by go należycie ocenić. Jednakże choć autorowie żyjący, w dziele ledwo wspomniani, iż przecie których zwłoki już kamień pokrył mają sympatyczne sylwetki.

I oto pobieżna treść tego, co praca ks. P. zawiera. Styl jej naukowy, ale wdzięczny, miły, nie nużący — precyzya wielka w przedstawieniu i jasność zdradzająca długoletniego pedagoga, lekturę czyni ponętną każdemu. Owe zaś ogólne poglądy na stan wymowy w poszcze-

gólnych okresach, kierunki w jakich się rozwijała, wpływy które na nią działały, owo ustawiczne nawiązywanie nici między życiem politycznem a umysłowem narodu: nie nowe jest wprawdzie i nie pierwsze u ks. P., ale bądź co bądź stawia dzieje wymowy kościelnej w świetle bardzo odpowiedniem i jasnem.

Nie wiem czy znalazłoby się studyum poważniejsze, któregoby autor pisząc swój „Zarys“ nie uwzględnił. Nie czyni on nowych badań biograficznych, nie odkrywa nowych źródeł dotąd nieznanych, to przecie co umieścił, jest skrzętnym zbiorem tych badań, jakie nad polską wymową czyniono, wyrazem obecnego stanu, na jakim stanęła historya kaznodziejstwa.

W dziele tego rodzaju jak to, obrachowanem także na pedagogiczne cele, bardzo pożądanyby był szczegółowszy sąd krytyczny. Zwłaszcza przy znaczniejszych kaznodziejach wskazanie na stosunek i zależność jednego od drugiego, oznaczenie celniejszych ich utworów, określenie na czem wartość tych utworów polega, te i tym podobne przymioty literacko-kaznodziejskiej krytyki i dziełu dodałyby znaczenia i miałyby pedagogiczną doniosłość.

Uderzył nas też jeden ustęp z poglądu ogólnego na wiek Zygmuntowski. „Przyczyną upadku Akademii krakowskiej, pisze autor str. 71, był już to wyłączny monopol, jaki w niej dzierżyła łacina z pokrzywdzeniem języka polskiego, już to wreszcie jej duchowny charakter, tak że była zakładem kierowanym przez duchownych i przeznaczonym dla duchownych“... Z poglądem takim spotykaliśmy się już nieraz, a nigdy nie mogliśmy go zrozumieć. Czemu łacina spowodowała upadek Akademii Jagielońskiej, a nie naruszyła Sorbony i innych wszechnic, na których tak samo panowała?

Z metodycznej strony jedno tylko mielibyśmy do zarzucenia czcigodnemu autorowi: brak mianowicie skorowidza autorów w dziele omawianych. Kończymy to sprawozdanie szczerą podzięką za cenną tę pracę autorowi i nadzieją, że nam trzecią jej część ukaże niebawem.

W. Ł.

Towarzystwo tanich mieszkań dla robotników katolików w Krakowie. *Dr. Henryk Jordan*. Kraków 1898.

Niedobra to taktyka nie chcieć widzieć żadnych braków w ustroju naszym społecznym i każdą próbę ich ulepszenia podejrzywać o chęć burzenia spokoju społecznego... W ten sposób tylko broń podaje się do ręki ludziom skrajnych dążności i podtrzymuje się ich racyę bytu,

a może i dopomaga do zwycięstwa. Więc też cześć należy się tym, którzy zdobędą się na tyle poświęcenia, ile potrzeba, aby te braki usunąć.

Takie to uczucia nasunęły się nam, gdyśmy w zeszłym roku usłyszeli, że pewne grono osób założyło Towarzystwo celem budowania tanich a zdrowych mieszkań dla robotników katolików w Krakowie. Jak mało u nas dla pracy w tym kierunku jest poparcia, a nawet jak mało jest dla podobnych myśli zrozumienia, okazuje się stąd, że na 500 przeszło listów, które nowe Towarzystwo wysłało do zamożniejszych w mieście, dziesięciu odpowiedziało odmownie, a około 500 listów zostało bez odpowiedzi!... Czyż mamy przypuścić, że ludzie majętniejsi chcą czekać, aż tłumy proletaryatu z bronią w ręku same przyjdą dopomnąć się spełnienia chrześcijańskiego obowiązku?... Przykry rezultat pierwszych kroków nie odbiera otuchy ludziom pracującym dla idei, ale owszem do tem gorliwszej pracy skłania. By myśl Towarzystwa uczynić zrozumiałą i popularną, dr. H. Jordan, który jest inicyatorem i duszą Towarzystwa, wydał broszurę, której tytuł umieściliśmy na czele tych słów. W broszurze tej szanowny autor na podstawie biura statystycznego przedstawia ciasnotę obecnych mieszkań uboższej części miasta i wykazuje, jak zgubny wpływ wywierają takie mieszkania na zdrowie i życie tych, którzy je zajmują. Gdy się czyta te wywody, pisane z fachową wiedzą lekarza, a z gorącem współczuciem katolika, to serce ściska się z boleści nad tem, że obok nas tyle tysięcy osób, mieszkając w miejscach, które są „gniazdem stałej epidemii..., do energicznej a wytrwałej pracy fizycznej niezdolnych, ciągnie taczkę życia bez poczucia siły i zadowolenia". Jeżeli w takich pomieszkaniach trudno zachować zdrowe ciało, to jeszcze trudniej zachować zdrową duszę. Trzebaby mieć więcej niż zwykłą siłę moralną, aby uczciwie żyć w norze, w której mieszka po 8 lub 10 osób różnego wieku i płci i różnych rodzin. W takiem położeniu religia nie ma niezbędnych warunków do skutecznego oddziaływania, ani też życie rodzinne nie może się rozwijać, natomiast podatny grunt znajdują w tym brudzie zarazki zbrodni. To też statystyka stwierdza, że we wszystkich społeczeństwach właśnie z takich pomieszkań wychodzi największa ilość zbrodniarzy. Wszelako autorowi nie chodzi o napisanie traktatu z hygieny lub z etyki społecznej, ale o cel praktyczny, więc też nie przestaje na plastycznem przedstawieniu okropnego położenia, ale praktyczny wyprowadza wniosek. „Stan taki — mówi on — dłużej nie powinien być cierpiany, zaradzić mu koniecznie potrzeba!" Środkiem zaradczym to Towarzystwo budowy takich mieszkań. Aby do towarzy-

stwa jak najwięcej osób przystąpić mogło, ustanowiono, że członkiem jego może zostać każdy, kto złoży przynajmniej jeden udział, którego wysokość wynosi 25 złr. Wreszcie autor po wyjaśnieniu statutu Towarzystwa, odsłania niektóre zamiary Rady nadzorczej, dotyczące dalszej przyszłości, a mające na celu założenie ochronki, towarzystwa spożywczego i innych podobnych instytucyj. Gdyby zamiary te zostały urzeczywistnione, tobyśmy mieli przed sobą fakt ogromnej doniosłości, bo dokonujący restauracyi fundamentów naszego gmachu społecznego. Praca koło fundamentów nie wpada w oczy i nie budzi oklasku u ludzi, którzy rzecz biorą powierzchownie, a jednak to praca najważniejsza. Broszura d-ra H. Jordana ma zachęcić do udziału w tej pracy. Jeżeli ktoś, skoro tylko o tej pracy się dowie, zaraz i rękę do niej przyłoży to może broszury tej nie czytać; jeżeli zaś nie wie, czy rękę ma przyłożyć, niech przeczyta tę broszurę, a obowiązek chrześcijański względem społeczeństwa stanie mu jasno przed oczyma.

X. A. T.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

System der Philosophie. *Dr. Ioseph Müller.* Mainz. Kirchheim. 1898. (Str. 372).

Ks. J. Müller, który już poprzedniemi dziełami swojemi[1] zyskał sobie uznanie w kołach katolickich, podaje nam obecnie podręcznik bardzo treściwy, obejmujący główne zagadnienia z zakresu teoryi poznania, logiki i metafizyki, psychologii, filozofii moralnej i filozofii religii. Zaczyna on od rozbioru treści, którą znajdujemy wszyscy w swojej świadomości i upatruje wraz z Descartes'em niewzruszoną podstawę filozofii w słynnym wniosku: *cogito, ergo sum.* Poznaję najpierw samego siebie, jako istotę myślącą, jako substancyę duchową; sami fenomenaliści muszą przyznać, że nasze „ja" jest podmiotem, który odbiera wrażenia i na nie oddziaływa (por. cytat z Schuppe'go na str. 27). Równie jednak pewne jest także istnienie rzeczywiste świata materyal-

[1] *Jean Paul und seine Bedeutung für die Gegenwart.* München 1894. (Str. 433). — *Die Seelenlehre Jean Paul's.* (Str. 33). — *Das Wesen des Humors.* 1896. (Str. 39). — *Eine Philosophie des Schönen in Natur und Kunst.* Mainz 1897. (Str. 272). — *Die Keuschheitsideen in ihrer geschichtlichen Entwicklung und praktischen Bedeutung.* Mainz 1897. (Str. 196).

nego: skrajny idealizm jest wymysłem spekulacyi, na którą zdrowy rozum nigdy się nie zgodzi (str. 31—43). Poznanie świata zawdzięczamy w pierwszym rzędzie zmysłom, wszelako byłoby ono niemożliwem, gdybyśmy nie mieli rozumu (str. 43—66). W wielu wypadkach nie mamy żadnego powodu do powątpiewania, czy istotnie poznaliśmy prawdę, a wtenczas jesteśmy jej „pewni“. Rzecz o sądach, o wnioskowaniu i dowodzeniu zbywa autor na 15 stronicach (76—89), poczem analizuje pojęcia: przestrzeni, czasu, przyczyny, siły materyalnej, substancyi i celowości przyrody (str. 90—121). Dalej następuje krytyka (zwięzła a dosadna) materyalizmu, hilozoizmu i panteizmu. Zarys psychologii, stosunkowo najobszerniejszy (str. 135—288), uwzględnia wyniki najnowszych badań. W „filozofii moralnej“ (str. 291—358) wykazuje autor, że podstawą etyki może być jedynie wola Boża i zbija błędy zwolenników eudemonizmu i utylitaryzmu. W części ostatniej (najkrótszej) określa pojęcie religii i Boga (tytuł obiecuje daleko więcej, bo „filozofię religii“).

Dzieło ks. M. posiada niepospolite zalety: napisane jest w sposób żywy i zajmujący, przez co różni się bardzo od owych podręczników suchych i bezdusznych, które powtarzają tylko w skróceniu treść pism św. Tomasza i innych myślicieli chrześcijańskich. Autor jest widocznie bardzo oczytany w literaturze filozoficznej i trafnie krytykuje błędne poglądy, przeplatając niekiedy argumenty poważne zwrotami humorystycznemi (zob. np. ustęp o „teofobii“ naszych czasów i o „błędach“, które odkrył Helmholtz w budowie ludzkiego oka, na str. 118). Najlepsze są mojem zdaniem ustępy, traktujące o przestrzeni i czasie, o celowości, o fenomenalizmie, o zmysłach, o przypominaniu. Doskonale zbija determinizm (który podaje się dziś nawet uczniom szkół średnich jako pewnik naukowy, por. Lindner'a-Kulczyńskiego „Wykład psychologii empirycznej“, Kraków 1895, §. 94), zwracając uwagę i na to, że pisarze, broniący tego poglądu, wszyscy wprowadzają wolność tylnemi niejako drzwiami i popadają w sprzeczność z własnemi twierdzeniami: tak np. potrafi duch ludzki według Spinozy uwolnić się od afektów; Lindner i inni mówią o „wolności psychologicznej“, przez którą rozumieją „zdolność swobodnego działania czyli samodzielność“, dodając jednak, że „nie idzie w niej o to, czy oddzielny akt woli jest niezależny od wszelkich przyczyn, lecz raczej o to, czy przyczyny jego leżą przeważnie w osobie działającej, czy poza nią, tj. w zewnętrznych warunkach i pobudkach. W pierwszym wypadku człowiek sam o sobie rozstrzyga, w drugim ulega wpływom obcym“ (p. Lindner'a l. c. str. 183;

bez porównania lepiej mówi o tej kwestyi podręcznik szkolny Höfler'a *Grundlehren der Psychologie,* Wien 1897, str. 153—133; mam też nadzieję, że podręcznik ten wyprze zupełnie Lindner'a).

Są jednak i takie zdania w książce ks. M., na które nie mogę się pisać. Filozofia jego nie różni się w punktach głównych i zasadniczych od systemu św. Tomasza, ale w kilku miejscach występuje on przeciw scholastykom i mistrzowi ich Arystotelesowi, czyniąc im niesłuszne, mojem zdaniem, zarzuty. Mają oni mianowicie przypisywać byt substancyalny pojęciom i popadać przez to w „ontologizm" (str. 40), mają też błądzić przez to, że wyżej stawiają pojmowanie i myślenie od zmysłowego spostrzegania (str. 54), że mówią o „władzach duszy" (str. 200), wogóle widać na autorze wpływ przeciwników filozofii scholastycznej, chociaż nie należy on bynajmniej do tych, którzy ją potępiają w czambuł i chcieliby jej wszelkich zasług odmówić. Otóż nikt nie twierdzi, że owi myśliciele zawsze mają słuszność, owszem dziś przyzna każdy znawca filozofii, że niejedno ich zapatrywanie nie da się utrzymać. Wogólności nie da się zaprzeczyć, że słowa: abstrakcye, szematy, zbyt wielką odgrywają rolę u scholastyków, że w ich logice jest za wiele formalizmu, że zresztą materyał empiryczny, na którym opierali swoje wnioski, nie da się nawet porównać z tym, który nagromadzono do dnia dzisiejszego, że badania ostatnich wieków rzuciły nowe światło na wiele zjawisk duchowych i cielesnych, że więc filozofia dzisiejsza musi w niejednym punkcie różnić się od scholastycznej; jednakowoż za daleko posuwają się i schodzą na manowce ci wszyscy myśliciele, którzy szukają dla filozofii całkiem nowej podstawy i nowej metody.

Poszczególnych zarzutów, mianowicie zarzutu ontologizmu i przypisywania pojęciom substancyalnego bytu autor nie dość uzasadnia i nie stara się wykazać, na czem polega mniemana wyższość jego teoryi poznania. W tym względzie widoczne są znaczne braki w jego przedstawieniu rzeczy: wypowiada on zdania niejasne a niekiedy nawet sprzeczne; tak np. oświadcza się na str. 45 przeciw nauce św. Tomasza, że istnienie poznaje tylko rozum a nie zmysł, twierdząc, że przeciwnie tylko zmysł poręcza nam byt rzeczywisty przedmiotu; ale gdzieindziej sam pisze, że spostrzeżenia wywołują sąd o istnieniu rzeczy (str. 78), a to, co mówi na str. 71 o pewności, jaką nam daje spostrzeżenie, jest przecież wnioskiem, zmysły zaś nie potrafią ani sądzić ani wysnuwać wniosków. Gdybyśmy nie mieli pojęcia bytu rzeczywistego i nie łączyli tego pojęcia z wrażeniem zmysłowem, nie nasunę-

łoby się nam nawet nigdy pytanie, czy spostrzegamy przed sobą przedmiot, rzeczywiście istniejący, czyli też tylko wyobrażenie człowieka, drzewa i t. d. w duszy naszej powstało. Czyż zresztą o istnieniu duszy naszej i innych jestestw duchownych także nas jedynie zmysły upewniają. Rzecz ma się raczej tak, jak sam autor wywodzi (por. str. 40, 47 i 71), że w prawnych warunkach rozum wnioskuje z wszelką pewnością o bycie realnym, polegając na świadectwie zmysłów.

Również za daleko idzie autor odrzucając (str. 200) pojęcie „władzy duchowej" jako zabytek scholastyczny. Prawda, że dawniej zbyt wiele „władz" przyjmowano, poprzestając często na jałowem schematyzowaniu zjawisk psychicznych, ale kto widzi w „duszy" istotę myślącą, czującą i pragnącą, może też śmiało mówić o jej „władzach" czyli „zdolnościach", chociaż dla psychologii asocyacyjnej istnieją same tylko zjawiska zwane „duchowemi" i „grupy wyobrażeń". Sam autor używa wyrazu *Macht* w tem samem znaczeniu, w jakiem inni używają słów: *vis* i *Vermögen*, pisząc o wyobraźni: *Die Seele hat nicht bloss die Macht, ihre Vorstellungen zu bewahren, sondern auch sie umzubilden* i t. d.

Bardzo niedokładna jest jego nauka o pojęciu (wogóle cały zarys logiki stanowi część najsłabszą książki). Nie odróżnia on należycie pojęć od wyobrażeń, prawi coś o „obrazach ogólnych" (*Allgemeinbild* str. 211), które istnieją tylko we fantazyi licznego zastępu psychologów nowoczesnych, nie zdaje sobie sprawy ze stosunku, zachodzącego między pojęciem a sądem, a nawet uważa prawa asocyacyi wyobrażeń na podstawie podobieństwa za „równoznaczne z prawami logiki" (str. 201). Kiedy więc jedna osoba przypomni mi drugą, do niej podobną, będzie to już myśl rozumna, zgodna z prawami logicznemi? A czyż można zrozumieć definicyę sądu, którą podaje ks. M. na str. 77, przejąwszy ją od Lipps'a, że sąd jest „przeświadczeniem o objektywnej konieczności połączenia przedmiotów myślenia albo objektywnej niemożliwości ich zestawienia" [1], jeżeli ktoś nie zdaje sobie sprawy z różnicy istotnej, zachodzącej między wyobrażeniem a pojęciem? Kiedy w duszy naszej kojarzą się dwa wyobrażenia, kiedy np.

[1] „Das Bewusstsein der objektiven Notwendigkeit eines Zusammen von Gegenständen des Denkens oder der objektiven Unmöglichkeit einer Zuordnung derselben"; temu określeniu możnaby zarzucić, że jest zbyt ciasne, bo mówi jedynie o konieczności i niemożliwości, a przecież w sądach przyznajemy także istnienie lub możliwość istnienia wielu przedmiotom; wszelako nie chodziło tu o definicyę we właściwem znaczeniu, której nikt nie wymyśli.

widok laski przypomina mi osobę, w której rękach ją widziałem, niema tu jeszcze co mówić o „objektywnej konieczności połączenia przedmiotów myślenia“, którą stwierdzamy dopiero wtenczas, kiedy jesteśmy przekonani, że owa osoba nas tą laską uderzyła, albo że jest jej właścicielką i t. p.; ale wydawanie takich sądów nie jest możliwe bez pojęć przedmiotowej rzeczywistości, przyczyny i skutku, rzeczy i własności i t. d. Mówiąc o rodzajach pewności, nie wspomina autor wcale o pewności moralnej, a przecież w niezliczonych wypadkach musimy na niej poprzestawać, bo nie możemy mieć ani rozumowej ani fizycznej, lecz wiadomości nasze opierają się jedynie na wiarogodnem świadectwie drugich.

Jeszcze jedna uwaga; ks. M. uważa się za twórcę nowego filozoficznego systemu. Wie on wprawdzie, że dziś już żaden myśliciel nie może być zupełnie oryginalny, jednakowoż uważa (jak sam pisze w przedmowie) swoje pojmowanie „starych zagadnień“ za całkiem oryginalne a mianowicie zwraca uwagę na to, że „punktem ciężkości“ jego systemu jest jego nowa „teorya świadomości“. Otóż, mojem zdaniem, przecenia on swoją oryginalność, bo główne myśli swoje zawdzięcza Arystotelesowi i scholastykom (chociaż tego nie jest zupełnie świadomy), którzy tych samych albo podobnych używają argumentów, dowodząc istnienia Boga i duszy różnej od ciała. Staje on wprawdzie z początku na stanowisku Descartes'a, ale w dalszym ciągu schodzi się z neoscholastykami (z czego mu naturalnie nie czynię żadnego zarzutu), a mianowicie z tymi, którzy korzystają z badań najnowszych. Prawdziwie oryginalne jest może tylko to jedno zapatrywanie autora, że wszystkie wyobrażenia, które raz wytworzyły się w duszy, pozostają w niej jako wyobrażenia „świadome“, że jednak zawsze tylko małą ich część spostrzegamy. Chce on w ten sposób wytłumaczyć zjawiska przypominania (str. 49, sqq. 196, sqq. i 288). Zdaje mi się jednak, że tylko te wyobrażenia można uważać za świadome, które się nam faktycznie przypominają czyli są ponad t. zw. „poziomem świadomości“. Przyznaję zresztą najchętniej, że te ustępy książki są bardzo zajmujące i pouczające.

Ks. dr. Aleksander Pechnik.

Die heiligen Sacramente der katholischen Kirche. *Dr. Nicolaus Gihr.* I. Band. Allgemeine Sacramentenlehre. Die Taufe, die Firmung und die Eucharistie. Freiburg im B. 1897.

Pomiędzy pracownikami na polu teologii niezaprzeczoną powagę wyrobił sobie dr. Mikołaj Gihr, którego najnowsze dzieło rozbieramy.

Znany on jest w literaturze kościelnej ze swych dzieł gruntownych, pisanych wyłącznie dla duchowieństwa, w których zajmuje się ofiarą mszy św., będącej i ogniskiem, i niejako źródłem sakramentów św. W niniejszej pracy prowadzi on rozpoczęte swe dzieło dalej, obdarzając świat katolicki pierwszym tomem o sakramentach św., zawierającym naukę o sakramentach w ogólności i o sakramencie chrztu, bierzmowania i Ołtarza.

Na wstępie cytuje autor natchnione słowa O. Fabre'a: „Oby Pan Bóg dał, aby się gorliwiej zajmowano nauką o sakramentach św.! Nabożeństwo wieleby na tem zyskało... Nigdzie prawie teologia nie jest tak głęboką, jak w nauce o sakramentach. Nauka o sakramentach jest kamieniem probierczym, przez który sądzić można o stanie teologii w danej epoce. Kto często i z nabożeństwem rozmyśla o Krwi Najśw., ten z obojętnością nie będzie myślał o sakramentach, które są naczyniami, w jakich się mieści, i kanałami, przez które spływa. Kto wielkość sakramentów wielbi, będzie cenił Kościół św., do którego prawa one należą i który charakteryzują. A nie możemy dosyć ocenić najdroższą Krew Pańską; kiedy jej nie poznamy prawdziwie, z miłością podziwiać i nad wyraz cenić nie będziemy wzniosłości bogactwa i wdzięku sakramentów św. Z punktu widzenia ascetycznego nie znam nic, na cobym większy kładł nacisk, jak na gorące nabożeństwo do sakramentów św.“ Słowa powyższe przytacza autor, aby czytelników swych zachęcić do pilnego zajmowania się omawianym przez siebie przedmiotem, my zaś powtarzamy je, aby dzieło szanownego autora polecić, zaręczając, że mało gdzie znaleźć można tak jasno i wyczerpująco, z takim zapałem i wdziękiem opracowaną naukę o sakramentach, jak w jego dziele. Nie jest to książka łatwa do czytania. Pisana w sposób więcej akademicki, niż popularny, obładowana ustawicznemi cytatami łacińskiemi w tekście niemieckim; ale kto zada sobie trudu i weźmie się do niej z pilnością ucznia, a żarliwością gorliwego duszpasterza, ten sowicie za to wynagrodzonym będzie. Mógłby ktoś zrobić zarzut autorowi, że nadzwyczaj dużo materyału nagromadził, a za mało go rozwinął; nam się to raczej zaletą niż zarzutem wydaje. Zależy od tego, z jakiego punktu widzenia się bierze. Autor chciał zebrać najobfitszy materyał z Pisma św., tradycyi i nauki kościelnej, podać ostatnie wyniki badań teologicznych, i to wszystko systematycznie, w logicznym porządku, tak właściwym podobnym pracom Niemców, aby czytający mógł sobie jasne pojęcie o rzeczy utworzyć przy świetle rozumu, oświeconego wiarą i wtedy przyswoiwszy to sobie głębokiem rozmyślaniem, mógł czerpać już nie z cudzych kazań i szkiców, nie z cudzych skarbów myśli, ale z swych wła-

snych, aby lud Boży oświecać i rozgrzewać. Gdyby był materyę swą więcej rozwinął i uczynił pracę bardziej subjektywną, byłaby się ona łatwiej czytała, ale mniej przyniosłaby pożytku.

Wobec metody, jakiej się autor postanowił trzymać, trudnoby było znaleźć co do podniesienia w szczegółach, gdyby nie był koniecznością rzeczy w niektórych kwestyach między teologami spornych stanowczo w przedstawieniu swem raczej na jedną niż na drugą stronę się przechylił.

I tak w kwestyi słynnej o przyczynowości sakramentów *(de causalitate sacramentorum)* wprawdzie zastrzega się, że tajemniczą ciemność, jaką ona jest otoczona, zapewne nigdy krótkowidzące oko człowieka przeniknąć nie będzie w stanie (str. 76); jednak w rzeczywistości na tyle zdecydowane zajmuje stanowisko, że zdanie o fizycznej przyczynowości uważa za „jedynie, wyłącznie zgodne ze słowami Pisma św., Ojców i Liturgii“ (str. 82); a przeciwne mu zdanie nazywa niewystarczającem. Co prawda, że gdyby już tak wyłącznie i jedynie zgodną z Pismem św. i tradycyą była nauka tomistów, to odrzucający ją teologowie na pewno byliby w błędzie. A tego nikt ostatecznie twierdzić i decydować własną powagą nie ma prawa. Powołując się na O. Billot'a, stara się autor wmówić w rzeczników odrzucanej przez się nauki, że twierdzenie ich obala rzeczywistą skuteczność przyczynową *(efficientia)*, zostawiając wyłącznie skuteczność w szerszem znaczeniu, jaka przysługuje modlitwie i ofierze *(causa impetratoria)*. Sam jednak przyznaje, że bardzo poważni teologowie (którzy i św. Tomasza do swego grona zaliczają) w konieczność tej konkluzyi nie wierzą. Ciekawem jest, co autor mówi o dawnej praktyce kościelnej i zdaniu starych teologów względem czasu bierzmowania dzieci. Na str. 349 i nast. uzasadnia on pochwałę, jakiej Ojciec św. Leon XIII. udzielił niedawno w liście swym arcybiskupowi Marsylii za to, że począł wprowadzać dawną praktykę Kościoła bierzmowania dzieci zaraz po przyjściu do używania rozumu, przed pierwszą komunią św.

Kończąc musimy wyrazić życzenie, aby autor nas czemprędzej obdarzył drugą częścią znakomitego swego dzieła i aby głoszący słowo Boże kapłani jak najwięcej z niego korzystali. *Ks. A. Mohl.*

Vie de la Rev. Mère Camille de Soyecourt, religieuse Carmélite. Paris. Librairie Poussielgue. 1897.

Wspomnienia z czasów wielkiej rewolucyi, pamiętniki z epoki Napoleońskiej są dziś na porządku dziennym we Francyi. Objąć trudno rosnącą falę wydawnictw, rzucających światło nowych szczegółów na ten okres krwawy i mętny a grzmiący i obfitujący w przełomy. Na tem

tle mnożą się biografie różnej doniosłości i rodzaju. Jedne, odzywa się mgr. d'Hulst w przedmowie niniejszej książki, głównie opowiadają bieg wypadków i życiowych kolei, inne, za dni naszych większą budzące ciekawość, raczej duszy opisują dzieje i zaglądają do wnętrza serca i sumienia. Do rzędu tych ostatnich należałby żywot Matki Kamilli, ubogiej Karmelitanki, któraby wśród zakonnych sióstr znalazła biografa, gdyby nie nawałność rewolucyjna, nieoszczędzająca cichych zachron oblubienic Chrystusowych, gdyby nie burze zewnętrzne, huczące dokoła i przerywające historycznemi wypadkami jednostajność zakonnego powołania. Przedmowa, do tej książki dołączona, jest może ostatnią pracą ks. d'Hulst, który krzepnącą ręką usiłował zjednać czytelników żywotowi Matki Kamilli od Dzieciątka Jezus, bo takie miano przyjęła w klasztorze Marya Teresa de Soyecourt, córka jednej z najznakomitszych rodzin francuskich. Mimo chrześcijańskiego usposobienia rodziców, największych doznawała trudności w przeprowadzeniu swego zamiaru. Urodzona w r. 1757, dopiero w 1785 r. złożyła śluby zakonne. Nie danem jej było wszelako zażywać długo pokoju zakonnego życia. Zaraz w pierwszych latach Rewolucyi rozszalałe tłumy napadły na dom paryskich Karmelitanek, a zniszczywszy do szczętu i zrabowawszy ich mieszkania, wyrzuciły je na ulicę, miotając na nie najstraszniejsze obelgi. W przewidywaniu owych gwałtów, w owym czasie upowszechnionych, przeorysza zabezpieczyła dla swych córek przytułki bezpieczne, kędy się na razie schroniły, rozdzielając się na pomniejsze grona, z trzech do pięciu zakonnic złożone, które usiłowały z pracy rąk własnych w tych tak ciężkich utrzymywać się czasach. Ale już w kilka miesięcy później zaciekłość rewolucyjna wdarła się do tymczasowego schronienia, kędy Matka Kamilla przewodniczyła garstce zakonnych sióstr. Oskarżona o stosunki z kapłanami niezaprzysiężonymi, którzy potajemnie mieli Przenajświętszą Ofiarę sprawować w ustronnem zaciszu, Matka Kamilla wraz z towarzyszkami wtrąconą została do więzienia św. Pelagii, gdzie odnalazła liczniejszy zastęp podobnie aresztowanych zakonnic. Wszystkie uwięzione dawały najwznioślejsze przykłady męstwa i pogody ducha. Przykład nadawała starsza Siostra, Józefa de Carvoisin, która mimo ukończonych lat sześćdziesięciu, nawet w więzieniu pościła o chlebie i wodzie i z gorącem pragnieniem oczekiwała śmierci męczeńskiej.

Tymczasem za staraniem rodziny de Soyecourt wszystkie uwięzione wydostano na wolność. Przeorysza postanowiła, aby Matka Kamilla do czasu rozłączyła się z towarzyszkami, dla których jej głośne nazwisko i arystokratyczne stosunki przydawały niebezpieczeństwa, ra-

dząc, aby schroniła się tymczasowo w domu rodzicielskim. Przybrawszy sobie jedną Siostrę zakonną, Matka Kamilla osiem miesięcy spędziła przy rodzicach, gdy wtem siepacze rewolucyjni zaaresztowali sędziwego hr. de Soyecourt wraz z jego małżonką i dwoma starszemi córkami. Najmłodsza na przemian kryła się w opustoszałym teraz domu lub innych szukała przytułków, w miarę rosnącego lub zmniejszającego się niebezpieczeństwa. Zaznała wtedy wielkiego niedostatku i nędzy; niebawem usłyszała, iż matka jej umarła w tej samej celi więziennej, kędy poprzedniego roku sama tyle się nacierpiała i namodliła. Skutkiem nowych prześladowań i zaburzeń nasza Karmelitanka schroniła się z kolei w ojcowskim folwarku, położonym opodal od Paryża. A choć każdy powrót do stolicy groził jej śmiercią, co tydzień ukradkiem tamże wracała, aby się wyspowiadać, nie bacząc na trudy i niebezpieczeństwa podobnych wycieczek.

Z kolei i ojciec Matki Kamilli, i starsza jej siostra, i grono krewnych, wstąpili na rusztowanie, aby głowę pod nóż gilotyny położyć. Te wszystkie ciosy i wstrząśnienia obok ucisków i niedostatków codziennego życia, wyczerpnęły na razie siły Matki Kamilli, rozwijając w niej sercową chorobę. W tej właśnie porze wszystkie majętności rodzinne zostały wystawione na sprzedaż, a stąd córka hr. de Soyecourt już nie mogła pozostać w ustronnym folwarku. Ktoś życzliwy pozwolił jej schronić się w pobliżu w opustoszałem domostwie, kędy Matka Kamilla ośmieliła się niebawem urządzić rodzaj kapliczki; grono rozbitków zakonnych potajemnie zbierało się tamże dla wysłuchania mszy św. i wspólnej modlitwy. Pod koniec 1794 r. Matka Kamilla otrzymała upoważnienie do powrotu do Paryża, a i tam niebawem otworzyła maleńkie oratoryum i odtąd, gdziekolwiek ją losy przerzucały, wszędzie próbowała wznieść ołtarz, urządzić kapliczkę, ściągnąć kapłana niezaprzysiężonego, nareszcie skupiać wiernych, stroniących od schyzmatyckiego duchowieństwa. Jest coś dziwnie wzruszającego w zabiegach tej ubogiej zakonnicy, pozbawionej wszelkich środków, okrom żarliwości własnego serca, która zburzone ołtarze nie przestawała dźwigać i ułatwiać wiernym udział w nabożeństwie i świętych obrzędach. Niebawem dekret, powracający majątki tym z właścicieli, którzy nie wyemigrowali, trzecią część olbrzymiej fortuny hr. de Soyecourt oddał w ręce Matki Kamilli. Ślubowawszy ubóstwo, wzdrygała się zrazu, ażali jej się godzi przyjąć ów spadek, dopiero za osobną dyspenzą odziedziczywszy ojcowską schedę, użyła takowej, aby odkupić zamieniony na więzienie klasztor Karmelitów i tamże skupić rozproszoną

burzą rewolucyjną gromadkę zakonną. Dla siebie zachowała najbiedniejszą i najzimniejszą celę, ponieważ w niej to ojciec jej przepędził czas swego uwięzienia i stąd udał się na rusztowanie. Przez lat czterdzieści pięć zamieszkiwała ową celkę, a gdy jej dla zdrowia przedkładano potrzebę zmiany i lepszego mieszkania, odpowiadała, że jej najlepiej pozostać w miejscu, stawiającem jej wciąż na pamięć to, co się najwięcej przyczyniło do zabicia w niej ziemskich i doczesnych uczuć i względów. Mimo tylu prób dożyła do połowy bieżącego stulecia, umierając dopiero w dziewięćdziesiątym drugim roku życia, po nowych doświadczeniach, które ją jeszcze za dni cesarstwa spotkać miały, po przedłużonych dniach umartwienia i bogomyślności. Piękna ta książka z poza krat Karmelu dorzuca nowy pęk światła na tę burzliwą epokę i nowemi też blaski wieńczy skronie wybranych, co przetrwać zdołali ten okres wygnanego z przybytków swych Zbawiciela, unosząc i strzegącego w sercach własnych. *M.*

Les derniers moments du roi Stanislas. *Pierre Boyé.* Nancy. Cracovie. 1898. (W 8-ce, str. 48).

Autor od kilku lat specyalnie zajmuje się losami króla Stanisława Leszczyńskiego, o ile przebywa w Lotaryngii. Właśnie w tym roku wydał tom pierwszy większej pracy, mającej przedstawić życie i rządy ostatniego księcia Lotaryngii. W monografii wyżej wymienionej opisuje nam ostatnie chwile Leszczyńskiego, a zwłaszcza jego śmierć straszną.

W przeciwieństwie do dawniejszych biografów, którzy w panegirycznym tonie sławią bystrość, dowcip, zdrowie 88-letniego starca, porównują zgon jego z zachodem słońca, p. Boyé zgodnie z prawdą wykazuje, że ojciec królowej francuskiej przechodzi wszystkie dolegliwości podeszłego wieku: zaniewidział, ogłuchł, stracił władzę w nogach, zapadał na chorobliwą senność. Dwór jego niegdyś tak wesoły, tak liczny, na którym wśród wielu znakomitości swego czasu przebywał w r. 1748/9 Voltaire, opustoszał, osamotniał, sposępniał. Rzadko do niego kto zajrzy. Ostatni raz bawi u niego w sierpniu 1765 dwa tygodnie córka ukochana, królowa Marya. Dzień przed wigilią tegoż roku kuryer z Paryża przynosi do Lunéville wieść o śmierci ulubionego wnuka, delfina, która bardzo starca dotknęła. Uroczyste nabożeństwo żałobne każe za duszę jego urządzić Nawet kazanie, mające być na niem wygłoszone, każe sobie przeczytać O. Franciszkowi Coster. Gdy tenże rozpoczął je od panegiryku na cześć króla-wygnańca, ustęp powyższy kazał skreślić i rzekł nie bez dowcipu: „Zachowajcie to do mojego

pogrzebu". Jeszcze 1 lutego udaje się wedle zwyczaju do zamku Malgrange około Nancy, by tu w kościele Panny Maryi w Jej święto przystąpić do sakramentów św., co zwykł był czynić 5 razy do roku. Powróciwszy do Lunéville dnia 4 lutego, uległ tutaj dnia następnego o godz. 7 rano katastrofie, która go o śmierć przyprawiła.

Starzec lubiał się grzać przy kominku, zwłaszcza że zima była ostra. Wstawszy rano, otulony w szlafrok, kazał się zaprowadzić do krzesła przy kominku i służbie oddalić się, by zmówić swe pacierze i fajeczkę wypalić. Chcąc wypaloną fajkę złożyć na kominku, dotknął się ognia końcem szlafroka watowanego, który tlić się począł. Król poczuwszy swąd, chciał powstać, jednakże mając worek, zrobiony ręką córki, na nogach, potknął się i padł około kominka, lewą ręką do żarzących się węgli. Służba niedbale opuściła była przedpokój i nie słyszała krzyku nieszczęśliwego, który więc żywcem piekł się czas pewien. Dopiero żołnierz, stojący na warcie przed oknem pokoju, posłyszawszy jęki, zwrócił uwagę służby, która znajduje króla strasznie poparzonego, zwłaszcza po lewej stronie. Chcąc odwrócić od siebie zarzut niedbałości, przedstawiła wypadek w ten sposób, że suknie króla nagle się zajęły i stanęły w płomieniach, lecz natychmiast służba przybyła i ugasiła je. Dlatego też z początku donoszą na dwór królowej domownicy o drobnem oparzeniu się króla. Z tem wszystkiem wypadek ten starzec przypłacił życiem, umierając już 23 lutego 1766 r.

Taka mniej więcej treść tej krótkiej pracy, wchodzącej w najdrobniejsze szczegóły i drobiazgi, napisanej z sympatyą dla króla, opartej na pierwszorzędnym materyale źródłowym, krytycznie wyzyskanym. Dlatego też cały szereg szczegółów, mylnie dotąd przez biografów przedstawianych, autor zrektyfikował. Dla dziejów jest ona bez większego znaczenia, gdyż Leszczyński w ostatnich latach życia przestał być osobistością, wpływającą na historyę. Dla biografa króla filozofa, z którym odrodzenie Polski tak silnie się splata, nie jest przyczynek ten obojętny, choć wyznać trzeba, w zbyt rozwlekłej formie podany.

Z tem wszystkiem wdzięczność się autorowi Francuzowi należy, że tę, nam tak sympatyczną postać poddał gruntownym badaniom i stara się ją wszechstronnie wyświetlić. *Dr. K. Krotoski.*

Wospominania kniazia Mieszczierskaho. Drukowane w dzienniku *Graždanin*, wychodzącym w Petersburgu. Rocznik z roku 1895.

Rodzina kniaziów Mieszczierskich, aczkolwiek pochodzenia tatarskiego, należy do najwyższej arystokracyi rosyjskiej i miała zawsze

blizkie stosunki z dworem panującym. Autor „Wspomnień“ uczuł w sobie pociąg do publicystyki i zaczął wydawać dziennik polityczny *Graždanin*, któremu początkowo przypisywano wielkie wpływy i znaczenie w tem — mniejsza o to, słusznem lub nie — mniemaniu, jakoby car Aleksander III. należał do jego czytelników. Nie da się atoli zaprzeczyć, iż kniaź Mieszczierskij, przez swe rodzinne i towarzysko-społeczne stosunki, posiadał nieraz dokładniejsze i wcześniejsze od wielu innych redakcyj informacye, chociaż niejednokrotnie tego zaufania u swych czytelników nadużywał, podając plotki dworskie i własne urojenia za autentyczne wiadomości. Dodać do tego jeszcze należy zbyteczną wrażliwość u kniazia-publicysty i brak jasnych, wyrobionych poglądów na pewne objawy życia publicznego, w następstwie czego dziennik *Graždanin* stał się synonimem bałamuctwa i niekonsekwencyi. Pomimo tego nie można mu odmówić pewnej oryginalności, a niekiedy i trafności poglądów. Kniaź Mieszczierskij jest przeciwnikiem wszelkiego liberalizmu i demokratycznych idei wieku, a dla absolutnej formy rządu w Rosyi widzi główny punkt oparcia w szlachcie rosyjskiej.

Chcąc treścią swego dziennika zainteresować ogół czytelników rosyjskich, zaczął kniaź M. drukować w nim swe „Wspomnienia“, które ciągnęły się przez czas dosyć długi. Pomimo gadulstwa i rozwlekłości można w nich znaleźć niejedną interesującą wiadomość, rzucającą pewne światło na stosunki w wyższych sferach rządowych i dworskich, wśród których obracał się nieustannie autor „Wspomnień“. W poglądach na kwestyę polską kniaź M. stoi na stanowisku ultrarosyjskiem, „Karamzinowskiem“ — jak się lubi wyrażać — a w Murawiewie-Wieszatielu widzi ideał rosyjskiego męża stanu na kresach państwa: surowego dla żywiołów niespokojnych, lecz pełnego poszanowania dla prawa i sprawiedliwości. Że te poglądy są mylnemi, można najlepiej o tem się przekonać z „Pamiętników“ samegoż Murawiewa. Oddać jednak należy kniaziowi M. sprawiedliwość, iż był jednym z tych nielicznych publicystów rosyjskich, który po reakcyjnych rządach Aleksandra III. zaczął pierwszy oburzać się na nietolerancyę względem katolików litewskich i piętnować nizki poziom moralny i pociąg do łapownictwa u działaczy rosyjskich w t. zw. Kraju Zachodnim.

We „Wspomnieniach“ kniazia M. znajdzie się nie mało wiadomości, bliżej obchodzących czytelników polskich, i dlatego postanowiłem zwrócić na nie uwagę i przytoczyć niektóre z nich wyjątki.

W chwili największego rozwoju kwestyi polskiej, w roku 1863 — pisze kniaź Mieszczierskij — dopokąd Katków swemi natchnionemi arty-

kułami pobudzał do mocniejszego bicia serca rosyjskie po całej Rosyi, w Petersburgu jego kazania patryotyczne znajdowały bardzo mało słuchaczy... Salony Błudowów, Tiutczewów, Batiuszkowów (Pompejusza Batiuszkowa, brata poety), moich rodziców i jeszcze dwóch lub trzech domów, gdzie na sprawy rosyjskie spoglądano ze stanowiska Karamzinowskiego (Karamzin, znany historyk rosyjski, autor memoryału w sprawie zamierzonego przez Aleksandra I. przyłączenia gub. litewskich do Kongresówki), a poza tem nigdzie więcej... Kiedy zbliżał się czas przesłania odpowiedzi na zuchwałe noty mocarstw europejskich w sprawie polskiej, kwestya wielkiej doniosłości, w jaki sposób na nie odpowiedzieć, nie była wcale z góry przesądzoną. Wówczas w wielu salonach, zapatrujących się na tę kwestyę ze stanowiska potrzeby utrzymania pokoju, mówiło się o tem, iż należy odpowiedzieć uprzejmie, omal że nie pokornie; sądzono, że rząd nasz wcale niepotrzebnie pragnie wystąpić z taką energią w kwestyi polskiej i to wnet po wybuchu powstania polskiego. Również i w ministeryum spraw zagranicznych nikt zgoła nie miał przeświadczenia, iż książe Gorczaków odpowie Europie z odpowiednią Rosyi godnością, a dosyć było tylko widzieć twarz poety T. J. Tiutczewa, przyjaciela kanclerza, przygnębioną cierpieniem i troską, aby się domyślić, jak źle stały wówczas sprawy ze względu na interesa rosyjskie. Opowiadano mi, iż w wigilię dnia, w którym ogłoszono piękną odpowiedź gabinetu petersburskiego, Tiutczew, zaszedłszy wieczorem do Błudowów, powiedział, iż Rosya ustępuje przed Europą i zaczął szlochać. Łatwo sobie przedstawić, jak się potem ucieszył, gdy dnia następnego wspólnie z nami odczytał pełną godności i dumnej stanowczości odpowiedź monarchy rosyjskiego na zuchwałą interwencyę Europy w sprawy polskie Rosyi.

Kniaź Mieszczierskij rzuca pewne światło na walkę, jaka w kołach decydujących Petersburga odbyła się z powodu tej odpowiedzi. „Jeszcze w wigilię zredagowania noty rosyjskiej nie było żadnej decyzyi, a monarcha znajdował się pomiędzy chwiejnością Gorczakowa a swym własnym zmysłem politycznym. Opowiadano także, że tegoż samego wieczora, kiedy Tiutczew-ojciec szlochał nad sromem, mającym spaść na Rosyę, jego zacna córa, Anna Fedorówna, błagała carowę, aby wzięła na siebie inicyatywę i poparła cara w jego postanowieniu — odpowiedzenia Europie z godnością należną Rosyi. Głos carowej — powiadają — był decydującym dla honoru Rosyi. Z dwóch przedłożonych przez Gorczakowa projektów odpowiedzi, słabego i silnego, car

wybrał drugi. Opowiadano, iż kierownicze myśli tej noty pochodziły z pod pióra Tiutczewa. Tak było w roku 1863.

W dalszym ciągu swych *Wospominanij* przechodzi kniaź Mieszczierskij do kwestyi odwołania Murawiewa z Wilna. Z powodu podkopywania się pewnych osób pod stanowisko Murawiewa zachodziły również walki gorące w r. 1864, z tą atoli różnicą — pisze kniaź M. — iż ani salonowi Błudowów, ani zacnej Annie Tiutczewej nie udało się sprostać w walce z przeciwnikami Murawiewa, którzy domagali się jego upadku. Carowa w tej sprawie pozostała neutralną, a przeciwnikom Murawiewa przybył taki sukurs, jak słówko hr. A. K. Tołstoja, jednej z osób bardzo blizkich monarchy. Tam, u Wałujewów i Suworowów, było drobnostkowe i pospolite wyrachowanie, aby złamać potężną siłę działacza państwowego. Tutaj, w osobie hr. Tołstoja, było namiętne, lecz uczciwe przekonanie człowieka, wyznającego najszczerzej i nawet fanatycznie zasady i dążenia humanitarno-kosmopolityczne. Przeciwnicy Murawiewa zwyciężyli na dworze, a jego następcą został K. P. Kaufmann, a nie hr. Baranow, jak mylnie pisze kniaź Mieszczierskij; dopiero po Kaufmannie został jenerał-gubernatorem wileńskim hr. E. T. Baranow.

W swych *Wospominaniach* zajmuje się także kniaź Mieszczierskij działalnością jenerał-gubernatora wileńskiego Potapowa, najżyczliwszego krajowi i ludności miejscowej ze wszystkich jenerał-gubernatorów wileńskich po roku 1863, nie wyłączając nawet kniazia Albedińskiego. Przeważna część publicystów rosyjskich jest przekonaną, iż Potapów poszedł do Wilna z mocnem postanowieniem zniweczenia tego wszystkiego, czego na Litwie dokonał Murawiew. Oczywiście, że to twierdzenie świadczy o zacietrzewieniu rusyfikacyjnem i tendencyjności. Jenerał-gubernator Potapów odznaczał się silnem poszanowaniem dla prawa i niezaprzeczonem poczuciem sprawiedliwości, a stronnictwo ultrasów rosyjskich pragnęło w postępowaniu wielkorządców wileńskich widzieć tylko bezwzględnych rusyfikatorów. Ze „Wspomnień“ kniazia M. nie widać aby Potapów uczynił coś takiego dla Litwy, coby było ze szkodą Rosyi lub rozumnie pojętego interesu państwowego. I tak za rządów hr. Murawiewa ustanowiono bardzo nizkie ceny na grunta włościańskie, jakie postanowił rząd wykupić z rąk właścicieli ziemskich, aby tychże jak najprędzej zruinować materyalnie. Potapów kazał powstrzymać operacye wykupne, aby następnie uzyskać dla polskich dziedziców korzystniejsze warunki. Gubernator wileński, admirał Szestakow, oświadczył, iż nie może wykonać postanowienia jenerał-gubernatora i odwołał się do Petersburga. „Wówczas to zaszło coś takiego — czytamy we „Wspomnie-

niach“ — co wszystkich zadziwiło i zmartwiło. Główny komitet włościański w Petersburgu, zgodnie z przedstawieniem Szestakowa, położył swe *veto* na cyrkularzach Potapowskich, które uznano za nielegalne i *non avenues*. Potapowa uznano za winnego w tej sprawie, ale z Wilna wyleciał jednak nie on, lecz Szestakow. Nadto, czując się bezsilnym w walce z tem, co nań Potapow nagadał przed monarchą, admirał Szestakow, ku wielkiemu zmartwieniu ludzi uczciwych, musiał poddać się do dymisyi i chociaż był kontr-admirałem świty carskiej, rozstać się z mundurem, a przywdziać strój cywilny. Wówczas to tryumfujący Potapow, aby zwycięstwo swe uczynić tem zupełniejszem i świetniejszem, zmusił Batiuszkowa, który dla swej prawości i wytrwałości stał się dlań nienawistnym, do wniesienia podania o uwolnienie go od obowiązków kuratora wileńskiego okręgu naukowego. Lecz i to jeszcze nie wystarczało dla zadosyć uczynienia próżności i nędznej miłości własnej tego złego gieniusza Kraju Zachodniego. Wróciwszy w charakterze tryumfatora do Wilna, urządził istną *razzia* na pośredników mirowych, którym poczytywał za winę tę okoliczność, iż zanadto byli przesiąknięci duchem Murawiewskim, poczem kraj zapełnił się pośrednikami, którzy dla dogodzenia Potapowi, zaczęli z wielką gorliwością deptać z błotem sztandar czynownictwa rosyjskiego“.

Była to — ciągnie kniaź M. — najsmutniejsza chwila w życiu tego kraju. Z jednej strony było powszechnie znaną rzeczą, z jakich to źródeł płynęła polityka jenerał-gubernatora; z drugiej zaś kraj zapełniał się takiej kategoryi Rosyanami, którzy nietylko zbezczeszczali imię rosyjskie, lecz byli zarazem przedstawicielami demoralizującej uległości dla zachcianek despoty wileńskiego i niszczyli podstawę, na której pracowali dawniejsi jenerał-gubernatorowie wileńscy, w celu uspokojenia i uporządkowania stosunków krajowych.

Kniaź Mieszczierskij przypomina sobie, iż rządy Potapowa na Litwie dotykały boleśnie ówczesnego następcę tronu, a późniejszego cara Aleksandra III. On występował w obronie i Batiuszkowa i Szestakowa wobec swego rodzica, lecz obrońcy Potapowa okazali się potężniejszymi, nie cofali się przed oszczerstwem, a na tem polu carewicz nie mógł im sprostać. Autor *Wospominanij* narzeka również na ówczesnego szefa żandarmeryi hr. Szuwałowa, człowieka nadzwyczaj wpływowego, który, jego zdaniem, powinien był obudzić w monarsze nieufność do Potapowa; lecz Szuwałow natomiast „powodował się sympatyami dla niego, jako swego kolegi, a po części nie milknącemi w nim nigdy sympatyami polskiemi i w miarę sił przyczyniał się do zwycięstwa Potapowskiego“.

W innych rozdziałach swych „Wspomnień“ mówi kniaź Mieszczerskij o ruchu liberalnym w Rosyi, robiącym ogromne postępy w połowie siódmego dziesięciolecia naszego wieku, zanim strzał nihilisty Karakazowa w r. 1866 do Aleksandra II. i jego następstwa nie rozwiały wszelkich marzeń o możliwości zwycięstwa aspiracyj konstytucyjnych na drodze legalnej.

W tym czasie — pisze kniaź Mieszczierskij — cały ten ferment i wszystkie te wybuchy pomysłów liberalnych o konstytucyi wydawały się nawet ludziom, nie mającym sympatyi dla idei liberalnych i trzymającym się na uboczu od ruchu liberalnego, czemś takiem, co było w porządku rzeczy; co było niezbędną akcesoryą ducha czasu, a w nikim zgoła nie budziło szczególniejszych obaw. Mówiło się o tem w salonach wielkiego świata, obok różnych *nouvelle du jour* i wszelakich plotek; jedni zachwycali się temi liberalnemi talentami krasomowców ziemskich, inni zwali je głupstwem i dziecińśtwem, lecz niepodobna było dostrzedz w naszem ówczesnem społeczeństwie ani trwogi, ani nawet jakiegoś ogólnego niepokoju. Szef żandarmeryi, kniaź W. A. Dołhoruków, sprawy instytucyj ziemskich nazywał zwykle zabawką, czem składał dowód, iż ani wyższe władze rządowe, ani sam monarcha w owym czasie nie niepokoili się zbytecznie liberalnemi mowami krasomowców w instytucyach ziemskich. Na zgromadzeniach szlachty petersburskiej roiło się poprostu od mowców z inklinacyami liberalnemi. Zaczęto powtarzać z uniesieniem nazwiska Bezobrazowa, hr. A. P. Szuwałowa, Płatonowa i kilka innych; damy wielkiego świata jeździły do sali posiedzeń zgromadzenia szlacheckiego, aby z galeryj przysłuchiwać się naszym Pittom i Foxom, którzy doczekali się nareszcie tego, iż pewnego smutnego poranka zgromadzenie szlachty zamknięto. Pamiętam, że tego dnia przyszedłem do ministra spraw wewnętrznych, hr. Wałujewa, aby go o coś spytać, a on przybrawszy niezmiernie poważną pozę, rzekł do mnie: *Comment voulez vous qu'un ministre de l'interieur ait le temps de penser à vous repondre, quand il s'agit de fermer le ziemskoje sobranie.*

W Moskwie podobna fermentacya w umysłach szlachty rozpoczęła się w styczniu r. 1865. Tam obijały się ciągle o uszy nazwiska Samarina, Gołochwastowa, kniazia Szczerbatowa i wielu innych. Lecz, o ile sobie zdołam przypomnieć, dążenia liberalne objawiały się tam o wiele poważniej; przybierały charakter bardziej świadomy celu i były wyraźniejsze. Mówię to dlatego, iż wynikiem wszystkich tych fermentacyj i aspiracyj wśród szlachty moskiewskiej był adres na imię monarsze, uchwalony znaczną większością głosów, w którym domagano się dwóch

rzeczy, zarówno niemożliwych, lecz wyraźnie określonych: 1) centralnej instytucyi ziemskiej, składającej się z deputatów z całej Rosyi i 2) utworzenia centralnej instytucyi szlacheckiej czyli mówiąc bez ogródki — Izby gmin i Izby lordów.

Rozumie się samo przez się, iż te *amusements*, jak je zwał wówczas szef żandarmeryi, nie doprowadziły do żadnego innego rezultatu, jak tylko do surowego ich potępienia w reskrypcie monarszym na imię ministra spraw wewnętrznych, w którym w wyrażeniach surowych, lecz zarazem spokojnych powiedziano, aby szlachta nie pozwalała sobie mieszać się w sprawy innych stanów i nie przywłaszczała inicyatywy w sprawie reform wewnętrznych, która należy się całkowicie monarsze. Zredagowaniem tego reskryptu monarszego zajmowali się wspólnie minister spraw wewnętrznych, hr. Wałujew i szef żandarmeryi.

Reskrypt powyższy przyjęto — dodaje niezupełnie zgodnie z prawdą kniaź Mieszczierskij — z całkowitym spokojem i szczerą pokorą, zarówno w Petersburgu, jak i w Moskwie. Kwestyą zaprowadzenia konstytucyi w Rosyi świeżo utworzone ziemstwa przestały się całkiem zajmować.

Tyle o tej sprawie kniaź Mieszczierskij. Albo z umysłu ukrywa w swych „Wspomnieniach“, albo stara pamięć nie dopisuje widocznie kniaziowi Mieszczierskiemu, skoro twierdzi, iż wszystko się skończyło na reskrypcie monarszym. Piszący te słowa, jako wówczas naoczny świadek tego fermentu liberalnego w Moskwie, przypomina sobie, iż umysły szlachty tamecznej uspokoiły się dopiero wówczas, kiedy sterowników ruchu liberalnego, jak Gołochwastowa i kn. Gagarina powołano z Moskwy do Petersburga *ad verbum audiendum* bezpośrednio z ust carskich. Przynajmniej tak mówiono powszechnie o tem w Moskwie. Ruch liberalny, oparty na gruncie legalnym, zamarł całkowicie w obu stolicach po adresie szlachty moskiewskiej. Ostrzejsza opozycya przeciwko istniejącej formie rządu zdawała się jakby oczekiwać na bezowocność kampanii liberalnej zgromadzeń szlacheckich i instytucyj ziemskich. W roku 1866 strzelił Karakazów do Aleksandra II. Był to pierwszy w Rosyi jawny, w oczach ludu i wśród dnia białego, zamach na osobę monarchy. Wrażenie na wyższych sferach rządowych i w kołach dworskich uczynił on nadzwyczajne, a opisowi tej grozy poświęca kniaź Mieszczierskij wymowne ustępy. Nadzieje tych sfer zwróciły się wówczas ku osobie byłego jenerał-gubernatora wileńskiego, hr. Murawiewa. On — powiadano wówczas — ocalił Rosyę zachodnią od spisków i buntu, on potrafi ocalić Rosyę właściwą przed zarazą nihilizmu ..

Al. Szarłowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI W BUŁGARYI.

Kiedy Rosyanie w r. 1828 zajęli Bułgaryę, zdziwili się, znajdując tam lud słowiański z pokrewnym rosyjskiemu językiem. Świat już nie wiedział o narodzie bułgarskim. Kościół konstantynopolitański od wieków usunął liturgię słowiańską, usunął kler narodowy, helenizował w szkole i kościele przez wieki. Ale mimo tego został przecie lud bułgarski.

Przez zetknięcie się z Rosyą obudziła się w tym gnębionym przez Kościół grecki ludzie, świadomość narodowa, a ponieważ Grecy bułgarskich patryotów prześladowali, ci się zwrócili ku Rzymowi i zaczęły się tworzyć Kościoły unickie z językiem cerkiewnym bułgarskim. Ruch ten rozpoczęty w r. 1859 byłby prawdopobnie zakończył się przejściem całego narodu na Unię z Rzymem, który umiał w przeciwieństwie do greckiego Kościoła szanować ich narodowość, gdyby gorliwość Rosyan nie była się wystarała u sułtana o niezależnego dla Bułgaryi egzarchę, który na razie przynajmniej narodowe dążności Bułgarów zaspokoił. Darmo patryarcha grecki ekskomunikował kler bułgarski i darmo synod konstantynopolitański z r. 1872 zażądał od rosyjskiego Kościoła poddania się tej uchwale; polityka ro-

syjska koniecznie wymagała utworzenia Kościoła autocefalicznego dla Bułgarów, a z trudnego położenia wobec konstantynopolitańskiego Kościoła wykręcono się w Petersburgu w najpraktyczniejszy sposób, zostawiając wezwanie synodu greckiego bez odpowiedzi.

Stan Kościoła schyzmatycko-bułgarskiego jest, według sprawozdań samych egzarchów bułgarskich, nader opłakany. Lud jest obojętny, a klasy wykształceńsze wprost wrogie wszystkiemu, co święte. To samo już mogło obudzić nadzieję pozyskania Bułgarów dla prawdziwego Kościoła, bo w sercu każdej jednostki i narodu tkwi pewna dążność do należytego zaspokojenia pragnień religijnych, ale przeszkadzają im oprócz agitacyi rosyjskiej mylnie związane poczucie narodowości z Kościołem narodowym. Obecnie jest tylko 5.000 unitów z 26 księżmi. Z licznych nawróceń, które się dzieją tam, gdzie gorliwy i roztropny ksiądz katolicki pracuje, widać, że nadzieje rozszerzenia Unii nie są bezpodstawne. W małej parafii, stojącej pod opieką wzorowego księdza i gorącego patryoty bułgarskiego, nawróciło się w przeciągu kilku lat 110 osób, liczba tem poważniejsza, że rząd Unitów gdzie może uciska. Niestety jednak nie wszyscy księża katoliccy w tym kraju pracujący rozumieją swe zadanie. Wielu pracuje tylko dla rozszerzania języka swojej narodowości a przez to ich praca ze względu na nawrócenie kraju jest zupełnie bezpłodna. Z wielkiem poświęceniem i znajomością stosunków pracują OO. Zmartwychwstańcy w Adryanopolu, tylko że ich za mało. W powszechnej u Bułgarów nienawiści są Grecy, dawni ich gnębiciele; dla Rosyi lud, przedewszystkiem niższe warstwy, przychylnie jest usposobiony, bo w niej widzą i czczą swą oswobodzicielkę. Wobec jednak objawiającego się w ostatnich czasach rosyjskiego życzenia, by Bułgarya się znowu połączyła z greckim patryarchą, lud stanowczo oświadcza, że prędzej gotowy jest połączyć się z Rzymem aniżeli poddać się pod twarde jarzmo Konstantynopola.

Przy tak silnie rozwiniętem poczuciu narodowem, trzeba dla pozyskania ludu dla wiary prawdziwej wszystkiego unikać, coby mogło drażnić to uczucie; co więcej zdaje się, że dzieło

nawrócenia tylko wtenczas będzie mogło postępować naprzód, kiedy ogół misyonarzy będzie umiał korzystnie wyzyskać patryotyzm Bułgarów na rzecz Unii. Jeżeli bowiem Bułgar się przekona, że w połączeniu z Rzymem swą narodowość zabezpieczy lepiej aniżeli pod protektoratem wszystko pochłaniającej Rosyi — i zarazem w katolickim Kościele znajdzie pokarm zdrowy dla spragnionej duszy, wtenczas jego nawrócenie nie będzie już wystawione na tak wielkie trudności.

KATOLICY A SOCYALNI DEMOKRACI.

Niema już kraju w Europie, w którym potęga socyalizmu nie budziłaby obawy rządów i wszystkich partyj, niechcących z jakichkolwiek pobudek tej zmiany społecznych stosunków, do jakiej socyaliści dążą. Wobec namacalnych dowodów organizacyjnej i atrakcyjnej siły najmłodszej partyi międzynarodowo-społecznej, ustąpił optymizm i łudzenie się, że socyalizm jest tylko chwilowem zboczeniem zwiedzionych mas, że wybuchy roznamiętnionego przeciw wyższym klasom ludu, są tylko łyskaniem się nieba w pogodne dnie letnie, po którem ani grom nie następuje, ani grzmotu nie słychać.

Nie brakło Europie zwiastunów zbliżającej się burzy, ale dopiero teraz ocknęły się wszystkie niesocyalistyczne stronnictwa i przecierając oczy zaczynają przemyśliwać nad środkami obronnemi. Jedni sądzą, że trzeba siłą zadusić potwora socyalizmu. Żelazny kanclerz niemieckiego państwa, o ile nam się zdaje, pierwszy całą siłę państwa w tym kierunku rozwinął. Liberali węgierscy naśladują go teraz; wszystkich głównych agitatorów socyalistycznych rząd kazał uwięzić albo szubpasem odesłał do miejsc rodzinnych, gdzie stoją pod ścisłym dozorem policyjnym. Środek niezwykle energiczny, który chwilowo przywrócił na Węgrzech ciszę. Liberali spodziewają się, że tą drogą za najdłużej 10 lat socyalizm zupełnie u siebie wykorzenią. We Włoszech po ostatnich wypadkach także bierze górę system represyjny. — Francuscy republikanie szukają ratunku w zjednoczeniu wszystkich partyj republikańskich: miłość ojczyzny, jej wielkości i instytucyi ma stawić tamę czynnikom rozkładu. — Wszystkie rządy powolnie i często nieskutecznie

pracują nad podniesieniem bytu materyalnego niższych warstw, aby usunąć powód do niezadowolenia.

Są jeszcze dwa obozy — także, choć w odmiennem znaczeniu, międzynarodowe — które z istotnej różnicy swych celów socyalizmowi przeciwne być muszą — to żydzi i katolicy. Żydzi spostrzegli widocznie, że prądu tego wstrzymać nie zdołają, więc do niego się przyłączają, utrzymując z przebiegłym sprytem dobre stosunki ze socyalistami, wspierając ich nawet; tym sposobem są zawsze obeznani z wewnętrznym stanem socyalizmu i mogą w danym razie na socyalistów wpłynąć. Katolicy wypowiedziawszy socyalizmowi od pierwszej chwili otwartą walkę, we wszystkich krajach skutecznie im przeciwdziałają. Na południu, na północy i na zachodzie Europy, wszędzie, gdzie katolicy poznali potrzebę walki i swobodnie pracę swą rozwijać mogą, socyaliści tracą na siłach i wpływie. Wykazaliśmy to już nieraz statystycznie w naszych sprawozdaniach. Sami socyaliści po części to przyznają. Pięć lat temu powiedział Bebel w parlamencie niemieckim: „Socyalna demokracya ma tylko jednego wroga, a to katolicyzm“, a wszyscy socyaliści do dziś dnia za nim to samo powtarzają.

Nie mieliśmy jednak jeszcze tak przekonywującego dowodu o sile katolicyzmu przeciw socyalizmowi, jakiego nam dostarczyły ostatnie wybory w Niemczech. Sprawa socyalnej demokracyi tu, jak gdzieindziej, postąpiła naprzód. Liczba posłów socyalistycznych podskoczyła z 44 na 56, liczba głosów na korzyść partyi oddanych, z 1,786.000 na 2,120.000 (według niektórych 2,600.000), co wykazuje większy wzrost w ostatnim trzechleciu aniżeli od r. 1890—93, w którem socyalistom przybyło 259.000 głosów. Taki jest ogólny rezultat głosowania socyalistów.

Przypatrzmy się teraz dokładniej, skąd te głosy pochodzą. Trzymać się będziemy najlepszych źródeł niemieckich, porównując je z cyframi podanemi przez niemieckiego korespondenta *Times'a*. W Berlinie wogóle mniej głosów oddano, niż przy wyborach w r. 1893, tak że ze zmniejszenia się liczby socyalistycznych głosów nie można, jak to niektóre gazety czyniły, wnio-

skować o cofnięciu się partyi. W drugiem, największem mieście państwa, w Hamburgu socyaliści, jak przedtem, we wszystkich 3 okręgach zwycięsko wyszli; we Wrocławiu zdobyli 1000 głosów więcej, w Monachium w jednym okręgu pozyskali 215, w drugim 365 stracili. W miastach nadreńskiej prowincyi mimo wysoko rozwiniętego przemysłu fabrycznego socyaliści znaczne odnieśli porażki: w Kolonii mieli o 3083 mniej głosów, w Düsseldorfie, Akwizgranie, Essen, nawet w Solingen ich pozycya jest zagrożona. Za to — a to najbardziej zatrważa Niemców — socyaliści między ludnością wiejską dużo zwolenników sobie zjednali, przedewszystkiem w prowincyi Saksonii (przeszło 28.000), na Dolnym Ślązku, w Brandenburgii i w Prusach Wschodnich. W Würtembergii, kraju $^2/_3$ protestanckim, *Centrum* w katolickiej części 13.795 głosów pozyskało, socyaliści w protestanckiej 19.697, stolica została przez nich zdobytą. W Bawaryi socyaliści prawie wyłącznie w protestanckich tylko okolicach głosy dla siebie otrzymali. W Badeńskiem wzmocnili się o 13.000 w okolicach protestanckich, cofnęli się w katolickich.

Z podanych tu miast i okolic już widać, że socyalizm tylko na gruncie protestanckim bujnie się rozwija, a dokładne zestawienie wyników wszystkich wyborów wykazało, że z 2,120.000 głosów socyalistycznych ledwie 100.000 pochodzi z okolic katolickich, a przeszło 2 miliony z protestanckich[1]. Ponieważ blizko trzecia część ludności całego państwa jest katolicka, przypadałoby przy równym podziale 1.400.000 głosów na protestantów, a 700.000 na katolików.

Starsi członkowie *Centrum* powiadają, że nie pamiętają, by mowa jakaś była wywarła tak widocznie głębokie wrażenie na Bismarcka, jak kiedy w r. 1877 socyalistyczny poseł Kapell charakteryzował stosunki swego okręgu wyborczego temi słowy, iż w katolickiej części kościoły są pełne, a karczmy próżne, w protestanckiej zaś karczmy pełne, a kościoły próżne. Ostatnie wybory w Niemczech wydały katolicyzmowi poważniejsze jeszcze świadectwo, które na każdego myślącego człowieka

[1] *Hist.-polit. Blätter,* Juli 1898, pag. 86.

powinno wywrzeć głębokie wrażenie i zmusić go do zastanowienia.

Ustawy dla polepszenia bytu w żadnym kraju aż dotąd nie przyniosły widocznych owoców w uskromieniu socyalnej demokracyi. Socyaliści temi ustawami gardzą, ostrzegają swych zwolenników, by się nie dali oszukać rzuconą im kością, ale by wprost dążyli do przewrotu samych podstaw społecznych. — Wyjątkowe prawa jeszcze mniej swój cel osiągnęły. Trudno o surowsze prawo przeciw socyalistom niż Bismarkowska ustawa z r. 1878, która upoważniała rząd do częściowego zniesienia praw konstytucyjnych, gdziekolwiek mu się podobało. Prawo istniało i wykonywane było przez 12 lat do roku 1890 a mimo tego od roku 1884 socyaliści coraz więcej głosów zyskiwali. — Wszystkie recepty partyj liberalnych, choć i przykrojone do nowszych stosunków, pokazały się bezskuteczne tak we Francyi, jak i we Włoszech i w Belgii, gdzie liberali byli zmuszeni albo wejść w sojusz z socyalistami albo głosować z katolikami przeciw socyalistom. Przeciwnie katolicka akcya społeczna w kraju jak Niemcy, gdzie się katolików na każdym kroku gniecie, potrafiła ochronić lud w znacznej części od zarazy i wielu zwiedzionych nawrócić.

A przecież nie można powiedzieć, że prócz katolików nikt przeciw socyalistom nie pracował. Mają i protestanci swą partyę chrześcijańsko-socyalną z dzielnym człowiekiem na czele, byłym nadwornym kaznodzieją, Stoeckerem; znakomicie zorganizowana tak zwana Misya wewnętrzna, także zwrócona jest przeciw socyalizmowi; rząd poczytuje stłumienie socyalizmu za najgłówniejsze zadanie swej wewnętrznej polityki. Ale prócz katolików nikt nieprzyjacielowi, jak fakta dowodzą, sprostać nie zdoła.

Rząd pruski, odpowiednio do swego charakteru, ciągle jeszcze się nosi z myślami użycia gwałtownych środków. W tym celu wydał odezwy do połączenia się wszystkich partyj przeciw socyalistom i przeciw katolikom, którzy są przeciwni prawom wyjątkowym. Gdyby kampania rządowa była się udała, rząd byłby jak najspieszniej przedłożył nową ustawę wyborczą, we-

dług której rada państwa miała się składać w $^2/_3$ z delegowanych Izb pojedynczych państw i tylko $^1/_3$ miała być wybrana według dotychczasowych ustaw; byłby też przedłożył osobne prawo przeciw socyalistom. Mimo wielkiego aparatu państwowego rządowi wybory zupełnie się nie udały; nie doszło do utworzenia kartelu rządowego a jeden ze sprzymierzeńców, na którego liczono, Związek gospodarzy, zdobył aż 3 mandaty; tylko socyaliści i *Centrum* (104 posłów) się wzmocnili. Nie będzie więc rząd mógł walczyć siłą przeciw socyalistom, bo jak socyaliści głosują za powrotem Jezuitów, tak *Centrum* głosować zawsze będzie przeciw antysocyalistycznym ustawom.

Wyrozumieć można, że rząd protestancki nie chce chwycić się jedynego środka przeciw socyalistom, to jest wspierać katolików. Ale w krajach katolickich przynajmniej powinno się wszystkim oczy otworzyć, powinno się przyjść do przekonania, że nie policya ale tylko wiara katolicka w czyn wprowadzona w życiu publicznem, może społeczeństwo zabezpieczyć i uzdrowić od socyalizmu. Jednego tylko potrzeba warunku, by ten katolicyzm był szczery, bo jeżeli jest połowiczny, to nic przeciw socyalistom nie zrobi, a dobrej sprawie dużo zaszkodzi.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Ruch ludności w Galicyi w roku 1895 według najnowszej statystyki urzędowej.

Ludność Galicyi, cywilna wraz z wojskową, w r. 1895 przekroczyła siódmy milion. Wedle przewyżki urodzonych nad zmarłymi i różnicy między immigracyą a emigracyą, wynosiła ona w końcu roku rzeczonego w okrągłej liczbie 7,010.000 dusz. W całej Austryi (bez Węgier, ale wraz z Galicyą), od r. 1880 ludność wynosiła:

w końcu r.	1880	w Galicyi	5,959.000	w Austryi	22,144.000	dusz
„	1890	„	6,608.000	„	23,895.000	„
„	1895	„	7,010.000	„	24,977.000	„

Z tych liczb wypływa, że od roku 1890 ludność Galicyi wzrosła o 402.000 dusz, czyli o 6·08%, w całej Austryi zaś o 1,082.000 dusz, czyli o 4·53%; od roku zaś 1880 przybyło Galicyi ludności 1,051.000 dusz, czyli 17·64%, w całej Austryi 2,833.000 dusz, czyli 12·79%. Wzrost ludności w Galicyi jest więc stale o wiele większy niż w całej Austryi, której liczby byłyby jeszcze nieco mniejsze, gdybyśmy z niej wyłączyli Galicyę. Nie chcąc nużyć czytelnika obrachunkami, zaznaczamy tylko, że procentowy wzrost ludności w krajach austryackich poza Galicyą, razem wziętych, jest niespełna dwie trzecie tak wielki, jak wzrost w Galicyi.

Po strąceniu wojska w liczbie 53.253 osób na Galicyę, 187.106 na całą Austryę, otrzymujemy 6,956.699 dusz ludności cywilnej w Galicyi, a 24,789.932 w całem państwie; Galicya przeto pod względem ludności cywilnej stanowi 28·06% całego państwa, podczas gdy największy po Galicyi kraj, tj. Czechy z liczbą 5,988.493 dusz ludności cywilnej stanowi tylko 24·16%.

Ludność cywilna dzieli się na 3,407.517 osób płci męskiej i 3,549.182 płci żeńskiej, która przeto przewyższa płeć męską o 141.665 osób, czyli o 4·16%. Można to i tak wyrazić, że na 10.000 osób płci męskiej przypada 10.416 osób płci żeńskiej. Nawet wraz z wojskowymi ludność męska jest jeszcze o okrągłe 88.000 osób mniejsza. Podobnie jest w całem państwie. Tylko w niektórych krajach przeważa płeć męska; tak było i tak jest jeszcze w Dalmacyi, w Istryi i w Gorycyi; do r. 1890 było tak i na Bukowinie, w r. 1895 atoli kraj ten staje już w poczcie tych, w których przewagę ma płeć żeńska.

Śluby małżeńskie zawarło 57.739 par, w całem państwie 199.761 par, w której to sumie ogólnej liczba galicyjska wynosi 28·90%, tj. nieco więcej niżby wypadało wedle stosunku ludności cywilnej (28·06%). Jeżeli wielka liczba ślubów małżeńskich jest oznaką pomyślnego stanu rzeczy pod względem moralności, można ludności galicyjskiej na podstawie stosunku owego wystawić dobre świadectwo; a byłby ten stosunek jeszcze o wiele pomyślniejszy, gdyby wielka część żydowskich stadeł małżeńskich nie uchodziła za nieprawowitą, chociaż wedle „rytuału“ jest prawowita. Ile ta części wynosi, niewiadomo, bo statystyka nie regestruje konkubinatów. Że „prawowite“ śluby małżeńskie co do Żydów są wykazane statystycznie w zbyt małej, a więc żydowskie dzieci nowonarodzone z „nieprawego“ łoża w zbyt wielkiej liczbie, zaraz to zobaczymy.

Nowożeńców różnego wyznania i obrządku było 52.004 par, mia-

nowicie 24.958 katolickich obrz. łać., 23.538 obrz. grec.[1], 1 prawosławna, 337 protestanckich, 3.170 żydowskich. Już wedle stosunku liczebnego ludności żydowskiej do chrześcijańskiej, powinnoby być co najmniej 7.200 żydowskich par nowożeńczych, tj. o przeszło 4.000 więcej, niż wykazuje statystyka; a wtedy ogólna liczba ślubów małżeńskich w Galicyi wyniosłaby 62.000, stosunek zaś procentowy Galicyi do całego państwa podniósłby się ponad 30, czyli innemi słowy: uobyczajenie ludności galicyjskiej stanęłoby w świetle jeszcze lepszem, niż wedle urzędowej statystyki. Małżeństw mieszanych skojarzyło się 5.735, mianowicie było ślubów między katolikami obrz. łać. a katolikami obrz. gr. 2.756, między katolikami obrz. gr. a katolikami obrz. łać. 2.836, między katolikami obrz. łać. a protestantkami 30, między katolikami obrz. gr. a protestantkami 9, między katolikami obrz. łać. a prawosławnemi żaden, obrz. gr. zaś z prawosławnemi 2, między katolikami obrz. łać. z kobietami sekt niewymienionych 3, obrz. gr. zaś 6; dalej prawosławnych z „łacinniczkami" 3, z greko-katoliczkami zaś 4, protestantów z „łacinniczkami" 43, z greko-katoliczkami 9, Żydów z kobietami sekt niewymienionych 2, mężczyzn sekt niewymienionych z chrześcijankami 16, z żydówką 1, mężczyzn sekt niewymienionych z kobietami innej sekty 14. Gdy przeto pominiemy różnicę między obrządkiem łacińskim a greckim, gdyż oba obrządki należą do jednej społeczności wyznaniowej, przekonamy się z liczb powyższych, że małżeństwa mieszane w Galicyi należą do rzadkości, że mianowicie było ich w r. 1895 tylko 143, która to liczba jest znikoma wobec 58.000, a wedle naszej rachuby 62.000 par nowożeńczych.

W całem państwie i w Galicyi najmniej ślubów małżeńskich przypada na miesiące marzec (w Galicyi 341) i grudzień (326), bo są to miesiące wielkiego postu i adwentu, czyli czasy zakazane. Najwięcej zaś przypada na miesiące luty (15.798) i listopad (14.515), a więc na czas poprzedzający bezpośrednio czasy zakazane.

Dzieci urodziło się 318.198 tj. 32·85% ogólnej na całe państwo liczby 968.696. Wedle wyznania było noworodków katolickich obrz. łać. 138.902, obrz. gr. 143.751, prawosławnych 5, protestanckich 1771, żydowskich 33.757, innych 12. Liczba noworodków żydowskich nie potwierdza powszechnego mniemania o wielkiej plenności Żydów; albo-

[1] Dla bardzo szczupłej liczby Ormian katolickich statystyka łączy ich z Rusinami.

wiem nawet wedle prostego stosunku liczebnego między Żydami a ogółem ludności galicyjskiej (około 12% Żydów) powinnoby być noworodków żydowskich co najmniej 38.000. Statystyka więc zamiast wielkiej plenności Żydów wykazuje dość znaczny niedobór noworodków żydowskich; niewiadomo atoli, czy wierzyć statystyce, czy powszechnemu mniemaniu; w statystyce Żydów zachodzi niejedna rzecz zagadkowa, jak to zobaczymy jeszcze poniżej, gdy będzie mowa o śmiertelności. Tutaj tj. na punkcie noworodków, wspomniany co dopiero niedobór jest uderzający, lecz poprostu w kłopot rachunkowy wprawia nas pytanie: ile jest żydowskich noworodków nieprawego łoża?

Wszystkich razem na Galicyę dzieci nieprawego łoża urodzonych w r. 1895 wykazuje statystyka 41.322 na całe państwo 141.580. Liczba galicyjska stanowi przeto 29·19% sumy z całego państwa; a ponieważ liczba noworodków wszystkich stanowi 32·85%, więc stosunek między Galicyą a całem państwem co do dzieci nieprawego łoża świadczy o mniejszej niemoralności w Galicyi niż w całem państwie. Pokazuje się to też z liczb następujących: w Galicyi liczba dzieci nieprawego łoża wynosi 12·99%, w całem państwie 14·62%. Tak przedstawia się rzecz wedle statystyki; w rzeczywistości stosunek jest o wiele dla Galicyi korzystniejszy. Albowiem w liczbie 41.322 dzieci nieprawego łoża w Galicyi mieści się nie mniej, jak 26.643 dzieci żydowskich, które może z wyjątkiem drobnej części, pochodzącej rzeczywiście z nieprawego łoża, pochodzą z tak zwanych małżeństw „rytualnych". Jaką tu statystyka wyrządziła krzywdę Żydom, a przez nich całemu krajowi widać już stąd, że wedle niej dzieci żydowskich prawowitych jest tylko 7.114, czyli nieco nad 21%, a nieprawego łoża 26.643, czyli blizko 79 proct. Podobnie na Bukowinie: dzieci żydowskich prawowitych 853, czyli nieco nad 30%, nieprawowitych 1986, czyli blizko 70%. Popróbujmy w interesie prawdy i dobrej sławy kraju sprostować, ten fatalny błąd, który jest przyczyną, że według statystyki Kraków na 3.061 noworodków ma 1.166 nieprawowitych, tj. 38·09%, a Lwów na 5.506 noworodków, 2.117 tj. 38·45%. Prawda, że takie *horrenda* i nawet jeszcze większe gdzie indziej rzeczywiście zachodzą, ale co do Krakowa, Lwowa, całej Galicyi i także co do Bukowiny są one poprostu urzędową obelgą.

Nasza próba sprostowania polega na rachunku następującym: Urzędowa statystyka wykazuje na Galicyę 276.876 noworodków prawowitych, 41.322 nieprawowitych, a między tymi 26.643 żydowskich. Wiedząc, że ta ostatnia liczba jest wielce fałszywa, strącamy ją chwi-

lowo całą z liczby noworodków nieprawowitych, tj. 41.322, a więc otrzymujemy 14.679 jako niewątpliwie prawdziwą, choć jeszcze nie całą liczbę noworodków nieprawego łoża, która wraz z liczbą 276.876 prawowitych czyni sumę 291.555. Dwa rzeczone składniki jej stanowią 5.03% noworodków nieprawowitych, 94·97% prawowitych. Słusznie zaś przypuścić można, że owa liczba 26.643 dzieci żydowskich „nieprawego“ łoża składa się z takich samych procentów, a więc z 1.340 nieprawowitych a 25.303 prawowitych. W ten sposób otrzymujemy jako ostateczne liczby sprostowane: 276.876 + 25.303 = 302.179 noworodków prawowitych, a 14.669 + 1.340 = 16.019 nieprawowitych czyli 94·70% jednych a 5·30% (nie 12·99%) drugich. Co do Krakowa i Lwowa, nie możemy przeprowadzić takiego obrachunku prostującego, ale wolno nam *per analogiam* przypuścić, że skoro na cały kraj z 12·99% zrobiło się 5·30, na Kraków wypadnie 15·56% (zamiast 38·09) na Lwów 15·71% (zamiast 38·45). — Tak samo na Bukowinę wypada z naszego rachunku noworodków prawowitych 29.045 czyli 94·13%, nieprawowitych 1.705 czyli 5·87% nie 11·63%, (jak chce statystyka urzędowa) i analogicznie na miasto Czerniowce 12.40% (zamiast 24·66%) nieprawowitych.

Teraz dopiero po sprostowaniu powyższem możemy, rozszerzając nasze studyum co do noworodków nieprawowitych na wszystkie kraje austryackie (bez Węgier), przeprowadzić porównanie, które wydaje bardzo ciekawe rezultaty i po części obala utrzymujące się dotychczas mniemanie, jakoby górzysty charakter kraju i ubóstwo materyalne były głównemi czynnikami w pozamałżeńskiem pożyciu płciowem. Kolej bowiem, w jakiej kraje rzeczone następują po sobie wedle procentowego stosunku noworodków nieprawowitych do całej liczby noworodków jest następująca:

	Liczba noworodków		stosunek nieprawowitych do całej
	cała	nieprawowit.	
1. Gorycya	8.325	252	3·03%
2. Dalmacya	22.035	742	3·37 „
3. Istrya	12.855	526	4·09 „
4 Galicya	318.198	16.019	5·30 „
5. Bukowana	30.750	1.705	5·87 „
6. Arulania[1]	3.346	205	6·13 „
7. Kraina	18.452	1.288	6·98 „
8. Tyrol	25.066	1.830	7·30 „

[1] Voralberg.

	Liczba noworodków cała	nieprawowit.	stosunek nieprawowit. do całej
9. Morawa	89.306	9.705	10·87%
10. Ślązk	26.237	2.977	11·35 „
11. Czechy	224.928	31.485	14·00 „
12. Górna Austrya	25.962	4.735	18·24 „
13. Styrya	42.568	10.140	23·82 „
14. Dolna Austrya	97.625	25.093	25·70 „
15. Salcburgia	5.790	1.597	27·56 „
16. Karyntya	12.151	5.254	43.24 „

Już w tej tabelce dość wyraźnie układają się kraje w pewne gromady o wspólnych znamionach charakterystycznych, a jeszcze wyraźniejsze będzie to ugrupowanie, gdy z liczb powyższych wyłączymy daty odnoszące się do miast głównych, w których nieprawe pożycie płciowe jest wpływem innych niż na prowincyi momentów i okoliczności. Porządek krajów z tą restrykcyą jest następujący: 1) Gorycya bez miasta Gorycy 2·34%; 2) Dalmacya[1] 3·37%; 3) Istrya bez miasta Rovigno 4·05%; 4) Galicya bez Krakowa i Lwowa 4·78%; 5) Bukowina bez Czerniowiec 5.04%; 6) Kraina bez Lublany 5·99%; 7) Arulania[1] 6·13%; 8) Tyrol bez Insbruku 7·24%; 9) Morawa bez Brna 10.24%; 10) Ślązk bez Opawy 11·23%; 11) Czechy bez Pragi 12·85%; 12) Dolna Austrya bez Wiednia 16·02%; 13) Górna Austrya bez Lincu 17·62%; 14) Styrya bez Gradcu 22·09%; 15) Salcburgia bez miasta Salcburga 26·16%; 16) Karyntya bez Celowca 41·58%.

W tem następstwie krajów jednego po drugim zachodzi dziwnie ścisłe rozgraniczenie gromad, przedewszystkiem pod względem geograficznym, a dalej pod względem etnograficznym, nakoniec pod względem nietyle wyznania — boć wszędzie, z wyjątkiem Bukowiny, dominuje katolicyzm — ile raczej pod względem religijności. Pierwszą gromadę stanowią Gorycya, Dalmacya i Istrya, kraje pomorskie, słowiańskie, acz z znaczną przymieszką żywiołu włoskiego, któremu jednak tak samo nie braknie szczerej religijności, jak Słowianom. Żywioł niemiecki stanowi procent znikomy, a zwłaszcza protestantów niema tu prawie wcale. Druga gromada składa się z Galicyi i Bukowiny, których to krajów naszym czytelnikom charakteryzować nie potrzebujemy, jedno

[1] Dalmacya i Arulania nie mają miast głównych, ani wogóle miast z własnym statutem, co do których statystyka podaje daty osobne; dlatego musimy te kraje wziąć tutaj także, jak w tabelce powyższej, bez restrykcyi. Istrya nie ma również miasta głównego, ale ma miasto Rovigno z własnym statutem.

tylko powiemy, że przymieszka niemiecka, mianowicie też protestancka jest w Galicyi i na Bukowinie większa, niż w krajach pierwszej gromady. Tak więc kraje skrajnie południowe i kraje skrajnie północne są sobie najbliższe pod względem czystości obyczajów. Nagle porządek powyższy przerzuca nas znowu na południe, gdzie zastajemy krainę w odosobnieniu, nie wiążącą się z żadnym innym krajem w gromadę; bo jest to też jakby wyspa czysto katolicka, chociaż nie tak całkiem czysto słoweńska. Następują Arulania i Tyrol, które właściwie możnaby uważać za jeden kraj, w znacznej części (około 40%) włoski, co do reszty (60%) niemiecki. Ludność jest prawie wyłącznie katolicka; żywioł protestancki acz liczebnie prawie jeszcze znikomy, ma jednak to do siebie, że stosunkowo bardzo szybko rośnie, a to nie przez naturalne rozmnożenie, lecz przez napływ. Tyrolscy Włosi tak samo, jak rodacy ich w wymienionych powyżej krajach pomorskich, stoją pod względem czystości obyczajów na wysokim stopniu; ale i Niemcy tyrolscy i arulańscy stanowią pod tym względem po prostu chlubny wyjątek między Niemcami w ogólności, a nie ulega wątpliwości, że jest to skutek znanej powszechnie szczerej religijności. Zresztą jak biedne kraje Dalmacya i Galicya świadczą przeciw mniemaniu, że bieda materyalna zawsze zradza rozluźnienie moralności, tak Arulania i Tyrol świadczą przeciw takiemuż mniemaniu o górzystym charakterze zamieszkanego kraju. Gór Arulanii i Tyrolowi z pewnością nie braknie, nie są to też kraje wielce bogate, a jednak moralność co do pożycia płciowego, jakkolwiek znacznie już mniejsza niż w krajach pomorskich, jest bez porównania wyższa niż w innych krajach. Na wielce ciekawą w tym względzie różnicę zwrócimy niebawem uwagę. Z Tyrolu znowu prowadzi nas porządek powyżej wskazany na północ, gdzie, że tak powiemy, zdziwionym oczom naszym przedstawiają się Morawa, Ślązk i Czechy, jako zwarta gromada krajów, stojąca na średnim stopniu moralności. Słowiańskie te kraje są w bardzo znacznej części zniemczone, stanowią one też główne siedlisko protestantyzmu austryackiego, szczególnie Ślązk, gdzie nawet Polacy stanowią bardzo znaczną część tej sekty. Ale właśnie też Ślązk, a głównie polska część ludności jego, utwierdza nas w przekonaniu, że we wszystkich trzech krajach słowiańska moralność z wielkim jeszcze skutkiem opiera się zaraźliwym wpływom niemczyzny i protestantyzmu. Przeważnie polskie na Ślązku powiaty: bielski (bez miasta Bielska), frysztacki i cieszyński najwięcej okazują siły odpornej; albowiem w powiatach tych procent noworodków nieprawego łoża nie dochodzi ani połowy przeciętnego na cały Ślązk

procentu. Ktoby nie wierzył w to, cośmy w tej chwili o niemczyźnie powiedzieli, niech przypatrzy się ostatniej gromadzie krajów, stojącej na najniższym stopniu moralności, gromadzie wielkiej, a dziwnie ostro odgraniczonej od gromady poprzedniej tem, że jest prawie czysto niemiecka i że moralność spada nagle. Do tej gromady należą: Dolna Austrya, Górna Austrya, Styrya, Salcburgia i Karyntya. Dolna Austrya graniczy z Morawą, a podczas gdy na Morawie procent noworodków nieprawego łoża wynosi 10·24, w Dolnej Austryi (*nb.* bez Wiednia!) mamy 16·02%. Mamy tu więc wyraźną różnicę między krajem słowiańskim, acz wielce już zniemczonym, a krajem prawie czysto niemieckim. Potwierdza to naturalnie naszą tezę o większej moralności słowiańskiej niż niemieckiej, jako też tezę o odpornej sile moralności słowiańskiej przeciw demoralizującemu wpływowi protestanckiemu, bo Morawa jest więcej sprotestantyzowana niż Dolna Austrya. A jednak cóż poczniemy, gdy weźmiemy tę gromadę krajów niemieckich z drugiego końca, gdzie ona graniczy z krajem nie słowiańskim, lecz z krajem niemieckim? Drugi ten koniec stanowią Salcburgia i Karyntya, które to kraje oba graniczą z Tyrolem; a podczas gdy w Tyrolu mamy 7·24% noworodków nieprawowitych, widzimy ich w Salcburgii 26·16%, w Karyntyi nawet 41·58%. Różnica geograficzna jest tu o wiele mniejsza niż między Morawą a Dolną Austryą, etnograficzna jest prawie żadna, a jednak różnica co do moralności tak uderzająco większa, że zwłaszcza między Tyrolem a Karyntyą staje się zdumiewającą. Tę właśnie różnicę mieliśmy na myśli, gdyśmy nieco wyżej mówili o wyjątkowem stanowisku Arulanii i Tyrolu wśród niemieckich krajów austryackich. Różnicy tej nie tłumaczy nam okoliczność, że Karyntya ma o wiele więcej protestantów niż Tyrol, bo ostatecznie liczba protestantów karyntyjskich (około 20.000) także nie jest zbyt wielka, stanowiąc tylko około 5% całej ludności. Nie dopisuje tu też nasza teza o odpornej sile słowiańskiej, bo Tyrol, który stoi moralnie tak wysoko ponad Karyntyą, nie jest wcale słowiański, a jest nią owszem Karyntya w blizko trzeciej części; Słoweńcy zaś karyntyjscy nietylko nie znają czystości obyczajów swoich rodaków w innych krajach, jak w Krainie i w Styryi, lecz są prawie jeszcze gorsi od Niemców karyntyjskich i stanowią między Słoweńcami wogóle taki sam wyjątek, tylko w duchu odwrotnym, jak Tyrolczycy między Niemcami: Słoweńcy karyntyjscy wyróżniają się niemoralnością, Tyrolczycy moralnością. Gdyby przymieszka żywiołu słowiańskiego do niemieckiego korzystny wywierała wpływ na moralność, wtedy Karyntya musiałaby stać dość wysoko

ponad czysto niemiecką Salcburgią; rzeczywiście atoli Salcburgia, mimo że stoi na bardzo nizkim poziomie (26·16%), okazuje się w porównaniu z Karyntyą w świetle jeszcze korzystnem.

Czybyśmy więc odrzucić mieli plemienność i narodowość jako jeden z najważniejszych czynników w kwestyi większej czy mniejszej czystości obyczajów? Bynajmniej! Dowody są zbyt wyraźne; a że kryteryum wyjątkowo gdzieś nie dopisuje, to nie stanowi jeszcze o jego fałszywości, zwłaszcza gdy się uważa je nie za jedyne, lecz za jedno między rozlicznemi innemi, acz za jedno z głównych. Nie chcąc bynajmniej obalić wniosku autora o wpływie plenności na moralność, sądzimy jednak, że trzeba więcej uwzględnić wpływ religijności, który się tak wyraźnie przebija w wyjątkowej między Niemcami moralności Tyrolczyków i nizkim wśród Słowian poziomie moralnym Czechów. Nie wahamy się bynajmniej wysnuć z przytoczonych powyżej dat statystycznych wniosku, że z pomiędzy narodów poddanych berłu austryackiemu (bez Węgier) najwięcej dochowują czystości obyczajów Włosi, po nich idą Słowianie nadmorscy (składający się z Słoweńców, Chorwatów i po częściej z prawosławnych Serbów), dalej następują Polacy i Rusini, po nich Słoweńcy kraińscy i styryjscy, dalej Czesi, nakoniec Niemcy, między którymi przeróżne są stopnie deprawacyi obyczajów, a o których w ogólności powiedzieć można, że poziom moralny stosuje się do poziomu umysłowości, tj. do stopnia oświaty i kultury, podczas gdy z pomiędzy Słowian Czesi składają dowód, że z oświatą i kulturą rośnie deprawacya obyczajów.

Przypatrzmy się teraz miastom głównym. Podając je w kolei, w jakiej wedle procentu noworodków nieprawego łoża po sobie następują, wymieniamy obok każdego miasta kraj jego wraz z odnośnym procentem krajowym bez miasta. Kolej jest następująca:

1. Rovigno	5·76%	(Istrya . . .	4·05%)
2. Insbruk	10·88 „	(Tyrol . . .	7·24 „)
3. Czerniowce[1]	12·40 „	(Bukowina .	5·04 „)
4. Goryca	12·84 „	(Gorycya. .	2·34 „)
5. Kraków[1].	15·56 „	(Galicya . .	4·78 „)
6. Lwów[1]	15·71 „		
7. Opawa.	16·39 „	(Ślązk . . .	11·23 „)
8. Tryest	16·74 „	—	
9. Lublana	25·32 „	(Kraina. . .	5·99 „)
10. Brno	26·66 „	(Morawa . .	10·24 „)

[1] Przypuszczalnie.

11. Linc	27.46%	(Górn. Austr.	17·62%)
12. Wiedeń	34·38 „	(Doln. „	16·02 „)
13. Salcburg	36·65 „	(Salcburgia .	26·16 „)
14. Gradec	42·30 „	(Styrya . . .	22·09 „)
15. Praga	47·16 „	(Czechy . .	12·85 „)
16. Celowiec	66·58 „	(Karyntya .	41·58 „)

W głębokie tajniki liczb powyższych zapuszczać się zresztą nie myślimy. Zapisaliśmy fakta, może ktoś doświadczeńszy wydobędzie przyczyny.

Przechodzimy do wykazu śmiertelności. Wszystkich umarłych (naturalnie bez martworodków, którymi statystyka po porodzie zajmować się już nie potrzebuje) było w r. 1895 w Galicyi 219.397, w całem państwie 682.899, w której to sumie ogólnej suma galicyjska stanowi 32·13%; jest to więc stosunek niepomyślny. Wedle wieku dzielą się dwie sumy, krajowa i ogólna, bardzo rozmaicie. Najwięcej zmarłych przypada na dzieci w pierwszym roku życia: w Galicyi było ich 76.027, czyli 34·65% sumy krajowej, w całem państwie 33·20% sumy ogólnej; a więc znowu w Galicyi stosunek niepomyślniejszy niż w całem państwie. Między skończonym pierwszym a skończonym piątym rokiem życia umarło w Galicyi 46.551 dzieci czyli 21·22% wszystkich w kraju zmarłych, w całem państwie 106.965 czyli 15·66%. Zliczmy wszystkie dzieci zmarłe od przyjścia na świat aż do skończenia piątego roku życia, a otrzymamy w Galicyi 122.578, tj. 55·87%, w całem państwie 333.792, tj. 48·86%. W tym stosunku Galicyi do całego państwa niewątpliwie wyraża się także materyalna bieda galicyjska. Po piątym roku życia aż do skończonego piętnastego stosunek wciąż jeszcze pozostaje niekorzystny dla Galicyi, ale po piętnastym rzecz odwraca się i przybiera postać w miarę postępującego wieku osób coraz więcej dla kraju pomyślną. Albowiem umarło: w wieku między skończonym piątym a skończonym dziesiątym rokiem w Galicyi 11.860 dzieci czyli 5·41% zmarłych, w całem państwie 27.934 czyli 4·09%; między dziesiątym a skończonym piętnastym w Galicyi 4.547 tj. 2·07%, w państwie 12.011, tj. 1·76%; między piętnastym a skończonym dwudziestym rokiem życia umarło w Galicyi 4.347 osób czyli 1·98%, w państwie 14.072 czyli 2·07%; w wieku od skończonego dwudziestego do skończonego czterdziestego roku życia w Galicyi 18.562 osób czyli 8·46%, w państwie 64.526 czyli 9·45%; po skończonym czterdziestym roku w Galicyi 57.049. tj. 26·00% w państwie

229.553, tj. 33·61%. W liczbach powyższych nie uwzględniono 454 osób w Galicyi, 1.111 z całego państwa, których wiek był niewiadomy.

Dziwnie harmonijnie w ogólności układa się stosunek między Galicyą a całem państwem, gdy podzielimy zmarłych nietylko wedle wieku, lecz wedle płci. Obraz śmiertelności z tego potrójnego punktu widzenia przedstawia się jak następuje:

Umarło:

	płci męskiej	płci żeńskiej
od urodzenia do skończonego pierwszego roku życia		
w Galicyi	42.241 = 55·56%	33.786 = 44·44%
w całem państwie . . .	126.051 = 55·59 „	100.676 = 44·41 „
od pierwszego do skończonego piątego roku		
w Galicyi	23.458 = 50·39%	23.093 = 49·61%
w całem państwie . . .	53.723 = 50·22 „	53.242 = 49·78 „
od piątego do skończonego dziesiątego roku		
w Galicyi	5.921 = 49·92%	5.939 = 50·08%
w calem państwie . . .	13.771 = 49·30 „	14.163 = 50·70 „
od dziesiątego do skończonego piętnastego		
w Galicyi	2.178 = 47·90%	2.369 = 52·10%
w całem państwie . . .	5.462 = 45·47 „	6.549 = 54·53 „
od piętnastego do skończonego dwudziestego		
w Galicyi	1.969 = 45·30%	2.378 = 54·70%
w całem państwie . . .	6.458 = 45·89 „	7.614 — 54·11 „
od dwudziestego do skończonego czterdziestego		
w Galicyi.	8.594 = 46·30%	9.968 = 53·70%
w całem państwie . . .	31.025 = 48·08 „	33.501 = 51·92 „
po czterdziestym roku życia		
w Galicyi	27.882 = 48.87%	29·167 = 51·13%
w całem państwie . . .	112.781 = 49·13 „	116·772 = 50·87 „
suma wszystkich umarłych		
w Galicyi	112.461 = 51·23%	106.936 = 48·77%
w całem państwie . . .	349·846 = 51·23 „	333.053 = 48·77 „

Z wyjątkiem więc dwu okresów wieku: od 10 do 15 roku życia i od 20 do 40, widzimy wszędzie prawie zupełną harmonię między datami, odnoszącemi się do Galicyi, a datami, odnoszącemi się do całego państwa; a gdzie rozłożona jest suma wszystkich umarłych, widzimy szczyt harmonii, nawet w ułamkach.

Wiemy już, że największa śmiertelność przypada na pierwszy rok życia; dodajmy, że najmniejsza przypada na rok szósty, a to znowu równie w Galicyi, jak w całem państwie. Albowiem w wieku między skończonym piątym a skończonym szóstym rokiem życia umarło w Ga-

licyi tylko 3.723 dzieci, tj. 1·70% wszystkich w kraju umarłych, w całem państwie 8.501, tj. 1·25%; a wedle płci: w Galicyi 1.868 chłopców, tj. 50·17%, dziewcząt zaś 1.855, tj. 49·83%; w całem państwie 4.259 chłopców, tj. 50·10%, a 4.242 dziewcząt, tj. 49·90%, a więc znowu uderzająca harmonia między Galicyą a państwem. Szósty rok życia jest oczywiście najszczęśliwszy w całem życiu na ziemi na tym padole płaczu!

Sposobem samobójczym zginęło 412 osób (320 płci męskiej, 92 płci żeńskiej), tj. 11·60% liczby ogólnej na całe państwo 3.551 osób (2.808 płci m. 743 płci ż.). Samo miasto Wiedeń ma nieco więcej samobójców niż cała Galicya, bo 427 osób (326 m., 101 ż.). Samobójstwo zaczyna się w wieku między skończonym dziesiątym a piętnastym rokiem życia; tego wieku samobójców było 40 (7 m., 3 ż.), w całem państwie 38 (27 m., 11 ż.); najwięcej, bo 151 (127 m., 24 ż.), a w całem państwie 911 (685 m., 226 ż.), przypada na wiek między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia; ale i po skończonym siedmdziesiątym roku odebrało sobie życie jeszcze 15 osób (11 m., 4 ż.), w całem państwie 223 (182 m., 41 ż.).

Śmiercią gwałtowną zginęło 171 osób (117 m., 54 ż.) tj. 28·26% ogólnej na całe państwo liczby 605 osób (421 m., 184 ż.). Na dzieciach w pierwszym miesiącu życia dopuszczono się zabójstwa w 14, w całem państwie w 78 wypadkach, a w pierwszym roku życia (wraz z pierwszym miesiącem) w 23, w całem państwie w 107 wypadkach. Na osobach sędziwych w wieku ponad siedmdziesiąt lat popełniono 1 zabójstwo, w całem państwie 14.

Przychowkiem nazywamy liczbę, o jaką żyworodki przewyższają liczbę zmarłych tego samego roku. Ponieważ w r. 1895 było w Galicyi żywoworodków 310.792, zmarłych zaś 219.397, przeto przychowek wynosił 91.395 dusz czyli 41·66%; w całem państwie było żyworodków 941.184, zmarłych 682.899, przychowku 258.285 dusz czyli 36·36%, tj. znacznie mniej niż w Galicyi. Wedle płci było:

	żyworodków	zmarłych	przychowku
	płci męskiej		
w Galicyi	160.165	112.471	47.704 = 42·42%
w całem państwie . .	483.883	349.846	134.037 = 38·31 „
	płci żeńskiej		
w Galicyi	150.627	106.936	43.691 = 40·86%
w całem państwie . .	457.301	333.053	124.248 = 37·31 „

Przewaga przychowku męskiego w Galicyi (1·56%) jest przeto w Galicyi znacznie większa niż w całem państwie (1·00%).

Ciekawszy jest rozkład przychowku wedle wyznań. Przedstawia się on jak następuje:

	żyworodków	zmarłych	przychowku	
	katol. obrz. łać.			
w Galicyi	135.476	92.116	43.360 =	47·07%
w całem państwie . .	714.898	518.871	196.017 =	37·78 „
	katol. obrz. grecki			
w Galicyi	140.812	109.761	31.051 =	28·29%
w całem państwie . .	142.143	110.585	31.558 =	28·54 „
	prawosławnych			
w Galicyi	5	11	—6 =	—54·55%
w całem państwie . .	19.461	25.055	5.594 =	28·74 „
	protestanckich			
w Galicyi	1.735	1.271	464 =	36·51%
w całem państwie . .	16.075	11.165	4.910 =	43·98 „
	żydowskich			
w Galicyi	32.760	16.222	16.538 =	101·95%
w całem państwie . .	42.414	22.550	19.864 =	88·09 „

Widzieliśmy powyżej, że płodność Żydów jest najmniejsza; tutaj mimo to widzimy, że przychowek żydowski jest poprostu zdumiewająco wielki, zwłaszcza w Galicyi i że polega na wcale niepospolitej żywotności, czyli małej śmiertelności żydów. Stajemy tu wobec zagadki. Miałażby żywotność Żydów galicyjskich rzeczywiście być tak wielka mimo straszliwej nędzy, w jakiej przeważna część tego żydostwa żyje? Przeciwko temu świadczy już o wiele mniejszy przychowek żydowski, obrachowany na całe państwo; a wszakże i ten przychowek dochodzi bardzo wysokiego jeszcze procentu 88·09 jedynie dlatego, że w nim mieści się zagadkowy procent przychowku galicyjsko-żydowskiego. Wobec tej zagadki przychodzi nam na myśl przeprowadzić obrachunek przychowku Żydów na Bukowinie, a więc Żydów najbliższych pod każdym względem Żydom galicyjskim; i oto, do jak niespodziewanego dochodzimy rezultatu: żyworodków 2.764, zmarłych 1.874, przychowku przeto 890, tj. 47·49%. Teraz nikt pewnie wątpić nie będzie, że blizko 102-procentowy przychowek galicyjsko-żydowski jest złudą i prawdopodobnie śmiałem fałszerstwem. Na wszelki sposób zagadka ta dowodzi, że metryki żydowskie w Galicyi są źle prowadzone. Jakaż mogłaby być pobudka fałszerstwa? Dość prosta: w miejsce niewypisanych z metryki Żydów zmarłych, sprowadzać z zagranicy Żydów do kraju dla obda-

rzenia ich obywatelstwem austryackiem bez zachodów i bez kosztów. Kto choć tylko trochę wniknął w tajemnice organizacyi kahalnej, temu domysł taki nie wyda się niczem niepodobnem. Na Bukowinie przychowek żydowski całkiem naturalnym sposobem jest mniejszy od przychowku katolickiego; dlaczegóż w Galicyi miałby być więcej niż jeszcze raz tak wielki?...

Statystyka urzędowa podaje kilkanaście gołych liczb jako rezultaty immigracyi i emigracyi. Wedle nich wywędrowało z Galicyi o 7.602 osoby więcej niż przywędrowało, a z całego państwa różnica także *in minus* wynosi 17.947. Liczby te jednak nie mają pretensyi do prawdziwości, chociaż będą pewnie przybliżone do prawdy.

Józef Glinkiewicz.

Druk ukończono 28 lipca 1898 r.

VASILE ALESSANDRI

KSIĄŻE PIEŚNI RUMUŃSKIEJ.

W r. 1878 rozpisało prowansalskie stowarzyszenie Felibrów, zgromadzone na swych *jeux floraux* w Montpellier, konkurs wzywający wszystkich poetów romańskich do napisania wiersza ku uczczeniu szczepu łacińskiego. I rumuński poeta, Alessandri, nieznany prawie do tego czasu poza granicami swego kraju, posłał na konkurs wiersz: „Pieśń szczepu łacińskiego", zaczynający się od słów: *Latina ginte e reginǎ*. Komisya składająca się z Mistrala, Tourtoulona i innych, a wybierająca pomiędzy 56 utworami najrozmaitszych autorów romańskich, przyznała jednogłośnie pierwszą nagrodę, srebrny puhar, rumuńskiemu poecie [1], którego imię rozeszło się od owego pamiętnego dnia daleko po szczepach romańskich, wspominane z miłością i uszanowaniem; utwór jego zwrócił powszechną uwagę na mały lecz uroczy kraj rumuński, a sam autor otrzymał nazwę: barda szczepu łacińskiego.

Tak poprzedzające, jak i późniejsze prace Alessandriego pokazały, że mamy w jego osobie do czynienia z poetą niepośledniej miary, którego utwory byłyby chlubą i dla rozwiniętej literatury, a który jeżeli jest dzisiaj mniej znany od wielu miernych i o całe niebo od niego niżej stojących pisarzy, zawdzięcza to jedynie tej okoliczności, że język, w którym swoje dzieła

[1] Pod wiersz ten dorobił muzykę włoski kompozytor Marchetti.

ogłaszał, jest językiem nieznanym i niemającym w świecie większego znaczenia. To nas skłoniło do napisania niniejszego studyum, w którem pragnęliśmy zaznajomić naszą publiczność pokrótce z życiem wielkiego poety, z otoczeniem, w jakiem się obracał i z utworami, dla których zajął on w literaturze rumuńskiej pierwsze miejsce i dotąd na niem prawie niepodzielnie panuje.

I.

Kiedy w r. 1821 powstanie Ipsilantego roznieciło pożogę w Mołdawii, a mieszkańcy miast, bogaci bojarzy, i wszyscy, którym życie było miłe, uciekali w góry i niedostępne lasy, porzucili i rodzice Alessandriego swą własność w Jassach i za przykładem innych szukali ratunku w ucieczce. W czasie tej podróży przyszedł na świat V. Alessandri w górach bakowskich, zdala od wszelkich ludzkich mieszkań.

Surmy bojowe Ipsilantego rozbrzmiewały po kraju i wplatały się w marzenia dziecięcia, szum lasów kołysał go do snu, a cudne widoki gór i powieści ludowe składały się na rozwój jego ducha i wyobraźni. Było to podłoże przyszłych lat i przyszłej wielkości poety. Na polu literatury ludowej, pieśni wojennych — patryotycznych i cudnych obrazów namalowanych z przyrody, miał zebrać Alessandri kiedyś wawrzyny sławy, ale w ów wieniec miało wróść i dużo cierpienia.

Po przygotowawczych naukach, otrzymanych bądź w domu, bądź też w pensyonacie francuskim, w którym się zapoznał z sławnym później historykiem Cogălniceanem, wysłali go rodzice w piętnastym roku życia dla wykształcenia do Paryża. Medycyna, matematyka i prawo, którym się kolejno oddawał, nie mogły zaspokoić jego wrażliwego umysłu, i dopiero kiedy udało mu się przejść na wykłady literatury, uczuł się w swym prawdziwym żywiole, dla którego był stworzonym. Otrzymawszy tytuł *bachelier es lettres,* powrócił z pierwszemi próbami swej poetyckiej twórczości przez Włochy do Jass. Żyjąc przez dłuższy czas we Francyi i poznawszy przedewszystkiem wysoką cywilizacyę Zachodu i wspaniałe pamiątki przeszłości we włoskiej

stolicy, czuł się w kraju trochę osamotnionym, lecz te wrażenia ustąpiły wkrótce innym, silniejszym.

W r. 1842 zmarła mu matka, którą nadewszystko miłował i którą uwiecznił w pięknym wierszu „Nad brzegiem morza". „Ciężko rozpaczam — pisał wtedy poeta — gdy myślę o tobie, o matko, słodki aniele, o matko ukochana, któraś z mych uścisków ku niebu uleciała. Błądząc w ciemnościach pod niebem bezgwiazdnem, opuszczony od ciebie, która w grobie spoczywasz, w chmurach i falach widzę obraz mego życia i z wiatrem nocy zasyłam westchnienie". Przygnębiony stratą matki poeta szukał ukojenia na łonie przyrody, przebiegając wzdłuż i wszerz góry Mołdawii i Siedmiogrodu i zbierając legendy ludowe, ten najpiękniejszy wykwit poetycznego uczucia ludu. Zaledwie czas zaczął zabliźniać ranę zadaną śmiercią matki, a już nowy cios dotknął Alessandriego: umarła narzeczona jego, Helena. Oszołomiony i ubezwładniony moralnie tą boleścią, szukał na nowo rozrywki w podróżach po Europie i Afryce, a kiedy w 48 roku powrócił do kraju, rzucił się, chcąc zatrzeć w swej duszy smutne wrażenia, w wir rozmaitych spisków politycznych i rewolucyjnych, i skutkiem tego widział się zmuszonym do opuszczenia kraju, gdzie go czekały więzy i utrata wolności. Pożegnawszy swą ojczyznę prześlicznym wierszem p. t. *Adio Moldoveĭ,* zwrócił się pełen tęsknoty, smutku i rozczarowania najpierw do Bukowiny i Siedmiogrodu, gdzie mógł jeszcze słyszeć dźwięki ojczystego języka, lecz nie czując się w tych krajach bezpiecznym, udał się po długiej wędrówce i przenoszeniu się z miejsca na miejsce na stały pobyt do Paryża, skąd dopiero w r. 1855 został odwołany i ułaskawiony. Kiedy po powrocie poczęły nurtować w Mołdawii i Multanach prądy, dążące do zjednoczenia dwóch tych państw, Alessandri pragnąc jedynie dobra swej ojczyzny, oddał się cały na usługi kraju, a jako minister spraw zewnętrznych podróżował w misyach dyplomatycznych do Londynu, Rzymu i Paryża[1], pozyskał i usposobił dla siebie nader

[1] Te ciągłe podróże, jako też niespokojne czasy, w których się A. urodził i żył, sprawiają, że niema dzisiaj dwóch biografów, którzyby się

przychylnie Napoleona III. i ostatecznie przyczynił się niemało do urzeczywistnienia swych najserdeczniejszych planów co do zjednoczenia krajów rumuńskich. Przez dłuższy nawet czas był on sam, mimo swej woli i wbrew swym pragnieniom kandydatem na hospodarską stolicę zjednoczonego państwa i tylko swym staraniom zawdzięczał, że ominęły go honory i ciężary korony. Kiedy już nastąpiło zjednoczenie Multan i Mołdawii pod jednym władcą, Alessandri rzucił politykę i cofnął się w zacisze rozkosznego swego dworu we wsi Mircestï nad Seretem. Wioska ta posiada nader piękną i rozległą łąkę, zacienioną tu i owdzie staremi dębami; ta łąka to najmilsze miejsce pobytu poety, ją opisuje w najpiękniejszych swych utworach, a kiedy bawi zdala od swego błonia, o niem tylko myśli i marzy. Bogaty i od wszystkich lubiany, pędził szczęśliwe życie w tem zaciszu wiejskiem pracując dalej na niwie poetycznej. Wpływ i znaczenie jego rosło coraz bardziej; w Peleszu, romantycznym i czarownie pięknym zamku królewskiej pary rumuńskiej miał stale swe apartamenta, a królowa Elżbieta, sama artystka i poetka, uwielbiała Alessandriego, zwłaszcza gdy z powodu śmierci jej córeczki, zwrócił się w głęboko odczutych wierszach do strapionej matki.

Wiecznie swobodny i uśmiechnięty, mimo tych ran, jakie mu życie zadało, zdawał się o wszystkiem zapominać a żyć tylko dla piękna, dla poezyi i sztuki. Pracował też ustawicznie i w tym jego Tiburze powstawały coraz to piękniejsze klejnoty, owe obrazki z przyrody, owe pieśni wojenne i patryotyczne, wywołane bohaterską walką pod Plewną — zdawało mu się, że jest wiecznie młodym, że po przykrych zajściach przeszłości zabłysło mu niebo spokojne i wiecznie błękitne.

Raz jeszcze zażądała ojczyzna jego pracy i zdolności: w r. 1885 wysłano go jako ambasadora do Paryża. Po entuzyastycznem przyjęciu, urządzonem mu w Bukareszcie, udał się Alessandri na nowe stanowisko, dla którego był jakby stworzo-

---

zgadzali co do różnych dat, wyjętych z życia poety i czasu powstania jego dzieł. Chcąc jakkolwiek to wszystko uporządkować, udało się przed trzema laty rumuńskie ministeryum oświaty — do rektora katolickiego duchownego seminaryum w Jassach, Polaka.

nym i przepędził na niem pięć lat. Każdego roku powracał na kilka tygodni do swej ulubionej łąki w Mircestĭ aż wreszcie wyniszczony chorobą opuścił w r. 1890 Paryż, aby do niego więcej nie powrócić. Radość z widoku ukochanej ojczyzny i rodzinnej wioski podziałała kojąco na chorego, lecz tylko na krótko. Organizm strawiony słabością, nie mógł się więcej oprzeć zabójczej działalności raka toczącego płuca i wątrobę i w dniu 23 sierpnia 1890 roku zakończył wielki rumuński poeta swój żywot z pytaniem na ustach: „która godzina?“

Pogrzeb zmarłego był żałobną uroczystością narodową. Do grobu, wykopanego w ogrodzie między dwiema wiśniami, wniosło zwłoki dziewięciu żołnierzy z pod Plewny, których waleczność opisał on na kilkanaście lat przedtem w utworze *Penes Curcanul*, a zachmurzone i smutne twarze niezliczonych uczestników pogrzebu świadczyły aż nadto jawnie, że Rumunia odczuwa dobrze wielką swą stratę.

II.

Chcąc zrozumieć znaczenie literackie Alessandriego, jego wpływ na rozwój literatury rumuńskiej, chcąc przedewszystkiem umieć ocenić niektóre z jego utworów, które nam się dziś nader nieznacznemi wydają, trzeba koniecznie zapoznać się choć po krótce z okolicznościami, w jakich talent jego powstał, i z ludźmi, pośród których poeta żył.

Początek tego wieku przedstawiał się dla Rumunii wcale nie świetnie i zapowiadał jej nader groźną przyszłość; rządy Fanariotów to najczarniejsza plama w tym obrazie. Wyrzutki te społeczeństwa, dostawszy się na tron hospodarski, nie myślały o czem innem, jak tylko o zapełnieniu swej kieszeni, pustej zwykle po zakupieniu kaftana hospodarskiego, za który niektórzy z nich Turcyi i do czternastu milionów franków płacili. Stąd cała ich dążność skierowaną była przedewszystkiem do tego, aby utrzymać naród w ciemności i ignorancyi, a bojarów w zniewieściałości. Owe trzy główne zasady polityki bizantyjskiej, teroryzm, przekupstwo i niedopuszczenie oświaty, charakteryzują również całe postępowanie prawie wszystkich Fanariotów i for-

malnie święcą swoje tryumfy w tak mało odpornem na podobne czynniki społeczeństwie rumuńskiem. Naród pogrążony w ciemnocie i rozpuście, upośledzony moralnie, wyzyskiwany do upadłego, nieprzypuszczany do żadnego urzędu, a jeżeli przypuszczony, to jedynie za złożeniem wielkiego okupu, upośledzony pod każdym względem, patrząc na zepsucie, płynące strumieniami z pałacu hospodarskiego, upadał coraz niżej i tracił poczucie własnej godności do tego stopnia, że okiem obojętnem patrzał się na najstraszniejsze zbrodnie, popełniane przez Fanariotów. Idea sprawiedliwości i cnót obywatelskich zamarła zupełnie, a nie było nikogo, ktoby uczciwość społeczną podtrzymywał i moralnie wspierał. Kościół zamieniono na Kościół grecki, nadając mu biskupów i metropolitów greckich, godne kreatury nie mniej godnych panów; zakonnicy greccy profanowali święte ceremonie i zapatrywali się na niegodne postępowanie swych przełożonych świeckich lub cerkiewnych.

Z brakiem wiary, oświaty i zanikiem pojęcia obowiązków i godności własnej, szła w parze nędza materyalna, spowodowana nietylko niesprawiedliwością Fanariotów, ale też zbyt częstemi okupami, które mieszkańcy Mołdawii i Multan musieli składać sułtanowi pod grozą najstraszniejszych kar, nawet śmierci. To wszystko sprawiło, że stan materyalny i moralny narodu był rzeczywiście opłakany i że o jakimś dobrobycie lub oświacie nawet myśleć nie było można, tem więcej, że było to rzeczą bardzo niebezpieczną żywić jakieś nadzieje o niepodległości ojczyzny, o jej rozwoju i wzroście. Zazwyczaj spotykano się wtenczas z mieczem lub stryczkiem, a historya rumuńska dostarcza nam niestety niejednej w tym względzie ilustracyi.

Stosunki zmieniły się na lepsze po rewolucyi Tudora Vladimirescu w r. 1821, a jeszcze więcej po roku 1828, po traktacie adryanopolskim. Naród przychodził powoli do przeświadczenia o swej osobistej godności; przekupstwo, zepsucie, niesprawiedliwość nie mogły już tak bezkarnie grasować, oświata kraju podnosić się zaczęła przez założenie szkół i liceów, powstawały dzienniki, rozwinął się teatr narodowy; słabem jeszcze i początkującem było to wszystko, ale ostatecznie był to pierwszy krok

na drodze do odrodzenia się narodu. I jeżeli literatura dotychczas leżała zupełnie odłogiem, to na widowni krajów rumuńskich występują teraz od razu literaci, przeciętnie o wcale wybitnych talentach. Kierunek utworów tych wszystkich pisarzy, którzy czasami potrafili rozbudzić i zelektryzować uśpione serca, jak np. Mureseanu w swym potężnym śpiewie: „Obudź się Rumunie z twego snu martwego", był niejako prognostykiem przyszłej względnej wielkości i przyszłych prądów w życiu i literaturze. Wszyscy oni z boleścią i rozpaczą malują przeszłość, a niesłychanie wiele oczekują od przyszłości.

Tymczasem powoli i nieznacznie rysowała się ta zmiana, narażona jeszcze teraz na wiele niebezpieczeństw i trudów. Rząd widząc ów nagły a niespodziewany przewrót, widząc, jak starzy, zacofani bojarzy wysyłają swe dzieci do Niemiec i do Francyi, skąd powracały z nowemi dążnościami, widząc powstające dziennikarstwo, słysząc słowa zachęty i ufności w przyszłość, a z drugiej przekleństwa, na przeszłość rzucane, uląkł się i chciał przytłumić w samym zarodku budzące się życie. I znów doszło do tego, że na jakiś czas dawne chwile wróciły; prawie wszyscy pisarze, historycy i politycy musieli pokutować za swe idee, dążności i pragnienia; jednych zamykano w więzieniach, drugich skazywano na wygnanie z kraju, innych nawet tracono. Taki Alexandrescu np., pierwszy poeta-filozof rumuński, człowiek o wybitnym talencie i zdrowych patryotycznych dążnościach, był osadzonym w więzieniu, ponieważ konsulowi rosyjskiemu w Jassach zdawało się, że w jakiejś swej bajce przyrównał on Rosyę do lisa, co było wtenczas niemałą zbrodnią. Zdolny i sympatyczny Bălcescu, historyk, został uwięziony za to, że w swych przemowach do żołnierzy, którymi w randze oficera dowodził, utrzymywał, iż Michał Waleczny i Stefan Wielki, książęta rumuńscy, byli potężnymi i mądrymi władcami. Negruzzi, pierwszy wybitny prozaik rumuński, znany nam już jako autor opowiadania: „Sobieski i Rumuni", został wypędzony na brzegi Prutu, ponieważ będąc deputowanym, pozwolił sobie mieć niektóre zapatrywania liberalne. Podobny los spotkał Cogălniceana i innych literatów rumuńskich.

Najsurowiej postępował sobie rząd względem dziennikarstwa, przeczuwając w niem największego wroga. Najmniejszy, choćby tylko pozorny powód wystarczał do konfiskaty i zamknięcia gazety. Trzy czasopisma, założone i wydawane przez Cegălniceana, zamknięto dlatego, że w pewnych artykułach spostrzegano naganę teraźniejszych stosunków i polityki rządowej, a najważniejsze i najwyżej wówczas stojące pismo *Dacya literacka* zniesiono jedynie dlatego, że Cogălniceanu w artykule historycznym o księciu Aleksandrze Dobrym, chwalił jego postępowanie, rady i cnoty.

W tym więc niepewnym i ciężkim czasie, bo jeszcze na wiele lat przed połączeniem Mołdawii i Multan, wystąpił Alessandri; praca jego była tem trudniejszą, że oprócz opisanych powyżej stosunków musiał się liczyć przedewszystkiem z samym niewykształconym językiem.

III.

Pierwsza, wybitniejsza zasługa Alessandriego tyczy się rozwoju rodzimego języka, który tak samo, jak rumuńska historya, miał swoje tragiczne losy. Od dawien dawna byli Rumuni przekonani o swem pochodzeniu z starej Romy i byli dumni tem pokrewieństwem, choć jego skutków w ostatnich czasach bynajmniej znać nie było. Tymczasem wielu historyków i filologów zagranicznych albo przeczyło temu pochodzeniu, albo też redukowało je do bardzo nieznacznych rozmiarów. Dzieła nieprzyjaznych rumuńskiemu narodowi pisarzy wpłynęły wprawdzie korzystnie na historyę rumuńską, ale nader niekorzystnie na filologię tego kraju, która popełniła dwa błędy kardynalne, mogące zabić naukę rumuńską w oczach cudzoziemców na czas bardzo długi. Chcąc bowiem obalić hypotezy obcych uczonych, zaczęli filologowie wywodzić wszystkie słowa języka rumuńskiego od pierwiastków łacińskich. Wiadomą jest rzeczą, że rzadko kiedy można znaleźć w jakimś języku tyle rozmaitych elementów, jak w rumuńskim; według badań jednego z znaczniejszych filologów rumuńskich, Cihaca, zawiera ten język $^1/_5$ pierwiastków łacińskich, $^2/_5$ słowiańskich, $^2/_5$ węgierskich, tureckich, greckich, arab-

skich, niemieckich, albańskich i innych. Zbłądził może Cihac, naznaczając językom słowiańskim $^2/_5$, a romańskim tylko $^1/_5$ całości, ale jeszcze więcej zbłądzili filologowie, wyprowadzając wszystkie możliwe słowa z oryginału romańskiego [1].

Z tego więcej teoretycznego błędu filologii wypłynął drugi ważniejszy, bo praktyczny. Starano się o usunięcie wszelkich obcych słów z języka i zastąpienie ich łacińskiemi; w Siedmiogrodzie przeszło owo latynizowanie w manię, a i na Multanach i w Mołdawii zmieniło język do niepoznania. Urabiano nowe słowa, wyjęte żywcem z łaciny lub wogóle pierwiastków romańskich, dawano im końcówki rumuńskie, w każdym powiecie i w każdej książce inne, i tym sposobem poczęto tworzyć język, który mógł zrozumieć jedynie człowiek, mówiący co najmniej po łacinie, po włosku i po francusku. Idyomat książkowy i miejski był dla ludu zupełnie obcym. I znowu rozumniejsi nawoływali do porządku, do położenia tamy szerzącemu się kierunkowi. Słusznie zauważyli oni, że z wiekami rozwija się i pomnaża liczba naszych pojęć, iż konsekwentnie dla nich dawne słowa nie wystarczają, trzeba więc nowe tworzyć, a duch języka wymaga tego, aby tworzono nowe słowa z pierwiastków romań-

---

[1] Wszelkie pod tym względem granice przeszedł wydany w r. 1825 w Budzie słownik rumuńsko-łacińsko-węgiersko-niemiecki, naciągając gwałtem do pierwiastków łacińskich słowa widocznie pochodzenia polskiego lub wogóle słowiańskiego. Dla oryginalności podaję tu kilka z tych wywodów, które byłyby śmiesznie wstrętnemi, gdyby ich może choć trochę nie uniewinniał cel, w jakim były pisane. Słowo *ceas*=godzina, wyprowadza rzeczony słownik od „caedo, caesum, caesura, quia dies in 24 partes, quasi caesuras est divisa“; *pricina*=przyczyna od „facinus detrita syllaba *fa* et praefixa praepositione *prae,* quia ad hoc ut sit causa debet antefacere sive praeagere“; *drag*=drogi od „diligo converso *l* in *r* et *i* in *a*; *taina*=tajemnica od „taciturnitá, quia secreta sunt tacenda“; *slăbesc*=upadam na siłach od „solvesco, quia cum quis debilitetur et enervetur, vires resolvuntur“; *slugitor*=służący „mutato *e* in *u*, *r* in *l*, *v* in *g* proinde ex dictione *servitor* factum est, nisi velis deducere ab *exlugeo*, cum servi semper lugeant“; *corabie*=okręt „a latino *arca* per metathesin et figuram auctionis, quia producitur syllaba *bie*“. W tym sensie prowadzi wspomniany słownik rzecz swą dalej, tak, że rozsądniejsi Rumuni jednomyślnie go potępili, zauważywszy słusznie, że podobne wywody w oczach całej Europy wyglądają na drwinki z historyi i klasycznej filologii.

skich. Zgadzali się też na to, że gdzie w języku na wyrażenie tej samej rzeczy znachodzą się dwa słowa, jedno czysto rumuńskie, a drugie słowiańskie, wypada trzymać się raczej pierwszego, a porzucić drugie; ale zarazem też wskazywali na grożące niebezpieczeństwo, jeżeli zacznie się zarzucać i zaniedbywać przyjęte i utarte słowa, a tworzyć całkiem niepotrzebnie nowe. Niektórzy sądzili, że nawet gdzie chodzi o nowe słowa, może lepiejby było szukać ich w pierwiastkach słowiańskich, bo te języki są dla Rumuna trudniejsze i mniej zrozumiałe, dlatego łatwiej uniknąć iluzyi i niewystarczających tłumaczeń.

Przewidywane niebezpieczeństwo nadeszło w krótkim niestety czasie, zepsuło język, i dużo było potrzeba, aby go jakkolwiek oczyścić i do dawniejszych form zbliżyć.

Przeciwko tym dwom zboczeniom filologii wystąpił do walki Alessandri. Dowcip, ironię i satyrę wyprowadził on w pole przeciw fałszywym systemom i chłostał tę nieszczęśliwą manię, jak ją nazywał, przedewszystkiem w swym „Dykcyonarzu malowniczym“; a że język jego był czysty i wolny ile możności od neologizmów, dlatego przyczyniał się tem samem do usunięcia drugiego błędu. Pierwszy byłby i tak upadł, drugi byłby długo, a może jeszcze i dzisiaj pozostał. Ale skoro społeczeństwo usłyszało ten dźwięczny a tak czysto rumuński język, skoro spostrzegło, że tak dobrze można go zrozumieć, jak francuski i włoski, i że tak samo, a może jeszcze lepiej myśli swe potrafi wyrazić, jak w francuskim np. lub włoskim, i skoro widziało że przy Alessandrim stoi całe grono nowych i utalentowanych sił, pracujących w tym samym duchu i kierunku, pogodziło się z faktem i zbliżyło więcej do rumuńskiego języka. Ostatecznie, chociaż dzisiaj język książkowy bardzo się różni od języka ludu i z natury rzeczy różnić się musi tam, gdzie chodzi o wyrażenie idei, o których lud nie ma pojęcia, jednak jest to prawdziwie rumuński język, a że nim jest, zawdzięcza w wielkiej części Alessandriemu, który i sam zdrową szedł drogą i na niej innych prowadził nauką i przykładem. W tym względzie tak wiernym został swej zasadzie i swemu przekonaniu, że chociaż był członkiem rumuńskiej Akademii Umiejętności, wystąpił z niej, kiedy

Akademia przyjęła ortografię etymologiczną, grożącą powrotem do dawnego nieporządku i dopiero wtedy pojednał się z tą instytucyą, gdy przyjęto ortografię fonetyczną, której i on w swych dziełach się trzymał.

Jeżeli wielką już jest zasługą Alessandriego to zreformowanie języka, to nie mniejszej wagi jest odrodzenie i rozwój literatury, jakie w pierwszej linii znowu poecie przypisać należy. Na ten rozwój ducha literackiego wpływał on nieustannie pismami swemi, o czem później, ale zarazem i pracą, bezpośrednio ku temu celowi skierowaną.

W pierwszych latach życia Alessandriego zaczęło, jakeśmy wyżej zauważyli, budzić się powoli życie literackie. Powstawały nowe czasopisma, lecz jedne poznosił rząd, drugie upadały same z siebie, bo publiczność jeszcze nie doszła do tego stopnia, aby mogła podobne prace ocenić. Zawiązywały się stowarzyszenia literackie, ale że były źle zorganizowane, że wreszcze ich cele były po większej części utopiami, dlatego też zbyt krótko cieszyły się swym bytem i prędko ustępowały innym, które niezadługo ich los dzieliły. I znowu na jednem i drugiem polu położył Alessandri niemałe zasługi. Jego staraniem i pod jego redakcyą powstało w r. 1855 pierwsze obok *Dacyi* literackie czasopismo o wybitnym charakterze, *Rumunia literacka*, w każdym razie najlepsze z tych, jakie w tych czasach różne prowincye rumuńskie posiadały. Dokoła sztandaru, wywieszonego przez Alessandriego, skupiły się pierwsze siły literackie i naukowe. Zasługi Cogălniceana, Bălcesca, dziejopisarza, i księcia Ghiki, autora różnych dzieł, posiadających i dzisiaj pierwszorzędną wartość, a zawierających (przedewszystkiem w dziele: „Listy do Alessandriego“) prawdziwy skarb, odnoszący się do stosunków socyalnych, politycznych, literackich i historycznych rumuńskich w ostatnim wieku, są niezaprzeczalne. Czasopismo Alessandriego zrobiło dla literatury niesłychanie wiele, a kiedy już obudziło ducha literackiego i podprowadziło go tak daleko, jak żadne pismo przed niem, wtenczas usunęło się z widowni, aby pod inną, bardziej żywotną i bardziej do potrzeb czasu zastosowaną formą do nowej walki wystąpić.

Alessandri zapoznał się w tym czasie i zaprzyjaźnił z profesorem filozofii na uniwersytecie jaskim a później bukareszteńskim, p. Tytusem Maiorescu, dzierżącym dzisiaj berło krytyki w piśmiennictwie rumuńskiem. Powodowani jedną myślą założyli w Jassach Stowarzyszenie literackie *Junimea* („Młodość"), znane także pod nazwą *Direcţia nouă* („Nowy kierunek"). Stowarzyszenie to, skierowane przeciwko prądom dawniejszym, nabrało w krótkim czasie takiego znaczenia, że skupiło w swych szeregach wszystko, cokolwiek Rumunia posiadała wybitnego i nadało literaturze rumuńskiej zupełnie nowy kierunek, dając jej cechę zachodnią i starając się podnieść literaturę do wysokości i wymagań czasu. Po nieudolnych próbach dawniejszych autorów, z którychbyśmy wielu słusznie mogli porównać z klasykami polskimi w czasie upadku literatury, nastąpiła era romantyczna. Miesięczny organ stowarzyszenia *Convorbiri literare* (Pogadanki literackie), założony w r. 1866 w Jassach, następnie do Bukaresztu przeniesiony i tamże jeszcze dzisiaj wychodzący, zamieszczał artykuły z najrozmaitszych pól piśmiennictwa i to artykuły, któreby i poza Rumunią zjednały sobie uznanie. Zgromadzenia sobotnie, na których odczytywano i krytykowano nowe utwory, rozprawiano o bieżących kierunkach literatury zachodniej i o sposobach, jakiemiby się dało wpłynąć dodatnio na piśmiennictwo, utrzymywały stosunki pomiędzy pojedynczymi członkami, łączyły ich, zachęcały nowe talenty, dodawały bodźca do wytrwania na rozpoczętej drodze. Śmiało też można powiedzieć, że wszystko, co dzisiaj posiada Rumunia wybitnego na stanowisku naukowem lub literackiem, należało do „Młodości". Znany chlubnie i za granicą Xenopol, autor sześciotomowej historyi Rumunów, którą mimo różnych braków, cechuje jednak tyle dodatnich stron, że słusznie nazwano go pierwszym nowym historykiem Rumunii; filologowie Cihac i Lambrior, którego profesorowie paryscy z tysiąca innych jako nadzwyczajną siłę i zdolność wyróżnili; archeolog i pierwszy stylista, Odobescu, pisarz popularny, Creanga, któryby zaszczyt przyniósł i najwyżej stojącej literaturze, krytyk Maiorescu, noweliści, jak Gane i Slavici, cała plejada poetów o wielkich zdolnościach poetycz-

nych, między nimi szczególniej Eminescu, którego wielu przenosi nawet nad Alessandriego, Cugler-Poni, nazwana słowikiem Mołdawii, ci i wielu innych bądź należeli do stowarzyszenia, bądź też czuli się zaszczyconymi tem, że organ *Junimii* zechciał drukować ich utwory. Łatwo więc pojąć, jaki wpływ tak silnie zorganizowany oddział na literaturę wywarł. Podniósł on też formę do wymagań dzisiejszego czasu, i położył na tem polu niesłychanie wielkie zasługi.

Pod względem moralnym niejeden zarzut kierunkowi temu postawićby można. *Pogadanki literackie* zamieszczały w swych łamach wiele powieści i nowel o wysoce niemoralnej tendencyi. Opowiadania jak np. „Czerwony pop“ lub „Z życia Świętych“, przedstawiające nam prawosławne duchowieństwo rumuńskie jako morderców, cudzołożników, żyjących po popełnionej zbrodni bezkarnie i w poważaniu, nie mogły wpłynąć zdrowo na tę i tak już bardzo słabą moralną stronę społeczeństwa. Jeden z głównych założycieli, Maiorescu, wygłaszał zasady, jak np. że pierwszym środkiem postępu jest pozbawienie narodu religii i Boga, że Kościół jest nieprzyjacielem ludzkości, więc trzeba go prześladować, że jedyną drogą wiodącą do dobrego wychowania jest szkoła i kara. Żałował on później tych zdań, ale tymczasem istniały one i działały rozkładowo na naród. Dalej nadały *Pogadanki* nowszej literaturze niezdrowy kierunek pesymistyczny w poezyach Cugler-Poni, Weroniki Micle a przedewszystkiem Eminesca, który nawet szkołę pesymistyczną w Rumunii stworzył. I choć pod innemi względami *Pogadanki* trafiły często na opór, na surową i ostrą krytykę, jeżeli czasami zbywano je sarkazmem i ironią, to jednak ten kierunek pesymistyczny z powodów łatwo zrozumiałych przyjął się ogólnie, nawet u największych wrogów stowarzyszenia i jego organu. Czy wychodzi on na korzyść literaturze, nietrudno rozstrzygnąć. Działanie to ujemne było tem bardziej obfite w skutki, że aż po ostatnie lata cieszyły się *Pogadanki* niesłychaną powagą i niesłychanym wpływem. Więc są i złe czynniki w tem dziele Alessandriego i Maioresca, lecz one wypływały, naszem zdaniem, nie tak z ducha instytucyi, jak raczej z nieszczęśliwych warun-

ków, w których Rumunia się znajduje. Kraj, któremu zabrano wiarę, albo przynajmniej w którym obok zachowywania jedynie zewnętrznych form religijnych, kwitnie indyferentyzm i materyalizm, który przejął z zachodniej cywilizacyi prawie wyłącznie to, co ona miała w sobie złego i rozkładowego, nie mógł stworzyć stowarzyszenia o kierunku moralnym w takiem znaczeniu, w jakiem my ten kierunek pojmujemy. Zasługi stowarzyszenia są w każdym razie olbrzymie i za nie należy się uznanie tym, którzy do jego utworzenia pierwsi się przyczynili, a jednym z takich był i Alessandri.

IV.

Przechodząc już do bezpośredniej literackiej działalności Alessandriego, musimy zauważyć, że czytelnik, któryby się zajmował pierwszemi, młodocianemi utworami poety, nie znajdzie w nich żadnego jeszcze określonego kierunku, że nawet w tych utworach nie przebija żaden wybitny talent; ponieważ więc owe pierwsze próby poetycznego polotu nie uwydatniają bynajmniej wizerunku poety, dlatego chcemy o nich pomówić teraz osobno, nie podporządkowując ich pod żaden z owych punktów widzenia, pod które można podciągnąć późniejsze jego dzieła. Z drugiej znów strony nie chcemy ich pominąć milczeniem dla tego, aby całą działalność Alessandriego lepiej scharakteryzować i wskazać na stopniowy rozwój jego talentu.

Mało jest tych dzieł młodocianych; kilka poezyj napisanych w języku francuskim, kilka w rumuńskim, kilka nowel i obrazków — to wszystko. Jeżeli język jest w nich dość piękny, wiersz poprawny, wyobraźnia bogata i udatne opisy przyrody rumuńskiej, to zarazem z wyjątkiem jednego opowiadania, niema w nich żadnej wybitniejszej idei; wyobraźnia zbyt bujna tamuje akcyę, afektacya niezdrowa psuje harmonię a treść stoi często w najzupełniejszej sprzeczności z prawdą i z prawdopodobieństwem.

Weźmy np. jeden z lepszych wierszy tego peryodu *Zunarilla*. „Zunarilla jest dziewczyną rumuńską i branką hana krymskiego. W swym pałacu spoczywa han na skórze tygrysiej, lew

liże jego nogi a branka ma śpiewem serce hana rozerwać. Zunarilla śpiewa o swem nieszczęściu, o swej tęsknocie, o ojczyźnie, o tych których kocha i którzy ją kochają. Wtem nadlatuje gołąb, spada przed Zunarillą, a ona widzi list do skrzydełka jego przywiązany. Zazdrosny han zabija ptaka i topi puginał w piersi dziewicy; podrażniony lew rzuca się na pana, rozdziera go w kawałki a zdala nadbiega młodzieniec na koniu, porywa trupa zabitej i znika z nią na horyzoncie". Trudno w krótkim ustępie zgromadzić więcej niezdrowego uczucia, nieokiełznanej wyobraźni, przesadzonej afektacyi. Tak i jeszcze gorzej przedstawiają się nam i inne wiersze tego peryodu.

Lepiej udały się Alessandriemu małe opowiadania i nowele, choć i im wiele, bardzo wiele zarzucić można! Najważniejszem, choć wcale nie najlepszem opowiadaniem jest nowela „Kwiaciarka z Florencyi", przedstawiająca nam romantyczną przygodę z czasów podróży Alessandriego po Włoszech. Ogłoszona w *Dacyi literackiej* w r. 1840, wywołała ona mimo wszelkich braków zainteresowanie się publiczności rumuńskiej i została nawet przetłumaczoną na język niemiecki p. t. *Das Blumenmädchen von Florenz.* W noweli tej spotykamy się z romantycznemi Włoszkami „o piękności anielskiej", z zazdrosnymi Włochami, którzy z sztyletem w ręku czekają pod oknami narzeczonych, z kościołami, w których o północy wyznaczają się schadzki, z tajemniczemi świątyniami, w których palące się pochodnie „rzucają na ściany słabe błyski, jak westchnienie ostatnie człowieka umierającego", z przyrzeczeniami miłości, wyznanej o północy przed obrazem św. Cecylii (imię bohaterki noweli) i wreszcie w ogólności „z życiem spędzonem w podróżach, rozkoszach i szczęściu" — wziętem naturalnie w znaczeniu bardzo jednostronnem.

Najdoskonalszem może dziełem jego młodości jest obszerniejsze opowiadanie p. t. „Historya dukata i grosza". Myśl wprawdzie nie jest oryginalna, ale opowiadanie zawiera w sobie wiele pięknych scen. Ów dukat, opowiadający groszowi swoją historyę, gdzie, jak i u kogo bywał, na co się patrzył, co słyszał, daje Alessandriemu okazyę do poruszenia najbardziej żywotnych kwestyi swego czasu. Krytykuje on też ostro ludzi i sprawy owej

chwili, drwi sobie z śmiesznych obyczajów i jest biczem dla złych urzędników i sędziów, których atakuje w najsłabszych ich stronach, śmiało wykrywa ich błędy i stawia pod pręgierzem opinii. W dalszym ciągu opłakuje smutny los ujarzmionych cyganów, których dzieje w latach Alessandriego były najwierniejszem powtórzeniem niewolnictwa rzymskiego, i stara się obudzić w sercach swych ziomków litość dla nich — lecz już bez litości chłoszcze Żydów, których zawsze nienawidził. Lekka forma dyalogu pozwoliła mu opowiadanie uczynić dość przyjemnem, a ironiczne lecz zarazem nader delikatne przedstawienie rzeczy, przeplatane romantycznemi przygodami, spodobało się ogólnie i wywarło dobre wrażenie.

To są najgłówniejsse utwory Alessandriego z pierwszego peryodu jego działalności. Słabe jeszcze i niewybitne, lecz jednak nie bez wielkiego znaczenia dla literatury rumuńskiej, zaledwie się dźwigającej. Stąd też chcąc je dobrze ocenić, nie można patrzeć na nie bezwzględnie, lecz trzeba koniecznie w rachubę wciągnąć czas ich powstania i warunki, w jakich były pisane.

(Dok. nast.).

Wiktor Wiecki.

SYNDYKATY CZYLI STOWARZYSZENIA ROLNICZE
WE FRANCYI.

(Dokończenie).

IV.

Rozstrzygający moment dla przychodu z gospodarstwa, moment, od którego w znacznej mierze zawisła dola i niedola rolnika, leży — *abstractis abstrahendis* — w cenach, jakie za płody otrzymuje. Jak długo rolnik produkował tylko dla miejscowego lub też krajowego targu i wskutek rozwoju gospodarstwa narodowego znajdował zawsze chętnych odbiorców, tak długo nie potrzebował się troszczyć ani o zbyt swoich płodów, ani o jego regulacyę. Sam mógł wyżyć i nic mu to nie szkodziło, że i inni przy jego pracy się pożywili.

Ale ten stan rzeczy zmienił się, gdy targ stał się światowym, a wskutek potanienia przewozu zjawiły się na nim płody ziem dziewiczych i krajów mało rozwiniętych — zatem tak tanie, że zachodnio- i środkowo-europejski rolnik — o niego bowiem tylko nam tu chodzi — nie znajdywał przy tych cenach pokrycia własnych kosztów i ciężarów ani odpowiedniego utrzymania.

Na dobitek, w miejsce kupca-pośrednika występował coraz bardziej kupiec-spekulant, który wsparty na organizacyi handlu i kredytu i z pomocą giełdy — rzeczy rolnikowi nieznanych i niezrozumiałych — dawał mu coraz przykrzej odczuwać swoją przewagę, lub wprost go wyzyskiwał.

Gdy pomoc państwowa nadaremnie była wzywaną, lub się okazywała bezskuteczną, pozostała rolnikom tylko jedna droga obrony swego bytu, tj. pomoc własna, skupienie się pod hasłem: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“. Taki obrót rzeczy wywołał oczywiście walkę rolników z pośrednikami handlowymi, po których stronie stanęły, choćby tylko sympatyami swemi, stan kupiecki i przemysłowy.

Śledząc ten bieg rzeczy we Francyi, zwrócimy uwagę najpierw na organizacyę zbytu poszczególnych produktów rolniczych, następnie zaś na próby objęcia nią powszechności tychże.

Palma pierwszeństwa na tem polu zdaje się przynależeć syndykatom winogrodniczym. Cierpiały one najwidoczniej wobec wyzysku, nierzetelnej konkurencyi, przywozu win zagranicznych, fałszowania win i t. d., poczęły więc organizować targi win, gdzieby się producent z hurtownikiem lub spożywcą wprost mógł zejść; ale kupcy wcale nie mieli ochoty przybyć na te targi i stanąć wobec większej liczby zgromadzonych producentów; spożywcy sami zaś nie przywykli chadzać na większe targi i tak owe winne targi niewielki przyniosły pożytek.

Lepiej już wiodło się z urządzeniem biur sprzedaży wina, które dawały kupującemu dość pewną gwarancyę, zwłaszcza naturalności wina, opatrując je swoją marką. Niektóre biura posiadają też osobnego agenta, który rozwozi próbki i wyszukuje odbiorców. Najznaczniejsze z tych biur we Fleurie (dep. Rhône) zastępuje 4 syndykaty, liczące około 6.000 winogrodników i prowadzi znaczne interesa.

Jeszcze więcej zbliżają się do celu związki i stowarzyszenia, umyślnie dla sprzedaży wina założone. Z natury rzeczy rozszerzają one swą działalność na kontrolę fabrykacyi i jakości, urządzają wystawy, składy, reklamę i ogłoszenia, pośredniczą w zbieraniu i wyszukiwaniu zamówień i t. d.; wysyłką wina zajmuje się każdy na swoją rękę, poręczając rzetelność wina pod karą wykluczenia. Między kilkunastu takiemi stowarzyszeniami zasługuje na uwagę syndykat winogrodników w obu dep. Charentes: wydział delegowanych bada tam wina, starając się oznaczyć ich wartość, a w razie niemożności zbytu za odpowiednie

ceny, poleca pewną część win przepalić na wódkę. Obok niego znajduje się spółka sprzedawcza dla win. W podobny sposób zajmują się ułatwieniem sprzedaży wina liczne syndykaty, starając się przedewszystkiem o wyszukanie większych odbiorców, np. spółek spożywczych, zarządów pensyonatów, internatów i t. p.

Trudność tu polega na tem, że gospodarze sprzedają wina naturalne, które według zbioru, fabrykacyi, odleżenia i pielęgnacyi w piwnicach mają zawsze zmienny smak. Tymczasem kupcy winni umieją przez odpowiednie, sztuczne obchodzenie się z winem nadać mu znaczne wyrównanie i ciągłość typu, t. zw. „markę", do której się publiczność przyzwyczaja i zawsze jej żąda. Dlatego też myślą syndykaty o urządzeniu wspólnej fabrykacyi i wspólnych piwnic na wino, przez coby mogli, tak jak i kupcy, spożywcom wygodzić.

Co się tyczy s p r z e d a ż y z b o ż a, zwłaszcza chlebnego, to oprócz zwykłych trudności przyłącza się tu jeszcze nadzwyczajna zawisłość od powszechnego światowego handlu zbożowego, zwłaszcza od giełd zbożowych, wobec których pojedyncze usiłowania są za wątłe. I tu jednak działalność syndykatów nie była bezpożyteczną, gdyż pod ich wpływem gospodarze więcej gromadnie na targ zboże swoje w odpowiednim czasie przynoszą i prędzej hurtowniejszy odbyt znajdują. Ze względu na trudności tego handlu we formie syndykatów, oddano go z czasem w ręce samoistnych spółek handlowych, o czem poniżej.

Tymczasem udało się syndykatowi w Anjou rozwiązać dość pomyślnie trudny a bardzo ważny problem zastawu (warrantowania) zboża bez zmiany miejsca. Ponieważ bowiem używanie publicznych składów oprócz znacznych opłat, także i dla kosztów przewozu za drogo wypadało, postanowiono zboże w spichrzu u posiadacza zostawić. Zarząd syndykatu przez lokalną komisyę dowiaduje się o stanie zboża i spichlerza i po przedstawieniu policy ubezpieczenia wypłaca do $^3/_4$ szacunkowej wartości zboża podług dziennego kursu za 3-miesięcznym wekslem, który może być raz prolongowany. Posiadacz zboża zobowiązuje się należycie czuwać nad niem, nie wywozić go bez zezwolenia syndykatu, oraz przy sprzedaży posługiwać się jego pośrednictwem; od

tego ostatniego warunku może być jednak uwolniony. Koszta wynoszą (łącznie z eskontem i t. d.) 15 centymów od 1 q. zboża (za 3 mies.), podczas gdy w publicznych składach wszystko razem wypada 5 do 6 razy więcej! Celem przysporzenia sobie potrzebnych funduszów otworzył sobie syndykat w banku kredyt do wysokości 100.000 fr., na podstawie solidarnej poręki 10.000 fr., subskrybowanej przez kilku członków biura. Kredyt ten dostępny jest wszystkim członkom syndykatów, należących do Związku Zachodniego. W ciągu 3 tygodni po rozpoczęciu (1895 w jesieni) już 20.000 fr. w ten sposób podjęto. Syndykaty w Orleanie i w Reims wyjednały dla swoich członków pewne zniżki w składach publicznych, lecz bez większego rezultatu.

Lepiej za to wiedzie się sprzedaż innych produktów rolnych, zwłaszcza takich, które mogą między innymi gospodarzami znaleźć odbiorców, jako to: ziarn i roślin pastewnych, nasion, szczepków, ściółki i t. d. Przytem strzegą syndykaty pilnie jakości produktu i umieją lepszą cenę niż na lokalnym targu uzyskać. Nadto zasługuje na uwagę okoliczność, że w ten sposób wyrównują się nadmiary i niedobory zbiorów o wiele lepiej i korzystniej dla obu stron, niż za pomocą ślepego handlu pośredniczącego.

Szczególnie ciekawie ułożyły się stosunki przy burakach cukrowych. Stara sprzeczność interesów fabrykantów a uprawiaczy buraków, trudności znalezienia i należytego przestrzegania sprawiedliwej podstawy przy odbiorze buraków doprowadziły do potworzenia się licznych syndykatów buraczanych, aby wspólnie ceny i normy na drodze umowy z fabryką oznaczyć i ich przestrzegania dopilnować. Buraki, w ten sposób sprzedawane, dochodzą w niektórych syndykatach wartości 200.000 fr. W razie niemożności wzajemnego porozumienia się, bywa, iż syndykaty zawieszają uprawę buraków. Równocześnie zaczynają one zajmować się gorliwie polepszeniem uprawy.

Niemniejszej wagi są usiłowania, mające na celu sprzedaż zwierząt i produktów zwierzęcych gospodarstwa wiejskiego. Podejmują je zwłaszcza stowarzyszenia hodowlane co do zwierząt do chowu, a syndykaty co do zwierząt rzeźnych i opa-

sowych w roli bezinteresownych pośredników, choć nie brak już i sprzedaży na wspólny rachunek. — Liczne są też próby urządzenia po większych miastach spółkowych rzeźni, w których zysku mieliby przyznany udział i zakupujący. Na razie nie wiodą się pomyślnie, gdyż brak odpowiednich wiadomości i doświadczeń w zarządzie i sumienności w personalu; nadto służące i kucharki, miewające uboczne zyski przy kupnie mięsa w prywatnych jatkach, tracą je w spółkowych, i ulegając namowom rzeźników, nie wahają się psuć lub przemieniać mięsa ze spółki, aby gospodynią od niej odstręczyć. Tylko średnie warstwy, gdzie gospodyni sama chodzi po mięso, umieją ocenić korzyści spółek rzeźnych i stanowią wierną klientelę. Chociaż jednak spółki nie zdołały zdobyć targu i uzyskać dla gospodarzy lepszych cen za żywą wagę, oddają one czasem, nawet gdy są w stadyum przygotowań, znaczną usługę spożywcom, zapobiegając podniesieniu cen i rozbijając ryngi rzeźników.

Wreszcie nadarza się syndykatom pomyślna sposobność do dostawy bydła lub mięsa do powstających tu i ówdzie rzeźni pułkowych (wojskowych), jak np. w Toul i Verdun.

Że maślarnie i serkarnie na spółkowy rachunek swoje wyroby sprzedają, jest rzeczą naturalną; powyżej widzieliśmy również, że się między sobą co do regulacyi odbytu i cen porozumiewają i wiążą. Ale także i inne syndykaty pośredniczą swoim członkom w sprzedaży masła domowego i stołowego i pomniejszych gatunków serów, zwłaszcza w przesyłkach pocztowych, co z czasem doprowadzi do założenia spółek mleczarskich.

Nie brak też i prób spółek w celu zaopatrywania miast w świeże mleko, a nawet proponują dowóz zamrożonego mleka, coby i dla dalej położonych gospodarstw miało znaczenie.

Pierwsze próby skupienia podaży w e ł n y poczyniono za pobudką — rzecz dziwna — agentów przysiężnych w Reims i w Paryżu, łącząc z tem warrantowanie wełny. Pomimo powolnych postępów kwapią się syndykaty do urządzenia targów wełniarskich i sprzedaży wspólnej hurtownej.

I kwitnące francuskie s a d o w n i c t w o nie uchyliło się

od ogólnego prądu. Syndykaty, popierając rozszerzenie i ulepszenie gospodarstwa sadowego, zorganizowały też zbyt owoców, zwłaszcza zaś wina owocowego; tak np. jabłecznik — zwany też cydrem — rozchodzi się daleko po szerokim świecie, do Afryki, Antyl, Chin, Japonii, Tonkinu i t. d., gdyż syndykaty, ulepszając jego fabrykacyę, nadały mu więcej trwałości oraz wystarały się dlań o zniżki taryfowe.

Usiłowania na tem polu wspiera i skupia syndykat pomologiczny w Rennes, ogarniający 45 departamentów.

Jeszcze większe postępy robi organizacya zbytu w ogrodownictwie i jarzynnictwie za pomocą kilkudziesięciu umyślnych syndykatów i spółek. Wymienimy tu tylko syndykat w Romorantin (dep. Loir-et-Cher), który podczas sezonu wysyła codziennie do Paryża szparagi i inną pierwszyznę — rocznie za około 20.000 fr. Syndykat ogrodników w Nantes wysyła na wszystkie strony wszelakie owoce i jarzyny w wartości rocznej do 150.000 fr., płacąc swoim członkom nieraz o 10% wyżej ceny miejscowej, nie licząc udziału w zyskach. Zwłaszcza dużo wysyła pospiesznemi parowcami do Londynu i innych targów angielskich; ma również dostawę jarzyn dla Compagnie Transatlantique. Pod wpływem towarzystwa rolniczego w St. Florentin (dep. Jonne) rozwinęła się uprawa szparagów, wysyłanych wspólnie do Paryża, uprawa prowadzona na piaskach, dotychczas ledwie nędzne żyto rodzących.

Trudno tu wszelkie tego rodzaju usiłowania przedstawiać; dodamy więc tylko pokrótce, że syndykaty lasowe próbują przełamać ryngi handlarzy drzewa; kilka innych zajmuje się pszczelnictwem i jedwabnictwem, bacząc w pierwszej linii na zbyt tegoż produktów. W Dijon pracuje syndykat chmielarski; z Milly wywozi syndykat uprawiaczy — do 200.000 kg. roślin aptekarskich za granicę w wartości 120.000 fr. rocznie.

Wreszcie cytryny, cykorya, trufle, nasiona buraczane, tytoń, cebulki kwiatowe i t. d. i t. d. stanowią przedmiot uwagi i zbytu wielu osobnych syndykatów.

W ogóle zauważyć możemy, że co się tyczy zbytu pro-

duktów specyalnych, zależących wiele od jakości, stanowiących do pewnego stopnia naturalny lub faktyczny monopol pewnych okolic, syndykaty odniosły zwycięstwo nad prywatnym handlem, górując nad nim rzetelną dostawą produktów, (których tenże skąd inąd nie mógł tak łatwo dostawić) i mogąc przeto swoim członkom lepsze płacić ceny.

Jednak syndykat okazał się z rozwojem czynności handlowych za ciężką a mało sprężystą maszyną i budził zbyt wiele złej krwi u kupców i handlarzy. Zaczęto więc tworzyć osobne spółki handlowe, poruczając im tak potrzebne zakupna jak i sprzedaże, a syndykaty, którym się przez to ulżyło, jęły się dalszej innej pracy gospodarczej lub społecznej.

Spółki te mają, jak to wyżej widzieliśmy, organizacyę akcyjną, czysto handlową, za cel zaś: 1) zakupno wszystkiego, czego członkom potrzeba, 2) sprzedaż wszystkich produktów gospodarstwa wiejskiego, 3) umożliwienie bezpośrednich stosunków między wytwórcą i spożywcą, aby zysk pobierany dotąd przez kupca-pośrednika, obustronnie rozdzielić.

Korzyści spółek są następujące:

1) Usunięcie pośrednika pasożytującego na szkodę obu stron.

2) Usunięcie, a przynajmniej silne ograniczenie spekulacyi, fałszującej kursy i ceny.

3) Zysk znaczny i odpowiadający rzeczywiście położeniu ekonomicznemu wytwórcy.

4) Tanie lub tańsze zaopatrzenie potrzeb spożywcy lepszym produktem.

Jak pod wieloma względami, tak i tu przodem poszedł syndykat w Charente Inférieure, który usilnie pracował nad podniesieniem stanu gospodarstwa bardzo pognębionego filokserą, (czego miarą może być spowodowany przez to spadek cen gruntu z 10.000 fr. na 500 fr. za hektar).

W jesieni 1888 r. założył Artur Rostand obok syndykatu spółkę akcyjną w La Rochelle o kapitale 200.000 fr. w akcyach po 50 fr. Członkowie płacą wkładki 5 centymów tygodniowo (2.60 fr. na rok), ale spółka także i obcym sprzedaje. W przeciągu 5 lat podniósł się kapitał zakładowy do 600.000 fr. a obrót

do 2 mil. fr. rocznie. Spółka ma 33 składów filialnych i 7 składów nawozów, przez co na razie koszta zarządu aż do 12% obrotu się podniosły (personal liczy 170 osób). Między stałymi odbiorcami liczy spółka 80 kramarzy. Ceny w handlu zniżyły się przeciętnie o 15%; np. w towarach korzennych 5%, łokciowych 20%, a w żelaziwach 100%! — W r. 1895 rozszerzyła spółka działalność swą na cały związek południowo-zachodni. Jak dotąd, główna czynność spółki odnosi się do nabytu środków gospodarczych, spożywczych i używczych, odbyt zaś jeszcze za mało jest rozwinięty.

Za tym przykładem poszły inne syndykaty, zakładając spółki handlowe z mniejszym lub większym kapitałem, o rozmaitych nazwach, jak np. spółka spółdzielcza wytwórczo-spożywcza, spółka spółdzielcza rolnicza *(Coopérative agricole)* i t. d.

Tak np. spółka w Montpellier, o 100.000 fr. kapitału, ma do 3 mil. fr. rocznego obrotu (zakupna). Spółka w Clermont-Ferrand (Puy-de-Dôme) ma mniejszy kapitał i mniejszy obrót, ale sprzedaje znaczne ilości bydła, ziemniaków, paszy, słomy, drzewa, sera... dostarczając również gospodarzom surowców w zamian za zboże, które miele w swoim młynie i jako mąkę sprzedaje. Z Lot-et-Garonne wysyła spółka w Agen (założona 1892 r.) większe partye płodów gospodarskich do Paryża, pośrednicząc tylko w znalezieniu odbiorców i w załatwieniu przewozu. Do Anglii zaś wysyła za 30.000 fr. cebul rocznie. — W r. 1895 założył związek środkowy w Orléanie spółkę z kapitałem 10.000 fr., która podjęła natychmiast dostawę zbóż strączkowych dla intendantury (za 45.000 fr.) i ziemniaków dla *Assistance publique* (wsparcie ubogich) w Paryżu (za 70.000 fr.), jakoteż rozpoczęła drobną sprzedaż. — Podobnie urządziły syndykaty normandzkie w 1895 r. w Caen spółkę o zaledwie 8.000 fr. kapitału. Niema tam żadnych składów ani personalu, wszystkie urzędy są honorowe; sprzedaż odbywa się za gotówkę a do pomocy przybywają wiejskie spółki spożywcze; oprócz znacznych sprzedaży serów i maseł, sam wywóz bydła doszedł w 1. roku wartości 82.000 fr.

Wielki związek południowo-wschodni w Lyonie założył

w 1893 r. spółkę o kapitale 64.000 fr., która dostarcza związkowym syndykatom wszelkich towarów. Tam istnieje również „Unia producentów i konsumentów“, która pomimo nieznacznego kapitału 25.000 fr. urządziła 2 wielkie składy towarów i artykułów spożywczych i 4 jatki mięsne; te zakupują bydło wprost od rolników, płacąc znacznie wyższe ceny i przyznając im udział w zyskach, które na końcu roku rozdzielane bywają po połowie między producentów tj. członków syndykatów związkowych i miejskich odbiorców, w stosunku poczynionych sprzedaży i zakupów. Założyciele bowiem zrzekli się zysków a zarząd jest honorowy, „ze względu na wzniosły społeczny i ekonomiczny cel, usunięcia licznych i szkodliwych pośredników“. W r. 1893 rzeźnie zakupiły za 400.000 fr. bydła, udzielając nadto $2^1/_2\%$ tejże sumy jako udział w zysku.

Kongres syndykatów w Angers 1895 r. polecił zakładanie takich spółek przy związkach prowincyonalnych, w celu ułatwienia sprzedaży poszczególnych płodów.

Takich regularnych spółek handlowych (rolniczych) z końcem 1897 r. było 30 i kilka, ogarniających znaczną część syndykatów rolniczych.

Niektóre syndykaty poprzestają na razie na urządzeniu biur sprzedaży lub agentur, które również znaczne usługi oddają.

Najdawniejszym jest syndykat centralny rolników francuskich w Paryżu (zał. 1886), który za pomocą trzech biur: dla bydła, nasion i innych ziemiopłodów, pośredniczy w zbliżeniu kupców i syndykatów, jakby makler bezpłatny. Przytem w swoim półmiesięczniku ogłasza ceny, normy i wiadomości handlowe, działając jako regulator cen. Zniżka w cenie przy zakupnach wynosi 12—15% czasem i 30%. Koszta administracyi wynoszą 2%. Obroty w 6 pierwszych latach wyniosły razem 25 mil. fr.

Przykład ten znalazł liczne naśladownictwo w Marsylii, Lyonie, Villefranche, Tarbes i t. d.

Do tego samego celu służą syndykatom ulubione we Francyi jeneralne i specyalne wystawy i konkursy, między któremi prym trzyma doroczny *Concours général agricole* w Paryżu. Również organizują one roczne wystawy specyalnych produktów go-

spodarstwa wiejskiego, np. win, maseł, serów, bydła i t. d., które przyczyniają się do zbliżenia producentów i grosistów lub spożywców, stanowiąc zarazem znakomitą reklamę.

Ponieważ jednak drobna rozsprzedaż spotyka wiele trudności, przeto od dłuższego czasu zwracają się usiłowania syndykatów i spółek do sprzedaży hurtownej *(en gros)*. Przedewszystkiem chodzi tu o pozyskanie dostaw dla wojska i dla marynarki oraz innych zarządów państwowych, coby było z obustronną połączone korzyścią. Trudność polega na tem, że owe zarządy wymagają znacznych ilości naraz, i to często obcego typu produktów; niemniej przykrą jest formalistyka biurokratyczna, jak np. w Méaux, gdzie intendantura zażądała od stającego do dostawy syndykatu notaryalnego aktu założenia i wyciągu handlowego 850 członków!

Mimo to próby podejmowano dość liczne z obustronnem zadowoleniem, gdy wtem w r. 1890, rada państwowa oświadczyła się na zapytanie ministra wojny przeciw temu do czasu, aż publiczny i handlowo-prawny charakter syndykatów ustawą zostanie określony. Ponieważ protesty rolników były bezskuteczne, więc spółki wzięły sprawę w swoje ręce, a nadto i własny interes spowodował ministra wojny do wydania rozporządzenia z 23 października 1895, upraszczającego znacznie warunki dostawowe dla mniejszych garnizonów.

Podobnie podejmują się spółki zaopatrywania rozmaitych większych gospodarstw i instytucyj, jak np. hotelów, restauracyj, pensyonatów, internatów i t. d. z coraz lepszym skutkiem.

Lecz najciekawszy jest prąd zmierzający do wzajemnego porozumienia między syndykatami a spółkami spożywczemi miejskiemi, aby te ostatnie zaopatrywały się u syndykatów i spółek rolniczych w to wszystko, czego u nich dostać mogą.

Znaczenie tego zrozumieć łatwo, gdy zważymy, że we Francyi istnieje do 700 spółek spożywczych, o liczbie przeszło 400.000 członków, nie licząc mnogich piekarń spółkowych, o których już wyżej była mowa.

Chęci po obu stronach są jak najlepsze; jeszcze w r. 1893 oświadczyły się za tem spółki spożywcze na zjeździe w Grenoble

i wysadziły komisyę specyalną, do której zaproszono celem przestudyowania tej kwestyi i przedstawicieli syndykatów. Zjazd syndykatów w Lyonie (1894) poparł usilnie tę myśl, polecając jej wykonanie za pomocą spółek handlowych regionalnych. Zawadą na tej drodze jest dotychczas okoliczność, iż syndykaty dostarczają produktów za mało wyrównanych i nie umieją się tak zgrabnie przystosować do smaku kupującej publiczności, jak kupcy. Atoli z rozwojem handlowej działalności i z nabyciem potrzebnego w tej mierze doświadczenia, jakoteż z ujednostajnieniem produkcyi, zwłaszcza za pomocą spółek wytwórczych, zbliżenie się do stowarzyszeń spożywczych staje się coraz łatwiejsze.

Sojusznik tego prądu powstał w międzynarodowym kongresie kooperacyjnym w Londynie r. 1895, który wybrał komisyę dla ułatwienia bezpośrednich stosunków między stowarzyszeniami spożywczemi i spółkami wytwórczemi wszystkich krajów.

Ruch ten ma przed sobą wielką przyszłość i sprowadzi prawdopodobnie wielkie zmiany w dotychczasowym ustroju społecznym, popychając do obustronnego zorganizowania się wytwórców i spożywców celem świadomego i na wzajemnem porozumiewaniu się opartego regulowania produkcyi narodowej, a kiedyś może i światowej.

V.

Przejdźmy teraz do kredytu.

Podczas gdy w innych krajach jak np. w Niemczech, Włoszech, po części i w Austryi, organizacya kredytu wiejskiego wyprzedziła skupianie się rolników w celach handlowych i wytwórczych, we Francyi przeciwnie, najpierw rozwinęła się ta ostatnia strona spółdzielczości gospodarczej, zostawiając wielkie pole kredytu wiejskiego zupełnym odłogiem. Dopiero znacznie później spostrzeżono się, że gospodarstwo powszechne znajduje się obecnie pod znakiem kredytu i ustępując nieubłaganemu prądowi i potrzebom chwili, wzięto się z całą usilnością do odzyskania straconego czasu.

Rozchodzi się tu tylko o kredyt rolniczy w ścisłem tego

słowa znaczeniu, tj. osobisty kredyt gospodarski (i melioracyjny), mający na celu podniesienie przychodu z gospodarstwa przez dostarczenie środków potrzebnych do podsycenia lub wyzyskania zdolności produkcyjnej tak podmiotu jak i przedmiotu gospodarstwa, tj. rolnika i roli. Kredyt zaś hipoteczny, który gospodarzowi oddaje w posiadanie ów wielki warsztat produkcyi (tak przy długach z kupna jak i ze spłacenia współspadkobierców) tutaj zupełnie pomijamy.

Z przyczyn opóźnienia rozwoju kredytu wiejskiego we Francyi, wymienimy tu tylko ważniejsze.

Już wyżej wspomnieliśmy, że wieśniak francuski z powodu zamiłowania i zwyczaju gospodarowania własnym tylko kapitałem, nie miał ochoty korzystać z kredytu, zwłaszcza iż wskutek pomyślnego przedtem położenia rolnictwa w związku z rozwojem gospodarstwa społecznego, żadnego w tej mierze zapotrzebowania nie odczuwał. — Ale ciężej jeszcze zaważył w tej sprawie wpływ centralizacyi politycznej, ekonomicznej, która od dwóch wieków krępowała i tłumiła ducha niepodległości, samodzielności i przedsiębiorczości obywatelskiej, odnosząc wszystko do rządu, który też istotnie uważał się za wyłącznie powołanego do wszelkiej inicyatywy. I tak, założył rząd w 1866 centralne Towarzystwo kredytu rolniczego w Paryżu, które pokryło cały kraj siecią swoich filij, mając głównie eskontować weksle rolnicze. Oczywiście nie mogło ono przeniknąć na wieś, nie mając i nie mogąc mieć dokładnej znajomości osób i sytuacyi gospodarczej, co jest jedyną podstawą tych interesów. Mimo moralnego i finansowego poparcia ze strony rządu, runęło ono już w 1876 i przy częściowej likwidacyi, wcielone zostało do *Crédit foncier* (1880).

Podobny los spotkał inne centralistyczne urządzenia: *Crédit au Travail* 1863, *Caisse d'Escompte* 1865, *Caisse centrale d'Épargne et du Travail* 1881, przez co wytworzyło się swobodne pole dla inicyatywy osobistej.

Wprawdzie Bank Francuski zeskontował od r. 1867 w przeciągu 10 lat w dep. Nièvre za około 140 mil. fr. weksli rolni-

czych, pochodzących z interesów bydłem opasowem, ale były to: *rari nantes in gurgite vasto.*

W r. 1878 powstał w Angers bank ludowy, oparty na solidarności, który dawał podpisy na weksle dla członków, eskontowane później w Banku francuskim. Rolnicy byli zorganizowani w małe grupy miejscowe, których opinia była miarodajną przy udzielaniu pożyczek. W 1883 r. powstał bank ludowy w Mentonie.

Atoli pierwszem właściwie rolniczem stowarzyszeniem kredytowem był założony przez Milcenta w Poligny r. 1885 *Crédit mutuel*, oparty o tamtejszy syndykat gospodarczy, a stosujący się do przepisów ustawy o spółkach z r. 1867.

Założyciele, którzy nie mogą żądać pożyczki, podpisali 40 akcyj 5-procentowych po 500 fr., których część zaraz wpłacono. Zwykli zaś spólnicy, otrzymujący pożyczki, subskrybują udziały po 50 fr., z których przynajmniej 12·50 fr. musi być wpłaconych, aby spólnik mógł uzyskać pożyczkę. Wysokość tejże ograniczoną jest do 600 fr. (średnia cena pary wołów), aby była użyta na zakupno bydła, maszyn i narzędzi, nawozów, nasion i t. d., a nie gruntu. Dlatego też musi cel pożyczki być dokładnie podany i w razie nieodpowiedniego użycia może się jej zwrotu natychmiastowego zażądać. O osobie dłużnika i jego położeniu gospodarczem wywiaduje się zarząd za pośrednictwem biura sekcyi kantonalnej syndykatu. Pożyczkę wydaje się na weksel 3-miesięczny, według potrzeby prolongowany. Odsetki zniżono z początkowych 5% na 4, potem na $3\frac{1}{2}$%, aby kredyt jak najbardziej potaniał. W razie wyczerpania własnego kapitału reeskontuje spółka swój portfel w Banku Francyi.

Z zysków odkłada się 5% na zwyczajny fundusz rezerwowy; akcyonaryusze otrzymują tylko 3%, spólnicy 5%, gdyby miała nadwyżka wypaść, przenosi się ją na nadzwyczajną rezerwę. Zarząd składa się z wybranych przez walne zgromadzenie akcyonaryuszów, oprócz tego istnieją komisarze rewizyjni. Spółka przyjmuje też wkładki oszczędności, nie może zaś prowadzić żadnych interesów spekulacyjnych.

W przeciągu 8 lat udzielono 700.000 fr. pożyczek, przy-

czem nie poniesiono żadnej straty. Ponieważ subskrypcya udziału była dla niektórych gospodarzy za ciężkim warunkiem, zorganizowano z czasem małe spółki lokalne, oparte na wzajemnej nieograniczonej poręce (zbliżone do systemu Raiffeisena), pośredniczące między główną spółką a poszczególnymi gospodarzami. Dodać należy, że tak akcye, jak i udziały są imienne, że przeto spółka składa się zawsze z osób dobrze sobie znanych.

Przykład ten dowiódł naocznie, że solidarność może się przyjąć we Francyi, i zachęcił do pracy.

Z inicyatywy Kapucyna, O. Ludwika de Besse, do której przyłączyli się Eugeniusz Rostand, dyrektor marsylijskiej kasy oszczędności, Rayneri, kierownik banku ludowego w Mentonie, i Benoit-Lévy, Żyd, adwokat paryski, powstał *Centre fédératif du crédit populaire en France*, związek celem rozszerzania kredytu za pomocą banków ludowych, zbliżonych do systemu Schulze-Delitzsch.

Związek ten urządza od roku 1889 corocznie w innej prowincyonalnej stolicy francuskiej kongres kredytu ludowego, zjednał sobie silne poparcie hr. Chambrun, znanego założyciela Muzeum Społecznego w Paryżu, studyuje obce urządzenia, zwłaszcza włoskie i niemieckie, i wydaje od r. 1893 *Bulletin du crédit populaire*. Usiłowania jego zdołały wreszcie wytworzyć „zasadniczą jasność w głowach“ i wzbudzić do życia liczne organizacye kredytowe.

Rok 1894 może być z wielu względów uważany za przełomowy w sprawie wiejskiego kredytu we Francyi.

Centre fédératif nie troszczył się o kwestye polityczne i religijne; dopiero na kongresie w Tuluzie w r. 1893 nastąpił w łonie jego rozłam; adwokat lyoński, Durand, rozpoczął na własną rękę urządzać kasy wiejskie i robotnicze, wzorowane na Raiffeisenowskim systemie nieograniczonej solidarnej poręki, ale z charakterem wybitnie katolickim. Właśnie w r. 1894 połączyły się te kasy w Lyonie w związek, który w r. 1896 liczył 460 kas; między niemi, według nadesłanych sprawozdań, 209 z 5.479 członkami i 1,466.711 fr. obrotu. Pożyczki, udzielane na 4%, doszły wysokości 500.166 fr.

Tegoż samego roku zwróciły syndykaty rolnicze, na swoim I. zjeździe narodowym w Lyonie, uwagę na brak organizacyi kredytu wiejskiego i wzięły się gorliwie do dzieła. Dotychczasowe ich usiłowania w tym kierunku były dotąd zbyt odosobnione. Polegały one głównie na pośredniczeniu w eskontowaniu weksli i udzielaniu zwłoki w płaceniu za nabyte towary, oraz w próbach warrantowania produktów. Tak np. udzielał syndykat w Die ze swego funduszu rezerwowego członkom małych pożyczek 4-procentowych do 50 fr. przy zakupnie towarów. W syndykacie Deux-Sèvres polecił prezes Poinsignon na własne ryzyko otworzyć w banku dla członków syndykatu (a było ich 2800) kredyt do wysokości 50 fr. na głowę, bez weksli lub poręczenia, na 3—6-miesięczny termin i 6%, również przy zakupnie nawozów. Skorzystano z tego kredytu do wysokości 60.000 fr. i spłacano bez zarzutu. Oczywiście jednak nie mógł taki wielkoduszny przykład znaleźć wielu naśladowców.

Gdy po wielkiej posusze w r. 1893 rząd rozdał 5 mil. fr. jako zapomogi, obróciło wiele syndykatów i towarzystw rolniczych otrzymane subwencye na założenie spółek kredytowych. Tak powstała np. spółka w Coulommiers z kapitałem 36.500 fr., z których 6.000 fr. pochodziło z zapomogi, resztę zaś subskrybowali założyciele w 500-frankowych akcyach. Spólnicy muszą posiadać udziały po 50 fr.; dywidenda ograniczona jest na 3%, odsetki od pożyczek na 4%. Podobnych stowarzyszeń powstało w r. 1894 kilkanaście.

W dep. Somme utworzyło się dla członków towarzystwa i syndykatów gospodarskich stowarzyszenie kredytowe z kapitałem początkowym 55.000 fr.; w tem było 48.000 fr. zapomogi dla ofiar posuchy, resztę zaś zebrano udziałami po 20 fr. lub wkładkami rocznemi po 2 fr., gdyż trwanie stowarzyszenia oznaczono na 10 lat. Udziały nie przynoszą odsetek, poręka ogranicza się na subskrybowane kwoty; pożyczki na weksle i tylko dla celów gospodarskich; zysk w $^3/_4$ do funduszu rezerwowego, reszta do obrotowego. Ta rozmaitość organizacyi tłumaczy się brakiem odpowiedniego ustawodawstwa. Ustawa z 24 lipca 1867, uzupełniona dodatkiem z 1 sierpnia 1893 uwzględniała tylko

stosunki handlowe i przemysłowe, wymagając mnóstwa formalności, np. notaryalnego uwierzytelnienia aktu założenia i t. d., które wieśniakom bardzo były nie na rękę.

Otóż właśnie w 1894 r. zaradzono temu przez wydanie ustawy o rolniczych spółkach kredytowych.

Już w r. 1882 przedstawił ówczesny minister rolnictwa, de Mahy, projekt podniesienia kredytu wiejskiego, który zamierzał zmianę prawa zastawu ruchomości i ograniczenia przywilejów wydzierżawiciela, jakoteż kommercyalizacyę weksli rolniczych. Projekt ten został w senacie odrzucony, a podobny los zgotowano w późniejszym czasie nie mniej jak 8 ważniejszym projektom — aż dopiero projekt Méline'a szczęśliwie doszedł celu.

Przedłożony 10 maja 1890 r., zamierzał organizacyę kredytu za pomocą lokalnych małych banków, a więc przecież raz nie centralistycznie, lecz od dołu, za pośrednictwem syndykatów rolniczych, które w tym celu w spółki kredytowe zamienione być mają. Przy założeniu wymagał bardzo prostych formalności, natomiast ograniczał działalność spółek na rzeczywiste interesa handlowe członków i na gwarancyę ich weksli, nie dozwalając pożyczek w gotówce. Oznaczał również wysokość funduszu rezerwowego na więcej od 10-krotnej, a mniej od 20-krotnej kwoty podpisanego w formie udziałów kapitału. Do jego uzupełnienia przeznaczony ma być zysk czysty, reszta zaś ma być rozdzielona między członków, *pro rata* poczynionych ze spółką interesów. Jeżeli statuty nic w tej mierze nie postanawiają, obowiązuje nieograniczona poręka solidarna.

Syndykaty zaprotestowały przedewszystkiem przeciw przymusowej przemianie ich w spółki kredytowe i przeciw innym postanowieniom. Dlatego też projekt uległ znacznym zmianom w komisyi parlamentarnej. Zakładanie spółek zostawiono do woli syndykatów, przyczem i część członków tychże może je urządzać, lecz tylko dla interesów, prowadzonych przez syndykaty. Nieograniczona poręka ma obowiązywać w razie wyraźnego postanowienia tego w statutach, które ją zresztą oznaczyć mają.

Po dwóch czytaniach przyszedł projekt pod koniec 1893 r. do senatu; tu wysadzono mięszaną komisyę pozaparlamentarną, która następne ważniejsze poprawki poczyniła: obcięto kredyt ludowy wogóle i przystosowano ustawę wyłącznie dla rolniczych stosunków. Spółki są od syndykatów niezawisłe i mają charakter handlowy. Wreszcie określono odpowiedzialność zarządu.

W tej formie przyjęto projekt w senacie i uchwalono wreszcie w Izbie deputowanych 27 października i ogłoszono jako ustawę 5 listopada 1894 r.

Podczas przydłuższej wędrówki między rozmaitemi ciałami prawodawczemi pozbyła się ta ustawa wielu naleciałości i ścieśnień swobody, przyjmując formy, dające się nagiąć do rozmaitych ekonomicznych i lokalnych warunków. Z pierwotnie zamierzonych syndykatów kredytowych Méline'a powstały rzeczywiste spółki kredytowe, mogące się w granicach ustawy wcale swobodnie poruszać. Ustawa uwalnia je również od przykrych i kosztownych formalności prawa handlowego, jak to mówił referent w Izbie: „Ta ustawa zachęca inicyatywę prywatną i zaprasza ją do urządzania spółek, upraszczając formalności ustawy z 24 lipca 1867 i nadając im takie korzyści, jak wyjęcie od podatku patentowego i ruchomościowego".

Oto tekst ustawy z 5 listopada 1894 r. o rolniczych spółkach kredytowych:

Art. 1. Rolnicze spółki kredytowe mogą być zakładane już to przez ogół członków jednego lub więcej zawodowych syndykatów rolniczych, jużto przez część członków tych syndykatów; mają one wyłącznie za przedmiot ułatwianie a nawet gwarantowanie interesów, dotyczących przemysłu rolnego i uskutecznionych przez te syndykaty lub przez członków tych syndykatów.

Te spółki mogą przyjmować depozyty w rachunku bieżącym, z odsetkami lub bez, podejmować się interesów, tyczących się przemysłu rolniczego, pobierania i uskuteczniania wypłat dla syndykatów lub dla członków tych syndykatów. Mogą one mianowicie zaciągać pożyczki potrzebne do ustanowienia lub zwiększenia swoich funduszów obrotowych.

Kapitał spółkowy nie może być utworzony przez subskrypcyę

akcyj. Może być ustanowiony za pomocą subskrypcyj ze strony członków spółki.

Te subskrypcye będą tworzyły udziały, mogące mieć nierówną wartość; mają być imienne i przenośne tylko w drodze odstąpienia ich członkom syndykatów i to za zgodą spółki.

Spółka może być założoną dopiero po wpłaceniu czwartej części podpisanego kapitału.

Na wypadek, gdyby spółka była utworzona w formie spółki o zmiennym kapitale, nie będzie mógł ten kapitał przez wycofanie wpłat ustępujących spólników być zmiejszonym poniżej wysokości kapitału początkowego,

Art. 2. Statuty mają oznaczyć siedzibę i sposób zarządu spółki kredytowej, warunki potrzebne do zmiany tychże statutów, do rozwiązania spółki, skład kapitału i stosunek, w jakim każdy członek do jego zebrania ma się przyczynić.

One oznaczą *maximum* wkładek, które mogą być przyjęte w rachunku bieżącym.

One oznaczą rozciągłość i warunki poręki, która przypadnie na każdego członka co do zobowiązań, przyjętych przez spółkę.

Spólnicy nie mogą być zwolnieni od swoich zobowiązań aż po likwidacyi interesów, podjętych przez spółkę przed ich wystąpieniem.

Art. 3. Statuty oznaczą potrącenia, które mają być poczynione z zysku spółki z interesów przez nią dokonanych.

Sumy, wynikające z tych potrąceń, po opędzeniu kosztów ogólnych i zapłaceniu odsetek od pożyczek i od kapitału spółkowego mają być najpierw użyte aż do wysokości $^3/_4$ przynajmniej na ustanowienie funduszu rezerwowego, aż tenże dojdzie przynajmniej połowy kapitału spółkowego. Nadwyżka może być z końcem każdego roku obrotowego rozdzieloną między syndykatami i między członkami syndykatów w stosunku do potrąceń uskutecznionych przy ich interesach. W żadnym wypadku jednak nie może ona być rozdzieloną między członków spółki w formie dywidendy.

Przy rozwiązaniu spółki ten fundusz rezerwowy i reszta aktywów mają być rozdzielone między spólników w stosunku do ich subskrypcyj, o ile statuty nie zaznaczyły użytku na jaką rzecz o pożyteczności rolniczej.

Art. 4. Spółki kredytowe, uznane przez niniejszą ustawę, są spółkami handlowemi, których księgi mają być prowadzone odpowiednio do przepisów kodeksu handlowego.

Są one wyjęte od opłaty patentowej, jak również od podatku na wartości ruchome.

Art. 5. Przepisane dla zwyczajnych spółek handlowych warunki publiczności, zostają zastąpione przez postanowienia następujące:

Przed rozpoczęciem czynności statuty wraz z wykazem zupełnym zarządców lub kierowników i spólników, podającym ich nazwiska, zatrudnienie, zamieszkanie i wysokość każdej subskrypcyi, mają być złożone w podwójnym odpisie w kancelaryi sędziego po-

koju tego kantonu, gdzie spółka ma swą główną siedzibę. Na to wystawi się potwierdzenie odbioru.

Jeden z odpisów statutów i wykazu członków spółki będzie za staraniem sędziego pokoju złożony w kancelaryi trybunału handlowego powiatowego *(arrondissement)*. Każdego roku w pierwszych piętnastu dniach lutego, dyrektor lub ktoś z zarządu spółki ma złożyć w podwójnym odpisie w kancelaryi kantonalnego sędziego pokoju, wraz z wykazem członków, w tym czasie do spółki przynależących, zestawienie wpływów i rozchodów, jako i operacyj uskutecznionych w roku poprzednim. Jeden z odpisów będzie staraniem sędziego pokoju złożony w kancelaryi trybunału handlowego.

Dokumenty złożone w kancelaryi sędziego pokoju i trybunału handlowego, będą dozwolone każdemu, kto zażąda, do przejrzenia.

Art. 6. Członkowie, którym powierzono zarząd spółki, będą w razie przekroczenia statutów lub postanowień niniejszego prawa osobiście odpowiedzialni co do szkód z tego przekroczenia wynikających.

Mogą być sądownie poszukiwani i karani grzywną od 16 do 200 franków.

Nadto może za staraniem prokuratora Republiki trybunał orzec rozwiązanie spółki.

W razie fałszywych danych, odnośnie do statutów albo nazwisk i charakteru zarządców, dyrektorów lub spólników, grzywna może być podwyższoną na 500 fr.

Art. 7. Ustawa niniejsza jest zastosowalna do Algieru i kolonij.

Do uzupełnienia obrazu tych spółek dodajemy pokrótce co następuje:

Tworzą one we francuskiem ustawodawstwie nowy typ spółek handlowych zbiorowych z ograniczoną poręką *(Sociétés en nom collectif à responsabilité limitée)*. Dozwoloną jednakże jest i poręka nieograniczona. Członkami mogą być tylko członkowie syndykatów rolniczych, które to na pozór ścieśniające postanowienie ma na celu, niedopuszczenie tamże żadnych żywiołów niemających z rolnictwem nic do czynienia, co najłatwiej przez syndykaty rolnicze osiągnąć się da i wobec ich rozszerzenia, żadnych przeszkód nie stanowi, a nawet do ich rozpowszechnienia się przyczyni. Co do zebrania kapitału dozwala ustawa — według sprawozdawcy w Izbie — tak na system Schulze-Delitzschowski, jak i Raiffeisenowski i inne możliwe kombinacye.

Warunek wpłacenia $^1/_4$ dotyczy kapitału zbiorowego, nie każdego udziału (który *nb.* od niedozwolonej akcyi się tylko

nazwą różni). Ułożenie dalszych zasadniczych ustaw należy do spółki samej, do statutów; statuty te, spis członków, wynik obrotu i t. d. złożone są w sądzie, w celu ustalenia zaufania u publiczności; prawdziwość zagwarantowana jest surowemi postanowieniami karnemi art. 6.

Z ducha ustawy jasnem jest, iż spółki nie mają robić zysków, lecz tylko wspomagać członków swoich w gospodarstwie; przeto i zarząd, z wyjątkiem skarbnika, być ma bezpłatny, honorowy.

Wogóle ustawa jest nacechowana duchem swobody i obala wszelkie szranki, jakie dotąd rozwojowi wiejskiego kredytu stały na zawadzie.

Jak to wyżej widzieliśmy przyszła ta ustawa w porze bardzo stosownej, gdy syndykaty zabrały się do organizacyi kredytowej.

Już w maju 1895r. założył sam projektodawca Méline, w Remiremont spółkę kredytową, która ułatwia zakupna eskontując lub tylko poręczając weksle przez członków wystawiane. Podobnie w Montpellier. W Épinal zaś zawiązała się spółka na 20 lat, z kapitałem 3.000 fr. w nierównych udziałach po najmniej 20 fr. z poręką ograniczoną. Każdy ma kredyt wolny do dwukrotnej kwoty swojej subskrypcyi; ponad nią musi mieć ręczyciela. Jeżeliby pożyczka była użyta w innym celu, niż ją wydano, żąda się jej zwrotu natychmiastowego. Syndykat Anjou urządził u siebie 7 kas wiejskich i jedną główną, służącą do wyrównania pieniężnego tamtych, tj. przyjmowania nadwyżek i dostarczania zaliczek. W razie potrzeby reeskontuje ona swój portfel w Banku Francyi. Syndykat Auch urządził 30, Tarbes aż 90 kas wiejskich i t. d.

Ale trudno było tym spółkom zebrać potrzebny kapitał, gdyż francuski ustrój kas oszczędności dozwala tymże umieszczać własny majątek i kapitały tylko w kasach długów państwowych, przez co dla małych spółek ważne źródło jest zamknięte. Dopiero kasom w Lyonie i Marsylii udało się uzyskać od rządu zezwolenie na użycie pewnej części zysku czystego na pożyczki subwencyjne dla wiejskich spółek kredytowych. Pomyślne przez

nie osiągnięte wyniki doprowadziły do wydania ustawy z 20 lipca 1895 r., mocą której dozwolono wszystkim kasom oszczędności piątą część majątku i cały zysk czysty umieszczać w przedsięwzięciach powszechnej pożyteczności, do których też i wiejskie kasy się zaliczają.

Znaczne zasługi położył na tem polu bank ludowy w Mentonie, pod kierownictwem Rayneri'ego, zakładając (do r. 1896) w Prowancyi 2 banki ludowe i kilkanaście kas wiejskich. Te mają nieznaczny kapitał, oraz nieograniczoną porękę; oddają wielkie usługi skupiając ludność wiejską i budząc w niej energię. Połączyły się w związek, opierając się o bank mentoński.

Na kongresie w Orleanie r. 1897 postanowiły syndykaty iść wspólnie z *Centre fédératif* i wezwać zwłaszcza nauczycieli ludowych do pomocy w organizowaniu spółek kredytowych wiejskich.

Ku końcowi r. 1897 posiadała Francya: 38 banków ludowych, między nimi 14 o charakterze wybitnie rolniczym; 623 kas wiejskich i robotniczych (lyońskiego związku Duranda); nadto przeszło 300 kas założonych przez syndykaty rolnicze, przeważnie o ograniczonej poręce.

Jako typowe urządzenia przedstawiają się u nich: ograniczenie na małe okręgi, gminy po 600—2.000 mieszkańców, gdzie wszyscy się wzajemnie znają i nad sobą czuwają. Przy większych pożyczkach wymaga się poręczyciela; najwyższą kwotą jest zwykle 300 fr. Ponieważ zarząd jest bezpłatny, więc i przy małym obrocie spółki się rozwijają. Wreszcie ponawiają się usiłowania stworzenia związków i regionalnych głównych kas wyrównawczych *(offices compensateurs)* na wzór niemieckich centralnych kas spółkowych.

Wogóle okazuje się, że system Raiffeisena zwolna a stanowczo przyjmuje się we Francyi, która tak długo dlań zupełnie zdawała się być niedostępną.

Jaki duch teraz tam panuje, okazuje się z uchwały kongresu kredytu popularnego w Lille 1897 r., który oświadczył się przeciw założeniu państwowego centralnego banku dla spółek (na wzór pruskiej *Centralgenossenschaftskasse*), któryby (według

mniemania kongresu) osłabił inicyatywę prywatną i opóźnił rozwój normalny. Natomiast odwołał on się do współpracy świadomych społecznego obowiązku żywiołów, a od rządu zażądał wydania jednolitego ustawodawstwa o stowarzyszeniach, którego we Francyi od dawna się wszyscy domagają i wprowadzenia do szkół ludowych nauki pierwszych zasad wzajemności i spółdzielczości.

Prezydent ministrów Méline, zapowiedział w d. 21 czerwca 1897 r. czynne poparcie kredytu rolniczego za pomocą funduszów państwowych.

VI.

Doszedłszy do tak pomyślnych wyników co się tyczy — że się tak wyrazimy — handlowej i produkcyjnej strony gospodarstwa wiejskiego, syndykaty rolnicze znalazły w nich silną podstawę do rozwoju działalności ogólnej wychowawczej, oświecającej, społecznej, która, aczkolwiek nie przynosi bezpośrednio widocznych rezultatów materyalnych, posiada o wiele znaczniejszą dla jednostki i dla narodu doniosłość.

Dotyczy to najpierw szerzenia oświaty ogólnej i zawodowej rolniczej. Widzieliśmy już powyżej, jak z rozwojem spółdzielczości wytwórczej, handlowej i t. d. syndykaty i spółki rolnicze jęły się zajmować szerzeniem wiadomości technicznych, nowych sposobów uprawy i hodowli, powołując do pomocy nauczycieli rolnictwa i stacye doświadczalne.

Liczne kursy praktyczne, próby maszyn, doświadczenia polowe uprawne i nawozowe, konkursy, nagrody, wystawy i t. d. i t. d., oto środki, jakiemi działają. Do tego przyłącza się ich prasa: w r. 1896 wydawały one przeszło 120 wydawnictw, rozchodzących się w znacznej liczbie egzemplarzy już to bezpłatnie, już to za bardzo nizką cenę. Za ich pomocą powiadamiają one gospodarzy o sytuacyi ekonomicznej, udzielają im rozlicznych rad, odpowiadają na zapytania. W ślad za wiedzą zawodową, idzie pouczenie włościan w innych sprawach życia nowożytnego, uświadomienie ich przez wiedzę i pracę — nie przez podjudzanie i jątrzenie polityczne i społeczne.

W sprawach ogólnego znaczenia ekonomicznego

przyczyniają się syndykaty wielce do wzbudzenia poczucia sił własnych i obrony uprawnionych interesów rolniczych, wobec innych stanów, wobec państwa i innych ciał społecznych.

Przoduje im na tem polu od r. 1889 Ekonomiczny syndykat rolniczy w Paryżu, obejmujący całą Francyę i zajmujący się pod przewodnictwem Kergalla li tylko badaniem interesów ekonomicznych i stanu oraz potrzeb rolnictwa. Wydaje on swój tygodnik *La Démocratie rurale,* rocznik *Almanach,* rozchodzący się w milionie odbitek rocznie, oraz rozliczne broszury objaśniające bieżące sprawy rolnicze. Już w r. 1889 wypracował zarys żądań rolniczych, który przyjęty przez Zjazd syndykatów i przez Towarzystwo rolnicze francuskie, przedłożony był jako program rolniczy kandydatom przy ówczesnych wyborach do Izby deputowanych. W ten sposób weszło do Izby około 300 posłów, którzy, choć z różnych stronnictw, utworzyli grupę w obronie interesów rolnictwa. — Za jego staraniem oświadczyło się przeszło 10.000 rad gminnych i 215 posłów za zniżeniem podatku gruntowego, co też rzeczywiście w r. 1891 nastąpiło przez skreślenie 15 mil. fr. On to przyczynił się do odrzucenia niekorzystnego traktatu handlowego francusko-szwajcarskiego, do ustanowienia odpowiednich ceł, taryf kolejowych, zniżenia opłat i t. d.

Podobnie działają inne główne syndykaty o specyalnych zakresach np.: winogrodniczy, jedwabniczy, pomologiczny, ogrodniczy, hodowlany i t. d.

Olbrzymie jest znaczenie społeczne syndykatów.

Przedewszystkiem nadarzyły one absentystom, tj. właścicielom wydzierżawiającym swe majątki, sposobność powrotu do pracy na wsi, wypełnienia sobie czasu podjęciem obowiązków społecznych, zajęcia się losem drobnych posiadaczy i dzierżawców, przez co i sami w polepszeniu stosunku dzierżawnego dla siebie korzyść znajdowali. Wskutku tego wytwarzało się znaczne zbliżenie się warstw społecznych, stanowiące potężną zaporę dla socyalistycznej agitacyi, chcącej się właśnie w tę przerwę klasową wcisnąć.

Także i ruch katolicki przeniknął do syndykatów. W r. 1893 istniało około 24 „syndykatów katolickich“

w zachodniej Francyi, pod wezwaniem św. Izydora, Fiakra, Wincentego i t. d., pod wspólnem hasłem *Cruce et aratro*. Starają się one o poprawienie stosunku między pracodawcą a robotnikiem, o polepszenie bytu tegoż za pomocą spółek i wzajemności, o święcenie niedzieli i t. d.

Jak wysoce rozwinięte jest poczucie socyalnej łączności i pracy w syndykatach, dowodzą przeliczne urządzenia wzajemnej pomocy i wsparcia w chorobie lub nieszczęściu. Wiele syndykatów mniejszych podejmuje bezpłatnie wspólne wykonanie bieżących robót gospodarskich dla swoich członków złożonych chorobą lub dotkniętych wypadkiem. Inne znowu mają na ten cel osobne kasy wsparcia, udzielające tegoż w groszu lub w naturze; starają się też o pomoc lekarską i opiekę dla chorych.

Ważne znaczenie mają następnie biura stręczeń prowadzone przez syndykaty, które pośredniczą w podaży i popycie pracy, oddając wielkie usługi tak pracodawcom jak i robotnikom.

Szeroką działalność rozwinęły syndykaty w dziedzinie ubezpieczeń. Widzieliśmy już co zrobiły dla ubezpieczenia bydła. Podobnie pracują nad wzajemnem ubezpieczeniem się od mrozu i od gradu. Co do tego bowiem istnienie towarzystw tak akcyjnych jak i wzajemnych nie przynosi odpowiednich korzyści, więc syndykaty pracują nad zniżką taryf lub próbują na własną rękę się tego podjąć. Podobnie rzecz się ma co do ubezpieczeń ogniowych, gdzie wyzysk ubezpieczonych jest wcale znaczny z powodu nadmiernej liczby agentów; liczą ich bowiem we Francyi 130—140.000 — co czyni z rodzinami 400—500.000 osób żyjących po części na koszt ubezpieczonych. Wiele syndykatów uzyskało dla członków zniżkę do 25% dochodzącą lub też objęły same agenturę, obracając pobieraną prowizyę na cele wspólne syndykatu.

Najciekawszy atoli jest wpływ syndykatów na rozwój ubezpieczenia od wypadków, które bez ich pośrednictwa chybaby na wieś nie dotarło.

R. 1891 założył syndykat Loiretu wzajemne towarzystwo ubezpieczeń *La Solidarité Orléanaise*, do którego dopuszczani są

członkowie związku środkowej Francyi. Ubezpiecza ona rolników przeciw wszystkim wypadkom, jakie mogą spotkać ich samych, ich rodziny, domowników i najemników, oraz osoby trzecie w skutku robót gospodarczych, w szerokiem słowa tego znaczeniu. Za podstawę służy powierzchnia uprawianej roli; lasy, pastwiska i łąki naturalne nie liczą się do opłaty, jakkolwiek wypadki tam zaszłe zupełnie są uwzględniane. Premia wynosi 50 cts. na ha; umowa zawiera się na 5 lat i ustaje ze śmiercią ubezpieczonego lub z zaprzestaniem uprawy. Najwyższe odszkodowanie oznaczono na 8.000 fr.; może ono być jednak w razie uznania przez radę nadzorczą podwyższone do 10.000 fr.; w razie niezdolności do pracy bywa, wedle woli towarzystwa, odrazu wypłacane lub jako renta. Gdyby fundusze nie wystarczały, może być żądaną dopłata dalszych 50 cent. na ha. W r. 1895 ubezpieczonych było 620 członków z 42.000 ha, w 3 depart.

Inne syndykaty poprzestały na wyjednaniu dla swoich członków znacznych obniżeń u towarzystw prywatnych.

Na przykład możemy wziąść taryfę przyznaną przez kompanię *La Providence* dla południowo-wschodniego związku syndykatów rolniczych w Lyonie. Są 4 następujące kombinacye:

I. Kombinacya 50 cts. na ha uprawianej roli:
- Odszkodowanie w razie ciężkiego wypadku:
  - 1000 fr. — śmierć.
  - 1500 „ — choroba 1 stopnia.
  - 1200 „ — „ 2 „
  - 600 „ — „ 3 „
- zapomoga dzienna:
  - dla mężczyzn . . . . . 1.50 fr.
  - dla kobiet i dzieci. . . . . —.75 „
- Odpowiedzialność cywilna względem osób:
  - zatrudnionych aż do . . . . 7.000 fr.
  - trzecich . . . . . 4.000 „

II. Kombinacya 40 cts. na ha: Te same warunki, tylko zapomoga dzienna wypłaca się od 11 dnia dopiero.

III. Kombinacya 30 cts. na ha: Również, lecz bez zapomogi dziennej.

IV. Kombinacya 70 cts. na ha aż do 140 ha, ponadto po 65 cts.:
- Odszkodowanie przy ciężkim wypadku:
  - 2000 fr. — śmierć
  - 2000 „ — choroba 1 stopnia.
  - 1000 „ — „ 2 „
  - 500 „ — „ 3 „
- zapomoga dzienna: połowa płacy dziennej najwyżej 2.50 fr.

Odpowiedzialność cywilna względem personalu i osób trzecich aż do 7.000 fr.

Oprócz tego dla małych posiadaczy niżej 2—3 ha, z którymi towarzystwa dotąd nie chciały umów zawierać, wyjednano tę ulgę, że *Providence* obowiązaną jest przyjąć zbiorową policę począwszy od 10 ha podaną przez kilku posiadaczy zamieszkałych w tej samej gminie.

Wyrównanie zobowiązań odbywa się pod nadzorem syndykatów.

W razie rozpowszechnienia się, przyczyni się to znacznie do ustalenia bytu ludności wiejskiej, osłaniając ją do pewnego stopnia przed gospodarczemi następstwami wypadków nieszczęśliwych.

Wracając jeszcze do społeczno-politycznego znaczenia syndykatów, zwrócić musimy uwagę na to, że jednoczą one wszystkie warstwy ludności wiejskiej: dużych i drobnych posiadaczy, przedsiębiorców i pracowników, oświeconych i nieoświeconych, wreszcie przeciwieństwa polityczne lub wyznaniowe, silnym węzłem wspólnych interesów, wytwarzając patryotyczne pojęcie obustronnych obowiązków społecznych. Przez to łagodzą się przeciwności tak przykro w miejsko-przemysłowych warstwach odczuwane, a wzajemne wspieranie się i poważna praca obok siebie wytwarzają wyrozumienie wzajemne i budzą ducha prawdziwej, chrześcijańskiej miłości bliźniego, która wiele wybacza, której tak bardzo w dzisiejszem życiu społecznem i publicznem nam potrzeba, a której niestety za często w niem napróżno szukamy.

VII.

Nasuwa się teraz pytanie, w czem i o ile możemy skorzystać z przykładu i doświadczeń zebranych przez rolnicze syndykaty we Francyi. Nim inne pióra po dokładnem zbadaniu i rozważeniu do miarodajnych dojdą wyników, ośmielę się skreślić tę rzecz tak, jak mi się podczas moich rozpatrywań przedstawiała. Może takie sformułowanie kwestyi zachęci do zapoznania się bliższego z wytworami francuskiego ducha, z czego wyniknie lepsze skorzystanie z nich, niż to obecnie w poniższych wierszach może mieć miejsce. Piszącemu te słowa będzie to miłą nagrodą, jeśli się do takiego obrotu rzeczy cokolwiek przyczyni.

Przedewszystkiem uprzytomnijmy sobie w krótkości ogólne linie wytyczne rozwoju organizacyi rolników francuskich.

Pobudką całego tego ruchu była odwieczna matka-potrzeba: smutne gospodarcze położenie rolnictwa, a zatem i ludności wiejskiej. Nie widząc znikąd pomocy jęła się ona sama pracy nad polepszeniem swego bytu. Atoli na pomyślny i szybki rozwój wiele wpłynęła okoliczność, iż zaraz od początku stanęła na czele ruchu znaczna liczba ludzi z poświęceniem i zrozumieniem potrzeb i zadań społecznych; ci objęli kierownictwo i wspierali pierwsze kroki świeżych organizacyj. Działalność, jaką rozwinięto, objęła najpierw dziedzinę handlu, dalej gospodarstwa i technicznej tegoż strony, wreszcie społeczną i ogólną niwę interesów wiejskich.

Zaczęto od walki z nierzetelnym i wyzyskującym handlem wiejskim, który swoim ciężarem tamował wygrzebywanie się rolników ze smutnego położenia, w jakie dla wielu, często niezasłużonych przyczyn popadli.

W dziedzinie nabytu surowców gospodarskich odniosła organizacya rolników zupełne zwycięstwo; korzyściom z tego wynikającym, zawdzięcza ona swoją żywotność i dalszy rozwój. W ślad za tem poszło dopiero pouczanie o lepszem użyciu tychże surowców, wprowadzenie nowych środków wytwórczych i pielęgnowanie technicznej strony gospodarstwa, która teraz dopiero stała się zrozumiałą. Za tym przykładem wzięto się później do uwolnienia wytwórców od przewagi handlu środkami spożywczymi, co znacznie wpłynie na polepszenie bytu ludności wiejskiej.

Wnet rozwijać się zaczął spółkowy przerób wytworów gospodarstwa wiejskiego, przyczyniający się do ulepszenia tychże i uzyskania pomyślniejszych cen. Powstały lub rozkwitły nowem, silniejszem życiem spółkowe serownie, mleczarnie, gorzelnie, piekarnie, młyny, rzeźnie i t. d. dostarczając ludności wiejskiej nowego zarobku i zysku. Lecz wkrótce spostrzeżono się, że na tem nie można poprzestać; że aby rolnikowi pełny owoc jego pracy zapewnić, należy poprawić stosunki odbytu jego wytworów, uzyskać za nie lepszą cenę. Trudności napotkano tu znaczne,

tak iż zwycięstwo dotąd jeszcze nie przeważyło się na stronę syndykatów. Udało się im opanować zbyt wytworów poszczególnych, zależnych wielce od swojej jakości i rzadkości względnej, przy których więc rzetelność i staranność produkcyi zapewniła im pierwszeństwo przed handlarzami. Odnosi się to do roślin handlowo-przemysłowych, jarzyn, owoców, masła, serów — mniej już do wina, oliwy i t. d. Oporniej idzie sprawa z wytworami objętościowemi, mającemi mniejszą wartość względną, lecz o wiele znaczniejszą wartość ogólną, rozstrzygającą o wyniku całorocznego mozołu gospodarza i jego rodziny, a więc i o jego doli i niedoli. Chodzi tu o główne ziemiopłody: o zboża i okopowizny, których dostarczają prawie wszystkie okolice kraju w znacznej ilości, a które nadto dowozi się lub dowieźć można z zagranicy. Otóż co się tyczy tych ziemiopłodów, o ile one bywają przez samych rolników spotrzebywane dla pokrycia niedoborów własnych gospodarstw, to udało się dość dobrze zbyt ich między syndykatami wzajemnie ułożyć: są to zboża pastewne i siewne, rośliny pastewne i ściółkowe.

Za to zbyt zbóż chlebowych nie powiódł się syndykatom zupełnie; nie braknie jednak usiłowań, aby temu zaradzić, omijając duży handel i targi wszechświatowe. W tym kierunku zmierzają: podejmowanie większych dostaw publicznych, podjęcie młynarstwa i piekarstwa na własną rękę i próby zbliżenia się do miejskich spółek spożywczych. Podobnie ma się rzecz ze zbytem bydła na mięso; podczas gdy odbyt zwierząt użytkowych i chownych więcej się już w ręku gospodarzy znajduje.

Dla ułatwienia i przeprowadzenia tych czynności handlowych, okazała się potrzeba osobnej organizacyi, tj. spółek handlowych, zaopatrzonych w odpowiednie fundusze.

Z biegiem czasu okazało się najodpowiedniejszem zakładanie spółek, opartych o związki prowincyonalne (pierwej departamentalne) syndykatów, które albo same, albo przez osobne małe miejscowe spółki stanowią ogniwa, łączące tamte z gospodarzami wiejskimi. Spółki te zagarniają coraz bardziej handel wiejski i nabierając funduszów i doświadczenia, rozpoczynają też wpływać na zbyt produktów rolniczych.

Cokolwiek później spostrzeżono się, że bardzo pomocnym czynnikiem w polepszeniu gospodarstwa jest kredyt osobisty, i całą siłą poczęto go organizować.

Dopiero na podstawie takich materyalnych korzyści można było rozwinąć pracę nad podniesieniem umysłowem, moralnem i społecznem ludności wiejskiej. Za to jednak praca teraz idzie znacznie łatwiej, gdyż wiele do tego celu zbliżyła ją działalność powyższa syndykatów, która obudziwszy samodzielność i uczucie potrzeb, powołała ludność wieśniaczą samą do gorliwej pracy na tem polu, co jej najlepsze i najtrwalsze powodzenie zapewnia.

Przykład syndykatów francuskich może być zachętą do zorganizowania się tak rolników dużych, jak i drobnych, czyli włościan.

Co do pierwszych mogą służyć za przykład nasze syndykaty ziemiańskie: miński, witebski, kijowski i inne, o których postępach niestety u nas nie wiele albo i nic się nie wie. Ich celem jest pośredniczenie w zakupnach surowców i w sprzedaży wytworów gospodarczych, zwłaszcza zboża, wełny, bydła rzeźnego, drzewa i t. d. Walcząc z rozmaitemi trudnościami, dążą one do naprawy stosunków handlowych, co się później korzystnie odbija na przychodzie z gospodarstwa.

Co do drugich, wchodzą tu w rachubę nasze K ó ł k a r o l n i c z e.

Starsze istnieniem swojem (a przynajmniej nie młodsze) od syndykatów rolniczych francuskich, nie mogą się one pochlubić równie świetnemi wynikami, zasługują jednak na wszelkie uznanie.

I u nich widzimy, że prawdziwy rozwój rozpoczął się z chwilą, gdy poczęły zajmować się handlem wiejskim, tj. zakładać sklepiki. Te długo walczyły z rozmaitemi trudnościami, aż wreszcie trafiły na dobrą drogę, założeniem związku handlowego. Lecz pokazało się, że jeden związek jest zbyt mało przystępny, że i na prowincyi trzeba rozwinąć sieć mniejszych związków obwodowych (na 3—5 powiatów) tak, iżby bez wielkich kosztów przewozu mogły się sklepiki w towar zaopatrywać,

zwłaszcza w małych ilościach. Pierwszemi krokami w tym kierunku jest założenie spółek handlowych w Nowym Sączu, w Dębicy, filii krakowskiego związku w Rzeszowie i t. d. Jak dotąd obejmuje ten ruch przeważnie handel przetworów spożywczych, rozszerza się coraz bardziej na surowce, jak nawozy i maszyny gospodarcze, oraz próbuje ująć w swoje ręce zbyt wytworów gospodarstwa wiejskiego (jaj, owoców i t. p.).

I ta też strona działalności Kółek o wiele więcej dotąd naszemu włościaństwu przyniosła korzyści, niż druga, zasadzająca się na szerzeniu wiadomości rolniczych za pomocą odczytów i biblioteczek, co wszystko jest bardzo potrzebne, ale w uzupełnieniu dopiero korzyści z organizacyi handlowej płynących w należytem staje świetle i zrozumieniu.

Zasadnicze rysy naszego samodzielnego rozwoju zgadzają się więc z temi, jakie widzimy u francuskich syndykatów. Dlatego łatwo i z powodzeniem można będzie skorzystać z doświadczeń we Francyi poczynionych.

Należy nam więc zakładać coraz więcej sklepików wiejskich, posuwając za niemi spółki handlowe okręgowe, któreby je w dobry i tani towar zaopatrywały. Inaczej bowiem zamiast korzyści szkodę tylko przyniosą, niepowodzeniem swojem od tegoż ruchu odstręczając. Aby je zaś na silnej podstawie oprzeć, trzeba równolegle obok nich organizować spółki kredytowe. Sa one dziś koniecznością, każda chwila opóźnienia ich (bo z czasem powstać muszą!) drogo nas kosztuje. Zadaniem ich przedewszystkiem będzie ułatwianie włościanom zakupów w ten sposób, iż będą one sklepikom wypłacały należytość, którą im dłużnik następnie w dogodnej porze lub częściowo zwracać będzie. Sklepiki przez to będą mogły sprzedawać za gotówkę, co jest ich pierwszym i najgłówniejszym warunkiem powodzenia. Szczęśliwsi jesteśmy od Francuzów, mając w naszych kasach oszczędności niekrępowane niczem źródło taniego zaopatrywania w fundusze kas wiejskich, czego tam do roku 1895 nie było, starajmy się więc nie pomijać tej sposobności bezużytecznie. Co do sposobu urządzenia tych kas, dwóch zdań być nie może: tylko zasadnicze podstawy systemu

Raiffeisena obiecują powodzenie. Jak najmniejszy okręg spółki tak, iżby się wszyscy znali i wzajemnie nad sobą czuwać mogli, jakoteż nad przeznaczeniem i użyciem pożyczki, solidarność (nieograniczona, czy też ograniczona, to już mniejsza), zachęcanie do oszczędności przez przyjmowanie wkładek, taniość pożyczek, oraz odpowiedni dla rolnika dłuższy termin i t. d., ale nadewszystko prawdziwy duch Raiffeisenowski, duch umoralnienia i podniesienia członków spółki przez nią właśnie, przez ostrożność w przyjmowaniu członków i ciągłą styczność z nimi — oto najważniejsze wytyczne! Mniemanie, że nasz chłop niedojrzały jeszcze do tego, nie może stanowić przeszkody, gdyż jest nielogiczne samo w sobie, bo gdyby był dojrzały do tego, toby kas pożyczkowych Raiffeisenowskich nie potrzebował, samby sobie inaczej radził; jeżeli zaś niedojrzały, to tylko sposobem Raiffeisenowskim można go „udojrzalić“ — żadnym innym; czekać, aż *Blitzzug* podatkowy lub specyaliści w rodzaju Pejsacha et Co tej pracy za nas dokonają... Czytelnik sobie sam reszty dośpiewa...

Obok tego trzeba rozwijać spółdzielcze spółki wytwórcze; mleczarnie zwolna się rozszerzać zaczynają; przychodziłaby więc na piekarnie kolej, zwłaszcza dla mniejszych miast i miasteczek, ale i dla wsi samych także; wiemy bowiem wiele to chleba dziś się po karczmach i sklepikach sprzedaje. A jaki on? Bóg raczy wiedzieć.

Dalej wypadałoby nam ująć w swe ręce zbyt szczególniejszych produktów gospodarskich a więc owoców, drobiu, jaj i t. d. Na pozór to drobiazgi, lecz wiemy dobrze, iż te „drobiazgi“ stanowią podłoże dobrobytu niejednej okolicy czasem skąpo od natury uposażonej. Zresztą rzut oka na statystyczne wykazy świadczy, że te drobiazgi wcale znaczne pozycye naszego wywozu przymusowego, haraczu z naszej nędzy, wynoszą, i gdyby wprost do kieszeni wytwórców płynęły, wielceby się im mogły przydać.

Ale obok tej akcyi na wsi, powinna rozwinąć się druga — w miastach: tworzenie spółek spożywczych. Zadaniem ich: potanienie życia ludności miejskiej, tj. urzędników, rzemieślników,

robotników i t. d. — z drugiej strony przygotowanie odbiorców dla produktów gospodarstwa krajowego, dostarczanych przez wiejskie spółki wytwórcze. Taki obrót rzeczy ma dla naszego kraju o wiele większe niż dla Francyi znaczenie, więc i tem większe uprawnienie. Po pierwsze dozwoli nam otrząsnąć się z pasożytów żyjących dotąd kosztem warstw pracujących, tj. usunięcia handlu kramarskiego, nie stojącego na wyżynie nowożytnego rozwoju gospodarczego, a połączonego często z najobrzydliwszą lichwą tajemną lub zasłoniętą. — Powtóre odda handel drobny w nasze ręce i w nasze kierownictwo i przez to poda nam sposobność wyzwolenia się od zalewu naszych targów obcemi produktami spożywczemi, który grozi zniszczeniem jedynej żywotnej gałęzi gospodarstwa krajowego tj. rolnictwa. — Po trzecie umożliwi rozdział zysku, dotąd przez zbyt licznych pośredników niepotrzebnie pobieranego, między spożywców i wytwórców; dla jednych i dla drugich potanienie życia i podniesienie dobrobytu.— Wreszcie z tego wszystkiego wyniknie gospodarcze podniesienie całego kraju i uzdolnienie go do dalszej skutecznej pracy ekonomicznej a w ślad za tem i społeczno-politycznej.

Dalej zaś będzie zadaniem Kółek podjęcie zaspokojenia innych potrzeb gospodarczych i innych ludności wiejskiej. Wiele rzeczy, których dzisiaj domagamy się od państwa lub kraju, będą mogły podjąć Kółka, zbierając przytem doświadczenie i torując drogę akcyi publicznej; takie przygotowanie pola może tę akcyę bardziej przyspieszyć, niż tuziny uchwał i postanowień, pozostających na papierze dla braku ludzi chętnych do pracy lub nie pozbawionych pojęcia o tem, z którego końca do tej lub owej sprawy zabrać się należy.

Takiemi sprawami są: upowszechnienie ubezpieczeń wszelakiego rodzaju: od pożarów, gradu, od pomoru i zarazy na bydło, od wypadków i t. d. Dalej, korzystanie należyte ze szkół ludowych i zawodowych, dla których się przez to zrozumienie rozbudzi, rozwinięcie przezorności, dla uniknienia przednowków, szkód elementarnych, lub przynajmniej ich łagodzenia. Gdy zamiast dotychczasowego oglądania się na rząd i kraj, sami weźmiemy się do pracy, przekonamy się, że więcej w ten sposób

osiągniemy, niżby to mogły zrobić tamte ciała; że wtedy one będą nam mogły nieść skuteczną pomoc i poparcie, bo to jest właściwem ich zadaniem, nie zaś robienie wszystkiego za nas. A gdy raz przekonamy się, jaką siłę w sobie samych posiadamy, wtedy może nadejdzie ostatnia godzina naszej nędzy galicyjskiej!

Lecz nie wyciągnąłbym najważniejszych wniosków z dziejów rozwoju syndykatów francuskich, gdybym nie zwrócił uwagi na rolę żywiołów inteligentnych na wsi. Chyba jednak szeroko nad tem rozwodzić się nie trzeba. Nasze obywatelstwo ziemiańskie, nasi „obszarnicy“, więcej może dotąd na tem polu pracowali, choćby tylko przykładem w gospodarce, niż francuscy wydzierżawiciele, i z pewnością się im zawstydzić nie dadzą. Nie można też wątpić, iż duchowieństwo i nauczycielstwo wiejskie, które tyle już przyczyniły się do rozwoju Kółek, ze zdwojoną energią poprowadzą dalej to dzieło, wzywając wszystkich ludzi dobrej woli do współpracownictwa.

Dotychczasowe węzły, łączące warstwy oświecone na wsi z warstwami pogrążonemi w codziennym znoju lub przymusowej bezczynności, oparte przeważnie na pobudkach niemateryalnych zaczynają się rozluźniać. Idąc z duchem czasu, trzeba te wspólne interesa,które dotąd obie te warstwy jeszcze łączą, interesa ekonomiczne, pielęgnować i rozwijać, przez co dla dobra powszechności i kraju warstwy oświecone będą mogły utrzymać kierownictwo rozwoju społecznego, który inaczej łatwo wpaść może w niepowołane ręce.

Stoją tu przed nami zadania, od których rozwiązania nasza przyszłość zależy. To zaś rozwiązanie złożone jest w nasze ręce. Więc „niech żywi nie tracą nadziei!“

Tadeusz Kudelka.

W marcu 1898 r.

KLECHA XVI. WIEKU.

Lata Bożego 1553 wybijano w Krakowie dziełko nieznanego nam bliżej Wita Korczewskiego p. t. „Rozmowy polskie łacińskim językiem przeplatane“. W tymże samym grodzie podwawelskim po latach 336 czyli w roku 1889 wydała je znowu nakładem swoim Akademia Umiejętności w „Bibliotece pisarzów polskich“. Dyalogi te z rozmaitych względów nader ciekawe dostarczyły piszącemu ten szkic wszystkich szczegółów, które się nań złożyły. Chociaż pozostają w dość ścisłem pokrewieństwie z odnośną literaturą niemiecką w Prusiech, mimo to kreślą nasze „Rozmowy polskie“, przepłynąwszy przez pióro pisarza polskiego, znającego stosunki polskie i piszącego dla tych, którzy je znali, typy i zwyczaje czysto rodzime, znane nam dobrze skądinąd.

Bohaterem rozprawki jest Jan, syn jakiegoś wieśniaka czy ubogiego mieszczanina. Rodzice posłali go do miejscowej szkółki parafialnej, w której się Jaś, a teraz już z łacińska *Ioannes,* nauczył trochę łaciny i kantu kościelnego. Dalej nie posunął się w nauce. Księdzem, czego sobie widocznie pragnęli i na co, dokąd mogli, łożyli, *Ioannes,* nie wiedzieć z jakich powodów, nie został. Zdobył sobie jedynie miano kleryka jednak nie przez to, że się zaczął uczyć teologii, lecz tylko dlatego, iż do kleryków zaliczano tych wszystkich, którzy, przeszedłszy pewne szkoły, nauczyli się po łacinie czytać, pisać i mówić. Tych, którzy tego nie umieli, nazywano laikami. Takową klasyfikacyę

prowadzono przez całe wieki średnie a poniekąd jeszcze w XVI. wieku, lecz tylko już w sferach mniej oświeconych lub całkiem ciemnych warstw ludzi.

Został tedy nasz *Ioannes* dla łaciny, w której się jako tako wyćwiczył, klerykiem i zdobył sobie, nie chcąc i nie mogąc się dalej uczyć, już pewną podstawę do życia o własnych siłach. Zmuszany przez surowego mistrza do ciągłego używania łaciny w szkole i poza nią, rozmawiał odtąd językiem łacińskim z wszystkimi, którzy go rozumieli. Potrafił też napisać i list łaciński. Wykwintną łacina jego nie była. Wyuczył się jej na wierszach moralnych sławnego Katona i na tym podobnych łatwych średniowiecznych autorach szkolnych. Rzadko kiedy wykraczał w tłómaczeniu swych myśli poza obręb mało rozwiniętych zdań głównych, potrafił jednak mimo to, uniesiony gniewem, wyrażać się bardzo dobitnie:

Ego hostium cruorem
Non cessabo effundere,
Quam diu datur vivere.

„Ja wrogów posoki sączyć nie przestanę, dopóki życia starczy“ — umiał pogrozić chłopom, którzy go pobili.

Tak uzbrojony do życia w łacinę, w kant kościelny i pióro, wprawne do pisania zwykłych listów, rozejrzał się *Ioannes* — zacząwszy zresztą już i wychodzić z lat młodzieńczych — za jakiemś stanowiskiem w świecie. W XVI. wieku dla takich kleryków niełatwą było sprawą dostać miejsce po myśli. Konkurentów było wielu, bardzo wielu. Trzeba było brać, co się wziąść dało. Wiedział o tem dobrze i nasz bohater i przyjął służbę u plebana wiejskiego, pierwszą jaka się nadarzyła. Ksiądz pleban oddał mu kierownictwo szkółki miejscowej, przez co *Ioannes* przyszedł do tytułu mistrza — *magister scholae*, który widocznie nie miał nic wspólnego z tytułem uniwersyteckim magistra, chyba to jedno, że jeden i drugi *mutatis mutandis* nadawał prawo uczenia. Był tedy odtąd *Ioannes* z tytułu i stanowiska magistrem czyli mistrzem, i tak go też tylko tytułował ksiądz pleban i wszyscy, którzy porozumiewali się z nim po łacinie lub traktowali go życzliwie. Parafianie nazywali go panem Jannasem,

gdy się do niego uprzejmie odzywali. W zbytniej uprzejmości, w której się jednak mieściło wiele ironii, tytułowano pana Jannasa „księdzem“, chcąc mu niejako podchlebić a czasem ironicznie przypomnieć, że nim nie został. Nie brakło jednak i takich, którzy go szczypali pogardliwie i złośliwie tytułem żaka, chcąc mu przez to dać poznać, że, nie dokończywszy studyów, nie wyszedł, ściśle rzecz biorąc, z szeregów scholarzów czyli żaków. Dla szerokiej okolicy i dla wszystkich, którzy nań obojętnie patrzeli, pozostał pan Jannas tem, czem był, tj. klerykiem. Lud zrobił z tego klechę, objąwszy tem mianem cały szereg przymiotów dodatnich i ujemnych, jakie zaobserwował u ludzi tej samej, co nasz pan Jannas, kategoryi. Objął więc tym wyrazem i urząd mistrza szkolnego oraz sługi kościelnego i plebańskiego, dalej szerzyciela rozmaitych podań i historyjek i gadek, których chętnie słuchano, aby je dalej innym głosić, widział w klesze człowieka, który mógł udzielić mądrej rady, ale zarazem bezradnego mazgaja i śmiesznego kuglarza i pijanicę.

Został tedy i nasz Jannas klechą lub raczej kandydatem do pewnych wyżej zaznaczonych przymiotów i przywar kleszych. Które się do niego przylepiły, zaraz zobaczymy. Otrzymał przedewszystkiem, jak wszyscy jego koledzy, urząd mistrza z obowiązkiem uczenia chętnych chłopców początków czytania i łaciny a przedewszystkiem kantu kościelnego, co było głównem jego zadaniem. Przymusu posyłania do szkoły dzieci, mających odpowiedni wiek, nie było wtedy jeszcze, garnęli się do szkoły ci tylko chłopcy, którzy chcieli tu rozpocząć naukę, aby z czasem módz zostać księdzem, a obok nich i tacy, którzy, unikając pracy fizycznej, znajdowali tu znakomitą sposobność spędzenia czasu na „niepróżnującem próżnowaniu“. Chyba wyjątkowo można było w szkółce wiejskiej znaleźć znaczniejszą liczbę uczniów.

I na naszego mistrza Joannesa mistrzowanie w szkółce parafialnej wiejskiej nie wkładało widocznie rozległych i trudnych obowiązków, tak iż ksiądz pleban z tym jego „urzędem“ połączył, jak się to zresztą i gdzieindziej działo, inny nierównie trudniejszy, a mianowicie urząd pierwszego sługi kościelnego

(minister ecclesiae). Śpiewał więc *Ioannes*, magister i minister w jednej osobie, razem z scholarzami czyli żakami, których w szkole wyćwiczył, wtedy i tam, gdzie śpiewać trzeba było, a zatem przedewszystkiem w niedziele i święta podczas sumy; otwierał i zamykał kościół, dzwonił, gasił świece, wypiekał opłatki, czyścił lichtarze, ampułki i inne naczynia kościelne, przybierał chędogo ołtarze, jednem słowem robił to wszystko, na czem się pomocnik jego „wytrykusz" czyli *oeconomus ecclesiae* Piotr mniej dobrze lub całkiem źle rozumiał. Te wszystkie drobne, co prawda, ale liczne a po części i żmudne zajęcia złożyły się na ciężki urząd. Przyznał to „księdzu mistrzowi" przyjaciel jego najżyczliwszy wytrykusz Piotr:

. . . masz barzo wielką pracę
Twój urząd – kościół otwierać,
Zwonić, mszę w niedziele śpiewać;
Tyś mistrzem i tyś zwonarzem,
Wszystko musisz czynić razem.

A jednak na tych zajęciach i pracach nie kończyły się obowiązki pana Jannasa. W zamian za myto i życzliwą opiekę przyrzekł magister *Ioannes* księdzu plebanowi bezwzględne posłuszeństwo we wszystkich godziwych sprawach.

To zastrzeżenie miało panu Jannasowi przysporzyć dużo nowych ciężkich ćwiczeń fizycznych, którym on się musiał poniewolnie poddać, nie chcąc utracić „miesca" u księdza plebana. W oczach wytrykusza Piotra uchodził Jannas dla tych właśnie dodatkowych prac za człowieka godnego politowania:

Nuż do posługi plebańskiej,
To dopieroż urząd ciężki!
Układaj snopy w stodole,
Idź grabić siano na pole,
Urąb drew księdzu do pieca,
Chceszli nie utracić miesca;
A ktoby tele wyliczył
Twoję pracę, księże mistrzu?

A przecież i na tem jeszcze nie koniec. Jako mistrz szkoły i minister kościoła miał pan Jannas poruczony sobie pewien

osobliwy obowiązek, któremu właśnie dla jego osobliwości musimy się przypatrzyć nieco bliżej.

Ponieważ, jak to już zaznaczyliśmy, „Rozmowy Korczewskiego“ łączą się z odnośną literaturą niemiecką w Prusiech, przeto w tamte strony trzeba nam będzie podążyć, aby sobie zdać sprawę, co to jeszcze za obowiązek ciekawy miał do spełniania nasz mistrz Jannas, który dla niego miał stać się fatalnym.

Szczegółowych wyjaśnień dostarcza nam Kronika heilsberdzka, spisana w pierwszej połowie XVI. wieku[1]. Wiklef znalazł i w Prusiech wielu zwolenników, którzy się tu dopuszczali niesłychanych zdrożności. Do kościoła nie chodzili z zasady, szydzili z księży, z domów Bożych i z ofiary mszy świętej. W niedziele i święta zamiast na mszę, zgromadzali się w szynkach, gdzie śpiewali sprosne, szydercze pieśni kacerskie. Przebrała się wreszcie, dodaje kronikarz, miara złości ich. Bóg zesłał na nich i na cały kraj ciężką karę. Złe duchy zaczęły przeróżnemi strachami niepokoić mieszkańców po domach, zatruwać jakimś jadem wszelkie pokarmy i napoje, przez co doprowadzały ludzi do szaleństwa, którzy jak wściekłe psy biegali, ryczeli, rzucali się w ogień, do rzek głębokich i studzien, aby marnie zginąć. Wszczął się z tego powodu w całym kraju straszny popłoch, ludzie bali się jeść i pić przed sumą i po sumie, gdyż powszechnie jedzących i pijących wtenczas opanowywał szał potępieńczy. Biskup warmiński Jan III. (1415—1424), czytamy dalej w Kronice, litując się nad nieszczęśliwymi, zwołał synod biskupów pruskich, na którym postanowiono, aby odtąd w niedziele i święta nie sprzedawać przed sumą żadnych napojów i pokarmów nikomu zgoła, prócz chorym i podróżnym, oraz aby zakonnicy lub wikaryusze parafialni chadzali co niedzielę około godziny ósmej po domach i święcili ludziom pokarmy i napoje, i zanosili do każdego domu po trosze soli święconej. Te środki zabezpieczały przed szaleństwem i uspokajały przelękłych. Zwyczaj święcenia pozostał i nadal. Święcącym zakonnikom i wikaryuszom dawano za trud pewne wynagrodzenie. Zrazu plebani sami

[1] *Monumenta historiae Warmiensis,* tom VIII, str. 224 i 288 - 292.

zajęli się kropieniem pokarmów i napojów, z czasem jednak, sprzykrzywszy sobie takie ciągłe chodzenie, poruczyli obowiązek święcenia mistrzom szkółek parafialnych, chcąc przez to pomnożyć ich liche dochody. Za święcenie płacono w Prusiech po fenigu.

Otóż i nasz „ksiądz mistrz“ chadzał co tydzień w niedzielę po wsi z kropidłem i wodą święconą i kropił dyabłów, a chadzał, co zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, z tego samego tytułu, co pruscy mistrzowie szkoły.

Za te i tym podobne liczne, jak widać, prace i trudy miał mistrz Jannas mieszkanie i myto.

Mieszkał w szkole. Mieszkanie jego musiało mieć znaczne braki, sam skarży się na panujący w niem fetor, a z ust księdza plebana dowiadujemy się, że lega na słomie. Mytem jego był „nikczemny kwest“, z którego się z biedą tylko mógł utrzymać i odziać. Dla polepszenia doli swej niczego nie zaniedbywał. Księdzu plebanowi zasługiwał się pilnem pełnieniem obowiązków tak, iż w razie potrzeby śmiało mógł odwołać się do przyrzeczonej sobie jego życzliwej pomocy i obrony a nawet pogrozić, że się oddali, gdyby się jej nie doczekał. Panu wioski rad posłużył i pisywał listy, zanim ten miał pisarza swego. Z wieśniakami starał się żyć w zgodzie i przypodobać im się, czem mógł. Zwłaszcza o przychylność wieśniaczek ubiegał się, bo z niej wpływały od czasu do czasu do jego ubogiej spiżareczki osełeczki świeżego masła i twardego sera gomółki. Robił więc niewiastom krężele i wrzecionka i zdobił je malowidłami grynszpanowemi. Z kościelnym wytrykuszem Piotrem związał się serdeczną przyjaźnią.

Miał więc pan Jannas całą parafię przyjaciół tak, iż mimo marnego myta „z nikczemnego kwestu“ nie dobodła mu bieda. Byli to bowiem przyjaciele szczerzy, na których mógł liczyć w każdej potrzebie, a których ogromna część nie opuściła go rzeczywiście nawet w najfatalniejszej dla niego chwili życia.

Niepospolitym śmiertelnikom nie dostało się w udziale pełne niezamącone szczęście, a cóż dopiero naszemu prostemu klesze. Część kmieciów parafii zaczęła zalegać z dostawą dziesięcin,

należnych mistrzowi. Z trzech lat urosła zaległość do sześciu korcy owsa i tyluż korcy żyta:

Sunt sex modii avenae
Sex itidem siliginis.

Do szkółki mistrza wkwaterowała się obok ubóstwa dokuczliwa nędza. Mistrz Jannas wysączył z siebie ostatnią kroplę cierpliwości. Gdy prośby i groźby jego i poważne upomnienia księdza plebana pozostawały bez skutku, poszedł do konsystorza dyecezyalnego ze skargą na krzywdzących go chłopów.

Sprawa była jasna jak słońce. Konsystorz obłożył chłopów klątwą kościelną. Dokument odnośny przyniósł sam mistrz, który ksiądz pleban w najbliższą niedzielę z obowiązku z ambony odczytał i każdej następnej niedzieli przed zgromadzonymi parafianami powtarzał.

Rozpoczęła się teraz prawdziwa wojna, która klechę naszego kosztowała wiele zdrowia. Wyklęci chłopi nie zważali na klątwę, dziesięciny zaległej nie oddali, a mając zamknięty wstęp do kościoła, zgromadzali się w karczmie na końcu wsi, gdzie dniem i nocą pili i naradzali się, jakby się zemścić nad klechą. Mistrz Jannas, grzęznąc w coraz to większą nędzę i podrażniony bezbożnym uporem kmieciów i ich złowrogiemi zamiarami, dał folgę długo tłumionym falom słusznego gniewu swego. Gdy ksiądz czytał w kościele klątwę, wtedy on dzwonił dzwonkiem i gasił świece jakby przy pogrzebie. Po tych i tym podobnych wzajemnych podrażnieniach przyszło do starcia.

Mistrz Jannas i z nędzy i ze zmartwienia strasznie się zaniedbał. Dziedzic wioski spostrzegł, że się klecha

. . . . . nierad czosał,
Zawzdy mu kwap w głowie został,
By dopiero wylazł z brogu,
Tak w głowie miewał barłogu.

Ale mimo zmartwienia i nędzy, obowiązków swoich nie zaniedbywał. Jak dawniej tak i teraz chadzał też według zwyczaju po wsi kropić pokarmy wodą święconą. Jak zwykle tak i pewnej niedzieli wstąpił do karczmy, aby i tu dokonać pokropienia. Zastał tu chłopów wyklętych, którzy upiwszy się drzemali przy

stołach. Poznawszy klechę po mowie, rzucili się na niego z zajadłością, jakby szatani podrażnieni wodą święconą. Było ich wszystkich na kopę, a każdy, jak mógł, wywierał zemstę na znienawidzonym klesze. Jedni rwali mu włosy z głowy, darli suknie i bili, drudzy lali go piwem, trzeci stojąc nad nim, podniecali zapał tamtych, krzycząc, że klecha klnie „dobrych ludzi".

Cudem tylko wymknął się mistrz Jannas żyw z rąk pijanego chłopstwa. Doznawszy tak srogiej krzywdy, zapałał strasznym gniewem i powziął myśl zebrania wiernych licznych jeszcze przyjaciół swoich i wzięcia czynnego odwetu na wrogach. Zemsta jego nie znajdowała już nasycenia w gaszeniu świec i dzwonieniu w czasie wyklinania. Mistrz Jannas wolałby krzywdę swoją „odmierzyć" kijem niż świecą, albo taszką, którą wiercą mak. Od wykonania jednak zamiaru powstrzymał go wytrykusz Piotr, przedstawiając przyjacielowi, że z takowego postępku wynikłaby „zatarga" z panem wsi, że lepiej będzie położyć skargę na winnych do tegoż pana, który niebawem zjedzie na święta wielkanocne dla odebrania dziesięcin.

Usłuchał mistrz Jannas dobrej rady wypróbowanego przyjaciela, poprosił go tylko, by o tem, co zaszło, zdał dokładną sprawę księdzu plebanowi. Sam zaś poszedł do szkoły, by się leczyć po tak ciężkiem sturbowaniu. Wytrykusz udzielił mu lekarskich wskazówek:

Zmyj się święconą bylicą,
Bo tak u nas głowy leczą.

Po czterech dniach wielkich dolegliwości i bolów, które przecierpiał, znosząc dokuczliwy głód i leżąc w smrodliwej izbie szkolnej na barłogu, przywlókł się do księdza plebana i zaklął go na Boga, aby mu udzielił pomocy, którą był przyrzekł przy umowie. Gdyby jej tu nie znalazł, groził pomścić się srogo na wrogach swych. Proboszcz uspokajał go i nawoływał do cierpliwości i cichego znoszenia krzywd, wskazując mu przykład Chrystusa Pana. Atoli nie pocieszył tem klechy, przygnębionego i znękanego nędzą i bólem. Mistrz Jannas odparł krótko, że nie jest godzien porównania z Chrystusem; Zbawicielowi cho-

dziło o cały świat, jemu chodzi tylko o sześć korcy owsa i tyleż korcy pszenicy:

Nam Christi crux hoc praevalet,
Quod coelum et terra habet;
Causa vero meae poenae
Sunt sex modii avenae,
Sex itidem siliginis,
Iam nihil plus, iam est finis.

Przyrzekł tedy ksiądz pleban dołożyć wszelkich starań, aby mu się stała sprawiedliwość. Ucieszony tem przyrzeczeniem i pełen otuchy, ponowił mistrz obietnicę gorliwego pełnienia obowiązków.

Wytoczyła się sprawa cała przed pana wsi. Ksiądz pleban wyłuszczył ją dokładnie i poparł całą swoją powagą. Prośba plebańska odniosła skutek jak najpomyślniejszy. Dziedzicowi zrobiło się żal

. . . . . nieboraka,
Mistrza, ubogiego żaka,

którego sam znał jako dobrego człowieka. Przyrzekł jak najuroczyściej, że go nie ominie zapłata:

I ci pijacy zuchwali,
Którzy go byli urwali,
Muszą z nim uczynić zgodę,
I nagrodzić jego szkodę.

Obrazek niniejszy daje nam dość jasne pojęcie o doli i niedoli mistrza Jannasa. Los kolegów jego nie był ani lepszym ani gorszym, chyba że się gdzieś składały nań wyjątkowo lepsze lub gorsze okoliczności.

Dr. Antoni Karbowiak.

FOUILLÉE O PSYCHOLOGII SWEGO NARODU,

(*Alfred Fouillée,* PSYCHOLOGIE DU PEUPLE FRANÇAIS. — Paris 1898).

Za wpływem wielkich zdobyczy wiedzy, zdumiewających odkryć i wynalazków, ogarnął w drugiej połowie dogorywającego już stulecia całą Europę dla kulturalnej pracy taki potężny prąd cywilizacyjno-niwelacyjny, że w oczach naszych zdają się znikać zupełnie nietylko odległości i wogóle wszelkie zapory postawione przez naturę zbliżenia się ludzi między sobą, lecz także odrębności narodowo-polityczne i kulturalne, jakby skazane na powolne przejęcie z dziedziny etnografii w zakres archeologii. Wszechpotężny w czasach dzisiejszych obrót w ekonomicznem i wogóle społecznem tego słowa znaczeniu poddał temu prądowi nawet niektóre urządzenia państwowe, na których piętno odrębności zdawało się być trwale osłonięte względami politycznemi i nie zatrzymując się na dotychczasowych zdobyczach, drogą konwencyj i traktatów międzynarodowych dąży ciągle do nowych tak, jak gdyby w końcu miał drogą pokojową osiągnąć to, co dotąd wielcy zdobywcy stawiali sobie za kres swoich wypraw zwycięskich tj. utworzenia państwa uniwersalnego. Fantazya rozbudzona w tym kierunku pokusiła się już nawet o taki horoskop dziwaczny, jak utworzenie wszechświatowego języka, *volapüka,* mającego być ostatnim wyrazem zupełnego zlania się ludzi cywilizowanych w jeden wielki organizm ludzkości.

Daleko do takiego *volapüka* nawet w teoryi, bo jego fantastyczni propagatorowie jeszcze nie zgodzili się na główne za-

sady, ale mimo to cywilizowany Europejczyk przelatujący niejako w kilkudziesięciu godzinach z bulwarów paryskich na Newski prospekt w Petersburgu, nie uczuwający w tym przelocie przez różne kraje żadnej dywersyi w swej podróży, nie dostrzegający na wsiadających i wysiadających po różnych stacyach pasażerach błyskawicznego pociągu żadnej na oko widocznej różnicy a potem uderzony zewnętrznem podobieństwem całej panoramy miejskiej i całego życia miejskiego w obu kresowych miastach, mógłby już dziś na chwilę zachwiać się w mniemaniu, jakoby do zwycięstwa fantastycznych volapükistów było jeszcze tak daleko, jakoby zwycięstwo to miało być wogóle tylko rojeniem a nie jedną z blizkich już etap ewolucyi cywilizacyjnej w dotychczasowym kierunku. Ludzkość złożona z milionów tak podobnych do siebie indywiduów jak egzemplarze książki wydanej w milionowym nakładzie — oto kres dzisiejszego prądu cywilizacyjno-niwelacyjnego w oczach obserwatorów powierzchownych i płytkich!

Jakżeż odmiennie stan rzeczy się przedstawi każdemu, kto wejdzie weń głębiej. Po dokonanem w drugiej połowie tego stulecia połączeniu się jednoplemiennych małych państewek w jednolite wielkie organizmy narodowo-państwowe, jak Niemcy i Włochy, rozbudzona przez Napoleona III. idea narodowości nietylko nie straciła na swojej sile, lecz owszem jak wulkan niewygasły zapowiada na najbliższe czasy nowe wielkie erupcye, jak np. uważane za nieuniknione starcie się świata słowiańskiego z germańskim. Nietylko tam potężnieje ciągle poczucie odrębności narodowej, gdzie łączy się z niem, jak w Niemczech lub w Rosyi, świadomość wielkiej siły i aspiracye państwowe do tych sił stosowane, lecz nawet w tak nieszczęśliwym narodzie, jak polski, który poczucie to okupuje już sto lat bezprzykładnem w dziejach udręczeniem i prześladowaniem, który w obronie tego poczucia czoło stawić musi największemu a zarazem najbezwzględniejszemu i najbrutalniejszemu mężowi stanu współczesnej Europy, świeżo zmarłemu, ale w panującym krzyżackim systemie rządzenia ciągle żyjącemu księciu Bismarckowi!

Ale nie z samych tylko wielkich kryteryów, lecz i ze szcze-

gółów codziennego życia przebija na każdym kroku i wszędzie żywsza dziś niż kiedykolwiek żywotność odrębności narodowej. Niechby ów kosmopolityczny pasażer błyskawicznego pociągu jadący z Paryża do Petersburga zatrzymał się po drodze w Berlinie, Warszawie i t. d., niechby tam wszedł w styczność z szerszemi kołami ludności, a z pewnością, jeżeli tylko jest inteligentny, spostrzeże zaraz, że mimo jednostajności ulic, kamienic, tużurków męskich i kapeluszy damskich na ulicach, jednem słowem mimo zupełnego zewnętrznego podobieństwa krajów i ludzi, zachodzą takie różnice we wszystkich kierunkach i stosunkach życia, jak gdyby to były światy odgraniczone od siebie ścisłą linią demarkacyjną, że więc ludzie wyglądają już wprawdzie jak egzemplarze książki wydanej w nakładzie milionowym, ale podobieństwo to kończy się na samej okładce cywilizacyjnej. Pod względem treści cały ten stos milionowy jednakowych egzemplarzy podzielić trzeba na kategorye z wybitnemi znamionami odrębności, co znaczy, że ci na pozór jednakowi, bo ubrani w jednakowy uniform albo raczej w jednakową liberyę współczesną wszystko niwelującej cywilizacyi europejskiej, nie stanowią milionowego konglomeratu, lecz rozpadają się na odrębne grupy z oddzielnemi markami etnicznej odrębności. Ta niedostrzegalna na pozór marka bije w oczy przy pierwszej wymianie myśli między dwoma członkami tej samej grupy, bo przytem odsłania się zaraz ten tajemniczy węzeł psychiczny, który mimo wszelkich różnic indywidualnych całość etniczną łączy ściśle w jeden organizm z wspólnemi uczuciami, aspiracyami, poglądami i t. d., krótko mówiąc z wspólnym kierunkiem życia.

Sprawa tej etnicznej odrębności pośród świata na pozór przez współczesną cywilizacyę jednostajnie zniwelowanego i zuniformowanego jest nadzwyczaj wdzięcznym i dziś bardzo wziętym tematem przedewszystkiem dla socyologii i etnologii, a w całości lub częściowo dla innych nauk z powyższemi graniczących lub nawet współzawodniczących. Powstała w naszych czasach psychologia ludów z pretensyą do samodzielnej roli w szeregu nauk, utarła się nazwa d u s z a p l e m i e n n a lub d u s z a n a-

rodu tak, że mimo wszelkich wątpliwości co do ścisłości naukowej tego terminu liczyć się z nim już trzeba.

Jako przedmiot obserwacyi naukowej temat ten jest nieprzebrany, a metoda pozytywna badań naukowych miała przed sobą szerokie pole, na którem cele umiejętne łączą się ściśle z praktycznemi. Niema bowiem wątpliwości, że autokrytyka na takiej obserwacyi naukowej oparta, mogłaby być dla całych społeczeństw zbawienna, jak zbawienna jest dla jednostki refleksya poważna, czerpana z przeszłości, wskazówki o przymiotach i przywarach własnych a nadto i przestroga na przyszłość. Zbawienność ta wzrasta w miarę, jak naród pewien, jak np. polski a poniekąd i francuski, o ile nie podźwignął się jeszcze z pogromu r. 1870, śmiało przyznać się chce do własnych win i błędów, uważając takie przyznanie się za pierwszy i główny krok do zmiany na lepsze.

Ale pozytywizm współczesny jak na innych polach tak i tutaj popadł w błędy, które sprowadzają go z drogi wiodącej do pewnych i dodatnich rezultatów na manowce fikcyj i hipotez, w bezsilności swej daremnie przełamać usiłujących wieczyste granice ludzkiego poznania. Nie chcąc uznać tego za punkt wyjścia, że jak człowiek tak i zbiorowe organizmy, jedną całość etniczną stanowiące, wyszły z ręki Bożej i ostateczne cele bytu swojego mają ręką Bożą zakreślone, pozytywizm ze swojego stanowiska chce wszystko odgadnąć i określić, co było i będzie po wieki wielkiem misterium boskiego dzieła stworzenia. Antropologia np. mimo młodzieńczej siły swojej, jako nowa jeszcze, w granicach i celach swoich niezupełnie zdefiniowana nauka, próbuje pomiarami czaszek i wogóle szczegółami anatomicznemi nietylko rozklasyfikować indywidua pod względem moralnym (Lombroso), lecz także odgadnąć według podobnych kryteryów koleje, losy i przeznaczenia kulturalne całych plemion a w konsekwencyi i przyszły rozwój cywilizacyjny ludzkości na tle walki i mieszaniny czaszek podłużnych z krótkiemi, włosów ciemnych z jasnemi i t. d. i t. d.

Poza takiemi ekstrawagancyami, których kredyt w nauce na szczęście nie jest ani duży, ani długotrwały, popowstawały

teorye, które z dowolnych hipotez stworzyły sobie wiotkie rusztowanie dla formalnych proroctw. Jakie to proroctwa *pro futuro* łączące się oczywiście także z wrzekomem rozjaśnieniem najciemniejszych zagadnień przedhistorycznych stawiane bywają jeszcze ciągle przez socyologów, którzy w duszy plemiennej na tle eksterminacyjnej i na zawsze nieprzebłaganej walki rasowej widzą arcanum całego rozwoju cywilizacyjnego ludzkości! Weźmy np. następujące apodyktyczne twierdzenie Le Bon'a (w dziele o prawidłach psychologicznych rozwoju narodów): „W wielkich swych zarysach — mówi Le Bon — historya może być uważana jako prosty wykład rezultatów skombinowania się różnych ustrojów duchowych różnych ras. Wynika ona z tego ustroju podobnie, jak narządy oddechowe ryb wynikają z ich życia w wodzie. Bez uprzedniej znajomości duchowego ustroju narodu historya wydałaby się tylko chaotycznym i przypadkowym zbiegiem zdarzeń. Gdy przeciwnie poznamy duszę narodu, wówczas życie jego okaże się prawidłową i fatalną konsekwencyą jego psychologicznych właściwości. We wszystkich objawach życia narodu odnajdujemy zawsze niezmienną duszę rasy, która przędzie tkankę własnego losu". Więc skoro tylko napisana zostanie psychologia wszystkich ludów, przyszłość ludzkości stanie się niejako księgą otwartą i zrozumiałą dla wszystkich!

* * *

Alfred Fouillée, jeden z najwybitniejszych współczesnych filozofów i socyologów francuskich, napisał psychologię swojego narodu nie pod hasłem takiego fatalizmu rasowego i mechanizmu przyczynowego, jaki natchnął Le Bon'a, w powyżej przytoczonem dziele, najsmutniejszemi przepowiedniami o losach wrzekomo już na zagładę skazanej całej rasy łacińskiej a więc i Francyi z całym jej wielkim dorobkiem cywilizacyjnym. Fouillée nie postawił sobie wprawdzie bynajmniej za dewizę wielkiego hasła wielkiej przeszłości cywilizacyjnej Francyi: *gesta Dei per Francos*, ale też i nie traktuje tak bezwzględnie wszelkich „bożków" czyli wszelkich religij jako wrzekomo już przeżytej fazy historycznej w rozwoju narodów, jak to czyni Le Bon, dla któ-

rego wysnuty z poziomego naturalizmu a uzupełniony dowolnością hipotetyczną absolutną mechanizmu przyczynowości jest uniwersalnym dogmatem. W polemice z jednym ze skrajnych antropologów, przytaczających mniejszą religijność jako wrzekomy objaw wyższości ewolucyjnej Fouillée mówi: „Nie możemy uznać takiej wyższości plemion niereligijnych. Religia stanowi pierwszą etapę idealizmu, pierwszy wysiłek człowieka do wzniesienia się powyżej siebie samego, do przekroczenia ciasnego widnokręgu świata widzialnego". Słowa Descartes'a, że każdy powinien sprawiedliwie sądzić samego siebie tak z dobrych przymiotów jak i z przywar, odnosi Fouillée nietylko do sfery indywidualnej, lecz także i do narodowej autokrytyki a wskutek tego książka jego, traktująca rzecz z aktualnego stanowiska tj. z poglądem publicystycznym na współczesne stosunki we Francyi, posiada wybitny a przytem dla społeczeństwa cel praktyczny.

Sam temat poprzedzony jest w książce Fouillée'go wstępem i całym rozdziałem, ściśle naukowej treści o czynnikach składających się na powstawanie charakterów narodowych. Charakter ten jest ściśle związany z temperamentem, który znowu jest rezultatem zarówno ustroju dziedzicznego i znamion etnicznych jak otoczenia, środowiska fizycznego. Niepodobna, co prawda, ująć całego ustroju narodu w jedną definicyę, gdyż każdy składa się nietylko z różnorodnych indywiduów, lecz także z rozmaitych żywiołów prowincyonalnych i lokalnych. Między narodami istnieje dziś tak ożywiona wymiana myśli, łączność stosunków, wogóle komunikacya, że w każdym z nich znajdują się jednostki, które możnaby zaliczyć do sąsiedniego narodu tak pod względem moralnego ustroju jak co do typu fizycznego. Ale psychologia narodów nie zajmuje się indywidualnemi, lecz przeciętnemi typami a w takim razie nie można przecież zaprzeczyć tego, że charakter narodowy wpada w oko nawet przy zewnętrznej obserwacyi. Czyż np. Anglika nie poznaje się zaraz po wybitnie odrębnej fizyognomii? Czy dalej, jeżeli się bierze pod rozwagę ustrój zbiorowy, nie mają Francuzi coś wspólnego bez względu

na to, czy się Flamandczyka postawi obok Marsylijczyka, więc dwa typy wrzekomo odległe i niepodobne do siebie?

Istnieje tedy charakter narodowy, odbijający się mniej lub więcej na indywiduach nawet wtedy, gdyby się znamion nie spostrzegało na pewnych danych jednostkach lub grupach. Charakter ten nie jest samą tylko sumą charakterów indywidualnych. W łonie społeczeństwa jednolicie zorganizowanego, jak naród francuski, między jednostkami wytwarzać się musi takie wzajemne oddziaływanie, które doprowadza do jednakowych uczuć, myśli i aktów woli. Ta jednolitość, na którą składają się jednostki, wywiera z drugiej strony wpływ na nie; jest tedy nietylko skutkiem, lecz zarazem i przyczyną. Ale zbiorowy i przeciętny typ Francuzów dzisiejszych nie może być jeszcze uważany za wierny a ogólny wyraz prawdziwego charakteru narodowego. Każdy naród bowiem posiada historyę, tradycye wiekowe, więc składa się, jak mówią etnologowie, więcej ze zmarłych, niż z żyjących pokoleń. Z tych tradycyj powstają idee, uczucia i instytucye narodowe, z pod których wpływu wyłamać się nie może pokolenie, jako spadkobierca całej wielkiej spuścizny historyczno-społecznej.

Żeby dać przybliżone pojęcie o sile i trwałości tego wzajemnego oddziaływania jednych indywiduów na drugie i jednych pokoleń na drugie, bierze Fouillée za punkt wyjścia obserwacyę wspólności reakcyi w takim przypadkowym i chwilowym aglomeracie, jaki stanowi tłum, tak dziś wzięty, bo rzeczywiście bardzo wdzięczny i pouczający objekt obserwacyjny dla psychologii zbiorowej. Fouillée przyjmuje jako swoje wyniki obserwacyjne innych pisarzy, głównie Tarde'a, który z większą od innych subtelnością przedstawił cały proces wytwarzania się w tłumie wspólności uczuć i porywów, jakie niby zlewając się z indywidualnych dopływów w jedną potężną falę, unoszą ze sobą wszystko i wszystkich. Tarde rozszerzył i pogłębił socyologicznie teoryę o psychologii tłumu w dziele o prawidłach naśladownictwa, jako głównego czynnika, niejako motora tego wielkiego ruchu społeczno-cywilizacyjnego, który stopniowo wytwarza organiczną łączność w mniejszych i większych grupach

ludzi z wszystkich ogarniającą siłą suggestyi hypnotycznej. To ostatnie wyrażenie przyjmuje Fouillée w tem restrykcyjnem znaczeniu, że „między mózgami indywiduów wytwarza się jedna całość wpływów, doprowadzająca do organizacyi uczuć i idei, której objaśnienie nie przebija w jednem indywiduum, nawet nie w prostej sumie indywiduów, lecz w ich wzajemnej zależności, a to tak w stosunku jednych do drugich, jak i w stosunku do tych, które je poprzedziły. W tym tylko sensie można mówić o organizmie narodowym tj. o takiej solidarności, że objaśnienia części szukać należy w całości a objaśnienia całości w częściach. Stany świadomości jednostek mogą odbijać się na świadomości ogólnej, ale nie bezpośrednio; działają one wzajem na siebie przez wejście w kontakt, a dopiero rezultat tej wzajemnej akcyi zmienia mniej lub więcej narodowy ustrój fizyczny. Ustrój ten bezpośrednio wypływa z warunków, w których znajduje się całość organizmu społecznego, a które nie są identyczne z warunkami, w których znajdują się indywidua. Należy zatem dobrze odróżniać warunki narodowe od indywidualnych; charakter narodowy zawisł bezpośrednio od pierwszych a pośrednio od drugich. Zachodzi tedy między siłami działającemi kombinacya społeczna, w rezultacie tak samo nowa, jak kombinacya tlenu z wodorem w wodzie. Każdy naród posiada w pewnem znaczeniu własną świadomość i własną wolę. Jest to prawda socyologiczna, nadto zapoznawana w ciasnych systemach tak ekonomii społecznej i polityki, jak psychologii i moralności, które grupując się około indywidualizmu doprowadzają do prawdziwego atomizmu społecznego“.

Indywiduum nie gubi się, nie tonie w swej całości etnicznej, lecz posiada własne uczucia i idee kierujące jako motory woli, które jednak mimo odrębności swojej nie stają w poprzek dążeniu całości, lecz mniej lub więcej z niemi się godzą. „Każdy Francuz — mówi Fouillée — ma swoją własną funkcyę w narodzie, ale chociażby jego interesa i obowiązki były indywidualne, zawsze są mniej lub więcej połączone z interesami i obowiązkami Francyi. Nie możemy zatem nie posiadać w naszym mózgu myśli obrazowych o dobru publicznem i o ideale wspólnym,

mniej lub więcej ściśle rzecz oddających, mniej lub więcej w takim stosunku do nas zostających jak środek do perspektywy. Stąd pochodzi, że w całości mózgów i świadomości znajduje się system idei odzwierciedlających środowisko socyalne tak samo jak system idei odzwierciedlających środowisko fizyczne. Jest to determinizm zbiorowy, którego część tkwi w nas samych a część we wszystkich innych członkach całości. Ten system idei wzajemnie od siebie zależnych tworzy świadomość narodu, która nie tkwi w mózgu kolektywnym, lecz w ogóle mózgów indywidualnych i która nie stanowi prostej sumy inteligencyi indywidualnych".

Wobec takiego tłumaczenia łączności w narodzie Fouillée musi uważać używane przez innych socyologów terminy takie, jak „dusza narodu", „jaźń narodowa", tylko za abstrakcye. W konsekwencyi nazywa uzurpacyami i mistycznemi fikcyami tak apodyktycznie zwłaszcza w kołach demagogicznych powtarzane zdania, jakoby wota wyborcze stanowiły wyraz woli narodowej. Charakter narodowy niezawsze najlepiej uwydatnia się na tłumie, w pospólstwie lub nawet w większości aktualnej. Jest w narodzie elita naturalna, która lepiej niż cała reszta reprezentuje duszę całego ludu, jego myśl najgłębszą i jego wolę istotną. Jednostka nie zna woli narodowej, na którą składają się aspiracye indywidualne, ich wzajemne oddziaływanie i wypadkowa tych czynników. Świadomość tej woli nie można nawet przypisywać geniuszowi, chociażby tak wielkiemu, jakim zajaśniał Napoleon. Jedynie przyszłość w biegu czasu odsłania prawdziwy kierunek ruchu narodowego. Można go w danej chwili tylko przewidywać z większą lub mniejszą chwiejnością, według historyi przeszłości i według stanu narodu w danej chwili.

Na charakter narodowy nie składają się same tylko czynniki fizyologiczne i etnograficzne lub ekonomiczne. Indywidualność narodowa objawia się przedewszystkiem w kierunku psychologicznym, w mowie, religii, poezyi, sztuce, pomnikach, w opinii, którą społeczeństwo samo o sobie lub inni o niem wyrażają, wreszcie w jego bohaterach i reprezentantach historycznych. Historya rzuca także światło na charakter naro-

dowy w takim razie, jeżeli się bierze w rachubę różne okresy i wysnuwa z nich niejako przeciętną historyczną. Bywają bowiem w dziejach narodu okresy, w których zbieg szczególnych okoliczności, mianowicie niezwykłych objawów z życia intelektualnego, moralnego i artystycznego nadaje indywidualności narodowej charakter niezupełnie zgodny z jej właściwym geniuszem.

Fouillée bierze w rachubę wszystkie zdobycze, uzyskane dla wiedzy drogą badań pozytywnych, więc w rozbiorze czynników formacyi charakteru narodowego nie pomija składników fizycznych, organizacyi fizyologicznej, temperamentu, rasowych znamion, selekcyi naturalnej i społecznej. Zawsze jednak przestrzega tak ochoczo, czy nawet swawolnie przez innych pozytywistów przekraczanej linii demarkacyjnej między wnioskiem racyonalnie wysnuwającym się z faktów sprawdzonych, a fantastyczną hypotezą, między umiejętną kombinacyą wszystkich a jednostronnem wynoszeniem niektórych tylko szczegółów, więc między pewnym gruntem naukowym ścisłych obserwacyj a trzęsawiskiem paradoksów i sądów jednostronnych. To też wobec socyologów, kładących nacisk na znamiona rasowe, słusznie podnosi, że schodzą one na drugi plan w miarę, jak wzrasta cywilizacya, a natomiast równocześnie podnosi się znaczenie środowiska społecznego i moralnego. Formułką selekcyjną, w społecznem tego słowa znaczeniu, objął Fouillée także niezdrowe współczesne objawy życia społecznego, jak np. hypertrofię miast kosztem wsi, coraz więcej się wyludniających, ujemne moralne skutki dzisiejszego militaryzmu, dzisiejszą politykę i t. d. Ostatniej najwięcej się przytem dostało. „Selekcya polityczna — mówi autor — jest czynnikiem poniżenia i serwilizmu. Jest ona bezpośrednio lub pośrednio zgubną dla ludów“. Bez zastrzeżenia przyłącza się tutaj Fouillée do zdania innego socyologa, że „polityka zgubiła Grecyę i Rzym, kwitnące republiki włoskie i Polskę“.

Rozdział o selekcyi naturalnej i społecznej kończy się ustępem, który dosadnie charakteryzuje stanowisko autora wobec innych socyologów francuskich skrajnego obozu pozytywistycz-

nego. „Trzeba to uznać, — mówi Fouillée — że postęp ludzkości nie dokonuje się fatalistycznie w samej tylko grze „praw naturalnych". Postęp moralny wymaga moralności indywiduów, postęp społeczny wymaga, aby społeczeństwa same pracowały nad swoją przyszłością, a nie zdawały się tylko na losy zwierzęcej walki o życie. O ile optymizm dawnych szkół był nie dość umiejętny, o tyle takim samym jest swoją drogą bezwzględny pesymizm pewnych darwinistów, którzy historyę sprowadzić chcą na stanowisko prostego wyrazu życia ras".

Słowa te w dziele Fouilléego stanowią wybitny, godny zapisania objaw wzrastającej dziś reakcyi naukowej przeciw skrajnym prądom, które do niedawna zdawały się jeszcze posiadać pewien kredyt naukowy. A trzeba dodać, że nie jest to w książce Fouilléego jedyny symptom tego rodzaju. Jest ich tyle, że możnaby złożyć z nich ciekawą wiązankę, gdyby obawa zbytniego rozszerzenia ram tej pracy nie zmuszała nas do poprzestania na jednym przykładzie.

Równie dobitnie występuje Fouillée z tą swoją opinią naukową w następnym rozdziale, w którym jest mowa o wpływie klimatu i całego środowiska fizycznego, wpływie przecenianym do przesady nietylko przez skrajnych darwinistów, lecz nawet przez pisarzy innego pokroju. Prawie równocześnie z książką Fouilléego pojawiło się w Paryżu dzieło (Edwarda Demolins'a p. t. *Les Français d'aujourdhui*), w którem fizyczne środowisko różnych stron Francyi omawiane jest jako czynnik tak rozstrzygający o temperamencie, charakterze i całym ustroju psychicznym i intelektualnym ludności, że autor mówiąc o jej typach, używa nawet wyrazu „fabrykacya", a czytelnik odnosi to wrażenie, że kiedyś rząd francuski będzie rozkazami tak regulował „fabrykacyę" Normanów, Bretonów i t. d., aby z całego amalgamu utworzyła się ludność francuska, odpowiadająca najlepiej danej polityce państwowej, np. militarnej, rolniczej, handlowej, przemysłowej i t. p. Dlaczegóż nie miałby wpaść na taki koncept czytelnik, jeżeli przedtem czytał wiele o tem, jak to pewien profesor wiedeński (dr. Schenk) odkrył tajniki przyrodnicze genezy płciowej i wskazał środki, za pomocą których rodzice

mogliby sobie z góry zapewnić potomstwo takiej płci, jaka im się właśnie podoba?

Stanowisko Fouilléego streszcza się pod tym względem w tem zdaniu lapidarnem: „Środowisko *(le milieu)* modyfikuje zwierzę, człowiek zaś modyfikuje samo środowisko. Społeczeństwo formuje indywiduum i na niem wyciska swoją markę". Że wyliczone dalej środki tej modyfikacyi nie są fizycznej, lecz duchowej i moralnej natury, to się już rozumie. Równie krótkiem a jędrnem zdaniem daje Fouillée odprawę tym, którzy oparci na teoryi Marxa stosunkami produkcyi i walką klas chcieliby jednostronnie objaśnić formacyę ustrojów psychicznych. „Stan sił produkcyjnych — mówi Fouillée, powtarzając nie bez zastrzeżenia tę ogólnikową i niejasną formułkę — stanowi pewnie jedną z ważnych przyczyn, odgrywających rolę w ewolucyi. Czyż jednak uczucia i namiętności ludzi i ludów, ich dążności i instynkty, ich idee i wierzenia, ich wiedza i ich moralność nie wywierają wcale wpływu i czy wszystko, nie wyjmując charakteru ludów, można sprowadzić do kwestyi żołądka?"

W ostatnim rozdziale części ogólnej, zawierającym niejako perspektywę na przyszłą cywilizacyjną ewolucyę ludzkości, Fouillée jest tak samo daleki od jednostronności i od junactwa skrajnych darwinistów w stawianiu wrzekomo pewnych horoskopów, jak w rozbiorze wpływu i znaczenia czynników tej ewolucyi. Nie uważa on nawet psychologii ludów za zupełnie pewną podstawę do stawiania horoskopów, chociaż z drugiej strony nauce tej zakreśla ważne zadania. „Historya — mówi autor — powinna zaczerpnąć z niej nowe światło, gdyż sama stanowi tylko przygotowanie materyałów dla ogólnej nauki o społeczeństwach, która zbada nietylko przeszłość ludów, lecz także prawa żywotne, rządzące ich ewolucyą. Pomiędzy temi prawami psychologiczne mają pierwszorzędne znaczenie. Dążąc do umiejętnego wydoskonalenia, historya stanie się tylko zastosowaniem psychologii społecznej do jednej części nauki społecznej. Jako opis faktów, a nawet jako krytyka dowodów, historya jest tylko pracą dokumentową, środkiem badań; stanowi refleksyę z doświadczeń ludzkości, ale z tego tytułu nie byłaby jeszcze prawdziwą

umiejętnością, czem staje się przez wysnuwanie prawideł społecznych z faktów. Historya socyologiczna nie zawiera stadyów *ad narrandum*, ani *ad probandum*, lecz *ad intelligendum*".

Własny pogląd na przyszłość zamyka Fouillée w tych słowach: „Nawet gdy się bada całe ludy, posiadające charakter bardzo wybitny, nie można stawiać innych horoskopów, jak tylko ogólne i niepewne. Koło historyi nie wraca nigdy na punkt dawny; historya nie powtarza się; postęp naszych społeczeństw stanowi dramat wzniosły, którego myśl możemy tak uchwycić, abyśmy w nim spełnili należycie naszą rolę, którego rozwiązania jednakże przewidzieć nie możemy". Inaczej wyglądają horoskopy radykałów naukowych materyalistycznego autoramentu. Le Bon np. kończy swoje powyżej już powołane dzieło tem zdaniem apodyktycznem: „Historya w kółko się obraca".

W długim ekskursie historyczno-etnologicznym, który pominąć musimy i nawet możemy, Fouillée przedstawia etniczne składniki społeczeństwa francuskiego w procesie ich unifikacyi z tą z góry wypowiedzianą myślą, że „mało narodów zrealizowało w takim stopniu, jak naród francuski, typ jedności moralnego charakteru, opartej na wiekowej wspólności uczuć i idei". Chyba mimochodem przytoczymy z tego ekskursu szczegół, że z nazwy niektórych miast zachodniej i środkowej Europy, między innemi Krakowa tak samo jak Wiednia, wysnuty został wniosek, iż one zawdzięczają powstanie swoje protoplastom etnicznym narodu francuskiego, Galom.

Galia i jej dawna ludność przedstawiona została przez Fouilléego za świadectwem pisarzy rzymskich pod względem historyczno-etnologicznym w takiem świetle pochlebnem — czem jako niekompetentni do sądu naukowego nie chcielibyśmy bynajmniej kwestyonować ścisłości krytycznej autora — aby stąd już padał jasny refleks na charakter narodowy dzisiejszych Francuzów. Galowie przedstawieni są przytem jako żywioł etniczny o nadzwyczajnej a inteligentnej sile cywilizacyjno-asymilacyjnej, która pozwoliła mu połączyć się kulturalnie jak najściślej ze zwycięskimi Rzymianami bez zatraty własnego indywidualizmu, owszem nawet z wymuszeniem u zwycięzców sympatycznego

respektu dla tego indywidualizmu. Przebija z tego wcale wyraźnie tendencya, aby francuski naród został wyodrębniony historycznie i etnologicznie wobec innych narodów grupy łacińskiej, które właśnie z tytułu latynizacyi skazywane są przez wielkich socyologów, nawet francuskich (np. Le Bon), na niechybną zagładę w przyszłej ewolucyi.

Zredukowawszy w ten sposób wpływ żywiołu rzymskiego na formacyę charakteru narodowego Francuzów, a następnie jeszcze więcej wpływ żywiołu germańskiego, Fouillée kreśli obraz tego charakteru według dzisiejszego stanu. Jest to obraz mistrzowski, bo przedmiot występuje na pierwszy plan wypukle ze wszystkiemi rysami dodatniemi i ujemnemi, zlewającemi się w całość skończoną. Że w tym obrazie społeczeństwo francuskie może tak się przedstawia, jak piękna kobieta na pięknej fotografii, na której jeszcze w dodatku wszystko wypadło *en beau* dlatego, że fotograf umiał po mistrzowsku skombinować wszelkie warunki po temu, to rzecz niezawodna, ale zarazem i naturalna. W osobnym rozdziale Fouillée przytoczył zdania cudzoziemców o Francuzach, nie ukrywając wcale zawistnych i zjadliwych, więc mógł w własnej charakterystyce złagodzić niejedno w stosownem ugrupowaniu, nietylko bez ujmy dla wierności obrazu, lecz nawet bez uszczerbku dla celów zdrowej, ale sercem dyktowanej autokrytyki. Oto wybitniejsze rysy tej charakterystyki.

Wielka wrażliwość stanowiła zawsze w temperamencie społeczeństwa francuskiego cechę znamienną. I dziś możnaby powiedzieć to samo, co powiedział Strabon, charakteryzując pod tym względem ludność dawnej Galii. Wrażliwość ta, ugruntowana nie w chorobliwym, lecz odziedziczonym normalnym ustroju nerwowym, jest zdrowa w swoich objawach, bo zwraca się ku przyjemnym wrażeniom i w lot je chwyta, niejako pochłania, odwracając zarazem uwagę od wszystkiego, co wiedzie do depresyi. Jesteśmy — mówi autor — wskutek tego mniej skłonni do namiętności skoncentrowanych, aniżeli do entuzyazmu, pod czem rozumieć należy egzaltacyę, nagle wybuchającą, często przelotną, pod wpływem jakiej wielkiej idei lub uczucia. Jeżeli idea zmieni

się, a umysł za wpływem nowej refleksyi zwróci się w inny kierunek, to zaraz zmieni się oryentacya uczuć, gdyż były one nie tyle wyrazem wewnętrznego ustroju, jak raczej śladem prądu myśli, które po nim przebiegły.

Drugiem znamieniem wrażliwości francuskiej jest jej dążność odśrodkowa, co znaczy, że udziela się całemu otoczeniu, wskutek czego między Francuzami w większej liczbie zebranymi wytwarza się niejako na poczekaniu ścisła łączność w uczuciach, tak łatwo i tak szybko, jakby za wpływem wzajemnej suggestyi. W tej właściwości tkwi zaród tego wyższego instynktu społecznego, którym chlubią się Francuzi, a na który oprócz naturalnych przymiotów złożyły się jeszcze i inne czynniki, mianowicie przyczyny intelektualnej i historycznej natury. Francuz nie znosi osamotnienia ani w życiu, ani w działaniu, a łączność z innymi uważa nietylko za warunek siły, lecz także za główny czynnik szczęścia. Często jednoczy się ten psychiczny przymiot z naiwnem pojmowaniem rzeczy w ten sposób, że co Francuza robi szczęśliwym, to cały świat uszczęśliwiać powinno, że cała ludzkość powinna tak myśleć i czuć, jak Francya. Stąd pochodzi prozelityzm francuski, którego ślady pozostały w politycznej i społecznej historyi Europy.

Ujemną stronę tej wrażliwości stanowi skłonność do płochości, która zajęta chwilą nie ogląda się na przyszłość, z wesołością łączy wielki optymizm i zaufanie w własne siły, w gwiazdę szczęśliwą narodu. Jeżeli z takim optymizmem połączy się otwartość, piękna w życiu towarzyskiem, ale zgubna w politycznem, dalej odwaga łatwo posuwająca się aż do ślepej zapamiętałości, zamiłowanie w swobodzie, nieoglądające się na granicę karności, impresyonizm w decyzyach, które nieraz tak łatwo ulegają zmianie, jak powstały, — to powstanie fatalny zbieg małych stosunkowo przyczyn, które we Francyi złożyły się już tyle razy na tragiczne następstwa. Fouillée wylicza wszystkie te ułomności charakteru francuskiego łagodnie i nie wspomina o ich skutkach fatalnych, ale tego uważać nie można za zapomnienie lub lekceważenie samej istoty rzeczy. Po ostatniej katastrofie wojennej francuskie społeczeństwo przebyło już taką

szkołę poważnej refleksyi, że nie potrzeba już drażnić ran zabliźniających się, aby osiągnąć skutek zamierzony. Wystarcza już takie wskazanie na ułomności charakteru, aby utrwalić tę refleksyę i dać przestrogę.

Wrażliwości temperamentu odpowiada ta, że tak powiemy, porywczość intelektualna, z jaką Francuz, nie oglądając się na balast szczegółów, dotrzeć chce od razu do istoty rzeczy, ogarnąć je jednym i to pierwszym rzutem oka. „Ponieważ — mówi Fouillée — stroną najdostępniejszą dla pierwszego rzutu oka jest powierzchna, przeto dziwić się nie można, że we Francyi przeciętna inteligencya jest często powierzchowną". Znowu delikatne odsłonięcie jednej przywary, która nieraz Francuzom fatalnie dała się we znaki skutkami swemi.

Za to jednak może jeszcze nie dość wysoko wyniósł Fouillée dodatnie strony tej inteligencyi w zakresie, w którym ona łączy się z poważnem traktowaniem rzeczy poważnych. O całe niebo wyżej stoi Francuz np. w traktowaniu rzeczy naukowych w porównaniu z Niemcem. Kiedy pierwszy od razu rzuca snop światła na kwestyę omawianą i czytelnik widzi jej główną stronę jakby kamienne dno górskiego strumyka z jasną jak łza wodą, drugi wiedzie ze sobą czytelnika po ciernistej drodze ciężkiej argumentacyi, każe mu wspinać się po mnóstwie szczebłów tej ciężkiej drabiny, jaką w jego pojmowaniu rzeczy jest prawdziwa umiejętna metoda, czasem nawet każe mu przed wyprowadzeniem na jasny teren, z rozmyślnem ominięciem najkrótszej drogi, przebywać cały labirynt ciemnych krużganków i przesmyków, t. j. sceptycznych alternatyw i drobiazgowych kostrukcyj.

Wyobraźnia Francuzów nie jest w regule zbyt silna. Fouillée nazywa ją logiczną i kombinacyjną, skłonną więcej do otwierania dalekich poglądów intelektualnych, aniżeli do stwarzania obrazów życia i świata. „Więcej rozumem pracujemy — mówi autor — aniżeli wyobraźnią, a najlepiej obejmujemy wyobraźnią nie świat zewnętrzny, lecz świat wewnętrzny uczuć, a przedewszystkiem myśli".

Intelektualizm francuski nacechowany jest dążnością do uniwersalności idei i ich wcielania w czyny. „My się nigdy nie

zadawalamy — mówi autor — czystą, niejako platoniczną kontemplacyą, lecz jesteśmy dogmatyczni a przytem praktyczni. Jeżeli nasz dogmat okaże się prawdziwym, to wtedy jesteśmy zdolni do dokonania dzieł największych. Jeżeli jednak na nieszczęście rozum zawiódł nas na błędne tory, to posuwamy się w błędzie do kresu i rozbijamy sobie w końcu głowę o niezłomne zapory rzeczywistości". Ten rys charakterystyczny intelektualizmu francuskiego w połączeniu z wpływem kultury rzymskiej, w której rozumowi kosmopolityzm rzymski zakreślił stanowisko kierujące i niejako rolę uniwersalnego ustawodawstwa, tłumaczy, zdaniem autora, fakt, że we Francyi po otwarciu szerokich widnokręgów ludzkich przez katolicyzm, racyonalizm wyniesiony został do najwyższej potęgi filozoficznej. Do tej interpretacyi racyonalizmu francuskiego w każdym razie wypada dodać zastrzeżenie, że katolicyzm w tej roli, jaką mu tutaj wyznaczono, musi być chyba pojmowany inaczej, aniżeli go pojmują — katolicy! Nie najlepiej zresztą wychodzą Francuzi na tej pewności siebie, skoro sam Fouillée mimo wszelkiego uwielbienia dla racyonalizmu francuskiego musi w końcu przyznać, że „społeczeństwo francuskie zbyt często zadowala się fałszywą jasnością idei. Połowiczne rozwiązanie wydaje mu się jaśniejszem, niż rozwiązanie całkowite. Mniema ono, że pojęło część przed pojęciem całości. Jest to podwójne złudzenie niecierpliwości francuskiej, bardzo niebezpieczne, zwłaszcza w zakresie społecznym. Francuzi prędzej niż Goethe powinniby wołać: „Światła, więcej światła!"

(Dok. nast.).

Dr. Bronisław Łoziński.

REFORMA DROGOWA W GALICYI.

Już od dłuższego czasu odzywały się w Galicyi wśród szerokich warstw ludności głosy, domagające się reformy ustawy drogowej z r. 1866, jak i następnie noweli drogowej z r. 1885. § 12 ustawy z r. 1866 przyjmował jako główną podstawę pokrycia wydatków połączonych z utrzymywaniem dróg gminnych (tj. dróg jedynie znaczenie lokalne mających) jedynie prestacye w naturze, postanawiając przytem, że robota przy drogach gminnych rozkłada się na mieszkańców gminy k o l e j n o, a to w gminach wiejskich według numerów domowych, w gminach zaś miejskich wedle ilości rodzin, dalej że „więcej jak s z e ś ć dni od jednego numeru domowego lub jednej rodziny nie można w ciągu jednego roku wymagać“, a wreszcie że obszar dworski wolnym jest od udziału w robocie a natomiast winien dostarczyć potrzebnego do budowy i utrzymania dróg gminnych materyału drewnianego a jedynie w razie potrzeby należy zarządzić składkę pieniężną, do której tak obszar dworski jak i gmina winna się przyczynić w miarę opłacanych podatków bezpośrednich.

Że co słowo, to niesprawiedliwość w tej ustawie, nie trzeba zdaje się wiele udowadniać. Wszak skoro prestacye miały być świadczone kolejno, to chyba bardzo łatwo było się uchylić od świadczenia tej prestacyi bogatszym. I rzeczywiście „chałupnicy tylko wykonywali ‚szarwarki‘“, gdyż wprowadzona tą ustawą

kolej, nigdy nie dochodziła do rodzin patrycyuszów wioskowych“ [1]. Równość zaś ciężarów istniejąca w ustawie z r. 1866 była również co najmniej niewłaściwa, skoro za podstawę świadczeń brano numer domu (na wsi), w mieście zaś rodzinę. Zapewne, że posiadanie domu stanowi pewną miarę zamożności. Ale najpierw trzeba uwzględnić, że jak wszelkie podatki przychodowe, tak i prestacye, których podstawą jest dom, są w wysokim stopniu niewłaściwe, bo podciągają pod jeden strychulec gospodarstwa o bardzo różnej sile ekonomicznej, a powtóre specyalnie taka miara i taka podstawa ocenienia przychodów jak dom, jest jeszcze dalszą prawdy niż np. rozmiary i wydatność gruntów [2].

Obowiązek nałożony na obszary dworskie dostarczania materyału drewnianego, także nie bardzo był właściwym, ponieważ niejednokrotnie albo drzewa do budowy drogi wcale nie potrzeba albo bardziej przydatnym byłby kamień, albo też przywóz drzewa, dostarczonego zarządowi drogowemu, nie opłaci się, bo koszta transportu przewyższają o wiele wartość dostawy [3].

Ale i inną jeszcze bardzo ważną wadę miała ustawa z r. 1866. Było nią samo istnienie prestacyi w naturze. Wprawdzie zauważono niejednokrotnie, że wobec braku przemysłu, wobec trudności zarobku, trudno przychodzi chłopu postarać się o grosz w gotowiźnie. Ale już austryacki ekonomista z XVIII. wieku, Sonnenfels, trafnie zauważył: *Die Fronden sollen durch bezahlte Arbeit ersetzt, die Mittel durch Weggelder aufgebracht werden* [4]. Spostrzeżono to bowiem już od dawna, że robotnik płatny pracuje o wiele chętniej wówczas, gdy spodziewa się zapłaty za swą pracę, niż gdy tylko odrabia swą powinność [5]. W Galicyi zwła-

---

[1] Zenon Głażewski, „Nasze krajowe ustawodawstwo drogowe“. (*Prawnik* 1888, str. 50).

[2] Por. Dr. Stanisław Głąbiński, „Wykład nauki skarbowej“. Lwów 1894.

[3] Dr. Jan Hupka, „Kilka słów w kwestyi reformy ustawy drogowej“. Kraków 1896.

[4] O Sennenfelsie mówi obszernie Roscher, *Geschichte der Nationalökonomik in Deutschland*, str. 548 i n.

[5] Hubar, *Die Wege. Handwörterbuch der Staatswissenschaften.* T. VI, str. 646.

szcza stały się te prestacye zupełnie prawie bezcelowemi. Nietylko że wójt pełniący faktycznie wyłącznie zarząd dróg, niejednokrotnie dopuszczał się nadużyć, jak o tem świadczą urzędowe relacye Wydziałów powiatowych, nietylko że uwalniał wielu obowiązanych do prestacyi, ze względu na pokrewieństwo, powinowactwo lub z innych powodów, nietylko że prestacye te świadczyły i świadczą osoby do tego najczęściej niezdolne, bo starcy lub niedorostki, ale i wogóle (nawet w razie zdolności do świadczenia prestacyi) „robocizna powyższa po największej części marnuje się bezpożytecznie“ [1]. „Potrzebaby wychować i oświecić całe pokolenie — mówi Wydział powiatowy w Brodach — które zrozumiawszy nietylko swój własny interes lecz i obowiązki społeczne, chciałoby chętnie i użytecznie w tym kierunku pracować“.

Zarząd drogowy składał się z wójta i przełożonego obszaru dworskiego. Pominąwszy jednakże fakt, że w wielu gminach niema obszaru dworskiego (ogółem było w Galicyi gmin politycznych 6.238, zaś obszarów dworskich tylko 5.943, więc 295 miejscowości, w których nie było obszarów dworskich) [2], to i tam, gdzie obszary takie istniały, przełożeni tychże obszarów niejednokrotnie ociągali się z pełnieniem swych funkcyj w zarządzie drogowym, tak że faktycznie naczelnik gminy wykonywał ten zarząd wyłącznie. Wiadomo zaś, że naczelnicy gminy zbytnią inteligencyą nie grzeszą. I tak w r. 1877 było w Galicyi w 6 powiatach 65% wójtów nieumiejących czytać ni pisać, w 4 powiatach 70%, w 8 powiatach 75%, w 9 powiatach 80%, w 13 powiatach 85%, w 19 powiatach 90%, w 10 powiatach 95% [3].

---

[1] Opinia Wydziału powiatowego w Czortkowie. (Materyały do reformy ustawy drogowej. Dodatek do sprawozdania z czynności departamentu IV. Wydziału krajowego za czas od 16 grudnia 1894 r. do 30 listopada 1895 r., str. 5).

[2] W poszczególnych powiatach politycznych stosunki pod tym względem były bardzo rozmaite. Por. „Podział terytoryalny kraju“ (Alegat 2 do sprawozdania Wydziału krajowego l. 77891/95). Tablica I.

[3] Kleczyński, „Życie gminne w Galicyi“ (*Wiadomości statystyczne* Rocznik IV).

Wydziały powiatowe sprawują wprawdzie nadzór nad zarządami drogowemi, ale „brak bezpośredniej egzekutywy paraliżuje wszelkie zabiegi i zarządzenia mające na celu użyteczne wykorzystanie sił roboczych szarwarkowych“ [1].

Nie sądzimy zresztą, by świadczenia pieniężne dały się tak rzeczywiście ciężko odczuć ludności galicyjskiej, zwłaszcza jeśli do wykonania robót wynajmie się mieszkańców dotyczącej gminy, także więc ubytek w pieniądzach mogący się tak ciężko dać odczuć ludności zarobkującej, nie będzie znów dla niej tak wielkim, ponieważ będzie zrównoważonym w zupełności prawie zarobkiem, jakiego tej ludności dostarczą roboty drogowe.

Pewne zmiany na lepsze nastąpiły w noweli z 7 lipca 1885. Pokrycie wydatków bowiem wedle tej noweli odbywa się w sposób następujący: „od każdego numeru domu położonego w gminie wiejskiej lub na obszarze dworskim i od każdej rodziny a względnie partyi prowadzącej samoistne gospodarstwo domowe, a zamieszkałej w gminie wiejskiej, odrabiać należy rocznie cztery dni piesze“. Oprócz tego postanawia ustawa, że „kto opłaca podatek bezpośredni, przypisany w gminie lub na obszarze dworskim, uiszcza rocznie oprócz prestacyi powyższej 3% dodatku do podatków bezpośrednich“. Obowiązki obszaru dworskiego określono dokładniej, bo postanowiono, że „obszar dworski winien wydać na potrzeby do budowy i utrzymania dróg gminnych materyał drewniany, o ile przeciętna wartość tegoż nie przewyższa w ciągu roku 5% dodatków do opłacanych przez obszar dworski podatków bezpośrednich“. Prócz tego wprowadzono tu postanowienia, które mają na celu lepsze zużytkowanie prestacyj drogowych, postanawiając między innemi, że osoby, które nie ukończyły 18 roku życia, lub też wskutek starości są niezdolne do pracy, nie mogą być używane do robót prestacyjnych.

Nakoniec postanowił § 30 tej noweli, że Wydział powiatowy winien w razie, jeżeliby organa miejscowe nie utrzymywały dróg gminnych w dobrym stanie lub używały w sposób

[1] Materyały l. c. str. 3.

nieodpowiedni prestacyi funduszów drogowych, za zgodą politycznej władzy powiatowej objąć bezpośredni zarząd dróg gminnych.

Reformy wprowadzone nowelą z r. 1885 były niewątpliwym krokiem naprzód. Nietylko że zmniejszyła ta ustawa prestacye *in natura* z 6 na 4 dni, ale zasadę świadczeń *in natura* wprowadziła w kombinacyi z zasadą 3% dodatku do podatków bezpośrednich i utworzyła w ten sposób zaczątek powiatowego funduszu dróg gminnych. Wprowadziła również obowiązek świadczeń powszechny, bo postanowiła, że każdy winien odrobić 4 dni prestacyi, że kto, czy z własnej winy, czy dlatego, że więcej roboty nie było potrzeba, jest zmuszony wykupić się do dni 30 po ukończonym roku, według cen wykupna, ustanowionych przez Radę powiatową.

Gdy uchwalono tę ustawę, łączono z jej wprowadzeniem w życie wielkie nadzieje. Postanowienia o odrabianiu prestacyi i o nadzorze przez Wydziały powiatowe, zdawały się dowodzić, że ustawa ta będzie nietylko lepszą niż poprzednia, ale że także będzie lepiej wykonywaną. Niestety nadzieje te po większej części nie ziściły się wcale lub ziściły się tylko w bardzo drobnej mierze.

Ciężary, wprowadzone nowelą z r. 1885 były wprawdzie równe, ale właśnie dlatego rozkład ich był niewłaściwym, ponieważ nie uwzględniał stosunków indywidualnych poszczególnych podatników i nie pociągał ich do uiszczania prestacyj drogowych w miarę ich siły ekonomicznej, tylko bez względu na tę siłę. Obowiązki obszarów dworskich nie były ściśle określone i dawały dość powodu do częstych sporów administracyjnych. Prestacye drogowe zawsze jeszcze nie były spłacane w gotówce, lecz uiszczane *in natura*. W zarządzie drogowym również nic się nie zmieniło, choć wprowadzono do noweli postanowienia, mające na celu lepsze wykorzystanie prestacyj. Wobec poprzednio omówionych braków postanowień o zarządzie drogowym, jednakże przepis ten pozostał martwą literą prawa a prestacye jak dawniej tak i teraz były odrabiane przez starców i dzieci. Także i ingerencya Wydziałów powiatowych nie na wiele im się przy-

dała, a powtóre środki, któremi rozporządzały te Wydziały, były zbyt szczupłe, by można było na tej drodze spodziewać się wielkich rezultatów.

To też dążenia do zmiany noweli drogowej z r. 1885 rozpoczęły się nie długo po jej uchwaleniu. Szereg wniosków poselskich żądał zmiany ustawy, i tak: ks. Siczyński wnosił jeszcze w r. 1887, by zastąpić prestacye drogowe dodatkami do podatków bezpośrednich, na razie zaś zmniejszyć prestacye w robocie tak w gminie, jak i na obszarze dworskim z 4 dni na 2 dni piesze. P. Stanisław Jędrzejowicz żądał zniesienia zarządów drogowych i oddania organizacyi w zupełności Radom powiatowym, dalej indemnizacyi prestacyi, mającej się przeprowadzić w ten sposób, by tak w gminie, jak i na obszarze dworskim opłacano po 50 centów od każdego numeru domu, zaś 25 centów rocznie od każdego konia pełnoletniego, by nakoniec obszar dworski opłacał 5-procentowy dodatek do podatków bezpośrednich w materyałach lub gotowiźnie, a to bez względu na to, czy potrzeba ta w jednym roku jest wyczerpaną, czy nie.

Z wnioskami p. Jędrzejowicza rozprawił się gruntownie dr. Hupka[1]. Wnioski te opierały prestacye na zupełnie mylnych i nieracyonalnych podstawach, albo też na zasadach w praktyce wprost niewykonalnych. Nietylko że dom byłby w tym wypadku zupełnie mylną podstawą do wymiaru prestacyj drogowych, ale i druga podstawa tego wymiaru, bo ilość koni pełnoletnich, pozostałaby tylko martwą literą prawa, gdyż nie dałaby się po pierwsze obliczyć wogóle liczba koni, odpowiadająca stosunkom faktycznym, a powtóre, ocenianie wieku konia dałoby bardzo dużo pola do nadużyć. Zresztą dlaczego nie uwzględniać innych rodzajów bydła pociągowego, które chyba w równej mierze przyczyniają się do niszczenia dróg, jak konie. Rada powiatowa nie mogłaby oczywiście sama sprawować zarządu dróg, lecz musiałaby ustanawiać odpowiednich delegatów, na które to stanowisko nie wszędzie jednakże można znaleźć dobrych i stosownych kandydatów. Delegaci ci zresztą tylko wów-

[1] Hupka l. c. str. 57 i n.

czas mogliby działać skutecznie, gdyby więcej mieli egzekutywy niż mają same Rady powiatowe.

Wydział krajowy również kilkakrotnie czynił studya nad reformą ustawy drogowej i wystosował dwukrotnie odpowiedni kwestyonaryusz do Wydziałów powiatowych. Wydziały powiatowe przedłożyły też szereg najrozmaitszych propozycyj i wniosków. Streszczają się one głównie w żądaniu zamiany prestacyj *in natura* na świadczenia pieniężne, w żądaniu odpowiedniejszego rozkładu ciężarów i w dążeniu do lepszej administracyi drogowej. Szereg tych wniosków i usiłowań do reformy zakończył projekt Wydziału krajowego, wniesiony w przedostatniej sesyi Sejmu galicyjskiego, który też wkrótce stał się ustawą z dnia 5 lipca 1897 Dz. u. kr. Nr. 43. Ustawa ta nie dokonuje reformy radykalnej, lecz rozwija czynniki zawarte już w noweli z r. 1885. Postanawia ona mianowicie, aby każda rodzina, a względnie partya, prowadząca samoistne gospodarstwo domowe i zamieszkała w gminie lub na obszarze dworskim uiszczała rocznie na rzecz dróg gminnych po dwa dni piesze (§ 16), każdy zaś opodatkowany uiszczać ma rocznie na rzecz powiatowego funduszu dróg gminnych 10% dodatku do podatków bezpośrednich, przypisanych mu w gminie lub na obszarze dworskim (§ 24). Istnieje tu więc ta sama kombinacya prestacyj *in natura* i prestacyj pieniężnych, jaką widzimy przeprowadzoną już w ustawie z r. 1885. Stosunek jednakże obu tych czynników do siebie uległ obecnie zasadniczej zmianie. Gdy dawniej głównie opierało się utrzymanie dróg na świadczeniach naturalnych, teraz głównym takim środkiem utrzymania dróg jest podatek (świadczenie pieniężne). Ze względów powyżej wyłuszczonych musimy też zmianę tę uważać za korzystną. Umożliwi ona bowiem utworzenie powiatowego funduszu dróg gminnych, a co zatem idzie, utrzymanie dróg w lepszym stanie, niż to ma miejsce obecnie. Inaczej ma się sprawa ze sposobem rozkładu ciężarów drogowych. Każda rodzina, względnie partya, prowadząca samoistne gospodarstwo, winna odrobić dwa dni piesze. Nie czyni tu więc ustawa różnicy między bogatym a biednym, między chałupnikiem a gospodarzem kilkunastu-morgowym. Wydział krajowy motywując to postanowienie

powiada:[1]: „Drogi służą w pierwszym rzędzie dla zaspokojenia pierwotnych potrzeb osobistych wszystkich mieszkańców kraju. Potrzeby te są jednakie, a zatem i pierwotne korzyści z dróg są dla wszystkich równe. Tym więc równym korzyściom powinny odpowiadać równe obowiązki. Na tej zasadzie żądać należy od każdego obywatela kraju przedewszystkiem równej prestacyi drogowej na podstawie jego siły osobistej".

Zasada, z której tu wychodzi galicyjski Wydział krajowy jest jednakże zbyt podobną zasadzie, która była podstawą innej daniny publicznej (w starożytności) — pogłównego. Podatnikami, płacącymi ten podatek, są bowiem „wszystkie osoby, bez różnicy płci i wieku, bądź tylko osoby płci męskiej w wieku dojrzałym lub tylko ojcowie rodzin"[2], w każdym razie wszyscy. Jest więc ten podatek nałożony bez uwzględnienia siły ekonomicznej a więc i podatkowej poszczególnych podatników. Podatek ten jest niewątpliwie usprawiedliwionym „w czasie panowania równości mienia i dochodów w społeczeństwie". Nie należy jednakże zapominać o tem, że obecnie jesteśmy daleko od tej równości ekonomicznej i że wraz z rozwojem gospodarczym nastąpiło również zróżniczkowanie społeczeństwa. Zapewne, że wszyscy korzystają z urządzeń drogowych. Ale wszak wszyscy korzystają również z całego szeregu innych urządzeń publicznych, jak z urządzeń bezpieczeństwa publicznego, sprawiedliwości i t. p. A przecież do ponoszenia ciężarów na utrzymanie tych instytucyj pociągani są poszczególni obywatele państwa nie w równej mierze, ale w miarę swej siły podatkowej. Sądzimy przeto, że i w tym wypadku nakładanie na wszystkich ciężaru równego, nie zaś stosunkowego, jest w wysokim stopniu niewłaściwem.

Zasada ta jest jednakże silnie złagodzoną przez to, że do utrzymania dróg gminnych służy głównie fundusz, powstający z 10-procentowych dodatków do podatków bezpośrednich, opłacanych przez kontrybuentów. Mowa tu oczywiście nie o ogólnym

---

[1] Sprawozdanie Wydziału krajowego o projekcie ustawy drogowej, L. W. 78841/1896. Aleg. 50 do Sprawozdań Sejmu galic. z r. 1896/7.

[2] Głąbiński l. c. str. 334.

podatku osobisto-dochodowym, wprowadzonym w życie ustawą z 25 października 1896 r. Dnp. Nr. 220, do którego to podatku nie mogą być przypisywane żadne dodatki, lecz o podatku zarobkowym, gruntowym, domowo-klasowym i domowo-czynszowym. Ponieważ zaś tutaj chodzi głównie o rolników i mieszkańców wsi, więc w pierwszym rzędzie dodatek ten będzie dopisywany do podatku gruntowego i domowo-klasowego. Jak wiadomo, są to podatki rzeczowe, więc podatki, przy których wychodzi się z fikcyjnego założenia, że nie osoba lecz rzecz poddaną zostaje podatkowi. Oczywiście jest to tylko fikcya, bo choć za podstawę wymiaru podatku bierze się rzecz, nie osobę, to przecież podatek ten płaci podatnik, więc osoba. Z fikcyi tej wynika jednakże, że przy wymiarze tego podatku nie uwzględnia się stosunków osobistych podatnika. Na niższych stopniach rozwoju gospodarczego był ten wymiar może dość słuszny, odpowiadający w dość wysokim stopniu osobistym stosunkom podatnika i jego dochodowi. Wraz z rozwojem ekonomicznym i tutaj jednakże nastąpiło zróżniczkowanie, ponieważ nie każdy właściciel gruntu miał jednaki z niego przychód, ponieważ zależało to od stopnia jego uprawy, od nawozów i t. p. W każdym razie taka podstawa jest już słuszniejszą obecnie, niż podstawa pogłównego.

Bardziej pożądanem byłoby oczywiście przypisanie tego dodatku do podatku osobisto-dochodowego. Pominąwszy jednakże wspomniany powyżej zakaz prawny, obowiązujący kraje tylko warunkowo, bo wówczas, gdy chcą otrzymać subwencyę dla funduszów krajowych, to nie należy pominąć i drugiego przepisu prawnego, który postanawia, że dochody poniżej 600 złr. są wolne od podatku dochodowego. Ponieważ zaś osób, mających dochód wyższy niż 600 złr. jest w Galicyi dość mało, przeto efekt finansowy takiego postanowienia byłby bardzo słaby, a fundusz w ten sposób uzyskany absolutnie nie wystarczyłby na potrzeby drogowe, albo też musiałby na tę szczupłą liczbę podatników być nałożonym dodatek w takiej wysokości, że równałoby się to prawie konfiskacie dochodu, a co za tem idzie, i własności indywidualnej na rzecz państwa.

Ważnem postanowieniem w nowej ustawie jest również przepis, że „jeżeli przedsiębiorstwo wyłącznie fabryczne lub użytkowanie kopalń i kamieniołomów albo też eksploatacya lasów nieomyconą drogę powiatową lub gminną niezwykłym sposobem zużywa, obowiązany będzie odnośny przedsiębiorca względnie posiadacz przedmiotu przewożonego, do osobnych datków na rzecz tej drogi“ (w drodze dobrowolnej ugody lub w drodze przymusowej § 30). Nie możemy przyklasnąć temu przepisowi nietylko ze względu na publiczny charakter drogi, o którą tu chodzi, ale przedewszystkiem z uwagi na to, że zakłady przemysłowe są pionierami nowej gałęzi wytrwórczości, że więc należy ich rozwój wszelkiemi siłami popierać. Jest to zresztą pewnem odstępstwem od polityki, zainicyowanej przez Sejm galicyjski, który uwalniając nowe gałęzie przemysłu od krajowych dodatków do podatków, dał tem samem dowód, że umie ogarniać szerokie horyzonty. Ponawia dalej ustawa postanowienie o dobrem wykorzystaniu prestacyj drogowych nakładając w tym względzie odpowiedzialność na członków zarządu drogowego, rozróżnia nakoniec drogi gminne I. i II. klasy[1], zarząd dróg I. klasy przydzielając Wydziałom powiatowym, II. klasy zaś zarządom drogowym (składającym się z naczelnika gminy i przełożonego obszaru dworskiego). Poddaje również ustawa miejscowe zarządy drogowe pod ściślejszą niż dotąd kontrolę Wydziałów powiatowych, te zaś pod kontrolę Wydziału krajowego, nadaje władzom nadzorującym w wypadkach spostrzeżonych uchybień nietylko moc użycia środka dyscyplinarnego, żądania odszkodowania i zarządzenia, coby uznały za stosowne, ale nawet prawo zastąpienia opieszałych zarządów w poruczonych im ustawą poszczególnych czynnościach. Jeżeliby zaś te środki okazały się niedostateczne, uprawnione są władze nadzorujące do objęcia dróg w zarząd bezpośredni. Władze rządowe są również

[1] Jest to podział widocznie wzorowany na francuskim podziale *chemins vicinaux,* choć nie idzie tak daleko jak ten ostatni. Por. o tym podziale: Sax, *Die Verkehrsmittel in Volks- und Staatswirtschaft,* I.

obowiązane do udzielania władzom autonomicznym pomocy egzekucyjnej.

Są to wszystko niewątpliwe strony dodatnie nowej ustawy. I ona nie jest bynajmniej ideałem, a w praktycznem zastosowaniu kto wie, ile jeszcze okaże niedostatków. W każdym razie postęp jest widoczny tak w rozkładzie ciężarów, jak i w częściowej zamianie prestacyj *in natura* na prestacye pieniężne, jak i nakoniec w tem, że zarząd drogowy będzie obecnie, zwłaszcza na drogach gminnych I. klasy, o wiele lepszy. Ale dobrym on nie będzie. Wszak cały ustrój urządzeń gminnych w Galicyi jest tak wadliwy, że dopiero wówczas ustawa drogowa będzie dobrą zupełnie, a przynajmniej będzie dobrze wykonywaną, gdy będzie dobrą ustawa gminna. Z reformą zaś gminną winna się połączyć reorganizacya samorządu powiatowego, który w obecnej swej formie przynajmniej zbyt mało przynosił pożytku.

Do rozwoju gospodarczego kraju, trzeba nietylko dobrych ustaw, ale także organów inteligentnych do dobrego ich wykonania, i uposażonych w odpowiednie środki, trzeba władz nadzorczych, któreby miały nietylko prawo upominania organów podwładnych, ale któreby tym swoim upomnieniom mogły nadać dobitniejszy wyraz za pomocą bezpośredniej sankcyi karnej, potrzeba administracyi silnej i jednolitej, administracyi, któraby mogła i chciała pracować dla dobra kraju i społeczeństwa.

Zygmunt Gargas.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pogadanka o nowszych powieściach polskich.

Z. L. Sulima: „Sokół królewski". — Deotyma: „Panienka z okienka" — Szutkiewicz: „Jeden z wielu". — K. Rojan: „Doborowe otoczenie" — K. Gliński: „Wróci". — K. Laskowski: „Kulturtraeger". — M. Zych: „Syzyfowe prace". — Junosza: „Powtórne życie". — Arwor: „Na giełdzie cnoty" — S. Kondratowicz: „Fałsze życia". — Stańko: „Występni". — A. Krajewski: „Aż na dno". — W. Grot-Bęczkowska: „Kędy droga". — G. Zapolska: „Wodzirej". — Wł. Orkan: „Nowele". — E. Orzeszkowa: „Iskry".

Powieść historyczna rzadkim dziś wyjątkiem. Czy gust czytającej publiczności się od niej odwrócił; czy autorom łatwiej kreślić z bezpośredniej, mniej lub bardziej powierzchownej obserwacyi, „współczesne" sceny, „obyczajowe" obrazki? To pewna, że historycznych powieści dziś bardzo mało, a te, co się czasem pokażą, uwagi na siebie nie zwracają; są naturalnie wyjątki, ale wyjątki te na pięciu palcach możnaby policzyć. Z tem większą ciekawością otwieramy „powieść historyczną z czasów Zygmunta Augusta", zatytułowaną: „Sokół królewski" [1], a podpisaną przez Zygmunta Lucyana Sulimę. Z tytułu zdawałoby się, że będziemy mieli powieść osnutą na tle Jagiellońskich łowów; z przebiegu opowiadania dowiadujemy się, że „sokół" nie oznacza ptaka, ale jest synonimem istoty, zwanej z francuska „metresą". Swoją drogą „sokół" ów, tj. Barbara Giżanka, zajmuje w powieści akuratnie

[1] „Sokół królewski". Przez Zygmunta L. Sulimę. Warszawa 1898.

tyle miejsca, co kilkanaście innych, dziadowskich, rycerskich, mieszczańskich postaci. Autor w wielce chwalebnej chęci zapoznania nas, o ile można, dokładnego z czasami ostatniego Jagiellończyka, wkłada w swą powieść wszystko, co tylko w tych czasach działo się i dziać mogło. Mamy więc i zarazę, i tortury, mamy „wyświecanie“ i łowy, i czary, i bale, i uczty, i mieszczańskie narady, i szlacheckie sejmy. Trudno to nieraz opisać, trudniej dokładnie zbadać; nie dziwimy się przeto, ani zbyt p. Sulimy nie obwiniamy, że wyczytawszy w jakiejś książce historycznej jakiś zarzut lub wskazówkę, dalej już nie badał i wiernie ją przekopiował, choć zgodnie z objektywną prawdą przekopiowaćby nie był powinien. Za wielka była pokusa, ten lub ów efektowny obraz pomieścić, aby skrupulatnie się pytać: Czy też on do rzeczywistości podobny?

Deotyma więcej bodaj z tem pytaniem się liczy.

Mogą sobie być w modzie głębokie analityczno-psychologiczno-filozoficzne powieści; mogą im krytycy długie i głębokie oceny poświęcać. To niezawodna, że do szerszych warstw nie dotrą, głębszego wpływu nie wywrą, nie spełnią jednego z nieostatnich, bądź co bądź, celów powieści, aby nietylko pouczyć, oświecić, ale i umysł, innemi pracami zmęczony, rozerwać. Wielcy dyplomaci, uczeni, artyści, o których czytamy, że najmilszą ich rozrywką po nużących trudach było odczytanie kilkudziesięciu stron tej lub innej powieści, nie wzięliby z pewnością do ręki ciemnej analizy, zagłębiającej się po szyję i po oczy w jakiemś nieciekawem „ja“; ale za to z przyjemnością odczytaliby z pewnością „starodawny romansik“, jak sama autorka, znana i zasłużona Deotyma, nazwała swą „Panienkę z okienka“ [1]. Starodawny romansik, na starą może modłę pisany i dlatego może właśnie chętnie czytany, orzeźwiający fantazyę i serce. Jesteśmy w starym Gdańsku, za starych jego polskich czasów; oglądamy skarby gdańskich kupców-milionerów, bierzemy udział w ich balach i ucztach, w publicznem i domowem ich życiu. Nie brak rycerzy, nie brak awanturników, w bród przygód dziwnych, ale wśród wiru ówczesnych awanturniczych czasów, ostatecznie prawdopodobnych. Są walki, uciekania, porywania; są miłości gorące a proste, nienawiści i zawiści głębokie; są przedewszystkiem awantury, bo tu jest „kraj awantur“, jak zapewnia jeden z bohaterów powieści, stary majster Schultz. Kiedyindziej mniej jeszcze

[1] „Panienka z okienka“. Starodawny romansik. Warszawa 1898.

dyplomatycznie wyraża się: „A to jakbyś słuchał niańczynego bajania“. Miłe i pouczające „niańczyne bajanie“!

Aktorska wielkość, teatralne tryumfy! Jakże gorzko sami aktorzy uśmiechać się muszą, gdy te tak często powtarzane słowa słyszą lub czytają! Nie pierwszy p. Szutkiewicz [1] wprowadza czytelników za kulisy, do prywatnych aktorskich pokoików i pokazuje, jak wyglądają poza sceną szczęśliwcy, odbierający na scenie oklaski i bukiety; pierwszy może tak dokładnie, we wszystkich szczegółach i odcieniach, odmalował niewesołe życie już nie stołecznych, ale prowincyonalnych naszych aktorów, ciągnących ciężką swą taczkę od miasteczka do miasteczka, od żydowskiego zajazdu do stodoły, świeżo uprzątniętej na przybycie „tyjatrników“. Jakie tu typy na tych furach, przewożących teatr, jego bohaterów i bohaterki; jak różne usposobienia i charaktery! Jednych ciągła włóczęga wśród głodu i chłodu doprowadziła do zaprzyjaźnienia się na śmierć i życie ze zbawcą-kieliszkiem; innych serce i język żółcią zaprawiła. Tym odgrywane na scenie intrygi przeszły w krew i kości; tamci, zdolniejsi nieraz, ale mniej zaprawieni do walki życia, padają ofiarą tych intryg. Są i charaktery szlachetne; są i tacy co wzdychając wciąż, jakby do raju, do tego wspólnego ideału wszystkich prowincyonalnych aktorów — do „wielkiej sceny“, nie tracą czasu, starają się uczyć, i jak mogą, korzystają ze wskazówek starszych, zdolniejszych kolegów. Są i tacy, ale wielu ich jest, wielu w pół drogi się nie zniechęci i do brzegu dobije? Smutne pytania, na które autor smutne daje odpowiedzi. Biedny bohater powieści uczciwym był, z całych sił pracował — aż suchot dostał, płynął długo wbrew wszelkim prądom i już, już, zdawało się, do brzegu dobijał, ale — nie dobił. Czy to naprawdę „jeden z wielu“, czy nasz malarz za wiele czarnych barw na swą paletę nie nakłada? Znawcy utrzymują niestety, że obraz wiernie rzeczywistości odpowiada.

Dlatego właśnie „Jeden z wielu“ ciekawem jest studyum. Młodym studentom, marzącym o tem, jak uciec ze szkolnej ławy i w artystyczne szeregi się zapisać, należałoby tę książkę dać do przeczytania. Jeśli na mózgi ich nie poskutkuje, jak wiadro zimnej wody, to znaczy, że mózgi te w nieporządku i napróżno roztropnem słowem chcieć na nie oddziałać.

---

[1] „Jeden z wielu“. Powieść osnuta na tle życia aktorów prowincyonalnych. 2 tomy. Warszawa 1898.

W „Doborowem otoczeniu“ [1] dowodzi p. Kazimierz Rojan bardzo starej, ale niemniej bardzo zawsze ważnej prawdy, że dobrze trzeba uważać i bacznie człowieka ze wszystkich stron obejrzeć, zanim się go przypuści do ściślejszej ze sobą poufałości. Baronostwo Tomscy nie wiedzieli, czy zapomnieli o tej prawdzie; rzecz prosta, że musieli za to odpokutować, i sami i ich najbliżsi. To rzecz prosta; o wiele bardziej zawikłana, dlaczego p. Rojan opisowi tak prostej rzeczy i malowaniu charakterów tak nieskomplikowanych tyle stronic poświęcił? Dwadzieścia pięćby było za wiele, a tu mamy 257!!

„Wróci“ [2] Kazimierza Glińskiego również nowych, nieznanych jakichś strun nie porusza, ale przecież nietylko na nowych strunach piękne pieśni wygrać można. Wróci, wrócić musi z dalekich pól lodowych mój Gustaw jedyny — powtarza sobie rankiem i wieczorem szlachetna Jadwiga i tą niczem nieprzełamaną nadzieją wsparta, znajduje potrzebny hart i siłę do ponoszenia ciężkiej pracy dla ulżenia losu podupadłych rodziców, do znoszenia tysiącznych upokorzeń, poświęcania się dla maluczkich. Śliczna to postać, z zamiłowaniem malowana, obok której wszystkie inne i ciemne, i jasne, jak koło królowej się grupują. Na chwilę się zdaje, że inna, realniejsza miłość, potrafi usunąć z serca tę idealną, co już wedle zwykłej rzeczy kolei dawno we mgle wspomnień powinnaby się rozwiać; słów parę, kochaną ręką skreślonych, wystarcza, aby dawnym, idealnym wspomnieniom zwycięstwo zapewnić. Nie często z takiemi typami i taką wiernością spotykamy się w rzeczywistości; miło choć w książce z niemi się spotkać.

„Kulturtraegerzy“ nietylko w granicach niemieckiego cesarstwa szerzą kult niemieckiego języka, piwa i Bismarka; oddawna przekroczyli graniczne słupy, dzielące zabór pruski od rosyjskiego, i zwolna, ale bezustannie i tu coraz nowe posterunki sobie zdobywają. Inne tu warunki, więc odmienne boje, inaczej walczący za niemiecką kulturę się przedstawiają; cel ten sam, do którego dążą „kulturtraegerzy„ w Poznańskiem lub Prusach Zachodnich. Tych pozornie odmiennych od poznańskich kolegów, w gruncie takich samych kulturtraegerów w Królestwie Polskiem przedstawia nam p. Kazimierz Laskowski [3]. Stary Kurzbach, administrator olbrzymiej fabryki, w której wszystkie

[1] „Doborowe otoczenie“. Napisał Kazimierz Rojan. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1898.

[2] „Wróci“. Powieść. Napisał Kazimierz Gliński. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1898.

[3] „Kulturtraeger“. Przez K. Laskowskiego. Warszawa 1898.

ważniejsze stanowiska przez Niemców zajęte, jasno streszcza swą teoryę: „Ziemia, na której raz niemiecka stopa stanie, winna być naszą ziemią... naszą kulturą, niemiecką wytrwałością, niemiecką industryą zdobyliśmy ten kraj płonek, na których zaszczepiliśmy naszą cywilizacyę... To ziemia przesiąkła niemieckim potem, to prawna nasza zdobycz, zdobycz niemieckiego ducha i ramion...“ Młody Kurzbach tego samego jest zdania i te same żywi ideały; inaczej je wyraża, bo się w ładnej Polce zadurzył, ale gdy szał minie, młody staremu w niczem nie ustąpi. Czy oni nie mają żadnych żywszych a bardzej ogólno-ludzkich uczuć; czy w ich sercach nie odzywa się nigdy żadna wznioślejsza, rzewniejsza nuta; czy zawsze i ciągle marzą tylko o zwycięskich podbojach? To znowu nie! — i stary, i zwłaszcza młody Kurzbach ludźmi nie przestali być; zdarzają się chwile, w których najpierw są ludźmi, na drugim dopiero planie niemieckimi „kulturtraegerami“; ale ostatecznie sprawdza się w powieści p. Laskowskiego stare przysłowie o niemiecko-polskiem braterstwie.

Naturalnie Kurzbachy nie wyczerpują wszystkich typów różnorodnych „kulturtraegerów“; wielu jest innych, a powiedzmy, ciekawszych i niebezpieczniejszych. Może p. Laskowskiemu uda się kiedyś z nimi spotkać i w innej powieści polskim czytelnikom ich zaprezentować!

Biorąc w rękę powieść, podpisaną nazwiskiem Maurycego Zycha, ma się z góry to bardzo miłe wrażenie, że nie będzie się narażonym na przebywanie niekończącego się morza banalności, goniącej za banalnością, jak bałwan za bałwanem. Można i trzeba się z Zychem o niejedno posprzeczać, można i trzeba mu wytknąć to lub tamto błędne, na nieugruntowanym przesądzie oparte zapatrywanie; my sami w dawniejszych numerach *Przeglądu* poczuwaliśmy się do tego obowiązku. Ale z drugiej strony jakże korzystnie odbijają np. „Syzyfowe prace“ [1] od tego długiego szeregu wiecznie w to samo kółko, wedle tego samego taktu obracających się „nowel“, „nowelek“, „powieści“, „powiastek“. Losy szlacheckiego dziecka, Marcinka Borowicza, losy chłopskiego dziecka, Jędrka Radka przedstawiają nam losy i życie młodszej generacyi polskiej, wychowujących się w rosyjskich szkołach. Najprzód elementarna szkoła w Owczarach, potem klasyczne gimnazyum w Klerykowie; pierwsza ogłupia, drugie od pierwszej nie lepsze; obydwie

[1] „Syzyfowe prace“. Przez Maurycego Zycha. Powieść współczesna. Lwów 1898.

szkoły mają za pierwszy i główny cel: „odpolszczenie Polaków". Pyszne są typy i elementarnych i gimnazyalnych profesorów, Rosyanów z rodu i Rosyanów z biedy lub dla karyery; bardzo ciekawe typy różnych uczniów: „ugodowców", „wolnopróżniaków", „literatów"...; znakomite nad wyraz humorystyczne, gdyby z drugiej strony tak smutne nie było, skreślenie sztuk i sztuczek, mających wyrobić w piersiach polskich uczniów szczero-rosyjskie uczucia; nie mniej znakomite obrazki „zbawczej czynności mordowania rozumu" i w urzędowej szkole i przy korepetycyjnych stołach. Długie rozprawy nie potrafią tak objaśnić, czem jest szkoła w Rosyi i do czego prowadzi, jak ta powieść. Wartoby ją na jaki obcy język przetłumaczyć, choć pytanie, czy cudzoziemiec jest w stanie uwierzyć, że są możliwe takie „syzyfowe prace".

Żal, szczery żal po śmierci Junoszy, którego tyle, tak szybko po sobie płynących noweli, opowiadań, powieści uczyło i bawiło; żal tem większy, gdy wie się już teraz powszechnie, z jakiemi przeszkodami i wśród jakich bolesnych okoliczności książki swe tworzył. Siecią żydowskich „pająków" oplątany, biedny „Syzyf" nie zaznał chwili wytchnienia wśród ciągłych, mnożących się, materyalnych trosk, jak nie zaznali ich mistrzowsko z życia, i to z własnego życia, odfotografowani bohaterowie „Pająków" i „Syzyfa". I jakże się dziwić, że nie wszystkie, pospiesznie, w najściślejszem słowa znaczeniu, „dla chleba" kreślone powiastki odznaczają się równą werwą, obserwacyą i oryginalnością. Jedne z ostatnich, wydane pod wspólnym tytułem: „Powtórne życie" [1], należą bez wątpienia do słabszych; nie mierzyć im się ani z „Budą na karczunku", ani z „Synami pana Marcina", ani tem bardziej z „Syzyfem" lub „Pająkami". Czarne myśli, które piszącego trapiły, przeglądają w melancholicznem „Powtórnem życiu". Kto raz życie zmarnował, ten już nie powetuje straconego czasu młodości; będzie się może zrywał do lotu, ale jak lecieć, gdy skrzydła obcięte? Rozpaczliwa to teza, w całej swej szerokości z pewnością nieprawdziwa, ale samo już jej postawienie rzuca pewne światło na wewnętrzny stan duszy piszącego. I on też sobie pewnie, nie raz i nie dwa mówił, jak bohater drugiego opowiadania, *Curriculum vitae:* „Mam osobliwe szczęście do nieszczęścia". Wesoły, do homerycznego śmiechu pobudzający Junosza przypomina nam się w „Kartce z życia pana Abusia Wajsfisza". Maluje Żyda, więc w swym żywiole się czuje;

[1] „Powtórne życie". Nowele. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1897.

rozmawiał z Abusiem, bacznie mu się przypatrywał, każdy giest, słowo, frazes jego w pamięci zachował i pisząc na papier je po prostu przelewa. Ale trudno, różnych i odmiennych Abusiów codzień nie można było wyszukać; a codzień trzeba było pisać, aby zaspokoić arcyrealne pretensye jednych i tych samych, aż za zbyt znanych Abusiów. I dlatego w pismach Junoszy takie nierówności; obok oryginalnych, wybornie wystudyowanych obrazków banalne sztychy, jakich tysiąc się widziało.

Arwor w „Na giełdzie cnoty“ [1], zamierzał, zdaje się, przedstawić i wyszydzić różnego rodzaju, a płci przedewszystkiem żeńskiej, faryzeuszów, którzy bawią się z zamiłowaniem w krzykliwą dobroczynność, nie szczędzą starań, aby o ich wielkich dziełach po całym kraju trąbiono i bębniono, a jednocześnie zaniedbują właściwe swe obowiązki, rozlewają szeroką rzeką plotki i oszczerstwa, kłóją kogo i jak mogą. Temat nie nowy, nie powiemy nawet, aby dziś bardzo aktualny, ale dla satyryka zawsze ponętny. Nie to też p. Arworowi zarzucić należy, że temat ten sobie obrał, ale że ani go wyzyskać należycie nie umiał, ani choć promyka nowego jakiegoś światła na znane wybornie każdemu i z życia i z niejednej już powieści postacie nie rzucił. Takie ciocie Femcie, oglądający się za śniadaniami i kolacyjkami redaktorowie Orbitusy, spekulujący na ludzką naiwność i bezgraniczną próżność bankierzy Mustardblaci i „hrabiowie“ Czekanowscy, takie lekkoduchy jak Zygmunt, i oszukane panienki jak Marynia — wszystko to starzy znajomi z paru co najmniej tuzinów noweli i powieści. Znane osobistości znane też prowadzą komeraże i intrygi. Znane w sobie, lecz ku odrębnemu celowi skierowane; cel ten jest jedynym oryginalniejszym punktem powieści, ale na tym właśnie punkcie najmniej z autorem zgodzić się możemy. Zdarzają się bezwątpienia na świecie bardzo niełądne komeraże i intrygi; zdarza się, że komeraże te i intrygi zasłonić się usiłują płaszczem udanej cnoty; inne pytanie czy i jaką ma racyę bytu wyjątki uogólniać i stawiać jakby tezę: „Zapisy na cele publiczne są połączone z krzywdą osób prywatnych“. Nie sądzimy przecież, aby samego autora lub kogo z jego blizkich spotkał niemiły wypadek ominięcia się ze spadkiem lub legatem, na który liczył, a który tymczasem dostał się jakiemuś szpitalowi lub ochronce. Nie sądzimy, aby tak było, aby powieść „Na giełdzie cnoty“ była aktem zemsty

[1] Arwor, „Na giełdzie cnoty“. Rysunek z pamięci. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1898.

wymierzonej przeciw jakiejś niepoczciwej stryjence lub ciotce. Nie sądzimy, aby tak było, ale jeśli nie było, po co i na co właściwie p. Arwor swą książkę napisał?

Gra, kieliszek, hulanka, aspiracye do tłustych posagów, dla których warto związać się na życie i z najbrzydszą istotą, salonowe kokietowanie i niesalonowe, choć przez salonowych paniczów uprawiane zaloty, nieszczerość ciągła w domu, ciągłe kłamstwa poza domem — oto „Fałsze życia“ [1], przed któremi p. Kondratowicz czytelnika przestrzega. Brzydki to i smutny świat — „świat“ w tem zwłaszcza znaczeniu, w którem wyrazu tego używają damy przywykłe tłumaczyć swe myśli z francuskiego na polskie. Autor nie ma na swej palecie oryginalnych farb; pisze w miarę zajmująco, ani czytelnika do swych kartek nie przykuwa, ani go zbytecznie nie nudzi. Naturalnie powieść kończy się wystrzałem rewolwerowym, który wszystkie węzły gordyjskie rozplątuje. Niezła lektura do wagonu, w przerwie między pogadanką z jednym znajomym wysiadającym w Tarnowie, a drugim wsiadającym do pociągu w Tarnowie.

„Występni“ [2], jest nietylko w przenośnem, ale w najściślejszem tego słowa znaczeniu „kryminalną“ historyą. Pierwszy rozdział pokazuje zamordowanego we własnem łóżku Adama Karskiego; ostatni znów do tych zwłok prowadzi; rozdziały zawarte między pierwszym a ostatnim wytłumaczyć mają, jaką drogą i jakim sposobem cnotliwa, zacna i łagodna małżonka Karskiego doszła do tego stopnia bólu i rozpaczy, że tępem narzędziem wśród snu śmierć mu zadała. Znosiła długo i wiele, ale gdy przyszło ratować zagrożoną cześć i cnotę dziecka, matka przed niczem się nie zawahała. Nie myślimy przeczyć, że podobne umysłowe zboczenia prowadzące do podobnych następstw zdarzyć się mogą; kryminalne kroniki wykazują, że się zdarzają. Inna kwestya, czy warto takiemu anormalnemu, zupełnie bądź co bądź wyjątkowemu zboczeniu gruby tom poświęcać? A jeśliby już kto zdecydował się, że warto, to miałby w każdym razie prawo domagać się odpowiedzi na pytanie postawione przez autora w końcowym ustępie: „Kto winien temu wszystkiemu?“ To co autor w dwóch wierszach niby odpowiada, nie jest żadną odpowiedzią, bo obok dwóch posta-

---

[1] „Fałsze życia“. 2 tomy. Napisał Sylwester Kondratowicz. Warszawa 1898.

[2] „Występni“. Powieść w dwóch częściach. Warszawa. Nakład C. Centnerszwera. 1897.

wionych w formie pytania hypotez, możnaby równem prawem postawić, innych trzydzieści, i ani sposób się dorozumieć, dlaczego p. Stańce podobało się właśnie temi dwiema się popisać? Zresztą, nie chcąc autora krzywdzić, a może o stronniczość być posądzeni, wolimy przepisać własne jego słowa, streszczające morał wypływający z całej bajki:

„Kto winien temu wszystkiemu? Czy wyższe wyroki, zapisujące w nieśmiertelnych księgach przeznaczenia losy każdego człowieka? Czy ludzie, bezmyślni idyoci, rzucający kamieniem i błotem za tymi, co cierpią w milczeniu?“

Zacytowaliśmy słowa p. Stańki; jeżeli z tego byłby niezadowolony, niechże z swemi słusznemi zresztą żalami zwróci się z należytą emfazą ku sobie samemu.

Przedmiejskich bohaterów, przedmiejskie życie wymalować sobie postanowił p. Krajewski w „obyczajowej powieści“, w której „Aż na dno“ [1] same tego życia, jego smutków, występków, nędzy obiecuje nas zaprowadzić. Prowadził w poprzedniej powieści „Kątem“, o której wspomnieliśmy na tem miejscu przed kilku miesiącami; dziś ten sam temat dalej rozwija, ba! na samo jego dno zaglądnąćby pragnął. To nie tak łatwo, bo dno to bardzo głębokie; ale choć wątpićby kto chciał, czy autorskie oko aż do dna sięgnęło, nie zaprzeczy, że głęboko zajrzało w przedmiejskie męty. Co zrobić mogą Żydzi, wódka, nieokiełznana namiętność — to widzimy i w dzikim rzeźnickim majstrze Antonim, i w jego licznych ofiarach: bracie, rywalu, kochance, żonie, we wszystkich, których nieszczęśliwy los do niego zbliżył. Jeden się wiesza, drugi zapija, trzecia za żebraczy kij chwyta; jeden żyd-pijawka, wszystkich tych nieszczęść ostateczna przyczyna, wychodzi na pana. Jaśniejszej jakiejś postaci na próżno szukać; jedna Marynia, młodziutka żona Antoniego, mogłaby się na postać taką kwalifikować, gdyby mniej była zahukaną, mniej, przy całej poczciwości, naiwnie-głupią. Wszyscy inni, albo zupełnie, a zupełnie ograniczeni, albo oszuści, albo prości zbrodniarze. Czyżby istotnie tak na przedmieściach większych miast naszych wyglądać miało? Łatwiej uwierzyć, że p. Krajewski za czarne w czasie swych obserwacyjnych wycieczek nosi okulary, lub przy pisaniu dla większego efektu na „przedmiejskich czytelników“ za czarnego używa atramentu.

Z kolei po żółtych, czerwonych, szarych okładkach przychodzi

---

[1] „Aż na dno“. Powieść obyczajowa. Napisał A. Krajewski. Lwów 1897.

kolej na zieloną; na niej interesujący tytuł: „Kędy droga?“, powieść współczesna przez Wandę Grot-Bęczkowską [1]. Tytuł interesujący i poddający masę ciekawych kwestyj, z któremi prawdopodobnie autorka się załatwiła. Powtarzam: „prawdopodobnie“, bo niestety! po pierwszem, nawet przy drugiem odczytaniu całej powieści od pierwszej do ostatniej stronnicy, nie każdy sobie zdać potrafi sprawę, o jakiej w szczególności „drodze“ mowa, i którędy ta droga prowadzi. Wiele jest bardzo sympatycznych ustępów, wiele ładnie obmyślanych szczegółów; być może, że i całość jest ładna, ale przynajmniej niżej podpisany objąć jej nie potrafił przy pierwszem czytaniu i drugiem przeglądaniu. Możeby objął przy trzeciem, lecz to już wymagałoby głębszego studyum, a powieści, wogóle mówiąc, nie na to, aby aż głębsze studya im poświęcać.

Są książki, których autorów krytykować jedynieby warto i opłaciło się, nie piórem, lecz szpicrutą. Taka ale tylko taka krytyka przekonałaby może p. Zapolską, że nie wolno plwać na uczciwe rodziny; nie wolno wywodzić na ulicę wrzekomych, a choćby nawet prawdziwych, ale szerzej nieznanych prywatnych zgorszeń. Pseudonimy, któremi p. Zapolska w powieści „Wodzirej“ [2], bohaterów i bohaterki swe pokrywa, tak są przeźroczyste, że każdy lwowski chłopak z terminu może bez trudności je odcyfrować. I tego autorka chciała; chciała skandalu, a nie zapomniała pewnie i o tem, że za skandalem i ruble czy guldeny ciągną. Prawdziwie wobec takich obrzydliwości na myśl natrętnie się nawija, że dawny zwyczaj „wyświecania“ z miast pewnego rodzaju kobiet, mógł mieć jednak czasem racyę bytu.

Skończmy czemś milszem i bardziej dla literatury naszej pocieszającem. Tyle pokrzyw dotknąć się trzeba było, że choć na końcu popatrzeć należy, jeśli jeszcze nie na różę, to choć na pączek róży.

Przedmowa K. Tetmajera umieszczona na wstępie do tomiku nowel Wł. Orkana [3], uprzedza czytelnika, że ma on „duży talent“;

---

[1] „Kędy droga?“ Powieść współczesna. Przez Wandę Grot-Bęczkowską. Warszawa 1898.

[2] „Wodzirej“ przez G. Zapolską. 2 tomy. Warszawa. — Zrozumieć trudno, jak i dla czego poważny zazwyczaj *Przegląd literacki* (w nrze 9 z 1898 r.) uważał za stosowne poświęcić „Wodzirejowi“ aż sześć blizko szpalt i hymn pochwalny na cześć jego zanucić?! Czy to naiwność, czy co innego?

[3] Wł. Orkan, „Nowele“ z przedmową Kazimierza Tetmajera. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1898.

uprzedza zarazem, „że ma on lat dwadzieścia i że to są pierwsze kroki". Zastrzeżenie wcale nie zbyteczne; dużego talentu nie można bezwątpienia autorowi odmówić, ale dobrze wiedzieć, że ma on lat dwadzieścia, bo inaczej gniewaćby się kto gotów za pewne zdania z trójnoga wypowiadane, sądy i ironiczne uśmiechy i cytaty, a tak pobłażliwie tylko pogrozić może: „Oj! młody, młody!" i pocieszyć siebie i innych: „Młodość wyszumi!" — Gwarancyę w tym względzie daje nam właśnie ten tomik, z którego każdej stronicy tryska głęboka, a niekłamana miłość do ojczystych gór, do „biednego ludu", jego zwyczajów i gwary. Zna dobrze ten lud góralski, jego zwyczaje i gwarę, smutki i wesela; zna wady i namiętności; wie, co go boli i co mu dokucza. Zna jego nauczycieli, ich troski, wady i zawody. Zna trochę i księży, ale jakoś sympatyi do nich nie czuje i chętnie przy sposobności łatkę im przypina; może to jeszcze niewygasły żal do którego zbyt wymagającego katechety. Ale to — spodziewać się wolno — przejdzie; miłość ludu, zmysł obserwacyjny, prawdziwy a nauką i życiem zmężniały talent, zostanie. Jest pączek; wyjdzie z niego, miejmy dobrą nadzieję, róża nie pokrzywa.

Prawdziwą różą, rozkwitłą, jaśniejącą pełnią barw, ostatni tomik, o którym chcemy pomówić. Prawdziwym wypoczynkiem dla umysłu i wyobraźni po tylu różnych nudo- i dziwolągach są obrazki, nowele Orzeszkowej [1]. Każda myśl jakąś zawiera; nie dziw, że każda lub prawie każda w myśli pozostaje. Kto przypatrywał się Garskiemu, ten nie zapomni tego typu wiedeńskiego karyerowicza; gdy się z nim później na wiedeńskim bruku spotka, usta mimowoli wyszepczą: To Garski, a przynajmniej blizki kuzyn Garskiego. Blizkim też jego kuzynem drugi karyerowicz-dygnitarz z „Czy pamiętasz?" W jednym i drugim odzywa się czasem wspomnienie czegoś innego, dawnego, lepszego; wspomnienie przelotne wnet zagłuszone natłokiem codziennych interesów i zabaw... Pada promyk świetlany; szkoda, że tak krótko świeci i grzeje! I w sercu „Siteczka" — pani Bronisławy niedługo pewnie gościć będzie promyk wzniecony przypadkowo spojrzeniem na stary portret Czarneckiego, tak dobrze w dziecinnych latach, w rodzicielskim domu znany, tak bardzo wtedy podziwiany i kochany. Innego rodzaju wspomnienia obudza stary, inne, o jak inne czasy pamiętający zegar w sercu osiwiałej „babuni"; stary zegar, stary przyjaciel... Jednej ta-

[1] Eliza Orzeszkowa, „Iskry". Nowele. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1898.

kim przyjacielem zegar a jego tyktak tysiączne obrazy z przeszłości na myśl nasuwa; drugiej przyjacielem krzak bzu, jego zapach w dalekie ojczyste strony przenosi, dawno zapomniany pacierz na usta przywodzi. A jak zapomnieć pytanie wyrywające się z piersi wiejskiego chłopaka, fanatycznie do kawałka swej roli przywiązanego: „Wy panowie, bogate, możecie sobie szmat ziemi kupić! Dlaczego nie kupicie? Kupcie!...“ Dlaczego? — Nikt nie odpowiedział; nadniemeńscy słuchacze, czytelnicy wiedzą dobrze dlaczego...

Ks. Jan Badeni.

Tło historyczne w „Irydyonie“ Krasińskiego. *Dr. Wiktor Hahn.* Lwów. 1898.

Niedawno wygłoszony odczyt prof. Adama Miodońskiego, p. t. „Tło klasyczne ‚Irydyona‘ Krasińskiego“ i artykuł tegoż autora p. t. „Chrześcijaństwo w ‚Irydyonie‘ Zygmunta Krasińskiego“ rozwiały dawne zapatrywanie, że „Irydyon“ jest tylko „poetyzowanym obrazem ludzi i wypadków fikcyjnych, z ogólnem i poetycznem tylko podobieństwem do rzeczywistej historycznej epoki“. Prof. Miodoński wykazał, że stosunki chrześcijańskie, (a zapowiedział, że wykaże, iż i pogańskie) zgodnie są oddane z rzeczywistością historyczną, obecnie wskazał zaś dr. Hahn opracowania, których przestudyowanie dało Krasińskiemu możność bliższego poznania epoki Heliogabalowej. Nie sam „Konrad Wallenrod“ Mickiewicza, ani też jeden tylko historyk Gibbon zrodzili w duszy poety pomysł utworu, osnutego na tle epoki, w której bogowie i ludzie szaleli. Pomysł ten powstał, jak twierdzi dr. Hahn, i w czyn się zmienił pod wpływem literatury francuskiej, a mianowicie lektury następujących dzieł: Chaussardé, *Heliogabale ou esquisse morale de la dissolution Romaine sous les empereurs.* Paris 1802.; dalej: *Histoire des empereurs Romains depuis Auguste jusqu'à Constantin.* Par M. Crèvier. Paris 1766, (o samym Heliogabalu 9 tom), nowela Samuela Bacha (Feriere'a), *Heliogabal* (w zbiorze *Il vivere.* Paris 1830.) i Chateaubrianda *Les Martyrs.* W ustępie: „Przepowiedziano w kościele Ozyrysa, że we trzy dni po śmierci Eytychiona Cezar ducha wyzionie“ dopatruje się pan Hahn wpływu powieści Walter-Scotta *Quentin Dorward* na „Irydyona“; jest to skrupulatność w badaniu posunięta poza granicę nawet sumienności!

Może w tych wywodach jedno, drugie przypuszczenie nie jest dość umotywowane, ale całość robi wrażenie bardzo sumiennej i dokładnej pracy.

Jedna rzecz tylko nudzi i męczy czytelnika, oto co najmniej 40% rozprawy p. Hahna wypełniają przydługie cytaty z wymienionych dzieł francuskich. Nie jest to jednak wynikiem nieświadomości metody cytowania u autora, tę on, jak wiemy z poprzednich jego dzieł, posiada, inny motyw skłonił go do przepisywania całemi stronicami przestarzałych francuskich autorów. P. Hahnowi zdawało się, że gdy nie uwierzono Siemieńskiemu, kiedy przed laty dwudziestu sześciu wskazywał na zależność „Irydyona“ od noweli Ferriere'a, to i dzisiejszego badacza stosunku „Irydyona“ do współczesnej literatury spotkają zarzuty ciężkie. P. Hahn chce, by go czytelnik od tego zarzutu uwolnił, i tłumaczy się, że szło mu tylko o wykazanie, „że charaktery osób, występujących w ‚Irydyonie‘, w niczem nie ustępują późniejszym kreacyom w literaturze naszej, osnutym na tle historycznem z czasów cezarów rzymskich, jak np. u Sienkiewicza, i że noszą na sobie piętno prawdy z uwzględnieniem pojęć ówczesnych i istotnych faktów“.

L. M. Dziama.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

La Grâce et la Gloire, ou la filiation adoptive des enfants de Dieu, etudiée dans sa réalité, ses principes, son perfectionnement et son couronnement final, par *J. B. Terrien S. I.* 1897. 2 tomy. (W 16-ce, str. XVI., 432, 424. Paris, chez Lethielleux.

Ks. Terrien nie bez przygotowania przystąpił do tego dzieła; odznaczał się on jako profesor dogmatyki w katolickiej wszechnicy paryskiej, jasnością swych wykładów przy swobodzie i precyzyi. Później zwrócił na siebie uwagę dziełem *Le Sacré-Coeur,* niemałej pod względem teologicznym doniosłości, w którem te same występują przymioty. Są to przymioty, które tylko prawdziwie gruntowny teolog posiadać może — choć niestety nie każdy gruntowny teolog je posiada.

Wreszcie przed rokiem wydał autor dzieło, które mamy przed sobą.

Wykładając dogmatykę, mówiłem nieraz słuchaczom, że nauka o łasce poświęcającej dopiero później zapewne się wyjaśni; dotychczas należy do najmniej obrobionych i najmniej wyświeconych części dogmatyki, jakkolwiek jest jedną z najdonioślejszych. Otóż autor śmiało się do tej kwestyi zabrał, i nietylko zestawił i objaśnił z właściwym

sobie talentem wszystko, co dotychczasowa dogmatyka o tej kwestyi posiadała, ale nawet w niejednym punkcie posunął naukę o krok dalej. Zrozumiał też, że zagadnienia o łasce poświęcającej i o chwale niebieskiej, traktowane zwykle przez teologów w zupełnie odrębnych partyach i działach, istotnie trzymają się bardzo ściśle, stanowią jedną organiczną całość, omawiają jedno boskie życie udzielone w dwóch peryodach rozwoju, tak że jedna bez drugiej dość jasno tłumaczyć się nie da. Stąd oryginalny a bardzo trafny pomysł całości tego dzieła: „Łaska i chwała".

Wewnętrzna jego architektura zasługuje też na uwagę. Nie zaczyna autor, jak się zwyczajnie czyni w tej materyi, od ciężkiej i abstrakcyjnej rozprawy o jestestwie nadprzyrodzonem i rozmaitych jego odmianach; zostawia to na sam koniec, gdzie istota nadprzyrodzonego świata określa mu się łatwo i jasno i wypływa poniekąd sama przez się, jako *corollarium* z szczegółowych kwestyj w ciągu całego dzieła traktowanych. Zaczyna zaś od faktu podniesienia nas do Bożego synostwa przybranego, o którem całe Pismo i cała tradycya opiewa. Ale nie poprzestaje on na skonstatowaniu faktu; u niego formułki, jak synostwo przybrane, ubóstwienie udzielone, obraz Boży w człowieku muszą się do wnętrza roztworzyć, wykazać wszystko, co w sobie zawierają, o ile to jest dziś wiedzy ludzkiej dostępne. Służy do tego autorowi Pismo, świetnie interpretowane; służy patrystyka, na nowo przestudyowana, służą stare sobory, synody, doktorowie scholastyczni, sumiennie badani, a nietylko św. Tomasz i jego następcy, lecz zarówno św. Bonawentura i jego szkoła. Kiedy się czyta studya autora na tradycyi oparte, jest się uderzonym trafnością a zarazem nowością tekstów, uszanowaniem dla nauki przeszłości, a zarazem pewną swobodą i niezawisłością od szkoły.

Po stwierdzeniu naszego przybranego synostwa Bożego, bada autor wewnętrzne czynniki, które się na nie składają, a najprzód łaskę wlaną; nie lękając się żadnych trudności zapuszcza się aż do metafizycznego bytu łaski, a skonstatowawszy, że ona jest jakiemś działaniem czy odbiciem się Boga, obecnego w duszy, inaczej niż w innych stworzeniach, pyta śmiało: co z Boga, jaki jego przymiot może się w taki włączny sposób w duszy odzwierciedlić? W odpowiedzi stawia hipotezę, która nie uderza swą trafnością: że to nie jest ani byt, ani wszechmoc, ani nic podobnego, ale ta niedostępna Boskiej istoty płodność, mocą której w jej łonie osoby jedna od drugiej pochodzą. O wyjaśnienie tej hipotezy nie będę się tu kusił, odsyłam po nie do książki.

Tej łasce poświęcającej towarzyszą cnoty wlane i dary Ducha św. I tu autor ma bardzo cenne rzeczy, między innemi śliczny tekst św. Augustyna o cnotach moralnych. Ta partya jednak, zdaje mi się, mniej oryginalnie i mniej wyczerpująco traktowana, niż inne. Zarzuciłbym, że przy wykładzie o cnotach wlanych, które właściwie dają możność, potencyę nadprzyrodzonego działania, zanadto się plączą dostrzegalne objawy nadprzyrodzonej pomocy, łatwość, wzniosłość czynów, które raczej do sfery łask uczynkowych należą. W rozprawie o darach, której byłem bardzo ciekawy, doznałem zawodu. Jeszcze musimy czekać na teologa, któryby traktował o nich w sposób szeroki i głęboki, uwzględniający nietylko szczupłe dane dotychczasowej dogmatyki, ale też obfite dane hagiografii, ascetyki a może i mistyki, które dogmatyce posłużyć się mogą.

Znakomicie zaś traktuje autor drugi składnik synostwa Bożego przybranego, tj. mieszkanie Boga w duszy; zapuszcza się w tę tajemnicę swoim sposobem głęboko i trzeźwo. A nadto dodaje drugą stronę tej kwestyi, którą zwykle teologowie opuszczają. Omawiając zjednoczenie duszy usprawiedliwionej z Bogiem, dogmatyści opierają ją wyłącznie na darach wlanych, których Bóg jest pierwiastkiem, autor zaś, śladem św. Tomasza, Bonawentury i Ojców wykazuje, że to samo zjednoczenie dopełnia się z drugiej strony przez akty, których Bóg jest objektem. I tu dogmatyka spotyka się z ascetyką.

Tak określiwszy zjednoczenie duszy z Bogiem, autor bardzo szczegółowo omawia stosunki stąd wynikające między duszą a każdą z Osób Trójcy: stosunek ojcostwa do nas, czy jest własny, czy tylko przywłaszczony Ojcu? Stosunek nasz do Syna — inkorporacya nasza w Chrystusie — Chrystus głową mistycznego ciała — oblubieńcem dusz... formułki te również zgłębione są teologicznie do gruntu. Duch św. czem jest w Trójcy, czem w duszach, dlaczego wszystkie dary nadprzyrodzone jemu się przypisują?

Póty wykładał autor, czem jest życie łaski samo w sobie; następnie bada on, jak to życie rośnie. Czynniki tego rośnięcia są dwa: zasługi i Sakramenta. Stąd najprzód gruntowne o tem studyum, jak nadprzyrodzone życie rośnie przez zasługi czyli dobre uczynki; potem to samo o Sakramentach, głównie o Eucharystyi, która właśnie dla tego wzrostu życia łaski jest ustanowioną.

Wreszcie kres i koniec tego rośnięcia: ujawnienie synostwa Bożego w chwale. Istota błogosławionego widzenia, towarzysząca jej błogo-

sławiona miłość i radość — wszystko to omówione jest gruntownie, z uwzględnieniem różnych szkół teologicznych, ale bez zawisłości od nich.

Na zakończenie omawia autor inne warunki chwały, towarzyszące błogosławionemu widzeniu Boga: zmartwychwstanie i uwielbienie ciał, ich przymioty w tej nowej sferze bytu; zagadnienia o możliwem uwielbieniu natury albo wogóle jakiegoś materyalnego środowiska dla ciał zmartwychwstałych.

Autor nie lękał się, jak powiedziałem, roztrząsać w ciągu swych rozpraw kwestyj trudnych i głębokich; gdy jednak spotykał po drodze kwestye bardzo abstrakcyjne z charakterem czysto szkolnym, to pomijał je odsyłając do końcowych dodatków. To też mamy na końcu dzieła tych dodatków dziewięć, których szczegółowy rozbiór nie interesowałby szerszej publiczności. Wykład autora jest płynny, przejrzysty, miejscami zarzuciłbym mu, że się zbyt zbliża do nauki ascetycznej; przedmiot, co prawda, do tego ciągnął. Wcale zaś nie mam mu za złe, że w niektórych miejscach wykład przechodzi w formę modlitwy, rozmowy z Bogiem, co mile św. Augustyna przypomina.

Takie jest dzieło ks. Terrien'a. Teologowie wiele z niego skorzystają, ale i świeccy ludzie w religii wykształceni z interesem i pożytkiem czytać go mogą.

Ks. M. Morawski.

Kościelna tradycya i rosyjska teologiczna literatura. (Церковное преданіе и русская богословская литература, критическое сопоставленіе по поводу критики на книху »О церкви«). Freiburg i. Breisgau 1898. (W 8-ce str. 1—584).

W roku 1888 wyszła w Berlinie w rosyjskim języku książka bezimiennego autora pod tyt. „O Cerkwi" (О Церкви). Dziełko to, w obronie katolickiego Kościoła znakomicie napisane, wywołało żywą polemikę rosyjskich uczonych. Profesor petersburskiej duchownej akademii p. Katański zredagował przeciwko niemu kilka artykułów *w Cerkown. Wiedomostiach,* które następnie wydrukował w osobnej broszurze; profesor kazańskiej duchownej akademii p. Bielajew poświęcił krytyce tegoż dziełka całą książkę pod tyt. „O katolicyzmie" (S. Petersburg 1889). Prawie równocześnie z tem wydał protojerej Łebedow „O prymacie papieża", a p. Suszkow „Przeciw fałszywej nauce o prymacie rzymskiego kościoła". (S. Petersburg 1890).

Rozczytawszy się w owych pracach rosyjskich uczonych, autor wzwyż zacytowanej książki zapragnął poznać także samo dziełko „O Cerkwi",

będące tłem całej polemiki. Porównywując następnie wywody zawarte w książce „O Cerkwi", z paralelnemi wywodami rosyjskich uczonych, autor nasz, chociaż prawdopodobnie sam nie kapłan, mimo to będąc znakomitym teologiem, obdarzony przytem nadzwyczaj dokładną znajomością rosyjskiej Cerkwi i w ogóle wszechstronnie wykształcony na polu historyi kościelnej, nadto posiadając subtelny zmysł krytyczny, przyszedł łatwo do konkluzyi, iż dziełko „O Cerkwi" było istotnie potężnym taranem, wymierzonym w samo wnętrze prawosławia, i że krytycy rosyjscy mimo najdzielniejszego oporu nie są w stanie jemu sprostać. Ponieważ jednak polemika tych ostatnich pozornie zdawała się tryumfować nad rzeczywistem zwycięstwem, jakie należało przyznać dziełku „O Cerkwi", wskutek czego czytające rosyjskie społeczeństwo mniej obeznane z prawdą Kościoła katolickiego gotowe było pójść za pozorami swych uczonych ze stratą dla prawdy, przeto autor niniejszej pracy zadał sobie trud rzucić na tle wywołanej polemiki nowe potężne światło na sofizmata rosyjskich krytyków i atak na prawosławie ponowić. Udało mu się to wyśmienicie, chociaż owoców pracy swojej nie miał oglądać: umarł bowiem przed wydrukowaniem swego dzieła.

W przekonaniu, że praca autora może znaczne oddać usługi zwłaszcza tym, którzy wschodnim carosławiem więcej się interesują, chcemy dzisiaj podać o niej nieco szerszą recenzyę.

Charakter książki w całości jest polemiczny, jest to bowiem krytyka na krytykę. Ton jednak polemiki jest nadzwyczaj umiarkowany i spokojny, i to, bacząc na cel, jaki sobie autor zakreślił, przemawiając w obronie prawdy wobec tych, którzy katolicyzmowi są w zasadzie przeciwni, uważamy za bardzo trafną zaletę książki. Sposób pisania nie może w niczem urazić rosyjskich uczonych, prawda zaś oparta na źródłach, które samo prawosławie uznaje za swoje, mianowicie tradycyę pierwszych wieków chrześcijaństwa i Ojców Kościoła, ugruntowana na podstawie historycznych faktów, oświetlona dowodami z wielką logiczną konsekwencyą ugrupowanemi, musi na każdym czytelniku wywrzeć wrażenie. Sądzimy, że przemówi i do przekonania, bodaj wnętrznego. Inna rzecz, jaki wyraz dadzą jej rosyjscy krytycy w publicznej swej literaturze.

W I. rozdziale autor polemizuje wyłącznie z p. Bielajewem. Spornem polem naturalnie jest prymat rzymskiego biskupa. Bielajew twierdzi, że tak Ewangelia, jak i Ojcowie pierwszych wieków Kościoła o prymacie Rzymu nic nie wiedzą; zamiast tego widzimy u biskupów

rzymskich, dzięki ich wyłącznemu stanowisku wobec wszystkich innych stolic biskupich, jako u rezydentów wszechpotężnego Rzymu, ciągłe dążenia do supremacyi nad innemi kościelnemi prowincyami, z czego w ciągu wieków, na podstawie mylnej teoryi o ewolucyi dogmatów, ukuto rzeczywiście ten fatalny dogmat o pierwszeństwie Piotra nad resztą apostołów i konsekwentnie o pierwszeństwie następców Piotrowych nad resztą biskupów Chrystusowego Kościoła. Kto przyjmuje ową mylną teoryę o ewolucyi dogmatów, ten musi przyznać, (mówi p. Bielajew) że katoliccy teologowie konsekwentnie dochodzą do prymatu rzymskich papieży — lecz teoryę tę nie można żadnem prawem przyjąć za prawdziwą naukę — a więc i cały budynek o prymacie papieży, na tej teoryi ufundowany, musi runąć. Bielajew nie bierze się do zbijania mylnej, według niego, teoryi o ewolucyi dogmatów, atakuje ją li tylko ubocznie, twierdząc, że teologowie katoliccy logiką tejże teoryi będą zmuszeni bronić nietylko katolickich, ale także protestanckich nowości, które na tej samej zasadzie ewolucyi dogmatów zrodziły się.

Po wyłuszczeniu nauki katolickiej o rozwoju dogmatów i wykazaniu, że prawosławie również przyjmuje progres w dogmatach, autor przystępuje do Ojców i pisarzy kościelnych, których samo prawosławie uważa za filary chrześcijaństwa.

I tu rozwija się właściwa szermierka polemiczna między p. Bielajewem, krytykującym książkę „O Cerkwi", a naszym autorem, odpowiadającym p. Bielajewowi całym aparatem najpiękniejszych cytatów Ojców św. (przeważnie greckich a przytoczonych wyłącznie z wydań rosyjskich) [1], świadczących za prymatem Rzymu nad resztą Chrystusowego Kościoła. Po kolei mówią więc Leon Wielki (w księgach liturgicznych słowiańskich i greckich czczony „filarem prawosławia", str. 78), dalej Jan Złotousty (w bardzo licznych miejscach), Bazyli Wielki, jego brat, Grzegorz Niski, Grzegorz Nazyanzeński, Efrem, Makary W., Atanazy W., z zachodnich Cypryan i Augustyn, obaj czczeni w Kościele wschodnim. Wszystkie teksty Ewangelii, mówiące o Piotrze św., książęciu apostołów i zbudowaniu na nim Kościoła Chrystusowego, znajdują dobitne omówienie w komentarzach tych bezstronnych świadków chrześcijańskiej tradycyi.

[1] Łacińskie cytaty, chociaż wogóle mało ich znajdujemy w książce, jednak i te prawie wszystkie przepełnione omyłkami drukarskiemi, tak, że czasem sensu doczytać się trudno; jest to prawie jedyna ujemna strona książki.

Zauważyć można, iż rosyjscy uczeni dziwną jakąś bojaźń zdradzają, ile razy przychodzi im zaglądnąć w wnętrze słów Chrystusowych: „Tyś jest Piotr — i na tym kamieniu zbuduję Kościół“. Prawie każdy zmyka w osobną jakąś kryjówkę, porażony prostem ich znaczeniem. Protojerej Łebedow upatruje w nich „igraszkę słów“, jakiej tutaj Chrystus użył(!), zestawiając razem: Πετρος i πετρα (str. 383); p. Suszkow w Πετρος nie widzi rzeczownika, lecz przymiotnik πετρινος (twardy, kamienisty), chociaż takiego przymiotnika grecki język nie zna (str. 448); p. Bielajew wie także, iż Chrystus co innego rozumiał w słowie πετρα, a nie kamień, coby zaś to było, nie chciał nam powiedzieć (str. 8).

Prześlicznie autor nasz opisuje i tłumaczy spór antyocheński między św. Piotrem i Pawłem (str. 36—48).

Skończywszy polemikę z okazyi tekstów Pisma św. i odnośnych komentarzy Ojców Kościoła, następnie aż do IV. włącznie rozdziału spór toczy się około samychże zdarzeń historycznych, które po myśli p. Bielajewa przemawiają przeciw prymatowi, w rzeczywistości jednak są świetną apologią tegoż. Cały ten artykuł można słusznie uważać za przepyszną, z samych faktów Kościoła wschodniego splecioną obronę autorytetu rzymskich papieży w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Szczególnym obrońcą prymatu występuje tutaj postać św. Bazyjego W. Jego listy do Rzymu, jego poselstwo, jego radość i wdzięczność po otrzymaniu przychylnej odpowiedzi od papieża Damazego, są w stanie przemówić do przekonania każdemu, że cały Wschód w owych czasach żył wiarą w pierwszeństwo Piotrowej stolicy nad całym chrześcijańskim światem.

P. Bielajew kilkakrotnie wpadł w sprzeczności z samym sobą i z prawosławiem. Tak np. zarzuca Rzymowi, iż w walce z herezyami nie brał udziału (str. 140), „że znaczenie Rzymu w odłączaniu heretyków od jedności kościelnej nie miało wpływu, że przynależność do Rzymu nie była świadectwem przynależności do powszechnego Kościoła“, równocześnie sam, zaczepiając jeden spór za drugim, cytuje, co w nich zdziałał papież, i li tylko usiłuje postępowanie papieży przedstawić jako uzurpacyę nienależytej im władzy. Przykłady (str. 144) z heretykami Teodotem, Artemonem, Noecyuszem, Berillem, Sabeliuszem, Lycyanem, postarał się autor naszego dzieła na podstawie dokumentów zwrócić przeciwko p. Bielajewowi. W ciekawą kontradykcyę z nauką prawosławia popadł Bielajew, zaczepiając nieomylność papieży i w przesadnem jej atakowaniu zwichnął nieomylność soborów powszechnych,

którą przecież prawosławie uznaje, a jednak w tem spaczeniu, jakie mu nadaje p. Bielajew, przyjąć żadną miarą nie może.

Nadto atakując prymat w tych pierwszych wiekach chrześcijaństwa, a przyparty do ściany zanadto rażącemi faktami, pragnie bodaj tem wywinąć się, iż przypisuje papieżom z owych czasów butę, pychę, nadętość i uzurpatorstwo władzy. Dawniejsi apologeci prawosławia tej broni nie używali przeciwko biskupom rzymskim pierwszych wieków, a zachowali ją aż dla późniejszych, i dlatego prawosławny Kościół czci honorem świętych papieża Zosyma, Agatona. Czyż więc prawosławie czci grzesznych uzurpatorów, czy może p. Bielajew kosztem samegoż prawosławia pragnie „złą sławę“ tym świętym przypiąć?!

Z rozdz. IV. kończy autor polemikę z p. Bielajewem. Główna myśl, iż zerwanie lub odłączenie od rzymskiej stolicy były uważane w pierwszych wiekach Kościoła za odszczepieństwo od prawdziwego Kościoła Chrystusowego, nietylko na Zachodzie, lecz przedewszystkiem na Wschodzie, przeprowadza się tutaj dalej na tle schizmy Akacyusza, buntów Dioskora, herezyi Eutychiusza i zawikłań między Wschodem a Rzymem z powodu zwołania i ukończenia soboru chalcedońskiego.

W drugiej zaś części, reasumując wywody p. Bielajewa i zestawiając je z podobnemi innych rosyjskich uczonych, daje nam możność wglądnąć w sam charakter walki prawosławnych teologów z katolicyzmem. Ta część rozdziału IV. razem z obu końcowemi jest bodaj czy nie najciekawsza z całej książki. Poprzednie bowiem rozdziały traktują mniej więcej dobrze znane każdemu teologowi katolickiemu sporne kwestye, tutaj przeciwnie widzi czytelnik, jak prawosławni ścierają się sami między sobą w świętem przekonaniu, że zadają ciosy katolickiej prawdzie. Podobni są w swoich argumentach do chmur, słońce atakujących: słońcu nic to nie szkodzi, chmury jednak wzajemnie tłoczą się jedna na drugą. Przytem najfatalniej stają w sprzeczność z samemże prawosławiem. Słusznie więc mówi autor, że „kto studyuje naszą (rosyjską) teologiczną literaturę, ten musi się zgodzić na to, iż my (rosyjscy uczeni) w nienawiści do zachodniego Kościoła doszli aż do fałszowania historycznej prawdy“ i do spaczania prawosławnych tez. Kilka przykładów już widzieliśmy.

Latopis cerk. hist. archimandryty Arseniusza fałszuje dekreta sardycyjskiego soboru (344). To samo robi *Istorya chrzesc. praw.* Rudakowa (tamże).

Inni przedstawiciele wschodniej Cerkwi powtarzają aż do prze-

sytu (w czem jednak inni im się sprzeciwiają), iż Cyryl Aleks. nie był w Efezie przedstawicielem papieża Celestyna.

Sam Bielajew, chcąc zatrzeć znaczenie apelacyj, wnoszonych przez wschodnich biskupów przed forum Rzymu, pokrywa się tem, że Aryanie protestowali przeciwko takim apelacyom, jak gdyby w sposobie postępowania heretyków chciał widzieć zdrowy wyraz prawosławia. Na str. 347 mamy więcej kontradykcyj między p. Bielajewem a Katańskim, Bielajewem a Łebedowem, Łebedowem a Preobrażeńskim, Bielajewem a Pospiechowym.

Łebedowowi, który napisał dziełko „O prymacie papieża", i Suszkowowi, który wydał drukiem „Przeciw fałszywej nauce o prymacie rzymskiego Kościoła", poświęcił autor osobne rozdziały (V. i VI.).

Nie są to już ludzie umiarkowani w słowach, w rodzaju p. Bielajewa, ale raczej namiętni wrogowie katolicyzmu, którzy za wszelką cenę pragną swoim czytelnikom wykazać, iż rzymski Kościół to nietylko herezya nad wszelkie herezye, ale także głupota największa. Z takimi przeciwnikami dysputa wydaje się prawie bezowocna, mimo to autor nasz traktuje ich z wielką oględnością i spokojem, przez co też wywody jego muszą zyskać na uznaniu u samychże prawosławnych, którzy chyba co kilka kartek muszą powiedzieć: głupota i bezbożność chyba leży nie po stronie katolików, którzy w ten sposób, jak nasz autor rozpędzają chmury z oblicza słońca, ale raczej po stronie samychże burzliwych obłoków Łebedowa i Suszkowa. Do najlepszych miejsc w obu tych rozdziałach należy znów zaliczyć nie owe, w których autor odbija kalumnie i krętactwa, miotane na katolicki Kościół, ale te, gdzie on przeciwnika zaczepia na własnym terenie, gdzie Łebedow i Suszkow występują w roli teologów samego prawosławia i naturalnie potykają się i dochodzą do herezyj, wyklętych samym oficyalnym Kościołem prawosławnym (str. 384, 398, 429, 430, 436).

Wstrzymujemy się od szczegółowego rozbioru tych miejsc, gdyż zaprowadziłoby nas to za daleko, a nasza recenzya już i tak przewlekła się. Mniemamy, że teologowie nasi, mający jaki taki interes w poznaniu bliższem rosyjskiego prawosławia, zechcą poznać się z samymże dziełem, które najprawdopodobniej w teol. literaturze rosyjskiej jeszcze głośniejszem echem rozlegnie się, niż książka „O Cerkwi".

Autor w końcowych wierszach swej poważnej pracy (str. 584) dziękuje w imieniu „apologety" (tj. autora dziełka „O Cerkwi") panu Bielajewowi, za to, że raczył zwrócić swą światłą uwagę na jego pracę i przypisał mu słowa św. Leona W. (str. 7, 8), p. zaś Katańskiemu,

który apologecie uczynił zarzut, iż (nad prawosławiem) „krokodyle łzy“ wylewa, przypomina, że sądzić o tem, czy ktoś płacze szczerze, czy obłudnie, przynależy pozostawić Temu, który obiecał: „pociechę płaczącym i nasycenie łaknącym prawdy“.

Ks. Pl. Filas

Die substantiale Form und der Begriff der Seele bei Aristoteles von *Dr. E. Rolfes*. Paderborn 1896. (W 8-ce IV, 144).

Die Gottesbeweise bei Thomas von Aquin und Aristoteles. Erklärt und vertheidigt von *Dr. Eugen Rolfes*. Köln 1898. Verlag und Druk von I. P. Bachem. (W 8-ce, VIII, 305).

Słuchacz wykładów Trendelenberga, dr. Rolfes, przyjął od swego nauczyciela cześć dla greckiej filozofii w ogóle, a szczególniej dla Arystotelesa. Ta cześć jednak nie przybrała rozmiarów przesadnych: nie nałożyła więzów na umysł samodzielnego pisarza i pozostawiła d-ra R. na stanowisku, zajętem przez Trendelenberga, a wyrażonem w jego słowach: *Die griechische Zeit ist uns kein greises Alterthum, sondern die Jugend unseres Geistes*. Na grecką filozofię spogląda dr. Rolfes nie jak na zwój zamszonych pism, pokryty pleśnią pojęć przestarzałych, tylko jak na pierwsze kroki młodzieńczej wiedzy, stawiane z różnem szczęściem, raz opromienione błyskami geniuszu i głębokiego poczucia prawdy, innemi razami bardzo chwiejne albo zwracane wprost na bezdroże. Dr. Rolfes uważa to za konieczny obowiązek myśliciela: dobrze zbadać i rozstrzygnąć dowody Arystotelesa, aby orzec, czy na jego wnioski może przystać wiedza nowoczesna, czy zaliczy je do niedojrzałych pomysłów. Tę pracę zadał sobie, aby w świetle nauki teraźniejszej wydać sąd o perypatetycznem pojęciu tak zwanej formy substancjalnej. W tym zamiarze pozestawiał dowody Arystotelesa w kilka gromad: w jednej zabrał dowody jego o formie substancyalnej ciał martwych, w drugiej gromadzie rostrząsa siłę dowodów co do roślin, dalej o zwierzętach rozprawia, nakoniec o ludzkiej duszy, jako o substancyalnej formie ciała.

Zamiłowany w Arystotelesie autor nie szczędził trudu, aby z tysiąca odpowiednich miejsc powyszukiwać dobitne wyrazy, które dobrze oddają zasadniczą naukę perypatetyczną. Na widok tego mozołu nikt nie powie, że autor albo nie zna Arystotelesa, albo nie chce rozumieć, czy nie lubi dochodzić wątka jego nauki. Z drugiej strony nie można zarzucić, że autor, jako zawzięty obrońca Arystotelesa za włosy ciągnie naukę nowoczesną, aby poparła poglądy perypatetyczne, że koniecznie

chce tym poglądom wyrobić prawo obywatelstwa w filozofii dzisiejszej. Przeciwnie, nie dość wymownie w książce autora występuje nauka nowożytna, aby złożyć świadectwo o swoich zasadach i ich zgodzie z formą substancyalną: podnosi słabe strony dowodów Arystotelesa bardzo dobitnie, ale półgębkiem tylko odpowiada, zapytana, czy nie ma innych zjawisk, z których płynęłyby takie same wnioski, jakie Arystoteles wyciągał z zjawisk źle wyjaśnianych przez fizykę starożytną. Arystoteles rozprawia o tych przemianach ciał, które zmieniają ich istotę, i rozróżnia te przemiany istotne od zmian przypadkowych; opiera pojęcie przemian istotnych na zjawisku np. parowania wody albo jej marznięcia, i z ówczesnymi przyrodnikami mniema, że w lodzie żywioł wody zamarzniętej zostaje żywiołem ziemnym, a w parze żywioł wody zostaje żywiołem powietrznym; słowem: na tych zjawiskach opiera z przyrodnikami wniosek, że ciała ulegają przemianom, które z nich wydają nową istotę. Tym przemianom przeciwstawia zmianę np. taką, jakiej woda ulega, kiedy pomięszana z winem, ani nie zostaje czystą wodą, ani nie zaczyna jeszcze istnieć jako wino, tylko wraz z winem tworzy mięszaninę bez żadnej zmiany istotnej w swojem jestestwie. Dzisiejsze stanowisko fizyki nic nie zarzuca perypatetycznemu pojęciu mięszaniny dwóch składników, która ich nie przeistacza wcale, ale nienaruszone zachowuje oba, jako dwa odrębne jestestwa, przypadkowo połączone. Temu pojęciu mięszaniny wiedza dzisiaj przeciwstawia pojęcie związku chemicznego, w którym składniki ulegają takiej zmianie doniosłej, że już nie istnieją jako dwa jestestwa odrębne, ale tworzą jedno ciało nowe wewnętrznie jednolite a nie połączone tylko tak, jak wino z wodą w mięszaninie, gdzie każda odrobina wody wodą pozostaje, a wino winem w każdej odrobinie. Goretsi, niż dr. Rolfes, zwolennicy formy substancyalnej wytaczają dowody na obronę Arystotelesa przed zarzutem, że jego pojęcie przemiany istotnej ciał nie odpowiada dzisiejszemu postępowi nauk; przywodzą świadectwo chemików i najpoważniejszych i najpopularniejszych, którzy mięszaninom tak przeciwstawią związki chemiczne, jak Arystoteles im przeciwstawił przemianę istotną; z tych świadectw wywodzą, że choć dowody Arystotelesa, ryczałtowo wzięte, nie uchodzą dzisiaj, ale zawierają w sobie cząstkę prawdy dostateczną, aby z niej wyprowadzić ten sam wniosek,do którego doszedł Arystoteles.

Dr. Rolfes nie rozbiera tak głęboko całej sprawy; widzi w dowodach Arystotelesa mylnie wyjaśnione zjawiska i słusznie twierdzi, iż te dowody, tak jak stoją, stać nie mogą; czuje, że możnaby za-

pytać się: a czyż ich nie można zgrabniej postawić, aby stały niewzruszone? Jednak zbywa to pytanie odpowiedzią, że chyba zawodowy przyrodnik umiałby dla nauki perypatetycznej w dziedzinie zjawisk upatrzeć podstawę silniejszą, niż podwalina, na której Arystoteles budował. O sobie dr. Rolfes wyznaje, że zawodowo nie uprawia nauk przyrodniczych, więc nie zdoła osądzić, czy jakie zjawiska w dziedzinie zbadanej dotychczas potwierdzają pojęcie Arystotelesa o przemianach istotnych str. 60: *Wir möchten uns nicht der Gefahr aussetzen, wegen mangelnder Fachkenntnisse Unzutreffendes zu sagen.* Nie uważa sprawy formy substancyalnej za nierozstrzygniętą w obrębie zjawisk przyrody martwej, a dopiero udowodnioną przez organizmy żywotne, których bez formy substancyalnej, według dr. Rolfesa, nie możnaby dostatecznie wyjaśnić.

Ale Arystoteles nie bardzoby dziękował d-rowi Rolfesowi za obronę swojej formy substancyalnej w organizmie żywym; widziałby w niej coś pojętego bardziej po platońsku, niż według zasad perypatetycznej filozofii.

Tego zarzutu podnieść nie można o drugiej pracy dr. Rolfesa nad Arystotelesem i św. Tomaszem: w sporej książce autor rozbiera dowody tych filozofów o istnieniu Boga i ocenia je według pojęć naukowych dzisiejszych i w świetle nowoczesnych poglądów filozoficznych. Tutaj obronną ręką Arystoteles wychodzi z rozprawy, choć musi przyznać, że utrudnił sobie sprawę swojem pojęciem ruchu samowładnego uznanem dzisiaj za mylne. Mimo tego braku pojęcia bezwładności, Arystoteles uchwycił szczęśliwie jądro prawdy niezmiennej, i wykazuje, że bez Istoty Niezmiennej, Nieruchomej, Doskonałej, nie istniałby ten świat zmienny i nikły, to całe tło zjawisk przejściowych, w którem żyjemy.

Jeszcze więcej, niż w pracy poprzedniej, w niniejszem dziele uwydatnia autor swoją znajomość filozofii perypatetycznej. Czerpał ją z dzieł Arystotelesa wydanych z dziwną sumiennością przez Niemców: to też najdrobniejsze zmiany i waryanty tekstu nie uszły uwagi dr. Rolfesa. Jak broszura o formie substancyalnej woła na każdego profesora filozofii, żeby ją czytał, tak książka o dowodach istnienia Bożego powinnaby zwrócić uwagę każdego człowieka myślącego i odkryć jemu prawdę w tej kwestyi, nad którą ważniejszej nie zna umysł poważny.

Ks. K. Czaykowski.

Kilka uwag o czasopismach czeskich.

Pomiędzy czasopismami czeskiemi uderza przedewszystkiem ogromna liczba pism specyalnych, fachowych. Objaw bardzo korzystnie o społeczeństwie świadczący. Widać bowiem z tego, że w czeskiem społeczeństwie stara się mniej więcej każdy o to, aby to, co do niego należy, co jest jego zadaniem, spełnił jak można najlepiej; najprostsza ku temu droga: fachowe wykształcenie, a temu zadaniu poświęcone są pisma specyalnie. Jest ich — jak powiedzieliśmy — ogromna liczba, z najrozmaitszych zakresów, od sportu do czasopism ciężko-naukowych, od rzemiosł i przemysłu do szkolnictwa, pisma rolnicze, robotnicze, rybackie — nieskończony szereg. Szewcy mają swego *Czeskiego szewca,* kelnerzy swoje *Interesy kelnerów,* restauratorzy swego *Hostimila,* praczki *Illustrowaný časopis pro prádlo,* straż ogniowa ma swoją *Organizacyę straży ogniowej,* gimnastycy *Sokoła* i t. d. i t. d.

Szczegółowiej temi pismami zajmować się nie możemy, bo o pismach specyalnych może sądzić właściwie tylko specyalista. Zresztą nie potrzebujemy tego robić. Jeżeli się zajmujemy czasopismami jakiegoś narodu, to nie dla nich samych, nie aby się dowiedzieć, że to a to pismo wychodzi od lat tylu a tylu, wychodzi co miesiąc i kosztuje na rok 12 złr. Jeżeli się staramy zapoznać z czasopismami, to dlatego, że one są świadectwem o prądach umysłowych, w danej chwili w danem społeczeństwie panujących, że ich poznanie ułatwia nam w wysokim stopniu poznanie narodu. Ale z tego wypływa, że czasopisma specyalne ku temu celowi się nie nadają: one dają świadectwo tylko o pewnej — zwykle szczupłej — liczbie ludzi i tylko o jednej stronie ich życia. W obrazie na wielką salę powinnyby się i te rysy znajdować — w drobnym szkicu są najzupełniej zbyteczne.

Skoro odpadają pisma specyalne, pytamy się, które będą tem świadectwem o danem społeczeństwie, w tym razie o czeskiem? Inaczej można się zapytać w ten sposób: jakie to są pisma, w których się odbija i uwydatnia życie całego narodu, jego myśli, pragnienia i dążenia? Odpowiedź dosyć prosta: to, co nazywamy duchowem albo umysłowem życiem narodu, wyraża się w prądach politycznych i społecznych, artystycznych i literackich; zatem pisma, poświęcone ogólnemu rozpatrywaniu tych prądów, dostarczają najprędzej i najwięcej wskazówek i pomocy do poznania narodu.

Te cztery kierunki oddzielić od siebie, wyznaczyć im ścisłe gra-

nice, tak aby jeden nie zachodził w drugi, jest prawie niemożliwą rzeczą. Jest to zresztą zupełnie naturalne. Jak życie materyalne, wegetacyjne, jest tylko wtedy pełne i prawdziwe, gdy obejmuje razem wszystkie zjawiska, które się na nie składają, w najściślejszym związku, tak i życie umysłowe nie byłoby zupełne, nie byłoby życiem, gdyby choć jednego z owych objawów brakowało. Z tego zaś wynika, że czasopisma, które chcą być czytane przez wszystkich (wykształconych), muszą się wszystkiemi temi objawami zajmować równocześnie; inaczej stałyby się pismami specyalnemi.

Do pewnego jednak stopnia oddziela się od innych polityka, przedewszystkiem zaś polityka bieżąca, codzienna. Na jej usługi jest oddana prasa polityczna, która też bardzo się różni od reszty czasopism, dlatego ją rozpatrujemy osobno.

Pisma polityczne są organami stronnictw; przypatrując się im, widzimy zarazem ugrupowanie partyj. Jak wiadomo dzisiaj u steru stoi stronnictwo młodoczeskie; na swoje usługi ma ono znakomicie pod względem technicznym prowadzone *Národní Listy*, niezbyt sympatyczne, ale rozszerzone i wpływowe, i całą masę drobnych pism prowincyonalnych. Ale przeciw stronnictwu młodoczeskiemu z różnych powodów występują różne przeciwne partye: katolicy *(Katolické Listy)*, staro-Czesi (ci mają kilka pism codziennych, jak *Hlas Národa, Národní Politika, Kurýr* i niemiecka *Politik* — ta ostatnia zdaniem naszem najlepsze i najsympatyczniejsze pismo czeskie), dalej partye, przewyższające młodoczeską radykalizmem: radykalni postępowcy (mają już dosyć liczną prasę, ale dziennika jeszcze nie mają; głównym organem są *Radikalní Listy)* — zajmują oni wobec Młodoczechów zupełnie to samo stanowisko, które ci zajmowali wobec Staroczechów, kto wie, czy i dalsze koleje nie będą podobne; różne odłamy antysemitów, niezbyt potężne; wreszcie dwie grupy robotnicze: robotnicy narodowi *(národní dělnictvo)*, których program obejmuje wszystkie programy narodowych partyj radykalnych i niektóre punkta programów socyalistycznych, i socyaliści (pierwsi nie mają pisma codziennego, ale wogóle pism mają stosunkowo dużo, drudzy wybornie zorganizowani mają dziennik *Pravo lidu* i cały szereg pism drobniejszych, wreszcie dużo pism specyalnych).

Polityka zajmuje dzisiaj każdego — inne prądy umysłowe ograniczone są na mniejszą liczbę ludzi, ale to im daje tę wielką korzyść, że nie potrzebują być traktowane popularnie, że pisma zajmujące się niemi, mogą być utrzymane na odpowiedniej wysokości. Przy rozważaniu tych pism wielką trudność stanowi *principium divisionis*. Brać

jedno po drugiem w dowolnym porządku, to powstanie tylko zamęt; musimy na nie patrzeć jak na grupy pism, połączonych z sobą wspólną podstawą. Tę podstawę znaleźć nie jest zbyt łatwą rzeczą. Ostatecznie możemy ją widzieć w poglądach społecznych; przekonania artystyczne i literackie zwykle od nich zależą — choć nie bez wyjątków, i w tem właśnie jest ta trudność.

O pismach katolickich nie rozpisujemy się tu obszerniej; pisał o nich ks. dr. Tumpach w *Przeglądzie Powszechnym* 1897, jeżeli się nie mylimy w maju i lipcu. Na jedno tylko zwrócimy uwagę, na którą w pełni zasługuje. Jest to *Nový Život*. Kierownicy jego, a właściwie kierownik (ks. Karol Dostal-Lutinov) postawił sobie za zadanie założyć i utrzymać pismo, któreby zostając katolickiem było zarazem jak najwięcej nowożytnem, *modern*. Stąd też zwolenników *Nowego Żywota* nazywają w Czechach „katolicką moderną“. Próba, którą redakcya *Nowego Żywota* podjęła, jest dosyć śmiała, nie dlatego, żeby najnowsze kierunki w sztuce i w literaturze z natury swojej były sprzeczne z katolicyzmem, ale dlatego, że bardzo tu łatwo wpaść w przesadę. Na razie zdolniejsi z „młodych“ zasilają je swemi pracami, ku wielkiej irytacyi pism radykalnych, pytających z przekąsem: „katolicyzm i postęp... jak się to z sobą godzi?“

Jak na całym świecie tak i u Czechów pewna warstwa ludzi czy pewne stronnictwo jest u władzy. Ale ta władza nie ogranicza się tylko do polityki; ona rozszerza się także w dziedzinę pojęć społecznych, artystycznych i umysłowych. Jednem słowem pewne pojęcia są dobrze widziane, inne są tępione. Oczywiście na te panujące z czasem przyjdzie kreska, ich miejsce zajmą inne, które znów będą rzucać gromy na przeciwne sobie, i tak *usque ad finem*. Nazwijmy te pojęcia panujące normalnemi, nie dlatego, żeby inne miały być anormalne, tylko że zwykle głosi się ku nim największa ilość ludzi. Tym pojęciom normalnym służą z najwybitniejszych pism *Osvěta, Květy* i *Česká Revue*, wszystkie trzy miesięczniki, dalej *Lumír* wychodzący trzy razy na miesiąc, i dwa ilustrowane tygodniki *Světozor* i *Zlatá Praha*, o całym szeregu mniejszych już nie mówiąc. Są to zresztą pisma pod wielu względami bardzo dobre. Na *Osvětę* trochę narzekają wykształceni Czesi, że to jest raczej *Familienblatt* a nie poważne pismo; na to zdanie całkiembym się nie zgodził. Pomiędzy jej artykułami (red. Wacław Vlček) znajdą się często rzeczy wielkiej wartości. Dużo zwraca uwagi i wiele poświęca miejsca przeglądowi artystycznemu i literackiemu — i tu niestety jej słaba strona. Boi się śmielszej myśli, żywszego prądu,

ocenia zjawiska artystyczne i literackie dosyć szablonowo. Przegląd polityczny jest mdły i bez wyrazu. Ale poza temi wadami jest pismo wcale dobre i ostatecznie podaje dosyć dokładny obraz ruchu literackiego (przedewszystkiem w zakresie literatury pięknej), tylko trzeba go przyjmować krytycznie. *Květy* redaguje sławny poeta Świętopełk Čech. Mają one służyć wyłącznie literaturze pięknej. Umieszczają więc poezye, powieści i nowele, podróże i niekiedy studya nad tą literaturą. Żadnego zresztą przeglądu czy literackiego, czy to artystycznego nie podają. Stąd ich „barwę“ poznać trudniej, niż u innych. Ale w samychże utworach, drukowanych w *Květach,* ich kierunek i przekonania są widoczne; i one również trzymają się szlaków względnie utartych. *Osvěta* i *Květy* są pisma dawne (kiedyś były „młode“!) — *Česká Revue* wychodzi dopiero pierwszy rok. Ta ma już wyraźnie firmę młodoczeską, jest organem klubu posłańców młodoczeskich. *Česká Revue* jest poważnem pismem, zaznajamia czytelników z naukowym ruchem ostatniej doby, zwłaszcza zaś zwraca uwagę na stosunki i prądy społeczne wogóle a w szczególności w ziemiach czeskich. Przegląd polityczny oczywiście w duchu partyi, literacki i artystyczny podobny do przeglądu *Osvěty,* z tą różnicą, że więcej się zajmuje dziełami naukowemi. Wogóle *Česká Revue* przedstawia się bardzo korzystnie; w niewielu dotychczasowych numerach jest mnóstwo rzeczy pouczających. Redaktorem jest dr. Podlipský.

Lumír (red. Sládek) jest pismem pośredniem między poważnym miesięcznikiem a mniej poważnym, ilustrowanym tygodnikiem. Tych tygodników, godnych uwagi, jest dwa: *Světozor* i *Zlatá Praha.* Jak wszystkie na świecie lepsze tygodniki, tak i te: poezye, powieści, przegląd artyst. i liter., kronika, od czasu do czasu rozprawa historyczna, literacka, artystyczna i t. p., wreszcie ilustracye. I *Světozor* i *Zlatá Praha* zasługują jako tygodniki na wielkie pochwały, kierunek zaś, jak już mówiliśmy, jest podobny do *Osvěty, Květów* i t. d.

Nazwaliśmy pojęcia i poglądy, których wyrazem są właśnie omawiane pisma, normalnemi dlatego, że w danej chwili wyznaje ich najwięcej jednostek — ale te jednostki są normalne, t. zn. niezbyt mądre i niezbyt... niemądre. Otóż na pismach, wyznających takie zasady, ciąży klątwa. Materyalnie stoją one zwykle dobrze i najwięcej mają czytelników. Ale gdy się im dobrze przypatrzymy, widzimy od razu jakiś brak prawdziwego życia: wymykanie się kwestyom najważniejszym a spornym, w danym razie zaś traktowanie ich w ten sposób, aby jak największej liczbie ludzi dogodzić, brak pewnych i stałych

zasad, któremi się ma rządzić pogląd na świat i jego krytyka. Pisma tego rodzaju łatwo przemieniają się w organa, tumaniące ludzi, zamiast w pouczające.

Przeciw tej bezbarwności i połowiczności, przeciw tem brakowi pewnych kryteryów, budzi się u ludzi myślących odpór. Oczywiście w pierwszym rzędzie wyraża się on w czasopismach. Zobaczmy, jak się pod tym względem ma rzecz w literaturze czeskiej.

Jedno z najciekawszych zjawisk w umysłowem życiu czeskiem ostatnich lat, to t. zw. realizm. Rzecz godna bliższego i dokładniejszego rozpatrzenia; tu możemy o nim powiedzieć tylko ogólnie. Nie jest to właściwie jakiś ściśle określony kierunek polityczny ani społeczny, realiści nie są stronnictwem politycznem. Ojcem realizmu jest profesor filozofii w czeskim uniwersytecie, Tomasz Masaryk. Wykształcony w wysokim stopniu, myśliciel głęboki, postanowił on program narodowy poddać rewizyi, ulepszyć go i zastosować do chwili bieżącej. Jest to innemi słowy prąd reformacyjny, dotykający wszystkich działów i wszystkich kierunków życia narodowego [1]. Jako ideał stawiają realiści narodowi swemu Husa, Chelczyckiego i Jednotę braci czeskich. W życiu politycznem żądają stałości i uczciwego postępowania. Są przeciwnikami polityki młodoczeskiej dlatego, że sobie wyobrażają, iż Młodoczesi od dawnego programu odstąpili i nie wiedzą właściwie, co mają robić. Pod względem religijnym mają przekonania dosyć dziwaczne. U Masaryka widać wielką niechęć do katolicyzmu; za ideał religii uważa on wyznanie braci czeskich. W zapatrywaniach socyalnych zbliża się dosyć do programu socyalistycznego, ale zapatruje się nań krytycznie, nie przysięga nań ślepo. Wogóle realizm dałby się określić jako krytycyzm. Jest to bardzo charakterystyczne, że zwolenników ma nie wielu. Zdaje mi się, że trzyma go wielka inteligencya Masaryka — gdyby jego brakło, następcy jego nie umieliby go tak zastępować. Na swe usługi mają realiści dwa pisma. Tygodnik *Čas* (red. dr. Jan Herben), poświęcony przeważnie polityce, i miesięcznik *Naše Doba* pod red. Masaryka. Jakkolwiek na mnóstwo rzeczy w *Naše Doba* zgodzić się nie można, przecież musi się jej przyznać, że jest pismem z czeskich najlepszem. Artykuły bardzo dobre, a co najważniejsza i co każde pismo postawia za zadanie: wyborne a szczegółowe poglądy: polityczny, ekonomiczny, szkolny, artystyczny i literacki. Te przeglądy oczywiście są zabarwione według przekonań redakcyi, ale znać w nich

[1] Nie trzeba go mieszać z realizmem literackim.

wielką inteligenczyę, znać, że ludzie, którzy je piszą pogląd na świat sobie wyrozumowali, a nie przyjęli ślepo od innych. Zresztą nawet w rzeczach religijnych lepiej jest mieć do czynienia z realizmem niż np. z liberalizmem, bo nie jest taki ślepy, nie jest zacięty, a przedewszystkiem można z nim walczyć argumentami rozumowemi, na które liberalizm jest głuchy.

Spokrewnione nieco z poprzedniemi, ale nie zupełnie takie same są *Rozhledy*, pismo wydawane przez młodych, zapatruje się na świat ze stanowiska mocno nowożytnego, dużo miejsca poświęca filozofii, zwłaszcza psychologii. Do pewnego stopnia możnaby je nazwać czasopismem radykalnem, ale od politycznych radykałów różni się większym taktem i większem wykształceniem.

Najnowożytniejszemi za to pismami są *Moderní Revue* i *Nový kult*. Oba pisma nazywają się same dekadenckiemi, *Nový Kult* nawet anarchistycznem w najogólniejszem znaczeniu; już zewnętrzna szata jest bardzo *modern*, treść również. Zwykły śmiertelnik, zwłaszcza cudzoziemiec, nie łatwo się w tem zoryentuje, często nie zrozumie. Jedno tylko widać bardzo wyraźnie: brak talentów, nie daleko szukając, coś podobnego, jak i z naszymi „młodymi“. Nowożytne kierunki w sztuce — ale nie te najskrajniejsze — reprezentuje czasopismo *Volné Směry* (wolne kierunki), poświęcone wyłącznie sztuce, bardzo zajmujące i wytworne. Czysto socyalistyczna jest *Akademie*, wydawana przez studentów socyalistycznych, czesko-niemiecka (jedne artykuły są czeskie, inne niemieckie), zwracająca uwagę głównie na stosunki społeczne, mniej na sztukę i literaturę, zresztą nic szczególnego. Więcej pism podobnego rodzaju socyaliści nie mają, za to znaczną liczbę pism fachowych — robotniczych.

Oczywiście na wymienionych przez nas pismach nie ogranicza się peryodyczna literatura czeska. Jest tych pism razem sześćset kilkadziesiąt — liczba bardzo znaczna. Ale więcej niż trzy czwarte jest pism specyalnych, a z reszty wymienione przez nas są najcharakterystyczniejsze i najlepiej dające poznać pewien kierunek. Z pism specyalnych wymienimy tylko jedno *Časopis Musea Království Českého*. Jest to pismo czysto naukowe, poświęcone niemal wyłącznie rzeczom czeskim, a w dziale recenzyj zwracające pilną uwagę także na dzieła słowiańskie. Wspominamy o niem dla tego, że jest to jedno z najstarszych pism czeskich, a z istniejących dzisiaj bezwzględnie najstarsze (od r. 1827) i że w dziejach odrodzenia czeskiego miało wielkie znaczenie.

Przed pięćdziesięciu laty było wszystkich czasopism czeskich

dziesięć, dziś jest ich sześćdziesiąt razy tyle — olbrzymi rozwój, bodaj czy nie chorobliwy. Więcej niż połowa — a w każdym razie wszystkie najważniejsze — wychodzą w Pradze, co jest jednym z dowodów, że niemal całe życie umysłowe czeskie skupia się w tem mieście. Objaw ten uważają jedni za lepszy, inni za gorszy od tego, gdyby to życie było rozdzielone po różnych punktach. Kto wie, czy ci drudzy nie mają racyi. Jedna rzecz w pismach czeskich razi cudzoziemca. Najpoważniejsze nawet pisma bardzo często zamieszczają osobiste polemiki, w których nie rzadszego jak dobry ton i polemika sprawiedliwa, czysto rzeczowa, bez żadnych innych przymieszek; w prasie politycznej to już nie razi, ale w poważnych pismach dziwnie wygląda.

Wogóle wszakże pisma czeskie stoją na wysokim poziomie naukowym i pod tym względem wiele przyczyniają się do rozszerzenia i podniesienia narodowej kultury.

Stanisław Dobrzycki.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

NOWE ROZPORZĄDZENIE CARA.

Niema już zapewne żadnego zakątka polskiej ziemi, do któregoby nie doszła wiadomość o nowych „przepisach postępowania przy rozpoznawaniu i rozstrzyganiu spraw wyznaniowych b. grecko-unitów eparchii chełmsko-warszawskiej".

Kiedy telegramy nam najprzód tylko doniosły o własnoręcznym dopisku cara, zapowiadającym, że „przepisy te odpowiedzą wszystkim słusznym wymaganiom", chciało nam się już wierzyć, że przecież nareszcie choć daleki blask jutrzenki zawitał w tę ponurą noc prześladowania unitów; ale ten promyk nadziei natychmiast znikł wobec faktu, że przepisy wyszły z kancelaryi Pobiedonoscewa. Dziś już wszyscy mają dosłowny tekst nowego rozporządzenia w rękach, dlatego tu go nie powtarzamy. I serce jednak i obowiązek każą nam choć w krótkich słowach wypowiedzieć nasze zdanie o niem.

Straszne to rozporządzenie; niczego dobrego nie spodziewaliśmy się, ale przecież nie tego.

Od r. 1875 wprawdzie unici już jak gdyby przestali istnieć dla Rosyi, gdyż gwałtem ich włączono do Kościoła prawosławnego, nie wypowiedziano jednak jeszcze nigdy tak bezwzględnie

tej zasady, która jest niejako główną podstawą prawną całego nowego rozporządzenia: iż Rusini nie mogą mieć innej wiary jak tylko prawosławną. Dla milionów unitów przywiązanych całą duszą do katolickiej wiary, niema więc już żadnej nadziei, żeby im kiedyś wolno było w świętej Rosyi iść za głosem swego sumienia. Car raz na zawsze orzekł, że Rusin ponad wszystko czci i kocha ojczysty (!) Kościół prawosławny". Trzeba więc albo zaprzeć się własnego sumienia albo paść ofiarą srogiego prześladowania.

Niektóre czasopisma nasze zdają się i w tem widzieć krok naprzód ku lepszemu, że to, co było przedtem bezprawnie i samowolnie w praktyce wykonywane, będzie odtąd miało prawną podstawę. To już za wiele optymizmu. Dalecy od wszelkiego szowinizmu, musimy przecież z bólem stwierdzić wobec tych przepisów gwałcących sumienia, że znacznie gorszem jest postawić złą zasadę, aniżeli według złej zasady postępować. I dlatego sprawa unicka przez nowe przepisy weszła na gorsze tory, gdyż to, co przedtem było faktycznem bezprawiem, przybrało teraz zewnętrzną formę prawa.

Ale powie ktoś, że na mocy nowych rozporządzeń może wielom, którzy przedtem byli prześladowani, dozwolonem będzie wrócić do wiary katolickiej albo raczej spokojnie ją wyznawać. Nie chcemy przesądzać przyszłości. Pragnęlibyśmy gorąco, by one jednostkom najliczniejszym przyniosły ulgę, lecz wiele sobie obiecywać nie możemy z dwóch przedewszystkiem przyczyn: Pierwsza, że zbyt nieokreślony jest tekst właśnie jednego punktu, który jest na korzyść katolików; druga, że car oddaje rozstrzygnięcie wszystkich sporów wyłącznie w ręce władzy kościelnej prawosławnej, od której już niema apelacyi. Gdzież na świecie sąd się składa tylko ze sterników jednej z interesowanych partyj! Czyż można kiedykolwiek się spodziewać, że taki sąd będzie bezstronny — a czegóż dopiero można się spodziewać od kreatur Pobiedonoscewa, które sądzić będą sprawy unickie!

Przyznajemy chętnie, że car Mikołaj ożywiony jest lepszym duchem dla Kościoła katolickiego i że już dał dowody szlachetności i sprawiedliwości. Atoli nowe rozporządzenia są

właśnie pewnym w oczy bijącym dowodem, że fanatyczne, złe wpływy takich Pobiedonoscewów i Mamlowów wzięły w Rosyi górę i odniosły nawet nad szlachetnemi dążnościami cara zwycięstwo zupełne. Słusznie dobry znawca stosunków rosyjskich zauważył, że sam własnoręczny dopisek cara nie odpowiada jego charakterowi. — Car mimo uporu czynowników pokazał, że chce zostawić swym poddanym wolność sumienia, kiedy surowo nakazał, by przy spisach ludności wszystkim pozostawiono zupełną swobodę. Wtenczas jego wola zwyciężyła partyę despotycznych fanatyków; najnowsze rozporządzenia wraz z dopiskiem noszą na sobie w każdym wierszu piętno ducha Pobiedonoscewa.

Dałby Bóg, aby w przyszłości car uwolnił się od zgubnych tych wpływów.

RESZTKA JÓZEFINIZMU W AUSTRYI.

30 lipca b. r. odbył się we Wiedniu, w pałacu koburskim, w śródmieściu, ślub protestanckiego księcia, Ernesta z Schleswig-Holstein brata cesarzowej niemieckiej z księżniczką Dorotą koburską, wnuczką księżnej Klementyny, matki księcia Ferdynanda bułgarskiego. Książe protestancki nie dał się nakłonić do uroczystej obietnicy, że dzieci wychowane będą w religii katolickiej, i dlatego Stolica św. nie udzieliła dyspenzy, potrzebnej wprawdzie nie do ważności, ale do kościelnej legalności ślubu między katolikiem a osobą innego wyznania chrześcijańskiego. Zawarcie małżeństwa było więc pod temi warunkami połączone ze strony katolickiej z podeptaniem najświętszych dla katolika obowiązków. Dziwnej obojętności dla wiary potrzeba, kiedy się wchodzi w stan małżeński, wiedząc, że od młodości dzieci pozbawione będą tej religii, którą uważamy za najdroższy skarb w tem życiu i fundament wiecznego szczęścia.

To w ostatnich czasach już drugi taki dowód elastyczności sumienia, którem rodzina Koburgów szczycić się może. Słyszeliśmy przecież jeszcze temi dniami słowa wdzięczności księcia Ferdynanda dla cara Mikołaja za to, że raczył być ojcem chrzestnym jego syna, księcia Borysa, „gdy tenże został przyjęty na łono świętego prawosławnego Kościoła“. Podobna sprzedajność przekonań mimowoli wzbudza wstręt; księciu Ferdynandowi do-

pomogła aż dotąd do tego, że jak nam nie dawno pewien Bułgar mówił, żaden, w którego piersiach bułgarskie bije serce, księcia koburskiego kochać nie może, że go publicznie w gazetach błotem obrzucają, otwarcie zdrajcą nazywają.

Wiedeń od lat kilkunastu już się przyzwyczaił do gorszących przykładów, które z góry lud demoralizują, podkopują przekonania religijne i moralność, i mszcząc się na swych sprawcach, rozluźniają coraz bardziej węzły, łączące lud katolicki z dynastyą, od pierwszych swych początków na wskróś katolicką. Ze źle pojętej dla dynastyi czci katolicka prasa austryacka zbyt mało piętnuje podobne występki; prasa żydowska grobowem milczeniem je pomija, bo nic dla niej nie jest bardziej pożądanem, jak szerzenie się zepsucia od sfer najwyższych do warstw ostatnich społeczeństwa. Wiedeńska prasa byłaby i nad tym faktem zręcznie przeszła do porządku dziennego, gdyby katolicka prasa niemiecka, francuska, belgijska i włoska jej były na to pozwoliły.

To, co prasę obcych krajów żywo zajmowało, było stanowisko, jakie Kościół zajmie wobec stanowczej odmowy księcia, by zadośćuczynić nieodzownym Kościoła żądaniom. Przedewszystkiem w Niemczech wywiązały się z powodu koburskiego małżeństwa żywe spory, Nie brakło głosów, które wykluczały z góry wszelki udział katolickiego kapłana przy zawieraniu ślubu księżniczki koburskiej. Gazety gruntowniej obeznane z prawem kościelnem broniły przypuszczalności tak zwanej asystencyi biernej księdza katolickiego, na tem polegającej, że młoda para przed księdzem zawiera kontrakt małżeński, a ksiądz ze swej strony ani poprzedniemi pytaniami, ani później w jakikolwiek sposób ślubu nie aprobuje. Ostatnie to zdanie opiera się na orzeczeniach Stolicy św., na praktyce kościelnej i na powadze wybitnych teologów. Powiadają też, że kardynał Kopp wiedeńskiej władzy kościelnej poradził, by powyższą praktykę zastosowała przy ślubie księcia z Schleswig-Holstein.

Ale wiedeńska władza kościelna, mianowicie proboszcz przy kościele św. Szczepana, mgr. Hofer zbyt daleko się posunął w pobłażliwości dla pary książęcej. Według sprawozdania jednej z ży-

dowskich gazet wiedeńskich, proboszcz przed krucyfiksem stojący wśród świec zapalonych, zwrócił się ze zwykłemi przy ślubie pytaniami do narzeczonych, przyjął od nich oświadczenie i złożył im potem swe życzenia. Odbył się więc ślub z ceremoniami kościelnemi. Na to cała prasa katolicka odpowiedziała jednym krzykiem oburzenia, i słusznie. Proboszcz św. Szczepana miał dość czasu do namysłu i do porady; władza kościelna wiedeńska musiała wiedzieć, że oczy świata katolickiego zwrócone są na nią i pilnie jej postępowanie w tej sprawie śledzą, a mimo tego odstąpiono od przepisów prawa kościelnego, opierających się w tym wypadku nietylko na pozytywnem prawie, ale też pewnej mierze, na prawie natury i prawie boskiem.

Wiedeński *Vaterland* wstrzymał się od wszelkiego potępiającego sądu, ponieważ sprawozdanie żydowskiej gazety nie zdawało mu się być dość wiarogodnem, a nikt autentycznego przebiegu uroczystości nie stwierdził. Ale czyż w wypadku takiego znaczenia nie było obowiązkiem sprostować jak najspieszniej donosy żydowskiej gazety i przedłożyć sprawozdanie prawdziwie autentyczne; elementarna logika wskazywała, że w tym wypadku najściślej się stosuje zasada: *qui tacet consentire videtur*, a *Vaterland* widocznie o niej zapomniał dlatego, że chwilowe reminiscencye Józefinizmu jego sąd zbałamuciły. Sprostowanie ze strony władzy kościelnej żadne nie nastąpiło, *Vaterland* powtarzał, że nie może się wystarać o autentyczne sprawozdanie, a tymczasem gazety antykatolickie wszystkich odcieni wyciągały ze ślubu książęcego wnioski szkodliwe i uwłaczające całemu Kościołowi.

Liberalne czasopisma, jak *Kölnische Zeitung* i *Neue Freie Presse*, logicznie ze swego punktu wywnioskowały, że ślub koburgsko-holszteinski zaznacza zasadniczą zmianę w praktyce kuryi co do małżeństw mięszanych, przypuszczając, że w sprawie tej musiało nastąpić poprzednie porozumienie z Watykanem, i witając wielkiemi pochwałami liberalny pogląd kuryi. Socyalistyczne gazety znalazły nowy dowód, by oskarżyć Kościół o pochlebstwo i pobłażliwość względem możnych i bezwzględną, niesprawiedliwą surowość dla niższych warstw. Z niemi łączyły się

gazety protestanckie, jak *Reichsbote* i *Vossische Zeitung*, posuwając się o krok dalej i żądając, by odtąd domagano się od Kościoła równego postępowania przy każdym ślubie mieszanym, przez co niezliczone dotychczasowe spory zostałyby naraz przecięte.

Rzym nie dał długo czekać na wyjaśnienie i energiczne odparcie liberalnych insynuacyj. W kilka dni po ślubie ukazała się w *Osservatore Romano* nota następująca: Stolica św. została uwiadomioną, że proboszcz kościoła św. Szczepana we Wiedniu śmiał z ceremoniami religijnemi połączyć ślubem księżniczkę Dorotę z Koburg, katoliczkę, z księciem Ernestem z Schleswig-Holstein, luteraninem, choć notorycznem było, że ostatni nie dał potrzebnej rękojmy dla wychowania katolickiego wszystkich swych synów.

„*Osservatore Romano* jest uprawniony oświadczyć, że papież żywo ubolewa nad tym faktem... Kościół podobnych ślubów nie pochwala, ale je nienawidzi i potępia". Dobitniej nie można było określić niezmiennego stanowiska Kościoła wobec ślubów mieszanych. W tem smutniejszem świetle przedstawia się czyn mg-ra Höfera.

Postępowanie władzy kościelnej wiedeńskiej i zachowanie się austryackiej prasy katolickiej przypomniało nam, że Józefinizm w Austryi jeszcze nie zamarł. W jaskrawszych swych formach dzięki Bogu już zniknął, ale pozostało jeszcze i w katolikach i w duchowieństwie tu i ówdzie fałszywe pojęcie o świeckim majestacie i władzy państwowej, które w praktyce doprowadza do ustępstw ze szkodą wiary i Kościoła. Kościół i kapłani każdą prawowitą władzę szanują, ale ponieważ cel państwa podporządkowany jest najwyższemu celowi duchowemu Kościoła, stąd Kościół nigdy ze swych istotnych praw wobec nacisku władzy państwowej ustąpić nie może, a słudzy jego, kapłani, bronić tych praw powinni śmiało i stanowczo, a nigdy się nie zniżać do służalczej względem przedstawicieli władzy pobłażliwości.

Charakterystycznem wyznaniem *Vaterland* kończy artykuł, w którym się broni przeciw zarzutem Józefinizmu, podniesionym ze strony niemieckich katolików: „Prawdą niestety jest — pisze — że szereg uciążliwych józefińskich praw i urządzeń u nas

jeszcze istnieje i że każdy austryacki teolog, który wobec praktycznego wypadku chce wypowiedzieć swe zdanie o kościelno-państwowych stósunkach w Austryi, musi mieć wzgląd na istnienie tych praw i urządzeń i tak chcąc nie chcąc uwydatnić Józefinizm. Dobrze Niemcom, przedewszystkiem nadreńskich prowincyj, jeżeli także w praktyce zawsze i wyłącznie tylko z prawem kanonicznem rachować się potrzebują". Dodaje *Vaterland*, że od szeregu lat nad tem się pracuje, by te pożałowania godne stosunki zmienić. Ostatnie wypadki w każdym razie pokazały, że praca w tym kierunku nie jest dość energiczna, że duch Grzegorza VII., obrońcy wolności Kościoła przeciw świeckiej potędze, niedostatecznie jeszcze przeniknął katolickie społeczeństwo w Austryi.

SZKOCYA I RZYM.

Burza Reformacyi XVI. wieku oderwała i Szkocyę od Kościoła katolickiego. W przeciwieństwie do Anglii, gdzie wewnętrzny ustrój zwierzchniczy został prawie nie tknięty, Kościół szkocki przyjął formę zupełnie demokratyczną, którą po dziś dzień zachowuje na podstawie aktu unii z Anglią z r. 1707. Każda parafia tworzy jedno ciało rządzone przez pastora i starszych wiernych; z kilku parafij składa się tak zwane prezbyteryum, którem zawiaduje zebranie wszystkich pastorów i jednego starszego z każdej parafii. Najwyższą władzą kościelną jest zebranie delegowanych z każdego prezbyteryum, każdego miasta królewskiego i każdego uniwersytetu. Z katolickiej hierarchii nie pozostały ani ślady i tak na pozór większa różnica dzieli szkocki Kościół prezbyteryański od katolickiego, aniżeli anglikański. A jednak kler szkocki, przez to, że nie stał się ofiarą cezaropapistycznych dążeń, zachował więcej energii i ruchliwości, ma w sobie więcej tego ducha wolności, który cechuje kler katolicki; może ta okoliczność będzie pomostem do powrotu Szkocyi na łono Kościoła, nad którym Leon XIII. od początku swego panowania usilnie pracuje.

Dwadzieścia lat temu, na drugi dzień po objęciu pontyfikatu, papież zaprowadził w Szkocyi, gdzie dotychczas pracowali tylko misyonarze, stałą hierarchię kościelną, której prace już za-

czynają wydawać obfitsze owoce. Liczba katolików jest wprawdzie jeszcze bardzo szczupłą (383.000), a jednak, jak papież w encyklice do biskupów szkockich z 25 lipca b. r. zaznacza, nie brak objawów, z których tuszyć można o lepszej dla Szkotów przyszłości. Do tych objawów zalicza papież w pierwszym rzędzie coraz łagodniejsze i względniejsze obchodzenie się z katolikami ze strony prezbyteryanów. „Nauka katolicka — powiada — już nie jest, jak przedtem, wystawioną na powszechną pogardę, ale cieszy się uznaniem u wielu... fałszywe pojęcia, które najbardziej dobremu sądowi przeszkadzają — powoli znikają".

Dawszy Szkotom dalej chlubne świadectwo, że zawsze wysoce czcili Pismo św., papież po mistrzowsku wyzyskuje tę Szkotom wrodzoną cześć dla św. ksiąg, by ich przyciągnąć do wiary prawdziwej. Przywodzi im na pamięć, iż księgi Nowego i Starego Testamentu od katolickiego i jedynie od katolickiego Kościoła otrzymali; krótko wskazuje na to, co Kościół rzymski od Innocentego I. aż do ostatniej jego własnej encykliki o studyum Pisma św. uczynił dla pielęgnowania znajomości biblijnej, a temu przeciwstawia zamęt, który z konieczności powstać musi, kiedy wykład pisma zostawiony jest każdemu do woli. Sądzimy, że dziwnie proste a mądre słowa papieża wywrą głębokie wrażenie na wierzących Szkotów i tak już przerażonych, podobnie jak Anglikanie strasznemi postępami ateistycznej i rozkładowej krytyki, która z zasad protestanckich wynikła. — Potężnym środkiem dla wzmocnienia katolicyzmu w Szkocyi są znakomite prywatne szkoły katolickie, dlatego też papież z wielkim naciskiem zachęca do dalszego ich udoskonalania choćby kosztem ciężkich ofiar, „gdyż na to pozwolić nie można, aby młodzież katolicka przewyższyć się dała od innych w wykształceniu literackiem i naukowem".

Oprócz encykliki Szkoci wkrótce z Rzymu otrzymają nowy dowód troskliwej i mądrej opieki Stolicy św. Kościół stawał zawsze w obronie wszystkich także doczesnych praw jednostek i społeczeństw i dlatego nietylko ducha religijnego, ale i narodowego pielęgnuje i strzeże. Szkoci przed Reformacyą już 1000 lat przeżyli w religii katolickiej i dużo Świętych Kościołowi

dali, których szczególną czcią jako patronów otaczali. Po roku 1560 kalendarz kościelny ze szkockimi świętymi poszedł zupełnie w zapomnienie, aż dopiero w ostatnich czasach z obudzeniem się ducha narodowego katoliccy Szkoci zapragnęli na nowo uczcić swych świętych braci. Biskupi szkoccy gorliwie sprawą tą się zajęli i przedstawili kongregacyi prośbę o pozwolenie na cześć 38 szkockich patronów osobną mszą i brewiarzem. Kongregacya roztrząsnąwszy ich sprawę, wkrótce przedłoży Ojcu św. dekret potwierdzający dawny kult szkockich świętych i obdarzający szkocki Kościół dodatkiem do mszału i brewiarza tak zw. *Proprium Sanctorum Scotiae.*

Ks. Wł. Ledóchowski.

Z najnowszych badań historycznych (1895—1898).

(Dokończenie).

Co do powstania miast średniowiecznych, zwłaszcza niemieckich, ich ustroju i rozwoju, istnieje już olbrzymia literatura. Jednem z najnowszych dzieł ciekawych, zajmujących się tą kwestyą, jest nowa praca d-ra Siegfrieda Rietschla o targowicy i jej stosunku prawnym do miasta [1]. Pierwszy raz w niej widzimy ściśle przeprowadzony podział miast na trzy grupy: miasta rzymskie, osady targowe i wsie prawem miejskiem obdarzone. Dla rozwoju samorządu miejskiego najważniejsze są miasta powstałe z osad targowych, założonych na gruncie dominialnym przez wolnych kupców. Przeważna część miast w środkowych Niemczech z takich targowic powstała, które aczkolwiek często zakładane w sąsiedztwie dawnych osad wiejskich, z temi bynajmniej się nie łączą w jedną całość. Co do ustroju swego taka targowica *alias forum* tem się różni od wsi, że nie ma nigdy pojedynczego przełożonego gminy, lecz że zarząd w niej spoczywa w ręku wydziału lub zbiorowej rady. Wiejskiemu wójtowi (*Burmeister* = przełożony chłopów, gburów) w targowicy, nie odpowiada burmistrz *(Bürgermeister)* lecz rada miejska. Z targowic powstają miasta przez obwarowanie. Targowice powstałe

[1] *Markt und Stadt in ihrem rechtlichen Verhältniss.* Leipzig 1887. S. 233. *H. Z.* 2 Heft, str. 289.

przy nowych katedrach biskupich leżały regularnie poza obwarowaną osadą katedralną t. zw. *urbs* i dopiero później otrzymały osobne obwarowanie. Wtedy to dopiero zyskują wyższy pokój czyli bezpieczeństwo niż na wsi tj. pokój grodowy. Jakkolwiek podlegają z natury rzeczy sędziemu wyznaczonemu przez biskupa *(Immunitätsrichter)*, mimo to tworzą od początku osobne gminy prawne z powodu swego odrębnego prawa. Prawo zaś to rozwinęło się ze zwykłego prawa krajowego pod wpływem kupieckiego prawa zwyczajowego. Wszystkie prawie targowice zwłaszcza w północnych Niemczech, posiadają osobne kościoły i pewne egzempcye w sądownictwie synodalnem. Co do sądownictwa targowego, to należy rozróżniać między sądownictwem w targowicy-mieście, a sądownictwem tamże podczas peryodycznych targów i jarmarków. Pierwsze należało, jakeśmy widzieli, do pana lennego, posiadającego *immunitatem* od sądownictwa królewskiego; inaczej jednak rzecz się miała ze sądownictwem nad obcymi, którzy przybywali na jarmarki. Jurysdykcya nad tymi przybyszami nie mogła wypływać z *immunitas* i dopiero osobna ustawa sejmu Rzeszy z r. 1218 reguluje te stosunki. Poprzednio zaś sądownictwo nad targami i jarmarkami należało do regalii i musiało być wyraźnie przez króla nadawane biskupom. Ciekawem jest również, że jarmarki właściwie na rozwój miast bardzo mało oddziałały. Często ustanawia się takowe dopiero bardzo późno w dawno już istniejących osadach targowych i to nie na rynku-targowicy, lecz w dzielnicy katedralnej.

Dostatecznie znanem jest, jak okrutne kary, jak straszne wyroki śmierci wydawały w średnich wiekach sądy panów lennych czy miast, wyposażonych prawem miecza. Słyszymy, że niejednokrotnie wyrok zapadał na podstawie oskarżenia zaprzysiężonego przez siedmiu świadków bez dopuszczenia oskarżonego do głosu, lub że zeznania wymuszano za pomocą tortur i t. d. Barbarzyństwa te kryminalistyki średniowiecznej piętnują oczywiście w najdosadniejszych słowach tuzinkowi literaci i dyletanccy pisarze, nie zdając sobie sprawy, że ta anomalia w wymiarze sprawiedliwości jest podyktowana wprost koniecznością, jest środkiem policyjnym, za pomocą którego bezsilna po części władza rządowa usiłowała zakezpieczyć wciąż zagrożony pokój publiczny. — Udowadnia to dla Niemiec południowych austryacki badacz dr. Otto v. Zallinger[1]. Wykazuje on między innemi, że t. zw. *schädliche Leute,*

[1] *Das Verfahren gegen die landschädlichen Leute in Süddeutschland.* Innsbruck 1895. *H. Z.* Heft 2, str. 292.

schädlicher Mann, przeciw którym owo drakońskie postępowanie w sądownictwie średniowiecznem było zastosowane, to techniczne wyrażenie na notorycznych zawodowych złoczyńców. Obejmowało zaś prócz różnego hultajstwa przedewszystkiem rycerstwo rabusiowskie w różnych jego objawach. Postępowanie karne zatem niezwykłe i barbarzyńskie przeciw tego rodzaju ludziom, trzeba uważać za wyjątkowe, zastósowane tylko do zawodowych złodziei, rabusiów i morderców. W innych wypadkach nawet najcięższych, jak zabójstwo i zgwałcenie, obowiązywała zwykła procedura sądowa, która umożliwiała obżałowanemu obronę ba! nawet uwalniała go na podstawie prostej przysięgi oczyszczającej, jeżeli faktyczne dowody nie przemawiały przeciw niemu.

Szowinizm narodowy w Niemczech robi ustawiczne postępy nawet i na polu naukowych badań, zwłaszcza jeżeli chodzi o dzieje zgermanizowanych i germanizowanych wschodnich prowincyj państwa niemieckiego. Drobnym np. przykładem jest broszurka jakiegoś May'a [1], w której autor w przeciwieństwie do dawnych badań niemieckich uczonych stara się wykazać, że etymologia nazw starożytnych miejscowości w Brandenburgii z języka germańskiego jest możliwa. Że tego rodzaju etymologie są możliwe, tego dowodzą twierdzenia całego szeregu uczonych niemieckich o autochtonach germańskich na Ślązku, o germańskiem pochodzeniu chłopów polskich i t. p. — Wobec tego nie zadziwimy się bynajmniej, jeżeli któremu z tego rodzaju uczonych przyśni się udowadniać germańskie pochodzenie Adama i Ewy, tak samo, jak już wykalkulowali w polityce konieczność zgermanizowania całego świata.

Mówimy po dziś dzień o królestwie „Obojga Sycylii". Skąd pochodzi dziwna ta nazwa? Kwestyą tą zajmowano się kilkakrotnie we Włoszech. Wyczerpująco rozwiązał ją ostatniemi czasy uczony włoski S. Romano [2]. Geneza królestwa normandzkiego w południowych Włoszech wyszła ze Sycylii. Antypapa Anaclet II., chcąc zyskać pomoc ks. normandzkiego Rogera II., daje mu r. 1130 godność królewską, przyczem oświadcza w dokumencie: *Et Siciliam caput regni constituimus*. To dało powód do nazwania całego państwa normandzkiego, obejmującego nietylko Sycylię, lecz i południowe Włochy, *regnum Siciliae*. Wyrażenie to w dokumentach znachodzi się dopiero od Nieszporów

---

[1] *Sind die fremdartigen Ortsnamen in der Pr. Brandenburg und in Ostdeutschland slavisch oder germanisch.* 1897.

[2] *Arch. stor. per le provincie Napolet.* Rocz. 22, zesz. 3. Cfr. — *H. Z.* 1897, zeszyt 2, str. 361. K. Wenck.

sycylijskich tj. 1282 r., a mimo politycznego rozdziału wyspy i półwyspu, używana jest z rozmysłem w Rzymie i Neapolu dla oznaczenia nietylko części składowych państwa normandzkiego, ale nawet półwyspu. Właściwa Sycylia miała odtąd wedle życzenia kuryi nosić nazwę *regnum Trinacriae*. Mimo to władcy Sycylii z aragońskiej dynastyi i kronikarze używali również nazwy *regnum Siciliae*, podczas gdy południowe Włochy kronikarze ochrzcili mianem *regno di Puglia*, później *regno di Napoli*. Po wygaśnięciu domu andegaweńskiego przypadek zrządził, że wyspę i półwysep połączył znowu w r. 1442 Alfons, król aragoński, a wskutek tego w kancelaryi królewskiej pojawia się nazwa *utriusque Siciliae* (*citra et ultra farum*, z jednej i drugiej strony cieśniny mesyńskiej); a nawet na dworze neapolitańskim panuje przekonanie, że nazwa Sycylii odnosi się tylko do półwyspu, właściwa nazwa wyspy brzmi Trinacria. Przeciw tej facecyi Wawrzyniec Valla, jako neapolitański uczony nadworny, czuje się zmuszonym wystąpić z mową, której treść się przechowała w jednym z watykańskich rękopisów.

Kto wie, czy wielka schizma kościelna z końca XIV. wieku nie jest główną przyczyną późniejszego fermentu religijnego, który chrześcijaństwo zachodnie rozbił na katolicki i protestancki obóz. Nie dziw, że ten brzemienny w następstwa wypadek, a zwłaszcza jego początek w r. 1377, jest przedmiotem licznych badań, że w ciągu ostatnich dwóch lat dziesiątek dziesięć większych prac w tej kwestyi się pojawiło. Jedną z najpoważniejszych jest dwutomowe dzieło francuskiego pisarza Noël Vllois [1], który przychodzi do następujących mniej więcej wyników: Mimo groźnej postawy ludności rzymskiej i wreszcie wtargnięcia jej do konklawe, wybór Urbana VI. był przecież wolny. Potwierdza to poprawne zachowanie się kardynałów w najbliższych miesiącach po wyborze, a przedewszystkiem intronizacya Urbana dokonana przez najbardziej wpływowego kardynała Jana de la Grange. Wkrótce atoli ten sam kardynał stał się duszą stronnictwa antypapy Klemensa. Przyczyną tej nagłej zmiany musiało być osobiste starcie z nader niezręcznym i gwałtownym papieżem. Z najzwyklejszej zatem ludzkiej antypatyi miałby tedy wyniknąć w skutkach swych nieobliczalny fakt schizmy zachodniej. Autor stara się dalej udowodnić, iż Karol V., król francuski dla tego wyboru antypapy nie spowodował, iż od paździer-

[1] *La France et le grande schisme d'occident.* Paris 1896. Cfr. *H. Z.* 1897. 3 H. Bern. Bess. 525—529.

nika 1378 r. oficyalnie uznawał rzymskiego papieża; jednem słowem p. Valois chce polityczne motywa tej schizmy zakwestyonować i zrehabilitować od zarzutu koronę francuską, że stworzyła schizmę. Niemniej przeto sam w dalszym ciągu udowodnił, iż Karol V. od pełnomocnika Urbana VI., donoszącego mu o swoim wyborze, dowiedział się o przeciwnych zamiarach francuskich kardynałów, że tymże wyraźnie zapewnił swe poparcie zwłaszcza pieniężne, że w ich interesie pisał do Joanny Neapolitańskiej, że głównie pomoc tej mężobójczyni umożliwiła wybór antypapy, Roberta z Genewy, spokrewnionego z francuskim domem królewskim, i że tenże do swego herbu papieskiego natychmiast trzy lilie francuskie przyjął. Zatem nie religijne, nie moralne względy, lecz polityczny egoizm francuski spowodował niepowetowaną klęskę Kościoła.

„Dwa charakterystyczne znamiona wykazują dzieje nowożytne: tj. walkę wyznaniową i wśród niej dokonujący się postęp do wolności. Wolność zaś jest ostatecznym celem wszelkiego rozwoju ludzkiej kultury", twierdzi lord Acton, profesor nowożytnej historyi w swej wstępnej prelekcyi na uniwersytecie w Cambridge [1]. Być może, że sformułowanie głównych znamion historyi nowożytnej przez uczonego Anglika trafne jest dla historyi angielskiej, w historyi nowożytnej kontynentu walki wyznaniowe nie wolność lecz ograniczenie tej wolności i na polu religijnem i politycznem przyniosły. Wogóle znamionujący czasy nowożytne duch rewolucyi czy religijnej w XVI. czy społecznej w XVIII. a socyalnej grożącej w XX. wieku, nie wolność jednostce niesie, lecz ogranicza takową na rzecz wzmagającej się wciąż omnipotencyi państwa. Dowodem tego czasy t. zw. reformacyi, które budzą nietylko ze względów historycznych, ale i wyznaniowych żywy interes. Zwłaszcza odkąd dzieło Jansenowskie zburzyło poglądy dominującej na polu naukowem protestancko-racyonalistycznej historyografii, słychać ustawicznie zgrzyt i szczęk polemiki literacko-naukowej, która bez kwestyi niejedno jeszcze w Jansenowskiem dziele zmodyfikuje, poprawi, głównego jednak zrębu jego badań nie zmieni. Widać dziś nawet w najskrajniejszych przedstawieniach antykatolickich wpływ dzieła Jansenowskiego, ba! nawet dzieła wprost przeciw Janssenowi skierowane niejednokrotnie potwierdzić muszą jego tezy, np. praca pastora Lip-

[1] *Über das Studium der Geschichte.* Eröffnungsvorlesung gehalten in Cambridge am 11 Juni 1895. Übersetzung von Imelmann. Berlin 1891. — Cfr. *H. Z.* 80 B., 1 Heft, str. 92.

perta, traktująca o zaprowadzeniu reformacyi w Górnym Palatynacie [1]. Autor chce wykazać z polemiczną tendencyą, że reformacya nie przez książąt narzucona była w Górnym Palatynacie, lecz swe postępy zawdzięcza nieprzepartemu ruchowi ludowemu. Nie zdołał atoli zaprzeczyć gwałtownemu nawracaniu na luteranizm od r. 1544, a przyznać musi, że nawracanie ludności na kalwinizm sprowadza w drugiej połowie XVI. wieku opór gwałtowny ludności i częste powstania, co tem dziwniejsze, że ludność tejże krainy bez trudu w początku XVII. wieku powraca na łono katolicyzmu pod panowaniem bawarskiem. Autor przypuszcza, że kilkakrotna zmiana konfesyjna złamała opór ludności w XVII. w.; przyznać atoli musi, że Maksymilian bawarski unikał gwałtownego nawracania; mniema więc, że ten spokojny, powolny sposób nawracania jest daleko skuteczniejszy. Bądź co bądź faktem pozostanie po stronie protestanckiej nietolerancya i gwałt w nawracaniu, po stronie katolickiej spokojna i łagodna propaganda. Jeżeli zaś w XVII. wieku znamy przykłady nietolerancyi ze strony katolickich książąt, to nauczycielami tej nietolerancyi byli bezwątpienia sami protestanci. Z drugiej strony coraz gruntowniejsze badania na polu reformacyi wykazują niejednokrotnie słuszność zarzutów czynionych sługom Kościoła przez reformatorów. Tak np. 27 teza Lutra: Ludzkim wymysłem jest twierdzenie kaznodziei, którzy głoszą, że „skoro tylko do skarbony grosz wrzucony zadźwięczy, natychmiast duszyczka z czyśca wyskakuje“, teza zwrócona przeciw Tetzlowi, nie powtarza bynajmniej tylko pogłoski bezpodstawnej, ani nie jest wymysłem Lutra, jak twierdzą obrońcy Tetzla [2], lecz opiera się na rzeczywiście w tych czasach głoszonej fałszywej nauce. Nim jeszcze Luter się urodził tj. r. 1482, potępiła Sorbona paryska to samo twierdzenie, przeciw któremu Luter w 27 tezie się zwraca, a które brzmiało w ten sposób: „Wszelka dusza do czyśca przez sprawiedliwość Bożą na jak długibądź czas skazana natychmiast ulatuje do nieba, lub niezwłocznie od kary zupełnie jest uwolniona, jeżeli ktoś żyjący za nią da sześć srebrników jako datek lub jałmużnę na odnowienie kościoła św. Piotra w Xanten“ [3]. Jeżeli

[1] *Die Reformation in Kirche, Sitte und Schule der Oberpfalz.* 1520—1620. Ein Anti-Janssen aus den kgl. Archiven. Rothenburg 1897.

[2] *Geschichtslügen.* Dr. Majunke. 14 i 15 Auflage. 1898.

[3] „Omnis anima existens in Purgatorio ex iustitia divina adiudicata ibidem stare pro quantocunque tempore, immediate evolat ad coelum, sive immediate a poena totaliter liberatur si quis vivorum pro ea sex albos de-

tedy Tetzel głosił coś podobnego, tedy nie głosił niczego podówczas nadzwyczajnego, lecz poprostu powtarzał to, co inni przed nim w dobrej wierze uczyli.

Ostatniemi czasy z różnych stron podnoszą protest przeciwko ustalonemu podziałowi historyi na dzieje starożytne, średniowieczne i nowożytne. „Właściwie niema średnich wieków — oświadczył prof. Godfryd Kurth na kongresie uczonych katolickich we Fryburgu r. 1897 — nazwa ta prowizoryczna nie oznacza nic innego, jak młodość świata nowożytnego“ [1]. Podobnego zdania jest prof. filologii z Göttingen, U. v. Wilamowitz-Moellendorff, twierdząc[2], że czas od 4 wieku po Chr. aż do naszych czasów tworzy jedną epokę kulturalną. Występuje on przytem przeciw mniemaniu, jakoby w historyi istniał nieprzerwany, ustawiczny postęp. W istocie istnieją pojedyncze epoki kulturalne z powolnym rozwojem i upadkiem, epoki ustępujące miejsca jedna drugiej; jedna drugiej przekazując zarazem swą duchową spuściznę, łączą się ze sobą, jak ogniwo z ogniwem. Pierwszem takiem ogniwem jest klasyczna starożytność od XII. wieku przed Chr. do IV. wieku po Chr. W naszych czasach odbywa się znowu kojarzenie 2 ogniw kulturalnych, drugiego z trzecim. Czy rzeczywiście jesteśmy obecnie na przełomie dwóch epok, to przyszłość daleka dopiero może osądzić; że między t. zw. wiekami średniemi a nowożytną historyą niema takiego przedziału, jak między starożytnością a średniemi wiekami, to nie ulega wątpliwości — nie darmo mówimy o erze chrześcijańskiej — ale jak w życiu jednostki przejście z wieku młodzieńczego do wieku dojrzałego stanowi przełom, tak samo przełom widzimy w życiu ludzkości chrześcijańskiej w XV. i XVI. w. Tyle przełomowych wypadków i zjawisk zbiega się wtedy współcześnie na różnych polach i zmienia charakter dotychczasowego rozwoju cywilizacyi, że trudno nie rozpocząć nowego okresu, czy nowej epoki w historyi. Jedną z takich znamiennych zmian w początku w. XVI. na polu ekonomicznem, mianowicie powstanie giełdy, przedstawia w znakomitem dziele swem p. t.

---

derit per modum suffragii seu eleemosynae in reparationem Ecclesiae Sti Petri Xantonensis“. (D'Argentré, *Collectio iuditiorum Lutetiae,* 1755, I, 32, 307. Cfr. *Stimmen aus Maria Laach,* 1898, 1 Heft, str. 100. *Hist. Jahr.* 1898, 1 H., str. 230.

[1] Cfr. „Co to są wieki średnie?“ *Przegl. Powszech.* 1898, styczeń, str. 1—16.

[2] *Weltperioden.* Göttingen 1897.

Das Zeitalter der Fugger[1] niemiecki uczony Ehrenberg. Średniowieczna gospodarka naturalna ze swym handlem zamiennym już w XIII. w. ustępuje miejsca gospodarce pieniężnej, a międzynarodowy obrót handlowy tak wzrósł w XIV. i XV. wieku, że już mu nie wystarczają ani peryodyczne jarmarki lub targi, ani czasowo określone przywileje prawne, ani konkretna wymiana towaru i pieniędzy; okazują się potrzebne codzienne zgromadzenia kupców, trwała wolność handlowa, ogłaszanie kursu cen, a wreszcie uregulowane operacye giełdowe. Operacye te biorą swój początek na wielkich jarmarkach o tyle, że na nich gromadzi się wielka ilość nietylko gotówki, ale i papierów wartościowych, zwłaszcza weksli ze wszystkich krajów. Stąd przychodzi do obrachunków nietylko między pojedynczemi miastami, ale nawet do obrachunków międzynarodowych, a nawet do załatwienia interesów handlowych pomimo nieobecności towaru. Z tem wszystkiem właściwe początki giełdy należy upatrywać w zgromadzeniach kupców, peryodycznie się powtarzających w bankach lub faktoryach handlowych celem obrachunków wzajemnych i przekazów kredytowych różnego rodzaju. Na zebrania te, podobne do naszych giełdowych, oddziałują naturalnie bardzo wielkie jarmarki wskutek licznych międzynarodowych interesów handlowych, tamże załatwianych, i dlatego to w miastach z głośnemi jarmarkami te zgromadzenia giełdowe nabierają coraz większego znaczenia, lecz zachowują takowe, chociaż jarmarki tamże niejednokrotnie straciły swe znaczenie. W pierwszej połowie XVI. w. siedzibą pierwszych stałych giełd staje się Antwerpia i Lyon, w drugiej połowie Genua i Frankfurt nad Menem. Powstanie giełdy jest dlatego tak wielkiej doniosłości, że ściągając drobny kapitał do wielkich operacyj finansowych, umożliwiło niższym warstwom udział w zyskach finansowych i w ten sposób zdemokratyzowało niejako obrót kapitału i spopularyzowało kredyt. Przedtem operacyami finansowemi zajmowały się tylko pojedyncze wielkie firmy kupiecko-bankierskie, zwłaszcza z Florencyi, na własne ryzyko. Do takich potentatów finansowych w XVI. wieku należy firma Fuggerów w Augsburgu. Jeżeli dziś jest utarta opinia o decypującym wpływie bankierów na politykę i wszędzie się powtarza, mniejsza o to czy prawdziwe słowa pani bankierowej o trwałości pokoju z powodu, że mąż nie da pieniędzy na wojnę,

---

[1] *Geldkapital und Kreditverkehr im XVI. Jahrh.* I. Band. *Die Geldmächte des XVI. Jahrh.* II. Band. *Die Weltbörsen und Finanzkrisen des XVI. Jahrh.* Jena 1896.

to w daleko wyższym stopniu polityka książąt XVI. w. jest zawisła od takich bankierów, jak Fuggerzy. Znaczenie powszechno-dziejowe tej firmy polegało na tem, że byli liwerantami pieniędzy dla domu Habsburskiego. Bez tej pomocy bankierów augsburskich nie byliby osięgli i połowy głośnych sukcesów swej polityki taki Maksymilian I., taki Karol V. Kapitały Jakóba II. Fuggera umożliwiają Maksymilianowi wmięszanie się do spraw włoskich, wzięcie udziału w częstych ligach na końcu XV. i w początku XVI. w. Elekcya Karola V. na cesarza w r. 1520 była po prostu sprawą czysto finansową, w której sprytna firma Fuggerów, stając po stronie Karola, dawała przekupionym elektorom najwięcej gwarancyi, że poczynione pieniężne obiecanki zostaną zrealizowane. To też już nie żona bankiera miała się wyrazić lecz sam bankier Jakób Fugger pisze otwarcie w r. 1523 do cesarza: „Jasnem jest i powszechnie wiadomem, że Wasza Cesarska Mość nie zdołałaby osiągnąć rzymskiej korony bez mej pomocy". Cena, za jaką hiszpańskiemu kandydatowi wtedy elektorowie koronę sprzedali, wynosiła 850.000 złotych, z czego Fuggerowie dostarczyli 573.000. Tak samo elekcya Ferdynanda na króla rzymskiego, jak i Albrechta Brandenburskiego na arcybiskupa mogunckiego z r. 1514 była dziełem bankiera augsburskiego. Fuggerowie głównie dostarczali pieniędzy Karolowi do jego licznych wojen, a kiedy odmówili pożyczki, jak w r. 1527, wtedy armia cesarska musiała się z niczem cofnąć z pod Marseille. Pokój w Cambray 1529 r. zawarł cesarz tylko dlatego, że odmówili mu Fuggerowie dalszego kredytu. Z drugiej strony zagrożony zdradą Maurycego Saskiego, Karol dopiero wtedy przy ugodzie Passawskiej energiczniej występuje przeciw żądaniom chciwego złota księcia saskiego, gdy Fuggerowie wsparli go sumą 400.000 dukatów. Fuggerowie, stojąc wiernie przy cesarzu, jakkolwiek niekiedy ze względów kupieckich odmawiali mu kredytu, umożliwili domowi Habsburskiemu nietylko skuteczną walkę przeciw nowinkom religijnym, ale i królom francuskim. Co do wysokości ich majątku, to autor wykazuje, iż w r. 1511 aktywa firmy Fuggerów wynosiły 245.463 złotych; w r. 1527 więcej niż 2,000.000 złotych, a w r. 1546 około 4,700.000 złotych, to znaczy dzisiaj około 100 milionów złr. Więcej nie urósł majątek Rotschildów XVI. wieku z powodu strat, poniesionych przy pożyczkach hiszpańskich, wynoszących do połowy XVII. wieku 8 milionów złr. Także i kurya papieska od Aleksandra VI. stała w stosunkach finansowych z Fuggerami, polecając sobie należne sumy z Węgier, Niemiec i Polski spłacać za pośrednictwem spółki Fuggerów. Leon X. np. w r. 1513

Fuggerom przekazuje annaty polskie, węgierskie i niemieckie z powodu pożyczek u nich zaciągniętych. Te stosunki tłumaczą nam także udział Fuggerów w sprawie odpustów. Oczywiście nie można czynić firmę odpowiedzialną za nadużycia przy głoszeniu odpustów. Oni zajmowali się tylko obrachunkiem i przesyłką zebranych pieniędzy i dlatego jeden z zastępców firmy Fuggerów miał klucz do skarbony Tetzla. Niema w tem zaś nic dziwnego, gdyż taką samą rolę przy głoszeniu odpustów odgrywali włoscy bankierzy już od XIII. wieku. Koniec końcem podobnego znaczenia politycznego, co posiadali Fuggerowie w XVI. wieku, nie posiada dziś żadna firma bankierska, lubo że majątek niejednej wynosi kilkanaście miliardów; zasługa to niewątpliwie instytucyj giełdowych.

Czem na polu finansowem byli Fuggerowie, tem na polu religijnem stał się w drugiej połowie XVI. w. zakon Jezuitów. „Nietylko wypełnia on treściwy rozdział w dziejach rzymsko-katolickiego Kościoła, lecz dla katolicyzmu nowoczesnego ma niemal podstawowe znaczenie. Czy się śledzi politykę kuryi w ostatnich wiekach, czy postępy idei papieskiej, czy kontrowersye z innowiercami, wszędzie widzimy ślady tej tajemniczej korporacyi. Z ruchem teologicznym ma ona najbliższą styczność, a na katolicką pobożność tak głęboki i tak trwały wywarła wpływ, że na polu życia kościelnego może największe odniosła tryumfy. Z zakonu Jezusowego wyszły w rzeczy samej daleko rozleglejsze wpływy, niż kiedykolwiek poprzednio lub następnie od innego zakonu lub zgromadzenia zakonnego“ — w ten sposób rozpoczyna swe obszerne sprawozdanie protestancki historyk, K. Mirbt o książce protestanta Eberharda Gotheina, poświęconej św. Ignacemu Lojoli [1]. Jezuici nie cieszyli się nigdy sympatyą w świecie protestanckim, nie dziw, że nienawiść wyznaniowa spłodziła karykaturę tego zakonu, którą większa część społeczeństwa akatolickiego przypisuje *cum bona* czy *mala fide* za autentyczny jego portret. Gothein usiłuje przedstawić nie karykaturę, lecz portret; nie zawsze się mu to udaje, stanowisko racyonalistyczno-protestanckie nie nadaje się do dopatrzenia się prawdziwych rysów przedmiotu, z tem wszystkiem przezierające z jego pracy rzetelne usiłowanie odsłonięcia prawdy usuwa do pewnego stopnia gąszcze uprzedzeń i niechęci i przyczynia się do częściowego tryumfu prawdziwej nauki nad przesądem, subjektywizmem

[1] *Ignatius v. Lojola und die Gegenreformation.* Halle 1895. *Hist. Zeitschr.* B. 80, E. 1., str. 46—74.

wyznaniowym lub sekciarskim. „Z dwóch źródeł wypłynęła reformacya katolicka XVI. wieku, z hiszpańskiej i włoskiej religijnej kultury. Wynikiem też głównym tej reformy jest do pewnego stopnia zhiszpańszczenie katolickiego Kościoła“ — twierdzi Gothein. W dziele tem najważniejszą rolę odegrał św. Ignacy Lojola, którego dziejowe znaczenie polega na tem, że zapoznał z reformowanym przez kardynała Ximenesa za pomocą humanizmu katolicyzmem hiszpańskim resztę świata katolickiego. Hiszpanem przedewszystkiem do szpiku był, zdaniem Gotheina, Ignacy Lojola i z hiszpańskiego też charakteru narodowego dadzą się wytłumaczyć i zrozumieć przymioty założyciela zakonu Jezusowego. Zatem i jego wojownicze usposobienie, i tajemniczość, której najjaskrawszem wyrazem jest instytucya tajnych Jezuitów (!), dalej dwulicowość (?) i bezwzględność w wyborze środków (!) z hiszpańskiego wywodzi jego protestancki biograf charakteru. Jako dowód zaś, iż św. Ignacy hołdował zasadzie: „Cel uświęca środki“, przytacza Gothein fakt, że nie gardził grą bilardową, by partnera przegrywającego nakłonić do udziału w rekolekcyach (!). Takie dowody zupełnie wystarczają, by przekonać czytelnika, jak dalece czyni racyonalizm autora nieudolnym do zrozumienia łaski Bożej, działającej w rycerzu z Lojoli, do pojęcia historycznej postaci świętego. Również przesadą niezawodną jest to tłumaczenie wszystkich przymiotów tej tak wybitnej indywidualności, tak spiżowego charakteru z charakteru narodowego hiszpańskiego. Śmiesznem doprawdy wydaje się twierdzenie, iż np. w *Exercitia spiritualia* św. Ignacego uwidocznia się hiszpańska cnota panowania nad sobą. Z drugiej strony z prawdziwą satysfakcyą czyta się w dziele protestancko-racyonalistycznem wyrazy głębokiego uznania i podziwu nietylko dla „oryginalnego, praktycznego umysłu św. Ignacego, „największego, jakiego Kościół wydał w XVI. wieku“, ale i dla jego działalności na wszystkich polach, ale i dla jego tworu, tj. zakonu Jezuitów. Z pracy Gotheina można się naocznie przekonać, jak dalece badanie rzetelne prawdy nawet na uprzedzonym umyśle wymusza hołd dla tej prawdy. Nauka i ścisłe badania przepaści między zwalczającemi się obozami w społeczeństwie ludzkiem z pewnością nie usuną; uczą wszakże rozumieć lepiej przeciwnika, otwierać oczy na jego zalety, wyrozumieć rzeczywiste czy domniemane jego błędy i o tyle do zbliżania się zwalczających się nawzajem partyj przyczyniają. Dzieło Gotheina o św. Ignacym bezstronnem nazwać niepodobna, do dzieł pokojowych wszakże zaliczyć je trzeba i dlatego zasługuje ono na uwagę i katolickich czytelników.

Zwykle twierdzi się, że głównie do detronizacyi i katastrofy Ludwika XVI. przyczynił się głośny manifest z dnia 25 lipca 1792 r. księcia brunszwickiego, dowódcy sił koalicyjnych, albowiem przez nierozsądne groźby, zwłaszcza spalenie Paryża, wywołał słuszne oburzenie wszystkich patryotycznych Francuzów. Autorem tego manifestu, dotąd nieznanym, zajmuje się Th. Heigel w pracy p. t. *Das Manifest des Herzogs v. Braunschweig* [1]. Jest nim emigrant de Limon, baron Halluin, dawniejszy dyrektor finansów księcia orleańskiego. Jego projekt wybrano z trzech przedłożonych, z których najumiarkowańszym był projekt Szwajcara Malleta. Zapatrywania, wyrażone w manifeście, powstały w otoczeniu Maryi Antoinetty i kołach emigrantów po ekscesach motłochu, prowadzonego przez piwowara Santerra, z dnia 20 czerwca. Projekt doznał o tyle zmian, iż skreślono jego wstęp. Tej to okoliczności przypisywał autor później fatalne wrażenie, jakie manifest we Francyi wywarł. Również twierdził on, że publikowano go o wiele wcześniej, niż on sam tego pragnął. Opuszczony wstęp manifestu publikował Limon w piśmie ulotnem p. t. *Manifeste de tous les peuples.* W późniejszem życiu powoływał się autor daremnie na autorstwo manifestu, by pensyę od pruskiego rządu otrzymać. Co do skutków manifestu, to dziś stanowczo zaprzeczyć należy twierdzeniu, jakoby spowodował zamach na króla i upadek monarchii w dniu 10 sierpnia, a łagodniejszy manifest byłby ją utrzymał. Manifest wszakże przyspieszył detronizacyę i dostarczył republikanom pożądanego pretekstu do upiększenia gwałtu. Odpowiedzialność za manifest nie spada na pojedynczą jaką osobistość, lecz na naczelników koalicyi. Wszak książe brunszwicki go podpisał, Cobentzl przygotował jego publikacyę, wszak sama Marya Antoinetta i Ludwik XVI. prosili usilnie o groźby w manifeście, a cesarz i król pruski uznali je za słuszne.

Głośną z wojen Napoleońskich postacią jest arcyksiąże Karol, najzdolniejszy bez kwestyi wśród wodzów austryackich. Pierwszy raz kampania z r. 1796 wsławiła jego imię, gdy dwie główne armie francuskie, Jourdana wzdłuż Menu i jenerała Moreau wzdłuż Neckaru i Dunaju kroczącą, zmusił do odwrotu. Głównie to zwycięstwa arcyksięcia pod Amberg i Würzburgiem nad Menem zniewoliły Jourdana do cofania się, a Moreau'a do wykonania swego mistrzowskiego od-

[1] *Sitzungsberichte der philos.-historischen Klasse der kgl. bayerischen Akademie der Wissenschaften zu München.* 1896. Str. 623—86.

wrotu. Najnowsze badania Massenbacha [1] wykazują, że głośne te bitwy nie były takiemi zwycięstwami, jak je przedstawiano. Pierwsza była tylko szczęśliwym manewrem, który atoli zostawił Jourdanowi sposobność do wycofania się z niebezpiecznej dla siebie pozycyi, zwycięstwo zaś würzburskie nie było wyzyskane należycie, gdyż można było zupełnie zniszczyć przeciwnika. Błędy te wszakże nie dotyczą tyle samego wodza, ile ówczesnej metody wojowania, starającej się raczej za pomocą taktyki i manewrowania zręcznego, niż przez starcie orężne zmuszać nieprzyjaciela do odwrotu.

Józefinizm pokutuje jak upiór i dziś jeszcze w Austryi, a to dlatego, że formalnie właściwie nie zniesiono osławionych Józefińskich rozporządzeń w dziedzinie kościelnej. Sprawą tą zajął się niedawno jeden z najlepszych po Arnecie znawców nowożytnej historyi austryackiej, A. Beer [2]. Ks. Metternich chwalił się, wedle niego, po zawarciu konkordatu z dn. 18 sierpnia 1825 r., że zwrócił uwagę na niedomagania Józefinizmu w dziedzinie Kościoła. Nie mógł atoli swych zamiarów przeprowadzić, lubo że sam cesarz Franciszek I. osobiście pragnął z religijnych i politycznych pobudek usunięcia urządzeń Józefińskich. Biurokracya, ba nawet sam kler, przejęty zasadami febronianizmu, miał dobrym chęciom Metternicha stawiać skuteczny opór. Wywody te osławionego kanclerza austryackiego nie całkiem są, zdaniem Beera, trafne. Między Austryą a Kuryą toczyły się od r. 1816—1842 układy w sprawie zniesienia reform Józefińskich, do zgody wszakże definitywnej nigdy nie przyszło. Rząd faktycznie odstąpił od zasad Józefa II. w sprawie nominacyi biskupów i małżenstw mięszanych, formalnie atoli nie chciał się zrzec swych prerogatyw. I dlatego to kwestye te w różnych krajach koronnych i w różnych czasach rozmaicie, raz więcej w duchu rządowym, drugi raz więcej w kościelnym duchu były i są regulowane. I dlatego to w państwie katolickiem zachowało się na wielu polach tyle anomalij liberalnych, antykatolickich, ba nawet antychrześcijańskich, ile ich nawet państwa protestanckie nie posiadają. Anomalie te i ich usunięcie wszakże już nie do historyi, lecz jeszcze do polityki, do przyszłości należy.

Badania nad historyą polską w ostatnich latach przeważnie skierowane są do wyświetlenia prastosunków polskich, zwłaszcza nazwy Lechici, organizacyi społeczeństwa polskiego, czasów przedpiastowskich w Krakowie i legendarnej postaci Piasta. Korowód tych ciekawych

---

[1] *Mittheilungen des Instituts für oesterreichische Geschichte.* B. 18. H. 3 i 4.

dociekań raczej niż badań rozpoczyna prof. Piekosiński swem „Rycerstwem polskiem wieków średnich“ [1], będącem tylko rozszerzeniem dawniejszej jego pracy „O dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu“. Pomimo pracy Małeckiego „Studya heraldyczne“ i krytyki St. Łaguny w *Kwartalniku historycznym* autor broni wytrwale swej hipotezy najazdu Lechitów z nad Łaby, praojców późniejszej szlachty polskiej, głównie na podstawie podobieństwa najdawniejszych herbów polskich do run skandynawskich. Ponieważ lechickie plemiona tylko nad Łabą z Normanami się stykały, zatem tylko z nad Łaby, zdaniem autora, wyszedł najazd Polan na Lechitów nad Wartą i Wisłą. Zapomina autor, że Polanie nad Dnieprem już od VII. w., a i wcześniej się ścierali z drużynami Waregów, dążących wzdłuż Dniepru ze Szwecyi do Konstantynopola, że zatem jeżeli był najazd, mógł łatwo również z nad Dniepru wzdłuż bezleśnego grzbietu wyżyny podolskiej, a następnie Wisłą lub jej dopływami w okolice Kruszwicy być uskuteczniony. Biorąc asumpt z nieudowodnionej tezy, że Lech, Leszek i Polak to pokrewne wyrazy, wierzy autor na podstawie mętnych baśni, w kronice Baszka przechowanych, we wspólne pochodzenie wszystkich książąt lechickich od Samona, kupca frankońskiego, który dał początek dynastyi Dragów, pradynastyi książąt obotryckich, rujskich, pomorskich i polskich Popielów i Piastów.

Przeciw tej wspólności lechickich dynastyj i na fałszywej etymologii nazwy „Lechici“ wysnutym teoryom p. Piekosińskiego występuje z druzgoczącym wywodem prof. Małecki w swej pracy p. t. „Lechici w świetle historycznej krytyki“ (Lwów 1897), w której wykazuje, że nazwa Lechici nigdy u Polaków nie istniała, jako synonim Polaków, że wytworzyła ją pod wpływem ruskiej nazwy Lęchy lub Lachy koszlawa erudycya Mistrza Wincentego, że imię „Leszek“ nie jest zdrobniałem brzmieniem nazwy „Lech“, jak chce za Długoszem p. Piekosiński, lecz pierwotnie brzmi ta nazwa „Lestko“, co znaczy „chytry“, że wersya przechowana u Baszka o wspolności dynastyi i plemion lechickich jest baśnią średniowieczną, skomponowaną również przez Mistrza Wincentego i jego komentatorów wskutek niezrozumienia ustępu o Siemowicie w Kronice Galla [2], miała na celu zaś połączenie podań małopolskich o Krakusie i Leszku, z wielkopolskiemi o Popielu i Piaście, że prócz zagadkowej nazwy „Licicemici“ użytej raz przez Witu-

[1] Tom I. i II. Kraków 1897.

[2] M. P. H, I, 997.

kinda na oznaczenie naszych przodków, ciż zawsze byli zwani lub zwali się Poloni, Polanie, Polacy. Lęchami lub Liachami zwie przodków naszych pierwszy raz najstarsza kronika ruska znana pod nazwą Nestora i rozróżnia, zdaniem p. Małeckiego, Lęchów o różnych nazwach, jak Polanie, Łętycze, Mazowszanie, Pomorzanie i Lęchów na Wiśle, do dziś przez górali, Słowaków, Morawian zwanych Lachami. Węgrzy zwią Polaków „Lendjel“ (pisze się Lengiel), Serbowie „Lechami“ obok tego „Ledjaninami“. Zdaniem p. Małeckiego „Ledjanin“ zachowuje pierwotne brzmienie „Lędzianin“ t. zn. mieszkaniec pól uprawnych, z którego powstało tak samo, jak ze Stanisława Stach, z Katarzyny Kachna, Zygmunta Żich w czeskim języku, Lęch a następnie Liach w ruskim. Praca prof. Małeckiego wywołała tak wielkie zainteresowanie się filologów i historyków polskich i słowiańskich, że redakcya *Kwartalnika historycznego* otwiera osobną rubrykę p. t. „Lechica“ w celu ułatwienia naukowej dyskusyi nad kwestyą lechicką. — Już w czerwcu r. 1897 piszący w recenzyi „Lechitów“ prof. Małeckiego [1] stwierdził, że żadne plemię w skład późniejszej Polski wchodzące nie zwało się samo Lęchami, że mieszkańcy okolic nad górną Wisłą zwali się wedle najdawniejszych źródeł Wiślanami, że nazwa „Lęchy“ powstała prawdopodobnie u Polan naddnieprzańskich na oznaczenie jakiegoś plemionka sąsiadującego od zachodu i stąd stała się nazwą zbiorową wszystkich Słowian północno-zachodnich z wyjątkiem Czech i Morawian, o których pierwsi kronikarze ruscy z ksiąg starosłowiańskich mieli dokładniejsze wiadomości, że z chwilą zetknięcia się państwa polskiego z ruskiem nazwa Lachy służy na oznaczenie Polski i Polaków, a to tem więcej, że dla Rusinów Polanami byli mieszkańcy Naddnieprza, a okolice Kijowa „polską ziemią“. Podobne wyniki wygłosił p. Potkański w rozprawie swej „Lachowie i Lechici“ [2], której treść podał już na posiedzeniu Wydz. filologicznego Akademii Umiejętności z dnia 8 marca 1897 r. Twierdzi w niej autor, że nazwa węgierska Lengiel powstała pod wpływem ruskim, serbski zaś Ledianin pod wpływem węgierskim, wykazuje dalej, że nazwa Lęchów nie da się nawiązać do nazw celtyckich Lingonów lub Lugiów Tacytowskich; jest ona ruską i powstała bardzo dawno, może przed IX. wiekiem,

[1] *Przegląd Powszechny,* nr. 162, str. 421—434.

[2] Rozprawy Akad. Umiej. Wydział filologiczny. Serya II, Tom XII, str. 183—256. — Cfr. *Kwartalnik historyczny.* Rocznik XII, zeszyt II, 1898, str. 291—301.

wtedy kiedy plemiona ruskie nad Oką Wętyczów i Radymiczów, pochodzące z dzisiejszego Mazowsza, oznaczano na Rusi już mianem Lachów. Językową interpretacyą wyrazu Lęchy zajęli się uczeni lingwiści: Kunik z Petersburga, Baudouin de Courtenay z Krakowa i Różniecki z Danii, z rezultatem wszakże dotąd tylko negatywnym [1]. Kwestya lechicka pozostaje i nadal nieodgadnionym sfinksem.

Takim sfinksem jest i geneza społeczeństwa polskiego. Wszechstronnego wyświetlenia tej kwestyi podjął w szeregu prac niestrudzony na tem polu prof. Piekosiński. W jednej z nich p. t. „Ludność wieśniacza w Polsce w dobie Piastowskiej“ [2] zajmuje się autor z wielką erudycyą i bystrością, ale i fantazyą prawdziwie poetycką, „zalepiającą wszystkie ciemne dziury w ścisłych badaniach zaraz hipotezowym obrazem“, najniższą warstwą społeczeństwa polskiego, rzekomo podbitymi tubylcami przez rycerzy najezdców. Przybyli więc ojczyce chłopów polskich w VI. wieku z Azyi i założyli główny zrąb dzisiejszych osad ojczycowych tj. wsie z końcówkami patronimicznemi na „ice“, jak Dalechowice i z przyrostkami dzierżawczemi na ów, owa, owy, yn, in, yna, ina np. Dalechów. Dalechowice otrzymała nazwę osada, jeżeli ojciec rodziny umarł podczas wędrówki i dopiero synowie Dalecha ją założyli, Dalechów stan zwali ją, jeżeli tam osiadł sam Dalech z rodziną. — Zatem założycielami pierwotnych osad w Polsce jest około 6.000 ojczyców, oni to wraz z rodzinami stanowią pierwsze zaludnienie naszego kraju. Przeciw tej dogmatycznej teoryi występuje z właściwą sobie jasnością i zręczną argumentacyą prof. Balzer [3], z twierdzeniem, że nie rodziny lecz rody całe w stanie pierwotnym podejmują pracę gospodarczą wspólnemi siłami, gdyż do walki z nieużytą zrazu przyrodą nie wystarcza siła jednostki. Jak u ludów słowiańskich było zasiedlenie rodowe nie jednostkowe, tak i u nas, czego dowodzi cały szereg dokumentów, takie osady, jak Dmochy, Kurozwęki, Szamotuły i t. d., istnienie starostów rodowych, prawo stryjców rodowych do udzielania przyzwolenia na pozbycie własności gruntowej w ręce osób obcych, prawo krewnych do wykonania zemsty na zabójcy krewniaka względnie do uzyskania okupu za jego głowę, prawo, które nietylko

[1] *Kwartalnik historyczny*, Rocznik XII, zeszyt I, 1898, str. 1—20.

[2] Kraków, nakładem własnym 1896. Osobne odbicie z tego autora: „Studyów rozpraw i materyałów z dziedziny historyi polskiej i prawa polskiego“. T. I. Kraków 1897.

[3] *Kwartalnik historyczny*. Rocznik XII, zeszyt I, 1898. Rewizya teoryi o pierwotnem osadnictwie w Polsce. Str. 21—69.

rodom szlacheckim, ale i ludności wieśniaczej przysługiwało. Ważnem również potwierdzeniem osiedlenia rodowego jest istnienie niewyjaśnionych dotąd przez naszych uczonych t. zw. „hospites“ czyli „łazęgów“. Hospites, to ani nie wolni przybysze z zachodu, jak chce Piekosiński, ani nie niewolnicy, jak twierdzi Małecki, lecz przysiedleńcy w jakiejś osadzie, którzy przybyli skądkolwiek indziej, choćby nawet z polskiej wsi i jako tacy nie wchodząc w organizacyę rodową tej wsi nie mieli praw i obowiązków z tej organizacyi wypływających. Jako tacy mogli być ludźmi wolnymi i przypisańcami lub niewolnymi. Głównego zaś kontyngensu hospitów dostarczały zbytnio rozmnożone rodziny, których członkowie poza wsią ojczystą musieli szukać utrzymania. — Wprawdzie ilość wsi z końcówką dzierżawczą jest daleko liczniejsza aniżeli ilość wsi z końcówką patronimiczną (przeszło 8.000 przeciw 3.000), która to statystyka zdaje się przemawiać za osiedleniem jednostkowem, przyjętem przez p. Piekosińskiego; zważywszy wszakże, że statystyka ta oparta jest na rejestrach z dopiero XVII. wieku, że cały szereg wsi z dzierżawczą końcówką jest notorycznie pochodzenia nowszego, przyjdziemy do przekonania, że dla najstarszych osad polskich patronimiczna nazwa, przemawiająca za osiedleniem rodowem, jest typową.

Co do czasów przedpiastowskich w Krakowie, jakie zbadać usiłuje K. Potkański w pracy swej „Kraków przed Piastami“ [1], to dzięki wiadomościom u Al. Bekri'ego podanym nie ulega wątpliwości, że Kraków był w X. wieku ważną stacyą handlową na drodze między Pragą a Rusią. Okolice Krakowa zamieszkiwali Wiślanie. Podbici przed r. 884 przez Świętopełka Wielkomorawskiego i nawróceni przez św. Metodego należeli do pierwotnego biskupstwa wielkomorawskiego. Później dostali się pod panowanie czeskie; kiedy, nie wiadomo. W każdym razie około r. 960, kiedy pisał Ibrahim syn Jabuba, należała targowica ta do Czechów, zatem prawdopodobnie zdobył Kraków z okolicą nie Bolesław II., jak chce p. Potkański, lecz jak twierdził Małecki a i poniekąd Piekosiński, już Bolesław I. Do Polski, zdaniem Kosmasa, przyłączył Kraków Mieszko, chyba nie r. 999; bo wtedy już nie żył, lecz około r. 990, kiedy o „wielkie królestwo“ toczy walkę z Czechami. Czy wszakże już przed r. 981 grody czerwieńskie należą do państwa Mieszkowego, jak chce autor na podstawie słów kroniki ruskiej, wątpić

[1] Rozpr. Akad. Umiejętności. Wydział histor.-filozof. Serya II, t. X, ogólego zbioru XXXV, str. 101—255. Cfr. recenzya profesora Piekosińskiego, *Kwartalnik historyczny*, rocznik XII, zeszyt II, 1898, str. 393—402.

należy, gdyż u t. zw. Nestora „Lachy“ niekoniecznie zawsze oznaczają Polaków, lecz wogóle Słowian północno-zachodnich.

Legendarni założyciele narodowych dynastyj, taki Chlodwik, Przemyśl, Arpad i Piast, pozostaną bodaj zawsze przedmiotem dociekań naukowych dla tego właśnie, że stojąc na samej granicy mitu i historyi, tem więcej wyzywają ciekawość badaczy. Ponieważ atoli znajdują się w półmroku, dlatego trudno określić dokładnie mgliste ich kontury. Nie dziw, że o Piaście pisało się wiele bez pozytywnego jakiegoś wyniku. Dopiero przed 3 laty prof. Wojciechowski z właściwą mu przenikliwością uchylił nieco rąbka z tej postaci dowodząc, że Piast to nie imię osobowe, lecz pospolite, to przydomek oznaczający piastuna lub wychowawcę dzieci książęcych, a tem samem najwyższego dostojnika na dworze książęcym Popielów, coś w rodzaju majordoma u Merowingów. W ten sposób stara się autor Chrobacyi z mitu o Piaście, przechowanego u Galla, wyłuskać ziarnko historycznej prawdy. Przeciwko tym wywodom występuje z rynsztunkiem lingwistycznym prof. berliński Brückner, przeprowadzając ścisły dowód [1], że w języku polskim nie mógł istnieć jakiś piast = piastun, że istniał wyłącznie piast = tłuczek, lub piasta kołowa, że osoby podania: Popiel, Chwościsko, Piast i Rzepka, kwalifikują się samemi przezwiskami swemi wyłącznie do bajki, której brak jakiegokolwiek rysu historycznego. Bajka o Piaście przyczepiona, zdaniem uczonego berlińskiego, około 1100 pod wpływem analogii czeskiej (Przemyła) do początków dynastyi panującej w Polsce i do Gniezna. Uprzątnąwszy się w ten sposób z Piastem, stara się p. Brückner jego następców: Siemowita, Lestka i Siemomysła z mitycznych przekształcić w osoby historyczne, ba! nawet wykazuje, że od Lestka otrzymał naród polski nawet swą pierwszą nazwę. Wspomniani bowiem u Witukinda pod r. 963 Licikawicy to ani Lechici ani Łęczycanie, lecz Lestkowicy tj. poddani Lestka tak samo, jak od Polaka Radzima, pochodzą ruscy Radzimicy i t. d. Dawniejsza topograficzna nazwa Polan pochłonęła patronimiczną, jak pochłonęła nazwę Wiślan (tj. późniejszych Małopolan). Z okazyi Siemowita potrąca autor rzecz o postrzyżynach, usiłuje wykazać, że u Polaków przy postrzyżynach nie nadawano imienia, że nie czekano z niemi do siódmego roku życia, że w podaniu o Mieszku i mowy być nie może o postrzyżynach, że opis postrzyżyn Siemowitowych specyalnych rysów pogań-

[1] Sprawozdanie z czynności i posiedzeń Akad. Umiej. w Krakowie, grudzień 1897, str. 13—15.

skich nie zawiera żadnych, że więc i podanie o nich do zbytniej starożytności nie należy odnosić. Przeciw temu radykalnemu sceptycyzmowi p. Brücknera wstępuje w szranki specyalny znawca przedhistorycznych czasów, tyle razy w tym przeglądzie wspomniany p. K. Potkański, broniąc autentyczności podania o Piaście [1]. Nie świadczą przeciw niej nazwy Piasta, Popiela lub Chwościska, które są przydomkami. W ustnej ludowej tradycyi właśnie przechowują się najlepiej nie imiona lecz przydomki i przezwiska. Wspomniany wreszcie u Galla obrzęd postrzyżyn jest bezsprzecznie obrzędem prastarym, pogańskiej sięgającym doby. Przypuszczenie, że Gallus przy Siemowicie dodał umyślnie opis postrzyżyn, bo jeszcze postrzyżyny za jego czasów były znane w Polsce, tylko niepogańskie, jest wykluczone, bo kronikarze średniowieczni popełniali często wprawdzie anachronizmy, ale nie umieli legend umiejętnie podrabiać. O ile i czy wogóle będzie można zużytkować podanie o Piaście dla historyi, a raczej dla socyologii, to dopiero w przyszłości autor wyświetlić obiecuje.

Wyczerpawszy w sposób lakoniczny przegląd wyników naukowych najważniejszych, obfitych badań nad czasami przedhistorycznemi, należałoby przystąpić do streszczenia rezultatów naukowych z czasów historycznych w Polsce. Ponieważ i tak już przekroczyliśmy ramy naszego referatu, musimy takowe odłożyć do następnego sprawozdania.

Dr. Kazimierz Krotoski.

---

[1] Tamże, kwiecień 1898, str 10.

Druk ukończono 30 sierpnia 1898 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica
O wątpliwościach przeciw wierze. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.*	1
Lombroso w świetle nauki przyrodniczo-lekarskiej. (Dok.). Przez *d-ra J. Zanietowskiego*	21
Malarz Czechowicz. Studyum na podstawie dzieł jego krakowskich. (Dok.). Przez *d-ra Jerzego Kieszkowskiego*	36
Syndykaty czyli stowarzyszenia rolnicze we Francyi. Przez *Tadeusza Kudelkę*	54 200 337
Odwiedziny Polaków w Bośni. Przez *ks. Marcina Czermińskiego T. J.*	76
Co teraz robić? (Dodatek). Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.*	1*—8*
Jezuici w Gdańsku (1584—1608). Przez *ks. St. Załęskiego T. J.*	161
Snobizm. Przez *T. W.*	187
Marx wobec ostatnich sądów nauki. Przez *d-ra Władysława Pilata*	227
Kilka uwag o ostatnim kongresie robotników w Krakowie. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.*	256
Vasile Alessandri, książe pieśni rumuńskiej. Przez *Wiktora Wieckiego T. J.*	321
Klecha XVI. wieku. Przez *d-ra Antoniego Karbowiaka.*	370
Fouillée o psychologii swego narodu. Przez *d-ra Bronisława Łozińskiego*	379
Reforma drogowa w Galicyi. Przez *Zygmunta Gargasa.*	396

Stronica

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Ateny wołyńskie. Szkic z dziejów oświaty w Polsce. Michał Rolle. *(Dr. Antoni Karbowiak)* 95

Ks. Hieronim Kaysiewicz. St. Tarnowski. *(Jan Bystrzycki)*. . . 96

Notatki myśliwskie. Somali. Józef hr. Potocki. *(M.)* 95

Wyniki badań przyrodniczych, ogłoszonych w wydawnictwach Akademii Umiejętności z lat 1893—1896. V. *(Roman Gutwiński)* 105

Próba określenia składników rasowo-plemiennych, uwydatnionych w postaci wieszcza naszego, Adama Mickiewicza, rozpatrywanych na tle typów mieszkańców Europy i ziemi Nowogrodzkiej. Benedykt Dybowski. (Odbitka z *Kosmosu*). *(F. Chłapowski)*. 268

Cywilizacya, literatura i sztuka w dawnej kolonii Zachodniej nad Bałtykiem. Na podstawie badań najnowszych skreślił Gustaw Manteuffel. *(Ks. A. Mohl T. J.)*. 278

Zarys dziejów kaznodziejstwa w Kościele katolickim. Ks. dr. Józef Pelczar. Cz. II. Kazn. polscy. Dodatek do części II. kaznodziejstwa. *(W. Ł.)*. 280

Towarzystwo tanich mieszkań dla robotników katolików w Krakowie. Dr. Henryk Jordan. *(X. A. T.)*. 268

Pogadanka o nowszych powieściach polskich: Z. L. Sulima: „Sokół królewski". — Deotyma: „Panienka z okienka". — Szutkiewicz: „Jeden z wielu". — K. Rojan: „Doborowe otoczenie". — K. Gliński: „Wróci". — K. Laskowski: „Kulturtraeger". — M. Zych: „Syzyfowe prace". — Junosza: „Powtórne życie". — Arwor: „Na giełdzie cnoty". — S. Kondratewicz: „Fałsze życia". — Stańko: „Występni". — A. Krajewski: „Aż na dno". — W. Grot-Bęczkowska: „Kędy droga". — G. Zapolska: „Wodzirej". — Wł. Orkan: „Nowele". — E. Orzeszkowa: „Iskry" 408

Tło historyczne w „Irydyonie" Krasińskiego. Dr. Wiktor Hahn. *(L. M. Dziama)* 418

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Marysieńka. Marie de la Grange d'Arquien, Reine de Pologne, femme de Sobieski. 1641—1716. K. Waliszewski. *(T. W.)*. 111

Entombed in Flesh by Henry Michael Dziewicki. *(M.)*. . . . 118

Niepokoje polskie w Syberyi w roku 1814. Szkic historyczny. (Polskaja Smuta w Sibiri w 1814 godu. Istoriczeskij oczerk). *(Al. Szarłowski)*. 127

System der Philosophie. Dr. Ioseph Müller. *(Ks. dr. Aleksander Pechnik)* 384

Die heiligen Sacramente der katholischen Kirche. Dr. Nicolaus Gihr. I. Band. Allgemeine Sacramentenlehre. Die Taufe, die Firmung und die Eucharistie. *(Ks. A. Mohl T. J.)*. 288

Stronica

Vie de la Rev. Mére Camille de Soyecourt, religieuse Carmélite. *(M.)* 290

Les derniers moments du roi Stanislas. Pierre Boyé. *(Dr. K. Krotoski.)* 293

Wospominania kniazia Mieszczierskaho. Drukowane w dzienniku *Graždanin*, wychodzącym w Petersburgu. Rocznik z roku 1895. *(Al. Szarłowski)* 294

La Grâce et la Gloire, ou la filiation adoptive des enfants de Dieu, etudiée dans sa réalité, ses principes, son perfectionnement et son couronnement final, par I. B. Terrien S. I. 2 tomy. *(Ks. M. Morawski T. J.)*. 422

Kościelna tradycya i rossyjska teologiczna literatura. (Церковное преданіе и русская бохословская литература, критическое сопоставленіе по поводу критики на книху: „О церкви"). *(Ks. Pl. Filas Z. Ś. B. W.)* 422

Die substantiale Form und der Begriff der Seele bei Aristoteles von Dr. E. Rolfes. — Die Gottesbeweise bei Thomas von Aquin und Aristoteles. Erklärt und vertheidigt von Dr. Eugen Rolfes. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)*. 428

Kilka uwag o czasopismach czeskich. *(Stanisław Dobrzycki)*. 431

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Stronnictwa katolickie w Belgii. — Prześladowanie katolików we Włoszech. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 134

Z najnowszych badań historycznych. (1895—1898). Przez *d-ra K. Krotoskiego* 145 446

Skroplone ostatnie gazy. Przez *A. W. M.* 158

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Kościół katolicki w Bułgaryi. — Katolicy a socyalni demokraci. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 301

Ruch ludności w Galicyi w r. 1895, według najnowszej statystyki urzędowej. Przez *Józefa Glinkiewicza.* . . . 307

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Nowe rozporządzenie cara. — Resztka józefinizmu w Austryi. — Szkocya i Rzym. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 439

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T J.

Errata do tomu LIX.

Str. 308 wiersz ostatni, zamiast: *różnego wyznania*, ma być: *równego wyznania*.
» 309 » 11 od góry, » *(kato)likami*, » *(kato)liczkami*. (Dwa razy w tym samym wierszu: wyraz pierwszy i ostatni).
Str. 309 wiersz 15 od góry, zamiast: *z kobietami*, ma być: *a kobietami*.
» 313 » 5 » » *krainę*, » *Krainę*.
» 315 » 18 » » *po częściej*, » *po części*.
Na tejże stronie ustęp cały: *Nie chcąc bynajmniej...* aż do: *poziomie moralnym Czechów* (wiersz 9—13 od góry) jako uwaga Redakcyi powinien był być umieszczony w przypisku.
Str. 420 wiersz 36 od góry, zamiast: *nie uderza*, ma być: *mię uderza*.

Uprasza się łaskawego Czytelnika o dołączenie niniejszego sprostowania do tomu LIX »Przeglądu«.